

Zabojca strachu

Koontz Dean R.



calibre 0.9.27

Dean R. Koonz

Zabojca Strachu

Fear Nothing I tom Moonlight Bay Przelozyl Pawel Korombel Data wydania oryginalnego: 1998 Data wydania polskiego: 2002 Jest ciezar do dzwigania i droga do przebycia. Jest ciezar do dzwigania i cel, co nam umyka.

Jest ciezar do dzwigania, wolno go zlozyc nam.

Ten ciezar, to my sami, stad tam, stad tu, stad tam. "Ksiega policzonych smutkow" Robertowi Gottliebowi, za ktorego wyobraznie, geniusz i poswiecenie dziekuje losowi kazdego dnia.

5

Czesc Pierwsza Zmierzch

5

1

W rozswietlonym swieczkami gabinecie zadzwonil stojacy na biurku telefon, a ja juz wiedzialem, ze szykuje sie straszliwa zmiana. Nie mam zdolnosc nadzmyslowych. Nie widze zadnych zwiastujacych znakow na niebie. Moje oko nie czyta przyszlosci z linii dloni i nie mam umiejetnosc Cyganow, ktorzy w fusach po herbacie wypatruja scizek losu. Jednak umieral moj ojciec i spedziwszy poprzednia noc przy jego lozku, ocierajac mu pot z czoła i sluchajac, z jaka trudnoscia oddycha, wiedzialem, ze zbliza sie koniec. Po raz pierwszy jak zyje - skonczylem dwadziescia osiem lat - dotkliwe poczucie utraty i samotnosc napawalo mnie straszliwym lekiem.

Jestem jedynym synem, jedynym dzieckiem. Matka zmarła dwa lata temu. Jej smierc wstrzasnela mna, ale przynajmniej mama nie musiala walczyć z dlugotrwała choroba.

Poprzedniej nocy, tuż przed brzaskiem, wrocilem wyczerpany do domu. Jednak nie spałem dlugo ani dobrze. Teraz wychytilim sie z fotela i telepatycznie staralem sie sprawic, by telefon zamilkł, ale na prozno.

Pies tez wiedzial, co oznacza dzwonenie. Cicho wyszedl z cienia w swiatlo swiec i wpatrywal sie we mnie zasmucony. W przeciwienstwie do swoich pobratymcow, on wytrzymuje ludzki wzrok, poki mu sie to nie znudzi. Zwykle zwierzeta patrzy na nas przelotnie - potem odwracaja wzrok, jakby wyprowadzone z rownowagi czymś, co dostrzegaja w ludzkich oczach. Byc moze Orson widzi to, co inne psy, i byc moze tez jest zaniepokojony, ale nie oniesmielony.

Dziwny pies. Ale to moj pies, wierny przyjaciel i kocham go.

Przy siódmym dzwonku poddalem sie nieuchronnemu i podnioslem sluchawke. Dzwonila pielegniarka ze Szpitala Milosierdzia. Rozmawiajac z nia nie odrywalem spojzenia od Orsona.

Ojciec szybko trafil sily. Pielegniarka zasugerowala, bym natychmiast przyjechal.

Gdy odlozylem sluchawke, Orson podszedl do fotela i polozyl kudlaty czarny leb na moim podolku. Zapiszczal cicho i polizal mi dlon. Nie pomachal ogonem.

6

7

Przez chwile bylem sparalizowany, niezdolny do myslenia ani dzialania. Cisza domu, gleboka jak oceaniczna otchlan, przygniatala mnie z miadzaczym, obezwladniajacym naporem. Potem zadzwonilem do Saszy Goodall z prosba, by podwiozla mnie do szpitala. Zwykle spi od poludnia do osmej. Puszcza muzyke w nocy, od polnocy do szostej rano, w KBAY, jedynej rozglosni radiowej w Moonlight Bay. Kilka minut po piatej tego marcowego popoludnia najprawdopodobniej spala i mialem wyrzuty sumienia, ze musze ja obudzic. Jednakze, podobnie jak smutnooki Orson, Sasza byla moim przyjacielem; zawsze moglem sie do niej zwrocic. I prowadzila samochod o wiele lepiej od psa.

Odpowiedziala na drugi dzwonek, bez sladu sennosci w glosie. Zanim zdazylem powiedziec, co sie stalo, odezwala sie pierwsza:

-Chris, strasznie mi przykro - jakby czekala na ten telefon i w terkocie dzwonka uslyszala tez owa zlowrozbna nute, ktora

ja i Orson usłyszeliśmy wcześniej.

Przygryzłem wargę i rozważałem najbliższą przyszłość. Tak długo, jak tato żył, pozostawała nadzieja, że lekarze się pomylili. Nawet w stanie uznanym za beznadziejny rak mógł się cofnąć.

Cuda się zdarzają. Przecież mimo mojej choroby przeżyłem ponad dwadzieścia osiem lat, co jest jakimś cudem - chociaż ludzie obserwując moje życie z zewnątrz mogliby pomyśleć, że to jakieś przekleństwo.

Wierzę w możliwość cudów, a ściślej, wierzę w to, że są nam potrzebne.

-Przyjadę za pięć minut - obiecała Sasza.

Nocą mogłbym przejść do szpitala, ale pokonując drogę na piechotę, naraziłbym się na wścibskie spojrzenia i niebezpieczeństwo.

-Nie - rzekłem. - Jedź ostrożnie. Będę gotów za jakieś dziesięć minut.

-Kocham cię, balwanku.

-Kocham cię - odpowiedziałem.

Zakreciłem pióro, którym pisałem, kiedy zadzwoniono ze szpitala, i odłożyłem je na notatnik.

Ucieradłem na długiej raczce zgasilem trzy grube świece. Smutki dymu wily się w cieniach zjawiskowymi splotami.

Teraz, na godzinę przed zmrokiem, słońce wisiało nisko na niebie, ale nadal było niebezpieczne. Polyskiwało groźnie na krawędziach pofalowanych zasłon maskujących wszystkie okna.

Orson, jak zwykle wyczuwając moje intencje, wyszedł już z pokoju pokonując górny korytarz.

Jest czterdziestoipokilogramowym skundlonym labradorem, czarnym jak koczur wiedzmy. Niewidoczny przebywa gdzieś w cieniu naszego domu. Jego obecność zdradza jedynie głuchy tupot grubych łap po dywanach i grzechot pazurów na drewnianych klepkach.

6

7

W mojej sypialni, naprzeciw gabinetu, nie zwracałem sobie głowy włączeniem plafoniery z matowym szkłem, regulowanej ściemniaczem. Wystarczy mi odbite, kwasnożółte światło zachodzącego słońca, napierające na krawędzie okiennych zasłon. Mam wzrok lepiej przystosowany do mroku niż większość ludzi. Chociaż jestem "sowa", nie mam nadzwyczajnej zdolności nocnego widzenia, żadnych uzdolnień paranormalnych. Po prostu, przyzwyczajenie do mroku wyostrzyło moje postrzeganie w nocy.

Orson wskoczył na podnózek, a potem zwinął się na fotelu obserwując, jak sposobie się do rozświetlonego świata.

Z niewielkiej szafki w sąsiedniej łazience wyjąłem plastikową buteleczkę kremu z filtrem nr 50. Szczodrze natarłem twarz, uszy i szyję. Krem miał lekka kokosowa won, kojarząca mi się z palmami w słońcu, tropikalnym niebem, rozległym oceanem, na którym migoce światło południa, i innymi zjawiskami, których nigdy nie zakosztuje. Jest to zapach pożądania, odmowy i beznadziejnego pragnienia, uwodzicielska perfuma nieosiągalnego.

Czasem śnię, że spaceruję po karaibskiej plaży w powodzi słonecznego światła, i biały piasek pod stopami wydaje się być poduszka czystej świetlistości. Ciepło słońca na skórze jest bardziej zmysłowe niż dotyk kochanki. We śnie światło nie tylko pieści mnie, ale i przenika. Po obudzeniu czuję się obrabowany.

Natomiast sam krem, chociaż pachnie tropikalnym słońcem, chłodzi twarz i szyję.

Smaruje również dłonie i przeguby. Łazienka ma pojedyncze okno, z chwilowo uniesioną zasłoną, ale wewnątrz jest skąpo oświetlone, bo szkło jest matowe, a wdzieczne galazki metrosiderosu filtrują wpadające promienie słońca. Sylwetki liści tańczą na framudze.

W lustrze nad umywalką moje odbicie jest ledwie cieniem. Nawet włączysz światło nie ujrzałbym się wyraźnie, ponieważ pojedyncza sufitowa żarówka w abażurze ma niską moc i jest brzoskwińowo zabarwiona.

Rzadko widuje swoja twarz w pelnym swietle.

Sasza mowi, ze przypominam jej Jamesa Deana - bardziej w "Na wschod od Edenu" niz w "Buntowniku bez powodu".

Ja nie dostrzegam podobienstwa. Tak, wlosy i bladoniebieskie oczy sa identyczne.

Ale on wygladal na zalamanego, a mnie daleko do takiego stanu.

Nie jestem Jamesem Deanem. Jestem soba, Christopherem Snowem.

Zabezpieczywszy sie przed swiatlem wrocilem do sypialni. Orson uniosl leb, wciagajac w nozdrza kokosowa won.

Mialem juz na sobie frotowe skarpetki, nike, niebieskie dzinsy i czarny T-shirt.

Szybko wlozylem czarna dzinsowa koszule i zapialem ja pod szyja.

Orson towarzyszył mi do przedpokoju. Ponieważ weranda jest głęboka, z niskim sufitem i w ogrodzie rosną dwa szeroko rozgalezione drzewa kalifornijskie, słońce bezpośrednio nie dociera do pary wąskich okienek okalających drzwi; nie mają więc zasłon ani żaluzji. Witrażowe szybki - geometryczne szklane mozaiki w kolorach czystej zieleni, czerwieni i bursztynowej żółci - jarzyły się miękkim blaskiem klejnotów.

Wziałem z szafy ściennej czarna skórzana kurtkę zapinana na zamek błyskawiczny.

Wyjde po zmierzchu i mimo że był łagodny marmurowy dzień na środkowym wybrzeżu Kalifornii, może się zrobić chłodno, gdy zajdzie słońce.

Z polki schodziłem granatową czapkę z daszkiem i wcisnąłem ją nisko na czoło.

Nad daszkiem wyszyto ciemnoczerwona nitką "Pociąg Tajemnica".

Pewnej nocy zeszłej jesieni znalazłem tę czapkę w Fort Wyvern, opuszczonej wojskowej bazie w Moonlight Bay, jedyny przedmiot, który się znajdował w zimnym, suchym pomieszczeniu z betonu, trzy kondygnacje pod ziemią. Choć nie miałem pojęcia, co znaczy wyszyty napis, zatrzymałem czapkę, bo mnie zaintrygowała.

Ruszyłem do wyjścia. Orson zapiszczał błagalnie. Zatrzymałem się i pogłaskałem go.

-Tato na pewno chciałby cię zobaczyć ten ostatni raz, piesku. Bez wątpliwości. Ale nie wpuszcziliby cię do szpitala.

Zasłaniały prosto skierowane, czarne jak węgiel ślepie. Przysiagłbym, że zabłysły w nich smutek i współczucie. Być może dlatego, że sam patrzyłem na niego powstrzymując łzy.

Mój przyjaciel, Bobby Halloway, powiada, że antropomorfizuje zwierzęta, przypisuje im ludzkie cechy, których faktycznie nie mają.

Być może robię to dlatego, że zwierzęta w przeciwieństwie do niektórych ludzi zawsze akceptowały mnie takim, jaki jestem. Czworonożni obywatele Moonlight Bay mają szersze spojrzenie na życie - i okazują więcej dobroci - niż moi sąsiedzi, przynajmniej niektórzy.

Bobby powiada, że antropomorfizacja zwierząt, niezależnie od moich doświadczeń, jest oznaką niedojrzałości. Ja powiadam Bobby'emu, żeby się ode mnie odkopulował.

Popieszcilem Orsona: pogładziłem łsniące futro i podrapałem psa za uszami. Był dziwnie spięty. Dwukrotnie przekrzywił leb i nasłuchiwał dźwięków, których nie potrafiłem wychwycić - jakby wyczuwał w powietrzu zbliżające się zagrożenie, coś jeszcze gorszego niż strata ojca.

W owym czasie nie dostrzegałem jeszcze niczego podejrzanego w śmiertelnej chorobie taty. Rak był tylko sprawą losu, nie morderstwem - chyba że wniosłoby się oskarżenie o morderstwo przeciwko Bogu.

To, że straciłem oboje rodziców w ciągu dwóch lat, że matka umarła mając zaledwie pięćdziesiąt dwa lata, że ojciec leżał na łożu śmierci mając zaledwie pięćdziesiąt sześć lat... no cóż, to wszystko wydawało mi się brakiem szczęścia, który towarzyszył mi dosłownie od poczęcia.

Później miałem powod, by przypomnieć sobie napięcie Orsona - znakomity powod do zastanawiania się, czy wyczuwał nieuchronna, płynąca ku nam fala kłopotów. Bobby Halloway pewnie szydziłby z tego i powiedziałby, że robię coś gorszego niż antropomorfizuje psa, że teraz przypisuje mu cechy nadludzkie! Musiałbym zgodzić się z tą opinią - a potem powiedziałbym Bobby'emu, żeby odkopulował się ode mnie w podskokach!

W każdym razie gładziłem i drapałem Orsona, aż na ulicy rozległ się klakson, a potem prawie natychmiast samochód znalazł się na podjeździe.

Przyjechała Sasza.

Mimo kremu przeciwsłonecznego na karku zabezpieczyłem się dodatkowo stawiając kołnierz kurtki.

Z przedpokojowego stolika w stylu Stickleya, stojącego pod reprodukcją "Brzasku" Maxfielda Parrisha, wziąłem przeciwsłoneczne gogle. Z reka na miedzianej galce przy drzwiach jeszcze raz odwróciłem się do Orsona.

-Nic nam nie będzie.

Prawde mówiąc, nie wiedziałem, jak zdołamy egzystować bez taty. Był naszym łącznikiem ze światem blasku i ludźmi dnia. Co więcej, kochał mnie jak nikt na świecie, jak tylko rodzic mógł kochać niepełnosprawne dziecko. Rozumiał mnie tak, jak chyba już nikt mnie nie zrozumie.

-Nic nam nie będzie.

Pies spojrzał na mnie z powagą i prychnął niemal litosciwie, jakby wiedział, że kłamie.

Otworzyłem drzwi i gdy tylko wyszedłem na dwór, włożyłem okulary. Szkła nie przepuszczały promieni ultrafioletowych. Moje oczy są najbardziej wrażliwa na uraz części ciała. Nie mogę narazac wzroku na ryzyko.

Zielony Ford Explorer Saszy stał z włączonym silnikiem na podjeździe, a ona siedziała za kierownicą.

Zamknąłem drzwi na klucz. Orson nie usiłował wymknąć się za mną.

Z zachodu zerwał się wietrzyk - przybrzeżna bryza ze słabym, cierpkim zapachem morza; liście debu szeptały; konary dzieliły się sekretami.

W płucach doznałem takiego ucisku, jakby nalano mi tam płynnego ołowiu.

Wyłącznie psychiczna, ale dokuczliwa reakcja, nieodmiennie ta sama, gdy wychodziłem na dwór za dnia.

Szedłem zmiądzony po stopniach werandy i kocich łbach podjazdu. Być może tak czuje się nurek głębinowy w skafandrze i z całym wodnym królestwem nad głową.

10

11

2

Kiedy już wsiadłem do Explorera, Sasza Goodall przywitała mnie cicho: -Hej, balwanku.

-Hej.

Zapiałem pas, podczas gdy Sasza wrzuciła wsteczny.

Oddalaliśmy się od domu, a ja przyglądałem się mu spod daszka czapki.

Rozmyślałem, jakie zrobi na mnie wrażenie, gdy ujrze go następnym razem. Czulem, że gdy ojciec opuści ten podł, wszystkie rzeczy, które do niego należały, wydadzą się marniejsze i pomniejszone, pozbawione opieki jego ducha.

Była to budowla wierna stylowi "The Craftsman", w tradycji Greene'ów; kamienna podmurówka z minimum zaprawy, cedrowy szalunek posrebrzony zmienną pogodą, całkowicie nowoczesny w linii, ale w najmniejszym stopniu niesztuczny, dojrzwały owoc ziemi. Po ostatnich zimowych deszczach zielone pokrycie mchu zmieczyło ostre linie dachówek.

Gdy cofaliśmy się na ulicę, wydawało mi się, że widzę cien wsparty o jedno z okien pokoju dziennego, w głębi werandy i

pysk Orsona przy szybie, lapy na parapecie.

-Jak dawno tego nie czules? - spytala Sasza. - Swiatla dnia? Nieco ponad dziewiec lat.

-Nowenna dla mroku.

Pisywala teksty piosenek.

-Niech to diabli, Goodall, tylko nie szpikuj mnie poezja.

-Co wydarzylo sie dziewiec lat temu?

-Zapalenie wyrostka.

-Ach. Malo wtedy nie umarles.

-Tylko smierc wyciaga mnie na swiatlo dnia.

-Przynajmniej masz po tamtym seksu blizne - powiedziala.

-Tak sadzisz?

-Lubie ja calowac, no nie?

-To wlasnie mnie zastanawia.

10

11

-Prawde mowiac, mam stracha, kiedy o niej mysle. - Mogles umrzec.-Nie umarlem.

-Kiedy ja caluje, to jakbym odmawiala krotka modlitwe dziekczynna. Ze jestes ze mna.

-A moze rajcuje cie kalectwo.

-Dupek zoledny.

-Nie mamusia nauczyla cie tak mowic.

-Siostrzyczki w szkole parafialnej.

-Wiesz, co lubie?

-Jestesmy razem ze dwa lata. Taaa, chyba wiem, co lubisz.

-Lubie, ze nigdy nie pozwolilas mi chwile poleniuchowac.

-Czemu bym miala ci pozwolic?

-Wlasnie.

Nawet w zbroi ubrania i kremu, za okularami, ktore chronily moje wzraliwe oczy przed promieniami ultrafioletowymi, bylem wyprowadzony z rownowagi przez dzien wokol i nade mna. W jego imadle czulem sie jak skorupka jajka.

Sasza zdawala sobie sprawe z mojego dyskomfortu, ale udawala, ze go nie dostrzega. Aby oderwac moja uwage od zagrozenia i nieskonczonej urody rozslonecznionego swiata, zrobila to, co umiala tak doskonale - czyli byla soba. Sasza.

-Gdzie bedziesz? - spytala. - Po tym.

-Jesli bedzie "po tym". Moga sie mylic.

-Gdzie bedziesz, kiedy bede na antenie?

-Po polnocy... pewnie u Bobby'ego.

-Dopilnuj, żeby włączył radio.

-Dzisiaj w nocy przyjmujesz zamówienia? - spytałem.

-Nie musisz dzwonić. Wiem, czego ci potrzeba.

Na następnym rogu skręciła w prawo, w Ocean Avenue. Jechała w górę, od oceanu.

Kamienne sosny rozkładały galezie nad ulicą, przed sklepami, restauracjami i szerokimi chodnikami. Siatka światłocienia pokrywała jezdnię.

Moonlight Bay, dom dla dwunastu tysięcy ludzi, unosi się z portu i równin w łagodnie pofalowane wzgorza. W większości przewodników turystycznych nasze miasteczko jest nazywane klejnotem Środkowego Wybrzeża, częściowo dzięki upartej konspiracji członków izby handlowej popierających szerokie używanie tego przydomka.

Jednakże zasłużyło na niego z wielu powodów, z których nie najmniejszy to bogactwo drzew. Majestatyczne deby z koronami liczącymi sobie setki lat. Sosny, cedry, palmy.

Gęste kępy eukaliptusów. Moje ulubione to wielolistne meleuca luminaria udrapowane na wiosnę etolami gronostajowego kwiecia.

Ze względu na mnie Sasza założyła ochronną folię na okna eksplorera. Niemniej jednak widok był szokująco bardziej jaskrawy niż to, do czego przywykłem.

12

13

Zsunąłem okulary w dół nosa i zerknąłem znad oprawek. Igły sosen rozłożyły się bogata ciemna koronka na tle cudownego purpurowo-niebieskiego poźnopółnocnego nieba, tajemniczo rozjaśnionego, i odbicie tego wzoru migotało na przedniej szybie.

Szybko poprawiłem okulary, nie tylko by chronić oczy, ale czując nagły wstyd, że tak zachwyca się dzienną podróżą, nawet gdy ojciec leży umierający.

Jadąc szybko - w granicach rozsądku - nigdy nie zatrzymując się na skrzyżowaniach bez świateł, Sasza powiedziała:

-Wejdziesz z tobą.

-To niekonieczne.

Nieprzeparta niechęć Saszy do lekarzy, pielęgniarek i wszystkiego, co wiązało się z medycyną, graniczyła z fobią. Przeważnie była przekonana, że będzie żyć wiecznie; pokładała wielką wiarę w witaminach, pierwiastkach śladowych, przeciwutleniaczach, myśleniu pozytywnym i technikach leczenia umysłem. Jednakże bile odwiedziny w szpitalu wstrząsały jej przekonaniem, że uniknie losu wszelkich cielesnych istot.

-Naprawdę, powinnam być przy tobie - powiedziała. - Kocham twoją tatę.

Jej zewnętrzny spokój zaprzeczał drżenie w głosie. Byłem wzruszony tą gotowością towarzyszenia mi do miejsca, którego nie cierpiała najbardziej na świecie.

-Chcę z nim być sam przez ten kawałek czasu, jaki nam został - powiedziałem.

-Naprawdę?

-Naprawdę. Słuchaj, zapomniałem zostawić kolację Orsonowi. Mogłabyś wrócić do domu i zająć się tym?

-Uhm. - Przyjęła zadanie z wyraźną ulgą. - Biedny Orson. Byli z twoim tatą prawdziwymi kumplami.

-Przysięgam, że on wie o tym.

-Pewnie. Zwierzęta wiedzą takie rzeczy.

-Zwłaszcza Orson.

Z Ocean Avenue skrecila w Pacific View. Szpital Milosierdzia byl dwie przecznice dalej.

-Zajme sie nim - powiedziala.

-Nie okazuje wiele, ale juz martwi sie po swojemu.

-Wyciskam go i wytarמושe, ile sie da.

-Tato to byla jego wiez z dniem.

-Ja teraz nia bede.

-On nie moze zyc tylko w ciemnosci.

-Ma mnie i nigdy nigdzie nie odejde.

-Naprawde?

12

13

-Zajme sie nim. Tak naprawde to juz nie mowilismy wcale o psie.

Szpital byl dwupietrowa budowla w stylu kalifornijsko-sroziemnomorskim, zbudowana w innej epoce, kiedy owo okieslenie nie przywodzilo na mysl bezdusznej przydroznej architektury i tanich konstrukcji. Gleboko osadzone okna okalaly spatynowane mosiezne framugi. Loggie z lukami i wapiennymi kolumienkami ocienialy parterowe pomieszczenia. Niektore z kolumn byly spowite odrosalami starych bougainvilli zascielajacych dachy loggii. Tego dnia, mimo ze do wiosny zostalo jeszcze kilka tygodni, wodospady szkarlatnych i swietlistych kwiatow zwisaly z okapow.

Zdobyłem sie na odwage i na kilka sekund zsunalem okulary w dol nosa, podziwiajac zbryzgany sloncem karnawal barw.

Sasza zatrzymala sie u bocznego wejscia.

Gdy uwolnilem sie z pasa bezpieczenstwa, polozyla mi reke na ramieniu i lekko uscisnela.

-Zadzwon do mnie na komorke, kiedy bedziesz chcial, zebym wrocila.

-Zanim wyjde, bedzie po zachodzie slonca. Pojde piechota.

-Jesli tego chcesz.

-Tak.

Znowu zsunalem w dol okulary, tym razem, aby zobaczyc Sasze Goodall taka, jakiej nigdy nie widzialem. W blasku swiec jej szare oczy sa glebokie, ale czyste; tak wygladaja tez w swietle dnia. W blasku swiec geste mahoniowe wlosy sa swietliste jak wino w krysztale - ale pod czula dlonia slonca nabieraja jeszcze wiecej blasku. Kremowa skore przywodzaca na mysl platki roz pokrywaja leciutkie piegi, ktorzy wzor znam tak doskonale, jak konstelacje kazdej cwiartki nocnego nieba w kolejnych porach roku.

Sasza palcem poprawila mi okulary.

-Nie badz glupi.

Jestem czlowiekiem. A glupota stanowi o czlowieczenstwie.

Jednak gdybym mial oslepnac, jej twarz to widok, ktory bedzie podtrzymywal mnie na duchu w wiecznej czerni.

Pochylolem sie obok deski rozdzielczej i pocalowalem ja.

-Pachniesz jak kokos - powiedziala.

-Staram sie.

Znowu ja pocałowalem.

-Nie powinienes byc dluzej na dworze w tych warunkach - powiedziala stanowczo.

Slonce, majace pol godziny drogi do morza, bylo intensywnie oranżowe, wieczny termonuklearny holokaust oddalony sto piecdziesiat milionow kilometrow. Pacyfik byl miejscami plynna miedzia.

15

-Idz, kokosowy chlopcze. Nie ma cie.Otulony jak Czlowiek Slon wysiadlem z explorera, wbijajac rece w kieszenie kurtki.

Obejrzałem sie. Sasza odprowadzala mnie wzrokiem. Uniosla kciuk do gory.

15

3

Gdy wszedlem do szpitala, Angela Ferryman czekala w korytarzu. Byla nocna pielegniarka z drugiego pietra i zeszla na dol mnie przywitac.Angela, lagodna sliczna kobieta dochodzaca piecdziesiatki; rozpaczliwie szczupla i dziwnie bladooka, jakby jej poswiecenie dla chorych bylo tak bezgraniczne, ze z racji surowych warunkow umowy z diablem musiala ofiarowac cialo dla zdrowia innych. Nadgarstki miala zbyt delikatne do wykonywanej pracy, a poruszala sie tak lekko i szybko, iz wydawalo sie, ze kosci ma puste jak kosci ptakow.

Wylaczyla jarzeniowe panele oswietlajace korytarz. Dopiero wtedy mnie usciskala.

Gdy przechodzillem choroby wieku dzieciacego i dorastania - swinke, grype, ospe wietrzna - a nie moglem byc bezpiecznie leczony poza domem, to Angela, wizytujaca pielegniarka, codziennie sprawdzala moj stan. Jej gorace kosciste usciski odgrywaly rownie wazna role podczas leczenia jak drewniane szpatulki, termometry i strzykawki.

Jednak teraz jej uscisk bardziej wystraszył mnie niz dodal otuchy i zapytałem:

-Juz?

-Wszystko dobrze, Chris. Wciaz sie trzyma. Chyba tylko ze względu na ciebie.

Podszedlem do pobliskich schodow ewakuacyjnych. Gdy drzwi klatki schodowej zamknely sie za mna, Angela znow wlaczyła lampy oswietlajace korytarz. Swiatla klatki schodowej nie byly niebezpieczne. Ale i tak szedlem szybko i nie zdjalem okularow.

U szczytu schodow, na korytarzu drugiego pietra, czekal Seth Cleveland. Byl lekarzem ojca i moim. Chociaz wysoki, o ramionach tak szerokich i poteznych, ze zdawaly sie grozic uwiezieniem go w lukach szpitalnych loggii, zawsze poruszal sie z gracja znacznie nizszego mezczyzny i mial lagodny glos misia z bajki.

-Dajemy mu srodki przeciwbolowe - powiedzial, wylaczajac gorne swiatla - wiec ma okresowe zaniki swiadomosci. Ale za kazdym razem, kiedy odzyskuje przytomnosc, pyta o ciebie.

Wreszcie zdjalem okulary i wsadzilem je do kieszeni koszuli. Szybko pokonywalem szeroki korytarz, mijajac pomieszczenia, w ktorych pacjenci - wszelkie przypadki, we

16

17

wszelkich stadiach choroby - lezeli nieswiadomi albo siedzieli przed tackami z kolacja. Ci, ktorzy zauwazyli zgasniecie swiatel w korytarzu, zdawali sobie sprawe, co bylo tego powodem, i zastygali podczas jedzenia, sledzac mnie wzrokiem, gdy przechodzillem obok.W Moonlight Bay jestem slawny wbrew wlasnej woli. Z dwunastu tysiecy stalych mieszkancow i prawie trzech tysiecy studentow Ashdon College, prywatnej uczelni artystycznej, jestem byc moze jedyna osoba, ktorej nazwisko znaja wszyscy. Jednakze z powodu mojego nocnego trybu zycia nie kazdy mnie widzial.

Gdy szedlem korytarzem, wiekszosc pielegniarek i sanitariuszek zwracala sie do mnie po imieniu i serdecznie witala.

Mysle, ze ich sympatia nie byla spowodowana zadna szczegolna cecha mojej osobowosci ani uwielbieniem dla mojego ojca - choc faktycznie uwielbial go kazdy, kto go poznal - ale poniewaz bez reszty poswiecily sie leczeniu ludzi, a bylem wzorcowym wrecz przykladem pacjenta potrzebujacego troskliwej opieki i serdecznosci. Wymagam leczenia przez cale

zycie, ale umykam ich - i czymkolwiek - zdolnosciom uzdrowicielskim.

Ojciec lezal w pokoju dwuosobowym. Na razie drugie lozko bylo wolne.

Przystanalem na progu. Z glebokim westchnieniem, ktore wcale nie dodalo mi sil, wszedlem do srodka, zamykajac za soba drzwi. Zaluzje byly zaciagniete, na bialej lsniacej framudze zarzyl sie oranzowy blask gasnacego swiatla.

Na lozku blizszym drzwi cieniem rysowala sie sylwetka taty. Slyszałem płytki oddech. Gdy sie odezwalem, nie odpowiedzial.

Podlaczone go tylko do elektrokardiografu. Aby nie niepokoic chorego, wylaczono sygnal dzwiekowy; prace serca potwierdzala wylacznie zielona linia ostro zarysowana na monitorze.

Puls byl szybki i slaby. Z niepokojem patrzyłem, jak przechodzi krotki okres arytmii. Znow sie ustabilizowal.

W nizzaszej z dwoch szuflad stojacej obok biurka szafa?i byla zapalniczka na gaz i dwie swieczki wydzielajace zapach wawrzynu. Personel szpitalny udawal, ze nie wie o obecności tych przedmiotow.

Postawilem swieczki na szafce.

Z powodu mojego schorzenia przyslugiwaly mi ulgi w szpitalnym regulaminie.

W innym wypadku musialbym siedziec w calkowitej ciemnosci. Ignorujac przepisy przeciwpozarowe nacisnałem zapalniczke i przytknałem plomyczek do knota. Potem do drugiego.

W migocie kojacego swiatla dostrzegłem twarz ojca. Mial zamkniete oczy. Oddychal przez otwarte usta.

Zgodnie z jego wola nie podjeto zadnych heroiczných dzialan, majacych na celu podtrzymanie zycia. Nawet inhalator nie wspomagal oddychania.

16

17

Zdjalem kurtke i czapke, polozylem jedno i drugie na fotelu dla gosci. Stanalem przy lozku, dalej od swieczek i ujalem dlon ojca. Skore mial chlodna, cienka jak pergamin. Koscista dlon. Paznokcie zolte, popekane, jak nigdy przedtem. Nazywal sie Steven Snow i byl wielkim czlowiekiem. Nie wygral zadnej wojny, nie ustanowil zadnego prawa, nigdy nie skomponowal symfonii, nie napisal slawnej powiesci, o czym marzyl w dzieciństwie, lecz byl wiekszy niz jakikolwiek general, polityk, kompozytor i obdarowany nagrodami pisarz.

Byl wielki, poniewaz byl dobry. Byl wielki, poniewaz byl pokorny, lagodny i pelen radosci. Przez trzydziestci lat malzenstwa pozostal wierny mojej matce. Jego milosc byla tak swietlista, ze nasz dom, z koniecznosci mroczny w wiekszosci pokojow, po prostu jasnial. Wykladowca literatury w Ashdon - gdzie mama wykladala na wydziale nauk scislych - byl tak kochany przez swoich studentow, ze wielu utrzymywalo z nim kontakt dziesiatki lat po opuszczeniu uczelni.

Chociaz moja przypadlosc ciezko zawazyla na jego zyciu juz od dnia moich narodzin - mial wowczas dwadziescia osiem lat - ani razu nie dal mi odczuc, ze zaluje ojcostwa; zawsze bylem dla niego niewiarygodna radoscia i zrodlem nieklamanej dumy. Zyl godnie, bez skarg i zawsze szukal jasnych stron zycia.

Niegdys byl silny i przystojny. Teraz jego cialo skurczylo sie, twarz poszarzala, a rysy wyostrzyly. Wygladal duzo starzej niz na piecdziesiat szesc lat. Rak watroby zaatakowal ukklad limfatyczny, a potem inne organy. Podczas walki o zycie ojciec stracil bujne siwe wlosy.

Na monitorze zielona linia znow zarysowala sie strzeliscie i nierowno.

Obserwowalem ja sparalizowany strachem.

Dlon taty zacisnela sie na mojej.

Gdy znow na niego spojrzalem, szafirowoniebieskie oczy byly otwarte i utkwione we mnie, tak ostro patrzace, jak zawsze.

-Wody? - spytałem, bo ostatnio zawsze byl spragniony.

-Nie, nic mi nie trzeba - powiedzial, chociaz wydawalo mi sie, ze chce pic. Jego glos byl zaledwie troche glosniejszy od

szeptu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Zawsze nasz dom był pełen rozmów. Tato i mama dyskutowali o powieściach, starych filmach, szalenstwach polityków, poezji, muzyce, historii, naukach ścisłych, religii, sztuce, a także o sowach, skaczących myszach, szopach, nietoperzach, krabach i innych stworzeniach, które dzieliły ze mną noc. Mówiliśmy o poważnych sprawach, ale i plotkowaliśmy o sasiadach. W rodzinie Snowów nie uznawano żadnego programu ćwiczeń fizycznych, jeśli nie obejmował codziennej "zaprawy języka".

A jednak teraz, gdy rozpaczliwie potrzebowałem otworzyć serce przed ojcem, odebrało mi mowę.

18

19

Uśmiechnął się, jakby rozumiał moją ciężką sytuację, pogodzony z ironią losu. Za chwilę uśmiech znikł. Ściągnięta i wycieczona twarz napięła się jeszcze bardziej. Prawde mówiąc, był tak wycieczony, że gdy przeciąg zakolysał płomykami świec, jego twarz wydała mi się odbiciem na rozkolysanej powierzchni stawu.

Migotliwe światło zastygło i myślałem, że tato jest w agonii, lecz gdy przemówił, w jego głosie zabrzmiały raczej smutek i żal, nie ból:

-Przepraszam, Chris. Cholera, przepraszam.

-Nie masz mnie za co przepraszać - zapewniłem go. Nie wiedziałem, czy jest świadomy, czy też mówi w malignie.

-Przepraszam za spadek, synu.

-Nic mi nie będzie. Potrafię dać sobie radę.

-Nie chodzi o pieniądze. Będziesz ich miał dosyć - rzekł coraz bardziej gasnącym głosem. Słowa wypływały z bladych ust prawie równie cicho jak zawartość rozbitego jajka. - Ten inny spadek... po mnie i matce. XP.

-Tato, nie. Nie mogłeś wiedzieć.

Znow zamknął oczy.

-Bardzo przepraszam...

-Dajes mi życie - powiedziałem.

Jego dłoń w mojej zwiędła.

Przez chwilę myślałem, że umarł. Serce osunęło mi się w piersiach jak kamień wrzucony w wodę. Ale zapis na monitorze aparatu wskazywał, że tylko znow stracił przytomność.

-Tato, dajes mi życie - powtórzyłem, zrozpaczony tym, że nie może mnie słyszeć.

Tato i mama - nie wiedząc o tym - mieli recesywny gen, który pojawia się tylko u jednego człowieka na dwieście tysięcy. Szansa, że dwoje takich ludzi spotka się, zakocha i będzie mieć dzieci, wynosi milion do jednego. Nawet wtedy warunkiem nieszczęścia jest obopólne przekazanie genu potomstwu. Szansa na to jest jak jeden do czterech.

W przypadku moich staruszków zły los trafił w dziesiątkę. Mam skóre pergaminowata barwnikowa, xeroderma pigmentosum - w skrócie XP - rzadkie i często śmiertelne zaburzenie genetyczne.

Ofiary XP są wyjątkowo podatne na raka skóry i siatkówki. Nawet krótkie wystawienie na słońce - prawdę mówiąc na każde promienie ultrafioletowe, w tym światła zwyczajnych żarówek i świetlówek - może być katastrofalne w skutkach. Światło słoneczne niszczy DNA - materiał genetyczny wszystkich ludzi, zwiększając szanse pojawienia się melanomy i innych nowotworów złośliwych. Zdrowi ludzie mają naturalny układ naprawczy, enzymy, które zabierają zniszczone fragmenty łańcucha nukleotydów i zastępują je świeżym DNA.

18

Jednakże u ludzi z XP te enzymy nie funkcjonują; naprawa nie następuje. Rak spowodowany promieniami ultrafioletowymi rozwija się błyskawicznie - i nie można zapobiec przerzutom. Stany Zjednoczone, których populacja przekracza dwadzieścia siedemdziesiąt milionów, są ojczyzną ponad osiemdziesięciu tysięcy karłow. Dziewięćdziesiąt tysięcy naszych współobywateli mierzy sobie ponad dwa metry dwadzieścia centymetrów. Nasz naród chlubi się czterema milionami milionerów, a w bieżącym roku następne dziesięć tysięcy osiągnie ten radosny status. Jednakże w każdym roku około tysiąca naszych obywateli będzie ranożony piorunem.

Mniej niż tysiąc Amerykanów ma XP, a mniej niż stu rodzi się z ta choroba każdego roku.

Liczba jest tak niewielka, bo schorzenie jest rzadkie. Wielkość populacji z XP jest ograniczona, ponieważ wielu z nas nie żyje długo.

Większość lekarzy obeznanych z xeroderma pigmentosum oczekiwałaby, że umrę w dzieciństwie. Niewielu postawiłoby na to, że zostanę nastolatkiem. Żaden nie zaryzykowałby poważnych pieniędzy w zakładzie, że nadal będę trzymał się niezłe w wieku dwudziestu osmiu lat.

Zdarzają się ekspery (słowo na mój użytek) starsi ode mnie; niewielu jest znacznie starszych, z tym że większość z nich cierpi na postępujące przypadłości neurologiczne: drżenie głowy lub rak, głuchota, zniekształcenie mowy, nawet upośledzenie umysłowe.

Poza tym, że muszę strzec się światła, pozostaję normalny i sprawny jak wszyscy.

Nie jestem albinosem. Moje tęczówki są zabarwione. Skóra niepozbawiona pigmentu. Chociaż oczywiście mam dużo jaśniejszą karnację niż kalifornijski nastoletni plazowicz, nie jestem biały jak zjawa. W oświetlonym świeczkami pokoju i nocnym świetle, w którym zamieszkuje, nawet wydaje się, co zaskakujące, że mam ciemną cerę.

Każdy dzień, który przeżywam, jest cennym darem i wierzę, że wykorzystuję mój czas tak dobrze i tak do syta, jak to możliwe. Znajduje rozkosz tam, gdzie inni by jej się spodziewali - ale również tam, gdzie niewielu by jej szukało.

W 23 r. p.n.e. poeta Horacy rzekł: "Chwyć dzień, nie ufaj temu, co będzie jutro!"

Ja chwytam noc. Dosiadam jej i pedzę, jakby była wielkim czarnym ogierem.

Większość moich przyjaciół powiada, że jestem najszczęśliwszą osobą, jaką poznali. Mogłem zaznać szczęścia lub je odrzucić i wybrałem to pierwsze.

Jednakże gdyby nie rodzice, może nie miałbym tego wyboru. Ojciec i matka radykalnie odmienili swoje życie, zazarcie chroniąc mnie przed niszczącym światłem i dopóki nie stałem się na tyle dorosły, by zrozumieć swoje kłopotliwe położenie, byli zmuszeni do nieustannej, wyczerpującej czujności. Ich bezgraniczna troska przyczyniła się do mojego przetrwania. Co więcej, obdarzyli mnie miłością - i miłością życia; dlatego nie popadłem w depresję, rozpacz i nie stałem się odludkiem.

Moja matka zmarła nagle. Chociaż wiedziałem, że zdaje sobie sprawę z tego, jak głębokim darze ją uczuciem, żałuję, że nie zdołałem tego wyrazić w ostatnim dniu jej życia. Czasem noca na plaży, gdy niebo jest jasne, a sklepienie gwiazd daje mi jednocześnie poczucie śmiertelności i niezwykłości, gdy wiatr cichnie i nawet morze bez szmeru uderza o brzeg, mówię mojej matce, co dla mnie znaczyła. Ale nie wiem, czy mnie słyszy.

Teraz ojciec - nadal będąc ze mną, choćby tylko w nieznacznym stopniu - nie słyszał, kiedy powiedziałem: "Dales mi życie". I obawiałem się, że odejdzie, zanim zdołam mu powiedzieć wszystko, czego nie powiedziałem matce.

Jego dłoń pozostała zimna i bezwładna. Ale i tak trzymałem ją, jakby kotwicząc go w tym świecie, aż będę mógł się pożegnać jak należy.

Słońce dotknęło morza. Poza krawędziami żaluzji framugi i osiecznice z oranżowych stały się ogniste czerwone.

Tylko w jednym wypadku spojrzę bezpośrednio w słońce. Jeśli zachoruje na raka siatkówki; zanim ulegnę chorobie lub oślepnę, któregoś późnego popołudnia udam się nad morze i stanę twarzą ku azjatyckim cesarstwom, których nigdy nie przemierze. Na granicy zmierzchu zdejmę okulary i obejrze śmierć światła. Będę musiał mrugnąć powiekami. Silne światło przyprawia mnie o ból oczu. Jego działanie jest tak intensywne i szybkie, że dosłownie czuje rozszerzanie się oparzeń.

Gdy krwistoczerwone światło poza krawędziami załuzji przeszło w purpurę, dłoń ojca zacisnęła się na mojej. Spojrzałem na niego. Miał otwarte oczy, a ja usiłowałem wyrazić uczucia, które miałem w sercu.

Kiedy nie mogłem powstrzymać się od powiedzenia tego, co niekoniecznie musiało być powiedziane, tato nieoczekiwanie znalazł rezerwy sił i tak mocno uscisnął moją rękę, że słowa zamarzyły mi na ustach.

W pełnej drżenia ciszy rzekł:

-Pamiętaj...

Ledwo go słyszałem. Pochyliłem się nad poręczą łóżka, przysuwając ucho do jego warg. Słabo, a jednocześnie okazując zdecydowanie pełne gniewu i uporę, dał mi ostatnią wskazówkę:

-Zabij wszelki strach, Chris. Zabij wszelki strach.

Potem umarł. Migotliwy ślad na monitorze drgnął raz i drugi, po czym rozciągnął się w poziomą linię. Jedyne ruchome światła stanowiły plomyki świec, tańczące na czarnych knotach.

Nie potrafiłem natychmiast wypuścić bezwładnej dłoni ojca. Ucałowałem jego czoło i szorstkie policzki. Żadne światło nie saczyło się już spoza krawędzi załuzji. Ziemia przetoczyła się w mrok, który chętnie mnie przywitał.

20

Otworzyły się drzwi. Znowu wygaszono najbliższe jarzeniowe panele i jedyne światło padało z pokoi wzdłuż korytarza. Doktor Cleveland prawie dotykając głową do nadproża wszedł do pokoju i z powagą stanął w nogach łóżka. Krokami cichymi jak sen podążała za nim Angela Ferryman. Jedną koscistą piastkę trzymała przy piersi. Zgarbiła ramiona, przybrała obronną postawę, jakby śmierć pacjenta była fizycznym ciosem. EKG przy łóżku wyposażono w terminal w izbie pielęgniarek na dole. Wiedziały, kiedy ojciec odszedł. Nie przybiegły ze strzykawkami pełnymi epinefryny ani z przenośnym defibrylatorem, aby wstrząsem elektrycznym pobudzić akcję serca. Uszanowano wolę zmarłego.

Rysy twarzy Clevelanda nie były zaprojektowane na uroczyste okazje. Z wesolutkimi oczami i pulchnymi różowymi policzkami przypominał św. Mikołaja bez brody.

Usiłował przybrać wyraz żalu i współczucia, ale udało mu się tylko wyglądać na zdziwionego.

Jednakże jego uczucia wyraźnie odzwierciedlały się w cichym głosie.

-Nic ci nie będzie, Chris?

-Jakos się trzymam - powiedziałem.

22

23

4

Ze szpitalnego pokoju zadzwoniłem do zakładu pogrzebowego Sandy'ego Kirka. gdzie ojciec tygodnie temu poczynił ustalenia. Zgodnie z jego wolą miał zostać skremowany. Dwaj sanitariusze, młodzi krótko ostrzyżeni chłopcy z rzadkimi wąsikami, zjawili się, by przenieść ciało do kostnicy w suterenie. Zapytali, czy chce tam zaczekać na przedsiębiorcę pogrzebowego. Powiedziałem, że nie. Nie było już ojca, tylko jego ciało.

Mój ojciec odszedł gdzie indziej.

Nie byłem skłonny zsunąć przescieradła i po raz ostatni spojrzeć na wychudłą twarz. Nie takiego chciałem go zapamiętać.

Sanitariusze przekładali zwłoki na nosze. Robili niezrecznie to, w czym powinni mieć wprawę, a w trakcie wykonywanych czynności zerkali na mnie, jakby mieli jakieś niewytłumaczalne poczucie winy.

Może ci, którzy transportują zmarłych, nigdy nie czują się swobodnie w trakcie pracy. Jak krzepiace byłoby w to uwierzyć, gdyż taka niezreczność świadczyłaby, że nie są tak obojętni na los innych, jak się to czasem wydaje. Bardziej prawdopodobne, że ci dwaj spoglądając na mnie ukradkiem, byli po prostu ciekawi. Jestem przecież jedynym obywatelem Moonlight Bay, który stał się bohaterem poważnego artykułu w czasopiśmie "Time".

To ja zyje noca i wzdragam sie przed widokiem slonca. Wampir! Upior! Obrzydliwy perwersyjny czubek! Chowac dzieci!

Uczciwosc wymaga stwierdzenia, ze wiekszosc ludzi jest wyrozumiala i dobra.

Jednakze trujaca mniejszosc to pozeracze plotek, ktorzy wierza we wszystko, co o mnie uslysza - i ktorzy ozdabiaja wszelkie potwarze na moj temat obluda widzow sadu czarownic w Salem. Gdyby ci dwaj mlodzi ludzie nalezeli do tego ostatniego rodzaju, musieliby byc zawiedzeni, ze wygladam tak bardzo normalnie. Zadnej trupio bladej twarzy. Zadnych nabieglych krwia oczu. Zadnych klow. Nawet nie podjadalem zadnych pajakow ani robakow. Co za brak wyrazu.

Kolka noszy skrzypialy, gdy sanitariusze wyjechali z cialem. Nawet po zamknieciu drzwi slyszalem oddalajace sie SKRZYP-SKRZYP-SKRZYP.

22

23

Sam w pokoju, w blasku swiec wyjalem z waskiej szafy sciennej podreczna walizke taty. Byly w niej tylko te ubrania, ktore mial na sobie, gdy po raz ostatni rejestrowal sie w szpitalu. W gornej szufladzie nocnej szafa byl zegarek, portfel i cztery ksiazki w broszurowych wydaniach. Wlozylem je do walizki. Zapalniczke wsunalem do kieszeni, ale swiece zostawilem. Juz nigdy nie chcialem wdychac zapachu jagody wawrzynu. Niosl nieznosne skojarzenia. Rzeczy taty zebrallem tak sprawnie, iz uznalem, ze moje samoopanowanie jest godne podziwu. Prawde mowiac, bylem odretwialy. Zdmuchnalem swiece i zdusilem szerniale knoty palcami; nie czulem ich zaru ani smrodu.

Gdy wyszedlem na korytarz z walizka, pielegniarka kolejny raz wylaczyla jarzeniowki. Skierowalem sie prosto do klatki schodowej, z ktorej skorzystalem wczesniej.

Nie moglem pojechac ktoras z wind, bo ich swiatel nie dalo sie gasic niezaleznie od mechanizmu napedowego. Podczas krotkiej jazdy z drugiego pietra krem z filtrem zabezpieczylby mnie wystarczajaco; jednak nie bylem gotowy ryzykowac utknienia miedzy pietrami.

Zapominajac o nalozeniu szkiei przeciwslonecznych szybko zszedlem slabo oswietlonymi betonowymi schodami i - ku wlasnemu zdziwieniu - nie zatrzymalem sie na parterze. Wiedziony swego rodzaju przymusem, czymś, czego wlasciwie nie rozumialem, poruszajac sie szybciej niz poprzednio, z walizka objajaca sie o nogi, szedlem nizej, do sutereny, gdzie zabrano ojca.

Odretnienie serca przeszlo w lodowaty chlod. Kolatanie rozchodzilo sie seria coraz dalszych drgan. Nagle opanowalo mnie przekonanie, ze oddalem cialo ojca nie spelniwszy jakiegos podstawowego obowiazku, chociaz nie moglem sobie uswiadomic, na czym mialby polegac. Serce walilo mi tak mocno, ze prawie je slyszalem - jak werbel zbliżajacego sie konduktu pogrzebowego, ale w podwojnym tempie. Gardlo spuchlo i przelkniecie nagle kwasnej sliny wymagal wysilk.

U stop schodow byly stalowe drzwi przeciwpozarowe. Nad nimi widnial czerwony znak wyjscia bezpieczenstwa. Zdezorientowany zatrzymalem sie, trzymajac reke na poroczy drzwi.

Wtedy przypomnial mi sie ow niespelniony obowiazek: tato, wieczny romantyk, chcial byc skremowany z ulubiona fotografia mojej matki i kazal mi sie upewnic, ze zdjecie pojedzie wraz z nim do zakladu pogrzebowego. To zdjecie znajdowalo sie w jego portfelu. Portfel byl w walizce, ktora nioslem.

Nie zastanawiajac sie pchnalem drzwi i wszedlem do korytarza sutereny. Betonowe sciany pokrywala lsniaca biel. Srebrne paraboliczne plafoniere slaly potoki jarzeniowego swiatla. Powinienem odskoczyc w tyl, za prog lub przynajmniej poszukac wylacznika. Tymczasem lekkomyslnie podazylem przed siebie puszczajac ciezkie drzwi, ktore zamknelly sie za mna jakby z westchnieniem. Glowe trzymalem nisko opuszczona, liczac na to, ze krem i daszek czapki ochronia mi twarz. Lewa reke wbilem w kieszen.

Prawa, wystawiona na swiatlo, sciskala raczke walizki.

24

25

Sama ilosc swiatla bombardujacego mnie podczas biegu trzydziestometrowym korytarzem nie wystarczalaby do pobudzenia raka skory czy nowotworu siatkowki. Jednakze w pelni zdawalem sobie sprawe, ze zniszczenie DNA komorek skory kumulowalo sie, poniewaz organizm nie mogl ich naprawic. Krotkie wystawienie sie na swiatlo, jedna minuta dziennie w ciagu dwoch miesiecy, mialoby taki sam katastrofalny skutek, jak jednogodzinne oparzenie podczas samobojczej sesji

ubostwienia slonca.

Rodzice od najwcześniejszych lat wpajali mi, że konsekwencje pojedynczego aktu nieodpowiedzialności mogą wydać się nieistotne, ale nawyk nieodpowiedzialności doprowadzi do nieuniknionego koszmaru.

Nawet mając pochyloną głowę i osłaniając oczy daszkiem czapki przed bezpośrednim widokiem jarzeniowych paneli, przypominających kratownice na jajka, musiałem mrużyć oczy przed oslepiającym światłem, odbitym od białych ścian. Powinienem być nałożył okulary, ale od końca korytarza dzieliły mnie tylko sekundy.

Imitujące marmur, szaro-czerwone linoleum wyglądało jak nadpsute surowe mięso.

Poczułem lekkie zawroty głowy, spowodowane obrzydliwym wzorem pokrycia podłogi i przerazliwym blaskiem światła.

Minałem pomieszczenia magazynowe i kotłownię. Suterena wydawała się opuszczona przez ludzi.

Pokonałem więcej niż połowę korytarza. Wszedłem do małego garażu. Nie był to publiczny parking, usytuowany powyżej. W pobliżu stał tylko szpitalny pikap i karetka. Trochę dalej parkował czarny karawan z zakładu pogrzebowego Kirka. Ułożyli mi, że Sandy Kirk nie zabrał jeszcze ciała i nie odjechał. Nadal miałem czas włożyć fotografie matki w dłoń ojca.

Obok Isniacego karawanu był van Forda przypominający karetkę, z tym wyjątkiem, że nie miał standardowych "kogutów". Oba pojazdy stały przodem do mnie, tuż przy wielkich rolowanych drzwiach, teraz podniesionych. Poza tym było pusto, tak że pojazdy dostawcze mogły wyladowywać żywność, bieliznę i zaopatrzenie medyczne do windy towarowej. Akurat nie było żadnej dostawy.

Betonowych ścian nie pomalowano, a jarzeniowe światła rozstawiono rzadziej niż na korytarzu. Jednak nie czułem się tu bezpiecznie i podszedłem szybko do karawanu i białego vana.

Kat sutereny, na lewo od drzwi garażowych i za czekającymi pojazdami, służył dobrze mi znanemu celowi. Była to chłodnia do przechowywania umarłych, zanim przewieziono ich do domów przedpogrzebowych.

Pewnej koszmarnej styczniowej nocy tato i ja czuwaliliśmy tam zrozpaczeni, siedząc w blasku świecy przy ciele matki. Nie mogliśmy zdobyć się na zostawienie jej.

Tamtej nocy tato towarzyszyłby jej ze szpitala do zakładu pogrzebowego i pieca kremacyjnego, gdyby potrafił zostawić mnie samego. Poeta i kobieta naukowiec, ale jakże bliscy sobie duchem.

24

25

Karetka przywiozła ją z miejsca wypadku i natychmiast została przetransportowana z ambulatorium na chirurgię. Umarła w trzy minuty po znalezieniu się na stole operacyjnym, nie odzyskując przytomności, zanim jeszcze ustalono pełny zakres obrażeń. Teraz izolowane drzwi kostnicy stały otworem. Zbliżyłem się i usłyszałem kłótnie kilku mężczyzn. Mimo gniewu rozmawiali szeptem, głosami; napięcie gwałtownego sporu równoważyła atmosfera pospiechu i konieczność zachowania tajemnicy.

To ich ostrożność, nie gniew powstrzymała mnie przed wejściem. Mimo zabójczego blasku świetlówek stałem nie mogąc się zdecydować, co dalej.

Za drzwiami dobiegł znany mi głos. Sandy Kirk powiedział:

-Wiem kim jest ten gość, którego będzie kremował?

-Nikim. To tylko włóczęga - odpowiedział drugi mężczyzna.

-Trzeba było go przywieźć do mnie, nie tu - narzekał Sandy. - A co będzie, jak to ktoś zaginiony?

Odezwał się trzeci mężczyzna i poznałem głos jednego z dwóch sanitariuszy, którzy zabrali ciało ojca.

-Na łitość boską, może tak daloby się załatwić to do końca?

Uświadomiwszy sobie, że mając zajęte ręce wystawiam się na niebezpieczeństwo, odstawilem walizkę pod ścianę.

W drzwiach pojawił się mężczyzna, lecz nie dostrzegł mnie, bo przechodził tyłem przez próg, ciągnąc wózek.

Karawan był oddalony o mniej więcej dwa i pół metra. Zanim ktoś mnie dostrzegł, przeslizgnąłem się w kierunku samochodu, kucając obok tylnych drzwi, przez które ładowano trupy.

Zerkając zza błotnika widziałem wejście do kostnicy i wychodzącego z niej nieznanego mężczyznę: pod trzydziestkę, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, masywnej budowy, o byczym karku i ogolonej głowie. Miał na sobie robocze buty, niebieskie dżinsy, czerwona koszula w kratkę i w uchu jeden kolczyk z perłą.

Gdy przeciągnął wózek przez prog, odwrócił go w stronę karawanu. Teraz zamierzał pchać zamiast ciągnąć.

Na wózku, w nieprzejrzystym plastikowym worku na zamek błyskawiczny były zwłoki. Dwa lata temu w kostnicy moja matka włożono do podobnego worka, zanim oddano ją w ręce przedsiębiorcy pogrzebowego.

Wchodząc za łysym mężczyzną do garażu Sandy'ego Kirka złapał wózek. Blokując kołko stopa powtórzył pytanie:

-A co będzie, jeśli to ktoś zaginiony? Łysy skrzywił się i przechylił głowę. Perła w koniuszku ucha zalsniła.

-Powiedziałem ci, to włóczęga. Wszystko, co miał, nosił w plecaku.

26

27

-I co z tego?-Jak zniknie, nikt nie zauważy, kogo to obejdzie?

Sandy miał trzydzieści dwa lata i był tak przystojny, że nawet jego ponure zajęcie nie mogło powstrzymać kobiet przed uganianiem się za nim. Chociaż czarujący i mniej nadęty niż wielu kolegów po fachu, sprawiał, że czułem się nieswojo. Jego twarz wydawała mi się maską, pod którą nie było nic, jakby wcale nie był człowiekiem.

-Co z dokumentacją szpitalną? - zapytał.

-Nie umarł tu - powiedział łysy. - Zdjąłem go wcześniej, z drogi stanowej. Był na stopie.

Nigdy nie zdradziłem moich niepokojących obserwacji dotyczących Sandy'ego Kirka; rodzicom, Bobby'emu Hallawayowi, Saszy ani nawet Orsonowi. Tak wielu bezmyślnych ludzi z gory o mnie źle myślało, sugerując się wyglądem i tym, że uwielbiam noc, iż odmawiam przyłączenia się do klubu okrucieństwa i mówienia źle o kims bez jasnego powodu.

Ojciec Sandy'ego, Frank, był znakomitym, powszechnie lubianym człowiekiem i Sandy nigdy nie zrobił niczego, co świadczyłoby, że zasługuje na mniejsze uwielbienie niż jego tato. Do tej pory.

Powiedział do mężczyzny z wózkiem:

-Podejmuje wielkie ryzyko.

-Jestes nietykalny.

-Zdumiewasz mnie.

-Zdumiewaj się bez zwracania mi głowy - powiedział łysy i przejechał Sandy'emu wózkiem po nodze.

Ten zaklął i wycofał się podskakując. Mężczyzna z wózkiem skierował się prosto na mnie. Kolka skrzypiała - jak kolka wózka, na którym odwieziono ojca. W kucki obszedłem karawan i znalazłem się między nim i białym vanem. Ogarnąłem go szybkim spojrzeniem i przekonałem się, że nie miał żadnych napisów.

Skrzypiący wózek zbliżał się szybko.

Instynktownie przeczuwałem, że narazam się na wielkie ryzyko. Przyłapałem ich na jakimś spisku, którego nie rozumiałem, ale było to coś wyraźnie sprzecznego z prawem.

Na pewno zależałoby im na ukryciu tego przede mną.

Położyłem się na brzuchu i wślizgnąłem pod karawan - unikając wzroku mężczyzny, a także blasku światełek - w cieniu tak chłodne i gładkie jak jedwab. Moja kryjówka ledwo mnie mieściła, a gdy się zgarbiłem, wyczułem plecami układ napędowy.

Twarza byłem zwrócony w kierunku tyłu pojazdu. Widziałem, jak wózek mijają karawan i zbliża się do wana. Gdy skierowałem głowę na prawo, dostrzegłem, że drzwi kostnicy są tylko dwa i pół metra od cadillaca. Jeszcze bliżej miałem wypolerowane na wysoki połysk czarne buty Sandy'ego i mankiety granatowych spodni od garnituru, gdy przedsiębiorca odprowadzał wzrokiem lysego z wozkiem.

26

27

Za Sandym, pod ścianą, stała walizeczka ojca. W pobliżu nie było żadnego miejsca, w którym mogłbym ją ukryć, a gdybym zatrzymał ją przy sobie, nie zdołałbym poruszać się na tyle szybko i bezszelestnie, aby wślizgnąć się pod karawan. Wyglądało na to, że do tej pory nikt jej nie zauważył. I może nie zauważy.

Dwaj sanitariusze - których mogłem zidentyfikować po białych butach i spodniach - wyprowadzili z kostnicy drugi wózek. Ten nie skrzypiał. Pierwszy wózek, pchany przez lysego mężczyznę, dotarł do białego wana. Zgrzytnęły drzwi ładowni.

Jeden z sanitariuszy rzekł:

-Lepiej pojdź na górę, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, co zajmuje mi tyle czasu. - Skierował się w głąb garażu.

Nogi wózka złożyły się hałasliwie. Lysy wepchnął go do wana.

Drugi sanitariusz podprowadził kolejny wózek. Sandy otworzył tylne drzwi karawanu. Oczywiście było, że tam, w nieprzezroczystym worku, spoczywa ciało bezimiennego wloczugi.

Ogarnęło mnie wrażenie nierealności - tego, że znalazłem się w przedziwnych okolicznościach. Mogłbym prawie uwierzyć, iż przeżywam sen na jawie.

Drzwi ładowni wana zamknęły się. Gdy odwróciłem głowę w lewo, ujrzałem buty lysego zbliżające się do drzwi kierowcy.

Po wyjeździe obu pojazdów sanitariusz zaczekał do zamknięcia wielkich drzwi garażowych. Jeśli nadal będę leżał pod karawanem, zostanie odkryty, gdy Sandy ruszy.

Nie wiedziałem, który z sanitariuszy jest na dole, ale nie miało to znaczenia. Właściwie byłem przekonany, że dam sobie nawet radę ze sprawniejszym z młodych mężczyzn, którzy odwieźli ojca z łoża śmierci. Jednakże gdyby Sandy Kirk wyjeżdżając spojrzął w lusterko wsteczne, mógłby mnie zobaczyć. Wtedy musiałbym stawić czoło jemu i sanitariuszowi.

Ożył silnik wana.

Gdy Sandy i sanitariusz wpychali wózek na karawan, wyczołgałem się spod pojazdu. Spadła mi czapka. Złapałem ją i nie patrząc w kierunku tylnych drzwi karawanu pokonałem na czworakach dwa i pół metra dzielące mnie od kostnicy. W ponurym pomieszczeniu zerwałem się na nogi i ukryłem za drzwiami, przyciskając do betonowej ściany.

Nikt w garażu nie podniósł alarmu. Najwidoczniej nie dostrzeżono mnie.

Wstrzymałem oddech; potem wypuściłem powietrze przez zacisnięte zęby. Rozległ się syk.

Porazone światłem oczy zachodziły łzami. Otarłem je wierzchem dłoni.

Dwie ściany zajmowały piętrowo ustawione szuflady prosekcyjne z nierdzewnej stali. Powietrze wewnątrz nich było jeszcze chłodniejsze niż w samej kostnicy, w której panowała temperatura wystarczająco niska, abym poczuł dreszcze. Z boku stały dwa drewniane krzesła. Podłoga pokrywała białe płytki z szerokimi fugami dla ułatwienia sprzątania, gdyby któryś z worów na ciała przeciekał.

28

29

I tu były jarzeniowe światła, w nadmiernej ilości; nizej naciągnąłem na czoło czapkę. Ku mojemu zaskoczeniu szkła przeciwsłoneczne nie pękły w kieszeni koszuli. Zasłoniłem nimi oczy.

Część promieniowania ultrafioletowego przenikała nawet z wysokim filtrem.

Podczas ostatniej godziny zostałem bardziej napromieniowany niż w trakcie całego roku. Świadomość

niebezpieczeństwa skumulowanego napromieniowania dudniła mi w głowie jak kopyta groźnego karego rumaka.

Zza otwartych drzwi dobiegł ryk silnika vana. Odgłos szybko oddalił się, przeszedł w warkot i opadł do gasnącego pomruku.

Karawan cadillac wyjechał za vanem. Wielkie garażowe drzwi, poruszane automatycznie, opadły z głośnym hukem, który rozległ się echem po podziemnym królestwie szpitala, tak że drzazga cisza opadła z betonowych ścian.

Stezalem zaciskając dłonie w piasku.

Chociaż sanitariusz był niewatpliwie w garażu, zachowywał się cicho. Wyobraziłem go sobie, jak skłania na bok głowę z zaciekawieniem, dostrzegając walizkę mojego ojca.

Przed chwilą byłem pewien, że mogę pokonać tego człowieka. Teraz moja pewność siebie zmalała. Fizycznie go przerastałem - lecz mogłem dysponować bezwzględnością, której mi brakowało.

Początkowo nie usłyszałem zbliżających się kroków. Był po drugiej stronie otwartych drzwi, dzieliły nas centymetry i dowiedziałem się o jego obecności tylko dlatego, że kiedy przekroczył próg, gumowe podeszwy butów zapiszczały na płytkach podłogi kostnicy.

Gdyby wszedł dalej, konfrontacja byłaby nieunikniona. Nerwy miałem napięte, jak główna sprężyna mechanizmu zegarowego.

Po niepokojuco długim wahaniu sanitariusz wyłączył światła. Wychodząc z pomieszczenia zamknął drzwi.

Usłyszałem, jak wsuwa klucz w zamek. Zasuwa zaskoczyła z dźwiękiem, z jakim iglica rewolweru dużego kalibru wpada do pustej komory.

Wąpiłem, aby wiele ciał zajmowało chłodzone szuflady sekcyj. Szpital Miłosierdzia w spokojnym Moonlight Bay nie wyrzuca zmarłych z gorączkowym pośpiechem, z jakim wielkie kliniki produkują ich w pełnych przestępczości miastach.

Jednakże gdyby nawet w tych wszystkich stalowych kojach spali zmarli, nie budziło to mojego zdenerwowania. Ktoś z dnia będzie martwy jak każdy stały mieszkaniec cmentarza - niewatpliwie wcześniej niż inni ludzie w moim wieku. Zmarli są jedynie współobywatelami mojej przyszłości.

Naprawdę to panicznie lekałem się światła i idealny mrok chłodnego, pozbawionego okien pomieszczenia był dla mnie jak kojaca woda dla umierającego z pragnienia. Przez jakąś minutę lub dłużej rozkoszowałem się absolutną czernią, która opływała moją skórę, moje oczy.

28

29

Nie chcąc się poruszać pozostałem przy drzwiach, oparty plecami o ścianę. Oczekiwałem, że sanitariusz powróci lada chwila.

Wreszcie zdjąłem i wsunąłem szklę do kieszeni koszuli.

Stałem w ciemności, ale w głowie obracały mi się trybiki niespokojnych spekulacji.

Ciało ojca było w białym vanie. Zmierzające ku celowi, dla mnie nieodgadnione.

Zagarnięte przez ludzi, których motywacji działania nie potrafiłem pojąć.

Nie znajdowałem żadnego logicznego uzasadnienia tej koszmarniej zamiany - poza tym, że przyczyną śmierci taty nie było coś tak zwyczajnego i oczywistego jak rak. Lecz skoro biedne szczątki ojca mogły kogoś pogrążyć, to czemu winny nie pozwolił na zniszczenie dowodów w krematorium Sandy'ego Kirka?

Wyglądało na to, że ciało było komuś potrzebne.

Do czego?!

W zacisniętych piaskach i na karku poczułem zimny pot.

Im dluzej myslalem o scenie, ktorej bylem swiadkiem, tym bardziej nieswojo czulem sie w tym pozbawionym swiatla przystanku drogi zmarlych. Tamto przedziwne zdarzenie wzbudilo prymitywne leki, gniezdzące sie tak gleboko w moim umysle, ze nie potrafilem ich okreslic, gdy plywaly i wirowaly w zmaconym mroku.

Zamordowany autostopowicz mial byc skremowany w miejsce mojego ojca. Ale czemu zabijac w tym celu nieszkodliwego wloczege? Sandy mogl napelnic urne z brazu zwyklym popiolem po spalonym drewnie, a bylbym przekonany, ze to ludzkie szczatki. Poza tym bylo nieprawdopodobne, ze po otrzymaniu otworze zapieczetowana urne - a tym bardziej nieprawdopodobne, ze oddam sproszkowana substancje do laboratoryjnego zbadania jej skladu i pochodzenia.

Mysli uwiezly mi w gesto splatanej sieci. Nie moglem sie z niej wyrwac.

Drzaca reka wyjalem z kieszeni zapalniczke. Zawahalem sie nasluchujac stlumionych dzwiekow zza zamknietych drzwi, a nastepnie zapalilem ja.

Nie bylbym zaskoczony widokiem alabastrowego trupa unoszacego sie bezszelestnie ze stalowego sarkofagu, stajacego przede mna, o zatluszczonej posmiertnie twarzy, lsniacej w butanowym plomyku, z szeroko otwartymi oczami bez wyrazu i ustami nadaremnie usilujacymi podzielic sie sekretami, lecz niewydajacymi dzwieku. Zaden trup nie zajrzal mi w twarz, ale zmije swiatla i cienia wyslizgnely sie z migocacego plomienia i rozpelzly po stalowych pokrywach, nadajac szufladom zludzenie ruchu, tak ze kazda zdawala sie otwierac.

Odwrocilem sie do drzwi. Okazalo sie, ze na wypadek przypadkowego zamkniecia sie kostnicy zasuwe mozna bylo otworzyc od wewnatrz. Po tej stronie klucz nie byl konieczny, zamek pracowal na prosty uchwyt. Najciszej jak to mozliwe wysunalem zasuwe z zaczepu. Mechanizm zamka zaskrzypial lekko. Garaz wydawal sie opuszczony, ale pozostalem czujny. Ktos mogl zaczaic sie za filarami, karetka lub pikapem.

Mruzac oczy w suchej ulewie jarzeniowego swiatla, zobaczylem ku swemu zaskoczeniu, ze walizeczka ojca zniknela. Musial ja zabrac sanitariusz.

Nie chcialem isc przez caly garaz az do klatki schodowej, ktora zszedlem. Ryzyko spotkania ktoregos sanitariusza, albo obu, bylo zbyt wielkie. Do chwili otworzenia walizki i zbadania zawartosci mogli nie zdawac sobie sprawy, do kogo nalezala. Gdy znalezli portfel i dokumenty, zorientowali sie, ze tu bylem i zadali sobie pytanie, czy uslyszalem i zobaczylem cokolwiek, a jesli tak, to ile.

Autostopowicz zostal zabity nie dlatego, ze wiedzial cos o ich czynach, nie dlatego ze mogl ich obciazyc, ale jedynie dlatego ze potrzebowali ciala do kremacji z powodow, ktore nadal byly mi nieznanne. Dla tego, kto stanowil autentyczne zagrozenie, beda bezlitosni.

Nacisnalem guzik, ktory poruszal szerokie rolowane drzwi. Zaszumial silnik, napial sie lancuch i wielkie segmentowe drzwi uniosly sie z groznym chrzestem. Nerwowo rozejrzalem sie po garazu, spodziewajac sie, ze napastnik wyskoczy z ukrycia i rzuci sie na mnie. Drzwi byly w polowie wysokosci. Zatrzymalem je drugim przyciskiem i spuscilem trzecim. Gdy opadaly, wyslizgnalem sie na dwor.

Wysokie latarnie rzucaly zimne jak braz, zamglone swiatlo koloru zolci. Oswietlaly podjazd do podziemnego garazu. U szczytu podjazdu parking byl rowniez rozjasniony tym ponurym blaskiem, ktory mogl oswietlac przedpokoj jakiegos zakatka piekla, gdzie kara byla raczej wiecznosc w lodzie niz ogniu.

Pokonywalem przestrzen, jak sie dalo, wykorzystujac cien kamforowcow i sosen.

Przebiegalem waska ulica do dzielnicy osoblwych hiszpanskich bungalowow. Zaulkiem bez latarn. Z tylu domow o rozjasnionych oknach. Tam tetnilo zycie pelne niekonczacych sie mozliwosci i blogoslawionej zwyczajnosci - poza moim zasiegiem i niemal poza zdolnoscia mojego rozumienia.

Noca czesto czuje sie niewazki i to byla jedna z tych chwil. Bieglem cicho jak szybujaca sowa, unoszony na cieniach.

Ten swiat bez slonca wital mnie serdecznie i opiekowal sie mna przez dwadziescia osiem lat, zawsze bedac mi miejscem spokoju i wytchnienia. Lecz teraz po raz pierwszy w zyciu doswiadczyłem wrazenia, ze jakis drapiezny stwor sciga mnie w ciemnosci.

Zwalczyłem pragnienie, aby obejrzec sie przez rame. Przyspieszyłem i pognalem-popedzilem-pomknałem-pofrunalem waskimi bocznymi uliczkami i mrocznymi zaulkami Moonlight Bay.

Czesc Druga Wieczor

Widziałem kilka fotografii kalifornijskich drzew pieprzowych w słońcu. Są wtedy koronkowymi, wdzięcznymi roślinami z sennych marzeń. Noc zmienia ich wygląd. Wydają się opuszczać korony, długimi galeziami zasłaniają oblicza pokryte zafrasowaniem lub smutkiem.

Te drzewa rosły wzdłuż podjazdu do zakładu pogrzebowego, stojącego na trzykrowym wzniesieniu na północno-wschodnim skraju miasta, wewnątrz drogi nr 1. Docierało się tam wiaduktem. Stały w szeregu jak żalobnicy, składający kondolencje.

Gdy wspinałem się prywatną ścieżką, na której niskie lampy w kształcie grzybow rzuciły pierścienie światła, drzewa zakolysały się w powiewie. Na styku wiatru i liści unosił się szmer lamentu. Żadne auto nie stało na podjeździe, co oznaczało, iż nikt nie odwiedza zmarłych.

Sam poruszam się po Moonlight Bay jedynie pieszo lub rowerem. Nie było sensu uczyć się prowadzić samochodu. Nie mogę używać go za dnia, a nocą musiałbym wkładać okulary przeciwsłoneczne, oszczędzając sobie klujące światła reflektorów. Bez względu na to, jak kapitalnie wyglądasz w ciemnych szklach, nie liczą na uznanie glin.

Podniósł się księżyc w pełni. Lubie księżyc. Oświetla nieprzecz, rozjasnia to, co piękne i zapewnia ukrycie temu, co brzydkie.

Na szerokim szczycie wzgórza asfalt tworzył pętle, obszerne zakole z małym trawnikiem w środku. Na nim betonowa reprodukcja Piety Michała Anioła. Ciało nieżywego Chrystusa spoczywające na podolku matki lśniło, odbijając światło księżyca.

Matka Boska również jaśniała słabo. W słońcu ta prostacka replika z pewnością wyglądała topornie. Jednakże w obliczu strasznego bólu większość żalobników czerpała pocieszenie i wsparcie patrząc na uniwersalną rzeźbę Madonny trzymającej zwłoki Chrystusa, rozumiejąc przesłanie, nawet wyrażone tak niezdarne. Kocham w ludziach między innymi to, że potrafią doznać niebywałego pocieszenia dzięki najłżejszemu powiewowi nadziei.

Wszedłem pod portyk domu. Wahalem się, bowiem nie potrafiłem ocenić groźnego mi niebezpieczeństwa. Masywny piętrowy dom w stylu georgianskim - z czer32

wonej cegły obrzeżonej białym drewnem - byłby najpiękniejszy w mieście, gdyby tym miastem nie było Moonlight Bay. Rakietą z innej galaktyki, która przycupnelaby tutaj, nie wyglądałaby bardziej obco na naszym wybrzeżu niż kształtna budowla Kirka. Ten dom potrzebował wiązów, nie pieprzowców, ponurych niebios, nie czystej kopuły kalifornijskiego nieba i uporczywych chłost deszczów znacznie zimniejszych niż te, które skrapiały tutejszą ziemię. Okna pietra zamieszkałego przez Sandy'ego było ciemne.

Pomieszczenia, w których wystawiano ciała zmarłych, znajdowały się na parterze.

Przez kolorowe, gomulkowe szybki po obu stronach drzwi wejściowych ujrzałem słabe światło z tyłu domu.

Nacisnąłem dzwonek.

W głębi korytarza pojawił się człowiek i zbliżył do drzwi. Chociaż widziałem zaledwie zarys sylwetki, poznałem Sandy'ego Kirka po jego swobodnym chodzie. Poruszał się z wdziękiem, który podkreślał jego urodę. Dotarł do holu, włączył światła wewnętrzne i werandowe. Gdy otworzył drzwi, wydawał się zaskoczony, widząc mnie mrużącymi oczyma przysłoniętą czapka.

-Christopher?

-Wieczor, panie Kirk.

-Tak mi przykro z powodu twojego ojca. Był cudownym człowiekiem.

-Tak. Tak, to prawda.

-Juz zabralismy go ze szpitala. Obchodzimy sie z nim jak z czlonkiem rodziny, Christopherze, z najwiekszym szacunkiem. Mozesz byc tego pewien. Uczeszczalem w Ashdon na jego wykłady z dwudziestowiecznej poezji. Wiedziales o tym?

-Tak, oczywiscie.

-Od niego nauczylem sie kochac Eliota i Pounda. Audena i Plath. Becketta i Ashbery'ego. Roberta Bly'a. Yeatsa. Wszystkich. Kiedy zaczalem chodzic na wykłady, nie znosilem poezji. Pod koniec nie moglem bez niej zyc.

-Wallace Stevens. Donald Justice, Louise Gluck. To byli jego ulubienicy.

Sandy usmiechnal sie i pokiwal glowa.

-Och, wybacz, zapomnialem - dodal po chwili.

Ze wzgledu na mnie zmniejszyl swiatla w domu i na ganku. Stojac na ciemnym progu rzekl:

-To musi byc dla ciebie straszne, ale on przynajmniej juz nie cierpi.

Mial zielone oczy, lecz w bladym oswietleniu lamp podjazdu wydawaly sie tak czarne i gladkie jak skorupki zukow.

Wpatrujac sie w nie badawczo, powiedziales:

-Moge go zobaczyc?

-Kogo... ojca?

34

-Zanim zabrano go z pokoju, nie obejrzałem jego twarzy pod przescieradłem. Nie mogłem sie na to zdobyć, myślałem, że to mi niepotrzebne. Teraz... bardzo chcialbym popatrzec po raz ostatni. Oczy Sandy'ego Kirka byly jak spokojne nocne morze. Pod pozbawiona wyrazu powierzchnia klebily sie glebie. Zachowal w dalszym ciagu wspolczujacy glos osoby towarzyszacej zalobnikowi.

-Och, Christopherze... tak mi przykro, ale zabieg juz sie zaczal.

-Wlozyliscie go juz do pieca?

Wyroszly w uslugach prowadzonych posrod bogactwa eufemizmow, Sandy zwinal sie na moja bezposredniosc.

-Zmarly jest juz w urzadzeniu kremacyjnym, tak.

-Po co az taki pospiech?

-W naszej pracy zwloka niczemu nie sluzyc. Gdybym tylko wiedzial, ze sie zjawisz...

Zastanawialem sie, czy jego przypominajace skorupke zuka oczy patrzylyby tak smialo w moje, gdyby bylo dosyc swiatla, abym mogl dojrzec ich zielona barwe.

Gdy milczalem, rzekl:

-Christopherze, jestem tak zalamany widzac twój ból i wiedzac, że mogłem ci pomoc.

Chociaz obcy w swiecie dnia, znam noc jak nikt inny. Chociaz bedac obiektem okrutnej ciekawosci glupcow-ignorantow, moje poznanie ludzkiego serca opiera sie glownie na stosunkach z rodzicami i z tymi dobrymi przyjacielmi, ktorzy jak ja zyja przewaznie miedzy zachodem slonca a brzaskiem; w zwiazku z tym rzadko doswiadczyłem oszustwa.

Bylem zazenowany szachrajstwem Sandy'ego, jakby zhanbil nie tylko siebie, ale i mnie, i nie moglem juz dluziej spogladac w jego obsydianowe oczy. Opuscilem glowe i wpatrywalem sie w podloge.

Mylnie biorac moje zazenowanie za smutek paralizujacy mowe, wyszedl na ganek i polozyl mi dlon na ramieniu.

Opanowalem sie przed wzdrygnięciem.

-Zawodowo pocieszam ludzi, Christopherze, i dobrze to umiem. Ale szczerze mówiąc... nie znajduję słów, które tłumaczyłyby śmierć lub czyniły ją znośniejszą.

Miałem ochotę kopnąć go w tyłek.

-Nic mi nie będzie - powiedziałem zdając sobie sprawę, że muszę się oddalić, zanim zareaguje zbyt emocjonalnie.

-Mówię ludziom komunały, których nie znalazłbys w poezji uwielbianej przez twojego ojca, więc nie będę ich powtarzał akurat tobie.

Nie podnosząc głowy skinąłem nią i wycofałem się, byle dalej od jego reki.

34

-Dzięki, panie Kirk. Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem panu.-Nie przeszkodził mi. W najmniejszym stopniu. Szkoda tylko, że nie zadzwonił wcześniej. Mogłbym... mogłbym to opóźnić.

-Nie pana wina. Nic się nie stało. Naprawdę.

Zszedłem z ceglanego ganku bez stopni i znalazłem się na asfalcie. Odwróciłem się od Sandy'ego.

Cofnął się do drzwi, między dwie ciemności.

-Zastanawiasz się nad nabożeństwem... kiedy chcesz, żeby się odbyło i jak? - zapytał.

-Nie. Jeszcze nie. Jutro dam panu znać.

Gdy odchodziłem, Sandy zapytał:

-Christopherze, dobrze się czujesz?

Tym razem spoglądając na niego z pewnego oddalenia, odezwałem się odretwiącym, płaskim głosem, którego brzmienie było tylko częściowo modulowane:

-Uhm. Dobrze. Nic mi nie będzie. Dzięki, panie Kirk.

-Szkoda, że nie zadzwonił wcześniej.

Wzruszyłem ramionami i wbiliem ręce do kieszeni dzinsów. Odwróciłem się i przeszedłem obok Piety.

W mieszance, z której odlano replikę, były płytki miki i wielki księżyc migotał w tych drobnych okruchach, tak że lzy zdawały się lśnić na policzkach Matki Boskiej Betonu.

Zapanowałem nad pokusą, by spojrzeć raz jeszcze na przedsiębiorcę pogrzebowego. Na pewno w dalszym ciągu mnie obserwował. Schodziłem wśród samotnych szepczących drzew. Temperatura opadła poniżej szesnastu stopni. Przybrzeżna bryza była czysta po pokonaniu tysiący kilometrów oceanu. Niosła ledwie wyczuwalny posmak słonej wody.

Długo po tym, jak opadający podjazd zasłonił mnie przed oczami Sandy'ego, obejrzałem się. Ujrzałem tylko ostrą pochyłość dachu i kominy, surowe kształty na tle nieba zbryzganego punkcikami gwiazd.

Zszedłem z asfaltu na trawę i skierowałem się wzwyż pochyłości, tym razem pod ochronną osłoną roślin. Drzewa pieprzowe układały warkocze przy obliczu miesiąca.

36

37

6

Znow ukazało się zakole przed zakładem pogrzebowym. Pieta. Portyk. Sandy musiał już wejść do środka. Drzwi wejściowe były zamknięte. Trzymając się trawnika, wykorzystując osłone drzew i zarosły przeszedłem na tyły domu. Głęboka weranda schodziła do dwudziestometrowego basenu, ogromnego ceglanego patia i starannie utrzymanego ogrodu rozanego. Nic z tego nie było widoczne z pomieszczeń dla klientów zakładu.

W miasteczku naszej wielkości przychodzi na świat co roku prawie dwieście malenstw, a umiera stu obywateli. Były tylko dwa zakłady pogrzebowe, a Kirk zapewne przejmował około siedemdziesięciu procent całych obrotów plus połowę z mniejszych miasteczek powiatu. Dla Sandy'ego śmierć była dobrym sposobem na życie.

Widok z patia musiał za dnia zapierać dech w piersiach: dzikie wzgorza falujące łagodnie ku wschodowi, jak okiem sięgnąć, ozdobione rozrzuconymi debami o pokrzywionych czarnych pniach. Teraz sfalowane pagorki spoczywały jak gigantyczni śpiacy pod bladymi przescieradłami.

Nie zauważywszy nikogo w oświetlonych tylnych oknach, przeciałem patio. Księżyc białosci płatka róży unosił się na atramentowych wodach basenu.

Z domem stykał się obszerny garaż w kształcie litery "L", z motelem, do którego wchodziło się tylko od frontu. W garażu stały dwa karawany i prywatny pojazd Sandy'ego; krematorium znajdowało się w skrzydle najbardziej oddalonym od domu.

Obszedłem chyłkiem róg garażu, wzdłuż tylnej ściany drugiego ramienia "L", gdzie ogromne eukaliptusy zasłaniały większość księżycowego światła. Powietrze przesycala ich aptekarska won, a kobierzec zeschniętych liści szeleścił pod stopami. Zaden zakątek Moonlight Bay nie jest mi nieznanym - zwłaszcza ten. Znaczna część nocy spędzałem na eksplorowaniu naszego niezwykłego miasteczka i w rezultacie dokonałem pewnych makabrycznych odkryć.

Przedemną, po lewej, lodowate światło wskazywało okno krematorium. Zbliżyłem się do niego z przekonaniem - słusznym, jak się okazało - że zaraz ujrzę coś dużo dziwniejszego i znacznie gorszego niż to, co Bobby Halloway i ja zobaczyliśmy w październikową noc, kiedy mieliśmy po trzynastu latach...

36

37

Pietnaście lat temu miałem fioła na punkcie potworności; jak każdy chłopiec w moim wieku byłem zafascynowany misterium i niesamowitą wspaniałością śmierci. Bobby Halloway i ja, już wtedy przyjaciele, uznaliśmy za dowód odwagi buszowanie po posesji przedsiębiorcy pogrzebowego w poszukiwaniu czegoś obrzydliwego, upiornego, wstrząsającego. Nie pamiętam, czego się naprawdę spodziewaliśmy lub co mieliśmy nadzieję znaleźć. Kolekcje ludzkich czaszek? Hustawki z kości? Tajne laboratorium, w którym zwodniczo normalnie wyglądający Frank Kirk i jego zwodniczo normalnie wyglądający syn Sandy ściągali pioruny z burzowych chmur, by reanimować naszych nieżywych sąsiadów i wykorzystywać ich jako niewolników do kuchni i sprzątnięcia? Być może spodziewaliśmy się, że w jakimś złowrogim, najezonym jeżynami kacie rozanego ogrodu przypadkiem trafimy na świątynie bostw zła, Cthulhu i Yog-Sothoth. W tamtych czasach pozeralismy H. P. Lovecrafta.

Bobby mówi, że byliśmy szurniętymi gówniarzami. Ja na to, że pewnie tak, ale zaden z nas nie był bardziej szurnięty niż inni chłopcy. Bobby mówi, że może, ale inni chłopcy stopniowo stawali się coraz mniej szurnięci, podczas gdy my stawaliśmy się coraz bardziej.

Tu nie zgadzam się z Bobbym. Nie wierzę, że jestem bardziej szurnięty niż ktokolwiek, kogo poznałem w życiu. Prawde mówiąc, jestem o cholere i trochę mniej szurnięty od niektórych. Odnosi się to również do Bobby'ego. Ale ponieważ on chlubi się tym, że jest szurnięty, domaga się, żebym wierzył w to samo w moim przypadku, i szczycił się tym. Upiera się, że jest szurnięty! Mówi, że przyznając się do tego, że jesteśmy szurnięci, i wielbiąc to, jesteśmy w głębokiej harmonii z naturą - ponieważ natura też jest porządnie szurnięta.

W każdym razie pewnej październikowej nocy za garażem zakładu pogrzebowego Bobby Halloway i ja odkryliśmy okno krematorium. Zwabило nas niesamowite światło pulsujące za szybą.

Okno osadzono wysoko, a my nie byliśmy na tyle duzi, aby zajrzeć do środka.

Bezgłośnie jak komandosi na zwiadzie w nieprzyjacielskim obozie porwalismy z patia tekową ławkę i zanieslimy ją za garaż, pod migocące okno.

Stojąc ramie w ramie na ławce mogliśmy rozpoznać miejsce zdarzenia. Od wewnątrz okno zasłonięte lovełorem, gruba nitka żaluzji, nitki na prowadnicach, ale ktoś zapomniał obrócić listwy, tak że wyraźnie widzieliśmy Franka Kirka i jego pomocnika przy pracy. Poza pokojem światło nie było na tyle ostre, aby zrobić mi krzywdę. Przynajmniej tak sobie myślałem, przyciskając nos do szyby. Chociaż nauczyłem się być szczególnie ostrożnym chłopcem, niemniej jednak byłem chłopcem i uwielbiałem przygody oraz ceniłem koleżeństwo; więc byłem gotów zaryzykować ślepotę i przeczyc te chwile z Bobbym Hallowayem.

Na stalowym wozku w pobliżu okna leżał trup starszego mężczyzny. Spod przescieradła wystawała tylko zniszczona

wiały takie wrażenie, jakby umarł w porywistym wietrze. Jednakże sadząc po woskowej szarej skorze, zapadniętych policzkach i głęboko spekanych wargach, uległ nie wichurze, ale długiej chorobie. Nie rozpoznaliśmy spopielalej i wyniszczonej postaci, chociaż może za życia znaleźliśmy tę osobę. A jeśli byłby to ktoś widywany tylko przelotnie, stałby się teraz równie przerażający, choć może nie obiektem aż takiej chłopięcej fascynacji i mrocznego zachwytu. Dla nas, jako że mieliśmy już trzynaste lat, i byliśmy z tego dumni, najbardziej przyciągająca, wybitna i cudowna cecha trupa była właśnie ta najbrzydliwsza. Fascynowało nas jedno oko zamknięte, ale drugie szeroko otwarte, wybaluszone, rozdęte tetniczym gwiazdzistym krwotokiem.

Hipnotyzowało nas.

Trupioslepe, jak namalowane oko lalki, przewiercało nas na wskros.

Porażeni bezsłowną grozą, nie mogli powstrzymać się od szeptów, byliśmy parą zwyrodniałych sprawozdawców sportowych, prowadzących barwny komentarz, przyglądając się, jak Frank i jego pomocnik szykowali piec w kacie. Musiało być tam ciepło, gdyż obaj zdjęli krawaty i podwineli rękawy koszul, a drobne krople potu wystąpiły im na twarzach, jakby nałożyli paciorkowe woalki.

Na dworze była łagodna temperatura październikowej nocy, a my trzęśliśmy się; a widząc swoją gęsia skorokę dziwililiśmy się, że para nie bucha nam z ust białymi klebami jak przy oddychaniu na mrozie.

Mężczyźni zwinęli płotno z trupa i zaparło nam dech w chłopięcych piersiach na widok okropności starczego wieku i zubożającej choroby. Ale zaparło nam dech również to samo słodkie przerażenie, jakie czuliśmy rozkoszując się kasetami wideo w rodzaju "Nocy żywych trupów".

Gdy ciało włożono do kartonowego pudła i wsunięto w niebieskie płomienie pieca, złapałem Bobby'ego za ramię, a on zacisnął mi spocona dłoń na karku i trwaliliśmy tak w kurczowym uścisku, jakby jakaś nadnaturalna moc mogła nas porwać i roztrzaskując okno cisnąć do środka, w ogień z tym martwym człowiekiem.

Frank Kirk zatrzęsł piec. Nawet przez zamknięte okno huk drzwiczek był na tyle głośny, ostateczny, że odczuliśmy go niemal każda komórka ciała.

Później, gdy zaniesliśmy ławkę na patio i uciekliśmy z tamtej posesji, siedliśmy na miejscach pod gołym niebem na boisku footballowym, należącym do liceum. Nie toczył się żaden mecz, więc nie paliły się światła i byłem tam bezpieczny. Grzmociliśmy kole i wsuwaliśmy chrupki ziemniaczane, które Bobby zakupił po drodze w otwartym do pozna spożywczym.

-To było superowe, to było niesamowicie superowe - oświadczył z podnieceniem Bobby.

-To było przesuperowe - zgodziłem się.

-To było bardziej superowe niż karty Neda. Ned to przyjaciel, który zaledwie poprzedniego sierpnia przeniósł się z rodzicami do San Francisco. Otrzymał talie kart do gry - jak, nigdy nie ujawnił - z kolorowymi zdjęciami naprawdę niesamowitych nagiętych kobiet - pięćdziesiąt dwie slicznotki.

-Niewatpliwie bardziej superowe niż karty - zgodziłem się. - Bardziej superowe niż wypadek, wtedy kiedy ta dupna cysterna przewróciła się i wybuchła na drodze.

-Jezu, uhm, ekstra bardziej superowe niż tamto. Bardziej superowe niż wtedy, kiedy Zacha Blenhiema ugryzł ten bull terrier i założono mu na ramię dwadzieścia osiem szwów.

-To oko! - powiedział Bobby wspominając gwiazdzisty wylew.

-O, Boże, to oko!!!

-W de-se-czke!

Wysaczyliśmy co do ostatniej kropli, gadaliśmy i śmieliliśmy się bardziej niż kiedykolwiek przedtem w jakakolwiek noc.

Co z nas za niesamowite istoty, kiedy mamy trzynastcie lat.

Tam, na najtanszych miejscach stadionu wiedziałem, że ta makabryczna przygoda zawiązała węzeł naszej przyjaźni, którego nic i nikt nie rozwiąże. Byliśmy przyjaciółmi już dwa lata, ale tamtej nocy nasza przyjaźń stała się silniejsza niż na początku wieczoru. Przeżyliśmy potężne twórcze doznanie - i czuliśmy, że to zdarzenie było głębsze, niż wydawało się z pozoru, głębsze, niż chłopcy w naszym wieku mogli pojąć. W moich oczach Bobby jeszcze więcej zyskał, podobnie jak ja w jego oczach, ponieważ dokonaliśmy tego zuchwałego wyczynu.

Potem miałem odkryć, że tamten moment był tylko preludium. Nasza prawdziwa wieź miała powstać drugiego tygodnia grudnia, kiedy ujrzelismy coś nieskonczone bardziej niepokojącego niż trup z krwawym okiem.

Teraz, po piętnastu latach, pomyślałbym, że jestem zbyt dorosły na takie przygody i zbyt uległy poczuciu przyzwoitości, by blaknąć się po posesjach innych ludzi równie beztrosko jak zdarza się to trzynastoletnim chłopcom. A jednak, no proszę, kolejny raz ostrożnie deptałem warstwy zeschniętych eukaliptusowych liści i przystawiałem twarz do fatalnego okna.

Roleta, chociaż pozółkła z czasem, wydawała się ta sama, przez którą ja i Bobby zerkaliśmy tak dawno temu. Listwy ustawiono skosnie, ale odległości między nimi były na tyle szerokie, że pozwalały oglądać całe krematorium - a ja byłem na tyle wysoki, że mogłem to zrobić bez stawiania na lawce z patio.

Sandy Kirk i jego pomocnik pracowali w pobliżu urządzenia kremacyjnego Power Pak II. Mieli na sobie maseczki chirurgów, gumowe rękawiczki i jednorazowe plastikowe buty.

41

W kowe fartuchy. Na wozku w pobliżu okna był jeden plastikowy worek na ciało, z rozsuniętym zamkiem błyskawicznym - rozarty jak dojrzały strączek fasoli - z niezwykłym człowiekiem w środku. Najwidoczniej był to autostopowicz, którego miano spalić dając mu nazwisko mojego ojca. Miał około metra siedemdziesięciu pięciu, osiemdziesięciu kilo wagi. Z powodu razów, jakie otrzymał, nie mogłem ocenić wieku. Twarz była groteskowo zniekształcona. Początkowo myślałem, że oczy ma zakryte czarnymi krwawymi skrzepami. Potem zdałem sobie sprawę, że stracił obie gałki oczne. Wpatrywałem się w puste oczodoły.

Pomyślałem o starcu z pękniętą gwiazdzistą siateczką naczyń w oku i o tym, jak tamto przeraziło mnie i Bobby'ego. Tamto to było nic w porównaniu z tym. Tamto było bezosobowym czynem natury, podczas gdy to - owocem ludzkiej podłości.

W październiku i listopadzie Bobby Halloway i ja od czasu do czasu wracaliśmy pod okno krematorium. Przekradając się w ciemności, unikając zdradliwych pułapek winorośli ścielającej się po ziemi, wdychaliśmy w płuca zapach pobliskich eukaliptusów, który do dziś identyfikuje ze śmiercią. Podczas tych dwóch miesięcy Frank Kirk przeprowadził czterdzieści pogrzebów, ale tylko trzy zmarłych skremowano. Innych zabalsamowano i pochowano tradycyjnie.

Bobby i ja załóżmy, że balsamiarnia nie miała okien, przez które moglibyśmy podglądać. Najświętsze sanktuarium było "tam, gdzie robią mokra robotę", jak nazywał to Bobby - w suterenie, bezpieczne przed takimi szpiegami jak my. W skrytości ducha czulem ulgę, że nasze podglądactwo ograniczy się do suchej roboty Franka Kirka.

Byłem przekonany, że Bobby też czuje ulgę, chociaż udawał głębokie rozczarowanie.

Pozytywną stroną tego wszystkiego było to, że Frank balsamował ciała za dnia, ograniczając kremowanie do godzin nocnych, dzięki czemu mogłem swobodnie podpatrywać.

Chociaż potężny piec kremacyjny, mniej wyrefinowany niż Power Pak II, używany obecnie przez Sandy'ego, pozbywał się ludzkich szczątków w bardzo wysokiej temperaturze i miał urządzenia filtrujące, cienki dym uchodził z komina. Frank dokonywał kremacji noca tylko z szacunku dla pograżonych w żal członków rodziny lub przyjaciół, którzy za dnia mogliby spojrzeć na wzgórze, ku zakładowi, z dolnej części miasteczka i ujrzeć, jak pozostałości ich bliskich uciekają ku niebu watłymi szarymi smugami.

Ojciec Bobby'ego, Anson, wydawał "Moonlight Bay Gazette". Bobby wykorzystywał swoje koneksje i zawsze od kogoś z zespołu redakcyjnego potrafił wyciągnąć najświeższe informacje o zgonach wskutek wypadków lub z przyczyn naturalnych. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy Frank Kirk ma świeży "towar", ale nie byliśmy pewni, czy zamierza go zabalsamować, czy skremować. Natychmiast po zachodzie słońca jechaliśmy rowerami w pobliże zakładu pogrzebowego, a potem potajemnie wchodziliśmy na teren posesji, czekając przy oknie krematorium na rozpoczęcie całego procesu, lub musieliśmy uznać, że zmarły nie będzie kremowany.

Pan Garth, szescdziesiecioletni prezes First National Bank, zmarl na atak serca pod koniec pazdziernika. Przygladalismy sie, jak odszedl w plomienie. W listopadzie ciesla Henry Aimes spadl z dachu i skrecil sobie kark. Chociaz Aimes byl skremowany, Bobby i ja nie podpatrzyliśmy zadnej czesci zabiegu, poniewaz Frank Kirk lub jego pomocnik pamietali o obroceniu do konca listew zaluzji.

Jednakze drugiego tygodnia grudnia byly tylko pochylone, gdy przyszliśmy na kremacje Rebeki Acquilain. Byla zona Toma Acquilaina, nauczyciela matmy w gimnazjum, do ktorego uczeszczal Bobby, ale ja nie. Pani Acquilain, miejska bibliotekarka, miala zaledwie trzydziestci lat, byla matka piecioletniego chlopca imieniem Devlin.

Lezac na wozku, zaslonieta od szyi w dol, pani Acquilain byla tak piekna, ze widok jej twarzy byl nie tylko rozkosza dla naszych oczu, ale ciezarem dla naszych piersi. Nie mogliśmy oddychac. Zapewne poprzednio zdawalismy sobie sprawe, ze jest piekna kobieta, ale nigdy do niej nie wzdychalismy. Byla przeciez bibliotekarka i matka, podczas gdy my mielismy po trzynastcie lat i nie w glowie nam bylo zachwycanie sie uroda tak cicha jak swiecaca gwiazda spadajaca z nieba i czysta jak krople deszczu. Nasz wzrok przyciagaly kobiety, ktorych nagie ciala ogladalismy na kartach do gry. Czesto patrzyliśmy na pania Acquilain, ale nie dostrzegalismy jej. Smierc nie zdazyla zniszczyc jej urody, gdyz zgon nastapil szybko. Defekt arterii w mozgu, bez watpienia bedacy od dzieciństwa, ale nigdy niepodejrzewany, doprowadzil do specznienia i pekniecia naczynia krwionosnego. Odeszla w ciagu kilku godzin.

Gdy lezala na wozku w zakladzie pogrzebowym, miala zamkniete oczy. Twarz emanowala spokojem. Zdawala sie spac; nawet miala lekko uniesione kaciki ust, jakby snilo jej sie cos milego. Gdy dwaj mezczyzni zdjeli przykrycie, by przelozyc pania Acquilain do kartonowego pudla, a potem do pieca, ujrzelismy szczuple, cudownie proporcjonalne cialo, tak piekne, ze zadne slowa nie moglyby go opisac; pieknosc wykraczajaca poza erotyke; nie przygladalismy sie kobiecie z upiornym pozadaniem, ale z zachwytem i czciami.

Wygladala tak mlodo.

Wygladala na niesmiertelna.

Pracownicy zakladu wsuneli ja do pieca z, jak sie wydawalo, nadzwyczajna lagodnoscia i szacunkiem. Po zamknieciu drzwiczek Frank Kirk zdarl rekawiczki i otarl jedno oko, a potem drugie. To nie pot scieral.

Podczas innych kremacji Frank i jego pomocnik gadali prawie bez przerwy, chociaz nie slyszelismy dokladnie, czego dotyczyly rozmowy. Tej nocy prawie sie nie odzywali.

Bobby i ja tez bylismy cicho.

Odnieslismy lawke na patio. Wylizgnelismy sie z posesji Franka Kirka. Wsiedlismy na rowery i przejechalismy najciemniejszymi ulicami Moonlight Bay. Poszlismy na plaze.

O tej porze szeroki piaszczysty pas byl opuszczony. Za nami, tak zniewalajace jak skrzydla Feniksa, rozlozone na wzgorzach, migotaly przez krolestwo drzew swiatla miasteczka. Przed nami lezal atramentowy przestwor Pacyfiku. Przybrzezna fala byla lagodna. Rozdzielona dlugimi pasmami spokojnej wody, niska, toczyła sie do brzegu, leniwie kladac fluorescencyjne grzywy, ktore odrywaly sie od lewej do prawej, jak biala otoczka ciemnego miesiwa oceanu.

Siedzialem na piasku, przygladalem sie fali i myslalem o tym, jak bliskie sa swieta Bozego Narodzenia. Za dwa tygodnie. Nie chcialem myslec o swietach, ale ich blask i dzwiek dzwonek natretnie owladnely moja wyobraznia. Nie wiedzialem, o czym mysli Bobby. Nie pytalem. Nie mialem checi na rozmowe. On tez nie.

Ponuro zastanawialem sie, jakie swieta bedzie mial maly Devlin Acquilain bez matki. Moze byl jeszcze zbyt dziecinny, aby zrozumiec, co znaczy smierc. Ale niewatpliwie Tom Acquilain, jej maz, dobrze to rozumial. Niemniej jednak zapewne postawi choinke dla Devlina.

Jak znajdzie sily, by zawiesic bombki na galazkach?

W koncu pierwszy odezwal sie Bobby. Rzekl po prostu:

-Chodźmy popływać.

Ten grudzień należał do łagodnych, ale nie był to rok, w którym El Niño - ciepły prąd z południowej półkuli - zbliżał się do naszego brzegu. Temperatura wody nie zachęcała, w powietrzu czuło się chłód.

Bobby rozebrał się i nie chcąc zapisać ubrania położył je starannie na zmierzwionych wodorostach, wyrzuconych wcześniej na brzeg i wysuszonych przez słońce.

Zrobiłem to samo.

Nadzie weszliśmy do czarnej wody, a następnie popłynęliśmy przeciwnie do kierunku pływu. Za bardzo oddaliliśmy się od brzegu. Skierowaliśmy się na północ i płynęliśmy równoległe do wybrzeża. Łagodne ruchy rak. Minimum pracy nog. Sprawnie poddawaliśmy się kołysaniu fal. Odplynęliśmy na niebezpieczną odległość. Byliśmy znakomitymi pływakami - chociaż wtedy lekkomyślnymi.

Zimna woda po jakimś czasie przestaje dokuczać pływakowi; w miarę jak obniża się ciepłota ciała, różnica między temperaturą skóry i wody staje się mniej zauważalna.

Co więcej, wysiłek daje wrażenie gorąca. Może powstaje uspokajające, choć nieprawdziwe, wrażenie ciepła, co jest groźne.

Jednak ta woda stawała się coraz zimniejsza, tak szybko jak opadała temperatura naszych ciał. Nie osiągnęliśmy poziomu komfortu - nieprawdziwego czy autentycznego.

Wypłynawszy za daleko na północ, powinnismy wrócić do brzegu i mając choć trochę zdrowego rozsądku, przeszlibymy pieszo do wzgórka suchych wodorostów, na którym złożyliśmy ubrania. My natomiast jedynie zatrzymaliśmy się w pozycji pionowej,

42

43

głęboko wdychaliśmy drżącymi pierściami zimne powietrze, tak że pozbyliśmy się cennego ciepła. Potem jednocześnie, bez słowa, zwróciliśmy się w kierunku południowym i popłynęliśmy z powrotem tą samą drogą, która przybyliśmy, nadal będąc zbyt daleko od brzegu. Konczyny zaczęły mi ciążyć. Słabe, ale budzące lek skurcze ścisnęły żołądek.

Dudnienie walczącego z prądem serca było tak mocne, że lada chwila spodziewałem się, iż ściągnie mnie głęboko pod powierzchnię. Chociaż napływające fale były równie łagodne jak wtedy, kiedy weszliśmy do wody, bardziej dawały się nam we znaki. Gryzły zeby lodowatej białej piany.

Płynęliśmy ramie w ramie, pilnując, by nie stracić się z oczu. Zimowe niebo nie dawało nam pocieszenia, światła miasteczka były tak dalekie jak gwiazdy, morze stało się wrogiem. Mielismy tylko naszą przyjaźń, ale wiedzieliśmy, że w chwili kryzysu jeden umrze próbując ratować drugiego.

Wróciwszy do miejsca startu ledwo mieliśmy siły wyjść z wody. Wyczerpani, targani mdłościami, bleśdź niż piasek, dygocząc gwałtownie wypluwalismy kwaśny smak morza.

Bylismy tak zziębnięci, że nie potrafiliśmy sobie już wyobrazić żaru pieca krematoryjnego. Nawet po tym, jak się ubralismy, nadal czulismy lodowate zimno i to było dobre.

Wyprawdziliśmy nasze rowery za piasek, przez trawiasty park, który okalał plażę, na najbliższą ulicę.

Kiedy wsiadałem na rower, Bobby zaklął:

-Cholera.

-Uhm - przytaknałem.

Rozjechalismy się do domów. Od razu poszliśmy do łozek, jakbysmy byli chorzy.

Spalimy. Snilimy. Życie trwało dalej.

Nigdy nie wróciliśmy do krematoryjnego okna.

Nigdy nie rozmawialiśmy o pani Acquilain.

Przez wszystkie następne lata Bobby i ja nadal oddalilibyśmy życie jeden za drugiego - i to bez wahania.

Jaki dziwny jest świat: to, co potrafimy tak bezpośrednio dotknąć, co jest tak realne dla naszych zmysłów - fascynująca budowa kobiecego ciała, własne mięśnie i kości, zimne morze i migotanie gwiazd - jest o wiele mniej rzeczywiste niż to, czego nie możemy dotknąć, posmakować, powachać lub zobaczyć. Widok rowerów i chłopców, którzy na nich jada, jest o wiele mniej prawdziwy niż to, co czujemy umysłem i sercem, mniej materialny niż przyjazn, miłość i samotność, niż to wszystko, co przetrwa znacznie dłużej niż świat.

44

45

Tej marcowej nocy rozciągającej się daleko w dół strumienia czasu dzieciństwa okno krematorium i scena za nim były o wiele bardziej realne, niż bym sobie tego życzył. Ktoś brutalnie pobił autostopowicza, powodując śmierć - a potem wydlubał mu oczy. Nawet gdyby morderstwo i podstawienie tego trupa w miejsce ciała mojego ojca miało sens, gdy wszystkie fakty były znane, po co wydlubywać oczy? Czy istniał jakiś logiczny powód, aby posyłać tego godnego miłości człowieka, ślepcę, we wszystkózerny ogień krematorium?

Czy też został okaleczony przez kogoś ogarniętego szalenczym, brudnym podnieceniem?

Myslałem o potężnym mężczyźnie z ogoloną głową i pojedynczym kolczykiem z perła. O jego szerokiej tepej twarzy. O oczach łowcy, czarnych i nieruchomych.

O zimnym jak metal głosie, chropowatym jak rdza.

Mozna było wyobrazić sobie tego mężczyznę czerpiącego przyjemność z zadawania bólu drugiemu człowiekowi, tnącego ciało w podobnie niedbały sposób, jak ktoś, kto leniwie struga galazkę.

Prawde mówiąc, w tym dziwnym nowym świecie, który pojawił się podczas moich przeżyć w piwnicach szpitala, łatwo było wyobrazić sobie, że sam Sandy Kirk okaleczył ciało; Sandy, równie przystojny i wymuskany jak model z czasopisma dla eleganckich panów; Sandy, którego drogi ojciec lkał podczas spalania Rebeki Acquilain. Być może oczy złożono w ofierze u stop świątyni - w odległym, zarosłym chaszczami kacie ogrodu rozanego - której Bobby'emu i mnie nigdy nie udało się odnaleźć.

Sandy i jego pomocnik przysunęli wózek do pieca. Zadzwoił telefon.

Gwałtownie odsunąłem się od okna, jakbym to ja był winny alarmowi.

Kiedy znowu zbliżyłem się do szyby, Sandy zsunał chirurgiczną maseczkę i unosił słuchawkę ściennego aparatu. Ton głosu przedsiębiorcy wskazywał zmieszanie, potem zaniepokojenie i gniew, ale przez podwojną szybę nie udało mi się zrozumieć słów. Odwiesił słuchawkę tak gwałtownie, że aparat mało nie spadł ze ściany. Ten kto był po drugiej stronie linii, znakomicie przetkał sobie uszy.

Zdzierając gumowe rękawiczki Sandy odezwał się nagle do pomocnika.

Wydawało mi się, że powiedział moje imię - i nie towarzyszył mu ton podziwu ani uczucia. Pomocnik, Jesse Pinn, przypominał lasicę: miał wąską twarz, rude włosy i ciemne piwne oczy, które mrużył, jakby w myślach obliżywał się na wspomnienie smaku mięsa zagonionego krowlika. Pinn zamykał worek na ciało.

Marynarka Sandy'ego wisiała na jednym z kółek po prawej stronie drzwi. Gdy ja zdjął, zdumiał mnie widok wiszącej tam również kabury, obciążonej bronią krótką.

Widząc, że Finn nie daje sobie rady z zamkiem worka, Sandy odezwał się ostro i wskazał okno. Pinn szybko ruszył w moim kierunku. Odskokczyłem od szyby. Zamknął na wpol otwarte listwy rolety.

44

45

Raczej mnie nie zobaczył. Świadom, że mój optymizm sięga poziomu subatomowego, zdecydowałem, iż mądrze zrobię, słuchając bardziej pesymistycznego głosu mojej natury i nie będę się ociągał z odejściem. Pospieszyłem między ścianą

garazu i kepa eukaliptusow, przez strefe nasiaknieta wonia smierci, w kierunku tylnego ogrodu. Opadle liscie trzeszczaly pod stopami tak ostro, jak porzucone skorupki slimakow. Na szczescie szept wiatru miedzy konarami, pelen gluchego szmeru morza, nad którym tak dlugo wedrowal, zagluszal, maskowal moje odejście. Zagluszal tez kroki kazdego, kto mnie sledzil.

Bylem przekonany, iz telefonowal jeden z sanitariuszy szpitalnych. Przejrzeli zawartosc walizki, znalezi portfel ojca i wysnuli wniosek, ze musialem byc obecny w garazu podczas zamiany cial. Po tej informacji Sandy zdal sobie sprawe, ze moje pojawienie sie u niego nie bylo tak niewinne, jak sie wydawalo. Zapewne wyjdzie na dwor z Jessem Pinnem sprawdzic, czy moze czaje sie gdzies na terenie posiadlosci.

Dotarlem wreszcie do ogrodu. Idealnie wystrzyzony trawnik wydawal sie szerszy i rozleglejszy, niz pamietalem. Ksiezyc w pelni nie swiecil jasnzej niz przed chwila, lecz kazda twarda powierzchnia, ktora poprzednio pochlaniala plynne swiatlo, teraz odbijala i wzmacniala je. Niesamowite srebrne migotanie rozpraszalo noc, pozbawiajac mnie ukrycia. Nie odwazylem sie przeciac patia. Prawde mowiac, zdecydowalem sie trzymac z dala od domu i podjazdu. Odejście ta sama droga, ktora przybylem, byloby zbyt ryzykowne.

Przemknalem trawnikiem do rozleglego ogrodu rozanego z tylu posesji. Dalej opadaly tarasy z rozleglymi rzędami kratownic zbiegajacych sie skosnie, liczne altany przypominajace tunele i labirynt przecinajacych sie sciezek.

Wiosna na naszym lagodnym wybrzezu nie trzyma sie kalendarza i debiutuje wczesniej; roze juz kwitly. Czerwone i o ciemniejszych barwach kwiaty wydawaly sie czarne w blasku ksiezycy, roze na zlowrogi oltarz; ale byly tez ogromne biale skupiska platkow, wielkie jak glowki niemowlat, sklaniajace sie do melodii kolysanki wietrzyka.

Za mna rozlegly sie meskie glosy. Niespokojny wiatr gluszyl je i rozpraszal.

Przykucnalem przy wysokiej kratownicy i spojrzalem do tyłu, przez pusty romb miedzy bialymi deszczulkami. Niezdarnie rozsunalem zwisajace pnacza z groznymi kolcami.

W poblizu garazu dwa swiatla latarek wyganiały cienie z krzewow, ploszyly zjawy przeskakujace konary, oslepialy szyby okien. Sandy Kirk poslugiwal sie jedna latarka. Niewatpliwie dzwigal bron, ktora wczesniej zauwazylem. Jesse Pinn tez mogl byc uzbrojony.

Kiedys przedsioborcy pogrzebowi i ich pomocnicy nie odpinali pasa z rewolwerem. Do tego wieczoru nie zdawalem sobie sprawy, ze nadal maja to w zwyczajuj.

Z zaskoczeniem ujrzałem trzecia latarkę. Jej swiatlo dochodzilo z za dalszego wegla domu. Potem zobaczylem nastepne. Czwarta. Piata.

47

Szosta. Nie mialem pojecia, kim moga byc nowi poszukiwacze ani tez skad pojawili sie tak szybko. Rozeszli sie tyraliera i w tym szyku zblizali sie idac przez ogrod, patio, obok basenu, w kierunku ogrodu rozanego, szperajac latarkami; zlowieszczce postaci, pozbawione rysow twarzy, jak demony w upiornym snie.

47

7

Pozbawieni twarzy przesladowcy, jak z sennych koszmarow, byli teraz realni. Ograd schodzil w dol piecioma szerokimi tarasami. Mimo obecności tych polek i lagodności stoku miedzy nimi bieglem zbyt szybko i nie opuszczala mnie obawa, ze potkne sie, przewroce i zlame noge. Altany i wyrastajace ze wszystkich stron kratownice przypominaly wypalone ruiny. Na nizszych poziomach pienily sie kolczaste powoje, zahaczajace o kratownice. Gdy mijalem je w pedzie, zdawaly sie wic, jak obudzone zwierzeta.

Koszmarna noc. Serce bilo mi tak mocno, ze gwiazdy zawirowaly. Mialem wrazenie, ze kopula nieba zeslizguje sie ku mnie, nabierajac lawinowego pedu.

Opadajac w kat ogrodu tylz wyczulem, co zobaczylem gorujace nade mna kute w zelazie ogrodzenie; wysokie na dwa i pol metra, blyszczace czernia farby migotalo w swietle ksiezycy. Wbilem piety w miekka ziemie i wyhamowalem, odbijajac sie o mocne prety, ale nie na tyle gwaltownie, by zrobic sobie krzywde. Nie narobilem tez halasu. Zakonczone grotami pionowe prety solidnie przyspawano do dranek; ogrodzenie nie odpowiedzialo loskotem, jedynie przez chwile zabrzeczalo.

Osunalem sie na ziemie.

Przesładował mnie gorzki smak. Usta miałem tak wyschnięte, że nie mogłem splunąć. Czulem klucie w prawej skroni. Pomacałem ją. Trzy kolce utkwiły w skórze.

Wyciągnąłem je. Podczas biegu w dół musiałem zahaczyć o dziką różę.

Może dlatego że oddychałem głębiej i szybciej, słodki zapach róż stał się zbyt słodki, przeszedł w smród. Czulem też znowu krem z filtrem, prawie tak mocno jak zaraz po nałożeniu - lecz teraz z kwaśną naleciałością, gdyż pot ożywił won kosmetyku.

Owładnęło mnie absurdalne, niemniej jednak nieodparte przekonanie, że szczęście poszukiwaczy wywieszy mnie. Chwilowo byłem bezpieczny tylko dlatego, że znajdowali się po nawietrznej.

Zacisnąłem dłonie na ogrodzeniu, którego drganie poczułem w rękach i kościach, spojrzałem w górę wzgórz. Grupa poszukująca przeszła z pierwszego tarasu na drugi.

Szescioswiatła cięła różę. Fragmenty kratownic, rozjaśnione na krótko, zniekształcone migotem świetlistych ostrzy, wylaniały się z ciemności jak kości zabitego smoka.

48

49

Poszukiwacze mieli w ogrodzie więcej miejsc do sprawdzenia niż na otwartej przestrzeni trawnika wyżej. A mimo to poruszali się szybciej. Wspiąłem się na ogrodzenie i przerzuciłem ciało na drugą stronę, starając się nie rozedrzyć kurtki lub nogawki spodni na ostro zakończonych pretach. Poniżej rozciągał się otwarty teren: ocienione doliny, równomiernie wspinające się szeregi wzgórz skapane światłem księżyca, szeroko rozrzucone i ledwo dające się rozróżnić czarne deby.

Dzika trawa, gesta od niedawnych zimowych deszczy, sięgnęła mi do kolan, gdy opadłem po drugiej stronie. Czulem zapach zielonego soku tryskającego spod butów.

Przekonany, że Sandy i jego towarzysze przeszukają cały teren posesji, skierowałem się w dół, byle dalej od zakładu pogrzebowego. całym sercem chciałem znaleźć się poza zasięgiem latarek poszukiwaczy, zanim dotrą do ogrodzenia.

Oddalałem się od miasteczka, co nie było dobre. Nie znajdę pomocy na pustkowiu.

Każdy krok na wschód zmniejszał moje szanse obrony. Sprzyjała mi pora roku. Jeśli pałace słońca lata wisiałoby już nad nami, wysoka trawa ozłociliby się jak pszenica i wyschła na wior. Mój ślad znaczyłby pas zdeptanych lodów.

Miałem nadzieję, że nadal zielona ląka będzie tak spreżyta, że zamknie się za mną, z grubszą zacierając ślady. Niemniej jednak uważny tropiciel najprawdopodobniej potrafiłby mnie wysledzić.

Okolo siedemdziesięciu metrów za ogrodzeniem, u stop pochyłości, ląka ustąpiła gestszemu zarosłom. Bariera grubej, sięgającej półtora metra periowej trawy mieszała się z kozibrodem lakowym i gestymi kepami innych roślin.

Szybko pokonałem te przeszkody i znalazłem się w szerokim na trzy metry rowie odwadniającym. Niewiele w nim rosło. Deszcz nie padał od dwóch tygodni i kamienne koryto stało suche.

Zatrzymałem się, by odetchnąć. Rozgarnąłem zarosła i wysoką trawę, sprawdzając, jak nisko do ogrodu rozanego zeszedli poszukiwacze. Cztery już wspinali się na ogrodzenie. Ich latarki rozciągały niebo, podskakiwały na metalowych pretach, dzgalały na chybili trafili ziemię, gdy pokonywali żelazną barierę. Byli niepokojąco szybcy i zwinni.

Czy wszyscy, jak Sandy Kirk, mieli broń?

Biorąc pod uwagę ich zwierzęcy instynkt, szybkość i upor, być może nie potrzebowali broni. Gdyby mnie złapali, chyba rozerwałiby mnie na strzępy gołymi rękami.

A czy wylupiliby mi oczy?

Kanal odpływowy - oraz bliskie mu zagłębienie - wspinął się na północ i opadał w dół na południowy zachód. Jako że byłem już na samym północno-wschodnim krancu miasteczka, nie znalazłbym pomocy kierując się wzwyż.

Udałem się na południowy zachód, idąc za obrzezonym zarosłami rowem.

Planowałem jak najszybciej znaleźć się na zamieszkałym terenie. W płytko wylobionym kanale rozjaśniona księżycem

skala Isnila miekko jak mleczny lod na zimowym stawie, wijac sie w nieznanne. Boczne kurtyny wysokiej trawy srebrzyly sie niczym wysztywnione szronem.

48

49

Po przejsci u okolo dwustu metrow znalazlem sie w miejscu, gdzie wzgorza zachodzily na siebie, w wyniku czego zaglebienie rozdzielalo sie. Niewiele zmniejszajac szybkoosc wybralem droge w prawo, bo tedy szybciej mozna bylo dojsc do Moonlight Bay. Niewiele oddalilem sie od skrzyzowania, gdy zauwazylem zblizajace sie swiatla. Sto metrow dalej zaglebienie terenu szlo w lewo, okrazajac trawiaste zboczce. Zrodlo szukajacej strugi swiatla znajdowalo sie jeszcze za zakretem, ale rozpoznałem latarki.

Nikt z ludzi z zakladu pogrzebowego nie wydostalby sie tak szybko z ogrodu rozanego, aby wyladowac tu przede mna. To musieli byc dodatkowi poszukiwacze. Usilowali wziac mnie w kleszcze. Czulem sie jak scigany przez pluton wojska, który czarodziejska moca wychynal z ziemi.

Stanalem jak wryty.

Rozwazalem, czy nie zejsc z golej skaly, by ukryc sie wsrod traw wysokosci czlowieka i gestych zarosli, ktore pokrywaly dalsze odcinki naturalnego rowu odpływowego. Jednakze chocbym nawet minimalnie zmierzwil roslinnosc, prawie na pewno zostawilbym slady tropicielom. Przedarliby sie zaroslami i dopadli mnie lub zastrzelili uciekajacego nagim zboczem.

Latarki za zakretem zaswiecily mocniej. Kepy wysokiej trawy zalsnily jak wyszukanie trawione wzory na srebrnych tacach.

Wycofalem sie do rozwidlenia i wybralem tym razem lewa odnoge. Po kilkuset metrach dotarlem do nastepnego rozwidlenia. Chcialem udac sie prawym ramieniem - w kierunku miasta. Z obawy, ze bedzie to zgodne z ich oczekiwaniami, skierowalem sie w lewo, chociaz w ten sposob oddalalem sie na bezludne wzgorza.

Gdzies z gory, od zachodu, dolecial mnie warkot silnika, poczatkowo odlegly, potem coraz blizszy. Stal sie tak potezny, jak dzwiek nisko przelatujacego samolotu. Nie byl to jekliwy klekot smiglowca, ale raczej ryk staloplatu.

Oslapijace swiatlo przemknelo po szczytach wzgorz, na lewo i prawo ode mnie, przecielo dokladnie zaglebienie, kilkadziesiat metrow nad moja glowa. Promien byl tak jasny, tak intensywny, ze zdawal sie miec ciezar i gestosc materii, jak rozszczepiony do bialosci wytrysk jakiejś rozpuszczonej substancji.

Szperacz duzej mocy. Zatoczyl luk i rozswietlil odlegle grzbiety wzgorz na wschodzie i polnocy.

Skad wziali takie wymyslne urzadzenie w tak krotkim czasie? Czyzby Sandy Kirk byl wielkim szefem antyrządowej milicji, majacym osrodek dowodzenia w tajnych bunkrach pelnych broni i amunicji, ukrytych gleboko pod zakladem pogrzebowym? Nie, nie wydawalo mi sie to prawdziwe. W dzisiejszych czasach takie zjawiska byly trescia prawdziwego zycia, biezacymi zdarzeniami w zyciu lecaczej w przepasci spolecznosci - podczas gdy to tu zdawalo sie niesamowite. Tu bylo terytorium, ktorego jeszcze nie zagarnela szalejaca dziko rzeka wieczornych wiadomosci.

50

Musialem sie dowiedziec, co dzieje sie wyzej. Bez rozpoznania bylby nie lepszy niz oglupialy szczur w doswiadczalnym laboratorium. Przedarlem sie przez zarosla na prawa strone zaglebienia, pokonalem nierowne dno i ruszylem dlugim zboczem, poniewaz wygladalo na to, ze tam jest zrodlo swiatla szperacza. Podczas mojej wspinaczki snop swiatla znow rozjasnil teren nade mna - faktycznie tryskal z polnocnego zachodu, tak jak myslalem - a nastepnie przesunal sie po raz trzeci, jasno rozswietlajac szczyt wzgorza, ku ktoremu sie kierowalem.

Po tym, jak przeczolgalem sie nastepne dziesiec metrow na rekach i kolanach, ostatnie pokonalem na brzuchu. U szczytu schowalem sie za sterczaca z ziemi zwierzala skala, ktora dawala jaka taka oslone, i ostrocznie wychylilem glowe.

Czarny hummer - a moze humvee, oryginalna wojskowa wersja pojazdu, zanim wzbogacono ja i skierowano do sprzedazy cywilnej - stal wzgorze dalej, bezposrednio pod oslona gigantycznego debu. Hummer, nawet slabo rozjasniony odbiciem wlasnych reflektorow, demonstrowal latwo rozpoznawalny profil: zwarte, potezne kombi z napędem na obie osie i gigantycznymi oponami, zdolne pokonac kazdy teren.

Teraz zobaczylem dwa szperacze. Oba byly sterowane recznie; jeden przez kierowce, drugi przez pasazera siedzacego z przodu. Soczewki reflektorow mialy wielkosc tacy na salatki. Biorac pod uwage ich moc, mogly byc tylko zasilane silnikiem hummera.

Kierowca zgasil swój reflektor i wrzucił bieg. Wielkie kombi wyprysnelo spod rozleglych konarów debu i przecielo wysoka lake, jakby pokonywalo autostrade, pokazujac mi tylne drzwi. Zniklo za wzgorzem, prawie zaraz wyjechalo z dolu i szybko wspielo sie na odlegle wzniesienie, bez wysilku pokonujac stok.

Piesi z latarkami i byc moze bronia palna trzymali sie zaglebiecia. Hummer patrolowal szczyty wzgorz usilujac przegonic mnie z wysokiego terenu w dol, gdzie musialbym wpasc w lapy poszukiwaczy.

Kim wy, ludzie, jestescie? - zamruczałem.

Szperacze wystrzelily z hummera, siekac dalsze wzgorza, oswietlajac morze traw czesane niestalym powiewem, który opadal i rosl. Fala po fali przetaczala sie po nierównym terenie i lizala wyspy - pnie debow.

Potem wielkie kombi znow ruszylo, rozkolysane na mniej goscinnym podlozu.

Przednie swiatla podskakiwaly, szperacz zamigotal dziko wzdluz grzbietu wzgorza, opadal nizej i podnosil sie. Pojazd skierowal sie na poludniowy wschod ku innemu punktowi obserwacyjnemu.

Zastanawialem sie, na ile te dzialania sa widoczne z ulic Moonlight Bay, nizszych wzgorz i rowninie blizszej oceanu. Mozliwe, ze tylko garstka ludzi bedacych na dworze akurat spogladala tam, gdzie dzialo sie zamieszanie, i mogla zwrocic na nie uwage. Ci, ktorzy dostrzegli szperacze, mogli zalozyc, ze to nastolatki lub chlopcy z college'u jezda zwyczajna terenowka, sledzac lisa lub sarne; uprawiaja nielegalny, lecz bezkrwawy sport tolerowany przez wiekszosc ludzi.

50

Niebawem hummer mial wrocic lukiem do mnie. Oceniajac tor poszukiwan, mogl zjawic sie na tym wzgorzu po kolejnych dwóch etapach. Zszedlem w dol wzgorza, do zaglebiecia, z ktorego wydrapalem sie w gore; dokladnie tam, gdzie chciano mnie wpakowac. Nie mialem lepszego wyboru.

Do tej pory bylem pewien, ze uciekne. Teraz moja pewnosc siebie oslabla.

52

53

8

Przedarlem sie przez trawe do rowu odpływowego i szedlem dalej w kierunku, który obrałem, zanim szperacze wygonily mnie na wzgorze. Zatrzymalem sie dopiero po kilku krokach, zaskoczony, ze cos o swietliscie zielonych slepiach stoi na szlaku. Kojot!

Te przypominajace wilka, ale mniejsze, z wezszym pyskiem niz ich wieksi kuzyni stwory o zmierzwionej sierści mogly byc grozne. W miare okrazania przez cywilizacje mordowaly domowe zwierzeta w, zdawaloby sie, bezpiecznych przydomowych ogrodach dzielnic willowych niedaleko otwartych wzgorz. Od czasu do czasu slyszalo sie nawet o kojocie, który porwal i uniosl dziecko, jesli ofiara byla odpowiednio mala.

Chociaz doroslych atakowaly rzadko, nie moglbym polegac na ich powsciagliwosci lub moim wyzszyim wzroscie, gdybym spotkal sfore - lub nawet pare - na ich terenie.

Moje nocne widzenie nadal nie bylo najlepsze po oslepiajacym blasku szperaczy i minela chwila napiecia, zanim dostrzeglem, ze zielone slepia sa zbyt blisko osadzone, by mogly nalezec do kojota. Co wiecej, jesli zwierze nie przywarowalo z torsem przy ziemi, to kierowalo na mnie grozny wzrok ze zbyt niskiej pozycji; a wiec to nie mogl byc kojot.

Gdy dostosowalem wzrok do ksiezycowego swiatlocienia, ujrzałem, ze stoi przed mna cos tak niegroznego jak kot. Nie kuguar, duzo grozniejszy niz kojot i bedacy ewentualnie powodem przerazenia, lecz zwyczajny kot domowy; bladopopielaty lub jasnobezowy - nie do ustalenia w mroku.

Wikszosc kotow nie jest glupia. Nawet obsesyjnie zajete pogonia za mysza lub mala pustynna jaszczurka nie zapuszczaja sie gleboko na terytorium kojotow.

Gdy ujrzałem wyrazniejszy obraz tego konkretnego przedstawiciela gatunku, wydawal sie szybszy i bardziej czujny niz inni. Siedzial wyprostowany, przekrzywiwszy pytajaco leb, postawilwszy uszy i przygladal mi sie bacznie.

Gdy zrobilem krok przed siebie, kot wstal. Po kolejnym kroku odwrocil sie i pomknal posrebrzona ksiezycem sciezka. Znikl

w ciemności. Gdzieś tam znów ruszył hummer. Jego grzechot i warkot szybko rosły.

52

53

Poszedłem. Zanim pokonałem sto metrów, silnik hummera przestał ryczeć, ale pracował w pobliżu na wolnych obrotach. Odgłos mechanizmu przypominał powolne, głębokie dyszenie. Słepia reflektorów, jak groźnego drapieżnika, przeczesywały noc w poszukiwaniu ofiary. Dotarłem do następnego rozwidlenia zagłębienia i przekonałem się, że kot czeka na mnie. Siedział na krzyżowce nie opowiadając się za żadnym kierunkiem.

Gdy ruszyłem w lewo, kot pomknął na prawo. Zatrzymałem się po kilku krokach... i skierował ku mnie swoje latarki ślepi. Musiał być doskonale świadomy okrażających nas zewsząd poszukiwaczy, nie tylko hałasliwego hummera, ale i pieszych. Jego wyostrzone zmysły mogły nawet wyczuć wydzielane przez nich feromony agresji, zapowiedź gwałtu. Równie chętnie jak ja unikałby owych ludzi. W tych warunkach zrobiłbym lepiej wybierając drogę ucieczki zgodną z instynktem zwierzęcia, a nie polegając na swoim.

Pracujący na luzie silnik hummera nagle zagrzmiał. Twardy loskot odbijał się od ścian zagłębienia, tak że pojazd zdawał się zbliżać i równocześnie błyskawicznie oddalać. W tej burzy hałasu przez chwilę nie mogłem skupić myśli.

Potem zdecydowałem się iść drogą kota.

Gdy odwróciłem się od lewej odnogi rozwidlenia, hummer zaryczał za szczytem wzgórza z lewej strony zagłębienia, w którą o mało co nie wszedłem. Przez chwilę zawisł w powietrzu, jakby nieważki w rozpadlinie czasowej, reflektory - bliźniacze liny prowadzące cyrkowego akrobata, szperacz wbity prosto w czarne płotno namiotu niebios.

Czas przeskoczył swoje puste złącze nerwowe i popłynął dalej. Hummer opadł w przód.

Przednie koła gruchnęły o zbocze, tylne przeskoczyły urwisko. Koła splunęły grudami ziemi i trawy. Pognął w dół.

Jeden z mężczyzn w środku wrzasnął z ucieszy, drugi rozesmiał się. Rozkoszowali się polowaniem.

Gdy wielki kombi zjechał zaledwie pięćdziesiąt metrów przede mną, kierowany ręcznie szperacz omiótł zagłębienie. Rzuciłem się na ziemię w poszukiwaniu osłony.

Skaliste podłoże było piekłem dla koci i poczułem, jak okulary przeciwsłoneczne pekają mi w kieszeni. Zerwałem się na nogi, a snop światła tak jasnego, jak piorun rozszczepiający dąb, przeleciał z sykiem po miejscu, w którym przed chwilą się znajdowałem.

Zwinałem się ugodzony odblaskiem, zmrużyłem oczy i zobaczyłem, że szperacz drży, a potem mknie na południe. Hummer nie zbliżył się do mnie.

Mogłem pozostać, gdzie byłem, na rozwidleniu szlaków, mając za plecami najbardziej stromy odcinek wzgórza, odczekać, aż hummer odjedzie, nie ryzykować spotkania z nim w następnej dolince. Jednak gdy cztery latarki zamrugwały z powrotem na szlaku, którym zmierzałem do tej pory, już się nie wahalem. Byłem poza zasięgiem świateł tamtych ludzi, ale zbliżali się truchtem i groziło mi bezpośrednie zagrożenie.

54

55

Gdy obszedłem wzgórze i wkroczyłem do zachodniego zagłębienia, kot nadal tam był, jakby czekał na mnie. Zaprezentował mi swój ogon i odbiegł, chociaż nie tak szybko, abym stracił go z oczu. Byłem wdzięczny losowi, że mam pod stopami skałę, na której nie mogłem zostawić śladów, gdy nagle z przerażeniem stwierdziłem, że tylko fragmenty polamanych okularów zostały mi w kieszeni. Biegnąc pomacałem kieszeń, wyczuwając zgiety nauszniak i ostre kawałki szkła. Reszta musiała rozproszyć się w miejscu mojego upadku, na rozwidleniu szlaków.

Czterech poszukiwaczy na pewno dojrza polamany plastik i szkło. Rozdziela siły, po dwóch na każde zagłębienie, popędza za mną szybciej i z większą zajądlnością niż do tej pory, zdopingowani tym dowodem bliskości swojej zdobyczy.

Hummer rozpoczął kolejny wyjazd na górę, po drugiej stronie wzgórza, z dolinki, w której ledwo uniknałem szperacza. Ryk silnika stał się wyższy i głośniejszy. Gdyby kierowca zatrzymał się na tym trawiastym wzgórzu i jeszcze raz przepatrzył teren, mogłbym uciec pod nim, niezauważony. Gdyby jednak pojechał wzdłuż stoku, do nowej dolinki, mogłbym nadziei się

na reflektory lub zostac przyszpilony szperaczem.

Kot pobiegł i ja pobieglem.

W miare jak zagłębienie opadalo między czarne wzgorza, rozszerzalo sie bardziej niz poprzednio, a skalne koryto posrodku tez roslo. Wysoka trawa i inna roslinnosc jezylly sie gesciej wzdluz tej kamiennej sciezki, wyraźnie nawadniane wieksza fala z burzowych odpływow, ale rosly zbyt daleko od srodka, by rzucic na mnie nawet slaby cien; bylem calkowicie odsloniety. Co wiecej, to szerokie obniżenie terenu bieglo prosto jak miejska ulica, inaczej niz poprzednio, wiec zadne zakrety nie chronily mnie przed scigajacymi, ktorzy mogli sie tu znalezc lada chwila.

Wygladalo na to, ze hummer kolejny raz zatrzymal sie na wzgorzu. Powiew wiatru stlumil jego warkot i jedynym odglosem byla praca mojej maszynyerii; charkot i rzezenie oddechu, dudnienie serca.

Kot mogl biec szybciej od mnie, mial wiatr w czterech lapach. Gdyby chcial, zniklby w sekunde. Jednakze przez kilka minut dostosowywal sie do mnie, trzymal sie stale o piec metrow w przodzie, bladopopielaty lub bladobezowy, zjawa kota w swietle ksiezycy. Jego oczy przypominaly plomienie swiec podczas seansu spirytystycznego.

Wlasnie gdy zaczalem sobie roic, ze to stworzenie swiadomie ratuje mnie z opresji, wlasnie gdy pozwolilem sobie na jedna z tych orgii antropomorfizacji, od ktorych Bobby'ego Hallowaya mozg swedzi, kot zwial. Nawet gdyby spieniony potok wypelnil ten wyschly odpływ burzowy, kotlujaca sie woda nie przegonilaby zwierzaka i po dwoch sekundach, maksimum trzech, polknela go noc.

Minute pozniej zobaczylem kota przy koncu tunelu. Bylismy w slonym koncu zagłębienia. Trawiaste zbocza wznosily sie skosem z trzech stron. Prawde mowiac, byly tak strome, ze nie moglem pokonac ich na tyle szybko, aby uniknac dwoch poszukiwaczy, ktorzy z pewnoscia za mna biegli. Znalazlem sie w pulapce.

54

55

Drewno unoszone przez wode, zbite kule zeschnietych chwastow i traw, szlam spietrzyly sie u konca odpływu. Spodziewalem sie, ze kot posle mi zlosliwy usmieszek swojego pobratymca z Cheshire, biale zeby zalsnia w ciemnosci. Ale nie. Skokami pokonal kupe smiecia, wslizgnal-wwiercil sie w jeden z niewielkich zalomow i znikl. To jednak byl odpływ! Dlatego wezbrana woda miala gdzie uciec, docierajac w to miejsce.

Pospiesznie wspialem sie po szerokiej na trzy metry i wysokiej na metr zbitej kupie odpadkow. Uginala sie, skrzypiala i trzeszczala, ale uniosla moj ciezar. Wszystko to zatrzymalo sie na stalowej kratce zamykajacej wlot, osadzonej w scianie wzgorza. Za krata byl betonowy sciek o srednicy mniej wiecej dwoch metrow, zakonczony wienczacymi przyporami. Wygladalo to na czesc systemu przeciwpowodziowego, który odprowadzal nadmiar wod burzowych poza wzgorza, pod autostrade wybrzeza Pacyfiku, w scieki pod ulicami Moonlight Bay i wreszcie do oceanu. Kazdej zimy brygady remontowe usuwaly smieci z kraty, aby udroznic przepływ wody. Wszystko wskazywalo na to, ze ostatnio nie pojawily sie tu.

W scieku zamiauczal kot. Wzmocniony glos odbil sie gluchym echem w betonowym tunelu. Przeswity stalowej kraty mialy kilkanascie centymetrow kwadratowych, wystarczajaco, by przepuscic zwinnego kota, ale nie mnie. Zamkniecie obejmowalo cala szerokosc otworu, od przypory do przypory, ale nie siegalo do samej gory.

Miedzy gora kraty a wygietym stropem ziala polmetrowa szczelina. Przerzucilem tamtedy nogi, zadowolony, ze krate obrzezono poprzeczna sztaba, gdyz inaczej poranilbym sie i nabil na pionowe prety.

Zostawilem za soba gwiazdy i ksiezyc. Stanalem plecami do kraty widzac absolutna czern. Musialem tylko lekko sie zgarbic, aby nie uderzyc glowa o strop. Won mokrego betonu i zeschniej trawy, calkiem mila, unosila sie z dolu. Ruszylem przed siebie szurajac nogami. Gładki spod scieku byl zaledwie lekko pochylony. Juz po kilku metrach zatrzymalem sie w obawie, ze wpadne nagle w wylot i skoncze martwy lub z polamanym kregoslupem.

Wyjalem zapalnizke z kieszeni dzinsow, ale mialem opory z zapaleniem. Swiatlo migocace wzdluz oblych scian byloby widoczne z zewnatrz.

Kot odezwal sie znowu. Przed soba widzialem tylko jego swiecace oczy. Sadszac po dzielacej nas odleglosci i kacie, pod ktorym patrzylem w dol na zwierzaka, podloze ogromnego scieku opadalo coraz niziej. Szedlem ostroznie w kierunku migocacych oczu. Gdy bylem blisko, stworzenie odwrocilo sie i stanalem jak wryty, straciwszy zdwojona latarnie. W chwile potem odezwal sie znow. Zielone swiatlo powrocilo i trwalo nieruchome.

Ruszylem, nie mogac przestac myslec o tym przedziwnym zdarzeniu. Wszystko, czego bylem swiadkiem od zachodu

oczami w krematorium, pogon z zakladu pogrzebowego - bylo niewiarygodne, ale w owej niesamowitosci nic nie dorownywalo zachowaniu tego malego krewnego tygrysa. A moze robilem po prostu z igly widly, przypisujac zwyczajnemu kotu domowemu swiadomosc mojej rozpaczliwej sytuacji, z ktorej faktycznie wcale nie zdawal sobie sprawy.

Moze.

Po omacku podeszedlem do kolejnej kupki smieci, mniejszej niz pierwsza.

W przeciwienstwie do poprzedniej byla wilgotna. Zmoczone odpadki zachrzescily pod moimi butami i uniosl sie z nich ostry smrod. Ostroznie macajac w powietrzu rekami sunalem w ciemnosci i przekonalem sie, ze smieci zatrzymaly sie na kolejnej kracie.

Wszystko to, co zdolalo przeplynac gora pierwszej kraty, utknelo tu.

Po tym, jak wspialem sie na te bariere i przeszedlem bez szwanku na druga strone, zaryzykowałem użycie zapalniczki. Ujalem plomyk w dlonie, ograniczajac i ukierunkowujac blask najbardziej, jak to bylo mozliwe.

Jasno rozjarzily sie slepia kota, teraz złote z platkami zieleni. Przez dluga chwile wpatrywalismy sie w siebie, a potem przewodnik - jesli nim byl - błyskawicznie odwrocil sie i pomknal poza zasieg mojego wzroku, w dol.

Poslugujac sie zapalniczka jak pochodnia, zmniejszyłem plomyczek do minimum i chroniac gaz szedlem w dol sercem przybrzeznych wzgorz, mijajac mniejsze doplywy przepustowe, zbiegajace sie do glownego kolektora. Doszedlem do brzegu szerokich betonowych stopni, na ktorych byly kaluze stojacej wody i cienkie powloki twardej szaroczarnej plesni, ktora prawdopodobnie pojawiala sie tylko w trakcie czteromiesiecznej pory deszczowej. Okryte piana stopnie byly zdradzieckie, ale dla bezpieczenstwa brygad remontowych umieszczono przy scianie stalowa poredz, obwieszona teraz ponura ozdoba w postaci zwiedlej trawy naniesionej przez ostatnia powodz.

Schodzac nasluchiwałem odglosow poscigu, glosow w tunelu za plecami, ale slyszalem tylko ukradkowe dzwieki, ktore sam wydawalem. Poszukiwacze zdecydowali, ze nie ucieklem kanalem lub tez tak dlugo wahali sie przed wejsciem do scieku, ze znacznie ich wyprzedzilem.

U dolu przelewu splywowego, na ostatnich dwoch szerokich stopniach nieomal wpadlem na - jak poczatkowo myslalem - okragle kapelusze wielkich grzybow, skupiska groznie wygladajacych porostow, rosnacych w pozbawionej swiatla wilgoci, niewatpliwie wyjatkowo trujacych. Zlapalem sie poredzy i minalem ksztalty wyrastajace na sliskim betonie. Nie chcialem ich dotknac nawet butem. Dotarlem do nastepnego odcinka. Odwrocilem sie, aby dokladniej ocenic przedziwne znalezisko.

Gdy zwiekszyłem plomien zapalniczki, odkryłem, ze przede mna leza nie grzyby, ale czaszki. Delikatne czaszki ptakow. Wydłużone czaszki jaszczurek. Wieksze czaszki mogly nalezec do kotow, psow, szopow, jezy, krolikow, wiewiorek...

Skraweczek ciala nie przylegal do tych trupich szczatkow, jakby wygotowano je do czysta; mnostwo bialych i bialozoltych w gazowym oswietleniu, moze setka. Zadnych kosci konczyn, zadnych klatek piersiowych, tylko czaszki. Ulozono je porzadnie jedna obok drugiej w trzech rzedah - dwa na dolnym stopniu, jeden na drugim od dolu - skierowane w dol, jakby nawet puste oczodoly mialy byc swiadkiem czegos. Nie mialem pojecia, co o tym myslec. Na scianach nie widzialem zadnych satanistycznych symboli, zadnego sladu makabrycznych ceremonii, jednak zbior niewatpliwie mial znaczenie symboliczne. Rozmiary swiadczyly o obsesji, a okrucienstwo, ktorego mozna bylo sie domyslac po zabijaniu i dekapitacji na tak szeroka skale, mrozilo krew w zylach.

Wspominajac fascynacje smiercia, ktora wladala mna i Bobbym Hallowayem, kiedy mielismy po trzynascie lat, zastanawialem sie, czy jakis chlopak, duzo bardziej pokrecony niz my, nie dokonal tego makabrycznego dzieła. Kryminolodzy twierdza, ze do wieku trzech, czterech lat wiekszosc wielokrotnych zabojcow zabija i torturuje insekty, w dzieciinstwie i mlodosci terminuje na zwierzetach, by wreszcie zdac egzamin mistrzowski na ludziach. Moze w tych katakumbach jakis szczegolnie zdeprawowany mlody morderca praktykowal przed dokonaniem dzieła zycia.

W srodku trzeciego, najwyzszego rzędu tych koscianych portretow Isnila czaszka wyraznie odcinajaca sie ksztaltem od innych. Wygladala na ludzka. Mala, ale ludzka. Jak czaszka niemowlecia.

Dobry Boze.

Mój głos wrócił do mnie echem odbitym od betonowych ścian.

Bardziej niż kiedykolwiek czułem się, jakbym wylądował w krajobrazie marzenia sennego, gdzie nawet takie rzeczy jak beton i kosci nie były bardziej namacalne niż dym. Nie dotknąłem malej ludzkiej czaszki - żadnej zresztą. Bez względu na to, jak wydawały się nierealne, wiedziałem, że okaza się zimne, sliskie i aż nazbyt twarde.

Lekając się, że spotkam kogoś, kto stworzył ten koszmarny zbiór, poszedłem w dół ścieku.

Spodziewałem się kolejnego przybycia kota o zadziwiających ślepiach, białych łapach muskających beton w pierzastej ciszy, lecz albo trzymał się daleko przede mną, poza zasięgiem wzroku, albo zawrócił w jeden z bocznych ciągów.

Partie pochylej betonowej rury następowały na zmianę z kolejnymi przelewami spływowymi i właśnie gdy zacząłem się martwić, że w zapalniczce zabraknie paliwa i nie trafię w bezpieczne miejsce, pojawił się i stopniowo urosł krąg szarego światła.

Przyspieszyłem kroku i okazało się, że żadna krata nie zamykała dolnego końca tunelu, który wychodził na otwarty kanał spływowy z rzecznych kamieni osadzonych w zaprawie murarskiej.

W końcu znalazłem się na znajomym terenie, płaskich połnocnych obrzeżach miasteczka, kilka przecznic od morza. Obok było liceum.

Po wilgotnym ścieku nocne powietrze pachniało nie tylko świeżo, ale i słodko.

Wysokie szczyty wypolerowanego nieba migotały białym diamentowym blaskiem.

58

59

9

Według cyfrowego zegara na fasadzie banku Wells Fargo była 19.56, co znaczyło, że ojciec umarł niecałe trzy godziny temu, chociaż wydawało mi się, że od chwili, w której go straciłem, minęły dni. Ta sama tablica informowała, że temperatura wynosi piętnaście stopni Celsjusza, ale wydawało mi się, że noc jest chłodniejsza. Za bankiem, przed następną przecznica była pralnia "Czas czystości". Były stamtąd jarzeniowe światła. W tej chwili żaden klient nie robił prania.

Z dolarowką w reku, zaciskając powieki w szparki, wszedłem do środka, dając się pochłonąć kwiatowym woniom proszków do prania i chemicznej ostrości wybielacza. Głowę trzymałem nisko, do maksimum wykorzystując ochronę daszka czapki.

Podbiegłem prosto do automatu rozmieniającego drobne. Wrzuciłem monetę, złapałem cztery wyplute ćwiercdolarówki i uciekłem.

Dwie przecznice dalej, przed urzędem pocztowym stał automat telefoniczny z przypominającymi skrzydła osłonami akustycznymi. Nad aparatem, na ścianie budynku było światło bezpieczeństwa w siatkowej obudowie.

Zawiesiłem czapkę na siatce, z góry zeskoczyły cienie.

Uznałem, że Manuel Ramirez nadal będzie w domu. Gdy zadzwoniłem, jego matka, Rosalina, powiedziała, że nie ma go od dobrych paru godzin. Miał podwójną zmianę, zastępując chorego koleżkę. Wieczorem pełnił obowiązki przy biurku; później, po północy, będzie na patrolu.

Wystukałem główny numer policji Moonlight Bay i spytałem dyżurnego, czy mogłbym rozmawiać z funkcjonariuszem Ramirezem.

Manuel, w mojej opinii najlepszy glina w mieście, jest ode mnie siedem i pół centymetra niższy, piętnaście kilo cięższy i dwanaście laty starszy. Z pochodzenia Meksykanin. Uwielbia baseball - ja nie entuzjazmuje się żadnym sportem, bo mam wyostrzony zmysł upływającego czasu i czuje opór przed spożytkowaniem cennych godzin na zbyt wiele pasywnych zajęć. Manuel woli muzykę country; ja - rocka. On jest zagorzałym republikaninem - ja nie interesuje się polityką. Jeśli chodzi o filmy, on uwielbia Abbotta i Costello - ja częściej niesmiertelnego Jackie Chana. Jesteśmy przyjaciółmi.

58

-Chris, dowiedziałem się o twoim tacie - powiedział Manuel, gdy znalazł się na linii. - Nie wiem, co powiedzieć.-Prawde mówiac, ja też.

-Zawsze nie wiadomo, co powiedzieć, prawda?

-Cos, co by się liczyło.

-Nic ci nie będzie?

Ku mojemu zaskoczeniu, nie mogłem dobyć słowa. Moja straszliwa strata nagle wydała mi się chirurgiczna igła, która przebiła gardło i przyszyła język do podniebienia.

Co dziwne, zaraz po śmierci taty potrafiłem odpowiedzieć bez wahania na to samo pytanie, które wówczas padło z ust doktora Clevelanda. Manuel był mi bliższy niż lekarz. Przyjazny wydelikaca i sprawia, że ból doskwiera.

-Wpadnij ktoregos dnia, kiedy nie będę na służbie - powiedział Manuel.

-Walniemy jakieś piwko, zjemy jakieś tamales, obejrzymy kilka filmów z Jackiem Chanem.

Mimo baseballu i muzyki country Manuel Ramirez i ja mamy wiele wspólnego. On bierze nocne zmiany, od północy do osmej, czasem dodatkowo wcześniejsza, jak w tę mroczną noc, kiedy brakuje personelu. Lubi noc, jak ja, ale pracuje też z konieczności.

Nocna zmiana jest mniej pożądana niż dzienna, więc stawki są wyższe. Co ważniejsze, może spędzać popołudnia i wieczory ze swoim ukochanym synem, Tobym. Szesnaście lat temu żona Manuela, Carmelita, umarła w chwili po wydaniu Toby'ego na świat.

Chłopiec jest łagodny, czarujący - i cierpi na syndrom Downa. Matka Manuela wprowadziła się do niego natychmiast po śmierci Carmelity i nadal pomaga się opiekować Tobym. Manuel Ramirez wie, co to ograniczenia, czuje palec losu każdego dnia w epokę, w której większość ludzi nie wierzy już w cel istnienia lub przeznaczenie. Mamy wiele wspólnego, Manuel Ramirez i ja.

-Piwo i Jackie Chan, pysznie - powiedziałem. - Ale kto robi tamales... ty czy twoja matka?

-Och, nie mi madre, obiecuje.

Manuel jest wyjątkowym kucharzem, a jego matka uważa się za wyjątkową kucharkę. Porównanie ich wyczynów kulinarnych to przerażająco oświecający przykład przepaści między dobrymi uczynkami i dobrymi intencjami.

Za mną jechał samochód i gdy spojrzałem w dół, ujrzałem cien poruszający się u moich nieruchomych stóp, wyciągający się od lewej do prawej, nie tylko coraz dłuższy, ale i czarniejszy na betonowym chodniku. Usiłował oderwać się i uciec, lecz gdy samochód już przejechał, on przeskoczył błyskawicznie na poprzednie miejsce.

-Manuel, mogłbyś coś dla mnie zrobić, coś więcej niż tamales.

-Wal śmiało, Chris.

Powiedziałem po długim wahaniu:

60

61

-To dotyczy mojego taty... jego ciała.Manuel wytrzymał moje wahanie. Skupił się milcząc, jak kot strzygacy z ciekawości uszami. Usłyszał więcej w moich słowach, niż zdawały się niesć. Odezwał się, ale innym tonem; rozmawiał teraz nie jak przyjaciel, lecz typowy policjant:

-Co się stało, Chris?

-To zupełnie niesamowite.

-Niesamowite? - powtórzył, jakby to słowo niosło jakiś nieoczekiwany smak.

-Naprawde nie chcialbym o tym mowic przez telefon. Gdybym przyszedl na komisariat, moglibysmy sie spotkac na parkingu?

Nie moglem oczekiwac, ze policja zgasi swiatla w komisariacie i wyslucha mojego oswiadczenia przy blasku swiec.

-Czy mowimy o jakims przestepstwie?

-Jak najbardziej. I czymś niesamowitym.

-SzeF Stevenson pracuje dzis do pozna. Jest tu jeszcze, ale juz niedlugo. Uwazasz, ze powinienem poprosic go, zeby zaczekal?

Przypomnialem sobie pozbawiona oczu twarz martwego autostopowicza.

-No - powiedzialem. - No, Stevenson powinien to uslyszec.

-Mozesz byc za dziesiec minut?

-No, to do zobaczenia.

Odwiesilem sluchawke, zdjalem czapke z lampy i oslaniajac reka oczy odwrocilem sie do ulicy, przez ktora przejechaly kolejno dwa auta. Pierwszym byl ostatni model saturna. Drugim pikap Chevroleta. Zadnego bialego vana. Zadnego karawanu. Zadnego czarnego hummera.

Nie balem sie, ze pogon za mna nadal trwa. Do tej pory autostopowicz juz plonal w piecu. Gdy moje dowody zamienia sie w popiol, nie zostanie mi nic na poparcie niezwyklej opowiesci. Sandy Kirk, sanitariusze i wszyscy bezimienni pozostali beda czuli sie bezpieczni.

Prawde mowiac, proba zabicia mnie lub porwania pociagnie ryzyko pojawienia sie swiadkow kolejnej zbrodni, z ktorymi wtedy trzeba bedzie sobie poradzic, powiekszajac prawdopodobienstwo wzrostu liczby wtajemniczonych. Anonimowym spiskowcom najlepiej posluzylaby teraz dyskrecja, a nie agresja - zwlaszcza ze ich jedynym oskarzycielem bylo miasteczkowe dziwadlo, wylaniajace sie ze szczelnie zaslonietego storami domu tylko miedzy zmierzchem i brzaskiem, bojace sie slonca, zyjace wylacznie z laski peleryn, woalow, kapturow oraz maseczek kosmetycznych i ktore nawet noca czolgalo sie przez miasteczko w skorupie odziezy i chemikaliow.

Biorac pod uwage nieslychana nature oskarzen, niewielu uzna moja relacje za wiarygodna, ale bylem przekonany, iz Manuel uwierzy, ze mowie prawde. Mialem nadzieje, ze szef tez mi uwierzy.

60

61

Minalem poczte i skierowalem sie na komisariat. Byl tylko kilka przecznic dalej. Pokonujac szybko dystans, na probe przepowiadalem sobie, co powiem Manuelowi i jego zwierzchnikowi, Lewisowi Stevensonowi, czlowiekowi o wspanialej osobowosci, przed ktorym chcialem dobrze wypasc. Wysoki, barczysty atletyczny Stevenson mial tak szlachetne oblicze, ze mogloby byc wybijane na rzymskich monetach. Czasami zdawal mi sie byc tylko aktorem odgrywajacym role oddanego komisarza policji, chociaz jesli byla to jedynie gra, siegala oskarowego wymiaru. W wieku piecdziesieciu dwoch lat sprawial wrazenie, ze jest duzo starszy, niz wskazywalaby metryka, z latwoscia pozyskiwal szacunek i zaufanie. Mial w sobie cos z psychologa, a czasami z ksiedza - cechy, ktorych kazdy na jego stanowisku pozadal, ale niewielu posiadalo. Byl jedna z tych rzadkich osob, ktore maja wladze, ale jej nie naduzywaja, korzystaja z niej bezblednie i ze zrozumieniem, a byl szefem policji przez czternascie lat, bez sladu skandalu, zawsze cechowala go fachowosc oraz skutecznosc dzialania.

I tak przebylem pozbawione lamp boczne uliczki oswietlone tylko ksiezycem wiszacym wyzej na niebie niz poprzednio, przebylem ploty i sciezki, ogrody i smietniki, powtarzajac w myslach slowa, ktorymi mialem nadzieje zdac przekonajaca relacje, przybylem w dwie minuty, a nie w dziesiec, jak zasugerowal Manuel; zjawiwszy sie na parkingu za ratuszem ujrzałem szefa Stevensona w sytuacji, ktora pozbawila go wszystkich przymiotow, przypisywanych mu przeze mnie. Oto ukazal sie czlowiek pozbawiony owej maski szlachetnosci, ktory nie zaslugiwal juz na uhonorowanie monetami, pomnikami ani nawet tym, by jego fotografia wisiala w komisariacie obok wizerunku burmistrza, gubernatora i prezydenta Stanow Zjednoczonych.

Stevenson stal przy koncu ratusza, w poblizu mrocznego wejscia do komisariatu, w potoku siniego swiatla padajacego znad drzwi. Czlowiek, z ktorym konferowal, stal o metr dalej, tylko na wpol widoczny w niebieskich cieniach.

Przeciałem parking, zmierzając w ich kierunku. Nie dostrzegli mnie, tak byli zajęci rozmową. Co więcej, byłem zasłonięty mijając śmieciarki, radiowozy, beczkowozy i samochody prywatne, które parkowały jak najdalej od trzech wysokich latarni.

Zanim wszedłem na otwartą przestrzeń, rozmowca Stevensona podszedł do niego bliżej, wylaniając się z cieni, a ja stanąłem jak wryty. Zobaczyłem jego ogoloną głowę, kanciastą twarz. Koszula w kratę z czerwonej flaneli, niebieskie dzinsy, robocze buciki.

Z tej odległości nie mogłem dojrzec kolczyka z perła.

Stałem pomiędzy dwoma pojazdami i szybko cofnąłem się o metr, ukrywając lepiej w oleistej ciemności między nimi. Jeden z silników był nadal gorący; stygl cykając i trzeszcząc.

Chociaż słyszałem rozmowę, nie potrafiłem rozróżnić słów. Bryza od morza pieszczła drzewa, rozbijając się o wszelkie dzieła człowieka i ten nieustanny szept i syk oddzielał ode mnie rozmowę.

62

Zdałem sobie sprawę, że pojazd po mojej prawej, ten z gorącym silnikiem, to biały ford van, w którym łysy wyjechał ze Szpitala Miłosierdzia. Ze szczątkami mojego ojca. Zastanawiałem się, czy kluczyki są w stacyjce. Przycisnąłem twarz do okna po stronie kierowcy, ale nie widziałem dokładnie wnętrza.

Kradnąc vana prawdopodobnie zyskałbym kluczowy dowód na poparcie mojej relacji. Nawet gdyby ciało ojca zabrano gdzieś indziej, ekipa techniczna znalazłaby dowody - zwłaszcza krew autostopowicza.

Nie miałem pojęcia, jak zapalić vana na krótko.

Do diabła, nie miałem pojęcia, jak prowadzić samochód!

A nawet gdybym odkrył w sobie wrodzony talent do władania pojazdami mechanicznymi, ekwiwalent Mozartowskiego geniuszu w dziedzinie kompozycji, nie potrafiłbym przejechać dwadzieścia mil na południe wzdłuż wybrzeża lub trzydzieści mil na północ, na teren jurysdykcji innej jednostki policji. Nie w oslepiającym blasku zbliżających się świateł przednich. Nie bez moich cennych szkieł przeciwsłonecznych, które leżały polamane daleko pod wzgórzami na wschodzie.

Poza tym, gdybym otworzył drzwi vana, mrugnęłoby światelko kabiny. Dwaj mężczyźni zauważyliby je.

Rzuciliby się na mnie.

Zabiliby.

Otworzyły się tylne drzwi komisariatu. Wszedł Manuel Ramirez.

Lewis Stevenson i jego wspólnik natychmiast przerwali gorączkową wymianę zdań.

Oddalony nie potrafiłem ocenić, czy Manuel znalazł lysego mężczyznę, ale wyglądało na to, że zwracał się tylko do szefa.

Nie mogłem uwierzyć, że Manuel - zacięty syn Rosaliny, oplakujący małżonek Carmelity, kochający ojciec Toby'ego - uczestniczyłby w jakiejś sprawie obejmującej morderstwo i porwanie trupów. Podczas naszego życia nigdy nie udało się nam poznać, naprawdę poznać, wielu ludzi, choćbyśmy nie wiem jak głęboko wierzyli, że przejrzelismy ich na wskros. Większość z nich to metne stawy, zawierające nieskonczone warstwy wiszących cząsteczek, poruszanych nieokreślonymi prądami z największych głębi.

Ale chętnie postawiłbym o zakład moje życie, że w przejrzystym sercu Manuela nie ma miejsca na zdradę.

Jednakże nie zamierzałem stawiać na szali jego życia, bo gdybym zawołał do niego, aby przeszukał ze mną bagażnik białego vana, poddał cały pojazd szczegółowemu badaniu kryminalistycznemu, to być może podpisałbym wyrok śmierci tak na niego, jak i na siebie. Prawde mówiąc, byłem tego pewny.

Nagle Stevenson i łysy mężczyzna odwrócili się od Manuela, przeczesując wzrokiem parking. Wtedy zrozumiałem, że powiedział im o moim telefonie. Opadłem do przysiadu i schroniłem się głębiej w mrok między vanem a beczkowskim. Usiłowałem od 62 czytać tablicę rejestracyjną z tyłu vana. Chociaż zwykle dokucza mi nadmiar światła, tym razem byłem upośledzony jego niedostatkiem. Gorączkowo przejechałem palcami po siedmiu cyfrach i literach. Jednakże nie udało mi się ich odczytać tak, jak zrobiłby to niewidomy, przynajmniej nie na tyle szybko, aby uniknąć odkrycia.

Wiedziałem, że lisy, jeśli nie Stevenson, zbliża się do vana. Już był w ruchu. Lisy mężczyzna, rzeźnik, handlarz trupów, złodziej oczu.

Pochylony wycofałem się drogą, która przyszedłem, między rzędami parkujących ciężarówek i samochodów osobowych, wrocilem do tylnej uliczki, a potem przemknąłem przed siebie, kryjąc się za rzędem pojemników na śmieci, nie prostując kolan aż do śmieciarki i dalej, do rogu, i jeszcze dalej, w inną boczną uliczkę, aż ratusz znikł mi z oczu, i wyprostowałem się na całą wysokość, biegnąc, szybki jak kot, ślizgając się w powietrzu jak sowa, nocny stwor, zastanawiając się, czy znajduje bezpieczne schronienie przed brzaskiem, czy też nadal będzie na otwartej przestrzeni, by zwinąć się i szernieć pod gorącym słońcem poranka.

64

65

10

Założyłem, że bezpiecznie dotrę do siebie, ale byłoby głupota siedzieć tam zbyt długo. Termin przybycia na komisariat minie dopiero za kolejne dwie minuty i będą czekać na mnie jeszcze przynajmniej dziesięć minut, zanim szef Stevenson zda sobie sprawę, że musiałem ujrzeć go z człowiekiem, który ukradł ciało mojego ojca. Nawet wtedy nie muszą szukać mnie w domu. Nadal nie byłem dla nich poważnym zagrożeniem - i niepodobna, by miało się to zmienić. Nie miałem żadnego dowodu na to, co zobaczyłem.

Wiedziałem, że nie cofną się przed niczym, by zapobiec ujawnieniu tej niepojętej konspiracji. Mogliby zdecydowanie wykluczyć nawet najmniejszą szansę ujawnienia - co oznaczałoby stryczek dla mnie.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Spodziewałem się zastać Orsona, ale nie czekał na mnie. Zawolałem go, ale się nie zjawił; a gdyby zbliżał się w mroku, usłyszałbym głuche dudnienie wielkich łap o podłogę.

Prawdopodobnie przeżywał kolejną chandré. Zwykle bywa w dobrym nastroju, chętny do zabawy, towarzyski, tryskający taką ilością energii, że mógłby zamieść ogonem wszystkie ulice Moonlight Bay. Jednakże od czasu do czasu świat ciąży mu, a wtedy leży bez sił jak omdlały, smutne ślepią ma otwarte, ale wpatrzone w jakieś psie wspomnienie lub psia wizję nie z tego świata, milczy, tylko czasem wydaje słabe westchnienie. Rzadko znajdowałem go w nastroju jakby krancowo ponurej rezygnacji. Ów stan wydaje się zbyt poważny, aby mógł go znieść jakikolwiek pies, chociaż w tym przypadku można powiedzieć, że znajduje doskonałego wyrażiciela.

Niegdyś Orson siedział niemal pół godziny przed lustrem na drzwiach garderoby w mojej sypialni - wieczność, jeśli chodzi o psi umysł, który generalnie przeżywa świat w seriach dwuminutowych zachwyty i trzyminutowych entuzjasmów. Nie wiem, co fascynowało go we własnym wizerunku, chociaż wykluczyłem zarówno psia próżność, jak i proste zdumienie; był bardzo smutny i składał się tylko z obwisłych uszu, zapadniętych boków i zastygłego ogona. Przysięgam, że czasem w oczach błyszczały mi łzy, które ledwo hamowałem.

64

65

-Orson...?! - zawolałem. Wylącznik żyrandola klatki schodowej był regulowany ściemniaczem, jak większość wylączników w domu. Podniosłem światło do minimum potrzebnego do wejścia na górę.

Orsona nie było na polpietrze. Nie czekał na korytarzu piętrowym. W moim pokoju zapaliłem słabe światło. Orsona też tam nie było.

Podszedłem prosto do najbliższej nocnej szafy. Z górnej szuflady wyjąłem kopertę, w której trzymałem zapas gotówki na drobne przyjemności. Było tam tylko sto osiemdziesiąt dolarów, ale lepsze to niż nic. Chociaż nie wiedziałem, do czego będę potrzebował gotówki, zamierzałem być przygotowany, więc przelożyłem całą sumę do kieszeni dzinsów.

Zasuważąc szufladę, zauważyłem na zasłoniętym łóżku ciemny przedmiot.

Podniosłem go i zaskoczony przekonałem się, że mam przed sobą to, co wydawało mi się na pierwszy rzut oka - pistolet.

Nigdy nie widziałem broni z bliska.

Ojciec nigdy jej nie miał.

Instynktownie odłożyłem pistolet i ramię kapy starłem odciski palców.

Podejrzewałem, że wrabia się mnie w coś, aby zapuszkować za niepopelnioną winę.

Chociaż każdy odbiornik telewizyjny emituje promienie ultrafioletowe, przez lata widziałem dużo filmów, ponieważ jestem bezpieczny, gdy siedzę odpowiednio daleko od ekranu. Znam wszystkie wielkie opowieści o niewinnych ludziach - od Cary'ego Granta przez Jamesa Stewarta do Harrisona Forda - nieustraszenie ściganych za zbrodnie, których nigdy nie popełnili, i osadzanych w więzieniach na podstawie sfałszowanych dowodów.

Wszedłem szybko do przyległej łazienki i włączyłem słabą żarówkę. Żadnej niezwywej blondyny w wannie.

Orsona też nie było.

W sypialni kolejny raz stałem nieruchomo i wsłuchiwałem się w ciszę. Jeśli w domu przebywali inni ludzie, byli tylko duchami słonecznymi w zjawiskowej ektoplazmie.

Wrocilem do łóżka, zawahałem się, sięgnąłem po pistolet i szarpałem się z nim, aż wyjąłem magazynek. Załadowano go do pełna. Z powrotem wcisnąłem magazynek. Nie miałem doświadczenia z bronią, więc zdumiało mnie, że jest cięższa, niż się spodziewałem; ważyła prawie kilogram.

Na kremowym przykryciu łóżka, obok broni, leżała biała koperta. Wcześniej jej nie zauważyłem.

Wyjąłem z nocnego stolika latarkę punktową i skierowałem wąski snop światła na kopertę. Była gładka poza profesjonalnie wydrukowanym adresem nadawcy w górnym lewym rogu; sklep z bronią ?ora w Moonlight Bay. Niezaadresowana koperta, bez

66

67

znaczka i pieczęci urzędu pocztowego, była lekko pomięta i punktowana dziwnymi zagłębieniami. Gdy ją podniosłem, okazała się miejscami wilgotna. Papiery w środku były suche. Przejrzałem uważnie dokumenty w świetle latarki. Poznałem staranne pismo ojca na kopii standardowego podania, w którym potwierdził lokalnej policji, że nie był notowany za czyny sprzeczne z prawem, nie cierpiał na chorobę psychiczną, która pozbawiałaby go prawa do posiadania własnej broni palnej. Poza tym była kopia oryginalnej faktury na broń, informująca, że jest to dziewięciomilimetrowy Glock 17 i że ojciec nabył go płacąc czekiem.

Data faktury zmroziła mi krew w żyłach; 18 stycznia, dwa lata temu. Ojciec kupił tego Glocka zaledwie trzy dni po tym, jak moja matka zginęła w wypadku samochodowym na drodze nr 1. Tak jakby potrzebował obrony.

W gabinecie po drugiej stronie korytarza ładował się mój telefon komórkowy.

Wyjąłem z kontaktu ładowarkę i przypiąłem sobie telefon do pasa.

Orsona nie było w gabinecie.

Wcześniej Sasza wpadła do domu go nakarmić. Może wychodząc zabrała go ze sobą.

Jeśli Orson był tak smutny, jak wtedy, kiedy wyjeżdżałem do szpitala - a zwłaszcza gdy wpadł w jeszcze bardziej ponury nastrój - niewykluczone, że Sasza nie była w stanie zostawić biednego zwierzątko, bo w żyłach płynie jej tyle samo współczucia co krwi.

Nawet jeśli Orson poszedł z Saszą, kto przeniósł dziewięciomilimetrowego Glocka z pokoju ojca na moje łóżko? Nie Sasza. Nie miała pojęcia o istnieniu tej broni i nie grzebałaby w rzeczach taty.

Telefon na biurku był podłączony do automatycznej sekretarki. Obok mrugającego światełka rejestracyjnego okienko licznika wskazywało dwa zgłoszenia. Według głosu automatu podającego czas i datę, pierwsze zgłoszenie było zaledwie przed południem.

Nagranie trwało prawie dwie minuty, chociaż dzwoniący nie odezwał się słowem.

Początkowo powoli wdychał i wydychał powietrze, niemal tak powoli, jakby miał czarodziejską moc wciągania miriadów zapachów mojego pokoju, nawet przez słuchawkę, i stąd wiedział, czy jestem w domu, czy też wyszedłem. Po chwili

zaczal nucic murmurando, jakby zapomnial, ze jest nagrywany, i tylko nucil do siebie, jak zagubiony w myslach marzyciel, improwizujac, bez zadnej spojnej melodii, cicha, niesamowita i powtarzajaca sie piesn, jaka slyszy szalenciec, gdy wierzy, ze spiewa mu chor aniolow zniszczenia.

Bylem pewien, ze to ktos obcy. Jestem przekonany, ze udaloby mi sie poznac glos przyjaciela, nawet po samym nuceniu. Bylem tez pewien, ze to nie pomyłka; ten ktos w jakis sposob byl uwiklany w wydarzenia, ktore nastapily po smierci ojca.

Zanim pierwszy dzwoniacy rozlaczyl sie, przylapalem sie na tym, ze dlonie mam zacisniete w piesci, a w plucach zuzyte powietrze. Wypuscilem goracy suchy oddech, wciagnalem chlodny slodki powiew, ale dloni nie moglem rozprostowac.

66

67

Drugi telefon, ktory mial miejsce zaledwie kilka minut przed moim powrotem do domu, byl od Angeli Ferryman, pielegniarki opiekujacej sie ojcem. Nie przedstawila sie, ale poznalem jej cienki, chociaz dzwieczny glos; w trakcie mowienia przyspieszala coraz bardziej, jak niespokojny ptaszek na plocie, przeskakujacy ze sztachety na sztachete.-Chris, chcialabym z toba pomowic. Musze z toba pomowic. Kiedy tylko bedzie ci wygodnie. Dzis wieczor. Jesli mozesz, dzis wieczor. Teraz jestem w samochodzie, jade do domu. Wiesz, gdzie mieszkam. Odwiedz mnie. Nie dzwon. Nie ufam telefonom. Nie podoba mi sie nawet, ze dzwonie. Ale musze sie z toba spotkac. Zajdz od tylnych drzwi.

Bez wzgledu na to, jak pozno to odsluchasz, przyjdź. Nie bede spala. Nie moge.

Zalozylem nowa tasme. Poprzednia kasete ukrylem pod zmiotymi papierami na dnie kosza na smieci obok biurka.

Te dwa krotkie nagrania nie przekonalyby policjanta, sedziego czy kogokolwiek. Ale byly jedynymi skrawkami dowodow, jakie mialem, by wykazac, iz wokol mnie dzieja sie jakies niezwykle rzeczy - cos jeszcze dziwniejszego niz moje przyjscie na swiat w tej malej wykletej przez slonce kascie. Bardziej niezwykle niz przezycie dwudziestu osmiu lat bez szkody ze strony xeroderma pigmentosum.

Bylem w domu niecale dwie minuty. Szukajac Orsona, podswiadomie spodziewalem sie, ze uslysze odglos wylamywanych drzwi albo rozbijanego szkla i kroki na schodach. Jednak dom pozostal cichy, ale byla to drzaca cisza, jak napiecie powierzchniowe stawu.

Pies nie wylegiwal sie w sypialni taty ani w lazience. Ani tez w duzej garderobie.

Z kazda chwila coraz bardziej martwilem sie o niego. Ten, kto polozyl na lozku glocka, mogl tez zabrac Orsona albo zrobic mu krzywde.

Po powrocie do mojego pokoju znalazlem zapasowa pare okularow przeciwslonecznych w szufladzie biurka. Byly w miekkim futerale zapinanym na rzep. Wsunalem go do kieszeni koszuli.

Spojrzałem na cyfrowy zegarek.

Szybko wlozylem fakture i policyjny kwestionariusz do koperty ze sklepu z bronia.

Bez wzgledu na to, czy byl to kolejny dowod, czy tylko smiec, ukrylem go miedzy materacem i sprezynami lozka. Data zakupu wydawala mi sie znaczaca. Nagle wszystko wydalo mi sie znaczace.

Zatrzymalem pistolet. Moze to byla pulapka, jak w filmach, ale z bronia czulem sie bezpieczniejszy. Glebokie kieszenie skorzanej kurtki dobrze ja ukryly. Lezala w prawej kieszeni nie jak kawal martwej stali, ale jak zywe stworzenie, jak odretwialy, lecz nie calkowicie uspiony waz. Gdy sie poruszylem, wil sie powoli; tlusty i ospaly, sliske klebowisko grubych zwojow.

Juz mialem zejsc na dol poszukac Orsona, gdy przypomnialem sobie czerwcowo noc, gdy przygladalem mu sie z okna sypialni, siedzacemu w ogrodzie; przekrzywil leb,

68

69

unosl nos, lapiac wietrzyk, znieruchomialy na widok czegos na niebie, gleboko owladniety jednym ze swoich najbardziej zdumiewajacych nastrojow. Nie wyl, a zreszta na niebie i tak nie bylo ksiezycy; dzwiek, ktory wydawal, to nie byl skowyt ani

skomlenie, ale kwilenie, co brzmiało szczególnie przejmująco. Teraz uniosłem zaluzję w tym samym oknie i ujrzałem Orsona na dole w ogrodzie.

Zawziecie wykopywał dol na posrebrzonym księżycem trawniku. Było to osobliwe, ponieważ jako dobrze ułożony pies nigdy nie ryl w ogrodzie.

Na moich oczach poniechał skrawka ziemi, który zawziecie rozkopywał, przesunął się metr w prawo i zaczął kopac nowa dziurę. W jego zachowaniu był jakiś gorączkowy pospiech.

-Co się dzieje, stary? - zdziwiłem się, a pies na dole kopał, kopał, kopał.

Idąc w dół, czując ciężar glocka w kieszeni kurtki, przypomniałem sobie tamtą czerwcową noc, gdy udałem się do ogrodu i usiadłem obok kwilącego psa...

Jego piski były tak cienkie, jak gwizd-syk dmuchacza szkła kształtującego dzban nad płomieniem, tak delikatne, że nawet nie zaniepokoiły najbliższego sąsiada, lecz była w nich rozpacz, która mnie wstrząsnęła. To kwilenie dawało wyraz mroczniejszej niedoli niż najmroczniejsze szkło i w postaci dziwniejszej, niż cokolwiek dmuchacz mógłby ukształtować.

Nie zranił się i nie wydawał się chory. Z tego, co zauważyłem, sam widok gwiazd rozdzierał mu serce. Lecz skoro wzrok psów jest tak marny, jak się powszechnie uważa, to nie potrafią zobaczyć gwiazd, dobrze czy wcale. A zresztą, czemu gwiazdy miałyby napelnić Orsona taką udreka - czy też noc, która nie była ciemniejsza niż poprzednie? Jednak wpatrywał się w niebo, wydawał dźwięki, jakby był na torturach i nie reagował na moje uspokajanie.

Gdy położyłem mu rękę na łbie i pogładziłem po grzbiecie, poczułem kurczowe dreszcze. Zerwał się i odbiegł na bok. Ale zaraz odwrócił się i spojrzał na mnie z oddalenia. Przysiadałbym, że przez chwilę nienawidził mnie. Kochał mnie jak zawsze, nadal był moim psem i nie mógł uciec od miłości do mnie; ale równocześnie nienawidził mnie serdecznie. W ciepłym powietrzu czerwca dosłownie czułem bijącą od niego zimną nienawiść. Przechadzał się po ogrodzie, na zmianę patrząc na mnie - wytrzymywał moje spojrzenie, jak tylko on spośród wszystkich psów potrafił - i patrząc w niebo, to spreżony i wstrząsany wściekłością, to osłabły i kwilący z rozpaczą.

Kiedy opowiedziałem o tym Bobby'emu Hallowayowi, rzekł, że psy nie potrafią nikogo nienawidzić ani czuć coś tak złożonego jak autentyczna rozpacz, że ich życie emocjonalne jest tak proste, jak intelektualne. Kiedy upierałem się przy moich wrażeniach, Bobby oświadczył:

-Słuchaj, Snow, jeśli zamierzasz dalej tu przyjechać i wierzyć mi w dupie tymi pierdolami z New Age, to czemu po prostu nie kupisz spluwy i nie rozwalisz mi łba? To by68

69

łoby o wiele bardziej humanitarne niż ta porażająco powolna śmierć, która teraz mi zadajesz, torturując mnie tymi swoimi opowiadkami i swoją swirowatą filozofijką. Święty Franku, ludzka wytrzymałość ma swoje granice... nawet moja. Jednak, co wiem, to wiem, a wiem, że Orson nienawidził mnie tamtej czerwcowej nocy, nienawidził i kochał. I wiem, że dostrzegał coś na niebie, coś, co dreczyło go i napelniało rozpaczą; gwiazdy, czern, a może coś, co sobie wyobraził.

Czy psy mają wyobrażenia? Czemu nie?

Wiem, że śnia. Przyglądałem się im śpiącym, widziałem, jak przebiegają łapami, jakby goniły zające, słyszałem, jak wzdychają i jeczą, słyszałem, jak warczą na snionych przeciwników.

Nienawiść Orsona tamtej nocy nie napawała mnie lekiem przed nim, ale o niego.

Wiedziałem, że przyczyna nie jest brak opanowania czy fizyczna dolegliwość, lecz że jest to choroba duszy.

Bobby wścieka się wspaniale na wzmiankę o duszy u zwierząt i zaplują się w niesłychanie zabawnych monologach bez ładunku i składu. Mogłbym sprzedawać za niego bilety, ale wolałbym otworzyć butelkę piwa, siąść wygodnie i mieć całe przedstawienie dla siebie.

W każdym razie przesiadałem tamtą długą noc w ogrodzie, dotrzymując Orsonowi towarzystwa, chociaż może nie miał na nie ochoty. Patrzał na mnie wściekle, zerknął na sklepienie nieba poszczekując jak szczenię, dygotał bezwolnie, krzył i krzył po ogrodzie aż do brzasku, gdy wreszcie podszedł do mnie wyczerpany, złożył mi łeb na podłokiu i już mnie więcej nie nienawidził.

Tuz przed wschodem słońca wróciłem do pokoju, gotowy do łóżka znacznie wcześniej niż zwykle, i Orson poszedł za

mna. Przeważnie wtedy, gdy decyduje się spać według mojego rozkładu, zwija się u moich stóp, ale wtedy położył się na boku, plecami do mnie i dopóki spał, gładziłem kudłaty łeb, głaskałem delikatną czarną sierść.

Tamtego dnia w ogóle nie spałem. Leżałem, myśląc o gorącym letnim poranku za żaluzjami okien. O niebie jak odwrócona misa z niebieskiej porcelany i o ptakach fruujących po jej obrzeżu. Ptakach dnia, które oglądałem tylko na zdjęciach. I pszczołach, i motylach. I cieniach jak czysty atrament, ostrych na krawędziach jak noż, jakie nigdy nie mogą być noca. Słodki sen nie miał gdzie się we mnie wsaczyć, ponieważ gorzka tęsknota napelniała mnie po brzegi.

Teraz, prawie trzy lata później, otworzyłem drzwi kuchenne i wszedłem na tylną werandę, mając nadzieję, że Orson nie jest w nastroju zniechęcenia. Tej nocy nie mieliśmy czasu na terapię ani dla niego, ani dla mnie.

Rower stał na werandzie. Zniosłem go po schodach i podprowadziłem do pracującego psa. W południowo-zachodnim rogu ogrodu wykopał pół tuzina dziur różnej średnicy i głębokości. Musiałem uważać, by nie zwichnąć sobie nogi. Jedna czwarta trawnika zasłalał keпки trawy i grudy ziemi rozrzucone jego łapami.

70

-Orson? Nie odpowiedział. Nawet nie przerwał gorączkowego kopania. Obszedłem go szerokim łukiem, unikając ziemnego prysznica, który tryskał spod pracujących łap.

Zaszedłem go od przodu.

-Cześć, przyjacielu - powiedziałem.

Trzymał łeb nisko, z pyskiem przy ziemi, wachając badawczo w czasie kopania.

Bryza wiała dalej i pełny księżyc wisiał w najwyższych konarach malaleukasów jak zaginiony dziecięcy balonik. W gorze nurkowały i wzbijały się nocne jastrzębie, wołając pii-pii-pii!, gdy łowiły w powietrzu latające mrowki i pierwsze wiosenne cmy.

Przyglądając się pracującemu Orsonowi, spytałem:

-Znalazło się ostatnio jakieś smaczne kości?

Przerwał kopanie, ale nadal nie zwrócił na mnie uwagi. Pilnie obwachiwał ziemię, której zapach dobiegał nawet do mnie.

-Kto cię tu wypuścił?

Sasza mogła go wyprowadzić na dwór, by się załatwił, ale byłem przekonany, że zaprowadziła go z powrotem do domu.

-Sasza? - usiłowałem się jednak dowiedzieć.

Jeśli to Sasza pozwoliła mu zrujnować trawnik, Orson nie zamierzał jej wydatkować.

Nie spojrzał mi w oczy, bym nie odczytał prawdy. Porzucił właśnie wykopaną dziurę i powrócił do poprzedniej, obwachiwał ją i znowu zabrał się do pracy, szukając kontaktu z psami w Chinach.

Może wiedział, że tato nie żyje. Zwierzęta wiele wiedzą, jak zauważyła wcześniej Sasza. Może to gwałtowne kopanie było sposobem Orsona na pozbycie się nerwowej energii smutku.

Położyłem rower na trawie i przykucnałem. Złapałem psa za obroże i łagodnie zmusiłem, by zwrócił na mnie uwagę.

-Co się z tobą dzieje?

W jego oczach była czarna poruszona gleba, nie jaśniejszy migotliwy mrok rozgwieżdżonego nieba. Spojrzenie przepastne i nie do odczytania.

-Muszę podwiedzać różne miejsca, przyjacielu - powiedziałem mu. - Chce, żebyś poszedł ze mną.

Zaskomlał i odwrócił łeb, spoglądając na to całe zniszczenie dookoła, jakby chciał rzec, że ani myśli zostawić swe wielkie dzieło nieskończone.

-Kiedy przyjdzie rano, zahaczę się u Saszy i nie chce, żebyś został tu sam.

Postawił uszy, chociaż nie na wzmiankę o Saszy, czy cokolwiek mu powiedziałem.

Wykrecił potężne ciało w moim uścisku i spojrzał w kierunku domu. Gdy puscilem obrożę, popędził przez ogród, ale zatrzymał się tuż przed tylną werandą. Stał wyprostowany, z uniesionym wysoko łbem, milczący, baczny.

70

-Co jest, stary? - szepnałem. Z odległości pięciu czy siedmiu metrów, nawet przy zamarłej bryzie i ucichłej nocy, ledwo słyszałem jego basowe powarkiwanie.

Wychodząc z domu zgasilem wszystkie lampy, zostawiając pokoje bez światła.

Czern rządziła tam nadal i nie spostrzegłem żadnej widmowej twarzy przycisniętej do szyby. Jednakże Orson coś wyczuł, bo zaczął cofać się od domu. Nagle odwrócił się z kocia zreżnością i pognął ku mnie.

Postawiłem rower. Z nisko zwieszonym, ale nie podwiniętym ogonem, uszami płasko położonymi, przemknął obok do tylnej furtki. Polegając na psich zmysłach niezwłocznie dołączyłem do niego przy furtce. Posesje otacza plot z posrebrzonych cedrów, mojej wysokości. Furtka też jest cedrowa. Wyczułem pod palcami opuszczona zasuwkę. Szybko ją podniosłem i zakląłem cicho słysząc skrzypienie zawiasów.

Za furtką biegnie ubita ścieżka. Po jednej stronie są domy, po drugiej stara wąska kepa eukaliptusów o czerwonej żywicy. Gdy przechodziliśmy przez furtkę, pomyślałem sobie, że ktoś będzie tam na nas czekał, ale ścieżka była pusta.

Na południe, za eukaliptusami, jest pole golfowe, a potem zajazd i klub sportowy.

O tej porze, w piątkową noc, pole golfowe oglądane między pniami wysokich drzew było tak czarne i sfalowane jak morze, a migocące bursztynowe okna dalekiego zajazdu przypominały monumentalne wejścia potężnego statku wycieczkowego udającego się na wieczny rejs do Tahiti.

W lewo ścieżka prowadziła do serca miasteczka, kończąc się u cmentarza leżącego przy katolickim kościele pod wezwaniem św. Bernadetty. Na prawo szła w dół ku nizinom, portowi i Pacyfikowi.

Zmieniłem biegi i pedałowałem w górę, do cmentarza, a won eukaliptusów przypominała mi o świetle w oknie krematorium i o pięknej młodej matce leżącej bez życia na wózku przedsiębiorcy pogrzebowego; zaczął Orson truchtać obok, dalekie odgłosy muzyki dolatywały rozpierzchle z zajazdu przez pole golfowe, niemowlę płakało w jednym z sąsiedzkich domów po lewej, glock ciążył mi w kieszenie, nocne jastrzębie w gorze łapały owady w ostre dzioby. Żywi i martwi, wszyscy razem, w klatce ziemi i nieba.

72

73

11

Chciałem porozmawiać z Angela Ferryman, bo to, co odsłuchałem z sekretarki automatycznej, brzmiało rewelacyjnie. Byłem w nastroju na wysłuchanie rewelacji. Jednakże przede wszystkim musiałem zadzwonić do Saszy, która czekała na wiadomość o ojcu.

Zatrzymałem się na cmentarzu św. Bernadetty, moim ulubionym miejscu, porcie ciemności w jednym z najbardziej rozjaśnionych odcinków miasta. Pnie szesściu gigantycznych debów wznosiły się kolumnowo, podtrzymując strop z przenikających się koron, a cicha przestrzeń poniżej rozkładała się wzdłuż drożek jak w bibliotece; płyty nagrobne przypominały rzędy książek noszące imiona tych, którzy zostali wytarci z kart życia i być może zostali zapomniani gdzieś indziej, ale tu są pamiętani.

Orson walesał się, chociaż niedaleko ode mnie, obwachiwał ślady wiewiórek, które za dnia zebrały zoledzie z grobów. Był nie łowca tropiacym zwierzyne, ale naukowcem zaspokajającym swoją ciekawość.

Odpiałem od pasa komórkę, włączyłem i wystukałem numer komórki Saszy Goodall. Odpowiedziała po drugim dzwonku.

-Tato odszedł - powiedziałem, mając na myśli więcej, niż znaczyło to określenie.

Wcześniej, spodziewając się śmierci taty, Sasza wyraziła swój smutek. Teraz załcisnął ją za gardło, ale panowała nad sobą tak dobrze, że tylko ja mogłem go słyszeć:

-Czy... czy koniec miał spokojny?

-Bez bólu.

-Był świadomy?

-Uhm. Mogliśmy się pożegnać. "Zabij wszelki strach".

-Parszywe życie - powiedziała Sasza.

-Tak to jest - powiedziałem. - Żeby wejść do gry, musimy zgodzić się, że kiedyś z niej wyskoczymy.

-I tak jest parszywie. Dzwonisz ze szpitala?

72

73

-Nie. Spoza i z daleka. Włocze się. Wyrzucam nadmiar energii. A ty gdzie jesteś?-W wozie. Jade wrzucić śniadanie na ruszt i zrobić notatki do audycji.

-Wchodziła na antenę za trzy i pół godziny. - Ale mogę wziąć coś na wynos i zjedlibyśmy gdzieś razem.

-Naprawdę nie jestem głodny - powiedziałem szczerze. - Ale zobaczymy się później.

-Kiedy?

-Jak rano wrócisz z pracy, będę u ciebie. To znaczy, jeśli ci to odpowiada.

-Idealnie. Kocham cię, balwanku.

-Kocham cię.

-To mantra naszego dnia powszedniego.

-To nasza prawda.

Nacisnąłem przycisk kończący połączenie, wyłączyłem telefon i przypiąłem go do pasa.

Kiedy wyjeżdżałem z cmentarza, mój czworonogi towarzysz początkowo biegł za mną nieco się ociągając. Leb miał pełen wiewiorczych sekretów.

Do domu Angeli Ferryman podjechałem najbliżej jak się dało, bocznymi uliczkami, na których była znikoma szansa dużego ruchu i ulicami z rzadko rozstawionymi latarniami. Gdy nie miałem wyboru i musiałem jechać oświetlonymi odcinkami, mocniej naciskałem na pedał.

Orson wiernie dostosowywał swoje tempo do mojego. Wydawał się szczęśliwszy niż poprzednio, teraz gdy mógł truchtac przy moim boku, czarniejszy niż jakkolwiek cień, który mogłem rzucić. Napotkaliśmy tylko cztery pojazdy. Za każdym razem mrużyłem oczy i odwracałem głowę, razony światłem reflektorów.

Angela mieszkała przy jednej z głównych ulic, w uroczym hiszpańskim bungalowie, chronionym przez magnolie, które jeszcze nie kwitły. We frontowych pokojach nie paliły się żadne lampy.

Otwarta furtka wpuszcila mnie do kratownicowego pasazu. Ściany i lukowaty strop zarosł jaszmin. Latem fontanna białych kwiatusków o pięciu płatkach trysnęła tak obficie, że kratownica wydała się udrapowana wieloma warstwami koronki. Nawet o tej wczesnej porze roku kwiatki przypominające szprychowe kolka ożywiały ciemnozielone listowie. Wciągnąłem głęboko w płuca zapach jaszminu, a Orson kichnął dwukrotnie.

Wyprowadziłem rower za pasaż na tyły bungalowu i oparłem go o sekwojowy słup podtrzymujący osłone patia.

-Bądź czujny - nakazałem Orsonowi. - Bądź wielki. Bądź zły.

Sapnął, jakby rozumiał swoje zadanie. Może faktycznie je zrozumiał, bez względu na to, co Bobby Holloway i policja racjonalizmu byli gotowi sobie pomysleć.

Za kuchennymi oknami i przejrzystymi zaslonami slabo pulsowaly plomyki swiec. Drzwi mialy cztery szybki. Delikatnie zapukalem w jedna z nich.

Angela Ferryman odsunela zaslone. Obrzucila mnie szybkim, nerwowym spojrzeniem, a potem patila za moimi plecami, sprawdzajac, czy przyszedlem sam. Z mina spiskowca wpuscila mnie do srodka i zamknela drzwi na zasuwe. Poprawila zaslony, az byla pewna, ze zlikwidowala wszelkie szpary, przez ktore ktos moglby nas podejrzec.

Chociaz w kuchni bylo przyjemne cieplo, Angela miala na sobie nie tylko szary dres, ale granatowy rozpinany sweter. Recznie zrobiony na drutach, mogl nalezec do jej swietej pamieci meza. Zwisal Angeli do kolan, a szwy ramion siegaly lokci. Rekawy podwinela tyle razy, ze powstale mankiety byly grube jak okowy.

Pod tymi warstwami ubrania Angela wydala sie chudsza i jeszcze drobniejsza niz kiedykolwiek. Wyraznie bylo jej zimno; drzala pozbawiona rumiencow.

Usciskala mnie. Jak zawsze byl to goracy, silny uscisk, az poczulem jej kosci, chociaz towarzyszylo mu nietypowe znuzenie. Siadla przy stole z polerowanej sosny i zaprosila mnie do zajecia miejsca naprzeciwko.

Zdjalam czapke i rozwazylem zdjecie kurtki. W kuchni bylo za cieplo. Jednakze w kieszeni mialem pistolet i obawialem sie, ze moze wypasc na podloge lub stuknac o krzeslo, gdy bede wyjmowal rece z rekawow. Nie chcialem niepokoić Angeli widokiem broni.

Na srodku stolu staly trzy wotywne swieczki w malych pucharkach z rubinowego szkla. Arterie drzacego czerwonego swiatla czolgaly sie po wypolerowanej sosnie. Na stole stala tez butelka apricot brandy, slabego likieru morelowego. Angela przysunela mi kieliszek i napelnila go do polowy.

Swoj miala pelny. I nie byla to pierwsza kolejka. Sciskala go oburacz, jakby dawal jej cieplo, a gdy pociagnela lyk, nadal trzymajac tak samo kieliszek, jeszcze bardziej niz zwykle przypominala porzucona nastolatke. Mozna by sadzic, ze ma trzydziesci piec lat, prawie o pietnascie mniej niz naprawde. W tej chwili wygladala wrecz dziecinnie.

-Od kiedy bylam mala dziewczynka, zawsze naprawde chcialam byc pielegniarka.

-I jestes najlepsza - powiedzialem szczerze.

Oblizala usta i spojrzala w dno kieliszka.

-Matka miala gosciec przewlekly. Posuwal sie szybciej niz zwykle. Bardzo szybko. Nie mialam jeszcze szesciu lat, jak nosila klamry na nogach i uzywala szczudel.

Niebawem po moich dwunastych urodzinach zostala przykuta do lozka. Umarla, kiedy mialam szesnascie lat.

Nie potrafilem na to powiedziec nic glebokiego ani pocieszajacego. Nikt by nie potrafil. Ocet nie jest tak kwasny, jak falszywie zabrzmialoby kazde slowo, bez wzgledu na to, jak szczerze wypowiedziane. Niewatpliwie miala mi cos waznego do wyznania, ale

potrzebowala czasu, aby zebrac wszystkie slowa w uporządkowane kolumny i skierowac ku mnie na druga strone blatu. Bo to, co chciala mi powiedziec, budzilo w niej lek. Byl widoczny, dygotal w jej koscicach i nadawal woskowy odcien skorze.

-Lubilam przynosic mamie rozne rzeczy, kiedy sama nie mogla sobie poradzic.

-Powoli znajdowala droge ku wlasciwemu tematowi. - Szklanke mrozonej herbaty.

Kanapke. Lekarstwa. Poduszke na fotel. Cokolwiek. Pozniej to byla kaczką. Pod koniec swieze przescieradla, gdy nie mogla utrzymac moczu. I to tez nigdy mi nie przeszkadzalo. Zawsze usmiechala sie do mnie, kiedy cos jej przynioslam, gladzila mnie po wlosach swoimi biednymi napuchnietymi rekami. Nie moglam jej uleczyć ani sprawic, zeby znow biegala czy tanczyla, nie moglam ulzyć jej w bolu ani w strachu, ale moglam sie nia opiekowac, dbac o jej wygode, kontrolowac jej

stan i wykonywanie tych wszystkich czynności było dla mnie ważniejsze... ponad wszystko.

Ta apricot brandy była zbyt słodka, by zasługiwać na miano brandy, ale nie tak słodka, jak tego oczekiwałem. Prawde mówiąc, była całkiem mocna. Jednak żadna jej ilość nie mogła sprawić, żebym zapomniał o swoich rodzicach, a Angela o matce.

-Zawsze chciałam być pielęgniarką - powtórzyła. - I przez długi czas ta praca dawała mi satysfakcję. Kiedy traciłmy pacjenta, była straszna i smutna, ale przeważnie czuliśmy się nagrodzeni. - Uniosła oczy znad kieliszka. Te wspomnienia napelnily je duma. - Boże, tak się bałam, kiedy miałeś zapalenie wyrostka. Myślałam, że stracę mojego małego Chrisa.

-Miałem dziewiętnaście lat. Nie byłem już mały.

-Skarbie, byłam twoją pielęgniarką, od kiedy zostałeś zdiagnozowany jako raczkujące niemowlę. Dla mnie zawsze pozostaniesz chłopcem.

Uśmiechnałem się.

-Też cie Kocham. Angela.

Czasami zapominam, że bezpośredniość, z jaką wyrażam moje najlepsze uczucia, jest niezwykła, że może zaskoczyć ludzi i - jak w tym wypadku - poruszyć ich głębiej, niż się spodziewani. Lzy zasłoniły jej oczy. Powstrzymując je, przygryzła wargę, a po chwili sięgnęła po kieliszek.

Dziewięć lat temu miałem jeden z tych przypadków zapalenia wyrostka, których symptomy ujawniają się dopiero w stanie ostrym. Po śniadaniu cierpiałem na lekką niestrawność. Przed lunchem wymiotowałem, czerwony na twarzy i zły potem. Bole brzucha zwinęły mnie jak krewetkę smażoną w dużej ilości tłuszczu.

Moje życie było w niebezpieczeństwie z powodu zwłoki koniecznej na nadzwyczajne przygotowania w Szpitalu Miłosierdzia. Oczywiście chirurgowie nie uśmiechali się wizja rozcinania mi brzucha i przeprowadzenia operacji w ciemności - ani nawet przy zgaszonym świetle. Lecz moje długotrwałe przebywanie w zasięgu lampy sali operacyjnej z pewnością spowodowałoby nie tylko poważne oparzenia skóry niezabez76

77

pieczonej przed oslepiającym blaskiem, doprowadzając do raka skóry, ale utrudniłoby gojenie się rany pooperacyjnej. Przykrycie ciała poniżej ciecica - od krocza do stop - było łatwe; owinięto mnie potrójną warstwą bawełnianych przescieradeł, zabezpieczonych klamkami, by się nie osuwały. Dodatkowych przescieradeł użyto na wykonanie namiotu nad moją głowę i tors. Miał nie tylko chronić mnie przed światłem, ale od czasu do czasu pozwolić wsunąć się tam anestezjologowi, który w świetle latarki punktowej sprawdziłby ciśnienie krwi, temperaturę, i kontrolował, czy elektrody EKG są na swoim miejscu, na piersi i przegubach, monitorując serce. Standardowa procedura wymagała, by żołądek zasłonięty poza wąskim wycinkiem na nagiej skórze w miejscu operacji, ale w moim przypadku to prostokątne otwarcie zredukowano do możliwie najwęższej szpary. Z pomocą haków samoutrzymujących się, blokujących zamknięcie się ciecica, i taśmy przemysłnie zasłaniającej skórę aż do krawędzi naciecia, osmielono się rozpocząć operację. Moje flaki były gotowe zniesć każdą ilość światła, którą lekarze chcieli mi zaaplikować - ale zanim dotarło w krytyczne miejsce, wyrostek pękł. Mimo metodycznego oczyszczenia wynikło zapalenie otrzewnej; powstał ropień, po którym szybko doszło do wstrząsu septycznego, wymagającego drugiej operacji w dwa dni później.

Po tym, jak doszedłem do siebie po wstrząsie i nie groziła mi bezpośrednio śmierć, miesiącami żyłem w oczekiwaniu, że te przejścia mogą doprowadzić do kłopotów neurologicznych wiązanych się z XP. Przeważnie są spowodowane oparzeniem, długotrwałym skumulowanym wystawieniem na światło lub mogą wystąpić z nieznanymi powodami, ale wygląda na to, że może do nich też doprowadzić silny fizyczny wstrząs lub szok.

Występuje wówczas drżenie głowy lub rak. Utrata słuchu. Zniekształcenie mowy. Nawet uposledzenie umysłowe. Czekalem na pierwsze objawy postępujących nieodwracalnych zaburzeń - ale nigdy się nie pojawiły.

William Dean Howells, wielki poeta, napisał, że śmierć jest na dzień pułapu każdego. Ale w mojej filizance nadal jest jeszcze łyk słodkiej herbaty.

A w kieliszku - likier morelowy.

Angela pociągnęła kolejny łyk i powiedziała:

-Zawsze tylko chciałam być pielęgniarką, ale popatrz na mnie teraz.

Chciała, bym ja zapytał, więc zrobiłem to.

-O co ci chodzi?

-Pielegniarka pilnuje życia - rzekła zahipnotyzowana płomnikami za rubinowym szkłem. - Teraz ja pilnuje śmierci.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi, ale czekałem.

-Zrobiłam straszne rzeczy - powiedziała.

-Na pewno nie.

-Widziałam, jak inni robią straszne rzeczy i nie próbowałam ich powstrzymać.

Jestem tak samo winna.

76

77

-Mogłabys ich powstrzymać, gdybys spróbowała? Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

-Nie - przyznała, ale nadal była przygnębiona.

-Nikt nie potrafi unieść całego świata na swoich barkach.

-Niektórzy z nas mogliby bardziej się postarać.

Nie popędzałem jej. Likier był wysmienity.

-Jeśli mam ci powiedzieć, to teraz. Nie mam dużo czasu. Staje się.

-Staje?

-Czuje to. Nie wiem, kim będę za miesiąc albo pół roku. Kims, kim nie chce być.

Kims, kto mnie przeraża.

-Nie rozumiem.

-Wiem.

-Jak mogę ci pomóc? - spytałem.

-Nikt nie może mi pomóc. Nie ty. Nie ja. Nie Bog. - Przeniósła wzrok z wotywnych świeczek na złoty płyn w kieliszku i odezwała się cicho, ale z naciskiem:

-Pieprzymy to, Chris, jak zawsze to spieprzaliśmy, ale tym razem na większą skalę niż kiedykolwiek. Z powodu pychy, arogancji, zazdrości... marnujemy to, w całości. O, Boże, tracimy to i już nie ma drogi powrotu, nie można odwrócić tego, co się zrobiło.

Chociaż nie belkotała, podejrzewałem, że poprzednio wypila więcej niż kieliszek. Usiłowałem pocieszyć się myślą, że likier wykrzywił jej poczucie rzeczywistości; że bez względu na to, jaka katastrofa dostrzegła, nie był to huragan, ale szkwał wzmocniony łagodnym szumem w głowie.

Jednak udało jej się stworzyć nastrój przeciwwagi do ciepła kuchni wzmocnionego likierem. Już nie rozważałem zdjęcia kurtki.

-Nie mogę ich powstrzymać - powiedziała. - Ale mogę przestać dochowywać ich tajemnic. Zaslugujesz, by dowiedzieć się, co spotkało twoją matkę i ojca, Chris... nawet gdy te wieści sprowadza ból. Twoje życie i bez tego było ciężkie, bardzo ciężkie.

Nie uważam, że bym miał aż tak ciężkie życie. Było odmienne. Jeśli szalałbym z gniewu przeciwko tej odmienności i spędzał noce wzdychając z zalu za tak zwana normalnością, pewnie życie zaciążyłoby mi jak glaz i zmiądzęło swoim

ciezarem. Ale akceptujac odmiennosc i decydujacy sie na rozkoszowanie nia prowadzilem zycie nie ciezsze niz wiekszosc innych, a latwiejsze od niektórych.

Nie powiedzialem o tym slowa Angeli. Jesli kierowala nia litosc, uloze rysy w maske cierpienia i zaprezentuje sie jako postac z czystej tragedii. Bede Makbetem. Bede szalonym Lirem. Bede Schwarzeneggerem z "Terminatora 2", skazanym na kociol plynnej stali.

-Masz tak wielu przyjaciol... ale nic nie wiesz o wrogach - kontynuowala Angela.

-Niebezpiecznych draniach. A niektorzy z nich sa dziwni... Staja sie.

79

Znow te slowa. "Staja sie".Potarlem kark i przekonalem sie, ze pajaki, ktore tam poczulem, byly tworem wyobrazni.

-Jesli czeka cie jakas szansa... jakakolwiek... musisz znac prawde - powiedziala.

-Zastanawialam sie, od czego zaczac, jak ci opowiedziec. Chyba powinnam zaczac od malpy.

-Malpy? - powtorzylem, przekonany, ze zle ja uslyszalem.

-Malpy - potwierdzila.

W tym kontekście słowo "malpa" miało nieunikniony sens komiczny i zacząłem powątpiewać w trzeźwość Angeli. Podniosła oczy znad kieliszka i były osamotnionymi jeziorami, w których utonęła jakaś żywotna część Angeli Ferryman znanej mi od dzieciństwa. Napotykając ten wzrok - jego ponure szarozielone lśnienie - poczułem, jak jeża mi się włosy na karku i przestałem znajdować jakiegokolwiek komiczne znaczenie w słowie "malpa".

79

12

-To była Wigilia, cztery lata temu - rzekła. - Słońce już zaszło. W kuchni piekłam ciastka. Jedne z kawalkami czekolady. Drugie z maki owsianej i z migdałami. Używałam obu piekarników. Radio było włączone. Chyba Johnny Mathis śpiewał "Silver Bells". Zamknąłem oczy wyobrażając sobie kuchnię w tamtą Wigilię - ale też by mieć pretekst i umknąć przed zaszczutym wzrokiem Angeli.

-Czekałam na Roda. Oboje mieliśmy wolne przez cały świąteczny weekend.

Rod Ferryman był jej mężem.

Ponad trzy i pół roku temu, sześć miesięcy po Wigilii, o której mówiła Angela, Rod popełnił samobójstwo; w garażu wypalił do siebie ze strzelby. Przyjaciele i sąsiedzi byli zaszokowani, a Angela zalamana. Należał do ludzi otwartych, o znakomitym poczuciu humoru; był lubiany, nie miał skłonności do depresji i nie sprawiał wrażenia, by dreczyły go problemy mogące stanowić powód do targnięcia się na życie.

-Tamtego dnia wcześniej ubrałam drzewko - mówiła Angela. - Mieliśmy zjeść kolację przy świecach, otworzyć butelkę dobrego wina, a potem obejrzeć "It's a Wonderful Life". Uwielbialiśmy ten film. Mieliśmy dla siebie podarki, masę drobnych prezencików. Boże Narodzenie to był nasz ulubiony okres w roku, a za prezentami szaleliśmy jak dzieci...

Ucichła.

Gdy odważyłem się popatrzeć, zobaczyłem, że miała zamknięte oczy. Po grymasie twarzy można było sadzić, że szybka jak rtec pamięć oddaliła się od tamtej gwiazdkowej nocy, zbliżając się do czerwcowego wieczoru, gdy Angela znalazła w garażu ciało meza. Światło świec migotało na jej powiekach. Po pewnym czasie otworzyła oczy, ale nadal błędziła gdzieś wzrokiem. Pociągnęła likieru.

-Byłam szczęśliwa - wyznała. - Ciastka pachniały. Muzyka wigilijna.

A z kwaciarni dostałam wielką poinsecję od mojej siostry, Bonnie. Kwiat stał tam, przy końcu lady, niesłychanie czerwony i radosny. Czulałam się cudownie, naprawdę cu80

81

downie. To wtedy ostatni raz tak się czułam... i już nigdy się nie poczuje. Tak... kładłam ciastka na blache, kiedy usłyszałam za sobą ten dźwięk, dziwne ciche cmokanie, a potem jakby westchnienie. Odwróciłam się i na tym właśnie stole siedziała malpa.-Boże święty.

-Rezus z tymi okropnymi ciemnozłotymi oczami. Zupełnie innymi niż zwykle mają. Dziwne.

-Rezus? Znasz gatunki?

-By opłacić chesne za szkole pielęgniarek, pracowałam jako pomocnica w laboratorium pewnego naukowca z UCLA. Rezusy to jeden z gatunków najczęściej używanych do eksperymentów. Widziałam ich wiele.

-I nagle jeden z nich siedział właśnie tu.

-Na stole stała waza z owocami, jabłkami i mandarynkami. Malpa obierała i jadła mandarynke. Ta wielka malpa odkładała skorupki na kupkę, grzecznie, aż miło.

-Wielka? - spytałem.

-Pewnie wyobrazasz sobie malpkę kataryniarza, jedno z tych cudownych stworzonek. Rezusy są inne.

-Ta była większa?

-Miała około sześćdziesięciu centymetrów. Wazyła może kilkanaście kilogramów.

Taka malpa mogła wydać się ogromna, gdyby ujrzało się ją nieoczekiwanie na środku kuchennego stołu.

-Musiałas być bardzo zaskoczona - zauważyłem.

-Bardziej niż zaskoczona. Byłam trochę przestraszona. Wiem, jak te cholery potrafią być silne, mimo niewielkiego wzrostu. Większość jest spokojna, ale od czasu do czasu trafia się jakaś wredna i nie można nad nią zapanować.

-Nie jest to malpa, która ktoś chciałby trzymać w domu.

-Boże, nie. Nikt normalny... przynajmniej według mojej definicji. No coż, przyznaje, że rezusy potrafią być czasem miłutkie, z ich bladymi pyszczkami i krawatka. Ale tamta nie była miłutka. - Wyraźnie zapamiętała ją dobrze, do ostatniego włoska. - Nie, nie tamta.

-Więc skąd się pojawiła?

Angela zamiast odpowiedzieć zesztywniała na krześle i przechyliła głowę na ramię, słuchając odgłosów domu.

Nie docierało do mnie nic nadzwyczajnego. Najwyraźniej do niej też nie. Lecz gdy przemówiła, nie była rozluźniona. Zaciśnęła na kieliszku dłoń chude jak szpony.

-Nie mogłam pojąć, jak to stworzenie dostało się do środka, do domu. Tamtego roku grudzień nie był nadmiernie ciepły. Żadne okno ani drzwi nie były otwarte.

-Nie słyszałaś jej wchodzącej do pokoju?

80

81

-Nie. Hałasowałam blachami, misami do ucierania ciasta. Z radia leciała muzyka. Ale zresztą to dranstwo musiało siedzieć na stole kilka minut, bo zanim zdałam sobie sprawę z jej obecności, zjadła połowę mandarynki.

Omiotła wzrokiem kuchnię, jakby kątem oka zobaczyła jakiś ruch w cieniach na skraju.

Kolejny raz uspokoiła nerwy alkoholem i powiedziała:

-Obrzydliwość... że też ta malpa musiała znaleźć się właśnie tutaj, na kuchennym stole.

Z grymasem na twarzy przesunęła drżącą rękę po wypolerowanej sosnie, jakby kilka włosów stworzenia nadal mogło przylegać do blatu, cztery lata po tym całym incydencie.

-Co zrobilas? - naciskalem.

-Doszlam do tylnych drzwi i otworzylam je z nadzieja, ze ucieknie.

-Ale ona zajadala ze smakiem mandarynke, czujac sie calkiem dobrze tam, gdzie byla - zgadywalem.

-No. Popatrzyła na otwarte drzwi, potem na mnie... i autentycznie sie zasmiala.

Wydala taki cienki chichot.

-Przysiegam, ze od czasu do czasu widzialem smiejace sie psy. Malpy zapewne tez sie smieja.

Angela potrzasznela glowa.

-Nie przypominam sobie, zeby w laboratorium ktoras sie smiala. Oczywiscie, biorac pod uwage, jakie zycie tam wiodly... raczej nie mialy powodow do szampanskiego nastroju.

Popatrzyła niespokojnie na sufit, na którym trzy zachodzace na siebie pierscienie swiatla migotaly jak oczy zjawy; wizerunek trzech rubinowych zniczy na stole.

-Nie wyszła na dwor... - zachecilem ja do kontynuowania.

Zamiast odpowiedziec, wstala, podeszła do tylnych drzwi i sprawdzila, czy zasuwa nadal broni wstepu do srodka.

-Angela?

Dajac mi znak, bym sie uciszyl, odcignela na bok zasłone, wyrzala na patio i zalany swiatlem ksiezycy ogrod, odcignela ja uwaznie, drzac dlonia i tylko na pare centymetrow, jakby spodziewala sie, ze dojrzy przycisnieta do szyby koszmarna twarz, wpatrzona w nia.

Moj kieliszek byl pusty. Siegnalem po butelke, zawahalem sie, a potem odstawilem, nie dolewajac sobie.

-To nie byl tylko smiech, Chris - powiedziala Angela, odwracajac sie od drzwi.

-To byl przerazajacy odglos i nigdy nie potrafilabym ci go dokladnie opisac. To byl zly... zly chichocik podszyty nienawiscia. Och, wiem, co sobie myslisz, ze to tylko zwie82

83

rze, tylko malpa, wiec nie moze byc zla ani dobra. Moze podla, ale nie obdarzona nienawiscia, bo, oczywiscie, zwierzeta moga byc skore do gniewu, ale nie swiadomie wrogie. Tak sobie myslisz. No, a ja ci mowie, ze ona byla bardziej niz podla. Jej smiech to byl najbardziej wrogi glos, jaki slyszalam, najbardziej wrogi i najwstretniejszy... i pelen najgorszego zla.- Rozumiem cie - zapewnilem ja.

Zamiast wrocic do stolu, podeszła do zlewu. Kazdy centymetr szkła w oknie nad nim byl zasloniety, ale pociagnela plaszczyny zoltej materii, upewniajac sie podwojnie, ze calkowicie odgradzaja ja od szpiegujacych oczu.

-Wzielam miotle, bo wyobrazilam sobie, ze przegonie to stworzenie na podloge a potem do drzwi - powiedziala. Odwrocila sie i wbila spojrzenie w stol, jakby malpa siedziala tam nawet teraz. - To znaczy, nie tluklam miotla, tylko machnelam nia w kierunku tego stworzenia. Wiesz?

-Jasne.

-Ale nie wystraszyła sie. Dostala ataku wscieklosci! Cisnela polowke mandarynki, zlapala miotle i chciala mi ja wyrwac. Kiedy nie puscilam, zaczela lezc po kiju prosto na mnie.

-Jezu.

-Naprawde milutka. Byla szybka. Obnazyla zeby i skrzeczala, plula, idac prosto na mnie, wiec puscilam miotle, upadla razem z nia na podloge, a ja cofalam sie, az wpadlam na lodowke.

Teraz tez wpadla na lodowke. Z polek dobiegl przygluszony brzek butelek.

-Była na podlodze, na wprost mnie. Kopnela miotle na bok. Chris, tak była rozwscieczona. Ta wscieklosc nie miala sie w

zaden sposob do niczego, co sie wydarzylo.

Nie skrzywdzilam jej, nawet nie tknelam miotla, ale ani myslala znosic jakies nieuprzejmosci z mojej strony.

-Powiedzialas, ze rezusy sa w gruncie rzeczy lagodne.

-Nie ten. Wargi zjechaly mu z zebow, skrzeczal, rzucal sie na mnie, skakal w gore i w dol, machal lapami wysuwajac pazury, patrzyl na mnie z taka nienawiscia, tlukl piesciami o podloge...

Oba rekawy swetra rozwinely sie czesciowo i wsunela w nie dlonie, chowajac je. Ta zapamietana malpa byla tak zywa, iz Angela miala wrazenie, ze rzuci sie na nia wlasnie tu, wlasnie teraz i odgryzie jej czubki palcow.

-Byla jak troll - powiedziala - jak gremlin, jakies zle stworzenie z bajki. Te ciemnozolte oczy.

Niemal sam je widzialem. Tlacz sie slepia.

-A potem nagle wskakuje na szafka, na lade kolo mnie, wszystko robi w mgnieniu oka. Jest dokladnie tu! - pokazala - obok lodowki, centymetry ode mnie, na wysokosci moich oczu, kiedy odwracam glowe. Syczy na mnie, naprawde syczy, jest blisko, czuje jej oddech, zionie mandarynkami. Wiem...

82

83

Przerwala, wsluchujac sie znow w odglosy domu. Odwrocila glowe w lewo i spojrzala na otwarte drzwi prowadzace do nieoswietlonej jadalni. Jej paranoja byla zarazliwa. A z powodu tego, co przydarzylo mi sie od zachodu slonca, bylem podatny na infekcje. Stezalem na krzesle i przekrzywilam glowe, lowiac uchem wszelkie zlowrogie dzwieki, ktore mogly do mnie dotrzec. Trzy pierścienie odbitego swiatla migotaly bezglosnie na suficie. Zaslony zwisaly w ciszy.

-Jej oddech smierdzial mandarynkami - powiedziala po chwili Angela. - Wciaz syczala. Wiedzialam, ze moglaby mnie zabic, gdyby chciala, jakos zabic, chociaz to byla tylko malpa i wazyla zaledwie cwierc tego, co ja. Kiedy byla na podlodze, moze potrafilabym zdeptac te mala suke, ale teraz byla dokladnie przy mojej twarzy.

Bez trudu wyobrazilam sobie, jakie to bylo potworne. Mewa, chroniac gniazdo na nadmorskim klifie, spada raz za razem z nocnego nieba, wrzeszczy gniewnie i bije twardo skrzydlami, dziobie w glowe i wrywa ci kosmyki wlosow, a wazy ulamek tego, co malpa opisana przez Angele, naprawde jest przerazajaca.

-Zastanawialam sie, czy nie pobiec do otwartych drzwi - powiedziala - ale balam sie, ze to jeszcze bardziej ja rozzlosci. Wiec stalam nieruchomo tutaj. Z plecami opartymi o lodowke. Oko w oko z tym zlym stworzeniem. Po jakim czasie, kiedy upewnilo sie, ze jestem zastraszona, zeskoczyla z lady, przebiegla jak strzala na druga strone kuchni, zatrzasnela drzwi, weszla szybko na stol i wziala nadgryziona mandarynke.

Nalalem sobie jeszcze likieru.

-Wiec siegnelam do tej szuflady przy lodowce - kontynuowala Angela. - Jest w niej tacka z nozami.

Nadal nie odrywajac wzroku od stolu, jak w tamta Wigilie, podwinela rekaw i siegnela do szuflady. Chciala pokazac mi, gdzie sa noze. Nie robiac kroku w bok, musiala pochylic sie i wyciagnac calym cialem.

-Nie zamierzalam jej zaatakowac, tylko wziac sobie cos do obrony. Ale zanim polozylam reke na czymys w szufladzie, malpa znow poderwala sie i wrzasnela na mnie.

Macala w kierunku szuflady.

-Zlapala jablko z wazy i rzucila we mnie - powiedziala. - Naprawde cisnela z calej sily. Trafila mnie w usta. Rozbila warge. - Zaslونila twarz rekami, jakby wlasnie teraz byla atakowana. - Probowalam sie zaslonic. Malpa rzucila we mnie nastepnym jablkiem, potem trzecim i darla sie tak, ze gdyby byly tu jakies krysztalny, rozpryslyby sie w pyl.

-Czy chcesz powiedziec, ze wiedziala, co jest w szufladzie?

Opuscila ramiona, rezygnujac z obronnej postawy.

-No, miala jakies przeczucie, wyczula co tam jest.

-I juz nie probowalas siegnac po noz?Potrzasnela glowa.

-Poruszala sie jak blyskawica. Wydawalo sie, ze potrafi zeskoczyc ze stolu i dopasc mnie znowu, rownoczesnie z tym, jak otworzylabym szuflade, ugryzie mnie w reke, nim zlapie za trzonek noza. Nie chcialam, zeby mnie ugryzla.

-Nawet gdyby nie miala piany na pysku, mogla byc wsciekla - zgodzilem sie.

-Gorzej - powiedziala tajemniczo, znow podwijajac rekawy swetra.

-Gorzej niz wscieklizna? - spytalem.

-Wiec stoje przy lodowce, krew cieknie mi z wargi, jestem wystraszona, probuje sobie wyobrazic, co dalej robic, a tu Rod przychodzi do domu z pracy, mija te drzwi, pogwizduje i wkracza w sam srodek tego wariactwa. Ale nie robi niczego, czego bys sie spodziewal. Jest zdziwiony... ale nie zdziwiony. Taaa, jest zdziwiony, ze spotyka tu malpe, ale nie jest zdziwiony sama malpa. Dopiero spotkanie jej tu wyprowadza go z rownowagi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

-Chyba tak.

-Rod... przeklety... zna te malpe. Nie mowi: "Malpa???" Nie mowi: "Skad, do cholery, wziala sie tu malpa?" On mowi: "O, Jezu". Po prostu: "O, Jezu". Tamtej nocy jest zimno, moze padac, on ma na sobie trencz i wyjmuje pistolet z kieszeni... jakby spodziewal sie czegos w tym rodzaju. To znaczy... no, przychodzi do domu po pracy i jest w mundurze, ale na sluzbie nie nosi broni. Jest pokoj. Na litosc boska, on nie jest w strefie dzialan wojennych. Ma przydzial tuz poza Moonlight Bay, przy biurku, przeklada papiery i twierdzi, ze sie nudzi, tylko przybiera na wadze i czeka na emeryture, a nagle ma przy sobie pistolet, o którym nawet nie wiedzialam, dopoki go nie zobaczylam.

Pulkownik Roderick Ferryman, oficer armii Stanow Zjednoczonych, sluzyl w Fort Wyvern. Baze zamknieto poltora roku temu i teraz stala opuszczona, jedna z wielu wojskowych fabryk, ktore uznano za zbyteczne i zlikwidowano po zakonczeniu zimnej wojny.

Chociaz znalazem Angele - jej meza mniej - od dzieciinstwa, nigdy nie wiedzialem, co dokładnie pulkownik Ferryman robil w wojsku. Moze Angela tez nie wiedziala. Az przyszedl do domu w tamta Wigilie.

-Rod... trzyma bron w prawej rece, ramie wyprostowane sztywno, muszka skierowana prosto na malpe i wyglada na bardziej wystraszonego niz ja. Wyglada groźnie.

Usta sciagniete. Cala krew uciekla mu z twarzy, po prostu uciekla, wyglada jak kosciotrup. Spoglada na mnie, widzi, ze warga zaczyna mi puchnac, mam krew na calym podbrodki i nawet nie pyta o to, patrzy tylko na malpe, nie odrywa od niej oczu. Malpa trzyma ostatni kawalek mandarynki, ale teraz nie je. Patrzy twardo na bron. Rod mowi: "Angie, idz do telefonu. Podam ci numer, na ktory zadzwonisz".

-Pamiętasz go? - spytałem.

84

85

-Nie ma znaczenia. Już jest wyłączony. Poznałam kierunek, bo były te same pierwsze cyfry, co w jego numerze w bazie.-Kazał ci zadzwonić do Fort Wyvern.

-Tak. Ale facet, który odpowiada, nie przedstawia się ani nie mówi, co to za wydział. Mówi tylko "Halo", a ja mówię mu, że dzwoni pułkownik Ferryman. Rod bierze słuchawkę lewą ręką, pistolet wciąż trzyma w prawej. Mówi facetowi: "Właśnie znalazłem tego rezusa, tu, u mnie w domu, w mojej kuchni". Słucha, cały czas patrzeć na malpę, a potem mówi: "Niech mnie diabli porwa, jeśli wiem, ale jest tu jak najbardziej i potrzebuje pomocy, żeby go zapakować".

-A malpa tylko patrzy na to wszystko?

-Rod kończy rozmowę, malpa odrywa te swoje brzydkie ślepki od broni, patrzy prosto na niego, wyzywająco, wściekle i wypluwa z siebie tamten przeklęty odgłos, ten okropny śmiech, od którego skóra ci cierpnie. Potem jakby traci zainteresowanie Rodem i mną, pistoletem. Zjada ostatnią cząstkę mandarynki i zaczyna obierać następną.

Uniosłem kieliszek z likierem, którego sobie dolałem, ale nie upiłem się. Angela tymczasem wroczyła do stołu i podniosła swój do połowy opróżniony kieliszek. Zaskoczyła mnie stukając swoim szkłem o moje.

-Za co pijemy? - spytałem.

-Za koniec świata.

-Od ognia czy lodu? - Żadnych przyjemności tego rodzaju - powiedziała.

Była śmiertelnie poważna.

Jej oczy wydawały się koloru gładkiej szuflady z nierdzewnej stali w kostnicy Szpitala Miłosierdzia, a spojrzenie było aż nazbyt bezpośrednie; spuściła oczy, wpatrując się w kieliszek, który trzymała w dłoni.

-Rod chce, żebym mu powiedziała, co się stało, więc mówię. Ma setki pytań, zwłaszcza dotyczących mojej krwawiącej wargi, docieka, czy malpa mnie dotknęła, ugryzła, jakby nie wierzył w te historie z jabłkiem. Ale nie odpowiada na żadne moje pytanie. Mówi tylko: "Angie, wolalabys nie wiedzieć". Oczywiście, że wolalabym wiedzieć, ale jest jasne, co chce dać do zrozumienia.

-Tajne informacje, tajemnice wojskowy.

-Moj maz wczesniej zajmowal sie sprawami objetymi tajemnica panstwowa, uczestniczyl w tajnych programach, ale myslalam, ze ma to za soba. Powiedzial ze nie moze o tym mowic. Nawet ze mna. Z nikim spoza wydzialu. Ani slowem.

Angela w dalszym ciagu tylko wpatrywala sie w swoj likier, ale ja troche upilem.

Nie smakowal tak dobrze jak poprzednio. Prawde mowiac, tym razem wyczulem na dnie gorycz, co przypomnialo mi, ze pestki moreli sa zrodlem cyjanku.

86

87

Kiedy sie wypilo za koniec swiata, to czlowiek we wszystkim dostrzega potencjalne zlo, nawet w niewinnym owocu. Ulegajac mojemu nieuleczalnemu optymizmowi pociagnalem kolejny dlugi lyk i skoncentrowalem sie tylko na smaku, ktory poprzednio wydal mi sie wyborny.-Nie minal kwadrans, a trzech faceci pojawili sie na telefon Roda - powiedziala Angela. - Musieli przyjechac z Wyvern karetka albo podobnym do niej samochodem, chociaz nie wlaczyli syreny. Zaden nie mial na sobie munduru. Dwaj obeszli dom od tyłu i weszli bez pukania przez kuchenne drzwi. Trzeci musial sforsowac zamek przy drzwiach frontowych i przyszedl stamtad, cicho jak duch; wchodzi do jadalni rownoczesnie z tamtymi dwoma. Rod dalej trzyma pistolet wycelowany w malpe... ramiona trzesa mu sie ze zmeczenia... a tamci trzej, wszyscy, maja bron z bertami usypiajacymi.

Myslalem o cichej, oswietlonej latarniami ulicy przed frontem, czarujacej architekturze domu, magnoliach, kratownicy zaroslej jaszminem. Mijajac ten dom owej nocy, nikt nie zgadlby, ze za jego murami rozgrywa sie osobliwy dramat.

-Wyglada na to, ze malpa sie ich spodziewa - ciagnela Angela. - Nie przejmujecie sie, nie probujecie uciec. Jeden posyla jej belt. Ona pokazuje zebry i syczy, ale nawet nie usiluje wyrwac igly. RzUCA resztki drugiej mandarynki, z trudem probuje przelknac kawalek, ktory ma w gebie, a potem tylko zwija sie na stole, wzdycha i zasypia. Oni wychodza z malpa, a Rod jedzie z nimi i malpa na zawsze znika mi z oczu. Rod wraca dopiero o trzeciej nad ranem, juz po Wigilii, i dajemy sobie prezenty dopiero pozno na Boze Narodzenie, ale wtedy juz jestesmy w piekle i nic nigdy nie bedzie takie samo. Nie ma drogi wyjścia i wiem o tym.

Szybkim haustem wypila resztkę likieru i odstawila kieliszek tak gwałtownym ruchem, że rozległ się dzwiek jak od strzału. Do tej pory okazywała jedynie lek i melancholie, tak głębokie jak rak kości. Teraz z głębszego źródła popłynął gniew.

-Musiałam pozwolić im, żeby wzięli tę cholerną próbkę krwi w dzień po świętach.

-Kto?

-Ci z programu w Wyvern.

-Z programu...?

-I zawsze od tej pory co miesiac biora probke. Jakby moje ciało nie bylo moje, jakbym musiala placic komorne krwia tylko za to, ze pozwalaja mi zyc.

-Wyvern zamknielo poltora roku temu.

-Niecale. Pewne rzeczy nie umieraja. Nie moga umrzec. Bez wzgledu na to, jak byśmy chcieli ich smierci.

Chociaz nazbyt szczupla, wlasciwie na granicy wychudzenia, Angela zawsze byla na swoj sposob piekna. Skora barwy bialej porcelany, lagodnie sklepione czolo, wysokie kosci policzkowe, delikatny nos, wydatne usta bedace przeciwwaga wertykalnych rysow

86

87

twarzy i rozdajace bogactwo usmiechow - te cechy w polaczeniu z nieegoistycznym sercem sprawialy, ze byla piekna mimo to, iz miala rzadkie wlosy, a ciało, ta iluzja niesmiertelnosci, nieco zbyt skapo ukrywalo kosciec. Jednakze teraz jej twarz byla twarda, zimna i brzydka, bo gwałtownie wyostrzona szlifierskimi tarczami gniewu.-Gdybym kiedys odmowila im comiesiecznej probki, zabiliby mnie. Jestem tego pewna. Albo umiesciliby mnie w jakimś zamknietym szpitalu, tam, gdzie mogliby mnie bardziej pilnowac.

-Do czego te probki? Czego oni sie obawiaja?

Juz chciala mi powiedziec, zacisnela usta.

-Angela?

Ja sam co miesiac oddaje probke doktorowi Clevelandowi i Angela czesto mi ja pobiera. W moim przypadku chodzi o kontrole, gdyz na podstawie odpowiedniej analizy krwi da sie wykryc wczesne oznaki raka skory i siatkowki. Chociaz oddawanie krwi bylo bezbolesne i dla mojego dobra, nie lubilem tych nakluc i moglem sobie wyobrazic, jak bym ich nie cierpial, gdyby byly obowiazkowe, a nie dobrowolne.

-Moze nie powinnam ci mowic - rzekla. - Chociaz musisz wiedziec... zeby sie bronic. Opowiedziec ci to wszystko, to jak zapalic lont. Wczesnej czy pozniej caly twoj swiat wybuchnie.

-Czy malpa byla nosicielem jakiejś choroby? - Zaluje, ze nie chodzi o chorobe. Czy to nie bylyby mile? Moze do tej pory juz bylaby wyleczona. Albo martwa. Wolalabym smierc, niz

to, co nadchodzi.

Porwała kieliszek, zacisnęła w piasku i przez chwilę myślałam, że nim rzuci.

-Malpa wcale mnie nie ugryzła - powtórzyła z uporem - wcale mnie nie zadrapała, nawet mnie nie dotknęła, na łaskę boską. Ale oni nie chcieli uwierzyć. Nawet nie jestem pewna, czy Rod mi uwierzył. Nie chcieli podjąć najmniejszego ryzyka. Zmusili mnie... Rod zmusił mnie do poddania się sterylizacji. Lzy stały jej w oczach, nieruchome, ale drzące jak wiotkie światła w czerwonych zniczach.

-Miałam wtedy czterdzieści pięć lat - powiedziała - i nie miałam dzieci, bo już byłam bezpłodna. Tak bardzo staraliśmy się mieć dziecko... wizyty u lekarzy, terapia hormonalna, wszystko, wszystko... i nic nie skutkowało.

Pod naporem cierpienia w głosie Angeli ledwo mogłam wytrzymać na krześle, patrząc na nią bez ruchu. Miałam ochotę wstać, objąć ją, tym razem samemu wystąpić w roli pielęgniarki.

-A ci dranie i tak zmusili mnie do zabiegu, nieodwracalnego zabiegu, nie tylko podwiązali mi jajniki, ale pocieli mnie, pozbawili wszelkiej nadziei - powiedziała drżącym głosem. Mówiła z trudem, ale była silna. - Miałam czterdzieści pięć lat, zrezygnowałam z nadziei albo udawałam, że zrezygnowałam. Ale mieć to wycięte... Czuję się

88

89

ponizona, bezradna. Nawet nie powiedzieli mi, dlaczego. Dzień po Bożym Narodzeniu Rod zabrał mnie do bazy pod pozorem przeprowadzenia wywiadu o malpie, o jej zachowaniu. Nie chciał zdradzić nic więcej. Był bardzo tajemniczy. Zabrał mnie do tego miejsca... tego miejsca, o którym nawet większość ludzi w bazie nie wiedziała. Uspili mnie wbrew mojej woli, zrobili operację bez mojej zgody. A kiedy było po wszystkim, te sukinyńki nawet nie powiedziały mi, dlaczego! Odepchnąłem krzesło od stołu i wstałem. Barki miałem obolale, a nogi miękkie w kolanach. Nie spodziewałem się usłyszeć takich zwierzeń. Chociaż bardzo chciałem pocieszyć Angele, nie próbowałem się zbliżyć. Kieliszek z likierem nadal był mocno zamknięty w twardej skorupie jej piasku. Zawzięty gniew wyostrzył niegdys piękna twarz na kolekcję noży. Chyba wtedy nie chciała, żebym jej dotykał. Stałem niezręcznie przy stole przez niekonczące się sekundy, a potem podszedłem do drzwi i sprawdziłem jeszcze raz zasuwę.

-Wiem, że Rod mnie kochał - powiedziała, chociaż gniew w jej głosie nie osłabł.

-To, co musiał zrobić, po prostu zupełnie go zalał. Nigdy już nie był taki jak przedtem.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że uniosła piasek. Plomyki świec wypolerowały ostre rysy

twarzy.

-A gdyby jego zwierzchnicy zrozumieli, jak blisko zawsze byliśmy ja i Rod, wiedzieliby, że nie będzie dalej mógł ukrywać przede mną tajemnic, po tym, kiedy tyle wycierpiałam.

-Wreszcie opowiedział ci wszystko - spróbowałem zgadnąć.

-Tak. I wybaczyłam mu, naprawdę wybaczyłam to, co mi zrobił, ale on wciąż był pograżony w rozpacz. Cała moja sztuka pielęgnarska okazywała się nieprzydatna. Nie mogłam go z tego wydobyć. Był tak zrozpaczony... i przerażony. - Teraz gniew przeplatał się z litością i smutkiem. - Tak przerażony, że już nic go nie cieszyło. Wreszcie zabił się... a kiedy był martwy, nie zostało we mnie już nic, co można by wyciąć.

Opuszczała piasek. Otworzyła ją. Patrzyła długo na kieliszek, a potem ostrożnie postawiła go na stole.

-Angela, co było nie tak z malpa? - spytałem.

Nie odpowiedziała.

W jej oczach tancyły wizerunki plomyków. Poważna twarz wyglądała jak kamienna świątynia ku czci zmarłej bogini. Powtórzyłem pytanie:

-Co było nie tak z malpa?

Gdy Angela odezwała się w końcu, jej głos przeszedł w szept:

-To nie była malpa.

Wiedziałem, że dobrze ją usłyszałem, ale to, co mówiła, nie miało sensu.

-Nie malpa? Ale powiedziałaś...

88

89

-Wydawało się, że to malpa.-Wydawało się?

-I oczywiście to była malpa.

Nie odezwałem się, czując metlik w głowie.

-Malpa i niemalpa - szepnęła. - I to było nie tak.

Wydawała się niespełna rozumu. Zacząłem się zastanawiać, czy jej opowieść nie była

bardziej fantazja niz prawda - i czy Angela zdawala sobie z tego sprawe.

Odwrocila sie od swiec i trafila na moje spojrzenie. Nie byla juz brzydka, ale tez nie odzyskala urody. Jej twarz okrywaly popioły i cienie.

-Moze nie powinnam do ciebie dzwonic. Bylam poruszona smiercia twojego ojca.

Nie myslalam jasno.

-Powiedzialas, ze powinienem wiedziec... zeby sie bronic.

Skinela glowa.

-Tak. To prawda. Musisz wiedziec. Wisisz na takiej cienkiej nitce. Musisz wiedziec, kto cie nienawidzi.

Wyciagnalem do niej rece.

-Angela - poprosilem - chce wiedziec, co naprawde przydarzylo sie moim rodzicom.

-Oni nie zyja. Odeszli. Kochalam ich, Chris, kochalam ich jak przyjaciol, ale oni odeszli.

-Mimo to musze wiedziec.

-Jesli myslisz sobie, ze ktos ma zaplacic za ich smierc... to musisz zdac sobie sprawe, ze nikt tego nie robi. Nie za twojego zycia. Ani nikogo innego. Chocbys nie wiem ile prawdy sie dowiedzial, nikogo nie zmusisz do zaplaty. Chocbys nie wiem ile probowal.

Przylapalem sie na tym, ze cofnalem rece i zacisnalem je na stole w piesci.

Powiedzialem po chwili:

-Przekonamy sie.

-Dzis wieczor rzucilam prace w Milosierdziu. - Po tym wyznaniu jakby sie skurczyla; przypominala dziecko w ubraniu doroslego. Kolejny raz stala sie dziewczynka, ktora przynosila mrozona herbate, lekarstwa i poduszki kalekiej matce. - Juz nie jestem pielegniarka.

-Co zrobisz?

Nie odpowiedziala.

-Zawsze chcialas nia byc - przypomnialem jej.

-W tej chwili to nie ma zadnego znaczenia. Opatrywanie ran podczas wojny to powazne

zadanie. Opatrywanie ran w srodku Armageddonu to glupota. Poza tym staje sie. Staje sie. Nie widzisz?

91

Prawde mowiac, nie widzialem.-Staje sie. Inna ja. Inna Angela. Kims, kim nie chce byc. Kims, o kim nie smiem myslec.

Nadal nie wiedzialem, co sadzic o tych apokaliptycznych zapowiedziach. Czy byla to racjonalna reakcja na tajemnice Wyvern, czy tez rezultat bezgranicznej rozpaczny z powodu utraty meza?

-Jesli chcesz sie o tym dowiedziec, to kiedy juz to nastapi, nie pozostanie ci nic innego jak rozsiasc sie wygodnie, popijac, co lubisz, i patrzec, jak wszystko sie konczy.

-Mimo to, chce wiedziec.

-Chyba wiec nadszedl czas na pogadanke - rzekla z wyrazna niechecia Angela.

-Ale... o, Chris, to zlamie ci serce. - Smutek zniekształcił jej rysy. - Mysle, ze musisz wiedziec... ale to zlamie ci serce.

Odwrocila sie ode mnie i przeciela kuchnie. Ruszyłem za nia. Zatrzymala mnie.

-Musze zapalic troche swiatel, zeby dostac sie do tego, czego mi potrzeba. Lepiej zaczekaj tu. Wszystko przyniose.

Przygladalem jej sie, jak idzie ciemna jadalnia. W pokoju dziennym wlaczyla lampe i zniknela mi z oczu.

Nie mogac usiedziec na jednym miejscu, krazylem po tym pomieszczeniu, na ktore zostalem skazany. W glowie mialem metlik. Malpa byla i nie byla malpa, a jej nietakosc lezala w jednoczesnosci bycia i niebycia. To trzymalo sie kupy tylko w swiecie Lewisa Carolla, w ktorym Alicja lezala na dnie czarodziejskiej dziury Krolika.

Kolejny raz sprawdzilem zasuwe. Zamknieta.

Odsunalem zaslone i zlustrowalem otoczenie. Nie dostrzeglem nigdzie Orsona.

Drzewa sie poruszaly. Powrocil wiatr. Swiatlo ksiezycyca przemieszczalo sie. Wygladalo na to, ze idzie nowy front znad Pacyfiku. Gdy wiatr przeganił postrzepione chmury po obliczu miesiaca, wydawalo sie, ze srebrna swietlistosc faluje po nocnym krajobrazie. Tak naprawde podrozowaly cetkowane cienie chmur i ruch swiatla byl tylko iluzja.

Ogrod przemienil sie w zimowy strumien, a swiatlo szemralo jak woda pod lodem.

Gdzies z domu rozlegl sie krotki bezslowny krzyk. Byl tak kruchy i niepoczieszony jak sama Angela.

91

13

Krzyk wydal sie nie bardziej rzeczywisty niz ruch ksiezycowego swiatla wedrujacego po ogrodzie - duch dzwieku nawiedzajacego pokoj w mojej wyobrazni. Jak malpa rownoczesnie byl i nie byl. Jednakze gdy zaslona na drzwiach wyslizgnela mi sie z rak i osunela na szklo, w domu rozleglo sie przytlumione tapniecie i weszlo drzeniem w sciany. Drugi krzyk byl krotszy i cienszy niz pierwszy, ale niewatpliwie byl to pisk bolu i grozy.

Moze tylko spadla z taboretu i skrecila sobie kostke. Moze slyszalem tylko wiatr i ptaki spod okapu. Moze ksiezyc jest z sera, niebo czekoladowym cukierkiem, a gwiazdy krysztalkami cukru.

Zawolalem glosno Angele. Nie odpowiedziala.

Dom nie byl tak wielki, zeby nie mogla mnie uslyszec. Milczenie bylo zlowrozbne.

Klnac pod nosem, wyjalem glocka z kieszeni. Podnioslem go do swieczki, rozpaczliwie szukajac bezpiecznika. Znalazlem tylko jeden przelacznik, ktory mogl byc tym, czego potrzebowalem. Gdy go nacisnałem, z drobnego otworu ponizej wylotu lufy wyskoczyl intensywny strumien czerwonego swiatla, malujac jasna kropke na drzwiach lodowki.

Tato, potrzebujac broni latwej w obsludze nawet dla lagodnych wykladowcow college'u, zaplacil dodatkowo za laserowy celownik. Zacny czlowiek.

Nie znam sie dobrze na broni, ale wiedzialem, ze niektore modele maja dodatkowy system zabezpieczajacy, dzialajacy na tej zasadzie, ze blokuja spust po odpaleniu i wymagaja za kazdym razem odblokowania. Moze wlasnie trzymalem w reku tego rodzaju bron. Jesli nie, to moze albo nie uda mi sie oddac strzalu, kiedy dojdzie do konfrontacji z napastnikiem, albo przez nieporadnosc sam zrobie sobie krzywde.

Chociaz nie bylem szkolony do tej roboty, tylko ja jeden moglem ja wykonac.

Przyznaje, myslalem o tym, by wydostac sie stamtad, wsiasc na rower, odjechac w bezpieczne miejsce i wykonac anonimowy telefon na policje. Jednakze wtedy nie moglbym nigdy spojrzec w swoje oczy w lustrze - albo nawet w oczy Orsona.

Denerwowalo mnie, ze rece mi sie trzesly, ale bylem pewien jak cholera, ze nie zrobie sobie przerwy na cwiczenia oddechowe albo medytacje.

92

Przeszedłem przez kuchnię do otwartych drzwi jadalni. Po drodze zastanawiałem się, czy nie schować pistoletu do kieszeni i nie wyjąć z szuflady noża. Opowiadając historie o malpie Angela wskazała mi miejsce ich przechowywania. Zwycięzył rozsadek. Miałem nie większą wprawę w posługiwaniu się nożem niż bronią. Poza tym użycie noża, ciecie i dzganie drugiego człowieka wymagało większej bezwzględności niż potrzebnej do naciśnięcia spustu. Wyobraziłem sobie, że zrobię wszystko, co konieczne, gdyby moje życie - lub Angeli - znalazło się na szali, ale nie mogłem wykluczyć ewentualności, że bardziej nadaje się do czystej roboty, jaka było strzelanie, niż do bezpośredniej mokrej roboty, czyli wypatroszenia. Podczas rozpaczliwej konfrontacji wahanie mogło być fatalne. Jako trzynastoletni chłopiec potrafiłem zajrzeć do krematorium, lecz te wszystkie lata później nadal nie byłem gotów oglądać bardziej ponurego przedstawienia w balsamiarni.

Szybko przeciałem jadalnię, kolejny raz przywołując Angele. Kolejny raz nie odpowiedziała. Nie zamierzałem wolać jej po raz trzeci. Jeśli w domu był jakiś intruz, za każdym wezwaniem ujawniałbym swoją pozycję.

W pokoju dziennym nie zatrzymałem się, by wyłączyć lampę, ale obszedłem ją szerokim łukiem odwracając twarz. Mrużąc oczy przed klującym deszczem światła w holu, zerknąłem przez otwarte drzwi do gabinetu. Nie było tam nikogo. Zauważyłem uchylone drzwi toalety. Otworzyłem je na oścież. Nie potrzebowałem włączać światła, by zobaczyć, że tam też nie było nikogo.

Czując się nagi bez czapki, która zostawiłem na kuchennym stole, wyłączyłem plafoniere w holu. Zapadł błogosławiony półmrok. Spojrzałem w kierunku podestu polpietra, gdzie zacięzione schody zawracały i znikaly wyżej. Na ile mogłem to ocenić, na pietrze nie paliły się lampy - co mi odpowiadało. Moje nawykanie do ciemności oczy były teraz największym sprzymierzeńcem.

Miałem ze sobą telefon komórkowy. Ruszając w górę schodów rozważałem, czy wezwać policję. Jednak po tym, jak nie stawiałem się na umówione spotkanie, Lewis Stevenson mógł mnie szukać i w takim razie sam odebrałby telefon. Może łysy z kolczykiem też wybrałby się na przejazdke.

Manuel Ramirez nie mógł mnie wesprzeć, bo tego wieczoru był funkcjonariuszem dyżurnym, przypisanym do komisariatu. Jak przypuszczałem, oprócz Stevensona współudział w przestępstwie mieli też inni gliniarze z Moonlight Bay; być może każdy pracownik policji, poza Manuelem, uczestniczył w zмовie. Prawde mówiąc, mimo naszej przyjaźni jemu też nie mogłem ufać, dopóki nie dowiedziałem się dużo więcej o sytuacji.

Wchodząc po schodach ująłem Glocka w obie ręce, gotów wykorzystać laserowy celownik, gdyby ktoś się poruszył. Ciągłe powtarzałem sobie, iż odgrywanie bohatera nie znaczy, że mam omyłkowo zastrzelić Angele.

Zawrocilem na podejscie. Gorna czesc schodow byla ciemniejsza niz dolna. Zadne dalekie swiatlo z pokoju dziennego nie siegalo tak daleko. Wchodzilem szybko i cicho. Serce nie pracowalo na wolnych obrotach, bylo niezle podkrecone, ale ze zdziwieniem poczulem, ze wibracja nie osiagnela maksimum. Zaledwie wczoraj nie wyobrazilbym sobie, ze moge przystosowac sie tak szybko do bezposredniego zagrozenia. Zaczalem nawet rozpoznawac w sobie niepokojacy entuzjazm, podniecenie w obliczu niebezpieczenstwa!

Czworo drzwi wychodzilo na gorny korytarz. Troje bylo zamkniete. Zza czwartych, najdalszych od schodow, bilo lagodne swiatlo. Nie podobalo mi sie, ze mam minac zamkniete pokoje nie sprawdzajac, czy sa puste. Oznaczaloby to, ze narazam sie na atak z tyłu.

Jednakze biorac pod uwage XP, a zwlaszcza to, jak szybko oczy pieka mnie i zachodza lzaami, gdy sa narazone na jaskrawe swiatlo, moglbym przeszukac tamte przestrzenie tylko z pistoletem w jednej rece, a latarka punktowa w drugiej. Byloby to niewygodne, czasochlonne i niebezpieczne. Za kazdym wejsciem do pokoju, bez wzgledu jak nisko bym przykucnal i jak szybko sie poruszal, latarka natychmiast ujawnilaby moja lokalizacje kazdemu napastnikowi, zanim znalazlbym go waskim strumieniem swiatla.

Moim najwiekszym pragnieniem bylo wykorzystac wlasne silne punkty, to znaczy pozostac w ciemnosci, wtopic sie w cienie. Sunac bokiem wzdluz korytarza, rozgladajac sie w obu kierunkach nie wydawalem zadnego dzwieku, podobnie jak i ktos przebywajacy w domu.

Drugie drzwi na lewo byly minimalnie uchylone, a waska struga swiatla niewiele mowila, co jest dalej. Pchnalem drzwi lufa pistoletu.

Glowna sypialnia. Wygodna. Lozko starannie zaslane. Wesoly kolorowy szal spoczywal na oparciu fotela, podnozek przykrywala zlozona gazeta. Toaletka byla zastawiona flakonikami na perfumy. Na jednym z nocnych stolikow palila sie lampka. Zarowka nie dawala mocnego swiatla, ktore jeszcze przycmiewal abazur z ulozonego zakladkowe materialu.

Nigdzie nie dostrzeglem Angeli.

Drzwi garderoby staly otwarte. Byc moze Angela weszla na gore, zeby cos stad zabrac. Dostrzeglem jedynie wiszace ubrania i pudelka z butami.

Drzwi przylegajacej do pokoju lazienki byly uchylone, wewnatrz nie palilo sie swiatlo. Dla kazdego, kto mogl sie w niej znajdowac, stanowilem dobrze widoczny cel. Zblizalem sie ostroznie obrocony bokiem. Celowalem w czarna dziure miedzy drzwiami i oscieznica. Pchnalem drzwi. Otworzyly sie bez oporu.

Jakas won powstrzymala mnie przed wejsciem do srodka.

Poniewaz swiatlo lampki nocnej slabo rozjasnialo przestrzen przede mna, wyjalem z kieszeni latarke. Promien swiatla odslonil czerwona kaluze na bialych plytkach podlogi. Do scian przykleily sie rozbryzgane skrzepy krwi tetniczej.

94

Angela lezala na podlodze jak lachman, z glowa odchylona w tyl, oparta o brzeg sedesu. Oczy miala szeroko otwarte i pozbawione wyrazu jak u zdechlej mewy, ktora kiedys znalazlem na plazy. Na pierwszy rzut oka wygladalo, ze wielokrotnie poderznieto jej gardlo zabkowanym nozem. Nie potrafilem przyjrzec sie temu dokladnie ani dlugo. Czulem nie tylko won krwi. Angela umierajac stracila kontrole nad zwieraczami. Przeciag pograzyl mnie w gestym smrodzie.

Zauwazylem okno otwarte na cala szerokosc. Nie bylo to typowe okienko lazienkowe, ale na tyle duze, ze moglo zapewnic ucieczke zabojcy, ktory musial byc obficie spryskany krwia ofiary. Moze to Angela zostawila okno otwarte. Jesli ponizej byl dach werandy, zabojca mogl tedy wejsc i wyjsc. Orson nie zaszczekal; to okno znajdowalo sie od frontu domu, a pies byl z drugiej strony budynku.

Rece Angeli zwisaly po bokach, zagubione w rekawach swetra. Wygladala tak niewinnie. Wygladala na trzynascie lat.

Porazony bolem, nie mogac opanowac dreszczy, odwrocilem sie. Nie ja przyszedlem tu z pytaniami. Nie ja doprowadzilem do tego, co sie stalo. To ona zadzwonila do mnie i chociaz korzystala z telefonu komorkowego, ktos dowiedzial sie i uznal, ze trzeba ja uciszyc na zawsze i bezzwlocznie. Moze ci bezimienni spiskowcy doszli do wniosku, ze pod wplywem rozpaczy stala sie niebezpieczna. Porzucila prace w szpitalu. Doszla do wniosku, ze nie ma po co zyc. I przerazalo ja, ze "staje sie", cokolwiek by to znaczylo. Byla kobieta nie majaca niczego do stracenia, poza ich kontrola. Zabiliby ja, nawet gdybym nie zareagowal na telefon.

Jednak ogarnelo mnie poczucie winy. Tonalem w zimnych pradach, pozbawiony oddechu, dyszalem bezradnie. Ogarnely mnie mdlosci, falowaly w moich wnetrznosciach jak tluste oslizgle wegorze, wspiely sie w gore przelyku i niemal wskoczyly do gardla. Zacisnalem szczeki, przelknałem slinę i zepchnalem je w dol.

Chcialem wydostac sie stamtad, ale nie moglem sie poruszyc. Miazdzyl mnie ciezar grozy i poczucia winy. Prawe ramie obciazone bronia zwisalo jak lina sondy. Latarka zacisnieta w lewej dloni rysowala na scianie pogmatwane wzory. Nie rozumowalem jasno.

Gestwina mysli przewalala mi sie w glowie jak splatane wodorosty w brudnej fali przyplywu.

Zaterkotal telefon na blizszym stoliczku.

Nie zbliżyłem się do niego. Miałem przedziwne wrażenie, że dzwoni ten głęboko oddychający ktoś, kto zostawił wiadomość na sekretarce, i teraz wciągając powietrze spróbuje ukrącić jakieś żywotne elementy mojego organizmu, jakby mógł wyssać i przewlec na drugi koniec linii telefonicznej samą duszę. Nie chciałem usłyszeć tego basowego, dziwnego, pozbawionego melodii mruczanda.

94

Chociaż aparat wreszcie zamilkł, natarczywe dzwonięcie wreszcie rozjaśniło mi w głowie. Wylaczyłem latarkę, wsunąłem ją do kieszeni, uniosłem pistolet cięższy w dłoń - i zdałem sobie sprawę, że ktoś włączył światło w górnym holu. Poprzednio widząc otwarte okno i krew na ramie założyłem, że jestem w domu sam z trupem Angeli. Myliłem się. Intruz nadal był obecny - czekał na drodze do schodów.

Zabójca nie mógł wyslizgnąć się z łazienki przez sypialnię. Zostawiłby gęsty krwawy ślad na kremowym dywanie. Ale czemu miałby uciekać z górnego pietra, by natychmiast wracać parterowymi drzwiami lub oknem? Jeśli po ucieczce zmieniłby zdanie co do potencjalnego świadka, zdecydował się wrócić i pozbyć mnie, nie obwieszczałby przybycia włączając światło. Wolałby dopaść mnie z zaskoczenia.

Zmrużyłem oczy przed światłem i ostrożnie wysunąłem się na korytarz. Był pusty.

Gdy wszedłem na górę, trzy pary drzwi były zamknięte. Teraz stały szeroko otwarte. Bil z nich oslepiający, groźny blask.

96

97

14

Cisza jak krew z rany saczyła się z parteru na korytarz pietra. Potem dobiegł mnie dźwięk, ale pochodził z zewnątrz; jęklive zawodzenie wiatru pod okapem. Wyglądało na to, że toczy się dziwna gra. Nie znałem jej zasad. Nie znałem przeciwnika. Byłem załatwiony.

Wylaczyłem światło i korytarz wypełniła uspokajająca fala cieni, przez co blask otwartych pokoi wydał się tym jaskrawszy.

Chciałem pobiec do schodów. Na dół, na dwór, byle dalej. Lecz tym razem nie śmiałem zostawić za sobą niesprawdzonych pokoi. Skonczyłbym jak Angela, z podejrzanym gardłem, zaatakowany od tyłu.

Moja największa szansa na przeżycie było zachowanie spokoju. Trzeba logicznie myśleć. Zbliżyć się ostrożnie do każdej drzwi. Wyjść z domu krok po kroczku. Przez cały czas mieć pewność, że nikt nie może zaatakować mnie od tyłu.

Mniej mruzylem oczy, pilniej nasluchiwałem, nie usłyszałem niczego i podszedłem do drzwi naprzeciwko sypialni. Nie przekroczyłem progu, ale zatrzymałem się w cieniach, lewa dłoń jak daszkiem czapki chroniąc oczy przed bijącym ostrym światłem.

To byłby pokój syna lub córki Angeli, gdyby mogła mieć dzieci. Ale teraz znajdowała się tu pracownia, z szafa narzędziowa z wieloma szufladami, wysokim barowym stolikiem w glebi, dwoma wysokimi stolami roboczymi ustawionymi w "L". Tu spędzała czas poświęcając się swojemu hobby, robieniu lalek.

Szybko rozejrzałem się po korytarzu. Nikogo nie dostrzegłem.

Ruszaj się. Nie ułatwiał życia zbrojcy - nakazywałem sobie w myślach.

Pchnąłem do oporu drzwi pracowni. Nikt się za nimi nie krył.

Wszedłem szybko do jasno oświetlonego pomieszczenia, ustawiając się bokiem do korytarza. Kontrolowałem obie strony.

Angela była znakomitym rzemieślnikiem, czego dowodziły lalki umieszczone na polkach etażerki w glebi pracowni. Przystroiła je w bogato zaprojektowane, nadzwyczaj starannie wykonane kostiumy, szyte przez nią sama; stroje kowboja i jego dziewczyny,

96

97

stroj marynarski, stroj balowy ze sztywnymi halkami... Jednakże cudem zrecznosci były twarze lalek. Wyrzeźbiła każdą główkę cierpliwie, z prawdziwym talentem i wypaliła w piecu stojącym w garażu. Niektóre miały glazurę matową. Inne lśniące. Wszystkie pomalowała ręcznie z taką dbałością o szczegóły, że twarze wyglądały jak prawdziwe. Przez lata sprzedawała niektóre lalki, a wiele rozdawała. Pozostałe były wyraźnie jej ulubienicami i nie mogła się zdobyć na rozstanie. Nawet w tych okolicznościach, przygotowany na pojawienie się psychopaty z zabkowanym nożem, zauważyłem, że każda twarz była inna - jakby Angela nie tylko robiła lalki, ale z miłością wyobrażała sobie twarze dzieci, których nigdy nie nosiła w łonie.

Wylaczyłem sufitową lampę, zostawiając tylko oświetlenie robocze. W nagle rozdętych cieniach lalki jakby poruszyły się na polkach. Sprawiały wrażenie, że chcą zeskoczyć na podłogę. Ich namalowane oczy - jasne, z iskierkami odbitego światła, inne o przenikliwym mrocznym spojrzeniu - wydawały się czujne i uważne.

Miałem strasznego pietra.

Ale to przecież tylko lalki. Nie mogły zrobić mi krzywdy.

Cofnałem się na korytarz, skierowałem glocka na lewo, na prawo, jeszcze raz na lewo. Nikogo.

Następne drzwi prowadziły do łazienki. Gdy zmrużyłem powieki, broniąc się przed oslepiającym błyskiem porcelany, szkła, luster i złotych płytek, udało mi się zajrzeć w każdy kąt. Nikt tam nie czekał.

Sięgnąłem do wyłącznika. Za mną rozległ się jakiś hałas. Dochodził z głównej sypialni. Szybkie postukiwanie, jakby klykciami o drewno. Katem oka dostrzegłem ruch.

Odwrociłem się w tamtym kierunku unosząc glocka dwurecznym chwytem, jakbym, do diabła, znalazł się na tym, imitując Willisa, Stallone'a, Schwarzeneggera, Eastwooda i Cage'a z setki filmów "zabili go i uciekł", jakbym faktycznie wierzył, że oni, do diabła, znali się na tym. Spodziewałem się ujrzenia ogromnej postaci, szalonego oka, uniesionego ramienia, spadającego łukiem noża, ale nadal byłem sam w korytarzu.

Ruch, który widziałem, to zamykanie od środka drzwi głównej sypialni. W malejącym trójkącie światła między skrzydłem i ościeżnicą czaił się, wibrował, kulil wykreślony cień.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem jak skarbiec bankowy.

Tamten pokój pozostał pusty, kiedy z niego wychodziłem, i nikt nie przeszedł obok mnie, odkąd znalazłem się na korytarzu. Mogł tam być tylko morderca - i tylko gdyby wrócił łazienkowym oknem z dachu werandy, na którym się ukrył, kiedy odkryłem ciało Angeli. Jednakże jeśli zbrojca był już wcześniej w sypialni, nie mógł przeslizgnąć się za mną przed chwilą, by włączyć światła na korytarzu. Więc było dwóch intruzów.

Znalazłem się w potrzasku.

Iść przed siebie czy cofnąć się? Parszywy wybór. I tu, i tam ładowałem w gnoju po szyję, a nie miałem nawet gumiaków.

98

99

Tamci oczekiwali, że pobiegne do schodów. Ale bezpieczniej było zrobić coś niespodziewanego, więc bez wahania popędziłem do sypialni. Nie zawracałem sobie głowy galką u drzwi, kopnąłem ją, wylamując zasuwkę i wpadłem do środka trzymając glocka przed sobą, gotów wsadzić cztery albo pięć pocisków we wszystko, co się rusza. Byłem sam.

Nocna lampka nadal się paliła. Żadnych krwawych odcisków na dywanie, więc nikt nie mógł wejść jeszcze raz z zewnątrz do pochłapanej krwi łazienki, a potem wrócić, by zamknąć drzwi na korytarz. Mimo to sprawdziłem łazienkę. Tym razem zostawiłem latarkę w

kieszeni, polegając na dopływie słabego światła z sypialni, bo nie potrzebowałem - ani nie chciałem - oglądać jeszcze raz wszystkich natarczywie narzucających się szczegółów. Mimo ciągle otwartego okna straszliwie śmierdziało. Kształt oparty o sedes to była Angela.

Chociaż mrok zasłonił ją litosciwie, widziałem rozdziawione, jakby w zdumieniu, usta, rozszerzone nieruchome oczy.

Odwrociłem się i popatrzyłem nerwowo przez otwarte drzwi na korytarz. Nikt nie siedział tu za mną. Oglupiał wycofałem się na środek sypialni. Przeciąg z okna łazienki nie był na tyle silny, by zamknąć drzwi pokoju. Poza tym żaden przeciąg nie rzucał wykreconego cienia, który zauważyłem.

Chociaż przestrzeń pod łóżkiem mogła ukryć człowieka, byłby niewygodnie sprasowany między podłogą i sprężynami, a listwy pod materacem wpijałyby mu się w plecy. A zresztą i tak nikt nie wcisnąłby się do tej kryjówki, zanim kopniakiem otworzyłem drzwi pokoju.

Przez otwarte drzwi wyraźnie widziałem garderobę, w której raczej się nie ukrywał żaden intruz. Mimo to przyjrzałem jej się z bliska. Światło latarki ujawniło sufitowy właz na strych. Nawet gdyby krył składane schody, nikt nie miał takiej pajączej zwinności, by wspiąć się na strych i schować się w te kilka sekund, które zajęło mi wybiegnięcie z korytarza.

Po obu stronach wezglowia łóżka były okna z firankami. Sprawdziłem. Zamknięte od wewnątrz. Nie wyszedł tamtędy, ale ja mogłbym. Nie chciałem wracać korytarzem.

Co raz zerkając na drzwi sypialni spróbowałem otworzyć okno. Spoiny futryn i ościeżnicy zamalowano farbą. To były francuskie okna z grubymi szprosami, więc wybitcie szybki nic mi nie dawało, bo i tak nie mogłem wyjść na zewnątrz.

Stałem plecami do łazienki. Nagle poczułem się tak, jakby pajaki lały mi wewnątrz kregosłupa. Oczami wyobraźni ujrzałem za sobą Angele, nie leżącą przy klozecie, ale powstałą, czerwona, ociekająca krwią, z oczami jasnymi i płaskimi jak srebrne monety.

Rana na szyi zagulgoce, gdy trup spróbuje przemówić.

Odwrociłem się, czując rozbiegane mrowki dzikiego przerażenia. Nie było jej za mną, ale oddech ulgi, który buchnął mi z płuc, dowodził, jak głęboko zagnieździła się we

98

99

mnie ta upiorna wizja. I gnieździła się nadal; oczekiwałem, że leżącą w łazience Angele z halasem zerwie się na nogi. Strach o własne życie był teraz większy, niż ból spowodowany jej śmiercią. Angela przestała być dla mnie osobą. Była stworem, samą śmiercią, potworem, którego wizerunek nokautującym ciosem przypomniał mi, że wszyscy kiedyś

umrzemy i zamienimy się w gnoj i proch. Ze wstydem przyznam, że nienawidziłem jej trochę, bo czułem się zobowiązany przyjść na gore i udzielić jej pomocy, nienawidziłem za to, że włożyła mnie w to imadło, nienawidziłem samego siebie za to, że nienawidziłem jej, mojej kochającej pielęgniarki, nienawidziłem za to, że doprowadziła mnie do nienawidzenia samego siebie. Czasem nie ma mroczniejszego miejsca niż wylegarnia własnych myśli; bezkieszykowa polnoc umysłu.

Dłonie miałem lepkie. Kolba pistoletu była śliska od zimnego potu.

Przestałem ścigać duchy i niechętnie wróciłem na korytarz. Czekala na mnie lalka.

To był jeden z największych egzemplarzy, znajdujący się na polkach w pracowni Angeli, ponad półmetrowy. Siedziała na podłodze z rozrzuconymi nogami, zwrócona do mnie twarzą. Padło na nią światło z otwartych drzwi jedynej łazienki, którego jeszcze nie sprawdziłem, tego naprzeciw korytarzowej łazienki. Rece wyciągnęła przed siebie, jakby coś w nich trzymała.

To było niedobre.

Kiedy widzę coś niedobrego, wiem, co widzę, a to było na pewno, całkowicie, że szczerem niedobre.

W filmach taki zwrot w akcji, pojawienie się lalki tego rodzaju, nieuchronnie poprzedza dramatyczne wkroczenie naprawdę wielkiego faceta mającego wrogie zamiary.

Naprawdę wielkiego faceta w superowej masce hokejowej. Albo w kapturze. Dzwigałby jeszcze bardziej superowa piłę lancuchową lub kuszę na sprezone powietrze, a w razie ochoty na coś bardziej niewyrafinowanego, machałby siekierą odpowiednią do ścięcia lba tyranosaurususa rexa.

Zajrzałem do pracowni, nadal w połowie oświetlonej lampą roboczą. Nie czaił się tam żaden intruz.

Dalej. Do korytarzowej łazienki. Była w dalszym ciągu opuszczona. Musiałem skorzystać z toalety. Pora niezbyt odpowiednia. Dalej.

Teraz do lalki. Miała na sobie czarne skórzane kamaszki, czarne dzinsy i czarny T-shirt. Przedmiot, który trzymała w rękach, to była granatowa czapka z dwoma słowami wyszytymi rubinową nitką nad daszkiem: "Pociąg Tajemnica".

Przez chwilę myślałem, że czapka jest podobna do mojej. Potem zorientowałem się, że to moja czapka, zostawiona na kuchennym stole.

Patrzyłem to na szczyt schodów, to na otwarte drzwi jedynej łazienki, którego nie przeszukałem; spodziewając się kłopotów stąd lub stamtąd, wyrwałem czapkę z drobnych

porcelanowych raczek. Nalozylem na glowe.

100

101

W odpowiednim swietle i okolicznosciach kazda lalka moze miec niesamowity albo zlowieszczy wyraz. Tu bylo inaczej, gdyz rysy jej niewypolerowanego oblicza nie wydawaly mi sie szpetne, a jednak czulem, jak marszczy mi sie skora na karku. Nie wystraszyła mnie obecność lalki, ale coś zupełnie innego: miała moja twarz.

Ukształtowano ja na moje podobieństwo.

Byłem jednocześnie wzruszony i ogarnięty niewytłumaczalnym lekiem. Angela na tyle mnie lubiła, że starannie wyrzeźbiła moja twarz, upamiętniła mnie z miłością w jednej ze swoich kreacji i zachowała na polce z ulubienicami. Jednakże niespodziewane zobaczenie takiego wizerunku własnej osoby budzi prymitywne lęki - jakbym dotykając owego fetysza w jednej chwili doprowadzał do uwieszenia w nim swojego umysłu i duszy, podczas gdy jadowity duch, poprzednio ubezwłasnowolniony w lalce, wydostawał się, by zamieszkać w moim ciele. Złośliwie rozradowany uwolnieniem nawiedzałby noc w moim imieniu, rozbijając czaszki dziewczyc i zjadając serca niemowląt.

W normalnych chwilach - jeśli takie chwile się zdarzają - jestem obdarzony niezwykle żywą wyobraźnią. Bobby Halloway mówi z pewnym szyderstwem, że mam w głowie "cyrk z trzystoma arenami". Niewątpliwie jest to cecha odziedziczona po mamie i tacie, którzy byli na tyle inteligentni, że widzieli, iż niewiele da się poznać, na tyle dociekliwi, by nigdy nie przestać się uczyć, i na tyle lotni, by zrozumieć, że we wszystkich istotach i wydarzeniach tkwią nieskonczone możliwości. Kiedy byłem dzieckiem, czytali mi A. A. Milne'a i Beatrix Potter, ale też przekonani, że jestem nad wiek rozwinięty - Donalda Justice'a i Wallace'a Stevensa. Stąd w mojej wyobraźni zawsze klebiły się obrazki z dzieł tych twórców: od dziesięciu różowych paluszków u nog Timothy Tima do ciem podrygujących we krwi. W niezwyklej chwili - takich jak noc kradzieży trupów - mam nazbyt żywą wyobraźnię, żeby mogło mi to wyjść na dobre, a w cyrku z trzystoma arenami w mojej głowie wszystkie tygrysy zabijają treserów i wszyscy klauni ukrywają rzeźnicze noże i złe serca pod workowatymi bluzami.

Dalej!!!

Jeszcze jeden pokój. Sprawdzić, pilnować się przed atakiem z tyłu i prosto na dół schodami. Przesadnie unikając kontaktu z lalką sobowtórem, ominałem ją szerokim łukiem i skierowałem się do otwartych drzwi pokoju naprzeciwko. Gościenna sypialnia, z prostą urządzona.

Nasunąłem czapkę głębiej na czoło i mrużąc oczy przed natarczym blaskiem górnej lampy penetrowałem pomieszczenie; nie wykryłem intruza. Łózko miało boczne listwy i

oparcie nog, za które założono kape, tak że przestrzeń pod skrzynią była widoczna. Zamiast toaletki stała długa komoda z szufladami oraz potężna szafa z parą szuflad obok siebie i wysokimi drzwiami nad nimi. Szafa była na tyle głęboka, że ukryłaby dorosłego mężczyznę z piłą łańcuchową albo bez niej.

Czekała na mnie kolejna lalka. Siedziała na środku łóżka wyciągając ramiona, ale przez całkowitą jasność nie widziałem, co trzyma w różowych dłoniach.

100

101

Wylaczyłem górne światło. Jedną czynną nocną lampkę wskazywała mi drogę. Cofnąłem się do górnego pokoju, gotowy otworzyć ogień z pistoletu do każdego, kto pojawiłby się w korytarzu. Szafa majaczyła na krawędzi mojego pola widzenia. Gdyby drzwi się otwarły, nie potrzebowałbym nawet laserowego celownika, by podziurawić ją 9-milimetrowymi pociskami.

Dopałem do łóżka, by przyjrzeć się lalce. Na każdej odwróconej dłoni było oko.

Nie malowane ręcznie. Nie szklane wyjęte z szafy z gotowymi elementami rzemieślnika. Ludzkie oko.

Drzwi szafy wisiały na grubych zawiasach.

W korytarzu poruszał się tylko czas.

Zamarłem, jak prochy w urnie, ale wewnątrz mnie życie trwało dalej. Serce waliło mi jak nigdy przedtem, nie stukalo przyjemnie - szalalo. Panika gnała mi zylami, jak zwierzątko w kołowrotku.

Kolejny raz popatrzyłem na gałki oczne trzymane w tych wyciągniętych ofiarnym gestem porcelanowych raczkach - nabiegłe krwią oczy, mleczone i wilgotne, zaskakujące i zaskoczone w bezpowiekowej nagosci. Wiem, że jedna z ostatnich rzeczy, które widziały, to biały van, zjeżdżający na pobocze w odpowiedzi na gest kciuka. A potem mężczyźni z ogoloną głową i perła w uchu.

Jednak nie byłem pewien, że tu i teraz, w domu Angeli mam do czynienia z tym samym lysym mężczyzną. Ta zabawa była nie w jego stylu, to drażnienie się, ta gra w chowanego. W jego stylu było niewatpliwie szybkie, okrutne, gwałtowne działanie.

Tu miałem wrażenie, że trafiłem do uzdrowiska dla socjopatycznej młodzieży, w którym psychicznie niezrównoważone dzieci okrutnymi sposobami pokonały strażników i gdy wolność uderzyła im do głowy, wzięły się do zabawy. Prawie slyszalem ukryty śmiech w innych pokojach; srebrzyste dzwonki makabrycznych śmiezków, zduszone lodowatymi raczkami.

Nie potrafilem zdobyc sie na otwarcie szafy.

Przyjechalem tu pomoc Angeli, ale nie bylo dla niej pomocy ani teraz, ani nigdy.

Chcialem tylko zejsc na dol, wyjsc na dwor, wsiasc na rower i odjechac gdziekolwiek, byle daleko.

Ruszylem do drzwi. Zgasly swiatla. Ktos wylaczyl bezpieczniki.

Ciemnosc byla tak nieprzenikniona, ze nawet ja nie przywitalem jej radosnie. Na oknach wisialy geste zaslony i mleczne swiatlo ksiezycyca nie potrafilo znalezc szczeliny, przez ktora mogloby sie wlac. W czerni zalegla czern.

Po omacku szedlem w strone drzwi. W pewnej chwili zboczylem, przekonany, ze ktos jest na korytarzu i na progu dostane pchniecie ostrą klingą. Sluchalem przyklejony plecami do sciany sypialni. Wstrzymywalem oddech, ale nie moglem uciszyc serca, ktore tluklo jak konskie kopyta na bruku, jak sploszona parada hippiczna!; czulem sie zdradzony przez wlasne cialo.

103

Jednak spoza huczacej lawiny serca doslyszalem skrzyp poteznych zawiasow. Drzwi szafy otwieraly sie. Jezuu!!!

To byla modlitwa, nie przeklenstwo. A moze jedno i drugie.

Trzymajac glocka dwurecznym chwytem, wycelowalem znow tam, gdzie, jak sadzilem, stala wielka szafa. Po zastanowieniu skierowalem wylot lufy dziesiec centymetrow w lewo. Tylko po to, aby natychmiast skierowac ja z powrotem w prawo.

Absolutna ciemnosc powodowala dezorientacje. Chociaz przekonany, ze trafie w szafe, nie moglem byc pewien, ze wladuje kule dokladnie w srodek przestrzeni nad szufladami. Pierwszy strzal musial byc celny, poniewaz blysk z lufy wyjawi moja pozycje.

Nie moglem ryzykowac serii strzalow na lewo i prawo. Chociaz grad kul zapewne wykonczylby tego bezimiennego drania, byla szansa, ze tylko go zranie, i mniejsza, ale nadal bardzo realna szansa, ze tylko go wkurze.

Kiedy magazynek pistoletu opustoszeje... co wtedy?

Co wtedy???

Przesunalem sie bokiem na korytarz, ryzykujac spotkanie, ale nie nastapilo.

Przechodzac przez prog zamknalem za soba drzwi, oddzielajac sie od tego kogos, kto wyszedl z szafy - zakladajac, ze skrzyp zawiasow nie byl moim omamem sluchowym.

Światła parteru najwyraźniej miały własny obwód. Blask idący przez klatkę schodową docierał do końca czarnego korytarza.

Nie sprawdzając, kto - jeśli ktoś tam był - wypadnie z pokoju gościnnego, pobiegłem do schodów.

Za plecami usłyszałem odgłos otwieranych drzwi.

Dysząc zbiegłem po dwa stopnie. Byłem prawie na polpietrze, kiedy obok przeleciała miniaturka mojej głowy. Roztrzaskała się o ścianę przede mną. Zaskoczony uniosłem rękę, zasłaniając oczy. Porcelanowy szrapnel rozłożył się tatużem na mojej twarzy i piersiach. Prawa stopa wylądowała na listwie obiegającej krawędź stopnia i zeslizgnęła się. Prawie się wywrocilem, poleciałem w przód uderzając o ścianę polpietra, ale utrzymałem równowagę.

Miażdżąc stopą odłamki mojej porcelanowej twarzy, błyskawicznie odwrocilem się, gotów stawic czoło napastnikowi.

W dół leciało zdekapitowane ciało lalki, ubrane jak należy w pozbawioną ozdóbek czern. Uchyliłem się i przeleciało mi nad głową, uderzyło o ścianę za moimi plecami.

Gdy spojrzałem na ciemny szczyt schodów celując tam z pistoletu, nie było do kogo strzelać - jakby lalka oderwała sobie głowę, rzuciła nią we mnie, a potem cisnęła sama siebie na schody. Światła parteru zgasły.

W groznej czerni rozeszła się won spalenizny.

103

15

Wymacując drogę w nieprzeniknionej ciemności wreszcie znalazłem poręcz. Spocona ręka złapałem się gładkiego drewna i ruszyłem w dół. Gdy szedłem, czern falowała dziwnie, jakby zwijała się i wila wokół mnie. Potem zdałem sobie sprawę, że czułem powietrze, nie ciemność; wezowe prądy ciepłego powietrza unosiły się klatką schodową.

W chwili potem macki, czulki, a wreszcie masa cuchnącego dymu wylała się z dołu na klatkę schodową, niewidzialna, ale obejmując mnie, jak jakiś gigantyczny morski anemon mogłoby objąć nurka. Kaszlałem, dusiłem się, walczyłem o oddech. Zmieniłem kierunek z nadzieją, że ucieknę przez okno pietra, chociaż nie przez sypialnię. Wrocilem na polpietro i wdrapałem się kilka stopni w górę; stanąłem jak wryty. Oczy piekły mnie od dymu, ale przez łzy - i całun dymu - zobaczyłem w gorze pulsujące światło.

Ogień.

Ogień podłożono w dwóch miejscach, na gorze i na dole. Te niewidoczne, chore psychicznie dzieci przystąpiły do swojej szalenczej zabawy. Wyglądało na to, że jest ich wiele. Przypomniał mi się pluton poszukiwaczy, który, zdawało się, wyskoczył spod ziemi przy zakładzie pogrzebowym, jakby Sandy Kirk miał władzę wzywania zmarłych z grobow.

Kolejny raz szybko skierowałem się w dół, wiedziony jedyną nadzieją zaczerpnięcia odżywczego powietrza. Znajde je, jeśli w ogóle mi się to uda, w najniższym punkcie budowli, ponieważ dym i wyloty unoszą się, podczas gdy pożar zasysa z dołu chłodniejsze powietrze, żeby mieć się czym karmić.

Każdy wdech wywoływał spazm kaszlu, pogłębiając wrażenie duszenia się i potęgując panikę, więc wstrzymałem oddech, aż doszedłem do holu. Tam upadłem na kolana, wyciągnąłem się na podłogę i odkryłem, że mogę oddychać. Powietrze było gorące i cuchnęło kwasem, ale jako że wszystko jest względne, smakowało mi stokrotnie bardziej niż ostry świeży powiew napływający z południowej strony Pacyfiku.

Nie spoczałem oddając się respiracyjnej orgii. Zwlekłem na tyle długo, by zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, które oczyszczyły zatkane płuca, i zebrać na tyle śliny w ustach, by wypluć trochę sady.

104

105

Podniosłem głowę próbując powietrza i sprawdzając, jak wysoko sięga cenna strefa. Niewysoko. Od dziesięciu do piętnastu centymetrów. Jednak ta płytka warstwa powinna wystarczyć, by podtrzymać mnie przy życiu, gdy będę szukał drogi wyjścia z domu.

Oczywiście tam, gdzie zajęła się wykładzina, nie będzie żadnej bezpiecznej warstwy powietrza. Światła nadal się nie paliły, dym był oslepiająco gęsty, a ja człgałem się, gorączkowo zmierzając w kierunku, w którym, jak mi się wydawało, były frontowe drzwi - najbliższe wyjście. W mroku wpadłem na kanapę. Tak przynajmniej oceniłem na podstawie dotyku. Znaczyło to, że minąłem lukowate przejście między pomieszczeniami i znalazłem się w pokoju dziennym, przynajmniej dziesięć stopni od kursu, którym, jak sądziłem, podążałem. Świetliste oranżowe pulsowanie przebiegło warstwą stosunkowo czystego powietrza nad podłogą, podświetlając sklebane masy dymu, jakby były to groty błyskawic czyhające nad równiną. Z mojej nadwykładzinowej perspektywy włókna bezowego nylonu przeżyły się jak szerokie pole suchej trawy, kapryśnie rozjasnione elektrycznymi wyladowaniami. To wąskie życiodajne królestwo pod dymem wydawało się innym światem, w który wpadłem przez jakieś drzwi między wymiarami.

Złowieszcze błyski były odbiciami pożaru w innym miejscu pokoju, ale nie rozjaśniały na tyle mroku, by pomóc mi znaleźć drogę wyjścia. Stroboskopowe migotanie tylko zwiększało

dezorientacje i wystraszylo mnie jak diabli. Tak dlugo, jak nie widzialem luny, wmawialem sobie, ze plonie daleki kat domu. Teraz nie moglem juz uciec w samooszukiwanie. Przy tym odbity blask pozaru nic mi nie dawal, bo nie potrafilem ocenic, czy plomienie sa o centymetry czy decymetry, tak ze swiatlo zwiekszalo moj niepokoj, nie dostarczajac wskazowek.

Wdychanie dymu albo mialo gorszy skutek, niz zdawalem sobie z tego sprawe, bo zniekształcalo poczucie czasu, albo pozar rozprzestrzenial sie z niezwykla szybkością.

Zapewne podpalacze uzyli przyspieszacza, moze benzyny.

Zdecydowany wrocic do holu, a potem wyjsc frontowymi drzwiami, rozpaczliwie wciagalem coraz bardziej gryzace powietrze, wbijalem lokcie w wykladzine, podciagajac sie, objajac o meble, az walnałem solidnie w ceglane obramowanie paleniska kominka. Maksymalnie oddalilem sie od holu, a raczej nie wczolgalbym sie do paleniska i kominem w gore jak swiety Mikolaj, powracajacy do san.

Mialem zawroty glowy. Bol rozsadzal mi czaszke skosna linia od lewej brwi do nasady wlosow po prawej. Oczy gryzl dym i skore zalewal slony pot. Juz nie kaszlam, ale dusilem sie ostrymi wyziewami, ktore nasaczaly nawet najczystsze powietrze przy podlodze. Pomyslalem, ze chyba nie przezyje.

Za wszelka cene staralem sie przypomniec sobie usytuowanie kominka w stosunku do przejscia do holu, pelzlem wzdluz krawedzi paleniska, a potem kolejny raz skrecilem w glab pokoju.

104

105

To, ze nie moge znalezc wyjscia, wydawalo mi sie absurdalne. Na litosc boska, to nie byla rezydencja, nie zamek, jedynie skromny dom. Mial siedem pokoi, z ktorych zaden nie byl wielki, oraz dwie i pol lazienki. Nawet najsprytniejszy posrednik sprzedazy nieruchomosci nie potrafilby tak go opisac, by stworzyc wrazenie, ze ksiazce Walii i jego swita mieliby gdzie sie tu rozpierzchnac. Od czasu do czasu w wieczornych wiadomosciach sa relacje o ludziach ginacych w pozarach i nigdy do konca nie wiadomo, czemu nie udalo im sie dobiec do drzwi lub okna, kiedy jedna badz druga osoba znajdowala sie, a jakze, w odleglosci kilkunastu krokow. Chyba ze oczywiscie ofiary byly pijane. Albo pod wplywem narkotykow. Albo na tyle glupie, ze biegly z powrotem w plomienie ratowac Mu?e, koteczke, chociaz ta uwaga moze wydac sie niewdziecznościa z mojej strony, po tym, jak sam w pewnym sensie zostalem tej nocy wyratowany przez kota. Ale teraz zrozumialem okolicznosci tych smiertelnych wypadkow: dym i klebiace sie ciemnosci powodowaly dezorientacje, dzialajac silniej niz narkotyki czy woda, a im dluzej wdychales skazone powietrze, tym bardziej otepialy byl twoj umysl, myslenie stawalo sie chaotyczne, a narastajaca panika

uniemożliwiała skupienie.

Gdy po raz pierwszy wchodziłem po schodach, byłem zdumiony własnym spokojem i koncentracją, mimo świadomości bezpośredniego zagrożenia. A przy tłustej miarce męskiej dumy, tak sycacej jak kubek majonezu, serce nawet wezbrało mi niepokojącym entuzjazmem wobec niebezpieczeństwa!

Jaka różnica potrafi sprawić dziesięć minut. Teraz, gdy brutalnie uswiadomiono mi, że nigdy nie dorównam tym sytuacjom, nawet z połową zimnej krwi Batmana, zew niebezpieczeństwa stracił wabiaca moc.

Nagle coś wypelzło z posepnej czerni, otarło się o mnie i obwachalo mi kark, podbródek; coś żywego! W trzystuarenowym cyrku mojej wyobrazni ujrzałem Angele Ferryman, jak reanimowana przez jakies złe voodoo zbliża się ku mnie wijąc po podłodze i kładzie zimne, krwawe pocałunki na gardle. Brak tlenu stawał się tak dotkliwy, że nawet ten koszmarne obraz nie wstrząsnął mną na tyle, bym zaczął trzeźwiej myśleć i odruchowo nacisnąłem spust pistoletu.

Dzięki Bogu wypalilem niecelnie, bo równo z tym, jak trzask wystrzału rozszedł się echem po pokoju, zdałem sobie sprawę, że zimny nos na gardle i ciepły jezor w uchu należą do mojego jednego, jedyne go psa, mojego wiernego towarzysza, mojego Orsona.

-Cześć, przyjacielu - powiedziałem, z tym że był to tylko pozbawiony sensu skrzek.

Polizal mnie po twarzy. Cuchnął psio, ale naprawdę nie miałem o to do niego pretensji.

Czerwone światło pulsowało jasniej niż kiedykolwiek. Mrugałem wściekle, by odzyskać jasność widzenia, ale i tak zdołałem dojrzec tylko zamazany wizerunek kudłatego lba przycisnietego do podłogi przede mną.

106

Wtem zdałem sobie sprawę, że jeśli on zdołał wejść do domu i mnie znaleźć, mógłby pokazać mi drogę wyjścia, zanim pożar nas dopadnie i zaczniemy wydzielac smród płonacego dzinsu i kudłow. Zebrałem w sobie tyle sił, aby podnieść się na drzających nogach. Tamten uparty wegorz wymiotów znowu podpłynął mi do gardła, ale jak poprzednio przelknąłem slinę, spychając go w dół. Zacisnąłem mocno powieki. Staralem się nie myśleć o fali intensywnego żaru, która nagle mnie objęła. Siegnąłem w dół i złapałem grubą skorzaną obrozę Orsona, co poszło mi łatwo, gdy przyciskał mi się do nogi. Trzymał pysk przy podłodze, gdzie mógł lepiej oddychać i ignorując laskoczący nozdrza dym, wyprowadził mnie z pokoju jak pies przewodnik. Wepchnął mnie na tak niewiele mebli, jak tylko potrafił, i nie mam żadnych podejrzeń, że zabawiał się w samym środku tragedii i sceny grozy. Kiedy walnąłem twarzą w ościeżnicę drzwi, nie wybiłem sobie zębów. Podczas tej krótkiej podróży wielokrotnie dziękowałem Bogu, że doświadczył mnie raczej XP niż ślepotą. Właśnie kiedy myślałem, że zaraz zemdleje, jeśli nie upadnę na podłogę i nie zaczerpne

troche powietrza, poczułem na twarzy zimny przeciąg, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem otoczenie. Byliśmy w kuchni, do której pożar jeszcze nie dotarł. Nie było tu też dymu, bo powiew wpadający tylnymi drzwiami pchał ogień do jadalni.

Na stole zauważyłem wotywnie świeczki w zniczach z rubinowego szkła, kieliszki i otwarta butelka morelowego likieru. Patrzyłem z niedowierzaniem, nie mogłem wprost uwierzyć, że wydarzenia ostatnich chwil nie były tylko koszmarnym snem, i że Angela wciąż tonac w mezoskim swetrze nie siedzi tu ze mną, nie dolewa sobie trunku i nie kończy dziwnej opowieści.

Usta miałem tak wyschnięte i pełne wstępnego smaku, że mało brakowało, a wziąłem ze sobą butelkę. Jednak Bobby Halloway będzie miał piwo i ono posłuży mi znacznie lepiej.

Zobaczyłem, że zasuwka w kuchennych drzwiach była cofnięta. Orson był sprytny, ale nie na tyle, by otworzyć zamek i udzielić mi pomocy. Przede wszystkim nie miał klucza. Najwyraźniej zbrojcy uciekli tą drogą.

Na dworze porzeziłem jakiś czas, pozbywając się ostatnich śladów dymu z płuc.

Wepchnąłem glocka do kieszeni. Nerwowo rozejrzałem się po ogrodku, wypatrując napastników, ocierałem spocone dłonie o spodnie.

Cienie chmur przemknęły po rozjaśnionym księżycem trawniku jak lawice ryb pod srebrną powierzchnią stawu. Poza tym nic się nie poruszało z wyjątkiem wstrząsanej wiatrem roślinności.

Złapałem rower i poprowadziłem go przez patio w kierunku żywego tunelu. Popatrzyłem na dom, zdumiony, że nie jest całkowicie ogarnięty płomieniami.

Z zewnątrz widac było jedynie drobne oznaki pożaru, rozprzestrzeniającego się na kolejne pokoje; jasne winorośla płomieni rozdwajały się na zasłonach dwóch górnych okien, białe płatki dymu rozkwitały z otworów wentylatorów w okapach.

106

Poza loskotem i pomrukiem zmiennego wiatru noc była nienaturalnie cicha. Moonlight Bay nie jest dużym miastem, jednak zwykle ma wyraźne nocne brzmienie - odgłosy dające jadące samochody, daleka muzyka z baru lub dzieciak ćwiczący na gitarze na werandzie, szczekający pies, rozmowy spacerowiczów, śmiech młodzieży z liceum zbierającej się przy sali gier Millennium, w dole, przy Embarcadero Way, od czasu do czasu melancholijny gwizd pociągu pasażerskiego Amtracka lub skład towarowy dojeżdżający do skrzyżowania przy Ocean Avenue... Jednakże nie w tej chwili i nie tej nocy. Równie dobrze moglibyśmy się znajdować w najbardziej martwym zakątku upiornego miasteczka na pustyni Mojave.

Wyglądało na to, że trzask wystrzału w pokoju dziennym nie rozszedł się tu na tyle głośno,

aby zwrocic czyjas uwage.

Prowadzilem rower w azurowym tunelu, chlonac slodka won jasminu. Lozyska kol dzwieczaly cicho, serce walilo mi nie-cicho, gdy szedlem za Orsonem do frontowej furtki. Podskoczyl i otworzyl lapa zasuwe. Widzialem juz wczesniej te sztuczke. Razem pokonalismy sciezke do ulicy idac szybko, ale nie biegiem.

Mielismy szczescie; zadnych swiadkow. Zadnego ruchu ulicznego. I zadnych pieszych.

Gdyby jakis sasiad zobaczyl mnie wybiegajacego z domu, wlasnie gdy budynek stawal w plomieniach, szef Stevenson mialby pretekst, aby zaczac mnie szukac. Aby mnie zastrzelic, kiedy stawilbym opor podczas aresztowania. Bez wzgledu na to, czy stawilbym go, czy nie.

Wsiadlem na rower i trzymajac noge na chodniku obejrzałem sie na dom. Wiatr trzasl liscmi. Przez galezie wielkich magnolii widzialem ogien skaczacy do gornych i dolnych okien.

Pelen zalu i podniecenia, ciekawosci i grozy, smutku i zdumienia pojechalem wzdluz chodnika, kierujac sie do slabiej oswietlonej ulicy. Orson glosno dyszac pedzil u mojego boku.

Dochodzilismy do najblizszej przecznicy, gdy uslyszalem huk; eksplodowaly okna, wypychane nieznosnym zarem.

108

109

16

Gwiazdy miedzy galeziami, swiatlo ksiezycyca filtrowane liscmi, gigantyczne deby, kojaca ciemnosc, cisza nagrobkow - i dla jednego z nas nieustannie intrygujacy zapach ukrytych wiewiurek. Znajdowalismy sie znow na cmentarzu przylegajacym do katolickiego kosciola pod wezwaniem sw. Bernadetty. Moja rower byl oparty o granitowy nagrobek zwieczony aniolem z aureola nad glowa. Siedzialem - bez aureoli - oparty plecami o inny kamien majacy na szczycie krzyz.

Nie przejechalem calej drogi do Bobby'ego Hallowaya, bo dostalem niepohamowanego ataku kaszlu, ktory uniemozliwil mi kierowanie rowerem. Orson tez biegł coraz marniej, gdy pozbywal sie seriami gwałtownych kichniec upartego smrodu pożaru.

Teraz w towarzystwie tlumu zbyt martwego, by mogl czuc sie obrazony, odchrzaknałem pełna sadzy flegma i wyplulem ja miedzy poskrecane powierzchniowe korzenie najblizszego debu z nadzieja, ze nie zabijam tego poteznego drzewa, ktore przezylo dwa wieki trzesien ziemi, burz, pozarow, insektow, chorob i - ostatnio - pasji Ameryki do wznoszenia na kazdym rogu minipasazy handlowych. Smak w ustach nie roznilby sie, gdybym zjadal pierozki

z węglem drzewnym w barszczyku z podpalki grillowej.

Przebywając w płonącym domu krocej niż jego nierozważny pan, Orson doszedł do siebie szybciej. Zanim ja uporałem się z odchrzakiwaniem i wypluwaniem, on już biegł między najbliższymi grobami, starannie tropiąc puszyste ogoniaste gryzonie.

Pomiedzy atakami odchrzakiwania i wypluwania mowilem do Orsona, jeśli się pojawiał, i chwilami unosił szlachetny czarny łeb udając, że słucha. Od czasu do czasu machał ogonem, co miało mnie zachęcić, chociaż często nie potrafił oderwać uwagi od zapachów wiewiórek.

-Do diabła, co wydarzyło się w tamtym domu? - pytałem. - Kto zabił Angele, dlaczego bawili się ze mną, jaki sens miała ta historia z lalkami, czemu po prostu nie podebrnęli mi gardła?

Orson potrząsnął łbem i zrobiłem sobie zabawę z interpretowania jego odpowiedzi.

Nie wiedział. Potrząsnął głową w zdumieniu. Bezradny. Był bezradny. Nie wiedział, dlaczego nie podebrnęli mi gardła.

108

109

-Nie wydaje mi się, że to z powodu glocka. Chce powiedzieć, że było ich więcej niż jeden, przynajmniej dwóch, prawdopodobnie trzech, więc gdyby chcieli, pokonali by mnie. I chociaż podebrnęli gardło Angeli, musieli mieć broń palną. Chce powiedzieć, że to naprawdę dranie, nieprawdopodobnie zdeprawowani zbrojcy. Wylupiają ludziom oczy dla samej zabawy. Nie miałoby skrupułów z użyciem broni, więc nie przestraszyliby się glocka. Orson przekrzywił łeb, rozważał problem. "Może to glock. Może nie. A może jednak tak. Kto wie? A zresztą, co to glock? A co to za zapach? Taki zdumiewający zapach.

Taka cudowna won. Czy to wiewiórcze szczyny? Proszę wybaczyć, panie Snow. Ważne sprawy. Tu mam ważne sprawy do załatwienia".

-Nie wydaje mi się, że podpalili dom chcąc mnie zabić. Naprawdę nie zależało im na tym. Gdyby było inaczej, wykonaliby bezpośrednią akcję. Podłożyli ogień, żeby zamaskować zamordowanie Angeli. To jedyna przyczyna. "Niuch, niuch, niuch-niuch-niuch". Precz resztki zepsutego powietrza płonącego domu, witaj odświeżający zapachu wiewiórki. Precz zło, witaj dobro.

-Boże, ona była taka dobra, tak ofiarna - powiedziałem z goryczą. - Nie zasłużyła na taką śmierć, w ogóle nie zasłużyła na śmierć.

Orson przerwał niuchanie, ale tylko na krótko. "Ludzkie cierpienie. Straszne.

Straszna sprawa. Niedola, smierc, rozpacz. Ale nic nie dalo sie poradzić. Nic nie dalo sie na to poradzić. Taki jest swiat, natura ludzkiej egzystencji. Straszne. Chodz, wachaj ze mna wiewiorki, panie Snow. Poczujesz sie lepiej".

Klucha urosła mi w gardle, nie piekacy zal, ale cos bardziej prozaicznego, wiec odchrzaknałem z gruzlicza gwałtownoscia i wreszcie rozplaszczylem czarna rozgwiezde między konarami drzewa.

-Ciekawe, czy gdyby Sasza tu byla - powiedzialem - czy w tej chwili tak bardzo przypominalbym jej Jamesa Deana?

Twarz mialem zatluszczona i napuchnieta. Otarlem ja dlonia, ktora rowniez byla zatluszczona.

Cienie potrzaszanych wiatrem lisci tanczyly jak cmentarne elfy na cienkiej trawie rosnacej na grobach i na wypolerowanych granitowych plytach.

Nawet w tym szczegolnym swietle widzialem, ze dlon, ktora polozylem na twarzy, byla posmarowana sadza.

-Musze cuchnac pod same niebiososa.

Orson natychmiast stracil zainteresowanie wiewiorczymi zapachami i chetnie podbiegl do mnie. Energicznie obwachal moje buty, nogi, tors, a wreszcie wsadzil mi nos pod pache.

Czasami podejrzewam, ze Orson nie tylko rozumie wiecej, niz spodziewalibysmy sie tego po psie, ale ma poczucie humoru i smykalke do okazywania sarkazmu.

110

111

Na sile wyciagnalem jego nos spod pachy. Przytrzymujac psi leb obiema rekami, powiedzialem:-Sam nie jestes rozyczka, przyjacielu. A w ogole co z ciebie za pies obronny? Moze tamci byli juz w domu, kiedy sie pojawilem, i Angela o tym nie wiedziala. Ale dlaczego nie pogryzles im tylkow, kiedy wychodzili? Jesli uciekali kuchennymi drzwiami, to przechodzili ci przed samym nosem. Czemu nie znalazlem bandy opryszkow wijacych sie w ogrodzie, wypluwajacych flaki i wyjacych z bolu?

Orson wytrzymal spokojnie moj wzrok, a patrzyłem mu gleboko w oczy.

Wstrzasnelo nim pytanie, ukryte oskarzenie. Naprawde wstrzasnelo. Byl psem nastawionym pokojowo. Psem pelnym pokoju, tak. Scigaczem gumowych pileczek, lizaczem twarzy, filozofem i wesolym kompanem. "Poza tym, panie Snow, mialem za zadanie zapobiec wejsci zloczyncow do domu, nie wyjsci. Dobrej podrozy, zloczyncy. A

któ chce ich mieć pod bokiem? Złoczyńców i pchły. Dobrej podróży".

Siedząc nos w nos z Orsonem i wpatrując mu się w oczy poczułem, jak ogarnia mnie wrażenie niesamowitości - a być może było to przelotne szalenstwo - i przez chwilę wyobrazałem sobie, że mogę odczytać jego prawdziwe myśli, różniące się od dialogu, który wymyśliłem w jego imieniu. Różne i niepokojące.

Opuszciliśmy dłonie sciskające jego lebę, ale nie odwrócił się ode mnie ani nie opuścił wzroku.

Ja nie mogłem uciec wzrokiem.

Napomykając o tym Bobby'emu Hallowayowi sprowokowałbym go do rekomendacji lobotomii, a jednak wyczułem, że pies boi się o mnie. Zalał mnie, bo tak bardzo starałem się nie okazać prawdziwej głębi mojego bólu. Zalał mnie, bo nie mogłem wyznaczyć, jak bardzo przerażała mnie wizja życia w samotności. Jednakże jeszcze bardziej bał się o mnie, jakby wyczuwał nadciągającą niszczycielską siłę, której byłem nieswiadomy: wielkie białe rozjarzone koło wielkości góry, które przetoczy się po mnie miażdżąc na proch i kurz.

-Co, kiedy, gdzie? - zastanawiałem się.

Spojrzenie Orsona było przenikliwe. Anubis, psiogłowy egipski bóg grobów, nosiciel serc zmarłych, nie mógłby spoglądać bardziej przeszywająco. Ten mój pies to nie była Lassie ani disneyowska psina o kokieteryjnym sposobie bycia i niewyczerpanym talencie do złośliwych psikusów.

-Czasem - powiedziałem - udaje ci się mnie wystraszyć.

Zamrugnął, pokręcił głową, odskoczył i człapał wokół grobów, z przejęciem obwachu opadłe liście kasztanów, udając, że znów jest tylko psem.

Może to nie Orson mnie wystraszył. Może sam siebie wystraszyłem. Może jego łśniące oczy były lustrami, w których zobaczyłem własne oczy; a może w ich odbiciu ujrzałem prawdę własnego serca, przed którą uciekałem.

110

111

-To była interpretacja à la Halloway - powiedziałem. Orson z nagłym podnieceniem przeczłapał po stosie pachnących liści, nadal wilgotnych po popołudniowym podlewaniu, wsadził w nie głęboko nos, jakby szukał trufli, tłukł ogonem o ziemię. "Wiewiorki. Wiewiorki uprawiały seks. Wiewiorki uprawiały seks, uprawiały seks właśnie tu. Wiewiorki. Właśnie tu! Zapach wiewiorczego podniecenia właśnie tu, panie Snow, tu, chodź powachac tu, chodź powachac, szybko, szybko, szybko, chodź powachac seks wiewiorek".

-Mieszasz mi w głowie - powiedziałem mu.

W ustach nadal miałem smak z dna popielniczki, ale już nie odchrzakiwałem flegmy szatana. Teraz powinienem szybko dojechać do domu Bobby'ego.

Zanim wzięłem rower, uklakłem i odwróciłem się do nagrobka, o który się opierałem.

-Co u ciebie, Noah? Nadal spoczywasz w spokoju?

Nie musiałem używać latarki, by przeczytać napis na kamieniu. Czytałem go już tysiące razy i spędziłem wiele godzin rozpamiętując nazwisko i daty poniżej.

NOAH JOSEPH JAMES

5 VI 1888 - 2 VII 1984

Człowiek o trzech imionach. To nie one napawają mnie zdumieniem; to twoja wyjątkowa długowieczność. Dziewięćdziesiąt sześć lat życia.

Dziewięćdziesiąt sześć wiosen, lat, jesieni, zim.

Wbrew przygniatającemu wskaźnikowi prawdopodobieństwa, jak do tej pory przeżyłem dwadzieścia osiem lat. Jeśli pani Fortuna przyjdzie do mnie z pełnymi rękami, mogę dożyć trzydziestu osmiu. Jeśli lekarze okażą się złymi diagnostykami, jeśli prawa prawdopodobieństwa uległy zawieszeniu, jeśli los weźmie sobie urlop, może dożyje czterdziestu osmiu. Wtedy będę rozkoszował się połową długości życia przyznana Noahowi Josephowi Jamesowi.

Nie wiem, kim był, co robił na ziemi przez większą część stulecia, czy miał jedną żonę, z którą dzielił swoje dni, czy przeżył trzy, czy dzieci, które spłodził, zostały księżmi czy wielokrotnymi zbrojnymi - i nie chce wiedzieć. Wymyśliłem temu człowiekowi bogate i cudowne życie. Wierzę, że wiele podróżował, był na Borneo i w Brazylii, w Mobil Bay w jubileuszowy rok, w Nowym Orleanie podczas Mardi Gras, na skapanych w słońcu wyspach Grecji i w tajemniczym Shangrila, wysoko w twierdzy Tybetu.

Wierzę, że kochał prawdziwie i był głęboko kochany; muzyk, artysta i żeglarz, który przepłynął siedem morz, i śmiało odrzucał wszelkie narzucone ograniczenia jeśli ta 113 kowe były. Tak długo, jak pozostaje dla mnie tylko nazwiskiem, a poza tym jest tajemnica, może odgrywać rolę, która mu wyznacze, a ja zastępczo doświadczam jego bardzo długiego życia w słońcu.

-Hej, Noah, założę się, że kiedy umarzesz tu w 1984 roku, przedsiębiorcy pogrzebowi jeszcze nie nosili broni.

Wstałem i podszedłem do najbliższego grobu, o który opierał się mój rower pilnowany przez

granitowego aniola.

Orson warknal cicho. Nagle stezal, stal sie czujny. Leb uniosl wysoko, postawil uszy.

Chociaz swiatlo bylo slabe, wydalo mi sie, ze podkulil ogon. Poszedlem za spojrzeniem ciemnych slepi i zobaczylem wysokiego przygarbionego mezczyzne, idacego szybkim krokiem miedzy plytami nagrobkowymi. Nawet w lagodzacych cieniu byl zbiorem katow i ostrych krawedzi, jak kosciotrup w czarnym garniturze, jakby jeden z sasiadow Noaha wyszedl z trumny i udal sie z wizyta.

Zatrzymal sie dokladnie w tym rzedzie grobow, w ktorым stalismy ja i Orson, w lewej rece trzymal jakis dziwny przedmiot, ktory przypominal telefon komorkowy z podswietlonym ekranem.

Mezczyzna wystukal cos na klawiaturze. Przez cmentarz przetoczyla sie krotka melodia elektronicznych dzwiekow, ale to nie byly sygnaly przyciskow telefonu.

Wlasnie gdy szarfa chmur zostala zdmuchnieta z ksiezycy, nieznajomy podniosl blizej oczu ekran koloru niedojrzalych jablek, dokladniej przygladajac sie danym, i te dwa zrodla lagodnego swiatla ukazaly dosyc, zebym mogl dokonac identyfikacji. Nie widzialem koloru rudych wlosow ani piwnych oczu, ale wystarczyl znajomy profil pyszczka lasicy i zarys cienkich ust, by dreszcz przelecial mi po kregoslupie; Jesse Pinn, pomocnik przedsiobiorcy pogrzebowego.

Nie zauwazyl Orsona ani mnie, chociaz stalismy zaledwie dziesiec, dwanasie metrow na lewo od niego.

Udawalismy dwa kawalki granitu. Orson juz nie warczal, chociaz westchnienia wiatru w debach z pewnoscia zamaskowalyby jego pomruki.

Pinn podniosl twarz znad przyrzadu, spojrzal w prawo, na sw. Bernadette, a potem jeszcze raz na ekran. Wreszcie ruszyl w kierunku kosciola.

Nadal nie zdawal sobie sprawy z naszej obecności, chociaz bylismy w poblizu.

Popatrzyłem na Orsona.

On popatrzył na mnie.

Mniejsza o wiewiorki. Pospieszylismy za Pinnem.

113

17

Pomocnik Sandy'ego Kirka udal sie na tyly kosciola. Ani razu sie nie obejrzal. Zszedl

szerokimi kamiennymi schodami prowadzacyimi do piwnicy.

Pilnowalismy, by go nie zgubic. Przystanalem zaledwie trzy metry od szczytu schodow, nieco na ukos i nie spuszczałem go z oczu. Gdyby sie odwrocil i spojrzal w gore, zobaczyłby mnie, zanim zniknalbym z pola widzenia, ale nie byl przesadnie ostrożny.

Wydawal sie tak zajety swoimi sprawami, ze wezwanie niebianskich trab i loskot wstawiania z grobu umarłych nie zwrocilby jego uwagi.

Uwaznie przyjrzał sie tajemniczemu przyrzadowi, który miał w dłoni, wylaczyl go i wlozyl do wewnetrznej kieszeni marynarki. Z innej kieszeni wyjal jakis inny przedmiot, ale swiatlo bylo zbyt skape, zebym mogl go zobaczyc. W przeciwienstwie do pierwszego urzadzenia, to "cos" nie swiecilo.

Przez zawodzenie wiatru w listowiu debow dobiegla mnie seria klikniec i zgrzytow. Po nich nastapil ostry trzask, drugi i trzeci. Przy czwartym rozpoznałem to szczegolne urzadzenie. Lockaid. Wytrych pistoletowy. Urzadzenie z cienkim szty?em, wsuwane w dziurke od klucza, pod zastawki. Pociagajac za spust, zwalnia sie stalowa sprezyne, która wciska zastawki.

Kilka lat temu Manuel Ramirez zademonstrowal mi dzialanie lockaida. Owym przyrzadem moga sie poslugiwac wylacznie stroze prawa; jesli posiadaja go osoby cywilne, jest to nielegalne.

Chociaz Jesse Pinn potrafil wymodelowac swoja facjate tak przekonywajaco jak Sandy Kirk spalal ofiary morderstw w piecu krematoryjnym, biorac udzial w niszczeniu dowodow morderstwa, wiec niepodobna, by przejmowal sie regulacjami prawnymi utrudniajacymi posiadanie lockaida. Moze miał swoje zasady. Moze na przyklad przenigdy nie zepchnalby zakonnicy ze skaly do morza. Jednakze przypominajac sobie ostrą twarz Pinna i sztyleci blysk piwnych oczu, gdy tego popoludnia zbliżal sie do okna krematorium, nie postawilbym centa na zycie zakonnicy, bez wzgledu na stosunek zakladu.

Musial uzyc wytrychu pistoletowego piec razy, by podbic w gore wszystkie zastawki i uwolnic zasuwe. Ostrożnie uchylil drzwi i schowal lockaida do kieszeni.

114

115

Po otwarciu drzwi okazalo sie, ze pozbawiona okien piwnica jest oswietlona. Pinn stal w progu okolo minuty. Nasluchiwal, kosciste ramiona pochytil w lewo, zwieszona glowe przekrzywil w prawo, zmierzwione wiatrem wlosy przypominaly wiechec slomy. Nagle wyprostowal sie, jak znieacka ozywiony strach na wroble odrywajacy sie od szkieletu krzyza i wszedl do srodka, zostawiwszy drzwi czesciowo otwarte.

-Zostan - szepnałem Orsonowi.

Zszedłem po schodach, a mój zawsze posłuszny pies za mną. Przyłożyłem ucho do drzwi. Nie usłyszałem żadnych odgłosów. Orson wsunął pysk przez kilkudziesięciocentymetrową szparę i powachał. Chociaż stuknąłem go w łeb, nie cofnął się. Pochyliłem się nad psem i też wsunąłem swój pysk w szparę, nie żeby wachac, ale przyjrzec się, co jest dalej. Mrużąc oczy od blasku jarzeniowych lamp, zobaczyłem pomieszczenie mniej więcej siedem metrów na dwanaście, z betonowymi ścianami i sufitem, obstawione urządzeniami, które służyły kościołowi i skrzydłu, mieszczącemu szkolną niedzielą: piec pieców na gaz, wielki bojler, panele bezpieczników i sterowania światłem oraz maszynaria niewiadomego przeznaczenia.

Jesse Pinn był w trzech czwartych drogi do zamkniętych drzwi w glebi, widziałem jego plecy.

Odsunąłem się do wejścia i wyjąłem z kieszeni oprawkę z okularami. Zapiecie na rzepy odskoczyło z dźwiękiem, który nie wiem dlaczego skojarzył mi się z pierdzącym wezem, bowiem nigdy w życiu nie słyszałem weza puszczonego baka. Moja poprzednio rozbuchana wyobraźnia skreśliła w korytarz z napisem "Skatologia".

Zanim zdążyłem nałożyć okulary i zajrzeć kolejny raz do środka, Pinn znikł w dalszym pomieszczeniu piwnicy. Następne drzwi również były uchylone i płynęło zza nich światło.

-Tu jest betonowa podłoga - szepnałem do psa. - Moje niki nie wydadzą dźwięku, ale twoje łapy będą szurać. Zostan.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do piwnicy. Orson pozostał na zewnątrz, u stop schodów. Może tym razem był posłuszny, bo wiedział, że dalsza wędrówka nie wroży niczego dobrego. Psy mają zmysł węchu tysiące razy ostrzejszy od naszego, dostarczający im więcej danych niż wszystkie ludzkie zmysły razem.

Okulary zabezpieczały mnie przed światłem, przy czym drogę widziałem aż nadto dobrze. Unikalem środka pomieszczenia, trzymałem się blisko pieców i reszty urządzeń, między które mogłem się wcisnąć z nadzieją, że znajdzie tam kryjówkę, gdybym usłyszał powrót Jessego Pinna.

Do tej pory czas i pot zmniejszyły skuteczność kremu ochronnego na twarzy i rękach, ale liczyłem, że zabezpieczy mnie warstwa sadzy. Dłonie kryły mi jakby czarne jedwabne rękawiczki i założyłem, że twarz jest tak samo zamaskowana.

Doszedłem do drzwi wewnętrznych i usłyszałem dochodzące z oddali dwa męskie głosy. Jeden należał do Pinna. Oba były przygluszone i nie mogłem zrozumieć słów.

Zerknałem na drzwi zewnętrzne, zza których spoglądał na mnie Orson. Jedno ucho postawił, drugie położył. Za wewnętrznymi drzwiami było długie, wąskie pustawe pomieszczenie. Palilo się za ledwie kilka górnych świateł, zawieszonych na lanchach między przewodami z wodą i centralnego ogrzewania, ale nie zdjąłem okularów. To pomieszczenie łączyło się z następnym, tworząc literę "L", a następny obszar, otwierający się na prawo, był dłuższy i szerszy niż poprzedni, chociaż również słabo oświetlony. Ta druga część wykorzystywano na magazyn, i tropiąc głosy przeslizgnąłem się obok rzędów kartonów z dostawami, dekoracjami na różne święta czy obchody, oraz szafek pełnych kościelnych zapisków. Wszędzie zebrały się cienie - zgromadzenie mnichów w habitach i kapturach.

Zdjąłem okulary.

W miarę jak się posuwałem, głosy przybliżały się, ale akustyka była zła i nie rozróżniałem słów. Pinn nie krzyczał, chociaż był zły, co wywnioskowałem z tonu cichej groźby, którego używał. Drugi mężczyzna jakby pragnął uspokoić pracownika zakładu pogrzebowego.

Pół pomieszczenia zajmowały rekwizyty złobka betlejemskiego naturalnej wielkości: nie tylko św. Józef i Matka Boska przy kółce z Dzieciątkiem, ale też cała scena holdu z medrcami, wielbładami, osiołkami, owcami i zwiastującymi aniołami. Stajenka była z drewna, a snopki słomy prawdziwe; ludzi i zwierzęta ulepiono z gipsu na cienkim elastycznym drucie i deszczulkach, ubrania i twarze namalował utalentowany artysta, pokrywając wszystko lakierem wodoodpornym, który dawał niezwykle blask, nawet w tym słabym świetle. Sadząc po narzędziach, farbie i innych zgromadzonych materiałach dokonywano zabiegów konserwacyjnych, po których stajenka zniknie pod pokrowcami aż do następnych świąt Bożego Narodzenia.

Zaczynałem wychwytywać strzępy rozmowy Pinna z nieznanym mężczyzną.

Przeszedłem między postaciami, z których wiele górowało nade mną. Czulem się zagubiony, jako że zaden z elementów nie był gotowy do wystawienia; zabrakło właściwych skojarzeń. Jeden z medrców stał twarzą do uniesionej traby anielskiej, a św. Józef pograżył się w rozmowie z wielbładem. Dzieciątko Jezus leżało bez opieki w kółce, stojące z boku na snopkach słomy. Maryja siedziała promiennie uśmiechnięta i z uwielbieniem w oczach, ale obiektem jej admiracji nie było Dziecię, lecz ocynkowane wiadro. Kolejny medrzec zdawał się zaglądać wielbładowi do tyłka.

Przemknąłem kretym szlakiem przez pograżoną w chaosie stajenkę i w końcu ukryłem się za grającym na lutni aniołem. Byłem w cieniach, lecz wyglądając zza jego uniesionego skrzydła, mniej więcej w odległości sześciu metrów ode mnie ujrzałem oświetlonego Jessego Pinna. Rugał innego mężczyznę. Stali w pobliżu schodów prowadzących na parter kościoła.

-Ostrzegano cie - mówił Pinn podnosząc głos, aż przeszedł niemal w warkot.

-Ile razy cie ostrzegano?!

116

117

Początkowo nie dostrzegłem tego drugiego. Był zasłonięty przez Pinna. Mówił cicho, monotonnym, słabo słyszalnym głosem. Pracownik zakładu pogrzebowego zareagował z obrzydzeniem i zaczął chodzić wzburzony, przeczesując ręką potargane włosy. Teraz zobaczyłem, że tym drugim jest ojciec Tom Eliot, proboszcz św. Bernadetty.

-Ty durniu, ty głupie gówno - dławil się wściekłością i goryczą Pinn. - Ty wiecznie belkocący o Bogu kretynie!

Ojciec Tom był niewysoki, pulchny, o wyrazistej, ruchliwej i pomarszczonej twarzy urodzonego komika. Chociaż nie należałem do jego - ani innego - Kościoła, rozmawiałem z nim przy kilku okazjach i zrobił na mnie wrażenie niezwykle dobrodusznego człowieka o autoironicznym poczuciu humoru i prawie dziecięcym entuzjazmie wobec życia. Bez trudu zrozumiałem, dlaczego parafianie go uwielbiali.

Pinn go nie uwielbiał. Unosił szkieletowatą dłoń i wskazał księdza koscistym palcem.

-Rzygac mi się chce na twój widok, ty obłudny skurwysynu.

Ojciec Tom wyraźnie zdecydował się nie reagować na atak.

Finn krzącał ciałem powietrze ostrą krawędzią dłoni, jakby usiłował - z wyraźną bezradnością i wściekłością - nadać swoim słowom kształt, który duchowny mógłby zrozumieć.

-Mamy dość twojego pieprzenia, twojego wtracania się w nasze sprawy. Nie będę ci groził, że sam kopniakami wybije ci zęby, chociaż piekło mi świadkiem, że nic nie sprawiłoby mi większej rozkoszy. Wiesz, nigdy nie lubilem tanczyć, ale z rozkosza zatęczałbym na twojej głupiej mordzie. Ale tym razem żadnych groźb, nie, nie tym razem, już nigdy. Nawet nie będę ci groził, że wysła ich za toba, bo wydaje mi się, że tak naprawdę to by ci się spodobało. Ojciec Eliot, męczennik, cierpiący dla Boga. Och, spodobałoby ci się to... no nie?... być męczennikiem, bez skargi wycierpieć taką paskudną śmierć.

Ojciec Tom stał z pochyloną głową, spuszczonej oczami, rękami przycisniętymi do boków, jakby czekał cierpliwie na minięcie tej burzy. Jego pasywność rozwścieczyła Pinna. Zaciśnął prawą dłoń w pięść i ostrymi kłykami tłukł we wnętrze drugiej dłoni, jakby był zmuszony do bicia. Ogarnięty furia sztychł:

-Obudzisz się któregoś nocy i pokryje cię calego, a może zaskoczy cię w dzwonnicy albo w zakrystii, kiedy jesteś na klęczniku i poddasz się im w ekstazie, w chorej ekstazie, rozkoszując się bólem, cierpiąc dla twojego Boga, cierpiąc prosto na drodze do nieba. Ty

tepy draniu. Ty beznadziejny kretynie. Ty nawet bedziesz modlil sie za nich, modlil sie calym sercem, kiedy beda rozrywali cie na kawalki. No nie, ksiezulku?

Pulchny ksiadz odpowiedzial na to wszystko opuszczeniem oczu i bezslownym znieruchomieniem.

Milczenie wiele mnie kosztowalo. Mialem pytania do Jessego Pinna. Wiele pytan.

Jednak tu brakowalo krematoryjnego ognia, do ktorego moglbym przysunac jego stopy i wymusic odpowiedzi.

116

117

Pinn przestal krazyc i zawisl groznie nad ojcem Tomem.-Koniec z grozbami, ksiezulku. To bez sensu. Tylko rozkoszujesz sie wizja cierpienia dla twojego Pana. Wiec posluchaj, co sie stanie, kiedy nie zejdziesz nam z drogi... wykoncze twoja siostre. Piekna Laure.

Ojciec Tom podniosl glowe i spojrzal Pinnowi w oczy, ale nadal nie odezwal sie slowem.

-Sam ja zabije - obiecal Pinn. - Ta bronia.

Wyjal spod marynarki pistolet, na pewno wieszacy w kaburze na szelkach. Nawet z pewnej odleglosci i w slabym swietle widzialem, ze lufa jest niezwykle dluga.

Obronnym gestem wsadzilem reke do kieszeni kurtki i polozylem na lufie glocka.

-Daj jej spokoj - poprosil ksiadz.

-Nigdy nie damy jej spokoju. Jest zbyt... interesujaca. Po prawdzie, zanim zabije Laure, zgwalce ja. Wciaz z niej ladna babka, chociaz dziwaczeje.

Laura Eliot, przyjaciolka i kolezanka mojej matki, byla naprawde sliczna kobieta.

Chociaz nie widzialem jej od roku, latwo przypomnialem sobie jej twarz. Po tym, jak Ashdon zlikwidowal jej stanowisko pracy, otrzymala zatrudnienie w San Diego. Tato i ja dostalismy od niej list i doznalismy zawodu, gdy nie wpadla, aby sie pozegnac.

Najwyrazniej zmiana pracy to bujda i nadal trzymano ja w naszej okolicy, wbrew woli.

Ojciec Tom odzyskal w koncu glos i rzekl:

-Niech Bog ci pomoze.

-Nie potrzebuje pomocy - odparl Pinn. - Kiedy wsadze jej lufe do gardla, to zanim nacisne

spust, powiem, że jej braciszek spotka się z nią niedługo, spotka się z nią niedługo w piekle, a potem rozwał jej łeb.

-Niech Bóg mi pomoże.

-Co powiedziałeś, księżulku? - spytał szyderczo Pinn.

Ojciec Tom nie odpowiedział.

-Powiedziałeś: "Niech Bóg mi pomoże"? - naigrywał się Pinn. - "Niech Bóg mi pomoże"? Nie pomoże ci, ni cholery. Przecież już nie jesteś jednym z Jego baranów, no nie?

Na to dziwne stwierdzenie ojciec Tom oparł się o ścianę i zakrył twarz rekoma.

Może łkał; nie byłem pewien.

-Wyobraź sobie śliczną buziuchnę twojej siostruni - powiedział Pinn. - A teraz wyobraź sobie powykrecane, polamane kości, a czubek czaszki oderwany.

Wystrzelił w sufit. Lufa była długa; zaopatrzone ją w tłumik i zamiast głośnego huku dał się słyszeć odgłos, z jakim piasek uderza o poduszkę. W tej samej chwili pocisk z twardym BAAAG uderzył w prostokątną osłonę lampy wiszącej dokładnie nad Pinnem. Jarzeniowa rurka pozostała nieuszkodzona, ale lampa zakolysała się dziko na długich lancuchach; lodowate ostrze światła, jak znaca kosa wycięło w pomieszczeniu

118

119

jasny łuk. Choć Pinn się nie poruszył, to w rytmicznie kolyszającym się świetle jego przypominający stracha na wroble cień rzucił się na inne cienie, które załopotwały skrzydłami jak ptaki. Następnie wsunął broń pod pachę. Lancuchy lampy kołowały, ogniwa tłukły o siebie z wystarczającą mocą, by powstało niesamowite dzwonienie, jakby ministranci o jaszczurczych oczach, w nasaczonych krwią sutannach i komezkach wzywali fałszywie brzmiającymi dzwonami na satanistyczną mszę. Piskliwe dźwięki i plasające cienie podnieciły Pinna. Wydał nieludzki krzyk, prymitywny i szalency, określane zwykle kocia muzyka, która czasem budzi cię w środku nocy i kaze zastanowić się nad pochodzeniem naszego gatunku. Gdy wrzasnął, przyskajac obficie ślina, zadał księdzu dwa silne ciosy w splot słoneczny.

Szybko wyszedłem z za anioła grajka, szarpiąc się z glockiem, który zaczepił się o podszewkę kieszeni kurtki.

Ojciec Tom zgwał się w pole, na co Pinn złączył ręce i jak obuchem uderzył w plecy duchownego. Ten upadł na podłogę, a ja wreszcie wyszarpnąłem pistolet. Pinn kopnął księdza w zęba. Podniosłem glocka, włączyłem laserowy celownik. Gdy śmiercionośna

czerwona kropka pojawila sie miedzy lopatkami napastnika, juz chcialem powiedziec "Dosyc!", ale Pinn zaprzestal bicia i cofnal sie.

Zachowalem milczenie, kiedy znow odezwal sie do ojca Toma:

-Jak nie jestes czescia rozwiazania, jestes czescia klopotow. Jak nie chcesz byc czescia przyszosci, wynos sie do diabla.

To zabrzmialo jak kwestia na zejscie ze sceny. Wylaczylem laserowy celownik i wycofalem sie za aniola, w tej samej chwili, w ktorej Pinn odwrocil sie od ojca Toma. Nie zauwazyl mnie.

Jess odszedl droga, ktora przyszedl. Towarzyszylo mu dzwonienie lancuchow, a ten brzek zdawal sie nie pochodzic znad jego glowy, ale wydobywal sie z niego, jakby szarancza krazyla mu we krwi. Cien na zmiane wybiegl przed niego, a potem skakal w tyl, az Pinn minal koszacy miecz swiatla, wtopil sie w ciemnosc i skrecil za rog, w druga czesc pomieszczenia.

Wsunalem glocka do kieszeni. Ukryty w stajence betlejemskiej przygladalem sie ojcu Tomowi Eliotowi. Lezal skurczony u stop schodow, plod rodzacy plod, bol.

Powinienem podejsc i sprawdzic, czy jest powaznie ranny, a takze dowiedziec sie o okolicznosciach bedacych przyczyna zajscia, ktorego wlasnie bylem swiadkiem, ale ze nie chcialem sie ujawnic, pozostalem na miejscu. Nieprzyjaciel Jessego Pinna winien byc moim sprzymierzencem, ale nie moglem miec pewnosc co do dobrej woli ojca Toma. Adwersarze, ksiadz i pomocnik przedsiobiorcy pogrzebowego, byli zamieszani w machinacje tego samego podziemnego swiata, o ktorego istnieniu nie wiedzialem az do tego wieczoru, wiec mieli ze soba wiecej wspolnego niz ze mna. Latwo moglem sobie

118

119

wyobrazic, ze ojciec Tom zobaczywszy mnie, wrzaskiem wezwie Jessego Pinna, a tamten wroci pedem jak na skrzydlach, powiewajac polami czarnej marynarki, wydajac potworne dzwieki spomiedzy cienkich warg. Pinn i jego ekipa najwyrazniej wiezili siostry ksiedza. To dawalo im mozliwosc nacisku na ojca Toma, podczas gdy ja nie mialem na niego zadnego wplywu.

Przeszywajaca dreszczem muzyka kolujacych lancuchow cichla, a miecz swiatla powoli zataczal coraz mniejszy luk.

Bez slowa skargi ksiadz dzwignal sie na kolana. Nie mogl sie wyprostowac.

Zgarbiony jak malpa, ale w zadnym razie nie wygladajacy komicznie ani jesli chodzilo o

oblicze, ani o postawie, z reka na poręczy, ruszył pracowicie stopień po trzeszczącym stopniu na parter kościoła. Pomyslałem, że gdy wreszcie dotrze na szczyt i wyciągnie światła, ja pozostane w takiej ciemności, że nawet św. Bernadetta, cudotwórczyni z Lourdes, mogłaby się wystraszyć. Czas się zbierać.

Zanim wycofałem się między naturalnej wielkości postaci stajenki, po raz pierwszy spojrzałem w oczy grającego na lutni anioła, który stał tuż przede mną, i zobaczyłem, że błękit jego i moich oczu ma ten sam odcień. Patrzyłem na gipsową polakierowaną twarz i chociaż światło było słabe, byłem pewien, że mamy identyczne rysy.

To podobieństwo sparaliżowało mnie i wprowadziło w popłoch. Usiłowałem zrozumieć, jak ten, dosłownie anielski, Christopher Snow mógł tu na mnie czekać. Rzadko widuję swoją twarz w jasnym oświetleniu, ale napotykam jej odbicie w lustrach moich słabo rozjaśnionych pokojów, a tu światło było podobne. To byłem niewatpliwie ja; uszczęśliwiony jak nie ja, wyidealizowany, ale ja.

Od czasu przeżyć w szpitalnym garażu zdawało mi się, że każde zdarzenie i przedmiot mają jakieś znaczenie. Już nie brałem pod uwagę możliwości przypadku.

Gdziekolwiek spojrzałem, świat ociekał niesamowitościami.

Oczywiście, taka była droga do utraty zmysłów; uznanie, że świat, cały świat, to jeden sztuczny spisek zarządzany przez elitę manipulatorów, którzy widzą i wiedzą wszystko. Zdrowi na umyśle pojmują, że ludzie nie potrafią przeprowadzić spisku na wielką skalę, ponieważ nasz gatunek odznacza się takimi cechami, jak brak dbałości o szczegóły, skłonność do wpadania w panikę i niezdolność do trzymania się na kłode. Ledwo udaje się nam zawiązać sznurówki i to w skali kosmicznej. Jeśli w istocie panuje jakiś porządek we wszechświecie, to nie jest naszym dziełem i zapewne nawet nie potrafimy go zglebić.

Ksiądz pokonał jedną trzecią drogi na górę.

Oszolomiony i oglupiały wpatrywałem się w oblicze anioła.

Przez wiele nocy w okresie Bożego Narodzenia, rok po roku jeździłem rowerem ulicą, przy której znajdował się kościół św. Bernadetty. Stajenka stała na frontowym trawniku, każda figura na swoim miejscu, żaden z medrców nie przeprowadzał specjalnego badania wielbłądziej odbytnicy - natomiast anioła nie było. Albo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Narzucało się wytłumaczenie, iż szopka była tak jasno oświetlona, że nie mogłem jej się przyjrzeć; anioł Christopher Snow stanowił część obrazu, ale zawsze odwracałem głowę, mrużąc oczy.

Ksiądz był w połowie schodów i poruszał się szybciej.

Wtedy przypomniałem sobie, że Angela Ferryman chodziła na msze do św.

Bernadetty. Niewatpliwie budujac szopke wykorzystano jej umiejetnosc robienia lalek.

Koniec tajemnicy.

Nadal nie moglem pojac, dlaczego dala moja twarz aniolowi. Jesli juz ktos powinien miec moje rysy, to osiol. Wyraznie miala o mnie lepsze zdanie niz ja sam.

Wyobraznia, niewzywana, ukazala mi ostatni wizerunek Angeli; Angeli siedzacej na podlodze lazienki, siegajacej wzrokiem za Andromede, z odchlona glowa, wsparta na klozecie, z poderzniętym gardlem.

Nagle ogarnelo mnie przekonanie, ze znalazlszy jej zmasakrowane cialo pominalam wazny szczegol. Ogarniety obrzydzeniem na widok skrzepow krwi, scisniety zalem, zszokowany i wystraszony, unikalem jej widoku - tak jak przez lata unikalem widoku jasno oswietlonej szopki przed kosciolem. Zobaczyłem istotny slad, ale swiadomosc go nie zarejestrowala. Teraz podswiadomosc nie dawala mi spokoju.

Gdy ojciec Tom dotarl do szczytu schodow, rozszlochal sie. Siadl na podescie i lkal niepoczony.

Nie moglem dluziej rozpatrywac wizerunku Angeli. Pozniej bedzie czas sie z tym zmierzyc i niechetnie zbadac wspomnienie tamtego teatru makabry.

Od wielblada, przez medrca, sw. Jozefa, osiolka, Matke Boska i baranka cicho przekradalem sie stajenka; minalem sza?i z aktami i kartony z dekoracjami, az wszedlem w krotsza i wezsza przestrzen, gdzie niewiele magazynowano, i ruszyłem do drzwi kotlowni.

Odglosy ksiezej rozpaczy rezonowaly o betonowe sciany, gasly - jeki umeczonyj istoty, ktorej glos ledwo przebija lodowata bariere miedzy tym i nastepnym swiatem.

Ponuro wspomnialam katusze zalu, jakich doswiadczal ojciec w kostnicy Szpitala Milosierdzia w noc smierci mojej matki.

Z przyczyn calkowicie niepojetych ja zachowuje bol dla siebie. Gdy rosnie we mnie jakis rozpaczliwy krzyk, zaciskam szczeki i wysysam z niego energie, a w koncu polykam, niewypowiedziany. We snie zagryzam zeby, az budze sie czasem z obolalymi szczekami - nic dziwnego. Byc moze sniac lekam sie uzyczyc glosu uczuciom, ktorych zdecydowalem sie nie wyrazac na jawie.

Idac podziemiami kosciola spodziewalem sie, ze pomocnik przedsiobiorcy pogrzebowego - woskowy i blad, z oczami przypominajacymi swiezo zaschle krwawe strupy - spadnie na mnie z gory, wzbije sie z cieni obok moich stop lub wyskoczy z drzwi pieca jak diabelek z pudelka. Nie czekal na mnie nigdzie po drodze.

Na dworze podszedł do mnie Orson, wyloniwszy się spod nagrobków, gdzie krył się przed Pinnem. Sądząc po jego zachowaniu, Pinn odszedł. Pies przyglądał mi się z wielką ciekawością - takie przynajmniej odniosłem wrażenie. - Naprawdę nie mam pojęcia, co się tam stało. Nie wiem, co to znaczyło.

Zrobił taką minę, jakby powatpiewał w moje słowa. Miał dar wyrażania powatpiewania; pozbawiony wyrazu pysk, nieruchome oczy.

- Naprawdę - upierałem się.

Z Orsonem drepczącym u boku wróciłem do roweru. Granitowy anioł pilnujący mojego środka lokomocji nie przypominał mnie w najmniejszym stopniu.

Niespokojny wiatr znowu opadł do pieszczącej bryzy i deby stały milczące. Słońce azur chmur migotało na srebrnym księżycu. Chmura jerzyków opadła z kościelnego dachu i zawisała na drzewach, powróciło też kilka słowików, jakby cmentarz bezczęściła obecność Pinna.

Trzymając rower za kierownicę spojrzałem z namysłem na rzędy grobów i zacytowałem: - "...ciemność zgęstniała wokół nich, wreszcie przyjmując postać ziemi". To Louise Gluck, wielka poetka.

Orson mruknął potwierdzająco.

- Nie wiem, co się tu dzieje, ale myślę, że dużo istot umrze, zanim się to skończy... a możliwe, że niektóre z nich to istoty, które kochamy. Może nawet ja. Albo ty.

W spojrzeniu Orsona była powaga.

Popatrzyłem na ulice mojego rodzinnego miasteczka, które nagle wydało mi się dużo bardziej straszne niż miejsce pochówku zmarłych.

- Napijmy się piwa - powiedziałem.

Wsiadłem na rower, Orson zatęczał się na trawie cmentarza i na razie opuściliśmy zmarłych.

123

Część Trzecia Polnoc

123

18

Ten letniskowy domek stanowi idealne miejsce stałego zamieszkania dla takiego chorego

na deske jak Bobby. Stoi na poludniowym cyplu zatoki, daleko wysuniety, jedyna budowla na kilometrze kwadratowym. Wokol rozbijaja sie fale. Z miasta swiatla domu Bobby'ego Hallowaya wydaja sie tak odlegle od swiatel wewnetrznej linii zatoki, iz turysci sadza, ze to lodz kotwiczaca w kanale za wodami przybrzeznymi. Dla wieloletnich stalych mieszkancow domek jest punktem orientacyjnym.

Zbudowano go czterdziesti piec lat temu, kiedy jeszcze dawano pozwolenia na budownictwo przybrzezne; nigdy nie przybylo mu sasiadow, bo w tamtych czasach byla masa tanich terenow wzdluz plazy. Tam wiatr i pogoda byly przyjazniejsze niz na cyplu, byly ulice i mozliwosc korzystania z mediow. Zanim dzialki przybrzezne - a potem wzgorza za nimi - wypelnily sie, Kalifornijska Komisja Brzegowa zakazala wznoszenia domow na cyplach zatoki.

Na dlugo przed tym, jak Bobby wszedl w posiadanie tej wlasnosc, byla ona bezpieczna, zgodnie z zasada, ze prawo nie dziala wstecz. Bobby zamierzal umrzec otulony loskotem fal bijacych o brzeg, w tym wyjatkovym domu - ale dopiero dobrze po polowie pierwszego stulecia nowego tysiaclecia.

Wokol cypla nie biegla zadna asfaltowa ani zwirowana droga, jedynie szeroki kamienny szlak, obrzezony niskimi wydmami. Niepewnie chronila go wysoka, rzadko porosla trawa wydmowa. Cyple obejmujace zatoke sa naturalnymi formacjami, zakrzywionymi przyladkami - pozostalosci pierścienia poteznego wygaslego wulkanu. Sama zatoka to wulkaniczny krater okryty piaskiem naniesionym tysiacami lat przyplywow.

U podstawy poludniowy cypel rozszerza sie na sto, sto trzydziesti metrow, ale u szczytu ma tylko trzydziesti.

Po przebyciu trzech czwartych drogi musialem zsiasc z roweru i isc. Delikatny naniesiony piasek, nie glebszy niz na trzydziesti centymetrow, zalegal na skale. Nie stanowil przeszkody dla kombi Bobby'ego - mialo naped na obie osie - ale kola roweru zapadaly sie.

124

125

Ten spacer byl niezwykle spokojny, zachecal do rozmyslan. Noca na cyplu panowala slodka cisza, ale miejsce wydawalo mi sie nieziemskie; mialem wrazenie, ze przemierzam skalny grzbiet na Ksiezycu i wciaz ogladalem sie w tyl, spodziejajac sie pogoni. Parterowy domek byl z drzewa tekowego, krytego cedrowa dachowka. Zmienna pogoda nadala mu srebrnoszary polysk i drewno przyjmowalo pieszczote ksiezycy, jak kobieta przyjmuje dotknienia kochanka. Z trzech stron otaczala go gleboka weranda pelna bujanych foteli i kanap-hustawek.

Nie rosna tam drzewa. Pejzaz wypelnia jedynie piasek i dzika wydmowa trawa. Ale i tak oko zniecierpliwione najblizszym widokiem preferuje niebo, morze i migocace swiatla

Moonlight Bay, które wydają się bardzo odległe.

Nie spieszyłem się, chcąc uspokoić nerwy. Oparłem rower o frontową poręcz werandy i poszedłem obok domku, na najdalszy punkt cypla. Stałem tam z Orsonem na zwieńczeniu dziesięciometrowego stoku opadającego w stronę plaży.

Fala była tak powolna, że trzeba było mocno się natrudzić, chcąc wspiąć się na jej grzbiet, a jazda trwałaby krótko. Był niewysoki przypyw, chociaż księżyc dochodził ostatniej kwadry. Poza tym fala łamała się nieco z powodu wiatru od morza, na tyle mocnego, że ciał woda, chociaż w miasteczku powietrze nawet nie drgnęło.

Najlepszy jest wiatr od lądu, taki który wygładza powierzchnię oceanu. Porywa pienne grzywy, przedłuża chwilę, w której fala osiąga najwyższy punkt, i sprawia, że grzbiety zawijają się, zanim runą w dół.

Bobby i ja surfujemy od jedenastego roku życia; on dniem, obaj nocą. Wielu surfuje przy świetle księżyca, nieliczni, gdy srebrny talerz zanika, ale Bobby i ja uwielbiamy fale sztormowe, kiedy nawet nie ma gwiazd.

Od małego były z nas dwie pijawki deskowe, maksymalnie wkurzające surfowe kundle, ale nie skończyliśmy czternastki, a już zdaliśmy egzamin na surfowych nazi.

Chorymi na deskę staliśmy się, zanim Bobby skończył liceum, a ja otrzymałem świadectwo ukończenia edukacji domowej. Teraz Bobby jest kims więcej niż chorym na deskę; to surfowy mensch, a ludzie z całego świata zasięgają u niego informacji, gdzie pojawia się następne wielkie fale.

Boże, kocham morze nocą. To czarna przedestylowana w płyn i nigdzie nie czuje się bardziej u siebie niż w tych czarnych falach. Jedyne światło, które wylania się z oceanu, pochodzi od biozaru planktonu, który świeci poruszony, i chociaż bywa, że cała fala jarzy się intensywną cytrynową zielenią, nie szkodzi moim oczom. W nocnym morzu nie ma niczego, przed czym musiałbym się ukrywać lub od czego musiałbym chociażby odwracać wzrok.

Zanim doszedłem do chaty, Bobby stał w otwartych frontowych drzwiach. W imię naszej przyjaźni wszystkie światła u niego są na ściemniaczach; teraz zmniejszył je do poziomu blasku świec.

124

125

Nie mam pojęcia, jak dowiedział się, że przyszedłem. Ani ja, ani Orson nie wydaliliśmy żadnego dźwięku. Po prostu, Bobby zawsze wie. Był bosy, nawet w marcu, ale zamiast spodenek pływackich albo szortów nosił dzinsy. Koszula była hawajska - Bobby nie uznaje żadnego innego stylu - ale zrobił ustępstwo na rzecz pory roku. Pod koszulą z krótkimi

rekawami - wymalowana w jaskrawe dziwaczne papugi i geste wachlarze palm - wlozyl biala bawelniana bluze bez kolnierzyka, z dlugimi rekawami.

Gdy wchodzil po schodach, Bobby obdarzyl mnie szaka, pozdrowieniem surferow, ktore latwiej przekazac niz gest ze "Star Trek", zapewne oparty na szace. Skladasz palec wskazujacy, srodkowy i serdeczny do wnetrza dloni, prostujesz kciuk oraz maly palec i leniwie machasz dlonia. To ma wiele znaczen - czesc, co jest grane?, bujaj sie, dobrej przejazdki - wszystko przyjazne i nigdy nie moze byc uznane za obraze, chyba ze jest skierowane do kogos, kto nie surfuje, na przyklad czlonka jakiegos gangu w Los Angeles, a w takim wypadku mozesz zaliczyc kule w glowe.

Palilem sie, by opowiedziec mu wszystko, co wydarzylo sie od zachodu slonca, ale Bobby ceni sobie spoczynkowy stosunek do zycia. Bardziej spoczynkowy moze byc juz tylko spoczynek wieczny. Kiedy nie dosiada fali, ceni spokoj. Nade wszystko. Jesli chcesz byc przyjacielem Bobby'ego Hallowaya, musisz zaakceptowac jego poglad na zycie; nic, co dzieje sie ponad piecset metrow od plazy, nie jest na tyle wazne, by sie tym przejmowac, i zadne wydarzenie nie jest na tyle uroczyste lub ceremonialne, by wlozyc krawat. Lepiej reaguje na rozwlekla rozmowe niz na trzaskanie dziobem, na "wymijajace" niz na "wprost".

-Rzucisz mi piwko? - spytalem.

-Corona, heineken czy lowenbrau?

-Dla mnie corona.

Bobby ruszyl przez pokoj i spytal:

-Czy ogoniasty grzeje cos dzisiaj?

-Ma ochote na heiniego.

-Jasne czy ciemne?

-Ciemne - wybralem.

-Pewnie byla ciezka noc dla psow.

-Warczenia po uszy.

Domek sklada sie z pokoju dziennego, gabinetu, w ktorym Bobby sledzi fale na calym swiecie, sypialni, kuchni, lazienki. Sciiany sa z drewna dobrze nasaczonego olejem tekowym, ciemnym i soczystym, okna wielkie, podlogi z lupku, meble wygodne.

Wystroj - poza elementami naturalnymi - ogranicza sie do osmiu olsniewajacych akwareli Pia Klick, kobiety, ktora Bobby nadal kocha, mimo ze opuscila go, by spedzyc czas nad

Waimea Bay, na polnocnym brzegu Oahu. Chcial pojechac z nia, ale powiedziala, ze musi byc sama nad Waimea, ktora nazywa swoim duchowym domem; po126

127

dobno harmonia i piekno tamtych okolic zapewniaja jej spokoj umyslu, potrzebny do podjecia decyzji, czy ma zyc czy tez nie, zgodnie z jej przeznaczeniem. Nie wiem, co to znaczy. Bobby tez nie wie. Pia miala wyjechac na miesiac, dwa. Bylo to prawie trzy lata temu. W Waimea przyboj pojawia sie z wyjatkowej glebi. Jest wielki, wysokosci muru. Pia powiada, ze ma kolor przezroczystego jadeitu. Sa dni, w ktore sniac chodze po tym brzegu i slysze ryk oceanu. Raz na miesiac Bobby dzwoni do Pia albo ona do niego.

Czasem rozmawiaja przez kilka minut, czasem kilka godzin. Ona nie jest z innym mezczyzna i naprawde kocha Bobby'ego. Jest jedna z najmilszych, najlagodniejszych, najmadrzejszych kobiet, jakie poznalem w zyciu. Nie rozumiem, czemu sie tak zachowuje.

Bobby tez nie rozumie. Dni mijaja. On czeka.

W kuchni Bobby wyjal z lodowki butelke corony i podal mi.

Pozbylem sie zakretki i pociagnalem lyk. Bez cytryny, bez soli, bezpretensjonalnie.

Otworzył heinekena dla Orsona.

Pol czy cala?

-To noc pelnych butelek - powiedzialem. Mimo przerazajacych nowin falowalem tropikalnym rytmem Bobbylandu.

Oproznil butelke do glebokiej emaliowanej miski na podlodze. Trzymal ja dla Orsona. Na misce namalowal drukowanymi literami ROZYCZKA, co wiazalo sie z saneczkami z "Obywatela Kane'a" Orsona Wellesa.

Nie zamierzalem robic z mojego psiego kompana alkoholika. Nie dostaje piwa codziennie i zwykle dziele sie z nim butelka. Ma jednak swoje rozkosze, a ja nie zamierzam zabranic mu tego, co sprawia mu przyjemnosc. Jego waga uniemozliwia, zeby upil sie jednym piwkiem. Ale tylko daj mu dwa, a termin "zwierze towarzyskie" zyskuje w jego postaci nowy sens.

Podczas gdy Orson halasliwie zlopal heinekena, Bobby otworzył sobie corone i oparl sie o lodowke. Ja oparlem sie o lade kolo zlewu. Stal tam stol i krzesla, ale w kuchni Bobby i ja przejawiamy sklonnosc do opieractwa.

Jestesmy podobni do siebie na wiele sposobow. Mamy ten sam wzrost, dokladnie te sama wage i te sama budowe. Chociaz on ma ciemnobrazowe wlosy i oczy tak czarne, ze zdaja

sie miec niebieskie cetki, mylnie uznaje sie nas za braci.

Obaj tez mamy kolekcje guzow surfiarzy; Bobby, gdy tak oparl sie o lodowke, z rozstargnieniem tarl podeszwa bosej stopy o guzy na podbiciu drugiej. Sa to twarde wapniowe odlezyiny, ktore powstaja wskutek dlugiego lezenia na desce surfingowej; wyrastaja na duzych palcach u nog i gornej czesci podbicia, kiedy wioslujesz dlonmi na lezaco. Mamy je tez na kolanach, a Bobby'emu wyrosly dodatkowo na dolnych zebrach.

Oczywiscie, nie jestem opalony jak Bobby. To zresztajuz nie opalenizna. Przez okragly rok jest maksymalnie brazowym bogiem slonca, a w lecie - dobrze przyrumieniona grzanka. Tanczy mambe z melanoma i moze ktoregos dnia umrze od tego samego slonca, ktoremu sklada holdy, a ktoremu ja wypowiadam posluszenstwo.

126

127

-Dzisiaj bylo troche naprawde niesamowitych czubow - powiedzial.-Dwumetrowki, idealna linia.

-Teraz wyglada na to, ze przysiadaja.

-No. Przejrzewaja kolo zachodu slonca.

Ciagnelismy nasze piwa. Szczesliwy Orson chleptal swoje.

-No, to twoj tato umarl - powiedzial Bobby.

Kiwnalem glowa. Sasza musiala do niego zadzwonic.

-Dobrze - powiedzial.

-No.

Bobby nie jest okrutny czy niewrazliwy. Chcial powiedziec, ze to dobrze, iz tato przestal cierpiec. Komunikujac sie miedzy soba, czesto przekazujemy sobie wiele, uzywajac niewielu slow. Ludzie mylnie uznaja nas za braci nie tylko z powodu tego samego wzrostu, wagi i budowy.

-Zdazyles do szpitala na czas. To super.

-Super.

Nie spytal mnie, jak sobie z tym radze. Wiedzial.

-A po szpitalu odspiewales pare numerow w teatrzyku tych facetow, ktorzy maluja sie na

czarno - powiedział.

Dotknalem ubrudzona sadza reka ubrudzonej sadza twarzy.

-Ktos zabil Angele Ferryman, podpalil jej dom, zeby ukryc slady. Prawie zalapalem sie na te wielka onaulaloa w niebie.

-Kim jest ten ktos?

-Sam chcialbym wiedziec. Ci sami ludzie ukradli ciało taty.

Bobby popil piwa i nie odezwal sie.

-Zabili wloczege, wymienili go na tate. Moze wolalbys o tym nie wiedziec.

Przez chwile porownywal madrosc niewiedzy z przyciaganiem ciekawosci.

-Zawsze moge zapomniec, ze slyszalem, jesli tak bedzie mdrzej.

Orson czknal. Ma wzdecia od piwa.

Kiedy pomachal ogonem i podniosl leb z blagalna mina, Bobby rzekl:

-Nie dostaniesz wiecej, kudlata mordo.

-Jestem glodny - powiedzialem.

-I brudny. Wez prysznic, wloz jakies moje rzeczy. Przygotuje pare morderczych taco.

-Mysle, ze umyje sie plywajac.

-Tam staja brodawki.

-Jest z pietnascie stopni.

-Mowie o temperaturze wody. Wierz mi, wskaznik brodawkowy skoczyl. Lepiej wziac prysznic.

128

-Orsonowi tez przyda sie pucunek.-Wez go ze soba do kabiny. Tam jest masa recznikow.

-Bratek z ciebie - powiedzialem. "Bratek" to od "brat".

-No, mam takie chrzescijanskie podejscie, ze juz nie plywam po wodzie... chodze po niej.

Po dluzszej chwili pobytu w Bobbylandzie bylem zrelaksowany i chcialem przejsc do

przekazania wiadomosci. Bobby to wiecej niz ukochany przyjaciel. To srodek uspokajajacy.

Nagle odsunal sie od lodowki i przekrzywil glowe. Sluchal.

-Cos? - spytalem.

-Ktos.

Nie slyszalem niczego poza rownomiernie cichnacym glosem wiatru. Przy zamknietych oknach i tak spokojnej fali nie slyszalem nawet morza, ale zauwazylem, ze Orson tez zwiakszyl czujnosc.

Bobby ruszyl na zewnatrz, sprawdzic, co to za gosc, a ja powiedzialem, podsuwajac mu glocka:

-Bratku.

Spojrzal powatpiewajaco na pistolet, potem na mnie.

-Trzymaj wolne obroty.

-Po co?

-Tamten wloczega. Wydlubali mu oczy.

Wzruszylem ramionami.

-Bo mogli?

Przez chwile Bobby zastanawial sie nad tym, co powiedzialem. Potem wyjal z kieszeni spodni klucz i otworzyl schowek na miotly, ktory, jak siegam pamiecia, poprzednio nigdy nie byl zaopatrzony w zamek. Z waskiej szaki wyjal dubeltowke z chwytem pistoletowym i dolnym przeladowaniem, "pompke".

-Oho, nowosc - powiedzialem. - Srodek do odstraszania holoty.

To nie miescilo sie w codziennym rytmie Bobbylandu. Nie potrafilem sie powstrzymac:

-Trzymaj wolne obroty.

Poszlismy z Orsonem za Bobbym przez pokoj dzienny i na frontowa werande.

Morska bryza niosla lekki zapach wodorostow. Dom stal frontem ku polnocy. W zatoce nie bylo lodzi - przynajmniej z wlaczonymi swiatlami. Na wschodzie miasteczko migotalo swiatelkami wzdluz brzegu i na wzgorzach.

Wokół domku, do końca cypla, były niskie wydmy i przybrzeżna trawa pokryta szronem księżycowego światła. Nikogo w zasięgu wzroku.

128

Orson podszedł do szczytu schodów i stał tam napięty, z łbem uniesionym i wysuniętym; łapał wiatr i rozpoznawał wonie bardziej interesujące niż zapach wodorostów. Polegając być może na szóstym zmysle Bobby nawet nie spojrzał na psa, by upewnić się co do swoich podejrzeń.

-Zostan tu. Gdybyś kogoś wypłoszył, powiedz mu, że nie odejdzie, aż sprawdzimy, czy ma ważną kartę parkingową.

Bosy zszedł po stopniach i przeciał wydmy, sprawdzając stromy stok zbiegający do plaży. Ktoś tam mógł leżeć, obserwować domek z ukrycia. Bobby szedł wzdłuż krawędzi stoku, w kierunku cypla, uważnie przyglądał się stokowi i plaży, co kilka kroków zawracał i sprawdzał teren między sobą i domem. Trzymał dubeltówkę gotową do strzału w obu rękach i przeszukiwał teren z wojskową dokładnością.

Najwyraźniej miał wprawę w wykonywaniu tej czynności. Wcześniej nie wspomniał, że był nachodzony przez kogoś lub niepokojony przez intruzów. Zwykle, gdy miał poważne kłopoty, zwierzał mi się.

Zastanawiałem się, jakie tajemnice ukrywa.

130

131

19

Orson odwrócił się od schodów i wsunął pysk między trawki wschodniego kranca werandy. Spoglądał nie ku zachodowi, gdzie był Bobby, ale w kierunku cypla i miasteczka. Cicho warczał. Poszedłem za jego spojrzeniem. Nawet przy pełni księżyca, którego nie zasłaniały porwane strzępy chmur, nie mogłem nikogo dojrzec. Pies nadal warczał, równomiernie jak pracujący silnik.

Na zachodzie Bobby dotarł do cypla i nadal szedł wzdłuż krawędzi stoku. Widziałem go, ale był zaledwie szarym kształtem na całkowicie czarnym tle morza i nieba. Gdy przed chwilą patrzyłem w innym kierunku, ktoś mógł zdmuchnąć Bobby'ego tak szybko i pewnie, że nie zdążyłby nawet krzyknąć, a ja nie miałbym o niczym pojęcia.

Teraz ta niewyraźna szara figura okrazająca cypel i zbliżająca się do domku południowa flanką przyładka mogła być nie wiadomo kim.

-Ciarki chodza mi po skorze od tego twojego warczenia - powiedzialem psu.

Chociaz wysilalem oczy, nadal nie moglem dostrzec zagrozenia na wschodzie, gdzie nieprzerwanie patrzyl Orson. Ruszala sie jedynie wysoka rzadka trawa. Gasnacy wiatr nie byl nawet na tyle silny, by zdmuchiwac piasek z ubitych wydm.

Orson przestal warczec i zbiegl po stopniach, jakby w pogoni za zwierzyna. Ale skoczyl na piasek niedaleko od schodow. Uniosl tylna lape i oproznil pecherz. Gdy wrocil na werande, boki drzaly mu wyraznie. Znow wypatrywal ku wschodowi. Juz nie warczal, puszczal nerwowo.

Ta zmiana w zachowaniu zaniepokoiła mnie bardziej, niz gdyby zaczal szalenczo szczekac.

Przeszedlem bokiem po werandzie do zachodniego kata domku, starajac sie miec na oku piaszczyste przedpole, ale tez i Bobby'ego - jesli faktycznie byl to Bobby - najdluzej, jak to mozliwe. Jednakze wkrótce znikl za domem, jako ze nadal szedl poludniowym stokiem.

Orson przestal puszczec. Gdzies przepadl. Musial za czymś pognac, chociaz to znaczace, ze pobiegl tak bezszelestnie. Niespokojny wrocilem droga, ktora dopiero co przebylem, i skierowalem sie do schodow. Na oswietlonych ksiezycem wydmach nie dostrzeglem psa.

130

131

Zauwazylem go w otwartych frontowych drzwiach. Zerkal ostroznie. Wycofal sie do pokoju dziennego, tuż za prog. Uszy polozyl po sobie. Opuscil leb. Sierśc miał zjezona, jakby przezył wstrzas elektryczny. Nie warczal ani nie puszczal, drzal tylko na całym cielem. Wiele mozna by o nim powiedziec, a juz na pewno, ze jest dziwny, ale nie tchorz czy glupi. Jego strach musial byc w pelni uzasadniony.

-W czym kłopot, przyjacielu?

Nawet na mnie nie spojrzal. Nadal obsesyjnie wpatrywal sie w przestrzen za weranda. Chociaz obnazyl zeby, nie zawarczal, nie byl agresywny; ten grymas wyrazal wyjątkowy niesmak, obrzydzenie. Gdy odwrocilem sie, by zlustrowac otoczenie, katem oka zauwazylem ruch, rozmyty zarys skulonego biegnacego czlowieka. Mijal domek ze wschodu na zachod, pokonujac plynnyimi dlugimi susami ostatnia linie wydm, wyznaczajaca krawedz stoku nad plaza, jakies pietnascie metrow ode mnie.

Odwrocilem sie blyskawicznie, podnoszac glocka. Biegnacy albo przypadl do ziemi, albo byl zjawa. Przez moment zastanawialem sie, czy to Pinn. Nie. Orson nie przestraszylby sie Jessego Pinna.

Przecialem werande, zszedlem po trzech drewnianych stopniach i zatrzymalem sie na

piasku. Dokładniej obejrzałem okoliczne wydmy. Rozrzucone kepki trawy falowały w powiewie. Część światel brzegowych migotała nad rozkolysanymi lekko wodami zatoki. Poza tym nic się nie poruszało.

Długa wąska chmura odwinęła się z podbrodka księżycy, jak porwany bandaż osuwa się z oblicza wyschłej mumii faraona. Biegnący mógł być jedynie cieniem chmury. Być może. Ale miałem na ten temat inne zdanie.

A poza tym nie czułem się całkiem bezpiecznie.

Gwiazdy. Księżyc. Piasek. Trawy. I poczucie, że jestem obserwowany.

Ze stoku opadającego do plaży lub z płytkiego zagłębienia między wydmami, zza ekranu traw ktoś mnie obserwował. Spojrzenie może mieć swój ciężar i to docierało do mnie jak seria fal, nie jak leniwy przybój, ale jak w pełni rozpedzone zdwojone balwany, bijące z siłą kowalskiego młota.

Teraz nie tylko psu zjeżyła się sierść.

Akurat kiedy zacząłem się martwić, że nieobecność Bobby'ego trwa tak długo, pojawił się zza wschodniego węgła domu. Szedł wzbijając obłoczki piasku wokół bosych stop i nawet nie spojrzał w moim kierunku; jego wzrok bez przerwy sunął od jednej wydmy do następnej.

-Orson się wystraszył - powiedziałem.

-Nie wierze - rzekł Bobby.

-Wystraszył się śmiertelnie. Jak nigdy dotąd. A ten pies ma jaja jak wieloryb.

-No, jak się wystraszył, to nie mam do niego pretensji - powiedział Bobby.

-Sam prawie się wystraszyłem.

132

133

-Ktos tam jest.-Niejeden ktos.

-Kto?

Bobby nie odpowiedział. Przesunął dłoń na dubeltowce, ale nadal trzymał ją w pogotowiu, i nie przestawał się rozglądać.

-Juz tu byli - próbowałem zgadnąć.

-No.

-Po co? Czego chcieli?

-Nie wiem.

-Kim sa? - spytalem kolejny raz.

Jak poprzednio, nie dostalem odpowiedzi.

-Bobby...? - naciskalem go.

Ogromna blada masa, wysoka na dobre kilkadziesiat metrow, stopniowo naplynela z zachodu, z ciemnosci nad oceanem; front mgly oswietlony ksiezycowym blaskiem, rozciagniety daleko na polnoc i poludnie. Bez wzgledu na to, czy naplywal nad lad, czy tez wisial cala noc nad brzegiem, walec mgly miazdzyl wszelkie odglosy. Formacja pelikanow bezszelestnie przeleciala nisko nad polwyspem i znikla za czarnymi wodami zatoki. Resztki bryzy od morza zgasly i wysokie trawy opadly, znieruchomialy. Teraz lepiej slyszalem powolne fale bijace o brzeg zatoki, chociaz nie byl to loskot, ale raczej szeptana kolysanka.

Z daleka, z wysunietego cypla coraz glebsza cisze rozcial okrzyk tak niesamowity, jak wolanie nura. Z wydm kolo domu odpowiedzial mu drugi krzyk, rownie ostry i scinajacy krew w zylach.

Przypomnialy mi sie stare westerny, w ktorych Indianie nawoluja sie noca, nasladujac glosy ptakow i kojotow, koordynuja posuniecie bezposrednio przed atakiem na pierscien wozow osadnikow.

Bobby wystrzelil w pobliskie wzgorze piasku. Tak mnie zaskoczyl, ze niewiele brakowalo, a krew rozsadzilaby mi aorte szyjna.

Kiedy huk wrocil odbity od zatoki, rozszedl sie dalej i wsaczyl w rozlegla poduszke mgly, powiedzialem:

-Czemu to zrobiles?

Zamiast odpowiedziec Bobby przeladowal bron i nasluchiwal. Przypomnialem sobie Pinna, jak strzelil w sufit piwnicy kosciola, wzmacniajac grozbe, ktora wysunal pod adresem ojca Toma Eliota.

Nie uslyszawszy nastepnych nuropodobnych wrzaskow, Bobby wreszcie sie odezwal, prawie jakby mowil do siebie:

-Pewnie to niekonieczne, ale od czasu do czasu nie zawadzi dac im do zrozumienia, ze troche grubego srutu moze im splaszczyc fryzury.

-Komu? Kogo ostrzegasz? Dawniej bywał tajemniczy, ale nigdy aż do tego stopnia.

Wydmy nadal przykuwały jego uwagę. Czas znów chwilowo zastygł, aż wreszcie Bobby nagle popatrzył na mnie, jakby poprzednio zapomniał, że stoje obok.

-Wejdźmy do środka. Zedrzesz z siebie te marna charakteryzacje na Denzela Washingtona, a ja rzuce na patelnie pare morderczych taco.

Miałem na tyle oleju w głowie, żeby go nie naciskać. Był tajemniczy, chcąc zaostrić moją ciekawość i podkreślić swoją oryginalność dziwaka, albo dlatego że miał istotny powód kryć sekret nawet przede mną. Tak czy siak przebywał w tej wyjątkowej Bobbosferze, w której był równie niedostępny jak na swojej desce, w połowie narodzin fali, nad niesamowitą pustką.

Gdy szedłem za nim do domu, nadal miałem świadomość, że jestem obserwowany.

Uwaga tego nieznanego obserwatora sprawiła, że zjeżyły mi się włosy na karku, jakby przeszedł tam krab pustelnik. Zanim przymknąłem drzwi, jeszcze raz rozejrzałem się wokół, ale nasi goście pozostali dobrze ukryci. Łazienka jest wielka i luksusowa; całkowicie czarna granitowa podłoga, takie same blaty, ładne tekowe szafy i akry szlifowanych lusterek. Wielka kabina prysznicowa mogła pomieścić czwórkę ludzi, dzięki czemu idealnie nadawała się do robienia psiej toalety.

Corky Collins - który zbudował znakomity dom Bobby'ego na długo przed urodzeniem się tego ostatniego - był bezpretensjonalnym facetem, ale uwielbiał przyjemności życiowe, jak czteroosobowa, wyłożona marmurem łazienka po przekątnej prysznicowa.

Może Corky - którego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Toshiro Tokugawa, zanim je zmienił - fantazjował o orgiach z trzema plazowiczkami, a może po prostu uwielbiał być całkowicie, niesamowicie czysty.

W 1941 roku Toshiro - młodego człowieka - cudowne dziecko, liczące sobie zaledwie dwadzieścia jeden lat, prosto ze szkoły prawniczej internowano w Manzanar, obozie, w którym podczas drugiej wojny światowej więziono lojalnych Amerykanów pochodzenia japońskiego. Po wojnie, rozgniewany i ponizony, stał się aktywistą walczącym o prawa uciskanych. Po pięciu latach stracił wiarę w równość przed obliczem sprawiedliwości, doszedłszy przy tym do wniosku, że uciskani, gdy tylko mogą, natychmiast z całym przekonaniem uciskają innych.

Zajął się odszkodowaniami dla osób fizycznych. Ponieważ wykres jego wiedzy piał się tak stromo, jak te gigantyczne wodne walce pedzone tajfunami z Południowego Pacyfiku,

szybko stal sie najbardziej wzietym adwokatem, specjalista od odszkodowan w okregu San Francisco.

W ciagu nastepnych czterech lat uzbieral znaczna ilosc gotowki i zrezygnowal z praktyki adwokackiej. W 1956 roku, majac lat trzydziesci szesc, zbudowal ten dom

134

135

na poludniowym cyplu Moonlight Bay, doprowadzajac za cene znacznych kosztow wode, elektrycznosc i linie telefoniczna. Z cierpkim poczuciem humoru, który pozwolil mu uchronic jego cynizm przed zgorzknieniem, Toshio Tokugawa urzedowo zmienil imie i nazwisko na Corky Collins. Bylo to w dniu wprowadzenia sie do nowego domu, a kazdy nastepny dzien zycia poswiecil plazy i oceanowi. Wyhodowal sobie guzy surfera na duzych palcach u nog, stopach, ponizej rzepek kolanowych i na dolnych zebrach. Pragnac slyszec bezposrednio huk fal, Corky surfujac nie uzywal zatyczek do uszu, wiec dorobil sie egzostazy, wyrostka kostnego. Polega to na tym, ze kanalik ucha wewnetrznego kurczy sie, gdy zapelnia go zimna woda i w wyniku powtarzajacego sie podraznienia rozwija sie zlosliwy rak kosci. Nim dobil piecdziesiatki, trwale ogluchl na lewe ucho. Kazdy surfer po burzliwej przejazdce smarcze woda, kiedy jego zatoki gwaltownie pozbywaja sie wtloczonej tam wody, nastepuje to wowczas, gdy fale porywaja go z deski w glebine. To niekulturalne zachowanie zwykle ma miejsce, kiedy rozmawiasz z kapitalna dziewczyna ubrana w bikini szerokosci wlosa. Po dwudziestu latach epokowych przewrotek na fali i zwiazanych z tym nosowych niagar u Corky'ego rozwiniela sie egzostaza kanalikow zatok, co wymagaloby operacji chirurgicznej, w celu zapobiezzenia bolom glowy i przywroczenia kanalikom prawidlowej droznosci. W kazda rocznice tej operacji wydawal przyjecie ku chwale Prawidlowej Droznosci.

Po latach wystawiania sie na palace slonce i slona wode w oczach Corky'ego, jak u kazdego zaprzysieglego surfera, pojawil sie skrzydlik - skrzydelkowate zgrubienie spojowki na bialku oka, siegajace teczowki. Jego wzrok stopniowo slabl.

Dziewiec lat pozniej umknal spod noza chirurga, zabity nie przez malanome, nie przez rekina, ale przez sama wielka mame, ocean. Chociaz Corky mial wtedy szescdziesiat dziewiec lat, wyplynal podczas sztormu na falach potworach, siedmiometrowych behemotach, gorach wodnych, balwanach, ktorzych wiekszosc surferow majacych jedna trzecia jego lat nie probowalaby dosiasc, i zgodnie z tym, co mowili swiadkowie, dopadl jednego takiego diabla i pokrzykujac z uciechy, niemal fruwajac w powietrzu pedzil na krawedzi, zostawiajac za soba prawdziwie swiete slady, raz za razem koziolkujac - az zmiotlo go naprawde wielkie monstrum i przygniotlo nastepne. Takie lewiatany waza tysiace ton, co oznacza duzo wody, zbyt duzo, aby z nia walczyc i nawet znakomity plywak bywa trzymany na dnie przez pol minuty, moze duzo dluzej, zanim zaczerpnie powietrza. Co gorsza, Corky wynurzyl sie w zlym momencie, akurat przygniotla go nastepna fala i zostal

przytopiony podwojnie.

Surferzy w całej Kalifornii podzielają opinie, że Corky wiodł idealne życie i zmarł idealną śmiercią. Egzostaza ucha, egzostaza zatok, skrzydlik obu oczu - wszystko to gówno znaczyło dla Corky'ego, i wszystko było lepsze niż nuda albo atak serca, lepsze niż dostająca emerytura, która trzeba zarobić siedząc całe życie w biurze. Życie to było surfowanie, śmierć to było surfowanie, potęga natury wielka i wszechogarniająca, i serce się sciskało na myśl o godnym zazdrości słodkim przejściu Corky'ego przez świat, który innym sprawia tyle kłopotów.

134

135

Bobby odziedziczył domek. Ten rozwój wypadków był dla niego zaskoczeniem. Obaj znaleźliśmy Corky'ego Collinsa, od kiedy mieliśmy jedenaste lat i po raz pierwszy zawodowaliśmy na koniec cypla z deskami na bagażnikach naszych rowerów. Był mentorem każdego szczonego deskowego, głodnego przygód i pragnącego zapanować nad grzbietem fali. Nie zachowywał się, jakby grzbiet był jego, ale wszyscy szanowali Corky'ego, jakby faktycznie miał na własność wszystkie plaże od Santa Barbara aż po Santa Cruz. Irytował go każdy krecidupiec, który ciał i kaleczył zaczął fale, pozbawiając innych przyjemności. Miał tylko pogardę dla ekspresowych surferów i gdybających typków wszelkiego rodzaju, ale był przyjacielem i natchnieniem nas wszystkich, którzy kochają morze i żyją w jednym rytmie z jego rytmem. Corky miał legion przyjaciół i wielbicieli, a część z nich znalazł od ponad trzech dziesięcioleci, więc nie posiadaliśmy się ze zdumienia, gdy zapisał wszystkie swoje ziemskie dobra Bobby'emu, którego znalazł zaledwie od lat osmiu.

Jako wyjaśnienie wykonawcy testamentu przekazał Bobby'emu list Corky'ego, arcydzieło zwięzłości:

Bobby, to, co większość ceni - Ty nie. Oto mądrość.

Temu, co uważasz za istotne, jesteś gotów oddać umysł, serce i duszę. Oto miłość.

Mamy tylko morze, miłość i czas. Morze dał Ci Bóg. Miłość znajdziesz zawsze dzięki własnym czynom.

Więc ja daję Ci czas.

Corky dostrzegł w Bobby'ym kogoś, kto od dzieciństwa ma wrodzone zrozumienie tych prawd, których on nauczył się dopiero w trzydziestym szóstym roku życia. Chciał uhonorować i poprzeć owo zrozumienie. Niech Bóg go za to błogosławi.

Tego lata, kiedy Bobby zaliczył pierwszy rok w Ashdon College, dostał w spadku, po

odliczeniu podatkow, dom i skromna sume w gotowce. Rzucil szkole. To doprowadzilo do bialej goraczki jego rodzicow. Jednakze mogli wzruszyc na to ramionami, poniewaz mial plaze, morze i przyszosc.

Poza tym jego starzy ciagle dostawali bialej goraczki to z powodu tego, to z powodu owego, przez cale zycie, i Bobby uodpornil sie na to. Rodzice sa wlascicielami i redaktorami miejskiej gazety i zabawiaja sie krucjatami majacymi oswiecic szeroki ogol, co oznacza, ze wedlug nich wiekszosc obywateli jest albo zbyt egoistyczna, by postepowac wlasciwie, albo zbyt glupia, aby wiedziec co dla nich najlepsze. Spodziewali sie, ze Bobby bedzie dzielil ich, jak to nazywali, "namietnosc do najistotniejszych problemow naszych czasow", ale Bobby chcial uciec od ekspansji idealizmu swojej rodziny i od ich wszelkiej - zle ukrywanej - zazdrosci, urazy i egoizmu. Bobby chcial tylko jednego - spokoju. Jego starzy tez chcieli, ale dla calej planety, w kazdym zakatku Statku Kosmicznego Ziemia, ale nie potrafili do tego doprowadzic w murach wlasnego domu.

136

137

Z letniskowym domkiem i forsa na rozruch interesu, ktory teraz zapewnial mu utrzymanie, Bobby znalazl spokoj. Wskazowki kazdego zegara to ostrza nozyc, odcinajacych czas kawaleczek po kawaleczku, a kazdy czasomierz z cyfrowym wskaznikiem migotanie po migotaniu zbliza nas do implozji. Czas jest tak cenny, ze nie mozna go kupic. Tak naprawde, to Corky nie dal Bobby'emu czasu, ale szanse zycia bez zegarow, bez swiadomosci zegarow, dzieki czemu wydaje sie, ze czas uplywa lagodniej, mniejszymi kawaleczkami. Moi rodzice usilowali zrobic to samo w stosunku do mnie. Jednakze z powodu XP niekiedy slysze tykanie. Moze Bobby tez je niekiedy slyszy. Moze nie ma sposobu na to, aby ktorykolwiek z nas calkowicie pozbyl sie swiadomosci istnienia zegarow.

Prawde mowiac, noc rozpaczy Orsona, gdy obserwowal gwiazdy z takim przygnebieniem i odrzucal wszelkie moje pocieszenia, mogla byc spowodowana swiadomoscia przemijania. Slyszymy, ze proste umysly zwierzat nie potrafia przyswoic sobie pojecia smiertelnosci. Lecz kazde zwierze ma instynkt przetrwania i rozpoznaje niebezpieczenstwo. Jesli walczy o przetrwanie, to rozumie smierc, chocby naukowcy i filozofowie mowili nie wiem co. To nie sentymentalizm New Age. To zwyczajny zdrowy rozsadek.

Teraz, w kabinie prysznic Bobby'ego, gdy zmywalem sadze z Orsona, pies nadal mial dreszcze. Woda byla ciepla. Dreszcze nie mialy nic wspolnego z myciem.

Zanim wytarlem psa kilkoma recznikami i osuszylem suszarka do wlosow zostawiona przez Pia Klick, dreszcze ustaly. Gdy wkladalem niebieskie dzinsy Bobby'ego i bawelniana bluze z dlugimi rekawami, Orson kilkakrotnie zerkal na okno z mlecznego szkla, jakby ku czemu tam na dworze, ale chyba odzyskiwal pewnosc siebie.

Otarłem papierowymi ręcznikami skorzaną kurtkę i czapkę. Nadal zalały dymem, czapka bardziej niż kurtka. W słabym świetle ledwo mogłem odczytać napis nad daszkiem: "Pociąg Tajemnica". Przesunąłem opuszką kciuka po wyszywanych literach, wspominając ślepe betonowe pomieszczenie, w którym znalazłem tę czapkę, w jednym z bardziej niesamowitych, opuszczonych obszarów Fort Wyvern.

Znow usłyszałem słowa Angeli Ferryman, odpowiedź na moje stwierdzenie, że Fort Wyvern jest zamknięty od półtora roku: "Pewne rzeczy nie umierają. Bez względu na to, jak byśmy chcieli ich śmierci".

Ujrzałem kolejną scenę z przeszłości. Łazienka Angeli; wizerunek zaskoczonych śmiercią oczu i polotwarte usta wyrażające zdziwienie. Kolejny raz byłem głęboko przekonany, iż przeoczyłem jakiś ważny szczegół dotyczący stanu jej ciała i jak poprzednio, gdy próbowałem dokładniej przypomnieć sobie zbryzgane krwią oblicze, zamiast ujrzeć je wyraźniej, odpłynęło zamazując się. "Pieprzymy to, Chris, jak zawsze to spieprzaliśmy... na większą skalę niż kiedykolwiek... i już nie ma drogi powrotu, żeby odkrecić, co się zrobiło".

Taco - nadziewane siekanym mięsem kurczaka, sałata, serem i salsa - były pyszne.

Jedliśmy siedząc przy kuchennym stole zamiast opierać się o zlew i popijaliśmy piwo.

136

137

Chociaż Sasza nakarmiła go wcześniej, Orson wpakował w siebie parę kawałków kurczaka, ale nie potrafił mnie zauroczyć, żeby dostać jeszcze jednego heinekena. Bobby włączył radio. Było nastawione na rozgłosie, która właśnie zaczęła nadawać audycję Saszy. Przyszła północ. Sasza nie wspomniała o mnie ani nie poprzedziła piosenki dedykacją, ale puściła "Heart Shaped World" Chrisa Isaaka, mój ulubiony kawałek.

W ogromnym skrócie opowiedziałem Bobby'emu wydarzenia tego wieczora.

Opowiedziałem mu o scenach w szpitalnym garażu, w krematorium Kirka i plutonie nieznanym ludzi, którzy scigali mnie wzgorzami za zakładem pogrzebowym.

W ciągu tej całej relacji spytał tylko:

-Tabasco?

-Co?

-Do salsy.

-Nie - powiedziałem. - Już jest dość mordercza.

Siegnal do lodowki i trysnal tabasco w zjedzone do polowy taco.

Teraz Sasza puszczała "Two Hearts" Chrisa Isaaka.

Przez jakis czas co chwila spogladałem w okno, zastanawiając się, czy jesteśmy obserwowani. Początkowo myślałem, że Bobby nie dzieli mojego niepokoju, ale w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że od czasu do czasu celowo, choć z pozorną niedbaloscia, zerka w ciemność na dworze.

-Spuscic zaluzje? - zasugerowalem.

-Nie. Oni jeszcze pomysla, ze mnie to obchodzi.

Udawalismy, ze nie jestesmy skrepowani.

-Co to za "oni"?

Milczal, ale przeczekalem to i wreszcie powiedzial:

-Nie jestem pewien.

To nie byla szczera odpowiedz, ale nie naciskalem.

Kontynuowalem moja opowiesc i nie chcac narazac sie na drwiny Bobby'ego nie wspomnialem, ze kot doprowadzil mnie do tunelu pod wzgorzami, ale opisalem kolekcje czaszek na stopniach przelewu splywowego. Opowiedzialem mu o szefie Stevensonie rozmawiajacym z lysym mezczyzna z kolczykiem i o znalezieniu pistoletu na moim lozku.

-Bron po byku - ocenil podziwiajac glocka.

-Tato zamowil celownik laserowy.

-Cudo.

Czasem Bobby jest niewzruszony jak skala, tak spokojny, ze zadajesz sobie pytanie, czy faktycznie cie slucha. Okazywal to niesamowite opanowanie juz jako chlopiec, a im starszy, tym czesciej. Wlasnie przynioslem mu zdumiewajace wieści o nieslychanych przygodach, a on reagowal tak, jakby sluchal wynikow meczu koszykowki.

138

139

Spojrzałem w ciemność za okno i zastanawiałem się, czy tam ktoś trzyma mnie na muszce, może na celowniku noktowizora. Ale zdałem sobie sprawę, że gdyby chciano nas zastrzelić, zdmuchnieliby nas, kiedy bylibyśmy na wydmach. Opowiedziałem Bobby'emu wszystko, co

zdarzyło się w domu Angeli Ferryman.

-Likier morelowy. - Skrzywił się.

-Nie wypilem dużo.

-Dwa kieliszki dziadostwa i zaczniesz gadac z mewami. - To było powiedzonko surferów, oznaczające wymiotowanie.

Zanim doszedłem do tego, jak Jesse Finn terroryzował ojca Toma w kościele, każdy z nas wykonał trzy taco. Bobby zrobił następne dwa i przyniósł do stołu. Sasza puszczała "Graduation Day".

-Normalny festiwal Chrisa Isaaka.

-Puszcza go dla mnie.

-No. Nie pomyślałem, że Chris Isaak jest w rozgłosni, i trzyma spluwę przy głowie Saszy. Zaden z nas nie odezwał się już, dopóki nie skończyliśmy ostatniej porcji taco. Gdy wreszcie Bobby zadał pytanie, chciał tylko dowiedzieć się, co powiedziała Angela:

-Wiec mówiła ci, że to była malpa i nie była.

-O ile dokładnie sobie przypominam, brzmiało to: "Wydawało się, że to malpa.

I to była malpa. Malpa i niemalpa. I to było nie tak".

-Myślałeś, że całkiem jej odbiło?

-Była zalamana, przerażona, mocno przerażona, ale nie swirowała. Poza tym, ktoś ją zabił, żeby zamknąć jej usta, więc w tym, co mówiła, musiało coś być.

Pokiwał głową i wypił trochę piwa. Milczał tak długo, że wreszcie zapytałem:

-Co teraz?

-Mnie pytasz?

-Nie zwracałem się do psa - powiedziałem.

-Machnij na to reka.

-Co?

-Zapomnij o tym, żyj jakby nigdy nic.

-Wiedziałem, że to powiesz - wyznałem.

-To po co mnie pytales?

-Bobby, może śmierć mamy to nie był wypadek.

-Wygląda na to, że bardziej niż "może".

-I może rak taty to było coś więcej niż rak.

-Wiec chcesz wejść na ścieżkę pomsty?

-Morderstwo nie może ująć tym ludziom na sucho.

-Pewnie, że może. Morderstwa stale uchodzą ludziom na sucho.

138

139

-No, ale nie powinny.-Nie powiedziałem, że powinny. Powiedziałem tylko, że uchodzą.

-Wiesz, Bobby, życie nie sprowadza się tylko do surfowania, seksu, jedzenia i piwa.

-Nigdy nie mówiłem, że się sprowadza. Mówiłem tylko, że powinno się sprowadzać.

-No, ja nie mam stracha - rzekłem, przeczesując wzrokiem ciemność za oknem.

Bobby westchnął i rozsiadł się wygodniej na krześle.

-Jak czekasz na złapanie fali i warunki są bajeczne, naprawdę wielka zadyma nadciąga nad wybrzeże, przylatuje seria siedmiometrowek i sprawdza granice twoich możliwości, ale wiesz, że potrafisz je przesunąć, dasz sobie radę, a ty tylko siedzisz na desce i udajesz boje do końca serii, wtedy masz stracha. Ale powiedzmy, że nagle przylatuje długa seria dziesięciometrowek, potężnych, gestych walców, które zgniotą cię równo z dnem, zedra cię z deski, wcisną w dół i przytrzymają tak, że będziesz żół wodorosty i modlił się do Jezusa. Jak masz wybór... albo zostać zdmuchnięty, albo być boja, to nie masz stracha, kiedy tylko siedzisz na desce i mokniesz przez całą serię. Demonstrujesz dojrzały śąd. Nawet kompletny surfowuszczyk buntowuszczyk trochę tego potrzebuje.

A lalus, który próbuje fali, chociaż wie, że zleci jak z wodospadu, chociaż wie, że będzie wcisnięty w dno... no coż, to dupek.

Byłem wzruszony faktem, iż wygłosił taką długą przemowę, bo to znaczyło, że jest bardzo przejęty moim losem.

-Wiec nazywasz mnie dupkiem - podsumowalem.

-Jeszcze nie. Zalezy od tego, co z tym zrobisz.

-Wiec jestem materialem na dupka.

-Powiedzmy tylko, ze twój potencjal dupkowatosci nie miesci sie w skali Richtera.

Potrzasnałem głowa.

-No, z miejsca, w którym siedze, to nie wyglada na dziesieciometrowe.

-Moze na pietnastometrowe.

-Wyglada maks na siodemke.

Wywrocil oczami, jakby chcial powiedziec, ze jedyne miejsce, w którym spodziewa sie ujrzec zdrowy rozsadek, to jego glowa.

-Z tego, co mowila Angela, wynika, ze wszystko sprowadza sie do tego samego programu w Fort Wyvern.

-Poszła na gore wziac cos, co chciala mi pokazac... chyba jakis dowod, cos, co jej maz pewnie zwedzil. To cos zostalo zniszczone w pozarze.

-Fort Wyvern. Wojo. Armia.

-Co z tego?

141

-Mowimy tu o panstwie - powiedzial Bobby. - Bratku, panstwo to nie dziesieciometrowa. To trzydziecha. To tsunami.-Tu jest Ameryka.

-Bywalem w tym kraju.

-Mam tu obowiazek.

-Co za obowiazek?

-Moralny obowiazek.

Zafalował brwiami, scisnął palcami garbek nosa, jakby sluchanie mnie przyprawialo go o bol glowy, i powiedzial:

-Zdaje mi sie, ze jak wlaczysz wieczorne wiadomosci i uslyszysz, ze zbliza sie kometa i

zniszczy ziemie, to, Supermanie, naciagniesz rajstopki, owiniesz sie peleryna i polecisz w kosmos, dac kopa draniowi w drugi koniec galaktyki.

-Chyba ze peleryna jest w pralni chemicznej.

-Dupek.

-Dupek.

141

20

-Spojrz - powiedzial Bobby. - Wlasnie splywaja dane. To z brytyjskiej rządowej agencji meteorologicznej. Wpuszczysz w komputer i mozesz zmierzyc wysokosc fali na calym globie, z dokladnoscia do kilku centymetrow. Nie wlaczył swiatel w gabinecie. Ogromne monitory roznych koncowek komputerowych dawaly mu dosyc swiatla i wiecej niz dosyc mnie. Kolorowe mapy baryczne, powiekszone zdjecia satelitarne i ruchome mapy frontow atmosferycznych przesuwaly sie przez ekrany.

Nie wielbie epoki komputerow i nigdy nie bede jej wielbil. W okularach chroniacych przed promieniami ultrafioletowymi trudno mi cos odczytac na monitorze i kiedy te wszystkie promienie mnie bombarduja, nie moze ryzykowac wielogodzinnego przebywania w tych warunkach, nawet jesli ekrany maja filtry. To zrodla niskiej emisji, ale biorac pod uwage kumulacje szkodliwego oddziaływania, pare godzin przy komputerze byloby dla mnie burza swietlna. Piszeczecznie w notatnikach; okazjonalny artykul czy bestseller, ktory sprawil, ze "Time" zamiescil dlugi artykul o mnie i XP.

Wypelnione komputerami pomieszczenie to serce Surfcastu, sluzby meteorologicznej Bobby'ego, przepowiadajacej warunki surfingu, ktora faksuje codzienne informacje subskrybentom na calym swiecie, ma wlasna strone w Internecie i dysponuje numerem automatycznej informacji. Cztery osoby pracuja poza biurem, w Moonlight Bay; maja polaczenie siecia komputerowa z Bobbym, ale on sam przeprowadza finalna analize danych i prognozuje warunki surfingu.

Na wybrzezach oceanow swiata okolo szesciu milionow surferow regularnie ujezdza fale, w tym okolo pieciu i pol miliona zadowala sie takimi, ktore siegaja - od podstawy do grzbietu - dwa, dwa i pol metra. Oceaniczne wybrzuszenia ukrywaja swoja moc pod powierzchnia, siegaja w dol az na trzysta metrow i nie sa falami, az podplyna pod brzeg i rozbija sie o niego; w zwiazku z tym do konca lat 80, XX wieku nie bylo sposobu, by moc w miare wiarygodnie przewidziec, gdzie i kiedy uda sie znalezc dwumetrowe garby. Narkosurfingowcy czasem spedzaja na plazy cale dni przeczekujac srednie, slabe albo nawet nijakie fale, podczas gdy kilkaset kilometrow w lewo lub

142

w prawo wielkie fale bija o brzeg, zasłaniając cały horyzont. Znaczący procent tych pięciu milionów woli raczej zapłacić Bobby'emu kilka dolarów, by dowiedzieć się, gdzie będzie lub nie będzie się coś działo, niż polegać wyłącznie na dobrej woli Kahuna, boga wszelkich fal. Kilka dolarów. Sama automatyczna linia informacyjna przyjmuje osiemset tysięcy telefonów każdego roku, po dwa dolary za usługę. To ironia losu, że leniuch i surfowuszczyk buntowuszczyk Bobby jest prawdopodobnie najbogatszym mieszkańcem Moonlight Bay - chociaż nikt nie zdaje sobie z tego sprawy i chociaż on sam rozdaje większość zysków.

-Proszę - powiedział Bobby zapadając się w fotel przed jednym z komputerów.

-Zanim pomkniesz ratować świat i dasz sobie odstrzelić głowę, pomyśl o tym.

Orson przekrzywił łeb obserwując ekran, a Bobby zastukał w klawiaturę, przywołując nowe dane.

Większość spośród tego pozostałego pół miliona czeka na fale sięgające, powiedzmy, ponad pięć metrów, a zapewne niecałe dziesięć tysięcy umie dosiadać siedmiometrowek, lecz chociaż tych zdumiewająco wyszkolonych i zuchowatych typów jest mniej, prawie wszyscy zamawiają prognozy u Bobby'ego. Oni żyją i umierają dla jazdy na fali; przegapić serie tych wielkich potworów, zwłaszcza w sąsiedztwie, byłoby czymś w rodzaju szekspirowskiej tragedii zamków wznoszonych z piasku, niszczonych wiatrem.

-Niedziela - oznajmił Bobby, nadal stukając w klawiaturę.

-Ta niedziela?

-Lepiej żebyś tu był za dwie noce. Znaczący się, lepsze to, niż dać się zabić.

-Nadchodzi wielka fala?

-Ta będzie święta.

Może trzystu lub czterystu spośród wszystkich surferów na ziemi ma doświadczenie, talent i jaja, by wspiąć się na fale sięgające powyżej siedmiu metrów i część spośród nich dobrze płaci Bobby'emu za śledzenie prawdziwych gigantów, chociaż są zdradzieckie i zdolne zabić. Paru tych maniaków to bogacze, którzy poleca w każdy zakątek świata rzucić wyzwanie falom sztormowym, dziesięcio-, a nawet piętnastometrowym behemotom, na które często wciągają ich pomocnicy na skuterach wodnych, bo dopadnięcie tak wielkich monolitów w zwykły sposób jest często niemożliwe. Dobrze uformowane, warte, by je dosiadać, plus dziesięciometrowy pojawiają się na całym świecie nie częściej niż trzydziści dni w roku, a często przypluwają do egzotycznych brzegów.

Korzystając z map, zdjęć satelitarnych i danych pogodowych z licznych źródeł Bobby potrafi

dostarczyć dwu - lub trzydniowe ostrzeżenie i jego prognozy są tak godne zaufania, że większość z najbardziej wymagających klientów nigdy nie narzekała.

-Masz. - Bobby wskazał profil fali na monitorze. Orson przyglądał jej się dokładnie, podczas gdy Bobby mówił: - Moonlight Bay, fala łamiąca się na grzbiecie.

Zapowiada się klasyczne niedzielne popołudnie, wieczór i aż do poniedziałkowego brzasku - walce pełna gęba.

142

143

Widok na ekranie napelniał mnie zdziwieniem.-Czyżbym widział czterometrowki?

-Trzy do czterech metrów i może parę serii do pięciu. Niedługo dotrą do Haiti, a potem... do nas.

-To będzie na żywo.

-Całkowicie na żywo. Powoli nadchodzi wielki sztorm od północy Tahiti.

Zapowiada się też wiatr od lądu, tak że te potwory utworzą bardziej puste, wariacko wydrążone beczki, niż ci się to kiedykolwiek sniło.

-Super.

Odwrocił się z fotelem i spojrzał na mnie.

-Wiec czego chcesz dosiąść... niedzielnego sztormu z Tahiti czy rurociągu śmierci, prawdziwego tsunami z Wyvern.

-Jednego i drugiego.

-Kamikadze - powiedział uszczypliwie.

-Kaczka - przezwalem go z uśmiechem, co było tym samym, jakbym nazwał go "boja", jak się mówi na takiego, który siedzi na desce i zawsze brak mu jaj, żeby wspiąć się na fale.

Orson wodził głową od jednego z nas do drugiego i z powrotem, jakby obserwował mecz tenisowy.

-Głab - powiedział Bobby.

-Wabik - rzuciłem, a było to równoznaczne z "boja".

-Dupek - rzekl, co ma identyczna konotacje w slangu surferow, jak i w mowie potocznej.

-Rozumiem wiec, ze nie wchodzisz w to ze mna.

-Nie mozesz isc na policje - powiedzial wstajac. - Nie mozesz isc do FBI.

Wszyscy sa oplacani przez druga strone. Masz nadzieje sie dowiedziec o jakimś niezwykle tajnym programie w Wyvern?

-Juz troche odkrylem.

-No i z kolei dowiesz sie czegos, za co zostaniesz zabity. Sluchaj, Chris, nie jestes Sherlockiem Holmesem ani Jamesem Bondem. W najlepszym razie jestes Nancy Drew.

-Nancy Drew ma nieprawdopodobny wskaznik odkryc - przypomnialem mu.

-Przyszpilila sto procent drani, do ktorych sie zabrala. Bede zaszczycony, kiedy uzna sie mnie za osobe dorownujaca takiemu wystrzalowemu przeciwnikowi zbrodni jak pani Nancy Drew.

-Kamikadze.

-Kaczka. Glab.

-Wabik.

Bobby rozesmial sie cicho, potrzasnal glowa i podrapal szczecine na brodzie.

144

145

-Rzygac mi sie chce od ciebie - powiedzial.-Nawzajem.

Zadzwonil telefon. Bobby odebral.

-Hej, boska, totalnie odpadam od tego nowego pomyslu - caly czas tylko Chris Isaak. Pusc dla mnie "Dancin", dobra? - Podal mi sluchawke. - To do ciebie, Nancy.

Lubie radiowy glos Saszy. Tylko niewiele rozni sie od jej "normalnego" glosu; jest nieco glebszy, mieszy i jedwabistszy, ale efekt jest piorunujacy. Kiedy slysze Sasze didzeja, chce klebic sie z nia w lozku. Chce klebic sie z nia w lozku i tak, najczesciej jak to mozliwe, ale kiedy uzywa swojego radiowego glosu, to chce klebic sie z nia natychmiast.

Ten glos pojawia sie u niej z chwila, w ktorej wkracza do studia, i jest z nia nawet wtedy, kiedy schodzi z anteny, az do opuszczenia miejsca pracy.

-Ten kawalek konczy sie za jakas minute i musze cos paplac przed nastepnym -
oswiadczyła mi - wiec bede sie zwijac. Ktos tu przed chwila wpadł i chciał sie z toba
skontaktowac. Mowi, ze to sprawa zycia i smierci.

-Kto?

-Nie moge podac nazwiska przez telefon. Obiecalam. Kiedy powiedzialam, ze pewnie
bedziesz u Bobby'ego... ta osoba nie chciala tam do ciebie dzwonic ani tam pojsc.

-Dlaczego?

-Dokladnie nie wiem. Ale... ta osoba byla naprawde zdenerwowana, Chris. "To ja
zaznajomilem sie z noca". Wiesz, o co chodzi? "To ja zaznajomilem sie z noca".

Fragment wiersza Roberta Prosta.

Tato wpoil mi uwielbienie poezji. Ja zarazilem nia Sasze.

-Tak - powiedzialem. - Chyba wiem o co chodzi.

-Chce spotkac sie z toba najszybciej, jak to mozliwe. Mowi, ze to sprawa zycia i smierci.
Co sie dzieje, Chris?

-Wielka fala przyplywa w niedziele wieczorem - powiedzialem.

-Nie o to mi chodzilo.

-Wiem. Reszte powiem ci pozniej.

-Wielka fala. Dalabym sobie na niej rade?

-Czterometrowki.

-Dziekuje, postoje i pobawie sie na plazy.

-Kocham twoj glos - powiedzialem.

-Gladki jak zatoka.

Odlozyla sluchawke, wiec ja tez.

Bobby slyszal tylko czesc rozmowy, ale dzieki swojej niebywalej intuicji wyobrazil sobie
nastroj i cel telefonu Saszy.

-W co sie pakujesz?-To tylko cos dla Nancy. Nie zaciekawiloby cie.

Podczas gdy Bobby i ja szlismy na werande, a za nami podazal wciaz niespokojny Orson, radio w kuchni zaczelo swingowac z "Dancin" Chrisa Isaaka.

-Sasza to niesamowita kobieta - powiedzial Bobby.

-Nierzeczywista - zgodzilem sie z nim.

-Nie bedziesz mogl z nia byc, jak zostaniesz martwy. Nie jest taka zboczona.

-Rozumiem, co masz na mysli.

-Masz okulary przeciwsloneczne?

Poklepalem sie po kieszeni.

-No.

-Natarles sie kremem z filtrem?

-Tak, mam.

-Glab.

-Myslalem... - powiedzialem.

-Najwyzszy czas zaczac.

-Pracowalem nad nowa ksiazka.

-Wreszcie ruszyles swoj leniwy tylek.

-Jest o przyjazni.

-Wystepuje w niej?

-Nieslychane, ale tak.

-Nie uzywasz mojego prawdziwego nazwiska, co?

-Nazywam cie "Igor". Rzecz w tym... obawiam sie, ze czytelnicy moga skojarzyc, co chce powiedziec, bo ty i ja... wszyscy moi przyjaciele... prowadzimy takie odmienne zycie.

Bobby zatrzymal sie u szczytu schodow i rzucil mi swoje osobliwe szydercze spojrzenie,

mowiac:

-Myslalem, ze do pisania ksiazek trzeba byc madrym.

-To nie prawo federalne.

-Najwyrazniej nie. Nawet literacki odpowiednik krecidupca powinien wiedziec, ze kazdy z nas przezywa odmienne zycie.

-Cos ty? Maria Cortez przezywa odmienne zycie?

Maria jest mlodsza siostra Manuela Ramireza, ma dwadziescia osiem lat, jak Bobby i ja. Jest fryzjerka, a jej maz pracuje jako mechanik samochodowy. Maja dwojke dzieci, jednego kota i maly wlasnosciovyy domek z wielka hipoteka.

-Ona nie przezywa swojego zycia w salonie fryzjerskim, robiac komus wlosy... ani w domu odkurzajac dywan - powiedzial Bobby. - Ona przezywa swoje zycie miedzy

146

147

uszami. Tam, w jej czaszce, jest caly swiat i to pewnie znacznie dziwniejszy i o wiele kapitalniejszy, niz ty czy ja z naszymi plytkimi garnkami zamiast mozgow mozemy sobie wyobrazic. Szesc miliardow nas lazacych po tej planecie, szesc miliardow mniejszych swiatow na wiekszym. Obwozni sprzedawcy butow i kucharze w jadlojadniach, ktorzy z zewnatrz wygladaja na nudziarzy... niektorzy z nich zyja bardziej niesamowitym zyciem niz ty. Szesc miliardow opowiesci, kazda jak epopeja, pelna tragedii i triumfow, dobra i zla, rozpacz i nadziei. Ty i ja... nie jestesmy tacy nadzwyczajni, bratku. Na chwile przytkalo mnie. Skubnalem rekaw jego pstrokatej koszuli i powiedzialem:

-Nie przypuszczalem, ze taki z ciebie filozof.

Wzruszyl ramionami.

-Ten klejnocik madrosci? Do diabla, to tylko wpadlo mi w ciasteczku z przepowiednia.

-To musial byc solidny glon ciasta.

-Hej, to byl wielki monolit, lalusi - rzekl posylajac mi chytry usmieszek.

Wielka sciana oswietlonej ksiezycem mgly majaczyla niecaly kilometr od brzegu, ani blizej, ani dalej niz poprzednio. Nocne powietrze bylo tak nieruchome, jak w kostnicy Szpitala Milosierdzia.

Kiedy zeszliśmy ze stopni werandy, nikt do nas nie strzelil. Nikt tez nie krzyknal jak nur.

Jednakże oni byli gdzieś tam, ukrywali się wśród wydm lub poniżej krawędzi stoku opadającego do plaży. Wyczuwałem ich skupienie, jak niebezpieczna energia w zwojach nieruchomego, szykującego się do ukaszenia grzechotnika, domagająca się uwolnienia.

Chociaż Bobby zostawił dubeltówkę wewnątrz, był czujny. Rozglądając się wokół, gdy towarzyszył mi w drodze do roweru, zaczął okazywać, trochę więcej niż poprzednio, zainteresowania moją opowieścią.

-Ta małpa, o której wspomniała Angela...

-Co z nią?

-Jaka była?

-Malpiasta.

-Jak szympan, orangutan, czy co?

Złapałem rower za kierownicę, odwróciłem w kierunku miękkiego piasku.

-To był reżus - powiedziałem. - Nie wspomniałem o tym?

-Jak duży?

-Powiedziała, że mierzył około sześćdziesięciu centymetrów, ważył kilkanaście kilogramów.

Spoglądając w kierunku wydm, powiedział:

-Sam widziałem parę.

Zaskoczony oparłem rower o balustradę i powiedziałem:

146

147

-Reżusy? Tutaj? - Ten sam gatunek małpy, tych rozmiarów. Oczywiście w Kalifornii nie żyją żadne małpy. Jedyne naczelne w lasach i na polach to ludzie. Raz w nocy przyłapałem jedną na gapieniu się przez okno - powiedział Bobby. - Wyszedłem na dwór, a jej nie było.

-Kiedy to się wydarzyło?

-Może jakieś trzy miesiące temu.

Orson poruszał się między nami, jakby dodając sobie otuchy.

-Widziałes je od tamtej pory? - spytałem.

-Szesc, siedem razy. Zawsze noca. Sa skryte. Ale ostatnio coraz smielsze. I wedruja gromada.

-Gromada?

-Wilki wedruja wataha. Konie stadem. U malp to sie nazywa "gromada".

-Robiles badania zrodlowe. Czemu mi nie powiedziales?

Milczal. Obserwowal wydmy.

Ja tez je obserwowalem.

-To one sa tam teraz?

-Moze.

-Ile jest w tej gromadzie?

-Nie wiem. Moze szesc albo osiem. To tylko przypuszczenie.

-Kupiles dubeltowke. Myslisz, ze sa niebezpieczne?

-Moze.

-Zglosiles o nich komus? Na przyklad urzedowi kontroli zwierzat?

-Nie.

-Dlaczego?

Zamiast odpowiedziec zawahal sie i po chwili rzekl:

-Dostane swira z ta Pia.

Pia Klick. Miala posiedziec nad Waimea dwa, trzy miesiace, siedzi trzeci rok.

Nie rozumialem zwiazku miedzy Pia a niemoznoscia zgloszenia malp urzedowi kontroli zwierzat, ale wyczuwalem, ze Bobby wskaze mi te wiez.

-Mowi, iz odkryla, ze jest wcieleniem Kaha Huna - powiedzial Bobby.

Kaha Huna to mityczna hawajska bogini surfingu, ktora przede wszystkim nigdy tak naprawde nie miala ciala, stad tez nie mogla sie w zadne cialo wcielic. Biorac pod uwage, ze Pia nie byla kamaaina, Hawajka, ale haole, rdzenna mieszkanka Oskaloosa, Kansas i

mieszkała tam do siedemnastego roku życia, nie wydawała się wymarzona kandydatka na mitologiczną uderzeniową.

-Nie ma referencji - orzekłem.

-Traktuje to ze śmiertelną powagą.

-No, jest dość słodka, żeby być Kaha Huna. Zresztą inna bogini też.

148

149

Stojąc obok Bobby'ego nie widziałem zbyt dobrze jego oczu, ale twarz miał pozbawioną wyrazu. Nigdy poprzednio nie widziałem, żeby miał twarz pozbawioną wyrazu. W jego wypadku to było niemożliwe.

-Rozważa, czy będąc Kaha Huna nie powinna zachować celibatu.

-Uuuuch.

-Pewnie wyobraża sobie, że nie powinna nigdy żyć z normalnym lalusem, to znaczy śmiertelnym mężczyzną. To byłoby bluźniercze odrzucenie przeznaczenia.

-Brutalne - powiedziałem ze zrozumieniem.

-Ale byłoby super z jej strony, gdyby zadała się z bieżącym wcieleniem Kahuna.

Kahuna to mityczny bog surfing. W głównej mierze stworzył współczesnych surferów, którzy stworzyli te legendy z biografii dawnego hawajskiego znachora.

-A ty nie jesteś wcieleniem Kahuna.

-Ani mi się śni.

Z tej odpowiedzi wysnułem wniosek, że Pia usiłuje go przekonać, że w istocie jest bogiem surfing.

-Ona jest taka inteligentna, taka uzdolniona - powiedział Bobby z widoczną zazłością i zakłopotaniem.

Pia skończyła UCLA z summa cum laude. Oplacała szkołę malując portrety; teraz jej hiperrealistyczne dzieła szły za spore sumy, tak szybko, jak chciało jej się malować.

-Jak ktoś może być tak inteligentny i tak uzdolniony - pytał podniesionym głosem Bobby - a potem... to?

-Moze jestes Kahuna?

-To wcale niesmieszne - rzekl, co bylo zdumiewajacym stwierdzeniem, poniewaz wszystko w takim czy innym stopniu bylo dla Bobby'ego smieszne.

Trawy wydmowe omdlewały w swietle ksiezycy, ani zdzblo nie zadrzalo w bezwietrznym powietrzu. Lagodny rytm przyboju unoszacy sie z plazy byl jak mruczando odleglego rozmodlonego tlumu.

Sprawa Pia byla fascynujaca, ale w sposob zrozumialy bardziej interesowalem sie malpami.

-Te ostatnie kilka lat - powiedzial Bobby - kiedy Pia zachlustywala sie New... no, czasem dalo sie wytrzymac, ale czasem to bylo jak wystawianie sie na najgorsze blocko. "Blocko" to fala wymieszana dokladnie z piaskiem i drobnymi kamyczkami, siekajaca po twarzy, kiedy wchodzisz do wody. Nie sa to mile warunki do surfingu.

-Czasem, kiedy koncze z nia rozmawiac przez telefon - powiedzial Bobby - jestem tak zamotany, tak mi jej brak, tak bardzo chcialbym z nia byc... Malo brakuje, a przysialbym, ze ona jest Kaha Huna. Jest tak szczera. I wiesz, ona wcale o tym nie nawija. Wlasnie ten jej spokoj najbardziej wywraca mi flaki.

148

149

-Nie wiedzialem, ze cos jest w stanie wywrocic ci flaki.-Ja tez nie wiedzialem. - Westchnal, rozkopujac piasek bosa stopa i zaczal wykazywac zwiazek miedzy Pia i malpami: - Kiedy pierwszy raz zobaczylem malpe w oknie, bylo spoko, rozsmieszyla mnie. Pomyslalem, ze komus ucieklo oswojone zwierzec... ale drugi raz byla juz niejedna. I to bylo tak zwariowane, jak to cale gówno z Kaha Huna, bo wcale nie zachowywaly sie jak malpy.

-O co ci chodzi?

-Malpy lubia sie bawic, blaznowac. A te stwory... one sie nie bawily. Te powazne, male dziwadla mialy jakis cel. Obserwowaly mnie i dom nie z ciekawosci, ale realizujac jakis plan.

-Jaki plan?

Bobby wzruszyl ramionami.

-Byly takie dziwne...

Chyba brakowalo mu slowa, wiec zapozyczylem je od H.P. Lovecrafta, ktorego opowiesciami tak entuzjazmowalismy sie, majac trzynascie lat:

-Przerazliwe.

-No. Były przerażające do maksimum. Wiem, że nikt by mi nie uwierzył. Jakbym prawie miał halucynacje. Złapałem aparat, ale nie udało mi się zrobić zdjęcia. Wiesz, czemu?

-Paluchy na obiektywie?

-Nie chciały dać się sfotografować. Na widok aparatu cofały się, a były wariacko szybkie. - Zerknął na mnie, odczytując reakcję, a potem znowu skierował wzrok na wydmy. - Wiedziały, do czego służy aparat fotograficzny.

Nie mogłem się oprzeć.

-Hej, ty ich nie antropomorfizujesz, no nie? Wiesz, nie przypisujesz ludzkich cech i zachowań zwierzętom.

-Po tamtej nocy - kontynuował ignorując moją uwagę - nie odkładałem aparatu do szafy. Trzymałem go na ladzie kuchennej, pod ręką. Pomyślałem, że jak się znowu pokaza, to może uda mi się trzasnąć zdjęcie, zanim zorientują się, co jest grane. Pewnej nocy, jakieś półtora miesiąca temu, waliły dwupółmetrowki przy dobrym wietrze od ładunku, beczka po beczce, więc chociaż było trochę chłodnawo, wrzuciłem na siebie skafander i przez kilka godzin kotłowałem się daleko w wodzie. Nie zabrałem ze sobą aparatu na plażę.

-Dlaczego?

-Nie widziałem cholernych małp od tygodni. Pomyślałem sobie, że może już nigdy ich nie zobaczę. W każdym razie, kiedy wróciłem do domu, zrzuciłem z siebie neopren, poszedłem do kuchni i wziąłem piwo. Odwróciłem się, a tu dwie małpy wiszą w oknach na zewnątrz i patrzą się na mnie. Siegnąłem po aparat... ale on znikł.

150

151

-Gdzieś go zapodziałeś.-Nie. Przepadł na dobre. Wychodząc na plażę nie zamknąłem drzwi na klucz.

Nigdy więcej już tego nie zrobię.

-Chcesz mi powiedzieć, że małpy zabrały aparat?

-Następnego dnia kupiłem nowy. Znowu położyłem go na ladzie przy piekarniku. Zostawiłem włączone światła, zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem z deską na plażę.

-Dobrze się surfowało?

-Wolno. Ale chciałem dać im szansę. I wykorzystały ją. Kiedy mnie nie było, rozbili szybę, otworzyły okno i ukradły ten nowy dziecięcy aparat. Nic poza tym. Tylko aparat.

Teraz zrozumiałem, czemu dubeltowka jest trzymana w zamkniętym schowku na miotły.

Domek na cyplu, bez sąsiadów, zawsze mi się podobał. Był znakomitym miejscem odosobnienia. Wieczorem, kiedy surferzy odeszli, niebo i morze tworzyły sferoide, w której dom stał jak diorama w jednym z tych szklanych przycisków na papierze, który po potrząśnięciu wypełnia się wirującym śniegiem, chociaż zamiast zadymki panuje tam spokój i cudowna samotność. Jednakże teraz ta kształcąca samotność stała się denerwująca izolacja. Noc zamiast oferować spokój zgestniała od stezonego oczekiwania.

-I zostawiły mi ostrzeżenie - powiedział Bobby.

Wyobraziłem sobie groźbę wypisaną niekształtnymi drukowanymi literami:

PILNUJ WŁASNEJ DUPY. Podpis: MY, MALPY.

Jednakże były zbyt madre, by zostawić pisemny dowód rzeczowy, i zbyt bezpośrednie.

-Jedna nasrała mi na łóżko - powiedział Bobby.

-Och, mile.

-Powiedziałem, że są skryte. Zdecydowałem, że nawet nie będę próbował ich fotografować. Gdyby któreś nocy udało mi się znieśc którąś... chyba by się jakos wkurzyły.

-Boisz się ich. Nie wiedziałem, że coś może wywrócić ci flaki i nie wiedziałem, że w ogóle możesz się bać. Dzisiejszej nocy wiele się o tobie dowiaduje, bratku.

Nie chciał przyznać się do tego, że się bał.

-Kupiłeś dubeltówkę - naciskałem.

-Bo to chyba dobrze postawić się im od czasu do czasu, dobrze pokazać tym małym draniom, że cenie swoje terytorium, a to, na Boga, jest moje terytorium! Ale tak naprawdę to się nie boję. To tylko malpy.

-Ale z drugiej strony nie.

-Czasami zastanawiam się, czy nie dostałem jakiegoś wirusa New Age od Pia przez telefon, aż z Waimea... i teraz, kiedy ona ma obsesję Kaha Huna, ja mam obsesję malp nowego milenium. Chyba tak byłoby na tabloidach, no nie?

150

151

-Millenijne malpy. To brzmi.-Dlatego nie zglosilem o nich. Nie zamierzam podkladac sie prasie ani nikomu innemu. Nie mam zamiaru byc dziwadlem, ktore zobaczylo yeti, albo kosmitow w statku miedzyplanetarnym, majacym ksztalt czterogrzanekowego tosterka. Po czym takim moje zycie juz nie byloby takie samo, no nie?

-Bylbys cudakiem, jak ja.

-Dokladnie.

Poczucie, ze jestem obserwowany, wzroslo. Czulem, ze za chwile, zwyczajem Orsona, bede warczal. Pies stal miedzy Bobbym a mna, czujny i cichy; uniosl leb i postawil jedno ucho. Juz sie nie trzasl, ale wyraznie traktowal z szacunkiem to cos, co obserwowalo nas na dworze.

-Teraz, kiedy opowiedzialem ci o Angeli, wiesz, ze malpy maja cos wspolnego z tym, co dzieje sie w Fort Wyvern - powiedzialem. - To juz nie wymysly z tabloidow.

To jest prawdziwe, calkowicie zywe i musimy z tym cos zrobic.

-Wciaz czynna - powiedzial.

-Co?

-Z tego, co Angela ci powiedziala, wynika, ze baza w Wyvern nie jest do konca zlikwidowana.

-Ale poltora roku temu byla porzucona. Jesli bylby tam personel i kierowalby jakas operacja, wiedzielibysmy o tym. Nawet gdyby mieszkali w bazie, przyjezdzaliby do miasta po zakupy, do kina.

-Powiedziales, ze Angela nazwala to "Armageddon". To koniec swiata, mowila.

-No. I co z tego?

-Wiec moze kiedy jestes zajety przy programie zniszczenia swiata, nie masz czasu wpasc do kina. W kazdym razie, to tsunami, Chris. Panstwowa sprawa. Nie sposob posurfowac na tych wodach i przeczyc.

Zlapalem rower za kierownice i postawilem go prosto.

-Pomimo malp i tego, co widziales, zamierzasz tylko lezec do gory brzuchem?

Skinal glowa.

-Jesli nie dam sie wytracic z rownowagi, mysle, ze one wreszcie dadza mi spokoj. Zreszta nie przychodzi tu co noc. Raz, dwa razy tygodniowo. Jak przeczekam...

Mozliwe, że będę zły jak dawniej.

-No, ale założmy, że to nie były tylko zwiady Angeli. Może to nie nierealne, żeby wszystko było jak kiedyś.

-Po co więc bawić się w Supermana, jeśli to stracona sprawa?

-Dla Wielkiego Ekspera - oznajmiłem z zartobliwą powagą - nie ma straconych spraw.

-Kamikadze.

152

153

-Kaczka.-Głab.

-Wabik - powiedziałem ciepło i poprowadziłem rower po miękkim piasku.

Orson zaprotestował cichym skomleniem, gdy opuściliśmy stosunkowo bezpieczne schronienie, jakim był domek, ale nie stawiał oporu. Trzymał się blisko mnie, lapal wiatr, gdy szliśmy w kierunku ladu.

Przeszlismy jakieś dziesięć metrów, gdy Bobby wzbijając obłoczki piasku szybko nas przegonił i zablokował drogę.

-Wiesz, na czym polega twoje nieszczęście? - zapytał retorycznie.

-Na doborze przyjaciół?

-Twoje nieszczęście to chęć zostawienia po sobie śladu. Chcesz, żeby zostało po tobie coś, co by mówiło: "Byłem tu".

-Nie dbam o to.

-Gówno prawda.

-Uważaj, co mówisz. Tu jest pies.

-Właśnie dlatego piszesz te artykuły, książki. - Żeby zostawić ślad.

-Pisze, bo lubie pisać.

-Zawsze na to narzekasz.

-Ponieważ to najtrudniejsza rzecz, którą robiłem, ale i najbardziej satysfakcjonująca.

-Wiesz, czemu jest tak ciezko? Bo to zajecie sprzeczne z natura.

-Moze dla ludzi, ktorzy nie umieja czytac i pisac.

-Nie zyjemy po to, zeby zostawic slad. Pamiatki historyczne, spuscizna, slady... to wlasnie jest nasz blad. Jesteśmy tu, zeby podziwiac swiat, nurzac sie w jego cudownej niesamowitosci, rozkoszowac dosiadaniami fali.

-Orson, popatrz, znow odezwal sie filozof Bob. - Swiat jest maksowo doskonaly taki, jaki jest, piekny od horyzontu do horyzontu.

Kazdy slad, ktory ktos z nas probuje zostawic... do diabla, to tylko graffiti.

-Muzyka Mozarta - powiedzialem.

-Wandalizm - rzekl Bobby.

-Dziela Michala Aniola.

-Graffiti.

-Renoir.

-Graffiti.

-Bach, Beatlesi.

-Dzwiekowe graffiti - rzekl z pasja.

Orson zaczal tluc ogonem po bokach, jakby sledzil nasza rozmowe.

-Matisse, Beethoven, Wallace, Stevens, Szekspir.

152

153

-Wandale, chuligani.-Dick Dale - rzucilem swiete imie krola gitary surfingu, ojca wszelkiej muzyki surfingu.

Bobby zamrugal, ale powiedzial:

-Graffiti.

-Jestes chory psychicznie.

-Jestem najzdrowsza osoba, jaka znasz. Porzuc te chorobliwie bezuzyteczna kruczate,

Chris.

-Naprawde musze plywac w lawicy prozniakow, jesli ta odrobina ciekawosci robi wrazenie kruczajaty.

-Uzywaj zycia. Nurzaj sie w nim. Oto, po co tu jestesmy.

-Bawie sie po swojemu - zapewnilem go. - Nie przejmuj sie... jestem tak samo wielkim obibokiem i swirem jak ty.

-Chcialbys.

Sprobowalem go obejsc, ale znow zastapil mi droge.

-Dobra - powiedzial z rezygnacja. - W porzadku. Ale prowadz rower jedna reka, a w drugiej trzymaj glocka, az wrocisz na twarda nawierzchnie i znow bedziesz mogli jechac. Wtedy pedałuj, ile sil.

Poklepalem sie po kurtce, ktorej pola obwisla pod ciezarem pistoletu. Jedna kule wystrzelilem przypadkowo u Angeli. W magazynku zostalo dziewiec.

-Ale to tylko malpy - powtorzylem slowa Bobby'ego.

-I nie tylko.

-Masz cos jeszcze, co powinienem wiedziec? - spytalem szukajac jego wzroku.

Przygryzl dolna warge.

-Moze jestem Kahuna - rzucil.

-Nie to chciales mi powiedziec.

-Nie, ale to mniejsze wariactwo niz to, co zaraz uslyszysz. - Obrzucil wzrokiem wydmy. - Przywodca gromady... Widzialem go tylko przelotnie i z daleka, w ciemnosci, zaledwie cien. Jest wiekszy niz reszta.

-Jak duzy?

Spojrzal mi w oczy.

-Mysle, ze to lalus mniej wiecej mojego wzrostu.

Poprzednio, gdy stalem na werandzie czekajac na Bobby'ego, zauwazylem katem oka ruch. Niewyraźny zarys czlowieka pokonujacego wydmy dlugimi plynnyymi susami. Kiedy wycelowalem glocka w tamtych kierunku, nikogo nie bylo.

-Czlowiek? - powiedzialem. - Biegajacy z millenijnymi malpami, przywodca gromady? Nasz Tarzan Moonlight Bay?

-No coz, mam nadzieje, ze to czlowiek.

154

-Co to ma znaczyc? Bobby odwrocil wzrok i wzruszyl ramionami.

-Mowie po prostu, ze widzialem nie tylko malpy. Tam z nimi jest wielki ktos; albo cos.

Popatrzyłem na Moonlight Bay.

-Mam wrazenie, ze gdzies tyka zegar, mechanizm bomby zegarowej i cale miasteczko jest zaminowane.

-O to mi chodzi, bratku. Trzymaj sie z daleka od strefy wybuchu.

Trzymajac rower jedna reka, druga wyjalem glocka.

-Jesli zamierzasz kontynuowac swoje niebezpieczne i glupie przygody, Wielki Eksperze, pamietaj jedno.

-Kolejna porcja madrosci chorego na deske.

-To co dzialo sie tam w Wyvern... i moze dalej sie dziać... musialo angazowac wielki zespol naukowcow. Nieslychanie uczonych lalusiow z czolkami wyzszyimi niz cala twoja geba. Typy z rządu i armii i to duza ich liczba. Elita systemu. Ci od ruszania pionkami. Wiesz, dlaczego brali w tym udzial, zanim wszystko sie pochrzanilo?

-Rachunki do zaplacenienia, rodziny na utrzymaniu?

-Do ostatniego typu chcieli zostawic po sobie slad.

-Tu nie chodzi o ambicje - powiedzialem. - Chce tylko wiedziec, czemu moja mama i tato musieli umrzec.

-Glowe masz twarda jak muszla ostrygi.

-No, ale w srodku jest perla.

-Nie ma perly - uspokoil mnie. - To tylko obrosle piaskiem mewie gowno.

-Umiesz mlec ozorem. Powinienes napisac ksiazke.

Zrobil mine kwasniejsza niz sok z zielonej cytryny.

-Wolalbym przeleciec kaktusa.

-Dokładnie tak to smakuje. Ale jest satysfakcjonujące.

-Ta fala wypłucze cie i cisnie w kolektor kanalizacyjny.

-Może. Ale na fali będzie total super. A czy to nie ty powiedziałeś, że bym rozkoszował się dosiadaniami fali?

Wreszcie pokonany, zszedł mi z drogi, unosił reke i zrobił szake. Przytrzymałem rower dlonia, w której trzymałem bron i pozdrowiłem go znakiem ze "Star Trek".

W odpowiedzi pokazał mi ptaka.

Z Orsonem u boku szedłem po piasku ku wschodowi, tam gdzie polwysep był bardziej kamienisty. Po przejściu paru metrów usłyszałem, że Bobby coś mówi, ale jego słowa nie dotarły do mnie wyraźnie. Zatrzymałem się, odwróciłem i zobaczyłem, że wraca do domku.

-Co mówiles?!

154

-Oto nadchodzi mgła - powtorzył. Popatrzyłem za niego i ujrzałem potężną białą masę opadającą z zachodu, lawinę klebiących się oparów, spatynowana blaskiem księżyca. Jak widziana we śnie, osuwająca się bezgłośnie ściana zagłady. Światła miasteczka wydawały się o kontynent dalej.

157

Część Czwarta Przed Brzaskiem

157

21

Zanim Orson i ja wyszliśmy poza obszar wydm i dotarliśmy do tej części przylądka, po której biegła kamienna ścieżka, pochłonęły nas gęste chmury. Front mgły miał głębokość około stu metrów i chociaż rozrzedzone światło księżyca przenikało opary aż do ziemi, znaleźliśmy się w szarej brei, w której widzialność była gorsza niż poprzednio, w bezgwiazdnej, bezksiężycowej nocy. Światła miasta zniknęły. Mgła plątała figle z dźwiękiem. Nadal słyszałem chrapliwy pomruk fal bijących o brzeg, ale zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, jakbym znalazł się na wyspie, a nie na polwyspie. Nie odważyłem się wsiaść na rower w tym spiworze mroku.

Widzialność bez przerwy wahała się od zera do dwóch metrów. Chociaż na zakrzywionym przylądku nie znajdowały się drzewa ani inne przeszkody, łatwo mogłem stracić orientację i

zjechać z nadmorskiej skarpy; rower poleciałby w przód, przednie koło zaryłoby się w miękkim piasku poniżej krawędzi skarpy, a ja zatrzymany gwałtownie fiknąłbym koziółką, prawdopodobnie złamał reke czy nogę albo nawet kark. Poza tym, aby nabrac szybkości i utrzymać równowagę, musiałbym kierować rowerem obiema rękami, trzeba by więc schować pistolet do kieszeni. Po rozmowie z Bobbym ani mi się sniło rozstawać z Glockiem. We mgle coś mogło zbliżyć się do mnie na odległość pół metra, zanim zdążyłbym sprawę, co się dzieje, nie zdążyłbym wyszarpnąć broni z kieszeni kurtki i oddać strzał.

Szedłem szybkim krokiem, prowadząc rower lewą ręką, udając bardzo pewnego siebie. Orson truchtał przede mną. Był niespokojny; nie udawał bohatera. Bezustannie się rozglądał.

Terkot łożysk i brzek lancucha zdradzały moją pozycję. Nie dalo się wyciszyć roweru. Pozostawało mi tylko nieść go, co mogłem zrobić jedną ręką i jedynie na krótką odległość. Zresztą hałas właściwie nie miał znaczenia. Malpy swymi wyczulonymi zmysłami odbierały najsłabsze bodźce; prawdę powiedziawszy, niewatpliwie wysledziłyby mnie samym wechem. Orson też mogłby je wywieszyć. W tej zamglonej nocy był ledwie widoczny i nie dostrzegalem, czy zjeżyły mu się włosy na grzbiecie, co byłoby pewnym sygnałem, że malpy są w pobliżu.

158

159

Idąc zastanawiałem się, czym różni się od zwyczajnych reżusów. Przynajmniej jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to zwierze w kuchni Angeli było typowym przedstawicielem swojego gatunku, choć może o maksymalnych wymiarach. Miało tylko "okropne ciemnozółte oczy", ale o ile wiedziałem, była to barwa charakterystyczna dla tej grupy naczelnych. Bobby nie wspominał o niczym, co by go uderzyło poza dziwnym zachowaniem i niezwykłym wzrostem słabo widocznego przywódcy; zadnego cofnięcia czaszki, trzeciego ślepiego na czole, szworni w karku, wskazujących, że pozszywano je i pospinano w tajnym laboratorium pra-pra-prawnuczki doktora Victora Frankensteina, megalomaniaczki Heather Frankenstein. Kierujący programem w Fort Wyver lekali się, że malpa podrapała Angele lub ją ugryzła. Biorąc pod uwagę obawy naukowców, nasuwał się logiczny wniosek, że zwierze było nosicielem choroby zakaźnej przekazywanej przez krew, ślinę czy inne płyny ciała. Ten wniosek potwierdzały badania, którym została poddana. Przez cztery lata pobierano jej raz w miesiącu próbki krwi, co oznaczało, że choroba miała długi okres inkubacyjny.

Bron biologiczna. Przywódcy każdego kraju na ziemi zaprzeczają, jakoby przygotowywali ten koszmarne orzeź. Przysiegają się na Boga, wzywają świadków historii i z powagą podpisują traktaty gwarantujące, że nigdy nie podejmą się badań i rozwoju tego typu broni. Tymczasem każdy naród zakasuje rekawy i warzy koktajle z węglikiem, gromadzi aerozole z dymienicą morową i z takim zapalem tworzy pierwszorzędne kolekcje nowych egzotycznych wirusów i bakterii, że na tej planecie w żadnej kolejce do urzędu zatrudnienia

nie uswiadczysz jednego szalonego naukowca.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zmusili Angele do poddania się sterylizacji. Bez wątpienia pewne choroby zwiększają możliwość uszkodzenia płodu. Jednakże oceniając po tym, co powiedziała mi Angela, nie sądziłem, by ludzie z Wyvern wysterylizowali ją ze względu na nią lub jej ewentualne potomstwo. Kierowało nimi nie współczucie, lecz strach rozdęty do granic paniki.

Pytałem Angele, czy małpa przenosiła chorobę. Na dobrą sprawę zaprzeczyła temu: "Czy to nie byłoby miłe? Może do tej pory już byłabym wyleczona. Albo martwa. Śmierć byłaby lepsza niż to, co nadchodzi".

Ale jeśli nie chodziło o chorobę, to o co?

Nagle krzyk nura, słyszany już wcześniej, znowu przeszył noc, wyrrywając mnie z rozmyślań.

Orson zadrzał i stanął jak wryty. Również ja zastygłem i zamilkło pobrzekiwanie roweru.

Wydawało się, że krzyk doleciał z zachodu i południa, a po krótkiej chwili rozległ się znowu jakby w odpowiedzi na poprzedni. Na ile mogłem to ocenić - dochodził z północy i wschodu. Byliśmy tropieni. Ponieważ dźwięk rozchodził się we mgle tak zwodniczo, nie potrafiłem ocenić, jak daleko znajdowały się źródła krzyków. Postawiłbym o zakład jedno płuco, że blisko.

158

159

Rytmiczne jak bicie serca pulsowanie fal przetaczało się przez noc. Zastanawiałem się, która piosenka Chrisa Isaaka Sasza właśnie posyła na fale eteru. Orson ruszył, więc i ja też, trochę szybciej niż poprzednio. Bezpieczni byłibyśmy dopiero za bezludnym półwyspem, w miasteczku - a może nawet i nie.

Nie przeszliśmy więcej niż dziesięć, dwanaście metrów, gdy znowu rozległo się niesamowite zawodzenie. Za chwilę był odzew.

Tym razem szliśmy dalej. Serce waliło mi młotem i nie zwolniło, gdy napomniałem siebie, że to tylko małpy. Nie drapieżniki. Zjadacze owoców, jagód, orzechów.

Członkowie królestwa pokoju.

Nagle, w jakimś odruchu perwersji, pamięć jednym błyskiem podsunęła mi oblicze trupa Angeli. Zdałem sobie sprawę, jakiego błędu dopuściłem się pod wpływem szoku i żalności. Ponieważ rana wyglądała na szarpaną, sądziłem, że gardło kilkakrotnie podcięto zabkowanym nożem. W rzeczywistości to nie było podcięcie nożem; szyję gryziono, rwano,

zuto. Teraz widziałem wyraźniej straszliwa rane, niż miałem na to ochotę stojąc na progu łazienki. Co więcej, zacząłem przypominać sobie inne ślady, rany, nad którymi w owym czasie nie miałem ochoty się zastanawiać. Sine ślady ugryzien na dłoniach. Może nawet na twarzy.

Malpy. Ale niezwykcyjne malpy.

Działania zabójców w domu Angeli - sprawa z lalkami, gra w chowanego - wyglądały na zabawę zwyrodniałych dzieciaków. Więcej małp musiało być w tych pokojach; na tyle małych, że pochowały się tam, gdzie człowiek by się nie zmieścił, tak niehumanoidalnie szybkie, że wydawały się zjawami.

Kolejny krzyk rozległ się z mroku i odpowiedziało mu ciche pohukiwanie z dwóch miejsc!

Szliśmy szybko, ale pohamowałem ogromną chęć przejścia w bieg. Pospiech zostałby odczytany - i to słusznie - jako oznaka strachu. Dla drapieżcy strach to słabość. Jeśli małpy zauważyłyby, że się boje, mogłyby zaatakować. Ścisnąłem Glocka tak mocno, że broń była jak zespawana z dłonią. Nie wiedziałem, ile stworów może być w gromadzie; może tylko trzy lub cztery, może dziesięć, a może nawet więcej. Biorąc pod uwagę, że nigdy poprzednio nie strzelałem z pistoletu - poza jednym razem, tego wieczoru, przypadkiem - było nieprawdopodobne, bym załatwił te wszystkie zwierzęta, zanim by mnie pokonały.

Chociaż nie chciałem podsuwać rozgorączkowanej wyobraźni mrocznego materiału, którym mogłaby się sycić, mimo woli wciąż zastanawiałem się, jakie zęby ma rezus.

Wyłącznie tepe dwuguzkowce? Nie. Nawet roślinożerne - zakładając, że te rezusy były faktycznie roślinożerne - potrzebowały czegoś do rozdierania skórki owocu, lupiny, skorupy. Na pewno miały siekacze, może nawet spiczaste zęby boczne, jak ludzie.

Chociaż te szczególne okazy może przesładowały Angele, ewolucja nie wyznaczyła rezusowi roli miesozercy, stąd też nie miały kłów. Jednak pewne małpy były w nie wypo160

161

sazone. Pawiany mają ogromne, silne zęby. W każdym razie siła zacisku szczęk rezusa była sprawą sporną, ponieważ niezależnie od uzbicia gatunku te szczególne okazy były na tyle dobrze wyposażone, by zabić Angele Ferryman okrutnie i szybko. Najpierw raczej usłyszałem lub wyczułem, niż zobaczyłem ruch we mgle, jakiś metr od moich stop. Potem zauważyłem ciemny niewyraźny kształt blisko ziemi, nadciągający szybko i cicho. Odwróciłem się w tym kierunku. Jakies stworzenie otarło się o moje nogi i znikło we mgle, zanim zdążyłem dokładnie mu się przyjrzeć.

Orson warknął, jakby ostrzegał, ale nie ryzykował wyzwania do walki. Stał przed klebiącym się wałem szarej mgły, która wiatr pedził w mroku po drugiej stronie roweru, i w tym świetle wydawało mi się, że zjeżyła mu się sierść na grzbiecie. Patrzyłem w dół, spodziewając się, że ujrzę Isniace ciemnozółte ślepię, o których mówiła Angela.

Lecz kształt nagle wyrosł groźnie we mgle i stał się prawie równie wielki jak ja. Może większy. Cienisty, nieokreślony, jak anioł śmierci rozwijający skrzydła we śnie, był bardziej zapowiedzią niż materia, budząc lek właśnie dlatego, że nienamacalny. Żadnych groźnych żółtych oczu. Żadnych wyraźnych rysów. Żadnej określonej postaci. Człowiek albo małpa, albo ani to, ani to; przywódca gromady, był i znikł.

Orson i ja znów stanelismy jak wryci.

Odwrocilem głowę, powoli badając wzrokiem płynne ciemności, łowiąc uchem wszelkie pomocne odgłosy. Ale gromada poruszała się równie cicho jak mgła. Czulem się, jakbym był nurkiem głęboko pod powierzchnią morza, uwiezonym w oslepiających prądach gestych od planktonu i alg, który ujrzawszy krzaczka rekina, oczekuje rozpoczęcia ataku.

Cos otarło się z tyłu o moje nogi, szarpnęło za dzinsy, i nie był to Orson, bo groźnie zasyczało. Kopnałem to coś, ale nie trafiłem; znikło we mgle. Orson zaskomlał, jakby też doznał niemilego wrażenia.

-Do mnie, stary! - przywołałem go z naciskiem i pies natychmiast podbiegł.

Opuszczałem rower, który upadł z klekotem na piasek. Złapałem pistolet w obie dłonie i wykonałem pełny obrot wokół własnej osi szukając czegoś, w co mogłbym strzelić.

Rozległy się piskliwe, gniewne skrzeki. To wyraźnie były głosy małp. Przynajmniej szesciu małp.

Gdybym zabił jedną, inne mogłyby uciec wystraszone. Lub mogłyby zareagować tak, jak smakoszka mandarynek na miotle Angeli - z pełną furii agresywnością.

W każdym razie widzialność była dosłownie zerowa i nie widziałem lśniących oczu lub cieni, więc nie osmieliłem się marnować amunicji strzelając na oslepa w mgle. Kiedy Glock byłby pusty, stałbym się łatwą ofiarą.

Skrzeki nagle ucichły.

Teraz gęste, nieprzerwanie kipiące chmury zagłuszały nawet dźwięk przyboju; slychac było tylko dyszenie Orsona i mój zbyt szybki oddech, nic innego.

160

161

Wielka czarna postać przywódcy gromady wylonila się znów z szarych falujących oparów. Opadł jak uskrzydłony, chociaż ten pozór lotu był iluzją. Orson warknął, a ja odskoczyłem gwałtownie w tył, uruchamiając mechanizm laserowego celownika. Czerwona kropka zafalowała na zmiennym obliczu mgły. Przywódca gromady, nie bardziej wyrazisty niż cień przemykający po oszronionym oknie, został całkowicie polknięty przez mgłę, nim zdążyłem przyszpilić laserem ten zmienny jak rtec kształt.

Przypomniałem sobie zbior czaszek na betonowych stopniach w przepuszczeniu burzowym. Może tamten kolekcjoner nie był jakimś nastoletnim socjopata rozpoczynającym karierę. Przyszła mi do głowy szczególna i niepokojąca myśl - może czaszki to trofea, zbierane i

układane przez malpy.

Przyszła mi do głowy jeszcze bardziej makabryczna myśl: może czaszki - moja i Orsona - odarte ze skóry, z pustymi oczodołami, błyszczące - zostaną dodane do kolekcji.

Orson zawył, gdy skrzeczająca malpa wyskoczyła z welonów mgły i spadła mu na grzbiet. Pies wykrecił łeb, klapał zębami starając się ugryźć i straszyć niepozadanego jeźdźcę. Byliśmy tak blisko, że nawet w słabym świetle i kotłującej się mgłę widziałem żółte ślepie. Promieniujące, zimne i przenikliwe. Patrzące z furii. Oddając strzał mogłem zabić Orsona.

Ledwo malpa wylądowała na grzbiecie psa, odbiła się w górę. Uderzyła we mnie całą masą, kilkunastoma kilogramami żyłastych mięśni i kości. Popchnęła mnie w tył.

Wspięła mi się po klatkę piersiową, czepiając się skórzanej kurtki i w tym zamieszaniu nie potrafiłem wypalic, nie ryzykując samopostrzelenia.

Przez moment znaleźliśmy się oko w oko. Stwór obnażył zęby, syczał żądnym, cuchnącym, obrzydliwym oddechem. To była malpa i równocześnie niemalpa, a jej upiorne spojrzenie było przerażające.

Zerwała mi czapkę z głowy, chociaż tłukłem ją łufą glocka. Sciskając czapkę zeskokczyła na piasek. Kopnałem i trafilem, wytraciłem jej czapkę z łap. Rezus piszcząc potoczył się, przepadł w mgłę, znikł mi z oczu.

Orson szczekając rzucił się za zwierzęciem, zapominając o całym strachu. Kiedy go zawołałem, nie usłuchał.

Wtem znów objawiła się postać przywódcy, jeszcze bardziej ulotna niż poprzednio - gietki kształt, wydęty jak peleryna unoszona wiatrem. Znikł równie szybko, jak się pojawił, ale był na tyle długo, że Orson miał czas rozważyć sensowność pogoni za rezurem, który usiłował skraść mi czapkę.

-Jezu! - szepnąłem, oddychając z głębi płuc, gdy pies zaskomlał i zrezygnował z pogoni.

Porwałem czapkę z ziemi, ale nie włożyłem jej na głowę, jedynie złożyłem i wcisnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki.

162

163

Trzesąc się sprawdziłem, czy nic mi się nie stało, czy nie zostałem ugryziony. Jeśli malpa mnie podrapała, nie poczułem ukłucia, ani na rękach, ani na twarzy. Nie, nie zostałem podrapany. Dzięki Bogu. Jeśli byłem nosicielem zaraźliwej choroby, przekazywanej tylko za pośrednictwem płynów ciała, nie zakażę się. Jednak wciągnąłem w płuca jej cuchnący

oddech, kiedy byliśmy oko w oko, oddychałem tym samym powietrzem, które ona wypuściła. Jeśli byłoby to zarażenie kropelkowe, już miałem w kieszeni bilet w jedną stronę do kostnicy. Za mną rozległ się niegłośny brzek. Wykreciłem się na piecie i okazało się, że rower oddała się we mgle, ciągniony przez coś niewidocznego. Leżałem płasko na boku, bronując piasek szprychami. Widoczne było jedynie tylne koło, a i ono prawie zniknęło w mroku, zanim pochyliłem się i złapałem je jedną ręką.

Niewidoczny złodziej roweru i ja zaczęliśmy krótkie przeciąganie liny, które z łatwością wygrałem, co sugerowałoby, że zmierzyłem się z jednym czy dwoma reżysami, a nie ze znacznie większym przywódcą gromady. Postawiłem rower, oparłem o siebie, żeby się nie przewrócił i kolejny raz uniosłem glocka.

Orson wrócił do mnie. Nerwowo wysikał się, oddając ostatnie krople piwa. Byłem zdziwiony, że sam nie nasikałem w spodnie. Przez chwilę hałasliwie łapałem oddech, trzesąc się tak bardzo, że nawet pistolet, który trzymałem oburącz, skakał w górę i w dół.

Uspokajałem się stopniowo. Serce z mniejszą energią niż poprzednio usiłowało polamać mi zębra.

Obok przepłynęły szare ściany mgły, burty widmowych statków, niekoncząca się flotyła, holująca nienaturalną ciszę. Żadnych skrzeków. Żadnych wrzasków ani pisków. Żadnych nuropodobnych krzyków. Żadnego westchnienia wiatru czy szmeru przyboju. Poczulem się tak, jakbym nawet nie zdając sobie z tego sprawy, został zabity podczas ostatniego starcia i teraz stał w lodowatym przedpokoju na zewnątrz korytarza życia, czekając, aż otworzą się drzwi, za którymi odbywa się Sad Ostateczny.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że gry ustaly na jakiś czas. Trzymając glocka jedną ręką ruszyłem na wschód połwyspu, prowadząc rower. Orson truchtał obok. Byłem pewien, że gromada nadal nas śledzi, chociaż z większej odległości niż poprzednio. We mgle nie dostrzegalem żadnych tropiących postaci, ale były tam z pewnością.

Malpy. Ale niemalpy. Prawdopodobnie uciekinierki z laboratorium w Wyvern.

Koniec świata, powiedziała Angela.

Nie od ognia.

Nie od lodu.

Cos gorszego.

Malpy. Koniec świata z powodu malp.

Armageddon. Koniec, fini, omega, dzień Sadu Ostatecznego, zamknij drzwi i wyłącz światła na zawsze.

To było całkowicie, w pełni krancowo zwariowane. Za każdym razem, kiedy próbowałem objąć umysłem fakty i nadać im jakiś logiczny ciąg, ogarniał mnie zamęt, byłem doszczętnie skotłowany wielką falą nieobliczalności. Postawa Bobby'ego, jego uparta determinacja w dystansowaniu się wobec nierozwiązywalnych problemów współczesności i w zdobywaniu tytułu mistrza prozniactwa zawsze robiła na mnie wrażenie. Teraz jego wybór wydał mi się nie tylko uzasadniony, ale rozsądny, logiczny i mądry.

Jako że nie spodziewano się, że dożyje dorosłości, rodzice wychowali mnie tak, abym się bawił, cieszył życiem, zachwycał światem, jak długo się da żył bez zmartwień i strachu, jedynie chwila, nie martwić się o przyszłość. Krótko mówiąc, chcieli, bym żył ufając Bogu i wierząc, że jak każdy jestem tu w jakimś celu i powinienem być tak samo wdzięczny za ograniczenia, jak i umiejętności i cnoty, ponieważ one wszystkie są częścią planu, niepoznawalnego ludzkim rozumem. Oczywiście dostrzegali potrzebę samodyscypliny i szacunku dla innych. Ale prawdę mówiąc, to przychodzi bezwiednie, gdy naprawdę wierzysz, iż twoje życie ma wymiar duchowy i że jesteś starannie zaprojektowanym elementem w tajemniczej mozaice życia. Choć wydawało się, iż nie mam szansy przeżyć rodziców, mama i tata poczynili przygotowania na wypadek, gdyby stało się inaczej. Kupili wysoką polisę ubezpieczeniową na życie, która teraz zabezpieczała mnie szczerze, nawet gdybym już nigdy nie miał zarobić centa z książek i artykułów. Urodzony do zabawy, uciechy i zachwyty, z góry wolny od wszelkiej pracy, z góry odciążony od wszelkiej odpowiedzialności, od wszystkiego, co przygniata większość ludzi, mogłem zrezygnować z pisania i zostać takim totalnym surfującym obibokiem, że w porównaniu ze mną Bobby Hallows byłby maniakiem pracoholikiem, mającym nie większe zdolności do zabawy niż główka kapusty. Co więcej, mogłem ulec absolutnemu prozniactwu bez jakiegokolwiek poczucia winy, bez wahan i wątpliwości, ponieważ wychowano mnie na to, czym mogła być cała ludzkość, gdybysmy nie pogwałcili warunków najmu i nie zostali wygnani z raju. Jak wszyscy zrodzeni z kobiety i mężczyzny zylem skazani na kaprysy losu. Z powodu XP jestem bardziej wrażliwy na jego machinacje niż większość ludzi i ta świadomość jest wyzwalająca.

A jednak, gdy pchałem rower w kierunku wschodniego skrawka przylądka, nieustannie rozmyślałem o wszystkim, co widziałem i słyszałem od zachodu słońca; poszukiwałem sensu.

Zanim gromada zjawiała się drecząc Orsona i mnie, próbowałem ustalić, czym wyróżniały się te małpy. Teraz wróciłem do owej zagadki. W przeciwieństwie do typowych reżusów były śmielsze, raczej ponure, gwałtowne i pełne nienawiści. Jednakże zdolność do przemocy nie stanowiła pierwszorzędnej cechy, odróżniającej owe małpy od typowych reżusów; był to raczej skutek innej, głębszej różnicy, którą dostrzegałem, ale nie wiedzieć czemu nie chciałem rozwiązać.

Geste kleby mgly stopniowo zaczely rzedniec. W mroku pojawily sie rozmazane swiatla; budynki i latarnie wzdluz wybrzeza. Orson zaskomlal zachwycony - albo moze po prostu z ulga - na te oznaki cywilizacji, lecz wcale nie bylismy bezpieczniejsi w miasteczku niz poza nim. Gdy opuscilismy polwysep i wkroczyliśmy na Embarcadero Way, przystanalem wyjmujac z kieszeni czapke. Wlozylem ja na glowe i naciagnalem daszek na czolo.

Czlowiek Slon poprawia swoje przebranie.

Orson zerknal na mnie, przypatrujac sie przekrzywiwszy leb, a potem mruknal, jakby aprobujaco. Przeciez byl psem Czlowieka Slonia i stad czesciowo postrzegal siebie zaleznie od stylu i szyku, z jakim nosilem sie ja.

Dzieki latarniom widzialnosc wzrosla do jakichs trzydziestu metrow. Jak widmowe fale starozytnego i dawno martwego morza mgla naplywala z zatoki w ulice, kazda delikatna kropla mgielki rozszczepiala zlote swiatlo lamp sodowych i przekazywala nastepnej kropli.

Jesli gromada nadal nam towarzyszyła, chcąc pozostac niewidoczna byla zmuszona kryc sie w wiekszej odleglosci niz na nagim polwyspie. Jakby odgrywajac w zmienionej obsadzie "Mordercow z rue Morgue" Poego, byla skazana na parki, nieoswietlone zaułki, balkony, wysokie wystepy, parapety i dachy.

O tej poznej porze nie widzialo sie pieszych ani pojazdow. Miasteczko wydawalo sie wymarłe. Ogarnelo mnie niepokojujace przekonanie, ze te ciche i puste ulice zapowiadaja prawdziwe, przerazajace wyludnienie, ktore w niedalekiej przyszłosci dotknie Moonlight Bay. Nasza miescina przygotowywala sie do objecia roli widmowej osady.

Wsiadlem na rower i udalem sie na polnoc Embarcadero Way. Czlowiek, ktory chcial skontaktowac sie ze mna przez Sasze, mial czekac na swojej lodzi w basenie jachtowym.

Pedalowalem wyludniona aleja i wrocilem myslami do malp. Bylem przekonany, ze odkrylem fundamentalna roznicę miedzy zwyczajnymi malpami i ta niezwyuczajna gromada, ktora skrycie nawiedzala noc, ale mimo ze konkluzja byla nieodparta, nie chcialem jej zaakceptowac: te malpy byly inteligentniejsze niz zwyczajne malpy!

Znacznie inteligentniejsze, nieporownywalnie inteligentniejsze.

Wiedzialy, do czego ma posluzyc aparat fotograficzny Bobby'ego i ukradly go.

Zwinely tez Bobby'emu nowy aparat.

Rozpoznaly moja twarz wsrod trzydziestu lalek w pracowni Angeli i wykorzystaly ja do

naigrywania się ze mnie. Później spowodowały pożar, by ukryć zamordowanie Angeli.

Tegie głowy w Fort Wyvern mogły się zajmować poszukiwaniem tajnej broni biologicznej, i to wyjaśniało, dlaczego ich doświadczalne małpy były znacznie inteligentniejsze niż wszystkie małpy, które poprzednio chodziły po ziemi.

164

165

Ale jak inteligentne były te "znacznie inteligentniejsze"? Może nie na tyle, by wygrać główną nagrodę w "Idź na całość!" Może nie na tyle, by nauczać poezji na poziomie uniwersyteckim lub udanie prowadzić audycje radiowa, lub śledzić fale surfingowe na całym świecie, może nawet nie na tyle, by napisać bestseller, który znajdzie się na liście "New York Timesa" - ale może na tyle inteligentne, by być najbardziej niebezpieczną, uciekającą kontroli zaraza, która dotknęła ludzkość. Pomyślmy tylko, jakie szkody potrafią wyrządzić szczury i jak szybko by się plodziły, gdyby były w polowie tak inteligentne jak ludzie i nauczyły się unikać pułapek i trucizn. Czy te małpy naprawdę uciekły z laboratorium, cieszyły się swobodą i chytrze uniknęły złapania? Jeśli tak, to przede wszystkim, jak udało im się osiągnąć taki poziom inteligencji? Czego chcą? Jaki mają plan? Dlaczego nie zadano sobie trudu wysledzenia ich, okrzewania i umieszczenia w klatkach, z których by się nie uwolniły?

Czy są narzędziem kogoś z Wyvern? Policja używa szkolonych psów. Marynarka wojenna wykorzystuje delfiny do poszukiwania okrętów podwodnych i - jak plotka głosi - podczas wojny nawet umieszczały one namagnesowane ładunki wybuchowe na kadłubach wskazanych okrętów.

Tysiące innych pytań klebiło mi się w głowie, wszystkie jednakowo szalone.

Wykorzystanie podwyższonej małpiej inteligencji mogło oznaczać globalną katastrofę. Konsekwencje dla ludzkiej cywilizacji byłyby alarmujące, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę żądłość tych zwierząt i ich wrodzona wrogość.

Przepowiednia Angeli, zapowiedź ostatecznej zagłady, nie musiała być przesadzona, a nawet mogła być mniej pesymistyczna niż moja ocena sytuacji, kiedy poznałbym wszystkie fakty. Coż, jeśli chodzi o Angele, to doświadczyła owej zagłady w swoim własnym domu.

Miałem również przecucie, że małpy to nie cała historia. Były jedynie rozdziałem epepei. Inne zdumiewające fakty czekały na odkrycie. W porównaniu z programem w Wyvern osławiona puszcza Pandory, z której wylonili się wszelkie zła, nawiedzające ludzkość - wojny, zarazy, choroby, głody, powodzie - mogła okazać się tylko zbiorem drobnych uprzykrzeń.

Tak spieszyłem się do basenu jachtowego, że Orson z trudem dotrzymywał mi kroku. Gnał, ile sił w łapach, uszy mu fruwały, dyszał ciężko, ale odstawał coraz bardziej.

Prawde mówiąc, powiedziałem nie dlatego, że chciałem jak najszybciej dopaść basenu jachtowego, ale dlatego, że nieswiadomie chciałem przegonić tocząca się ku nam potężna fala grozy. Jednakże nie było przed nią ucieczki i bez względu na to, jak mocno naciskałbym na pedały, mogłem tylko przescignąć własnego psa.

Przypomniałem sobie słowa taty, wyhamowałem i kreciłem wolniutko pedałami, tak że Orson mógł utrzymać się przy moim boku bez heroicznego wysiłku. "Nigdy nie zostawiaj przyjaciela. Przyjaciele to wszystko, dzięki czemu udaje się nam przeżyć ten świat - i jedyne z tego świata, co może uda nam się spotkać w następnym".

167

Poza tym, najlepszy sposób na poradzenie sobie z morzem kłopotów, to dopaść fale w zerowym punkcie załamania, przegonić ją, ślizgac się wzdłuż ściany prosto pod jej katedralny nawis, dać się całkowicie zamknąć w zielonej sali, sunąć na desce do końca beczki, pohukując bez cienia strachu. Tak jest nie tylko super; to klasyka.

167

22

Z łagodnym, a nawet czułym odgłosem, jak ciało na ciele w łozku nowozenców, niskie fale wślizgiwały się między pale pomostu i uderzały o nabrzeże. Wilgotne powietrze oferowało słaby, przyjemny melanz morza, świeżych wodorostów, kreozotu, rdzewiejącego żelaza i innych woni, których nie potrafiłem do końca zidentyfikować. Basen jachtowy, wcisnięty między północno-wschodni wyrostek zatoki, daje miejsce niewiele ponad trzystu jednostkom, z których zaledwie sześć to stałe miejsce zamieszkania ich właścicieli. Choć życie towarzyskie Moonlight Bay nie koncentruje się wokół jachtingu, jest długa lista czekających na każde wolne stanowisko przy pomostach.

Prowadziłem rower w kierunku zachodniego kranca głównego pirsu biegnącego równoległe do brzegu. Kola syczały i podskakiwały lekko na zmoczonych, nierównych deskach. O tej porze tylko jedna łódź migotała światłem w oknach. Latarnie nabrzeża, chociaż słabe, wskazywały mi drogę przez mgłę.

Ponieważ flotylla rybacka cumuje nieco dalej przy północnym przylądku zatoki, osłonięty w części basen jachtowy jest przeznaczony dla jednostek rekreacyjnych. Cumują tu słupy, kecze i Jole od skromnych do imponujących chociaż więcej tych pierwszych niż ostatnich - motorówki oceaniczne, przeważnie łatwe w obsłudze i o przystępnej cenie, kilka bostonów whalerów i nawet dwie koszarki, beznapedowe statki przeznaczone na mieszkania dla robotników portowych. Największa łódź zagłowa - prawdę powiedziawszy, w ogóle największa jednostka - to "Sunset Dancer", dwudziestometrowy kuter klasy windship. Z motorówek największy jest "Nostromo", osiemnastometrowy kabinowiec przybrzeżny klasy bluewater, i to była właśnie łódź, do której zmierzałem.

Przy zachodnim koncu pirsu skrecilem pod katem prostym i wszedlem na pomost, przy którym z obu stron cumowaly jachty. "Nostromo" kolysal sie przy ostatnim pacholku z prawej. "To ja zaznajomilem sie z noca".

Takie haslo przekazala mi Sasza, mowiac o czlowieku, który mnie poszukiwal.

Posluzyl sie wersem z wiersza Roberta Prosta, raczej nie do rozpoznania przez podslychujacych, i zalozylem, ze odnosi sie do Roosevelta Prosta, wlasciciela "Nostromo".

168

169

Kiedy oparlem rower o balustrade pomostu, w poblizu trapu motorowki Roosevelta, przyplyw sprawil, ze lodzie zakolysaly sie na miejscach postoju. Trzeszczaly i jeczaly jak nekany reumatyzmem starzec, narzekajacy bezsilnie przez sen. Nigdy nie zawracam sobie glowy zabezpieczaniem pozostawionego roweru, bo az do tej nocy Moonlight Bay byla azylem przed przestepczoscia, która zarazila wspolczesny swiat. Do konca weekendu nasze urokliwe miasteczko moglo zajac pierwsza pozycje w kraju, jesli chodzi o liczbe morderstw, okaleczen i pobic ksiezy, ale prawdopodobnie nie musieliśmy sie martwic dramatycznym wzrostem kradziezy rowerow. Poniewaz przyplyw nie siegal wysoko, trap byl stromy i sliski od skroplonej wilgoci. Orson schodzil rownie uwaznie jak ja. Bylismy w dwoch trzecich drogi, od nawietrznej strony pomostu, gdy niski glos, niewiele silniejszy niz chrapliwy szept, zapytal rozkazujaco, jakby z mgly nad moja glowa:

-Kto idzie?

To nagle objawienie ludzkiej obecności wydalo mi sie jakas czarodziejska sztuczka.

Zaskoczony malo nie upadlem, ale zlapalem sie ociekajacej woda barierki trapu i udalo mi sie zachowac rownowage.

Bluewater 563 jest waska, biala, nierzucajaca sie w oczy dwupokladowa motorowka, z gorna sterowka oslonieta na stale mocowanym dachem i plociennymi scianami.

Jedynie swiatlo na pokladzie padalo zza firanek mniejszej kabiny rufowej i kabiny na srodekreciu, na nizszym pokladzie. Otwarta czesc gory oraz sterowka byly w mroku i mgle, tak ze nie moglem dojrzec osoby, która sie odezwala.

-Kto idzie? - znow szepnal ten sam czlowiek, nie glosniej, ale twardszym glosem.

Po glosie poznalem, ze mam do czynienia z Rooseveltem Frostem. Nasladujac jego zachowanie szepnalem:

-To ja, Christopher Snow.

-Zaslon oczy, synu.

Zrobilem z reki daszek i zmruzyłem oczy, gdy rozbłysło światło latarki i przyszpiliło mnie tam, gdzie stałem. Zgasło prawie natychmiast, a Roosevelt spytał, nadal szeptem:

-Czy to twój pies jest z toba?

-Tak, prosze pana.

-I nic innego?

-Przepraszam...?

-Nie ma z toba nikogo innego?

-Nie, prosze pana.

-No, to wchodz na poklad.

Teraz go widzialem, bo podszedl blizej relingu gornego pokladu, za sterowka.

Jednakze nie moglem go zidentyfikowac nawet z tego stosunkowo bliskiego dystansu, bo zaslaniala go mgla gesta jak zupa z groszku, mrok i cien, jaki sam rzucal.

168

169

Popedzajac Orsona przed soba wszedlem na motorowke furta wejsciowa i szybko wspialem sie po stopniach na wyzszy poklad. Gdy tam dotarlem, przekonalem sie, ze Roosevelt Frost trzyma dubeltowke. Niebawem Narodowe Towarzystwo Strzeleckie przeniesie kwatere glowna do Moonlight Bay. Nie celowal we mnie, ale bylem pewien, ze trzymal na muszce, az do chwili, w ktorej mogl mnie zidentyfikowac w swietle latarki. Nawet bez dubeltowki prezentowal sie okazale. Sto dziewiecdziesiat dwa centymetry. Kark jak slup mola. Barki szerokie jak bom sztaksla. Potezna klatka piersiowa.

Rozstaw ramion szerszy niz przecietne kolo sterowe. To byl facet, ktorego Ahab powinien byl wezwac do pokonania Moby Dicka. Byl gwiazda footballu w latach 60. i na poczatku 70., a dziennikarze sportowi zwykle nazywali go Mlot Kowalski. Chociaz liczyl sobie juz szescdziesiat trzy lata, odniosl sukces w biznesie, mial sklep z odzieza meska, minipasz handlowy oraz polowe zajazdu i klubu sportowego; moglby zrobic miazge z kazdego genetycznego mutanta faszzerowanego steroidami, ktory obecnie gral na pozycji glownego napastnika.

-Czesc, piesku - mruknel.

Orson sapnal.

-Potrzymaj, synu - cicho powiedzial Frost, podajac mi dubeltowke.

Na szyi mial zawieszona dziwna, nowoczesna lornetke. Podniosl ja do oczu i z tego punktu obserwacyjnego, jakim byl gorny poklad, zlustrowal lodzie dookola i pomost, ktorym szedlem do "Nostromo".

-Pan cos widzi? - dalem wyraz zdziwieniu.

-Noktowizor. Wzmacnia swiatlo osiemnascie tysiecy razy.

-Ale mgla...

Nacisnal guzik i cos zamruczalo wewnatrz lornetki.

-Moze tez pracowac na podczerwien, pokazujac jedynie zrodla ciepla.

-W basenie jachtowym musi byc wiele zrodel ciepla.

-Nie, kiedy wylaczono silniki. Poza tym interesuja mnie tylko poruszajace sie zrodla ciepla.

-Ludzie.

-Moze.

-Kto?

-Ktokolwiek moglby cie sledzic. Teraz badz cicho, synu.

Zastosowalem sie do nakazu. Podczas gdy cierpliwie penetrowal wzrokiem basen jachtowy, przez nastepna minute myslalem o tym eksgwiazdorze footballu i miejscowym biznesmenie, ktory jednak nie byl tym, na kogo wygladal.

Szczerze mowiac, nie zaskoczyl mnie. Od zachodu slonca spotykani przeze mnie ludzie odslaniali nieznane mi poprzednio tajemnice swojego zycia. Nawet Bobby mial sekrety; dubeltowka w schowku na miotly, gromada malp. Kiedy zastanawialem sie nad

170

171

przekonaniem Pia Klick, ze jest reinkarnacja Kaha Huna, co Bobby do tej pory zachowywal dla siebie, lepiej rozumialem jego gorzkie i negatywne reakcje na kazdy poglad zatracajacy o New Age, w tym moje przypadkowe, niewinne uwagi o Orsonie. Jedynie on zachowal jak dotad charakter - chociaz biorac pod uwage, jak ukladaly sie sprawy, nie oslupialbym ze

zdziwienia, gdyby nagle stanął na tylnych łapach i z hipnotyzującym kunsztem ujawnił talent do stepowania. - Nikt cię nie śledził, synu - oznajmił Roosevelt, gdy opuścił noktowizor i wziął z powrotem strzelbę. - Tedy, synu.

Poszedłem za nim do otwartego łuku po prawej burcie. Roosevelt zatrzymał się i spojrzał w stronę relingu, przy którym został Orson.

-Do nogi. Chodź, piesku.

Pies trzymał się z tyłu, ale nie dlatego że wyczuł coś czającego się w mroku.

Znalazł się w pobliżu Roosevelta, jak zwykle w jego obecności stał się przedziwnie i nietypowo niesmiały. Hobby naszego gospodarza to było "komunikowanie się ze zwierzętami" - jeden z zasadniczych elementów New Age, chociaż Roosevelt był dyskretny co do swojego talentu i korzystał z niego tylko na życzenie sąsiadów i przyjaciół. Sama wzmianka o komunikowaniu się ze zwierzętami potrafiła wywołać pianę na ustach Bobby'ego na długo przedtem, zanim Pia Klick zdecydowała, że jest boginią surfingu poszukująca swojego Kahuna. Roosevelt utrzymywał, że potrafi rozpoznawać niepokoje i pragnienia znerwicowanych zwierząt domowych, które mu przyprawiano.

Nie zadał opłat za swoje usługi, ale ten brak zainteresowania pieniędzmi nie przekonywał Bobby'ego: "Do diabła, Snow, nigdy nie twierdziłem, że to szarlatan, który chce dość naiwnych. Ma dobre zamiary. Ale po prostu raz za dużo dał łbem w słupek".

Według Roosevelta jedyne stworzenie, z którym nie udało mu się skomunikować, to mój pies. Orson był dla niego wyzwaniem, więc nigdy nie pomijał możliwości, by go zagadnąć.

-No, chodź tu, kochany piesku.

Orson z wyraźnym oporem wreszcie przyjął zaproszenie. Jego łapy zastukały o pokład. Roosevelt Frost, niosąc strzelbę pierwszy wszedł do otwartego łuku i ruszył w dół składanymi schodami z włókna szklanego, oświetlonymi tylko z dołu perłowym blaskiem. Pochylił głowę, zgarbił potężne barki, przycisnął do boku ramiona, starając się zmniejszyć, niemniej jednak pozostawał narażony na ryzyko utknięcia w ciasnym zejściu.

Orson zawahał się, podkulil ogon, ale wreszcie zszedł za Rooseveltem, a potem ja.

Schody prowadziły na werandowy pokład rufowy przysłonięty wspornikowym pokładem słonecznym. Orson miał opory przed wejściem do wygodnej kabiny, która kusila miękkim, przygaszonym światłem nocnej lampki. Jednakże po tym, jak Roosevelt i ja wkroczyliśmy do środka, energicznie otrzepał się z mgły, która zebrała się na jego futrze, rosąc cały tylny pokład, a potem poszedł za nami. Byłem gotów uwierzyć, że został z tyłu z grzeczności, aby nas nie opryskać.

Po wejściu Orsona Roosevelt zamknął drzwi na zamek. Sprawdził dla pewności. Jeszcze raz.

Kabina główna obejmowała kuchnię z białymi mahoniowymi szafkami i podłogą ze sztucznego mahoni, jadalnię i salonik, wszystko w jednym, przestronnym otwartym pomieszczeniu. Ze względu na mnie było ono rozjasnione jedynie dwiema grubymi zielonymi świecami, stojącymi na jadalnianym stoliku i żarówka w gablotce pełnej nagród po sukcesach footballowych, w saloniku.

W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy, a gdy Roosevelt zaproponował mi filiżankę, przyjąłem poczęstunek.

-Przykro mi z powodu twojego taty - powiedział.

-No cóż, przynajmniej jest po wszystkim.

Uniosł brwi.

-Naprawdę?

-To znaczy, dla niego.

-Ale nie dla ciebie. Nie po tym, co widziałeś.

Zmarszczyłem czoło.

-Wie pan, co widziałem?

-Sprawy się roznoszą - rzekł tajemniczo.

-Co pan ma na...

Podniósł dłoń wielkości kółka na kolo.

-Pomówimy o tym za chwilę. Dlatego poprosiłem cię, żebyś przyszedł. Ale wciąż zastanawiam się nad tym, co powinienem ci powiedzieć. Pozwól, że sam do tego dojdę, synu.

Podawszy kawę zdjął nylonową wiatrowkę, powiesił na oparciu jednego z wielkich krzeseł i siadł przy stole. Wskazał mi miejsce naprzeciwko i nogą odepchnął od stołu kolejne krzesło, wskazując miejsce psu.

-Siadaj tu, piesku - powiedział do Orsona.

Chociaz byla to standardowa procedura podczas odwiedzin u Roosevelta, Orson udawal, ze jej nie rozumie. Siadl na podlodze przed lodowka.

-To nie do przyjecia - spokojnie poinformowal go gospodarz.

Orson ziewnal.

Roosevelt lagodnie zakolebal krzeslem odsunietym od stolu.

-Badz dobrym pieskiem.

Orson ziewnal wymowniej niz poprzednio. Przesadzal z brakiem zainteresowania.

-Jak bede musial, piesku, podejde tam, podniosse cie i posadze na tym krzesle - oswiadczył Roosevelt - co bedzie krepujace dla twojego pana, ktory chce, zebys umial zachowac sie w gosciach.

Uśmiechal sie pogodnie, mowiac bez cienia irytacji w glosie. Jego szeroka twarz przypominala oblicze Buddy, a spojrzenie wyrazalo dobroc i rozbawienie.

172

173

-Badz dobrym pieskiem - powtorzyl.Orson zamiatal podloge ogonem. Zreflektowal sie i przestal. Niesmialo przeniosl wzrok z Roosevelta na mnie i przekrzywil leb.

Wzruszylem ramionami.

Roosevelt kolejny raz zakolebal krzeslem.

Chociaz Orson podniosl sie z podlogi, nie podszedl do krzesla.

Z kieszeni wiatrowki Roosevelt wyjal psiego biszkopta w ksztalcie kosci. Trzymal go w swietle swiec, tak ze Orson mogl go wyraznie obejrzec. Miedzy wielkim kciukiem i palcem wskazujacym psi smakolyk wydawal sie tak drobny, jak ozdobka z bransoletki odganiajacej uroki, ale naprawde byl to spory kes. Ceremonialnie, z powaga Roosevelt polozyl go na stole przed krzeslem zarezerwowanym dla psa.

Orson pozadliwie sledzil ruchy dloni, trzymajacej biszkopt. Podszedl do stolu, ale zatrzymal sie w pewnej odleglosci. Byl ostrozniejszy niz zwykle.

Roosevelt wyjal drugi biszkopt. Podsunal go blisko do swiec, obracal, jakby byl niezwyklym klejnotem, lsniacym w blasku plomienia, a potem odlozyl na stol obok pierwszego.

Chociaz zaskomlal z pozadania, Orson nie podszedl do krzesla. Opuscil niesmialo leb, a

potem nie unosząc go zerknął na gospodarza. To był jedyny człowiek, w którego oczy Orson nie zawsze miał ochotę patrzeć.

Roosevelt wyjął z kieszeni kurtki trzeci biszkopt. Podniósł go pod swój szeroki i często łamany nos, wciągając głęboko powietrze, przesadnie, jakby smakował nieporównywalny aromat przysmaku w kształcie kości.

Orson podniósł łeb i też wciągnął zapach w nozdrza.

Roosevelt uśmiechnął się chytrze, mrugnął do psa... i wsadził sobie biszkopt do ust.

Pogryzł go z ogromną rozkoszą, popił kawą i westchnął z zadowoleniem. Byłem pod wrażeniem.

-Jak smakuje?

-Niezłe. Jak zmielona pszenica. Masz ochotę?

-Nie, proszę pana. Dziękuję - powiedziałem, zadowolając się kawą.

Orson strzygł uszami. Teraz Roosevelt całkowicie zajął jego uwagę. Jeśli ten zmiatający głową sufit czarny człowiek gigant o łagodnym głosie naprawdę rozkoszował się biszkoptem, to mogło ich wkrótce zabraknąć.

Roosevelt wyjął z wiatrowki kolejny biszkopt. Potrzymał go też pod nosem i wciągnął powietrze tak zaborczo, że zagroziło mi to brakiem tlenu. Przymknął zmysłowo powieki. Przeszedł go dreszcz udawanej rozkoszy, niemal omdlał i wpadł w szalenstwo rozkoszowania się biszkoptem.

Orson był wyraźnie zaniepokojony. Skoczył z podłogi na krzesło naprzeciw mnie, tam gdzie Roosevelt sobie życzył, przysiadł i wyciągnął szyję tak, że pysk miał zaledwie pięć centymetrów od Rooseveltowego nosa. Razem obwachiwali zagrożony biszkopt.

172

173

Roosevelt zamiast wsadzić go sobie do ust, położył ceremonialnie przysmak obok ciastek leżących już przed Orsonem.-Dobra, kochana psina.

Nie byłem pewien, czy wierze w domniemana zdolność Roosevelta Frosta do komunikowania się ze zwierzętami, ale w mojej opinii był on niewatpliwie znakomitym psem psychologiem.

Orson powachał biszkopty na stole.

-No, no, no - ostrzegł go Roosevelt.

Pies popatrzył na gospodarza.

-Nie wolno ci ich zjeść; dopiero kiedy ci pozwolę - powiedział Roosevelt.

Pies oblizal siekacze.

-Przysięgam, piesiu, że jeśli zjesz bez mojego pozwolenia, to już nigdy nie dostaniesz biskopka.

Orson wydal cienki, błagalny pisk.

-Mówię poważnie, piesku - rzekł Roosevelt spokojnie, ale stanowczo. - Nie mogę cię zmusić do rozmowy ze mną, jeśli nie chcesz. Ale mogę wymagać od ciebie minimum dobrych manier na mojej łodzi. Nie możesz tu sobie wejść i zezreć wszystkich kanapek, nie jesteś jakaś dzika bestia.

Orson wpatrywał się w Roosevelta, jakby usiłował ocenić, w jakim stopniu będzie on stosował to prawo nieżerania.

Roosevelt ani mrugnął.

Wyraźnie przekonany, że nie jest to pusta groźba, pies skierował całą uwagę na trzy biskopki. Wpatrywał się w nie z tak rozpaczliwym pragnieniem, że sam nabrałem ochoty, by spróbować to cholerne ciastko.

-Dobra psinka - pochwalil go Roosevelt.

Podniósł ze stołu pilota i nacisnął jeden z guzików, chociaż czubek jego palca był tak wielki, że wydawało się, iż przykrywa jednocześnie co najmniej trzy. Za Orsonem uniosły się i znikły żaluzjowe drzwi, odsłaniając wnęce z dwiema kolumnami ciasno upakowanych urządzeń elektronicznych Isniących diodami.

Orson okazał minimum zainteresowania odwracając na moment głowę, zanim powrócił do wielbienia zakazanych biskopków.

We wnęce włączył się wielki monitor. Podzielony na cztery części ekran ukazywał mroczny, otulony mgłą basen jachtowy i zatokę ze wszystkich stron "Nostromo".

-Co to jest? - zdziwiłem się na głos.

-Ochrona. - Roosevelt odłożył pilota. - Detektory ruchu i czujniki na podczerwień wylapiają każdego, kto by się zbliżył do łodzi i natychmiast nas ostrzegają. Potem teleobiektywy automatycznie wybierają i robią zbliżenie intruza, zanim się tu dostanie, więc wiemy, z kim mamy do czynienia.

174

175

-A z kim mamy do czynienia? Człowiek góra pociągnął dwa małe łyżki kawy, zanim powiedział:

-Może już wiesz o tym za dużo.

-O co panu chodzi? Kim pan jest?

-Jestem tylko sobą. Kochany, starenki Rosie Frost. Jeśli myślisz, że może jestem jednym z owych ludzi stojących za tym wszystkim, to się mylisz.

-Jakich ludzi? Za czym?

Przyglądając się czterem obrazkom z kamer ochrony, powiedział:

-Przy odrobinie szczęścia oni może nawet nie zdają sobie sprawy, że o nich wiem.

-Kto? Ludzie z Wyvern?

Wrócił do mnie wzrokiem.

-Oni już nie są tylko w Wyvern. Teraz siedzą w tym miejscu. Nie wiem ilu.

Może kilka setek, może pół tysiąca, ale pewnie nie więcej, przynajmniej jeszcze nie.

Niewątpliwie to stopniowo obejmuje innych... i sięga już poza Moonlight Bay.

-Próbuje się pan bawić w sfinksa? - spytałem, rozdrażniony i bezradny.

-Tak, na ile potrafię.

Wstał, sięgnął po dzbanek z kawą i bez dalszych komentarzy uzupełnił filiżanki. Wyraźnie chciał mnie zmusić, żebym czekał na okruchy informacji, podobnie jak biedny Orson, zmuszony czekać cierpliwie na swój smakolyk. Pies oblizwał blat wokół biszkoptów, ale ani razu nie dotknął ich językiem. Gdy Roosevelt wrócił na swoje miejsce, spytałem:

-Jeśli nie jest pan w to zamieszany, jakim cudem tyle pan wie?

-Niewiele wiem.

-Wygląda na to, że dużo więcej ode mnie.

-Wiem tylko tyle, ile powiedzą mi zwierzęta.

-Jakie zwierzęta?

-No, na pewno nie twój pies.

Orson podniósł wzrok znad biszkoptów.

-Z niego to prawdziwy sfinks - stwierdził Roosevelt.

Chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy, po zachodzie słońca najwyraźniej przelazłem na drugą stronę czarodziejskiego lustra. Zdecydowany postępować wedle szalonych zasad tego nowego dla mnie królestwa, powiedziałem:

-Wiec... wykluczając mojego flegmatycznego psa, co inne zwierzęta panu mówią?

-Nie powinienś wiedzieć wszystkiego. Tylko tyle, aby zdać sobie sprawę, że w twoim najlepszym interesie jest zapomnieć, co widziałeś w szpitalnym garażu i w zakładzie pogrzebowym.

174

175

Wyprostowałem się na krześle.-Jest pan jednym z ludzi...

-Nie. Rozluźnij się, synu. Przy mnie nic ci nie grozi. Od jak dawna jesteśmy przyjaciółmi? To już ponad dwa lata temu, jak przyszedłeś tu pierwszy raz ze swoim psem.

I myślę, że wiesz, iż możesz mi ufać.

Prawde powiedziawszy, byłem prawie pewny, że mogę ufać Rooseveltowi Frostowi, chociaż nie ufalem już swojej ocenie ludzi tak jak poprzednio.

-Ale jeśli nie zapomnisz, co widziałeś - kontynuował - jeśli spróbujesz kontaktować się z władzami poza miasteczkiem, narazisz ludzkie życie.

-Dopiero co mówił pan, że mogę mu ufać, a teraz mi pan grozi - powiedziałem, czując, jak klatka piersiowa zaciska mi się wokół serca.

Chyba go to zraniło.

-Jestem twoim przyjacielem, synu. Nie groziłbym ci. Mówię ci tylko...

-No. To, co powiedza panu zwierzęta.

-To ludzie z Wyvern chcą wszystko ukryć za wszelką cenę, nie ja. W każdym razie tobie nic nie grozi - nawet gdybyś próbował się skontaktować z władzami spoza - przynajmniej nie

od razu. Nie dotkna cie. Nie ciebie. Czczą cie.

Bylem zaszokowany.

-Czcza?

-Tak. Budzisz lek i groze.

Zdalem sobie sprawe, ze Orson wpatruje sie we mnie przenikliwie, chwilowo zapomniawszy o obiecanych biszkoptach.

Stwierdzenie Roosevelta bylo nie tylko zdumiewajace; bylo najzwyczajniej porabane.

-Czemu mialbym w kimkolwiek budzic groze? - zapytalem stanowczo.

-Z powodu tego, kim jestes.

Moje mysli wywinely koziolka i polecialy gdzies w przepasc jak kolujaca mewa.

-Kim jestem?

Roosevelt zmarszczyl czolo i zamyslony przeciagnal dlonia po twarzy, zanim powiedzial:

-Niech mnie szlag trafi, jesli wiem. Powtarzam tylko, co mi powiedzialy.

Co zwierzeta mu powiedzialy?! Murzynski doktor Doolittle.

Poczulem w sobie kropelke przekory Bobby'ego.

-Rzecz w tym - powiedzial - ze ci z Wyvern zabija cie, dopiero kiedy nie dasz im wyboru, kiedy nie bedzie absolutnie innego sposobu, zeby zamknac ci usta.

-Kiedy rozmawial pan dzis z Sasza, powiedzial jej pan, ze to sprawa zycia i smierci.

Roosevelt skinal z powaga glowa.

177

-Bo jest. Jej i innych. Z tego, co slyszalem, ci dranie sprobuja cie powstrzymac, zabijajac istoty, ktore kochasz; az przestaniesz mowic i ustapisz, az zapomnisz, co widziales i bedziesz zyl tylko tak jak do tej pory.-Istoty, ktore kocham?

-Sasza. Bobby. Nawet Orson.

-Beda zabijac moich przyjaciol, zeby zamknac mi usta?

-Az zamkniesz usta. Jedno po drugim, beda zabijali jedno po drugim, az zamkniesz usta,

ratując te, które zostały.

Byłem gotów zaryzykować własne życie, by się dowiedzieć, co przydarzyło się mojej matce i ojcu - i dlaczego - ale nie mogłem położyć na szali życia przyjaciół.

-To koszmarnie. Zabijanie niewinnych...

-Tacy są ci, z którymi masz do czynienia...

Pomyślałem, że dopiero kiedy czaszka mi pęknie, ustanie poczucie bezradnej wściekłości.

-Z kim mam do czynienia?! Potrzebuje czegoś bardziej konkretnego niż "ci z Wyvern".

Roosevelt popijał kawę i nie odpowiadał.

Może był moim przyjacielem, ale chciałem mu przywalić. Mogłbym to zrobić, mogłbym stłuc go serią bezlitosnych ciosów, gdybym miał jakąkolwiek szansę, że nie połamię sobie ręk.

Orson położył łapę na stole, ale nie zamierzał zrzucić biszkoptów na podłogę, by cichcem się z nimi wymknąć; podparł się, pochyliwszy na krzesło i patrzył na coś za moimi plecami. Coś w saloniku, za kuchnią i jadalnią przyciągnęło jego uwagę.

Kiedy odwróciłem się, ujrzałem kota siedzącego na poręczu kanapy, oświetlonego od tyłu światłem z gablotki. Wydawał się bladoszary. W cieniach maskujących pyszczek ślepią jarzyły się zielenia i były w nich złote cetki.

To mógł być ten sam kot, którego napotkałem w nocy pod wzgórzami, za zakładem pogrzebowym Kirka.

177

23

Kot siedział bez ruchu, jak egipska rzeźba na grobowcu faraona, i wydawał się gotowy spędzić wieczność na poręczu kanapy. Chociaż był tylko kotem, wydało mi się niewłaściwe siedzenie do niego plecami. Przesiadłem się na krzesło naprzeciwko Roosevelta Prosta, z którego po swojej prawej stronie miałem widok na cały salonik i kanapę w głębi.-Odkąd ma pan kota? - zapytałem.

-To nie mój - odparł Roosevelt. - To tylko gość.

-Wydawało mi się, że widziałem go tej nocy.

-Tak, to prawda.

-Powiedział panu, co? - spytałem z odcieniem przekory Bobby'ego.

-Mielismy pogaduszke z Mungojerrie - potwierdzil Roosevelt.

-Z kim?

Roosevelt wskazal na kota.

-Mungojerrie. - Potem przeliterowal imie.

Bylo egzotyczne, a jednocześnie dziwnie znajome. Jako syn swojego ojca, nie tylko jesli chodzilo o krew i imie, potrzebowalem tylko chwili na poznanie zrodla.

-To jeden z kotow z "Ksiegi praktycznych kotow starego oposa" T.S. Eliota.

-Wikszosc tych kotow lubi imiona z Eliota.

-Tych kotow?

-Nowych kotow, jak Mungojerrie.

-Nowych kotow? - spytalem usilujac nadazyc za jego myslami.

Zamiast dokladnie mi wyjasniac, Roosevelt powiedzial:

-One wola te imiona. Nie wiadomo, dlaczego... ani jak na nie trafily. Znam jednego, ktory nazywa sie Rum Tum Tugger. Inny to Rumpelteazer Coricopat i Growltiger.

-Wola? Tak to brzmi, jakby same wybieraly sobie imiona.

-Prawie.

Pokrecilem glowa z niedowierzaniem.

-Kompletnie pokrecone.

178

179

-Po tych wszystkich latach porozumiewania sie ze zwierzetami - powiedzial Roosevelt - czasem i mnie wydaje sie to pokrecone.-Bobby Halloway mysli, ze uderzyl sie pan w glowe jeden raz za duzo.

Roosevelt usmiechnal sie.

-Nie jest odosobniony w tej opinii. Ale, wiesz, bylem graczem w football, nie bokserem. A co ty myslisz, Chris? Czy polowa mojego mozgu zamienila sie w gabke?

-Nie, prosze pana - stanowczo zaprzeczyłem. - Jest pan bystry jak malo kto.

-Z drugiej strony inteligencja i ekscentrycznosc nie wykluczaja sie wzajemnie, prawda?

-Poznałem zbyt wielu kolegow z pracy rodzicow, aby klocic sie z panem na ten temat.

Mungojerrie nadal przygladal sie nam z saloniku, a Orson ze swojego krzesla nadal obserwowal kota, nie z typowa psia wrogoscia, ale ze szczegolnym zainteresowaniem.

-Czy kiedyś opowiedziałem ci, jak wpadłem na to, by komunikowac sie ze zwierzetami? - zapytał Roosevelt.

-Nie, prosze pana. Nigdy nie pytałem. - Zwracanie uwagi na taka ekscentrycznosc wydawalo mi sie rownie nieuprzejme, jak wzmianka o kalectwie, wiec zawsze udawalem, ze przyjmuje do wiadomosci te ceche Roosevelta, jakby nie byla w najmniejszym stopniu godna uwagi.

-No coz - powiedzial - jakies dziewiec lat temu mialem naprawde wspanialego psa. Nazywal sie Sloopy, byl czarny, podpalany i mniej wiecej polowy rozmiarow twojego Orsona. Kundel, ale wyjatkowy.

Orson przeniosl swoja uwage z kota na Roosevelta.

-Sloopy mial wspanialy humor. Zawsze byl chetny do zabawy, pogodny, nigdy nie grymasil. Potem sie zmienil. Nagle zrobil sie nieobecny duchem, nerwowy, nawet zalamany. Mial dziesiec lat, dawno nie byl szczeniakiem, wiec poszedlem z nim do weterynarza, bojac sie, ze uslysze najgorsza diagnoze. Ale weterynarz stwierdzil, ze nic powaznego psu nie dolega. Sloopy cierpial na lekki reumatyzm, schorzenie, ktore ja, starzejacy sie byly obronca z wielokrotnie rozbijanymi kolanami, znałem az za dobrze, ale nie bylo ono na tyle grozne, zeby mu bardzo doskwieralo; i to wszystko. A jednak tydzien po tygodniu coraz mniej chetnie opuszczal swoje legowisko.

Mungojerrie poruszył sie. Wspial sie z poreczy na oparcie i podchodzil ukradkiem.

-Wiec pewnego dnia - ciagnal Roosevelt - przeczytałem w gazecie artykul o tej kobiecie w Los Angeles, ktora nazywala siebie spowiednikiem zwierzat domowych.

Gloria Chan. Byla w wielu programach telewizyjnych, doradzala wielu ludziom z branzy filmowej, ktorzy mieli klopoty ze swoimi zwierzakami, i napisala ksiazke. Dziennikarz potraktowal ja z gory, bo Gloria rzeczywiscie robila wrazenie typowej hollywoodzkiej dziwaczki. O ile sie znam na zyciu, pewnie z gory ja sklasyfikowal. Pamietasz, ze po tym,

jak skonczyłem kariere sportowa, nakrecilem kilka filmow. Poznałem wiele sław, aktorow, piosenkarzy rockowych i aktorow kabaretowych. Producentow i rezyserow tez. Niektorzy byli nawet mili, a paru z nich to naprawde bystrzy ludzie, ale tak szczerze mowiac, sporo z tej bandy i sporo ludzi, ktorzy sie przy niej krecili, bylo tak kompletnie popieprzonych, ze nie mialo sie ochoty bywac w tym srodowisku, chyba ze z kopytem duzego kalibru pod marynarka.

Kot przemierzywszy cala dlugosc kanapy zszedl na blizsza porocz. Skulil sie, przysiadl, napial miesnie, obnizyl i wysunal lepek, uszy polozyl plasko, jakby szykowal sie do skoku na nas, chcac susem pokonac cale dwa metry miedzy kanapa i stolem.

Orson byl czujny, znow skupiony na Mungojerrie, zarowno Roosevelt, jak i biszkopty poszly w zapomnienie.

-Mialem pewien interes w Los Angeles - wspominal Roosevelt, wiec zabralem ze soba Sloopy'ego. Poplynelismy lodzia, powolutku wzdluz wybrzeza. Nie mialem wtedy "Nostromo". Sterowalem tym naprawde slodkim dwudziestometrowym roamerem Chris-Cra?. Zaczumowalem w basenie jachtowym Marina Del Rey, wynajalem samochod, przez dwa dni zajmowalem sie interesami. Dostalem numer Glorii od moich przyjaciol z branzy filmowej; zgodzila sie ze mna spotkac. Mieszкала w Palisades i ktoregos przedpoludnia pojechalem tam ze Sloopym.

Na poroczy kanapy kot nadal szykowal sie do skoku. Jeszcze bardziej napial miesnie. Mala szara pantera.

Orson zeszywnial, znieruchomial jak kot. Wydal cienki pisk znamionujacy niepokoj i ucichl.

-Gloria byla Amerykanka chinskiego pochodzenia w czwartym pokoleniu - opowiadal Roosevelt. - Drobna osobka, wygladala jak lalczka. Piekna, naprawde piekna. Delikatne rysy, wielkie oczy. Chinski Michal Aniol moglby wyrzezbic kogos takiego z kawalka swietlistego bursztynowego jadeitu. Spodziewalbys sie, ze bedzie szczebiotac jak mala dziewczynka, ale mowila jak Lauren Bacall; glebokim, zachrypnietym glosem wydobywajacym sie z ciala malej kobietki. Sloopy od razu ja polubil. Zanim sie zorientowalem, wziala go na kolana, przytulila, mowila do niego, piescila, i zaczela mi wyjasniac powody jego przypadlosci.

Mungojerrie zeskoczyl z kanapy, nie na stolik jadalniany, ale na podloge, a potem zaraz na krzeslo, z ktorego przed chwila wstalem. Rownoczesnie z tym, jak zwawy kot wyladowal na krzesle, Orson i ja drgnelismy. Mungojerrie stanal na tylnych lapkach, przednie oparl na stole i utkwil slepia w psa. Orson kolejny raz cienko, z niepokojem, zaskomlal - i nie odrywal slepi od kota.

-Gloria powiedziala mi - rzekl Roosevelt, nie przejmujac sie Mungojerrie - ze popadl w depresje glownie dlatego, ze znacznie mniej spedzalem z nim czasu. "Jestes ciagle z Helen

- powiedziała. - A Sloopie wie, że ona go nie lubi. Myśli, że będziesz musiał wybrać między nim a Helen, i wie, że będziesz musiał wybrać ją". A ja, synu, słuchaj

181

chciałem tego wszystkiego z najgłębszym zdumieniem, bo faktycznie chodziłem z kobietą imieniem Helen tu, w Moonlight Bay, ale Gloria Chan żadnym cudem nie mogła o niej wiedzieć. I faktycznie miałem obsesję na punkcie Helen, spędzałem z nią większość wolnego czasu, a ona nie lubiła psów, co znaczyło, że Sloopie zawsze był opuszczony. Wyobraziłem sobie, że z czasem polubi Sloopie'ego, bo nawet Hitler nie mógł nic poradzić na to, że miał słabość do psów. Ale jak się okazało, Helen już patrzyła na mnie równie niechętnym okiem jak na psa, chociaż o tym nie wiedziałem. Mungojerrie wbijając ślepią w Orsona obnażył zęby. Orson odchylił się na krześle, jakby w obawie, że kot się na niego rzuci.

-Potem Gloria opowiedziała mi o kilku sprawach, które martwią mojego przyjaciela, między innymi o tym pikapie, kupionym przeze mnie. Zmiany reumatyczne Sloopie'ego były niewielkie, ale biedny pies nie mógł wsiadać do wozu i wysiadać z niego tak łatwo jak z limuzyny i bał się, że coś sobie uszkodzi.

Nadal obnażając zęby, kot fuknął. Orson zadygotał, zawył krótko i wysoko, z niepokojem. Brzmiało to jak syk pary uchodzącej z gotującego się imbryka.

Wyraźnie obojętny na ten psio-koci dramat, Roosevelt dalej mi opowiadał:

-Zjedliśmy z Gloria lunch i spędziliśmy całe popołudnie na rozmowie o wykonywanej przez nią pracy spowiednika zwierząt. Powiedziała mi, że nie ma żadnego nadzwyczajnego talentu, że w grę nie wchodzi jakieś paranormalne mediumiczne bzdury, a sprawa polega wyłącznie na wrażliwości na inne gatunki, która wszyscy mamy, ale uszpięta. Powiedziała, że każdy to potrafi, że ja też to potrafię, jeśli nauczę się odpowiednich technik i poświęcę im czas, co wydawało mi się niedorzeczne.

Mungojerrie fuknął znowu, tym razem z większą zjadliwością i Orson kolejny raz zadrzał, a potem przysiagłbym, że kot się uśmiechnął lub zrobił minę na tyle przypominającą uśmiech, na ile kot jest do tego zdolny.

Co jeszcze dziwniejsze, Orson jakby uśmiechnął się od ucha do ucha - co można wyobrazić sobie bez specjalnego wysiłku, ponieważ wszystkie psy potrafią się uśmiechać. Sapał uszczesliwiony, szczerzył się przyjaźnie do uśmiechniętego kota, jakby ich starcie było zabawnym żartem.

-Pytam cie, synu, kto nie chciałby się nauczyć czegoś takiego? - powiedział Roosevelt.

-Faktycznie, kto? - powtórzyłem odretwiąco.

-Wiec Gloria uczyla mnie i to zabralo denerwujaco duzo czasu, wiele miesiecy, ale wreszcie bylem tak dobry jak ona. Pierwsza wielka przeszkoda to brak wiary, ze naprawde mozesz to zrobic. Odloz watpliwosci, cynizm, wszystkie wpojone przekonania o tym, co jest mozliwe, a co nie. Najtrudniejsze ze wszystkiego jest przestac sie przejmowac, ze robisz z siebie durnia, bo lek przed ponizeniem naprawde cie ogranicza.

Wiekszosc ludzi nie moze przez to przebrnac i jestem zaskoczony, ze mnie sie udalo.

180

181

Orson wychylil sie na krzesle, wyciagnal nad stołem i obnazyl zeby patrzac na Mungojerrie. Kot wybaluszyl slepia ze strachu. Powoli, ale groznie, Orson wyszczerzyl kly. Zalosc wypelnila dudniacy glos Roosevelta:

-Sloopy umarl trzy lata pozniej. Boze, ale ja go oplakiwalem. Ale co to byly za trzy fascynujace i wspaniale lata, kiedy moglem nadawac i odbierac z nim na jednej fali.

Nadal szczerzac kly Orson warknal cicho na Mungojerrie i kot zapiszczal. Orson znow warknal, a kot zamiauczal zalosnie i z glebokim lekiem - a potem obydwie zwierzaki usmiechnely sie szeroko.

-Co sie tu, do diabla, dzieje? - spytalem.

Orson i Mungojerrie wydawaly sie przejezte nerwowym drzeniem mojego glosu.

-Po prostu sie bawia - wyjasnil Roosevelt.

Zamrugalem, patrzac na niego.

W blasku swiec jego twarz lsnila jak zabarwione na ciemno i doskonale wypolerowane drzewo tekowe.

-Bawia sie przedrzezniajac stereotypy swoich gatunkow - dodal.

Nie moglem uwierzyc, ze dobrze go slysze. Biorac pod uwage, ze z pewnoscia calkowicie zle go zrozumialem, potrzebowalem weza z woda pod wysokim cisnieniem i "zmijki" hydraulika do przeczyszczania uszu.

-Przedrzezniaja stereotypy swoich gatunkow?

-Tak, zgadza sie. - Pokiwal glowa. - Oczywiscie nie nazwalyby tego tak, ale to robia. Uwaza sie, ze koty i psy dzieli bezmyslna wrogosc. Te stworzenia bawia sie, kpiac z owych wyobrazen.

Teraz Roosevelt szczerzył zęby w moim kierunku tak idiotycznie, jak robiły to kot i pies. Wargi miał sinopurpurowe, prawie czarne, a zęby tak białe i wielkie jak kostki cukru.

-Proszę pana - rzekłem - cofam to, co powiedziałem wcześniej. Po starannym namyśle zdecydowałem, że jest pan straszliwie, do oporu zwariowany, przekrecony na maks.

Znow pokiwał głową, nadal szczerząc do mnie zęby. Nagle, jak mroczny snop światła czarnego księżyca, w twarzy błysnęło mu szalenstwo.

-Uwierzyłbys mi, cholera, bez niczego, gdybym był biały! - I gdy wywarczał ostatnie słowo, walnął o stół potężna pięścią tak mocno, że filiżanki zadzwoniły na spodeczkach.

Gdybym mógł zatoczyć się w tył siedząc na krześle, zrobiłbym to, ponieważ jego oskarżenie poraziło mnie. Nie słyszałem ani razu, by ktoreś z rodziców wypowiedziało obelżywą uwagę pod adresem jakiegokolwiek mniejszości etnicznej czy rasy; wychowano mnie bez przesad. W rzeczy samej, jeśli w tym świecie był jakiś wyrzutek, to ja sam! Ja sam

182

183

byłem mniejszością, jedoosobową mniejszością; Nocny Robak, jak nazywali mnie chuligani, kiedy byłem dzieckiem, zanim poznałem Bobby'ego i miałem kogos, kto by stanął u mojego boku. Chociaż nie albinos, ponieważ moja skóra miała pigment, w oczach wielu ludzi byłem większym dziwakiem niż Dzwonnik z Notre Dame i Chłopiec o Psiej Twarzy. Dla innych byłem jedynie nieczysty, skazony, jakbym poprzez kichnięcie mógł zarazić alergią na promienie ultrafioletowe; w pewnych ludziach budziłem lek i nienawiść większe niż trzyoki Człowiek Zaba, obwozony po jarmarkach. Roosevelt Frost unosił się na krześle, pochylił nad stołem i trzesąc łapą wielką jak melon odezwał z nienawiścią, która zdumiała mnie i zabolęła:

-Rasista! Ty kłamliwy rasistowski draniu!

Ledwo wydukalem:

-Od...od kiedy to rasa ma dla mnie znaczenie? Dlaczego miałaby coś znaczyć?!

Popatrzył na mnie, jakby zamierzał sięgnąć nad stołem, poderwać mnie z krzesła i przydusić tak, że język wypadłby mi do butów. Obnażył zęby i zawarczał na mnie, zawarczał jak pies, zupełnie jak pies, podejrzanie jak pies.

-Co się tu, do diabła, dzieje? - znow spytałem, ale tym razem przyłapałem się na tym, że pytam psa i kota.

Roosevelt znow zawarczał, a gdy tak gapilem się na niego jak idiota, powiedział: - Smialo,

synu, jeśli nie umiesz mnie zwymyślać, przynajmniej warknij na mnie troszeczkę. No, warknij. Śmiało, synu, uda ci się.

Orson i Mungojerrie patrzyły na mnie z wyczekiwaniem.

Roosevelt warknął raz jeszcze, kończąc to jakby pytającym zawieszeniem głosu.

Potem warknął głośniej niż poprzednio, a ja zrewanżowałem mu się tym samym.

Odwarknałem.

Usmiechnięty od ucha do ucha powiedział:

-Wrogość. Pies i kot. Murzyn i biały. Po prostu bawia się przedrzeźniając stereotypy.

Podczas gdy Roosevelt znowu rozsiadał się na krzesle, moje oszłomienie zaczęło ustępować miejsca drzeniu, jakie towarzyszy wrazeniu przeżywania cudu. Byłem świadom, że zbliża się iluminacja, nastąpi coś, co na zawsze zmieni moje życie, odsłoni wymiary świata, którego teraz sobie nie wyobrazałem, lecz chociaż usiłowałem ją uchwycić, wymykała mi się, drażniła i nie była tuż poza granicami mojego pojmowania.

Popatrzyłem na Orsona. W te atramentowe, płynne ślepie.

Popatrzyłem na Mungojerrie.

Kot obnażył zęby.

Orson obnażył swoje.

Słaby zimny lek wlał mi się w żyły, jak wyraziłby to Bard znad Avonu, nie dlatego, że pies i kot mogłyby mnie zaatakować, ale z powodu tego, co owe zabawne szczerzenie zębów implikowało. Jednakże przeszył mnie nie tylko lek, ale cudowny chłód zachwyty i uderzającego do głowy podniecenia.

182

183

Chociaż taki czyn nie licowałby z jego charakterem, naprawdę zastanawiałem się, czy Roosevelt Frost nie zaprawił czymś kawę. Nie winiakiem. Środkami halucynogennymi. Byłem jednocześnie zdezorientowany i trzeźwiej myślący niż kiedykolwiek, jakbym doświadczał wyższego stanu świadomości. Kot zasyczał na mnie i ja zasyczałem na kota.

Orson zawarczał na mnie i ja zawarczałem na niego.

W najbardziej zadziwiającej chwili mojego życia siedzieliśmy przy jadalnianym stoliku,

usmiechnięci od ucha do ucha, ludzie i zwierzęta, i przypomniali mi się te miłe, chociaż staromodne obrazki, niegdys tak popularne: psy grające w pokera. Oczywiście tylko jeden z nas był psem, więc scena widziana oczami wyobraźni nie przystawała do tej sytuacji, a jednak im dłużej ją rozpatrywałem, tym bliżej byłem iluminacji, epifanii, zrozumienia wszystkich uwarunkowań tego, co wydarzyło się przy tym stole przez ostatnie kilka minut...

... i wtem ciąg myśli urwał mi się zastopowany piskiem elektronicznych urządzeń systemu ochronnego, znajdujących się we wnęce obok stołu.

W momencie, w którym Roosevelt i ja spojrzeliśmy na monitor, cztery ujęcia zamieniły się w jedno. Automatyczny system dokonał zbliżenia intruza i ukazał go w niezwykłym, spotęgowanym świetle noktowizora.

Gość stał w wirującej mgłę po rufowej stronie lewego pomostu, przy którym cumował "Nostromo". Wyglądał, jakby żywcem przeniesiony w naszą epokę z okresu jurajskiego; metr dwadzieścia wzrostu, skrzydła jak pterodaktyl, długi, złowieszczy dziób.

Głowa miałem tak pełna gorączkowych spekulacji związanych z psem i kotem - i byłem tak wyprowadzony z równowagi innymi wydarzeniami tej nocy, że widziałem niesamowite w zwyczajności, tam, gdzie naprawdę go nie było. Serce waliło mi jak szalone. W wyschniętych ustach poczułem kwasny smak. Gdybym nie był osłupiały z powodu szoku, zerwałbym się na równe nogi, przewracając krzesło. Jeszcze pięć sekund i zrobiłbym z siebie durnia, gdyby nie Roosevelt. Albo z natury był bardziej analityczny, albo żył tak długo z niesamowitym, że szybko potrafił odróżnić autentycznie przeraźliwe od fałszywie przeraźliwego.

-Niebieska czapla - powiedział. - Lowi sobie.

Znałem niebieską czaplę równie dobrze, jak każdy gatunek ptaka żyjący w i dookoła Moonlight Bay. Teraz, kiedy Roosevelt nazwał po imieniu naszego gościa, rozpoznałem go.

Odwolac telefon do pana Spielberga. Nie ma materiału na film.

Na swoją obronę zauważyłem, że mimo ładnej budowy i niewatpliwego wdzięku, ta czapla miała dziką aury drapieżcy i zimne gadzie spojrzenie, wskazujące na przeżytek z ery dinozaurów.

Ptaka zajął stanowisko na samej krawędzi pomostu, pilnie gapiąc się w wodę.

Nagle pochylił się, błyskawicznie wysunął łeb, wbił dziób w lustro wody i złapał rybke.

Odchylił gwałtownie łeb, polknął zdobycz. Niektórzy gina, by inni mogli żyć.

Biorac pod uwage pospiech, z jakim przypisalem nadnaturalne cechy zwyczajnej czapli, zaczalem sie zastanawiac, czy nie przypisuje zbyt duzego znaczenia ostatniemu epizodowi z psem i kotem. Pewnosc ustapila miejsca zwatpieniu. Nadciagajaca, powalajaca fala epifanii nagle opadla nie zalamujac sie, i blocko dezorientacji zbryzgalo mnie kolejny raz. Roosevelt przestal sie zajmowac monitorem i rzekl:

-Przez te lata, od kiedy Gloria Chan nauczyla mnie miedzygatunkowej komunikacji, co w gruncie rzeczy polega na tym, zeby byc kosmicznosciowo dobrym sluchaczem, moje zycie wzbogacilo sie niepomiernie. "Kosmicznosciowo dobry sluchacz" - powtorzylem, zastanawiajac sie, czy Bobby nadal zdola zagrac jedna ze swoich cudownie zabawnych melodii na takim "instrumencie". Jezeli przezycia z malpami trwale pozbawily go sarkazmu i sceptycyzmu. Mam nadzieje, ze nie. Chociaz zmiana moze jest fundamentalna zasada wszechswiata, niektorym rzeczom jest sadzona bezczasowosc, w tym uparte trzymanie sie przez Bobby'ego takiego zycia, w ktorym bylo miejsce jedynie na tak bazowe elementy jak slonce, surfing i piach.

-Mialem wspaniala zabawe ze zwierzetami, ktore pojawialy sie u mnie przez lata - powiedzial Roosevelt tak sucho, jakby byl weterynarzem, wspominajacym o karierze zawodowej. Pogladzil Mungojerrie po lebku, podrapal za uszami. Kot przeciagnal sie pod wielka dlonia i zamruczal. - Ale te nowe koty, z ktorymi spotykam sie przez jakies ostatnie dwa lata... otwieraja o wiele bardziej ekscytujace wymiary komunikowania sie. - Odwrocil sie do Orsona:

-Ty z pewnoscia jestes absolutnie tak samo interesujacy jak koty.

Dyszac, ze zwieszonym jezykiem, Orson przybral mine, idealnie wyrazajaca psia bezmyslnosc.

-Sluchaj, piesku, nigdy mnie nie oszukales - zapewnil go Roosevelt. - I po tej twojej malej gierce z kotem moglbys wlasciwie dac sobie spokoj z udawaniem.

Ignorujac Mungojerrie Orson popatrzytl na trzy biszkopty lezace na stole.

-Mozesz udawac, ze jestes tylko i wylacznie zachlannym psem, udawac, ze nic nie jest dla ciebie wazniejsze niz te smakolyki, ale wiem co innego.

Nie spuszczajac wzroku z biszkoptow Orson zaskomlal pozadliwie.

-To przeciez nie nikt inny, ale ty przyrowadziles tu Chrisa po raz pierwszy, kochana psinko, wiec po co sie zjawiles, jesli nie na rozmowe - rzekl Roosevelt.

W Wigilie, ponad dwa lata temu, niecaly miesiac przed smiercia mojej matki, Orson i ja jak zwykle wloczylismy sie noca. Mial wowczas rok. Byl rozbrykanym i chetnym do zabawy

roczniakiem, ale nigdy nie przesadzał, jak większość młodych psów. Niemniej jednak mając rok nie zawsze potrafił zapanować nad swoją ciekawością i nie zawsze zachowywał się tak dobrze jak później. Byliśmy na odkrytym boisku do koszykówki, za szkołą, mój pies i ja; rzucając piłką mówiłem Orsonowi, że Michael Jordan powi184

185

nie być cholernie wdzięczny losowi, że urodziłem się z XP i że nie mogę grać w świetle, gdy nagle pies mi uciekł. Wzywałem go kilkakrotnie, ale tylko się zatrzymywał, oglądał i znowu biegł przed siebie. Zanim zdałem sobie sprawę, że nie zamierza wracać, było już nawet za późno, by wcisnąć piłki do siatki, przywiązanej do kierownicy roweru.

Pedałowałem więc za uciekającą futrzaną piłką ulicą, zaułkiem, ulicą, przez Quester Park, w dół do basenu jachtowego i wreszcie wzdłuż pomostu do "Nostromo". Chociaż rzadko czekał, tej nocy darł się jak oszalały, gdy zeskoczył dokładnie na werandowy pokład rufowy motorówki i zanim wyhamowałem ślizgając się na wilgotnych deskach, Roosevelt wyszedł z kabiny, pogłaskał i uspokoił psa. -Chcesz pogadać - rzekł teraz Orsonowi. - Pierwszy raz przyszedłeś do mnie, bo chciałeś pogadać, ale podejrzewam, że mi nie ufasz.

Orson trzymał łeb nisko, wpatrzony w biszkopty.

-Nawet po dwóch latach częściowo podejrzewasz mnie, że może trzymam z ludźmi z Wyvern, i będziesz tylko kwintesencją psowatości, dopóki nie upewnisz się co do mnie.

Orson obwachał biszkopty, kolejny raz oblizal stół wokół nich i jakby nawet nie zauważył, że ktoś do niego mówi.

Roosevelt skupił się na mnie.

-Te nowe koty pochodzą z Wyvern. Niektóre w pierwszym pokoleniu, autentyczni uciekinierzy, a niektóre w drugim pokoleniu, urodzone na wolności.

-Kroliki doświadczalne? - spytałem.

-Pierwsze pokolenie tak. One i ich potomstwo różnią się od innych kotów. Różnią na wiele sposobów.

-Inteligencja - powiedziałem, przypominając sobie zachowanie małp.

-Wiesz więcej, niż myślałem.

-Trochę przeżyłem tej nocy. Mają dużo wyższy stopień inteligencji?

-Nie wiem, jak to skalować - powiedział i dostrzegłem, że celowo mówi wymijająco. - Ale są inteligentniejsze i różnią się od normalnych kotów.

-Dlaczego? Co im zrobiono?

-Nie wiem - powiedział.

-Jak uciekły?

-Wiem tyle, co ty.

-Dlaczego nie udało się ich złapać?

-Zabij mnie, nie wiem.

-Proszę wybaczyć, ale marny z pana kłamca.

-Zawsze tak było - powiedział z uśmiechem. - Słuchaj, synu, też nie wiem wszystkiego. Tylko tyle, ile zwierzęta mi powiedzą. Ale to niedobrze dla ciebie wiedzieć nawet tyle. Im więcej wiesz, tym więcej będziesz chciał wiedzieć. A musisz myśleć o twoim psie i przyjaciółkach.

186

187

-To brzmi jak groźba - powiedziałem bez wrogości. Gdy wzruszył potężnymi ramionami, wydawało się, że powietrze drgnęło i rozległ się basowy huk grzmotu.

-Jeśli myślisz, że skumplowałem się z tamtymi w Wyvern, to jest groźba. Jeśli myślisz, że jestem twoim przyjacielem, to jest rada.

Chociaż chciałem ufać Rooseveltowi, podzielałem wątpliwości Orsona. Przyłapałem się na tym, iż trudno mi było uwierzyć, że ten człowiek jest zdolny do zdrady. Ale tu, po zwariowanej stronie czarodziejskiego lustra musiałem założyć, że każda twarz jest maską.

Podkrecony wypita kawa, ale nadal jej spragniony, podszedłem z filiżanką do ekspresu i napełniłem ją.

-Ale mogę ci powiedzieć - rzekł Roosevelt - że z Fort Wyvern poza kotami wydostały się podobno także psy.

-Orson nie przybył z Wyvern.

-A skąd?

Stałem oparty plecami o lodówkę, popijając gorącą kawę.

-Jeden z kolegów mamy dał go nam. Ich suka miała duży miot i musieli szczeniakom

znalezc domy.

-Kolega mamy z uczelni?

-No. Wykladowca z Ashdon.

Roosevelt Frost wpatrywał się we mnie bez słowa i straszliwa chmura litosci przysloniła mu twarz.

-Co? - spytałem i usłyszałem w swoim głosie drzenie, które mi się nie podobało.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zreflektował się i zachował milczenie. Nagle zaczął unikać mojego wzroku. Teraz i on, i Orson z wielkim zainteresowaniem wbijali gąły w te cholerne psie biszkopty.

Kotu biszkopty były obojętne. Zamiast im, przyglądał się mnie.

Gdyby inny kot, wykonany ze szczerego złota, z oczami z drogich kamieni, pilnujący w milczeniu przez tysiąclecia najświętszej komory piramidy, głęboko pod morzem piasku, nagle ożył na moich oczach, nie wydałoby mi się to bardziej tajemnicze niż widok siedzącego tu tego kota o uporczywym, w jakiś sposób sygnalizującym prawięcza madrosc, spojrzeniu.

-Chyba nie uważa pan, że Orson jest stamtąd? - spytałem Roosevelta.

-Z Wyvern? Czemu kolega mamy miałby kłamać?

Potrzaskał głową, jakby nie wiedział. Ale świetnie wiedział.

Byłem sfrustrowany tym, jak przechodził od wyjawiania do ukrywania sekretów i na odwrot. Nie rozumiałem tej gry, nie potrafiłem pojąć, czemu raz jest otwarty, a raz skryty.

186

187

Przeszywany spojrzeniem kota, tak nieodgadnionym jak hieroglify, w blasku świec, falującym od przeciągu, w wilgotnym powietrzu zageszczonym przez tajemnice, tak wyraźnie obecne jak won kadzidła, powiedziałem: -Potrzeba panu tylko kryształowej kuli, srebrnych kolczyków, cyganskiej przepaski na czoło, rumunskiego akcentu i paska zgrywa będzie kompletna.

Nie potrafiłem wyprowadzić go z równowagi.

Wrocilem do mojego krzesła i usilowałem wykorzystac te niewielka wiedze, która miałem, by przekonać Roosevelta, że wiem jeszcze więcej. Może jednak otworzy się bardziej, jeśli

pomysli, ze niektore jego sekrety wcale nie sasekretami. Powiedzialem wiec:

-W tych laboratoriach w Wyvern nie byly tylko koty i psy. Tam byly malpy.

Nie odpowiedzial i nadal unikal mojego wzroku.

-Wie pan o malpach? - spytalem.

-Nie - odparl stanowczo, ale zerknal na monitor kamery.

-Podejrzewam, ze to wlasnie z powodu malp trzy miesiace temu zalatwil pan sobie miejsce cumowania poza basenem.

Zdajac sobie sprawe, ze zdradzil sie ze swoja wiedza, patrzac na monitor, kiedy wspomnialem o malpach, wrocil spojrzeniem do psich biszkoptow.

Na wodach zatoki, poza basenem jachtowym bylo tylko sto miejsc cumowania i ceniono je niemal tak samo jak stanowiska przy pomostach, chociaz laczyla sie z tym nieodlaczna niedogodnosc w postaci kursowania tam i z powrotem inna lodzia. Roosevelt podnajal miejsce od Dietera Gessela, rybaka, ktorego trawler cumowal dalej, wzdluz polnocnego przyladka, z reszta flotylli rybackiej, ale ktory trzymal zapuszczona lajbe poza basenem jachtowym, oczekujac az przejdzie na emeryture i kupi sobie lodz rekreacyjna. Plotka glosila, ze Roosevelt placil Dieterowi pieciokrotnosc ceny oficjalnej.

Poprzednio nigdy o to nie pytalem, poniewaz nie byla to moja sprawa. Teraz powiedzialem:

-Kazdego wieczoru odprowadza pan "Nostromo" od tego pomostu na miejsce cumowania i tam spi. Kazdziutkiego wieczoru... z wyjatkiem dzisiejszej nocy, kiedy czekal pan tu na mnie. Ludzie mysleli, ze zamierza pan kupic druga lodz, cos mniejszego i do zabawy, ot, nic powaznego. Kiedy pan tego nie zrobil, kiedy tylko pan wyplywal tam co noc, zeby uderzyc w kimono, pomysleli: "No, w porzadku, i tak jest troche ekscentryczny, kochany Roosevelt, rozmawia z domowymi zwierzakami i z Bog wie z czym".

Zachowal milczenie.

On i Orson sprawiali wrazenie tak bardzo i w rownym stopniu zafascynowanych tymi trzema psimi biszkoptami, ze prawie uwierzylem, iz ktorys z nich nagle zlampie discipline i pochlonie smakolyki.

-Od dzisiaj chyba bede wiedzial, dlaczego pan tam spi - powiedzialem.

-Doszedl pan do wniosku, ze tak bedzie bezpieczniej. Bo moze malpy nie plywaja dobrze... albo przynajmniej nie przepadaja za tym.

-W porzadku, piesku - rzekl, jakby mnie nie slyszal - mozesz zjesc swoje mniam-mniam. Orson zaryzykowal bezposredni kontakt wzrokowy ze swoim inkwizytorem, szukajac potwierdzenia. - Smialo - zachecil go Roosevelt.

Orson popatrzył na mnie z powatpiewaniem, jakby pytał, czy według mnie pozwolenie Roosevelta to podstęp.

-Jest tu gospodarzem - powiedzialem.

Pies porwał biskopt i rozanielony pogryzł go.

Roosevelt wreszcie poswiecil mi uwage i z ta denerwujaca litoscia, nadal widoczna w wyrazie twarzy, rzekl:

-Ci ludzie, stojacy za programem w Wyvern... moze na poczatku mieli dobre intencje. W kazdym razie niektorzy z nich. I mysle, ze ich praca mogla dac pewne dobre rezultaty. - Znow pogladzil kota, ktory rozluznil sie, lecz ani na chwile nie spuszczal ze mnie przeszywajacego spojrzenia. - Ale ten interes ma i zla strone, bardzo zla. Z tego, co powiedziano, malpy to tylko jedno objawienie calego zla.

-Tylko jedno?

Roosevelt wytrzymal moj wzrok przez dlugi czas, na tyle dlugi, ze Orson mogl zjesc drugi biskopt, a kiedy wreszcie sie odezwal, sciszyl glos prawie do szeptu:

-W tamtych laboratoriach bylo cos wiecej niz tylko koty, psy i malpy.

Nie wiedzialem, o co mu chodzi.

-Podejrzewam, ze nie mowisz o swinkach morskich albo bialych myszkach.

Odwrocil wzrok i wydawalo sie, ze patrzy na cos bedacego bardzo daleko poza kabina tej motorowki.

-Nadchodzi wiele zmian.

-Mowia, ze zmiana jest dobra.

-Niektore zmiany.

Podczas gdy Orson zajal sie trzecim biskoptem, Roosevelt podniosl sie z krzesla.

Wzial kota, przytulil do piersi, gladzil i chyba rozwazal, co jeszcze musze - lub powinienem - wiedziec.

Gdy wreszcie się odezwał, przeszedł z fazy ujawniania w tajemniczość.

-Jestem zmęczony, synu. Powinienem być w łóżku od dobrych paru godzin.

Poproszono mnie, abym ci ostrzegł, że twoi przyjaciele znajdują się w niebezpieczeństwie, jeśli nie zostawisz sprawy w spokoju, jeśli nadal będziesz weszyl.

-Kot poprosił, żebyś mnie ostrzegł.

-Zgadza się.

Podniosłem się i poczułem kołysanie motorówki. Przez chwilę miałem zawroty głowy i złapałem się oparcia krzesła, by dojść do siebie.

188

189

Temu fizycznemu odczuciu towarzyszył zamęt w umyśle i mój kontakt z rzeczywistością wydawał się coraz wtlejszy. Czulem się, jakbym sunał po krawędzi wiru, wsysającego mnie coraz szybciej i szybciej, aż przeleciałem przez dno leja - moja autorska wersja tornada Dorotki - i znalazłem się nie w Krainie Oz, ale nad Waimea Bay, na Hawajach, poważnie roztrzasając z Pia Klick delikatne kwestie reinkarnacji. Zdając sobie sprawę z ekstremalnej ekscentryczności swojego pytania, jednak postawiłem je:

-A ten kot, Mungojerrie... nie jest w spole z ludźmi z Wyvern?

-Uciekł im.

Oblizując się - zapewne chciał się upewnić, że żaden cenny okruch biszkopta nie przykleił się do warg ani sierści przy pysku - Orson zszedł z krzesła i stanął przy mnie.

-Dzisiaj w nocy opisano mi ten program z Wyvern, jakby to była apokalipsa... koniec świata - powiedziałem. - Świata, jaki znamy.

-Naprawdę pan w to wierzy?

-Tak, to mogło się tak potoczyć. Ale może w końcu się okaże, że będzie więcej dobrych zmian niż złych. Koniec świata, jaki znamy, to niekoniecznie to samo, co koniec świata.

-Niech pan powie to dinozaurom, po uderzeniu meteorytu.

-Mam chwile, w których nadchodzi mnie strach - przyznał.

-Jeśli jest pan na tyle wystraszony, że co wieczór płynie na stanowisko cumowania, i jeśli naprawdę pan wierzy, że to, co robili w Wyvern, było tak niebezpieczne, dlaczego nie

wyjedzie pan z Moonlight Bay?

-Rozwazalem to. Ale tu mam swoj biznes. Swoje zycie. Poza tym, nie nadaje sie na uciekiniera. To byloby tylko odwiekanie nieuniknionego. Wlasciwie nigdzie nie jest bezpiecznie.

-To ponura ocena.

-Chyba tak.

-Nie robi pan nawet wrazenia zalamanego.

Niosac kota Roosevelt wyprowadzil nas z glownej kabiny i przez sterowke.

-Dawalem sobie rade ze wszystkim, co mnie w zyciu spotkalo, synu, na wozie i pod wozem, byle tylko bylo interesujaco. Zaznalem blogoslawnienstwa pelnego oraz roznorakiego zycia, i jedyne, co mnie przeraza, to nuda.

Wyszliśmy na pokład rufowy, w lepkie objęcia mgły. Tu, w klejnocie Środkowego Wybrzeża sprawy mogą potoczyć się tak, że włosy staną wszystkim na głowie, ale tak czy siak, jest cholernie pewne, że nie będzie nudy.

Roosevelt miał więcej wspólnego z Bobbym Hallowayem, niż mogłbym się tego spodziewać.

191

-No coż, proszę pana... chyba muszę panu podziękować za radę. - Siadłem na obramowanie kokpitu i zeszliśmy z motorówki, na trap, niecały metr niżej. Orson jednym skokiem znalazł się obok mnie. Wielka czapła odeszła wcześniej. Mgła wirowała wokół, czarna woda przelewała się pod pomostem, a wszystko inne było tak nieruchome jak sen śmierci.

Zrobiłem kilka kroków, gdy Roosevelt powiedział:

-Synu...?

Zatrzymałem się i obejrzałem.

-Naprawdę wchodzi tu w grę nie tylko bezpieczeństwo twoich przyjaciół, ale i twoje własne szczęście. Wierz mi, lepiej, żebyś więcej nie wiedział. Masz dość kłopotów... tak jak żyjesz.

-Nie mam żadnych kłopotów - zapewniłem go. - Tylko plusy i minusy codziennego życia, inne, porównując z resztą ludzi.

Miał tak czarna skórę, że mógł być mirażem we mgle, fałszywym cieniem. Trzymany przez

niego kot był niewidzialny, poza ślepiami, które wydawały się pozbawione związku z resztą ciała - tajemnicze, jasnozielone kule, unoszące się w powietrzu.

-Tylko inne plusy... czy ty naprawdę w to wierzysz?

-Tak, proszę pana - odparłem, chociaż nie byłem pewien, czy wierze, bo to prawda, czy też dlatego, że przez większość życia przekonywałem siebie, że tak jest. Często rzeczywistość jest tworem twojej woli.

-Powiem ci jeszcze jedną rzecz - rzekł. - Jedną rzecz więcej, bo może to przekona cię, żebyś dał wszystkiemu spokój i żył swoim życiem.

Czekałem.

Wreszcie ze smutkiem w głosie powiedział:

-Twoja matka była, jaka była, i to powód, dla którego większość z nich nie chce cię zabić, powód, dla którego woleliby cię raczej kontrolować, zabijając twoich przyjaciół, powód, dla którego cię czczą.

Lek, śmiertelnie lodowaty, wspiał mi się po krzyżu i przez chwilę doznałem takiego skurczu płuc, że nie mogłem oddychać - chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego enigmatyczne stwierdzenie Roosevelta wywołało taką gwałtowną reakcję. Może rozumiałem więcej, niż mi się wydawało. Może prawda już czekała na wyjawienie w kanionach podświadomości - lub w otchłani serca.

-Co pan chce przez to powiedzieć? - spytałem, kiedy powrócił oddech.

-Jak się nad tym chwilę zastanowisz, głęboko zastanowisz, może zrozumiesz, że nie masz nic do zyskania śledząc tę sprawę... a wiele do stracenia. Wiedza rzadko przynosi pokój, synu. Sto lat temu nie wiedzieliśmy nic o budowie atomu, DNA ani czarnych dziurach, ale czy nie byliśmy szczęśliwsi i nie częściej dostępowaliśmy spełnienia niż ludzie teraz?

Gdy wypowiedział ostatnie słowo, mgła wypełniła przestrzeń na pokładzie. Drzwi kabiny zamknęły się cicho, głosniej rozległ się szczerk zasuw.

191

24

Wokół skrzypiącego "Nostromo" miękko osiadła mgła. Wydawało się, że nocne stwory wychodzą z niej, wiszą groźne, a potem rozplywają się. Pod wpływem ostatnich niesamowitych wieści Roosevelta Prosta w mojej głowie nabierała kształtu groźniejszych potwory niż te, które tworzyła mgła, ale nie miałem ochoty o nich rozmyślać, bo przez to nabrałyby trwalszej postaci. Niewykluczone, że miał rację. Gdybym dowiedział się

wszystkiego, czego pragne, byc moze pozalowalbym, ze nie pozostalem w niewiedzy.

Bobby mawia, ze prawda jest slodka, ale niebezpieczna. Powiada, ze ludzie nie daliby rady zyc, gdyby poznali kazda beznamietna prawde o nich samych.

Ja odpowiadam, ze w takim razie nigdy nie grozi mu samobojczy nastroj.

Orson szedl przede mna, a ja rozwazalem, jakie mam mozliwosci, dokad moge teraz pojsc i co zrobic. Rozlegala sie piesn syreny i tylko ja slyszalem te niebezpieczne pienia; a chociaz lekalem sie skal prawdy, nie potrafilem sie oprzec tej hipnotyzujacej melodii.

-Wiec... gdybys kiedys mial ochote mi to wytlumaczyc, wal smialo - powiedzialem do psa.

Nawet gdyby Orson mogl mi odpowiedziec, nie wydawal sie w nastroju do rozmowy.

Rower nadal stal oparty o balustrade pomostu. Gumowe raczki kierownicy byly zimne i sliskie, mokre od skroplonej wilgoci. Za nami bylo slychac pracujace silniki "Nostromo". Gdy sie obejrzałem, zobaczylem, jak swiatla pozycyjne motorowki rozplywaja sie we mgle. Nie moglem dojrzec Roosevelta w sterowce, na gornym pokladzie, ale wiedzialem, ze tam stoi. Chociaz ciemnosc miala trwac zaledwie kilka godzin, wyprowadzal swoja jednostke na stanowisko cumowania, nawet przy tak slabej widoczności.

Idac z rowerem do brzegu przez basen jachtowy, pomiedzy lagodnie kolyszacymi sie lodziami, obejrzałem sie kilkakrotnie, sprawdzajac, czy wsrod mdlych swiatel pomostu dojrze Mungojerrie. Jesli podazal za nami, to dyskretnie. Podejrzewalem, ze nadal przebywa na pokladzie "Nostromo". "... twoja matka byla, jaka byla, i to powod, dla ktorego cie czcza".

192

193

Gdy skrecilismy w prawo na glowny pirs i szlismy w kierunku wejscia do basenu, owional nas fetor unoszacy sie z wody. Najwidoczniej plyw zniosl miedzy fundamenty pomostu zdechla osmiornice, fregate lub rybe. Gnijace scierwo musialo zaplatac sie powyzej linii wodnej splatanej masy wodorostow, obrastajacych betonowe kesony. Smrod musial byc tak gesty, bo powietrze bylo nim nie tyle przesiakniete, co przeciazone, i cuchnelo tak odrazajaco jak rosol na czarcim stole. Wstrzymalem oddech i zacisnalem mocno usta, nie chcac wchlaniac obrzydliwego odoru, ktory przeniknal mgle.

Warkot silnikow "Nostromo" rozplywal sie, gdy motorowka sunela do stanowiska cumowania. Teraz rytmiczny lomot, dobiegajacy z lustra wody, bynajmniej nie wydawal sie odglosem silnika, lecz zlowieszczym biciem serca lewiatana, jakby potwor z przepastnych glebi mogl wynurzyc sie w basenie, zatopic wszystkie jachty, rozedrzec pomosty i pograzyc nas w zimnym, mokrym grobowcu.

Gdy dotarliśmy do połowy pirsu, obejrzałem się i nie dostrzegłem kota ani żadnej bardziej budzącej lek postaci, która deptałaby nam po piętach.

Rzekłem Orsonowi:

-Niech to szlag trafi, naprawdę mam takie wrażenie, jakby zbliżał się koniec świata.

Mruknął zgadzając się ze mną, gdy zostawiliśmy za sobą smród i szliśmy w kierunku starych latarni okrętowych, umocowanych na masywnych tekowych słupach, u początku głównego pirsu.

Lewis Stevenson, szef policji, nadal w mundurze, w jakim widziałem go wcześniej tej nocy, wynurzył się z prawie płynnej ciemności obok kapitanatu basenu i stanął w świetle.

-Mam ten stan - powiedział.

Przez chwilę, w której wylaniał się z cieni, było w nim coś tak niesamowitego, że chłód jak korkociąg przewiercił mi kręgosłup. Jednakże to, co zobaczyłem - lub co wydało mi się obecne - minęło w mgnieniu oka i przyłapałem się na tym, że drze, poruszony do glebi, owładnięty przekonaniem, iż znalazłem się w obliczu jakiegoś zjawiska paranormalnego i złowrogiego, równocześnie nie umiając zidentyfikować źródła tego odczucia.

Szef Stevenson trzymał potężny pistolet. Lufa była skierowana na Orsona, który stał dwa kroki za mną, na granicy kregu światła latarni, podczas gdy ja znajdowałem się w cieniach.

-Chcesz zobaczyć, jaki mam stan? - spytał zatrzymując się nie dalej niż trzy i pół metra przed nami.

-Nie najlepszy? - zaryzykowałem.

-W tym stanie nie lubię, jak mnie ktoś roluje.

192

193

Mówił jak nie on. Jego głos był znajomy, timbre i akcentowanie niezmiennione, ale tam, gdzie poprzednio dzwiczęła spokojna pewność siebie, brzmiała twarda nuta. Zwykle słowa płynęły mu z ust strumieniem, który jakby cie niosł, spokojny, ciepły i bezpieczny; ale teraz ten nurt był szybki i kotłujący się, zimny i klujący.

-Nie czuję się dobrze - powiedział. - Wcale nie czuję się dobrze. Prawde mówiąc, czuję się gównianie i nie zniósę niczego, co jeszcze bardziej schrzaniłoby mi humor. Rozumiesz, co mówię?

Chociaż wcale go nie rozumiałem, pokiwałem głową i rzekłem:

-Tak. Tak, prosze pana, rozumiem.

Orson stal nieruchomo jak posag i nie spuszczał wzroku z wylotu lufy policjanta.

Doskwierala mi niemila swiadomosc, ze o tej porze w basenie jachtowym nie ma zywego ducha. Poza Rooseveltem tylko szesciu jachtmanow mieszkalo na pokladzie swoich jednostek i niewatpliwie twardo spali. Pomosty byly nie mniej samotne niz granitowe rzedy wieczystych koi na cmentarzu sw. Bernadetty.

Mgla zacierala nasze glosy. Niepodobna, by ktos sie zblizyl, zwabiony odglosami rozmowy.

Przewiercajac wzrokiem Orsona, ale zwracajac sie do mnie, Stevenson rzekl:

-Nie moze dostac tego, czego chce, bo nawet nie wiem, co to jest. Czy to nie dranstwo?

Wyczulem, ze ten czlowiek jest na granicy rozstroju nerwowego i ledwie nad soba panuje. Przestal wygladac szlachetnie. Nawet brzydli, gdy wscieklosc i dorownujacy jej niepokoj wykrzywialy mu twarz.

-Czules kiedyś te pustke, Snow? Czules kiedyś taka pustke, ze byles gotow ja zapelnic albo umrzec, ale nie wiedziales, gdzie ona jest i czym, na Boga, mialbys ja zat kac?

Teraz nie rozumialem go kompletnie, ale nie wydawalo mi sie, zeby byl w nastroju do tlumaczenia sie, wiec zrobilem szalenie madra mine i skinalem glowa ze zrozumieniem.

-Tak, prosze pana. Znam to uczucie.

Czolo i policzki mial wilgotne, ale nie od lepkiego powietrza, lsnily tlustym potem.

Jego twarz byla nieziemsko biala, a mgla, klebiace sie lodowate opary, wydobywaly sie spod skory, buchaly, jakby parowalo wnetrze jego ciala.

-Dopada cie szkaradnie w nocy - powiedzial.

-Tak, prosze pana.

-Dopada cie o kazdej porze, ale zwlaszcza szkaradnie w nocy. - Wykrzywil twarz.

To chyba byl wyraz obrzydzenia. - A w ogole, co to za cholerny pies?

Reka trzymajaca bron zesztyniala i palec zacisnal sie na spuscie.

Orson obnazyl zeby, ale nie poruszył sie i nie wydal zadnego dzwieku.

-To tylko skundlony labrador - powiedziałem szybko. - Dobry pies, kota by nie skrzywdził. Gniew w nim wzbierał bez żadnej konkretnej przyczyny.

-Tylko skundlony labrador, co? Diabła tam. Nic nie jest "tylko". Nie tu. Nie teraz.

Juz nigdy.

Zastanawiałem się, czy nie sięgnąć po glocka. Rower trzymałem lewą ręką. Prawą miałem wolną, a pistolet blisko w kieszeni. Jednakże Stevenson, chociaż wyprowadzony z równowagi, na pewno zareagowałby z morderczym profesjonalizmem na agresywne zachowanie. Nie pokładałem zbytnej wiary w dziwne zapewnienie Roosevelta, że jestem czczony. Nawet gdybym upuścił rower, by odwrócić jego uwagę, Stevenson położyłby mnie trupem, zanim wyjąłbym glocka z kieszeni.

Poza tym nie zamierzałem wyciągać broni przeciwko szefowi policji, chyba że nie miałbym innego wyboru. A gdybym go zastrzelił, to byłby koniec mojego życia, stracenie słonca.

Stevenson zniechęca podrywał głowę, odrywając wzrok od Orsona. Głęboko odetchnął, a potem kilka razy szybko i płytko, jak wyzłoty tropiacy ofiary.

-Co to?

Miał ostrzejszy węch niż ja, ponieważ dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że prawie niewyczuwalna bryza przyniosła smród rozkładającego się stworzenia morskiego pod głównym pirssem.

Chociaż Stevenson już zachowywał się na tyle dziwnie, że skoro na czaszce zbiegła mi się jak sztuczny zamsz, stawał się coraz dziwniejszy. Stezał, zgarbił się, wyciągnął szyję i unosił twarz, jakby smakował fetor zgnilizny. Oczy plonęły mu w bladej twarzy i odezwał się nie z umiarkowaną dociekliwością gliniarza, ale z nagłą, nerwową ciekawością, która robiła wrażenie perwersyjnej:

-Co to jest? Czujesz ten zapach? Cos zdechłego, no nie?

-Cos tam pod pirssem - potwierdziłem. - Chyba jakaś ryba.

-Zdechła. Zdechła i gnijąca. Cos... cos w tym jest, no nie? - Chyba chciał się oblizac. - No. No. Jest w tym cos, bez dwóch zdań.

Albo usłyszał w swoim głosie ten niesamowity ton, albo wyczuł moją czujność, bo spojrzał na mnie z niepokojem i podjął walkę, by nad sobą zapanować. Prawdziwa walka. Chwiał się na pekającej krawędzi emocji.

Wreszcie odzyskal prawie normalny glos.

-Musze z toba pomowic, dogadac sie. Teraz. Dzisiaj. Chodz do mnie, Snow.

-Dokad?

-Do radiowozu.

-A rower?

-Nie aresztuje cie. Chce zamienic tylko pare zdan. Zeby miec pewnosc, zesmy sie dogadali.

194

195

Nie usmiechalo mi sie wsiadanie do radiowozu Stevensona. Jednakze gdybym odmowil, moglby zaprosic mnie bardziej urzedowo, zabierajac do aresztu. A gdybym probowal uniknac aresztowania, gdybym wsiadl na rower i pedalowal tak mocno, az piasty kol by sie zadymily - dokad mialbym jechac? Do wschodu slonca bylo kilka godzin i tym samotnym kawalkiem wybrzeza dojechalbym zaledwie do nastepnego miasteczka. A nawet gdybym dysponowal nieograniczonym czasem, XP wyznaczalo moj swiat do obszaru Moonlight Bay, gdzie moglem powrocic do domu przed wschodem lub znalezc wyrozumialego przyjaciela, ktory wzialby mnie do siebie i zapewnilby mrok.

-Znow mam ten stan - powtorzyl Lewis Stevenson, cedzac slowa. Twardy ton glosu powrocil. - Znow mam ten stan. Bankowo. Idziesz ze mna?

-Tak, prosze pana.

Super-zaproszenie.

Ruchem pistoletu wskazal, ze Orson i ja mamy isc przodem. Podprowadzilem rower do poczatku wejscowego pirsu. Strasznie mi sie nie podobalo, ze szef z bronia jest za mna. Nie musialem byc spowiednikiem zwierzat, by wiedziec, ze Orson tez jest zdenerwowany.

Deski pirsu konczyly sie betonowym chodnikiem. Okalaly go kwietniki obsadzone przypoludnikiem okroplonym, ktorego kwiaty otwieraly sie szeroko w promieniach slonca i zamykaly noca. W swietle niskich lamp slimaki pokonywaly chodnik, blyszczac antenkami, ciagnac srebrzyste pasmo sluzu. Niektore pokorne mieczaki pelzly z prawej na lewo, inne odwrotnie, jakby dzielily ludzka niecierpliwosc i niezadowolenie z warunkow egzystencji.

Prowadzilem rower zygzakiem, omijajac slimaki, a Orson, chociaz je obwachiwal, nie czynil im krzywdy.

Za naszymi plecami rozlegal sie odglos miazdzonych skorupek, pisk i chlupot

galaretowatych ciałek deptanych podszwami butów. Stevenson deptał nie tylko te ślimaki, które miał wprost na drodze, ale każdego nieszczęsnego gastropoda w zasięgu wzroku.

Niektórych pozbywał się szybkim kopnięciem, ale inne deptał, następował na nie z taką siłą, że podszwa buta ładowała na betonie z hukiem kowalskiego młota.

Nie oglądałem się.

Dreczęła mnie obawa, że zobacze okrutną, szyderczą radość, zapamiętaną aż nadto dobrze zęb młodych bysiorów, którzy znęcali się nade mną w dzieciństwie, zanim stałem się na tyle mądry i duży, żeby się nie dać. Choć ten grymas wyprowadzał z równowagi, gdy widziało się go na twarzy dziecka - paciorkowate oczy, idealna replika gadzich ślepi nawet bez eliptycznych zrenic, policzki zaczerwienione nienawistą, bezkrwiste wargi, odsłaniające szyderczo lśniące ślina zęby - byłby nieskonczenie bardziej niepokojący na obliczu dorosłego, zwłaszcza gdy ów dorosły miał brzo i nosił oznakę policyjną.

196

197

Czarno-biały radiowóz Stevensona stał w strefie zakazu parkowania, dziesięć metrów na lewo od wjazdu do basenu jachtowego, poza zasięgiem kwietnikowych lamp, w głębokim nocnym cieniu rozłożystego parasola ogromnego wawrzynu. Oparłem rower o pień drzewa, na którym mgła wisiała jak "hiszpanski mech".

W końcu odwróciłem się ze znużeniem do szefa policji. Otwierał tylne drzwi od strony pasażera. W ciemności rozpoznałem ten wyraz jego twarzy, który nawet w myślach wywoływał we mnie paralizujące przerażenie: nienawistny, bezpodstawny, lecz niepowstrzymany gniew, sprawiający, że niektórzy ludzie sieją na ziemi większe pokłosie śmierci niż jakiegokolwiek zwierzę.

Stevenson nigdy nie ujawnił tej mrocznej strony swojej osobowości. Sprawiał wrażenie, że nie potrafi być nieuprzejmy, więc tym bardziej absurdalne wydawało się, iż może bezsensownie nienawidzić. Gdyby nagle okazało się, że nie jest prawdziwym Lewitem Stevensonem, lecz jakąś pozaziemską formą życia, osobnikiem, który wcielił się w postać szefa policji, uwierzyłbym w to.

Gestykulując bronią nakazał Orsonowi: - Ładuj się do wozu, facet.

-Tu mu będzie całkiem dobrze - powiedziałem.

-Wsiadaj - popędzał psa.

Orson zerknął podejrzliwie na otwarte drzwi radiowozu i zapiszczał nieufnie.

-Zaczeka - rzekłem. - Nigdy by nie uciekł.

-Chce, żeby wsiadł do wozu - powiedział łodowato Stevenson. - W tym mieście obowiązuje prowadzenie psów na smyczy, Snow. Nigdyśmy ci tego nie narzucali.

Zawsze odwracaliśmy głowy, udawaliśmy, że niczego nie widzimy, bo... bo jeśli pies jest przewodnikiem osoby uposledzonej, przepis go nie dotyczy.

Nie chciałem zrazić do siebie Stevensona, sprzeciwiając się określeniu "uposledzony". W każdym razie mniej interesowało mnie to jedno słowo niż szereg innych, które na pewno był gotów powiedzieć, zanim ugryzł się w język: "bo twoja matka była, jaka była".

-Ale tym razem - powiedział - nie zamierzam siedzieć tu beczynn timer, kiedy ten cholerny pies paleta się luzem, paskudzi na chodnik, puszy się, że nie jest na smyczy.

Chociaż mogłem zauważyć, że jest sprzeczność między faktem, iż pies osoby uposledzonej nie musi być obowiązkowo prowadzony na smyczy, a twierdzeniem, że Orson pyszni się tym, że na smyczy nie jest, nie otworzyłem ust. Nie wygrałbym żadnego sporu z wrogo nastawionym Stevensonem.

-Jeśli nie chce wejść do samochodu, kiedy ja mu kaze - powiedział Stevenson - to ty go zmus.

Zawahałem się, szukając sensownej alternatywy potulnego posłuszeństwa. Z każdą sekundą nasza sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Czulem się pewniej w oslepiającej mgłę na polwyspie, kiedy gromada deptała nam po piętach.

196

197

-Już ładuj tego cholernego psa do cholernego samochodu!!! - rozkazał Stevenson, tryskając takim jadem, że uznałem, iż poprzednio niepotrzebnie wysiłał się deptać slimaki. Zabilby je samym glosem. Ponieważ trzymał w dłoni bron, miał nade mną przewagę, ale znajdowałem wcale pocieszenie w fakcie, że chyba nie ma pojęcia, co spoczywa w kieszeni mojej kurtki. Na razie nie miałem innego wyjścia, musiałem się podporządkować.

-Do auta, przyjacielu - powiedziałem Orsonowi, tłumiac strach, tłumiac łomot serca, by nie zadrzał mi głos.

Pies usłuchał niechętnie.

Lewis Stevenson zatrzasnął tylne drzwi, a potem otworzył przednie.

-Teraz ty, Snow.

Usiadłem na siedzeniu pasażera, podczas gdy Stevenson obszedł samochód i siadł za kierownicą. Zatrzęsł drzwi i kazał mi zamknąć moje. Poprzednio miałem nadzieję, że nie będę musiał tego robić.

Zwykle nie cierpię na klaustrofobie w niewielkich pomieszczeniach, ale żadna trumna nie była ciasniejsza od tego radiowozu. Mgła napierająca na szyby dusiła jak sen o pogrzebaniu żywcem.

Wnętrze samochodu wydawało się chłodniejsze i bardziej wilgotne niż powietrze na zewnątrz. Stevenson zapalił silnik, chcąc włączyć ogrzewanie. Zatrzęszczało policyjne radio i głos dyżurnego, zniekształcony wyladowaniami elektrycznymi, zaskrzeczał jak piosenka ropuchy. Stevenson wyłączył radio.

Orson stał z tyłu na podłodze, przednimi łapami opierając się o kratę i zerkal na nas z niepokojem. Szef wcisnął przycisk blokując zamek tylnych drzwi i rozległ się ostry dźwięk, z nutą takiej nieodwołalności jak szczęk gilotyny.

Miałem nadzieję, że Stevenson, kiedy wsiedliśmy do wozu, schowa pistolet do kabury, ale nadal trzymał go w dłoni. Oparł dłoń na udzie, lufę pistoletu obracając w kierunku tablicy rozdzielczej. W zielonym świetle tarcz i wskaźników wydawało mi się, że palce trzyma teraz raczej na kablaku osłony niż na samym spuszcze, ale to w żadnym istotnym stopniu nie zmniejszyło jego przewagi. Na chwilę opuścił głowę i zamknął oczy, jakby się modlił lub usiłował skoncentrować.

Mgła zbierała się na wawrzynie i krople wody kapaly z koniuszków liści, wybijając nierówny rytm na masce i dachu auta.

Niedbale, spokojnie wsadziłem dłoń w kieszenie kurtki. Zaciśnalem prawa na Glocku. Powiedziałem sobie, że moja bujna fantazja wyolbrzymia zagrożenie. Tak, Stevenson był w fatalnym nastroju; przypomniał mi się zdarzenie na tyłach komisariatu, wiedziałem, że wbrew temu, co długo udawał, nie jest ramieniem sprawiedliwości. Ale nie znaczyło to, że ma jakies wrogie zamiary. Może faktycznie chciał tylko pogadać i powiedział mi swoje, wypuścił nas nie robiąc krzywdy.

199

Kiedy unosił głowę, jego oczy były jeziorami zracego kwasu. Spojrzał i kolejny raz zmroziło mnie wrażenie obcowania z nieludzką wrogością, jak wtedy, gdy wylonil się z mroku za kapitanatem basenu, lecz tym razem wiedziałem, dlaczego moje naciągnięte do granic wytrzymałości nerwy brzęczą melodie przerażenia. Przez krótką chwilę, i patrząc pod pewnym kątem, w jego szklistym spojrzeniu dojrzałem zółtawe lśnienie, blask ślepi wielu zwierząt noca; zimne, tajemnicze wewnętrzne światło, jakiego nigdy nie ujrzałem u żadnego człowieka, którego zrodziła kobieta.

199

Migotanie, nieczule i zabojuce jak prąd elektryczny, pojawilo sie w oczach Stevensona tak przelotnie, ze gdy odwrocil do mnie glowe, to kazdej poprzedniej nocy moze zlekcewazylbym ow fenomen, uznawszy go jedynie za dziwne odbicie tablicy rozdzielczej. Lecz od zachodu slonca widzialem malpy, ktore nie byly jedynie malpami, kota, ktory byl wiecej niz kotem, i brodzilem w tajemnicach, ktore niczym rzeki plynely ulicami Moonlight Bay, wiec nauczylem sie oczekiwac znaczonego w pozornie nieznaczącym. Teraz jego oczy znow staly sie atramentowe, matowe. Gniew w glosie opadl, podczas gdy prąd powierzchniowy byl pelen nieutulonej rozpacz i zalu.-Teraz wszystko sie zmienilo, wszystko sie zmienilo i nie ma powrotu.

-Co sie zmienilo?

-Nie jestem tym, kim bylem. Trudno mi przypomniec sobie, kim bylem. Jakim czlowiekiem. Jestem stracony.

Mialem wrazenie, ze mowi w rownej mierze do siebie jak i do mnie, oplakujac swoja utracona tozsamosc.

-Nie mam nic do stracenia. Wszystko, co sie liczyl, zostalo mi zabrane. Jestem chodzacyim trupem, Snow. Niczym wiecej. Czy potrafisz sobie wyobrazic, jak sie czuje?

-Nie.

-Bo nawet ty, z twoim zasranym zyciem, unikajac dnia, wychodzaz na dwor tylko noca, jak jakis nagi slimak wypelzajacy spod kamienia... nawet ty masz po co zyc.

Chociaz urzadz szefa policji byl w naszym miasteczku obieralny, odnosilem wrazenie, ze Lewis Stevenson nie zabiega o moj glos.

Chcialem mu powiedziec, zeby sie ode mnie odkopulowal. Ale jest roznicz miedzy nieokazywaniem strachu i dopraszaniem sie o kule w leb.

Odwrocil glowe ku gestym zwalom bialej mgly, slizgajacej sie po przedniej szybie i zimny plomien znow zamigotal mu w oczach, blyskiem krotszym i mniej wyraznym niz poprzednio, a jednak bardziej niepokojaćym, gdyz nie byl tylko wytworem mojej wyobrazni.

Stevenson znizyl glos, jakby obawial sie podslychu i rzekl:

200

201

-Mam straszne koszmary senne, potworne, pelne seksu i krwi.Poprzednio nie bardzo

wiedziałem, czego się spodziewać po tej rozmowie, ale ujawnienie osobistych udrek nie figurowało na mojej liście oczekiwanych tematów.

-Zaczęły się mniej więcej rok temu - ciągnął. - Początkowo raz w tygodniu, potem zdarzały się coraz częściej. Najpierw przez jakiś czas kobiety w tych koszmarach nie były mi znane. Czyste wytwory wyobraźni. Jak w snach okresu dojrzewania; dziewczyny o jedwabistej skórze, tak piękne i chętne do oddania się... ale w tych snach nie tylko uprawiałem z nimi seks...

Chyba odplynął myślami wraz z tumanem mgły gdzieś dalej w mrok. Widziałem tylko profil szeryfa, słabo oświetlony i błyszczący od kwaśnego potu, jednak mający w sobie coś tak okrutnego, że wołałem nie oglądać całej twarzy. O to przynajmniej się modliłem. Zniżył jeszcze bardziej głos i ciągnął swoje wyznania:

-W tych snach białem je, tłukłem po twarzy, tłukłem, tłukłem i tłukłem na miążdze, której nie dało się rozpoznać. Dusilem, aż język wylazł z ust...

Na początku owej makabrycznej relacji wyczuwałem przerażenie w tonie jego głosu. Teraz oprócz przerażenia wyraźnie rosło perwersyjne podniecenie, obecne nie tylko w chrapliwym głosie, ale i w napięciu, które nagle wygięło mu ciało. - ...a kiedy krzyczały z bólu, uwielbiałem ich krzyki, rozdzierająca mekę na twarzach, widok krwi. To takie rozkoszne. Takie podniecające. Budzę się w dreszczach rozkoszy, przeniknięty pozadaniem. I czasem... chociaż mam pięćdziesiąt lat, na miłość boską, szczytuje we śnie albo zaraz po obudzeniu.

Orson cofnął się i siadł na tylnej kanapie.

Ja też załowałem, że nie mogę odsunąć się od Stevensona. Siedząc w ciasnym radiowozie miałem wrażenie, że jesteśmy spychani ku sobie i prasowani w zgniatarce na złomowisku.

-Potem w tych snach zaczęła pojawiać się Louisa, moja żona... i moje dwie... dwie córki. Janine, Kyra. Boja się mnie w tych snach, i nie bez powodu, bo ich przerażenie mnie podnieca. Czuje obrzydzenie... ale też zachwyt i podniecenie tym, co im robię...

Gniew, rozpacz i perwersyjna ekscytacja nadal były obecne w jego głosie, w powolnym ciężkim oddechu, w zgarbieniu ramion i subtelnych, ale upiornych zmianach rysów twarzy, widocznych nawet z profilu. Lecz wśród tych gwałtownych, krancowo różnych emocji, walczących o panowanie nad umysłem, była też desperacka nadzieja, na uratowanie się przed runięciem w otchłan szalenstwa i zezwierzczenia, na której granicy tak niepewnie balansował, i ta nadzieja wyraźnie objawiła się w udreże, teraz tak dostrzegalnej w głosie i zachowaniu jak gniew, rozpacz i wynaturzone pozadanie.

-Te nocne koszmary coraz bardziej mnie przerażały, wszystko, co się w nich działo, było tak chore, ohydne i obrzydliwe, że bałem się zasnąć. Nie zasypiałem aż do wyczerpania, aż do chwili, w której żadna ilość kofeiny nie mogła utrzymać mnie na nogach.

Robiłem sobie okłady z lodu na kark, ale powieki same opadały. Lecz kiedy zasypiałem, koszmary się nasilały, jakby wyczerpanie sprowadzało mocniejszy sen, odkrywało głębsze pokłady mroku wewnątrz mnie, w którym żyły gorsze potwory. Kopulowanie i rzez, nieustanne i żywe, pierwsze moje kolorowe sny, takie intensywne kolory i dźwięki, błagania i moje bezlitosne odpowiedzi, krzyki i lkania, konwulsje i przedśmiertny belkot, kiedy rozszarpywałem gardła zębami i równocześnie gwałciłem. Lewis Stevenson chyba widział te odrazające sceny tam, gdzie ja widziałem tylko kleby mgły, jakby szyba była ekranem, na którym odbywała się projekcja jego obłakanczych fantazji.

-I po pewnym czasie... już nie walczyłem ze snem. Przez jakiś okres po prostu mogłem to wytrzymać. Aż nadszedł moment... nie pamiętam dokładnie, której nocy... te sny przestały mnie przerażać i stały się wyłącznie źródłem rozkoszy, choć poprzednio wywoływały o wiele silniejsze poczucie winy niż przyjemności. Chociaż początkowo nie potrafiłem przyznać się do tego przed samym sobą, zacząłem wyczekiwać chwili, w której szedłem spać. Te kobiety były mi tak drogie na jawie, ale gdy spałem... wtedy... wtedy dygotałem z rozkoszy mogąc je upadlać, poniżać, torturować na najbardziej wymyślne sposoby. Po tych koszmarach już nie budziłem się ogarnięty strachem... ale dziwna błogoscia. I leżałem w ciemności, zastanawiając się, o ile bardziej smakowałyby mi te potworności na jawie niż tylko we śnie. Wystarczyło, że pomyślałem o zniszczeniu się moich snów, a odczuwałem potężną zadęci tetniacą w moim ciele i doświadczałem wrażenia wolności, całkowitej wolności, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem.

Prawde mówiąc, miałem poczucie, że spędziłem całe życie w kajdanach, skrepowany lancuchami, z kamiennymi blokami u nog. Wydawało się, że poddanie się temu pozadaniu nie będzie zbrodnią, nie będzie miało żadnego moralnego wymiaru. Nie będzie prawe ani nieprawe. Ani dobre, ani złe. Jedynie niesłuchanie wyzwalające.

Albo powietrze w radiowozie było coraz bardziej stęchłe, albo ogarnęło mnie obrzydzenie na samą myśl, że mam wdychać opary, które szef wydychał - nie wiem. Usta wypełnił mi metaliczny smak, jakbym trzymał pod językiem monetę, żołądek skurczył się wokół jakiejś grudki, zimnej jak arktyczny kamień, serce pokrył lod.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Stevenson odkrywa przede mną udrecona dusza, ale miałem przeczucie, że te wyznania są tylko wstępem do bardziej makabrycznej rewelacji, której wolałbym nigdy nie usłyszeć. Chciałem zamknąć mu usta, zanim powali mnie najbardziej tajemnym sekretem, ale wyczuwałem, jak potężny przymus nakazuje mu opowiedzieć o tych straszliwych fantazjach - być może spowodowany tym, że byłem pierwszą osobą, przed którą zdecydował się otworzyć. Nie było sposobu go powstrzymać - chyba że śmiertelna kula.

-Później - ciągnął pozadliwym szeptem, wszystkie sny skupiły się na mojej wnuczce, Brendzie. Ma dziesięć lat. Sliczna dziewczynka. Przesliczna. Taka szczupła

202

203

i wdzięczna. Co za rzeczy robie jej w tych snach! Ach, co to są za rzeczy! Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie aż takiej brutalności. Takiej wyjątkowej, rozpustnej zmysłowości. A gdy się budzę... nie ma słów, by opisać moje szczęście. Nieziemskie. Upojne. Leżę w łóżku obok żony, która śpi nie wiedząc, jakie dziwne obsesje mną rządzi, która nigdy się o nich nie dowie, a mnie rozsądza świadomość, że absolutna wolność jest na wyciągnięcie ręki, mogę jej doświadczyć, kiedy tylko zechcę. W każdej chwili. W przyszłym tygodniu. Jutro. Teraz! W gorze przemówił milczący dotąd wawrzyn, jakby szybko jeden po drugim odezwwały się spiczaste zielone listki, poddane zbyt wielkiemu ciężarowi zgestniałej mgły.

Każdy stracił pojedynczą wilgotną nutę i drgnąłem na ten nagły dźwięk werbelka opasłych kropli tlukących o samochód, na wpol zaskoczony, że to co spłynęło w dół szyby i w poprzek maski, nie jest krwią.

Mocniej zacisnąłem dłoń na glocku. Po tym, co Stevenson mi powiedział, nie wyobraziłem sobie, by jakimś cudem wypuścił mnie żywego. Lekko zmieniłem pozycję - nie wzbudzając w nim podejrzeń - na bardziej dogodną, gdybym musiał strzelać.

-W zeszłym tygodniu - szeptał - Kyra i Brandy przyszły do nas na kolację i nie mogłem oderwać oczu od malej. Wystarczyło mi na nią popatrzeć i w wyobraźni widziałem ją naga, jak w moich snach. Tak szczupła. Tak delikatna. Bezbronna.

Podnieciłem się tą bezbronnością, delikatnością, słabością i musiałem ukryć swój stan przed Kyra i Brandy. Przed Louisa. Chciałem... chciałem... musiałem...

Jego nagły szloch mnie zaskoczył. Kolejny raz targnęły nim fale żalu i rozpacz, jak na początku naszego spotkania. Te jego niesamowite potrzeby, obsceniczne požądanie zatonęły w przyplwywie słabości, żalności i nienawiści do samego siebie.

-Jakas część mnie chce, żebym się zabił - wyznał - ale tylko mniejsza część, mniejsza i słabsza, cząsteczka mojego dawnego ja. Potwór, którym się stałem, nigdy się nie zabije. Nigdy. Jest zbyt żywotny.

Unosił do ust i wcisnął między zęby dłoń zwiniętą w pięść, tak mocno gryząc palce, że nie byłbym zaskoczony, gdyby ssal własną krew; usiłował zdusić łkanie; najbardziej rozdzierające, jakie kiedykolwiek słyszałem.

W człowieku, którym się stał, nie było cienia spokoju i opanowania, nadających zwykle Lewisowi Stevensonowi tak wiarygodny kolor władzy i sprawiedliwości.

Przepływały przezeń niekontrolowane emocje, gwałtownym, rwącym nurtem, fala za falą, bez chwili uspokojenia.

Mój lek ustąpił miejsca litości. Już miałem położyć mu dłoń na ramieniu, pocieszyć, ale powstrzymałem się, bo wyczułem, że potwór, którego słuchałem chwilę temu, nie znikł ani nawet nie został skuty lancuchami.

Opuszczył piasek, zwrócił ku mnie głowę, pokazując twarz wykrzywioną tak straszliwą udreka, takim przeraźliwym bólem, że nie mogłem na niego patrzeć. On też odwrócił wzrok, znowu patrzył na szybę i podczas gdy wawrzyn strzelał na oslep salwami destylatu mgły, Stevenson przestawał łkać; uspokoiwszy się mógł znowu mówić.

202

203

-Od zeszłego tygodnia znajdowałem wymówki, żeby odwiedzić Kyre, być koło Brandy. - Drzenie zniekształciło mu głos, ale szybko ustąpiło i wrócił pozadźwiękowy głos stworzonej z wyzarta dusza. - I czasem, późno w nocy, gdy ten cholerny stan znowu mnie napada, kiedy czuję w środku taką lod i pustkę, że chce mi się wyc i wyc bez końca, myślę, że sposób na wypełnienie tej pustki, jedyny sposób ukroczenia tego okropnego ssania w bebeczach... to zrobić to, co uszczęśliwia mnie we śnach. I będę to robić. Wcześniej czy później będę to robić. Wcześniej czy później. - Fala emocji przeszła całkowicie z winy i niepokoju w spokojną, ale demoniczną uciechę. - Będę to robić i robić. Rozglądałem się za dziewczynkami w wieku Brandy, właśnie dziewczecio - czy osmiolatkami, szczupłymi jak ona, słicznymi jak ona. Będzie bezpieczniej zacząć od kogoś obcego. Bezpieczniej, ale nie mniej przyjemnie. Poczuję się dobrze. Poczuję się tak bardzo dobrze, zakosztuję władzy zniszczenia, zerwe kajdany, w które mnie zakuli, zburze ściany, będę całkowicie wolny, wreszcie całkiem wolny. Kiedy dopadnie jakaś dziewczynka, to będę ją gryźć, będę ją gryźć bez końca. W śnach liże skórę dziewczynki, ma taki słony smak, a ja gryzie ją i czuje ich krzyk wibrujący w moich zębach.

Nawet w mdłym świetle widziałem walący puls w skroni, nabrzmiałe mięśnie szczęk i kacił ust drgający podnieceniem. Stevenson wydawał się bardziej zwierzęcy niż ludzki - lub ani ludzki, ani zwierzęcy. Sciskałem gołk tak, że ręka bolała mnie aż do barku. Nagle zdałem sobie sprawę, iż palec zacisnąłem na spuszczeniu, co groziło, że strzele bezwiednie, chociaż nie wzięłem jeszcze Stevensona na muszkę. Zdjąłem palec ze spustu.

-Co to sprawiło? - zapytałem.

Kiedy odwrócił do mnie głowę, w jego oczach znowu zamigotał przelotny błysk.

Zgasł i wzrok Stevensona stał się ponury i morderczy.

-Mały goniec - powiedział tajemniczo. - Ot, po prostu mały goniec, który nigdy nie umrze.

-Dlaczego opowiada mi pan sny o tym, co zamierza zrobić jakieś dziewczynce?

-Bo, cholerny swirze, mam zamiar postawić ci ultimatum i chce, żebyś wiedział, jaka to poważna sprawa, jak niebezpieczna i jak mało mam do stracenia, i z jaką radością ci wypatroszę, jeśli cię zabije. Są inni, którzy cię nie tkną...

-Bo moja matka była, jaka była.

-Znaczy się, już to wiesz?

-Ale nie wiem, co to znaczy. Jaka rolę odgrywała moja matka w tym wszystkim?

Zamiast odpowiedzieć, rzekł:

-Są inni, którzy cię nie tkną i nie chcą też, żebym ja cię tknął. Ale jak będę musiał, tknę cię. Wsadź swój nos w tę sprawę, a rozwalę ci czaszkę, wywalę mózg i cisnę rybom do zatoki, żeby miały coś zrec. Myślisz, że tego nie zrobię?

-Wierzę panu - powiedziałem szczerze.

204

205

-Po tym, jak napisałeś tamten bestseller, może jakieś typki z mediów chciałyby cię słuchać. Jeśli spróbujesz coś zrobić, żeby narobić kłopotów, zacznę od tego, że dorwę się do tej sukiny didziejki. Zrobię jej dobrze na tyle sposobów, że w pale ci się nie mieści. Wzmianka o Saszy doprowadziła mnie do furii, ale również na tyle skutecznie wystraszyła, że siedziałem cicho. Teraz stało się jasne, że ostrzeżenie Roosevelta Prosta było jedyną radą. Oto groźba, przed którą Roosevelt mnie ostrzegał, udając, że mówi do kota.

Bładość znikła z twarzy Stephena i zalał się rumieńcem - jakby z chwila, w której poddał się psychotycznemu pozadaniu, zimne i puste przestrzenie wewnątrz niego wypełnił ogień.

Sięgnął do deski rozdzielczej i wyłączył ogrzewanie.

Znalazłem w sobie dość pewności siebie, by domagać się odpowiedzi, bo zmieniłem pozycję na tyle, że skierowałem pistolet w niego.

-Gdzie ciało mojego ojca?

-W Fort Wyvern. Musi być sekcja.

-Dlaczego?

-Nie musisz wiedzieć. Ale żeby położyć kres tej twojej idiotycznej krucjacie, wiedz

przynajmniej, że to naprawdę rak go zabił. Rodzaj raka. Nie ma nikogo, z kim mogłbyś wyrownywać rachunki, jak o tym mówiłeś Angeli Ferryman.

-Czemu miałbym ci uwierzyć?

-Bo równie łatwo mogłbym ci zabić jak odpowiedzieć... więc po co miałbym klamać?

-Co się dzieje w Moonlight Bay?

Wyszczrzył zęby w takim uśmiechu, jaki rzadko widuje się poza murami zakładu dla obłąkanych. Karmił się wizją katastrofy, wyprostował się i jakby utył, gdy mówił:

-To całe miasteczko jest w kolejce górskiej prosto do piekła i zapowiada się niesamowita przejazdka.

-To żadna odpowiedź.

-Innej nie będzie.

-Kto zabił moją matkę?

-To był wypadek.

-Tak myślałem do dzisiejszej nocy.

Jego wredny uśmiech, wąski jak ślad po cieciu brzytwą, rozlał się w szerszą ranę.

-Dobra. Jeszcze jedno, jak się tak upierasz. Twoja matka została zabita, tak jak podejrzewasz.

Moje serce obrocilo się, ciężkie jak kolo z kamienia.

-Kto ją zabił?

-Ona. Zabiła się sama. Samobójstwo. Podgazowała saturna aż do sto pięćdziesiątki i wjechała prosto w przesłony most. Nie było żadnego defektu. Pedal gazu się nie zablokował. To tylko przykrywką, którą się zamajstrowali.

204

205

-Ty kłamliwy skurwysynu. Bardzo powoli oblizal wargi, jakby przekonał się, że uśmiech ocieka mu słodyczą.

-Nie kłamie, Snow. I wiesz co? Gdybym dwa lata temu wiedział, co mi się przydarzy, jak

wszystko się zmieni, sam bym zabił twoją mamuszkę. Zabił ją za to, co w tym wszystkim narobiła. Wywiozłbym ją gdzieś, wyciął jej serce, wypełnił dziurę solą, spalił na stosie... cokolwiek, żeby mieć pewność, że wiedźma nie żyje. Bo jaka jest różnica między tym, co zrobiła, a przekleństwem wiedźmy? Nauka, czary? Co za różnica, kiedy rezultat jest taki sam? Ale wtedy nie wiedziałem, co się kroi, a ona wiedziała, więc zaoszczędziła mi kłopotów i poszła na szybka czółowkę z połowką metra betonu.

Wezbrały we mnie oleiste mdłości, bo słyszałem w jego głosie prawdę. Rozumiałem tylko ułamek tego, co mówił, jednak było tego aż za dużo.

-Nie masz kogo mścić, Swirze - powiedział. - Nikt nie zabił twoich starych.

Prawdę mówiąc, jak się temu przyjrzeć z jednej strony, to twoja mamuska zabiła ich oboje... sama siebie i twoją staruszkę.

Zamknąłem oczy. Nie potrafiłem znieść jego widoku, nie tylko dlatego, że rozkoszował się śmiercią mojej matki, ale wyraźnie wierzył - słusznie? - że była w tym jakaś sprawiedliwość.

-Teraz chce, żebyś wczłgał się z powrotem pod skałę i został tam do końca swoich dni. Nie pozwolimy ci roztrącić o tym na prawo i lewo. Jak świat się dowie, co się tu działo, jeśli wiedza o tym rozejdzie się poza tamtych w Wyvern i nas, ludzie z zewnątrz wprowadzą kwarantannę dla całego powiatu. Zapieczetują go, wybiją nas do nogi, spalą do fundamentów każdy budynek, zatrują każdego ptaka, każdego kojota i każdego domowego kota... a potem pewnie dla świętego spokoju spuszcza na to miasteczko kilka atomówek. Zresztą to wszystko i tak na nic, bo zaraza już rozeszła się daleko poza miasteczko, do drugiego kranca kontynentu i dalej. Jesteśmy pierwotnym ogniskiem, skutki są bardziej widoczne tu i narastają szybciej, ale teraz ono będzie oddziaływać bez nas.

Więc nikt z nas nie szykuje się umierać tylko po to, żeby jakiś gównojad polityk mógł twierdzić, że podjął środki zaradcze.

Otworzyłem oczy i przekonałem się, że podniósł pistolet i mierzy we mnie. Wylot lufy miałem niecałe pół metra od twarzy. Teraz moja jedyna przewaga polegała na tym, że nie wiedział, iż jestem uzbrojony, i miała sens tylko wtedy, gdybym pierwszy pociągnął za spust.

Wiedziałem, że to bezowocne, ale próbowałem się z nim spierać, może dlatego, iż spor był jedyną rzeczą, która mogła odwrócić moje myśli od rewelacji o matce.

-Słuchaj, na miłość boską, zaledwie kilka minut temu powiedziałeś, że i tak nie masz po co żyć. Bez względu na to, co się tu stało, gdybysmy sięgnęli pomocy...

-Miałem tamten stan - przerwał mi ostro. - Nie słuchales, co mówiłem do ciebie, Swirze? Powiedziałem ci, że miałem tamten stan. Naprawdę zły stan. Ale teraz mam inny stan. Lepszy stan. I teraz chce do końca być tym, kim mogę być, przyjme to, czym

się staje, zamiast się opierać. Zmiana, koles. Na tym to wszystko polega, wiesz. Zmiana, cudowna zmiana, wszystko się zmienia, zawsze i na zawsze, zmiana. Ten nowy nadchodzący świat... to będzie coś oszalamiającego! Ale nie możemy...

-Jeśli rozwiązesz swoją zagadkę kryminalną i dowiesz się o tym świecie, podpiszesz już tylko na siebie wyrok śmierci. Zabijesz swoją małą, seksy sukę didżejke i wszystkich przyjaciół. Teraz zjeżdżaj z wozu, wsiadaj na rower i zabieraj swoją chudą dupę do domu. Zakop te popioły, które Sandy Kirk uważa za stosowne ci wydać. A potem, jak nie możesz żyć nie wiedząc więcej, jak kot ci ugryzł i zaraził nadmierną ciekawością, to pochodź na plażę kilka dni, poleż na słońcu i dorób się naprawdę niesamowitej opalenizny!

Nie mogłem uwierzyć, że puszcza mnie wolno.

Wtem rzekł:

-Pies zostaje ze mną.

-Nie.

Zrobił gest pistoletem.

-Won.

-To mój pies.

-To niczyj pies. I nie czas ani miejsce na spory akademickie.

-Co chcesz z nim zrobić?

-Lekcje pokazowa.

-Co?

-Zabiorę go do garażu ratuszowego. Stoi tam rebarka do drewna, do miażdżenia galezi.

-Nie ma mowy.

-Właduje kundlowi kule w łeb...

-Nie. - ... wrzuce do rebarki...

-Już wypuszczaj go z wozu! - ... zbiorę do worka breję, która wyleci drugim końcem, i podrzuce ci do domu w charakterze ostrzeżenia.

Wpatrywałem się w Stevensona. Był kims nowym. Kims, kto urodził się ze starego Lewisa Stevensona, jak motyl rodzi się z poczwarki, z tym wyjątkiem, że teraz cały proces został koszmarnie odwrócony; motyl zamienił się w poczwarkę i wylonila się gasienica. Ta metamorfoza jak z sennego koszmaru trwała przez jakiś czas, ale kulminacja zaszła na moich oczach. Szef policji zniknął na zawsze; osoba, z którą mierzyłem się teraz oko w oko, opętały mus i pozadanie, nie hamowały jej wyrzuty sumienia, nie była zdolna do placzu, jak kilka minut temu, a była tak krwiozercza, że nie mogło się z nią równać żadne ziemskie stworzenie.

206

Jeśli Stevenson był zarazony wyhodowana sztucznie infekcja, która spowodowała w nim takie zmiany, czy mógł zarazić teraz mnie? Moje serce walczyło ze sobą, wyprowadzało jeden silny cios za drugim.

Chociaż nigdy nie wyobrazałem sobie, że będę mógł zabić człowieka, pomyślałem, że zdolam wykonać tego, bo nie tylko uratuje Orsona, ale też anonimowe dziewczęta i kobiety, które zamierzał maltretować, urzeczywistniając swoje obłąkane wizje..

Z większą, niż się tego spodziewałem, stanowczością w głosie rozkazałem:

-Natychmiast wypuść psa.

Zrobił zdziwioną minę i kolejny raz uśmiechnął się jak grzechotnik.

-Zapominasz, kto tu jest glina? Co, swirze? Zapominasz, kto ma broń?

Gdybym strzelił, mogłem nie zabić od razu drania, nawet z tak bliskiej odległości.

Nawet gdyby pierwszy pocisk w jednej chwili zatrzymał mu serce, odruchowo nacisnąłby spust i przy dzielącej nas półmetrowej odległości na pewno by mnie trafił.

On przerwał impas.

-W porządku, niech będzie, chcesz się przyjrzeć, kiedy będę to robił?

Niewiarygodne, ale obrócił się bokiem, wsadził lufę pistoletu w kilkucentymetrową dziurę w kratce i strzelił do psa. Huk wstrząsnął samochodem i Orson zaskowyczał.

-Nie! - krzyknąłem.

Wyrwał pistolet z kraty. Strzeliłem do niego. Pocisk wyrwał mi dziurę w kurtce i rozerwał mi pierś. Wypalił na oslep, w dach. Strzeliłem drugi raz, tym razem w gardło, i szyba za plecami Stevensona roztrzaskała się, gdy pocisk wyszedł mu karkiem.

208

Siedziałem skamieniały, jak zaklęty przez czarownika, niezdolny do poruszenia się, niezdolny nawet mrugnąć, serce wisiało mi w piersi jak ołowianka, byłem pozbawiony emocji, nie czułem pistoletu w dłoni, nie widziałem niczego, nawet trupa w samochodzie; oslepiony przez szok, oglupiały i spętany ciemnością, chwilowo ogłuszony wystrzałem lub też rozpaczliwym pragnieniem, by nie słyszeć nawet wewnętrznego głosu sumienia paplającego o konsekwencjach. Jedyny zmysł, który nadal pracował, to węch. Siarkowo-węglowy smród wystrzału, metaliczny odor krwi, kwasne opary moczu, bo Stevenson w śmiertelnych drgawkach zapaskudził samochód, i aromat rozanego szamponu mojej matki spowily mnie jednocześnie; burza woni, dobrych i złych. Wszystko było prawdziwe poza olejkiem rozanym, dawno zapomnianym, ale teraz wysnutym z pamięci ze wszystkimi delikatnymi nutami zapachu. "Krancowy strach przywraca nam gesty dzieciństwa", powiedział Chazal.

I w krancowym strachu zapach tamtego szamponu był pomostem, po którym chciałem przejść ku utraconej mamie, z nadzieją, że jej ręka obejmie mnie kojąco.

W mgnieniu oka wzrok, słuch i wszystkie zmysły zostały mi przywrócone i cisnęły mną prawie tak gwałtownie, jak dwa pociski 9 mm cisnęły Lewisem Stevensonem.

Krzyknąłem i łapczywie wciągnąłem powietrze.

Trzesąc się bezwiednie zwoleńcem przycisk nacisnięty poprzednio przez szefa.

Puscili elektryczne zamki tylnych drzwi.

Wygramoliłem się z samochodu i gwałtownym ruchem otworzyłem tamte drzwi, wykrzykując jak oszalały imię Orsona. Zastanawiałem się, jak zdolam, i czy zdąże, donieść psa do lecznicy, jeśli jest ranny, jak zniosę jego śmierć, jeśli jest martwy. Nie mógł być martwy. Nie był zwyczajnym psem - to Orson, mój pies, dziwny i niezwykły, towarzysz i przyjaciel, u mego boku zaledwie od trzech lat, ale stanowiący tak zasadniczą część mojego bezświetlnego świata, jak nic innego.

I nie był martwy! Wyskoczył z samochodu z taką ulgą, że prawie zbil mnie z nog.

Przeszywający skowyt po strzale był wyrazem okropnego przestrawienia, nie bólu.

Opadłem na kolana, wypuszczając Glocka z dłoni i złapałem psa w ramiona. Przytulilem go

goraco, gladzilem po lbie, po czarnych kudlach, rozkoszujac sie jego dyszeniem, szybkim biciem serca, tluczeniem ogonem, nawet smrodem wilgotnego futra i stechlych platkow zbozowych w oddechu.

Balem sie odezwac. Glos byl zwornikiem wmurowanym w gardlo. Jesli udaloby mi sie go wyrwac, runelaby cala tama, trysnalby belkot straty i tesknoty; poplynelaby powodz wszystkich lez niewylanych po smierci ojca i Angeli Ferryman.

Nie pozwolilem sobie na placz. Wolalem juz, by zeby zalu miazdzyly mnie na suche drzazgi, niz mialbym zostac gabka wyciskana bezustannie jego szponami. Poza tym, gdybym nawet nie bal sie mowic, slowa nie mialy tu znaczenia. Chociaz Orson z pewnoscia byl niezwykleym psem, nie mogl przeprowadzic ze mna oswiecajacej konwersacji - przynajmniej dopoki nie pozbylbym sie na tyle pancerza zdrowego rozsadku, by poprosic Roosevelta Prosta, zeby nauczyl mnie komunikowania sie ze zwierzetami.

Kiedy juz puscilem Orsona, podnioslem glocka i wstalem, chcac rozejrzec sie po parkingu. Mgla ukrywala stojace tam zwykle samochody i terenowki, bedace wlasnoscia garstki jachtmanow mieszkajacych na lodziach. Nikogo nie bylo na widoku i panowala cisza, jesli nie liczyc pracujacego na jalowym biegu silnika radiowozu.

Mozna by sadzic, ze odglos wystrzalu nie rozszedl sie daleko poza wnetrze samochodu i zdusila go mgla. Najblizsze domy znajdowaly sie poza handlowym obszarem basenu jachtowego, dwie przecznice dalej. Gdyby obudzil sie ktos na lodziach, najpewniej uznalby, ze stlumione eksplozje to odglosy silnika samochodowego ze zle ustawionym gaznikiem lub huk drzwi zatraskujacych sie miedzy swiatami snu i jawy.

Nie grozilo mi przylapanie na goracym uczynku, ale nie moglem odjechac na rowerze liczac na to, ze unikne zarzutu i kary. Zabilem szefa policji i chociaz nie byl juz czlowiekiem, ktorego nasze miasteczko znalo i podziwialo, chociaz przekszaltcil sie z sumiennego stroza prawa w osobnika pozbawionego czlowieczestwa, nie moglem udowodnic, ze ten bohater stal sie uosobieniem owej potwornosci, ktorej mial dawac odpor.

Obciazy mnie ekspertyza kryminalistykow. Z powodu tozsamosci ofiary w sprawie zaangazuja sie pierwszorzedni technicy laboratoryjni z wydzialow powiatowych i stanowych policji, a kiedy wezma pod lupe policyjny samochod, nie pomina niczego.

Nie znioslbym nigdy uwiezienia w jakiejs waskiej celi z kagankiem. Chociaz moje zycie bylo ograniczone obecnościa swiatla, zadne mury nie mogly zamknac mnie miedzy zachodem a wschodem slonca. I zadne nie zamkna. Mrok zamknietej przestrzeni jest krancowo rozny od mroku nocy; noc nie ma granic i oferuje niekonczace sie tajemnice, odkrycia, cuda, mozliwosci uciechy. Noc jest flaga wolnosci, pod ktora zyje, i bede zyl wolny lub umre.

Niedobrze mi się robiło na myśl o długim pobycie w radiowozie z trupem, scieraniu wszystkich powierzchni, na których zostawiłem odciski palców. To zresztą byłoby bezcelowe, ponieważ na pewno przeoczyłbym jakieś krytyczne miejsce. Poza tym, niemożliwe, by odciski palców były jedynym dowodem, jaki zostawiłem. Włosy. Nitki z dzinsów. Kilka małych włókien z czapki "Pociąg Tajemnica". Sierść Orsona na tylnej kanapie, ślady pazurów na tapicerce. I niewątpliwie mnóstwo innych śladów równie lub bardziej pograzających. Miałem cholernie szczęście. Nikt nie słyszał strzałów. Ale natura szczęścia i czasu jest taka, że się wyczerpują i chociaż w moim zegarku nie było sprężyny tylko mikroprocesor, przysiągłbym, że słysze, jak tyka.

Orson też był zdenerwowany, nerwowo lapał wiatr, szukając śladu małp lub innego zagrożenia.

Szybko podszedłem do tyłu radiowozu i nacisnąłem przycisk bagażnika. Był zamknięty, tak jak się obawiałem.

TIK-TAK, TIK-TAK.

Wziąłem się w garść i wróciłem do otwartych przednich drzwi. Wziąłem głęboki oddech, zatrzymałem powietrze i pochyliwszy się zajrzałem do wnętrza samochodu. Stevenson siedział wykrzywiony na fotelu, z głową odchyłoną do tyłu, oparta o słupek. Usta miał rozchylone w milczącym wyrazie ekstazy. Żeby zakrwawione, jakby urzeczywistnił swoje sny, gryzł wprowadzone dziewczynki.

Zwabiony słabym przeciągiem płynął ku mnie przez roztrzaskane okno welon mgły, jakby opar powstały z nadal cieplej krwi, która zbrukała mundur zabitego.

Musiałem pochylić się dalej, niż zakładałem. Oparłem kolano na fotelu pasażera, by wyłączyć silnik.

Oczy Stevensona koloru czarnych oliwek były otwarte. Nie świeciło w nich życie ani sztuczne światło, a jednak oczekiwałem, że zamrugają, zrenice porusza się, zweża i wbija we mnie.

Zanim szara klejaca się dłoni, jak sobie wyobrazałem, zdążyła się wyciągnąć i zacisnąć na moim ramieniu, wyrwałem kluczyki ze stacyjki, wycofałem się z samochodu i wreszcie gwałtownie wypuściłem powietrze.

W bagażniku, zgodnie z tym, czego się spodziewałem, znalazłem apteczkę. Wyjąłem grubą rolkę gazy i nożyczki.

Podczas gdy Orson zataczał koło wokół radiowozu, pilnie wietrząc, ja rozwinałem gazę, złożyłem w półtora-metrowe pętle, podwójnie, poczwornie, zanim uciałem je nożyczkami. Skreciłem paski mocno i zrobiłem węzeł na koncu, w środku i na początku.

Powtorzyłem te operacje jeszcze raz i polaczyłem dwa takie warkoczki ostatnim węzłem - uzyskując line długości około trzech metrów.

TIK-TAK, TIK-TAK.

210

211

Zwinałem lont na chodniku, otworzyłem klape z boku karoserii i odkreciłem korek wlewu paliwa. Uniosły się opary benzyny. Wrocilem do bagażnika, odłożyłem nożyczki i resztkę gazy do apteczki. Zamknąłem apteczkę, potem bagażnik.

Parking był nadal pusty. Jedyne słyszalne odgłosy dawały krople spadające z wawrzynu na samochód i nieustanne dreptanie mojego zdenerwowanego psa.

Chociaż oznaczało to kolejną wizytę u trupa Lewisa Stevenson, włożyłem z powrotem kluczyki do stacyjki. Widziałem kilka odcinków najpopularniejszych seriali telewizyjnych i wiedziałem, jak łatwo pomysłowy funkcjonariusz dochodzeniówki może wytropić nawet diabelsko sprytnego kryminalistę. Lub pisarkę kryminalnych bestsellerów, której hobby jest rozwiązywanie zagadek prawdziwych morderstw. Lub stara panna, emerytowana nauczycielka. Wszystko to między podziękowaniami za udostępnienie plenerów i reklamami damskich dezodorantów do higieny intymnej. Zamierzałem zostawić im - zawodowcom i upierdliwym hobbystom - diabelnie mało punktów zaczepienia.

Trup czknał na mnie, gdy balon gazów pozegłował mu z glebi przelyku.

-Malox - poradziłem, bez powodzenia próbując dodać sobie ducha.

Nie dostrzegłem na siedzeniu żadnej z czterech wystrzelonych łusek. Mimo plutonów tajniaków amatorów gotowych do podjęcia skrupulatnych poszukiwań i niezależnie od tego, czy łuski mogły pomóc im zidentyfikować narzędzie mordu, brakowało mi zimnej krwi do przeszukania podłogi, zwłaszcza pod nogami Stevenson. Zresztą nawet gdybym znalazł wszystkie łuski, pozostawał pocisk w jego piersi. Jeśli nie był znacznie zniekształcony, to ową kawałek ołowiu miałby bruzdy odpowiadające specyficznym cechom gwintów mojego pistoletu, ale nawet wizja więzienia nie mogła zmusić mnie do wyjęcia szczyraka i sondowania trupa, aż do odzyskania obciążającego pocisku.

Gdybym był innym człowiekiem, odwaznym na tyle, by przeprowadzić te improwizowane autopsje, i tak bym jej nie zaryzykował. Założywszy, że radykalna zmiana osobowości Stevenson - świeżo nabyty głód przemocy - była tylko jednym symptomem niesamowitej choroby, która nosił w sobie, i że ta choroba mogła się roznieść przez kontakt z zarazoną tkanką lub płynami ciała, to ową rodzaj koszmarnej grzebaniny był poza dyskusją, stąd zresztą uważałem pilnie, by nie mieć żadnego kontaktu z jego krwią.

Kiedy szef opowiadał mi o swoich marzeniach sennych pełnych gwałtów i okaleczeń, niedobrze mi się robiło na myśl, że oddycham tym samym powietrzem, które on wdychał i wydychał. Jednakże wątpiłem, by mikroby przenosił się kropelkowo. Jeśli choroba byłaby tak wysoce zaraźliwa, Moonlight Bay nie siedziałoby w kolejce gorskiej do piekła, jak twierdził Stevenson. Dawno temu dotarłoby do siarczanej czelusci.

TIK-TAK, TIK-TAK.

212

213

Wedle wskaźnika poziomu paliwa bak był prawie pełny. Dobrze. Idealnie. U Angeli gromada nauczyła mnie, jak niszczyć dowody rzeczowe i może nawet ukryć morderstwo. Ogień powinien być tak intensywny, że cztery luski, karoseria samochodu i nawet solidne części podwozia winny splonąć. Z nieswiatej pamięci Lewisa Stevensona pozostała zaledwie zwęglona kości, a miękki ołowiany pocisk praktycznie zniknie.

Oczywiście nie zachowują się żadne moje odciski palców, włosy ani włókna z odzieży.

Drugi pocisk przeszył szyję policjanta i roztrzaskał w drobny mak szybę od strony kierowcy. Leżał gdzieś na parkingu lub, zależnie od szczęścia, zarył się głęboko w pokrytym błyszczącym stoku, ograniczającym z jednej strony parking i sięgającym biegnącym wyżej Embarcadero Road. Znalezienie tam pocisku będzie z gruntu niemożliwe.

Obciążające ślady prochu osmalily mi kurtkę. Powinienem ją zniszczyć. Nie mogłem. Uwielbiałem tę kurtkę. Była super. A dziura po kuli w kieszeni sprawiała, że była jeszcze bardziej super.

-Wypada dać tym starym pannom nauczycielkom jakąś szansę - zamruczałem, gdy zamykałem wszystkie drzwi samochodu.

Krotki śmiech, który mi się wypisał, był tak pozbawiony radości i ponury, że przestraszył mnie niemal w równym stopniu, co możliwość osadzenia w więzieniu.

Wyrzuciłem magazynkę z Glocka, wyjąłem naboje, tak że pozostało ich sześć, z powrotem wcisnąłem magazynkę.

Orson zaskomlał niecierpliwie i wziął do pyska koniec gazowego lontu.

-Tak, tak, tak - powiedziałem, odwróciłem wzrok i natychmiast spojrzałem na niego powtórnie, jak na to zasługiwał.

Pies mógł sięgnąć po lont tylko z ciekawości, jako że psy są ciekawe wszystkiego. "Śmieszny biały zwoj. Jak waz, waz, waz... ale nie waz. Interesujące. Interesujące. Ma

zapach pana Snowa. Moze nadawac sie do zjedzenia. Wszystko moze nadac sie do zjedzenia".

Tylko dlatego, ze Orson podniosl lont i zaskomlal niecierpliwie, nie musialo znaczc, ze rozumial jego zastosowanie lub nature calego mojego pomyslu. Jego zainteresowanie - i niesamowite wyczucie czasu - moglo byc wylacznie przypadkowe.

No. Jasne. Jak wylacznie przypadkowe wybuchy ogni sztucznych z okazji Dnia Niepodleglosci.

Z bijacym sercem, spodziejajac sie, ze lada chwila zostane nakryty, zabralem Orsonowi poskrepany gazowy zwoj i starannie przywiazalem do konca naboja.

Orson przygladal sie pilnie.

-Aprobujesz wezel - spytalem - czy mialbys ochote zrobic sam wlasnego pomyslu?

Wsunalem naboja do baku. Swoim ciezarem pociagnal lont. Wysoce chlonna gaza jak knot natychmiast zaczela nasiakac benzyna.

212

213

Orson biegal nerwowo w kolko. "Szybko, szybko. Predko, szybko. Predko, predko, predko, panie Snow..." Niecale dwa metry gazy zwisaly z baku w dol karoserii i ciagnely sie po chodniku. Postawilem rower oparty wczesniej o wawrzyn, pochylilem sie i zapalilem lont zapalniczka. Chociaz ta czesc nie nasiakla benzyna, plonela szybciej, niz sie spodziejalem.

Zbyt szybko.

Wsiadlem na rower i tak pedalowalem, jakby wszyscy adwokaci piekla i kilka demonow ziemskich siedzialo mi na karku, co pewnie odpowiadalo prawdzie. Orson gnal u mojego boku i razem przecielismy parking, idacy w gore wyjazd, wskoczyliśmy na opuszczona Embarcadero Way, a potem popedzilismy na poludnie, obok restauracji i sklepow z opuszczonymi roletami.

Wybuch nastapil za szybko, solidne LUUUMP, ani w polowie tak glosne, jak sie spodziejalem. Wokol i nawet przede mna rozkwitlo pomaranczowe swiatlo; mgla rozszczepila pierwotny rozblysk wybuchu na znacznym dystansie.

Nie zwazajac na nic nacisnalem manetke hamulca i slizgajac sie zrobilem obrot o sto osiemdziesiat stopni. Zatrzymalem sie, opierajac noge na asfalcie i spojrzalem w tyl. Niewiele dalo sie zobaczyc, zadnych szczegolow; rdzen zoltobialego swiatla otoczony oranzowymi pioropuszami, wszystko zlagodzone gesta, wirujaca mgla. Najgorsze ujrzałem

nie w oddali, ale w glowie: twarz Lewisa Stevensona puszcza banki, dymi sie, ocieka czystym goracym tluszczem jak bekon na patelni.

-Dobry Boze - powiedzialem glosem tak chrapliwym i drzacym, ze sam zdziwilem sie jego brzmieniem.

Jednak nie moglem zrobic niczego innego, jak zapalic lont. Chociaz gliny dowiedza sie, ze Stevenson zostal zabity, dowody tego, jak zostalo to zrobione - i przez kogo - byly teraz usuniete.

Wprawilem lancuch w spiew, prowadzac mojego psa wspolnika z portu przez spiralny labirynt ulic i zaulkow, dalej w mroczne, gleboko ukryte serce Moonlight Bay.

Chociaz glock obciazal mi kieszen, rozpieta kurtka lopotala jak peleryna i uciekalem niewidziany, unikajac obecnie swiatla z nowego powodu, cien przenikajacy plynnie cienie, jakbym byl slawetnym upiorem, uciekajacym przez podziemny labirynt gmachu opery, teraz na kolkach i owladniety mysla sterroryzowania swiata na powierzchni.

To ze potrafilem sie bawic tworzac zaraz po morderstwie tak cklowie romantyczny wizerunek samego siebie, nie swiadczy o mnie dobrze. Na swoja obrone moge tylko powiedziec, ze przetwarzajac te wydarzenia na wielka przygode, ze soba w roli dziarskiej postaci, jedynie rozpaczliwie pragnalem stlumic lek i jeszcze bardziej rozpaczliwie odsunac wspomnienie strzelaniny. Potrzebowalem tez zatrzec pamiec upiornych wizerunkow plonacego ciala, ktore moja rozbuchana wyobraznia przekszaltcila w niekonczaca sie serie niespokojnych duchow, skaczacych z czarnych scian teatru dziwow.

214

W kazdym razie ta watla proba nadania tamtemu wydarzeniu pozoru romantycznej eskapady trwala tylko do chwili, kiedy to znalazlem sie w uliczce za Grand Theater, pol kwartalu na poludnie od Ocean Avenue, gdzie pokryte tlustym brudem swiatla bezpieczenstwa sprawialy, ze mgla wydawala sie brazowa i zanieczyszczona. Tam zsunalem sie z roweru, ktory z brzekiem upadl na ulice, oparlem sie o wielki pojemnik na smieci i zwrocilem niestrawiona resztkę kolacji z Bobbym Hollowayem. Zamordowalem czlowieka.

Bez watpienia ofiara zaslugiwala na smierc. I wczesniej czy pozniej, wykorzystujac nie taka, to inna wymowke, Lewis Stevenson zabilby mnie, niezaleznie od tego, ze jego wspolnicy w zmowie byli sklonni traktowac mnie wyjatkowo. Mozna powiedziec, dzialalem w samoobronie. I ratowalem zycie Orsonowi.

Jednak zabilem czlowieka; nawet te uniewinniajace okolicznosci nie zmienialy moralnej istoty czynu. Przesladowaly mnie puste oczy ofiary, zaczernione smiercia. Usta otwarte w bezglosnym krzyku, zakrwawione zeby. Pamiec chetnie odtwarza obrazy; wspomnienia dzwiekow, smakow i wrazen dotykowych nieco trudniej przywolac, a zakosztowac zapachu,

wywolujac go jedynie z pamieci, jest wrecz niemozliwe. Jednak wczesniej przypomnialem sobie won szamponu mamy, a teraz metaliczny odor swiezej krwi Stevenson'a trzymal sie mnie tak uporczywie, ze wisialem na pojemniku na smieci, jak przy relingu rozkolysanego statku.

Prawde mowiac, wstrzasnelo mna nie tylko, ze zabilem czlowieka, ale ze zniszczylem trupa i dowody rzeczowe skutecznie, szybko i nie tracac nad soba panowania.

Wyraznie mialem zadatki na przestepce. Odnosilem wrazenie, ze czesc mroku, w ktorym zylem przez dwadziescia osiem lat, wsaczyla sie we mnie i skrzepla w poprzednio nieznaney komorze serca.

Oprozniwszy zoladek, ale nie czujac sie przez to lepiej, wsiadlem na rower i prowadzilem Orsona ciagiem bocznych uliczek do stacji Shella Caldecota na rogu San Rafael Avenue i Palm Street. Stacja byla zamknieta. Jedyny blask z wewnatrz padal z wiszacego na scianie zegara rozjasnionego niebieska swietlowka, a na zewnatrz - z automatu z napojami.

Kupilem puszke pepsi, by zmyc kwasny smak w ustach. Otworzylem kran z woda i czekalem, az Orson sie napije.

-Ale z ciebie niesamowicie szczesliwy pies, ze masz takiego opiekunczego pana - kudzilem sam sobie. - Zawsze zadba o twoje pragnienie, twoj glod, twoje kudly.

Zawsze gotow zabic kazdego, kto podniesie na ciebie palec.

Przenikliwe spojrzenie, ktore na mnie skierowal, bylo niepokojace nawet w ciemnosci. Potem polizal mnie po rece.

-Wyrazy wdziecznosci przyjete - oswiadczyłem.

Znow podskoczyl do kranu, skonczyl pic i otrzasnal mokry pysk.

214

-No i skad mama cie wytrzasnela? - spytałem zakrecajac kran. Znow spojrzal mi w oczy.

-Jakie tajemnice ukrywala?

Patrzyl, nawet nie drgnawszy powieka. Znal odpowiedz na moje pytania. Tylko nie mowil.

216

217

27

Podejrzewam, że Bog naprawdę mógł włożyć się w pobliżu św. Bernadetty, grał na gitarze w towarzystwie bandy aniołów lub rozgrywał partie niewidzialnych szachów. Mógł tam być w wymiarze niezbyt dla nas dostępnym, sporządzał szkice nowych wszechświatów, w których takie utrapienia jak nienawisc, rak i grzybica stop sportowców byłyby eliminowane na etapie planowania. Mógł unosić się wysoko nad wypolerowanymi debowymi ławkami, jakby w basenie wypełnionym nie wodą, ale korzennymi kadzidłami i pokornymi modlitwami, w ciszy objął się o kolumny i katy wysokiego sufitu, medytując sennie, czekał, aż potrzebujący parafianie przyjdą do Niego z kłopotami wymagającymi rozwiązania. Jednakże tej nocy byłem pewien, że Bog trzyma się z daleka od plebanii przylegającej do kościoła, na której widok ciarki przechodziły mi po plecach, gdy mijalem ją na rowerze. Architektura dwupiętrowego domu - jak i kościoła - była normandzka, z wystarczającym dodatkiem elementów francuskich, by lepiej pasowała do ciepłego kalifornijskiego klimatu. Zachodzące na siebie dachówki z czarnego lupku, kryjącego stromy dach, były mokre od mgły, grube jak luskowata zbroja na czole smoka, a za czarnymi pustymi ścianami okiennych szyb - i okrągłych okienek po obu stronach drzwi frontowych - rozciągało się pozbawione duszy królestwo. Poprzednio plebania nigdy nie budziła we mnie trwogi i wiedziałem, że teraz przyglądam jej się z niepokojem dlatego, że byłem świadkiem sceny między Jesse Pinnem i ojcem Tomem w piwnicy kościoła.

Minałem plebanie i kościół. Wjechałem na cmentarz, pod deby i między groby.

Noah Joseph Jones, który liczył sobie dziewięćdziesiąt sześć lat od urodzin do śmierci, milczał jak zawsze, gdy go przywitałem i oparłem rower o jego nagrobek.

Odpiałem od pasa telefon komórkowy i wybrałem zastrzeżony numer redaktora prowadzącego program w KBAY. Usłyszałem cztery sygnały, zanim Sasza odebrała, chociaż w studiu nie rozległ się żaden dźwięk; została powiadomiona tylko pulsującym niebieskim światłem na ścianie na wprost mikrofonu. Nacisnęła "hold" i gdy czekałem, słyszałem jej program.

216

217

Orson znow zaczął wietrzyć za wiewiórkami. Strzępy mgły unosiły się między nagrobkami jak duchy. Sasza puszczała parę dwudziestominutowych "paczków", co nie jest reklama wyrobów cukierniczych, ale reklama z gotowym początkiem i końcem, co pozwala wbić w środek jakiś materiał na żywo. Potem miała wstawki o zamierzchłej przeszłości Eltona Johna i puściła "Japanese Hands", wjeżdżając na początek kawalka jedwabistym szeptem. Wyraznie było po festiwalu Chrisa Isaaka.

-Teraz daje całe kawalki, więc masz dobre pięć minut, misiu - powiedziała dopuszczając mnie do głosu.

-Skad wiedzialas, ze to ja?

-Tylko paru ludzi zna ten numer, a wiekszosc z nich spi o tej porze. Poza tym, mam wielka intuicje, jesli chodzi o ciebie. Ledwo zobaczylam swiatelko, koncowki zaczely mnie swedziec.

-Jakie koncowki?

-Moje babskie koncowki. Nie moga sie doczekac, kiedy cie zobacza, balwanku.

-Zobaczenie to bylby dobry poczatek. Sluchaj, kto tam jeszcze dzis pracuje?

-Doogie Sassman. - To byl technik, siedzi za pulpitem.

-Tylko wy sami? - zmartwilem sie.

-Nagle zrobiles sie zazdrosny? Jakie to mile. Ale nie musisz sie przejmowac. Nie dorownuje standardom Doogiego.

Kiedy Doogie nie parkowal w swoim fotelu dowodzacego przy pulpicie w studiu, wiekszosc czasu spedzal oplotlszy poteznymi nogami harleya davidsona. Mial niecale sto osiemdziesiat centymetrow wzrostu i sto piecdziesiat kilo wagi. Jego nieujarzamiona grzywa blond wlosow i naturalnie kedzierzawa broda byly tak geste i jedwabiste, ze az chcialo sie je poglaskac, a kolorowe malunki, ktore zakrywaly doslownie kazdy centymetr kwadratowy jego ramion i torsu, umozliwily oplacenie college'u dziecku niejednego artysty tatuazu. A jednak Sasza nie zartowala, mowiac, ze nie dorownuje standardom Doogiego. W stosunkach z plcia przeciwna okazywal wiecej misiowatego wdzieku niz Kubus Puchatek do dziesiatej potegi. Od czasu, jak go poznalem szesc lat temu, kazda z czterech kobiet, z ktora utrzymal znajomosc, byla na tyle olsniewajaca, ze moglaby odbierac Oskara w dzinsach, flanelowej koszuli, bez makijazu i zacmilaby kazda oszalamiajaca gwiazdke obecna na ceremonii.

Bobby powiada, ze Doogie Sassman sprzedal dusze diablu (na przyklad), jest tajnym wladca wszechswiata, ma genitalia najbardziej zdumiewajaco uksztaltowane w historii tej planety lub wydziela feromony potezniejsze niz ziemskie przyciaganie.

Bylem zadowolony, ze Doogie pracuje tej nocy, poniewaz nie watpilem, ze ma znacznie wiecej krzepy niz inni technicy w KBAY.

-Ale myslalem, ze ktos bedzie tam poza wami - powiedzialem.

218

219

Sasza wiedziala, ze nie jestem zazdrosny o Doogiego i dotarlo do niej, ze jestem przejeity.-
Wiesz, jak musieliśmy zacisnac pasa, od kiedy zamknieto Fort Wyvern i stracilismy nocne
wojskowe audytorium. Ledwo wychodzimy na swoje na tej zmianie, nawet przy minimum
personelu. Co sie dzieje, Chris?

-Zamykacie na klucz drzwi rozglosni, no nie?

-No. My wszyscy, chlopy i babochlopy, zostalismy zobowiazani do obejrzenia kryminalu o
wlamaniu i mielismy wziac go sobie do serca.

-Chociaz bedziesz wychodzic juz o swicie, obiecuj mi, ze Doogie albo ktos z dziennej zmiany
odprowadzi cie do explorera.

-Kto grasuje... Drakula?

-Obiecuj.

-Chris, co do diabla...

-Powiem ci pozniej. Po prostu obiecuj - nie ustepowalem.

Westchnela.

-W porzadku. Ale moze masz jakies klopoty? Moze...

-Nic mi nie jest, Sasza. Naprawde. Nie przejmuj sie. Tylko, do diabla, obiecuj.

-Przeciez obiecalam...

-Nie uzylas tego slowa.

-Jezu. Dobra, dobra. Obiecuje! Klade reke na Biblii i przysiegam. Ale teraz spodziewam sie
fantastycznej historii, przynajmniej tak strasznej jak te, ktore sluchalysmy przy ogniskach
skautowskich. Bedziesz czekal na mnie w domu?

-Bedziesz miala na sobie swuj stary mundurek?

-Jedynie, co moge jeszcze na siebie wcisnac, to podkolanowki.

-To wystarczy.

-Podnieca cie ta wizja, co?

-Szczytuje.

-Jestes niegrzeczny, Snow.

-No, zabojca ze mnie.

-To do zoo, zabojco.

Rozlaczylismy sie i przypialem komorke do paska.

Przez chwile wsluchiwalem sie w milczacy cmentarz. Nie spiewal ani jeden nocny slowik i nawet jerzyki poszly spac. Niewatpliwie robaki czuwaly i trudzily sie, ale one zawsze pracuja w namaszczeniu i godnej szacunku ciszy.

-Potrzebuje porady duchowej - powiedzialem Orsonowi. - Zlozmy wizyte ojcu Tomowi.

Pieszko pokonalem cmentarz i udalem sie na tyly kosciola. Wyjalem glocka. Moglem smialo zalozyc, ze w miasteczku, w ktorым szef policji sni o biciu i torturowaniu malych dziewczynek, a przedsiębiorcy pogrzebowi nosza bron, ksiadz nie bedzie wylacznie uzbrojony w slowo boze.

218

219

Od ulicy plebania wydawala sie ciemna, ale z tylu ujrzałem dwa rozswietlone okna na parterze. Po scenie, ktorej byłem świadkiem w piwnicy, nie zdziwilo mnie, ze proboszcz kosciola sw. Bernadetty nie moze zasnac. Chociaz dochodzila prawie trzecia rano, cztery godziny po wizycie Jessego Pinna, ojciec Tom nadal mial opory przed zgaszeniem swiatla.

-Zachowuj sie jak kot - szepnałem Orsonowi.

Weszliśmy chylkiem po kamiennych stopniach, a potem najciszej, jak sie dalo, po drewnianej podlodze tylnej werandy.

Sprobowalem otworzyc drzwi, ale byly zamkniete. Poprzednio mialem nadzieje, ze sluga bozy da swiactwo swojej wiary ufajac raczej Stworcy niz zasuwie.

Nie zamierzalem pukac do drzwi z tylu ani dzwonic od frontu. Po morderstwie skrupuly przed wlamaniam wydawaly sie glupie. Jednakze mialem nadzieje, ze nie bede musial tluc szyby, bo halas zaalarmowalby ksiedza.

Cztery podnoszone do gory okna wychodzily na werande. Probowalem je po kolei; trzecie bylo niezamkniete. Wsadzilem glocka do kieszeni kurtki, poniewaz drewniana rama byla wilgotna i trudno ja bylo przesuwac we framudze. Potrzebowalem obu rak, by uniesc dolne skrzydlo, naciskajac po obu stronach horyzontalna czesc ramy, a potem zaciskajac palce od spodu. Szla w gore z takim skrzypieniem i piskiem, ze wystarczyloby tych odglosow na caly film Wesa Cravena.

Orson sapnal, jakby naigrywał się z moich umiejętności przestępcy. Krytykować jest zawsze łatwo.

Odczekałem, upewniając się, że hałas nie dotarł na górę, i wślizgnąłem się do pokoju czarnego jak sakiewka wiedźmy.

-Chodź, przyjacielu - szepnąłem, bo nie zamierzałem zostawić go bezbronnego na zewnątrz.

Orson wskoczył do środka i spuściłem okno tak cicho, jak to było możliwe.

Zamknąłem też zasuwkę. Chociaż nie uważałem, byśmy teraz mogli być obserwowani przez gromadę czy kogoś innego, nie zamierzałem nikomu ani niczemu ułatwić wejścia do plebani.

Szybko oświetliłem jadalnię latarką. Dwoje drzwi - jedno po mojej prawej, drugie naprzeciw okien - prowadziło z pokoju.

Wylaczyłem latarkę, wyjąłem Glocka. Uchyliłem bliższe drzwi, po prawej. Kuchnia.

Podświetlone cyfrowe zegary dwóch piekarników i kuchenki mikrofalowej rzuciły tyle światła, że zdołałem przejść przez obrotowe drzwi do holu, nie wpadając na lodówkę lub "wyspę".

Korytarz wiodł obok ciemnych pokoi do holu rozjaśnionego jedynie świeczką. Na trojnoznym przysciennym stoliku był ołtarzyk ku czci Matki Boskiej. Wotywna świeczka w rubinowym szkłe migotała niepewnie, pozostał jej centymetr życia. W tym

220

221

niestałym pulsie światła twarzyczka porcelanowej Maryi miała wyraz raczej smutku niż nieziemskiej łaski. Zdawała się wiedzieć, że stały mieszkaniec plebani był w tych czasach bardziej ofiarą leku niż oredownikami wiary. Z Orsonem u boku wszedłem na pierwsze piętro. Siejący śmierć wir i jego swiata sierścią okryta.

Korytarz wyżej miał kształt litery "L", a schody dochodziły do zbiegu ramion. Na lewo mrok. W końcu korytarza, dokładnie przede mną, z wjazdu strychowego opuszczono składaną drabinę. W kacie strychu musiano zapalić lampę, ale na szczeble drabiny padał tylko upiorny cień.

Silniejsze światło biło z otwartych drzwi po prawej. Bokiem przesunąłem się do progu, ostrożnie zajrzałem do środka i zobaczyłem skromnie urządzone sypialnię ojca Toma. Krucyfik wisiał nad prostym łóżem z ciemnej sosny. Księżka nie było; najwyraźniej wszedł na strych. Kapa została zdjęta, kołdra starannie odwinięta, ale przescieradło wyglądało na

nieruszone.

Palily sie obie nocne lampki, przez co bylo dla mnie zbyt jasno, lecz bardziej interesowal mnie, co jest w glebi pokoju, w ktorym pod sciana stalo biurko. Pod lampa z brazu, przyslonieta zielonym szklanym abazurem lezaly otwarta ksiega i pioro. Pomyslalem, ze ksiega to dziennik lub pamietnik.

Orson zawarczal cicho za moimi plecami.

Odwrocilem sie i zobaczylem, ze stoi u dolu drabiny, wpatrzony podejrziwie w gore, w slabo oswietlony wiaz na strych. Gdy na mnie spojrzal, unioslem palec do ust, delikatnie uciszajac psa i nakazalem mu podejsc do mnie.

Zamiast jak cyrkowy pies wspiac sie po drabinie, on wykonal moje polecenie.

Zreszta, jak na razie, znajdowal upodobanie w stosowaniu sie do nowych wymogow posluszenstwa.

Bylem pewien, ze ojciec Tom narobi wystarczajaco halasu schodzac ze strychu, by zaalarmowac mnie na dlugo przed pojawieniem sie. Jednak postawilem Orsona na strazy przy drzwiach sypialni, skad mial doskonaly widok na drabine.

Odwrocilem twarz od swiatla i obszedlem lozko, zblizajac sie do biurka. Zerknałem do lazienki obok. Nikogo.

Na biurku oprócz dziennika była kara?a, chyba ze szkocka. Obok stała duża szklanka do whisky napelniona wiecej niz w polowie złotym plynem. Ksiadz saczyl trunek, bez lodu. A moze nie tylko saczyl.

Podnioslem dziennik. Pismo bylo geste i przypominalo druk. Poszedlem w najglebsze cienie, bo moje przystosowane do mroku oczy potrzebowaly do czytania malo swiatla i przelecialem wzrokiem ostatni akapit, odnoszacy sie do siostry ksiadza. Urywal sie w pol zdania:

220

221

Kiedy nadejdzie koniec, moge sie nie uratowac. Wiem, ze nie zdolam uratowac Laury, bo juz do glebi nie jest tym, kim byla. Juz przepadla. Pozostalo niewiele poza fizyczna skorupa - a moze nawet to sie zmienilo. Albo Bog w jakis sposob przytulil do swojego lona jej dusze, zostawiajac cialo zamieszkałe przez istote, w ktora sie przemienila - albo ja porzucil. I stad porzucil nas wszystkich. Wierze w litosc Chrystusa. Wierze w litosc Chrystusa. Wierze, poniewaz nie pozostalo mi nic innego. A jesli wierze, to musze zyc wedle mojej wiary i uratowac tych, ktorych moge. Jesli nie moge uratowac siebie, ani nawet Laury, moge

przynajmniej uratować te żalostne stworzenia, które przychodzą do mnie, abym uwolnił je od katuszy i kontroli. Jesse Finn albo ci, którzy mu rozkazują, mogą zabić Laure, ale ona nie jest już Laura, Laura dawno zginęła i nie mogę pozwolić, aby ich groźby powstrzymały moją pracę. Mogą mnie zabić, ale dopóki...

Orson stał czujnie przy otwartych drzwiach, obserwował korytarz.

Odwrociłem pierwszą stronę i ujrzałem, że początkowy wpis miał datę 1 stycznia tego roku:

Dzisiaj mija dziewiąty miesiąc, jak Laura jest przetrzymywana i pozbyłem się wszelkiej nadziei, że jeszcze kiedyś ją ujrzę. A jeśli bym miał kiedyś szansę ujżenia jej, chyba bym odmówił, Boże, wybaczone mi, bo zbyt bym się bał zobaczyć to, czym się stała.

Co wieczór wnoszę błagania do Matki Boskiej, by wstawiła się u swego Syna, żeby skrócił Laurze cierpienia na tym świecie.

Do pełnego zrozumienia sytuacji siostry księdza i warunków, w jakich się znajdowała, musiałbym znaleźć poprzedni tom lub tomy tego dziennika, ale nie miałem czasu na poszukiwania.

Cos głucho stuknęło na strychu. Zamarłem, wpatrzony w sufit, nasłuchiwałem.

Orson postawił jedno ucho. Kiedy minęło pół minuty i nie było słychać żadnych odgłosów, znowu skupiłem się na dzienniku. Mając poczucie, że czas ucieka, kartkowałem zapiski w pośpiechu, czytając na chybił trafił.

Większość dotyczyła teologicznych wątpliwości i duchowych rozterek księdza.

Walczył każdego dnia napominając siebie - przekonując siebie, kazać sobie pamiętać - że wiara podtrzymywała go od dawna i przypadnie, jeśli w chwili załamania nie będzie przy niej trwał. Owe ponure fragmenty mogły być fascynujące jako portret torturowanej osobowości, ale nie wносиły nic konkretnego do interesującej mnie sprawy zmywu w Wyvern, która zatruła Moonlight Bay. W związku z tym przeskakiwałem je.

Znalazłem stronę, a potem jeszcze kilka, na których staranne pismo ojca Toma rozsypany było w nieczytelne bałaganie. Owe fragmenty były niespójne, szalencze i paranoiczne. Uznałem, iż napisał je po tym, jak wlał w siebie tyle whisky, że gdyby mówił - bełkotalby.

222

Jeszcze bardziej niepokojący był wpis z 5 lutego - trzy elegancko wykaligrafowane, obsesyjnie precyzyjnym pismem: Wierze w miłosć Chrystusa. Wierze w miłosć Chrystusa. Wierze w miłosć Chrystusa.

Wierze w litosc Chrystusa. Wierze w litosc Chrystusa...

Te cztery slowa powtarzaly sie wers po wersie, prawie dwiescie razy. Wygladalo na to, ze zadnego nie skreslil w pospiechu; kazde bylo tak elegancko naniesione na strone, ze gumowa pieczatka i poduszeczka z tuszem nie dalyby bardziej zunifikowanych wynikow. Przebiegajac wzrokiem zapis odbieralem rozpaczliwa groze, ktora czul ksiadz.

Jakby sklebione emocje przeniknely papier razem z atramentem i emanowaly na wiecznosc. "Wierze w litosc Chrystusa".

Zastanawialem sie, jakie wydarzenia 5 lutego sprowadzily ojca Toma na krawedz tej uczuciowej i duchowej otchlani. Co zobaczyl? Zastanawialem sie, czy moze napisal to namietne, choc rozpaczliwe zaklecie przezywszy senny koszmar podobny do snow o gwaltach i okaleczeniach, jakie dreczyly - i wreszcie rozkoszowaly - Lewisa Stevensona.

Przekladajac zapiski znalazlem cos interesujacego pod data 11 lutego. Bylo ukryte w dlugim, pelnym meki fragmencie, w ktorym duchowny polemizowal sam ze soba na temat istnienia i natury Boga, odgrywajac zarowno sceptyka, jak i wierzacego.

Przebieglbym wzrokiem dalej, gdyby w oko nie wpadl mi wyraz "gromada":

Ta nowa gromada, ktorej wolnoscii sie oddalem, daje mi nadzieje wlasnie dlatego, ze jest antyteza pierwotnej gromady. Nie ma zla w tych najnowszych stworzeniach, zadnego pragnienia gwaltu, zadnej zlosci...

Krzyk na strychu odwrocil moja uwage od dziennika. Byl to bezslowny krzyk strachu i bolu, tak niesamowity i tak zalosny, ze w mojej glowie lek rozlegl sie jak dzwiek gongu, rownoczesnie z akordem wspolczucia. Ten glos zdawal sie nalezec do dziecka, moze trzy-, czteroletniego; zagubionego, przestraszonego i ogarnietego rozpacza.

Zrobilo to takie wrazenie na Orsonie, ze szybko wybiegl z sypialni na korytarz.

Dziennik ksiedza byl troche za duzy, by zmiescil sie w kieszeni dzinsow. Wsunalem go za pasek z tyłu.

Gdy wyszedlem na korytarz, zobaczylem psa obok drabiny, wpatzonego w spleciony swiatlocien zwisajacy ze strychu. Zwrocil ku mnie wyraziste oczy i wiedzialem, ze gdyby mogl mowic, powiedzialby: "Musimy cos zrobic".

Ten niesamowity pies naprawde jest zagadkowy, nie tylko wykazuje wieksza inteligencje, niz moglby posiadac jakikolwiek przedstawiciel jego gatunku, ale czesto zdaje

które tu opisałem, czasami na wpol poważnie zastanawiałem się, czy reinkarnacja nie jest czymś więcej niż przesadą, bo mogłem wyobrazić sobie Orsona w dawnym życiu jako zaangażowanego nauczyciela, pełnego poświęcenia policjanta lub nawet madra zakonnicę; teraz osoba ta żyje po raz wtóry pod inną postacią w zmniejszonym rozmiarze, z sierścią i ogonem. Oczywiście rozważania tej natury kwalifikowały mnie jako kandydata do nagrody im. Pia Klick za niesłychane osiągnięcia na polu debilnych spekulacji. Jak na ironię prawdziwe pochodzenie Orsona, zgodnie z tym, czego zaczynałem się domyślać, chociaż nie nadnaturalne, mogło okazać się bardziej zdumiewające niż jakikolwiek scenariusz, który Pia Klick i ja ułożylibyśmy w ramach gorączkowej współpracy.

Znowu rozległ się krzyk, co wstrząsnęło Orsonem tak bardzo, że zapiszczał niespokojnie, ale tak cicho, iż nie mogło to być słyszane na strychu. Tamto rozpaczliwe zawołanie teraz jeszcze wyraźniej kojarzyło się z krzykiem małego dziecka.

Po nim rozległ się inny głos, zbyt cichy, aby można rozpoznać słowa. Chociaż byłem przekonany, że to musi być głos ojca Toma, słyszałem go tak niewyraźnie, że nie potrafiłem zdecydować - pociesza czy grozi.

224

225

28

Gdybym ufal swoim odruchom, uciekłbym wtedy od razu z plebanii, popędził prosto do domu, zaparzył dzban herbaty, posmarował placuszki z maki jeczmiennej marmoladą cytrynową, obejrzał na wideo kasete z Jackie Chanem i spędził następne kilka godzin otulony ciepłym szalem, trzymając ciekawość na wodzy. Zamiast to zrobić, dałem znak Orsonowi, by odsunął się na bok i czekał. Duma zabraniała mi się przyznać, że moje poczucie odpowiedzialności jest słabiej rozwinięte niż u psa. Podszedłem do drabiny z Glockiem 9 mm w prawej ręce i skradzionym dziennikiem ojca Toma uwierającym mnie w krzyk.

Jak kruk szalenczo bijący skrzydłami o prety klatki, mroczne wizerunki z chorych snów Lewisa Stevensona przelatowały mi przez głowę. Szef fantazjował o dziewczynkach w wieku wnuczki, ale krzyk, który właśnie słyszałem, pochodził chyba z ust jeszcze młodszego dziecka. Jednakże jeśli proboszcz św. Bernadetty był w szponach tego samego szalenstwa, które dotknęło Stevensona, to mogłem się spodziewać, że nie ograniczy się do ofiar w wieku dziesięciu lat lub więcej.

Blisko szczytu drabiny, z ręką na chwiejnej, składanej poręczy, odwróciłem głowę i zobaczyłem Orsona przyglądającego mi się z korytarza. Zgodnie z poleceniem nie próbował isc za mną. Przez prawie godzinę z całą powagą słuchał mnie, nie komentując żadnego rozkazu nawet jednym sarkastycznym sapnięciem lub wywroceniem oczu. Był to rekord

zyciowy jego powsciagliwosci, poprawiony o cale pol godziny. Wyczyn olimpijskiego wymiaru.

Oczekujac kopniecia w glowe butem nalezacy do wyswieconego ciala, wspinalem sie na strych. Najwyrazniej bylem na tyle niewidzialny, ze udalo mi sie nie zwrocic uwagi ojca Toma; nie czekal na mnie, by wbic mi kosci zatok gleboko w plat czolowy mozgu.

Wlaz lezal na srodku pustej przestrzeni, otoczonej, o ile potrafilem to ocenic, labiryntem kartonowych pudel roznej wielkosc, starymi gratami i innymi przedmiotami, ktorzych nie potrafilem zidentyfikowac - wszystko siegajace prawie dwoch metrow wysokosci. Gola zarowka bezposrednio nad wlazem nie palila sie i jedyne swiatlo padalo z lewej, z poludniowo-wschodniego kata, przy frontowej scianie domu.

224

225

Wszedlem na strych i kuczalem, chociaz moglem stac wyprostowany, gdyz ostry spadzisty dach normandzki zapewniat mnostwo wolnego miejsca pomiedzy moja glowa i krokwiemi. Chociaz nie przejmowalem sie tym, ze moze wpasc twarza w belke dachowa, nadal jednak bylem przekonany, ze ryzykuje uderzenie palka w czaszke, strzal miedzy oczy lub cios sztyletem w serce ze strony oszalalego duchownego i chcialem zachowac tak niepozorna postawe, jak to tylko mozliwe. Gdyby dalo sie pelznac na brzuchu jak waz, w zyciu nie wyprostowalbym sie tak dalece, by lezc w kucki. Wilgotne powietrze pachniato jak sam czas, predestylowany i zabutelkowany. Zaduch starych kartonow, uparta won z grubsza ociosanych krokwi, aromat plesni i lekki smrod jakiegos zdechlego stworzonka, moze ptaka lub myszy, zagniezdzony w nieoswietlonym kacie.

Po lewej stronie wlazu byly dwa wejscia do labiryntu, jedno okolo poltorametrowe, drugie na niecaly metr. Zalozywszy, ze szerszy pasaz byl bezposrednim szlakiem przez zapchany strych i stad uzywanym przez ksiedza do kursowania do wieznia i z powrotem - jesli faktycznie byl jakis wiezien - cicho wslizgnalem sie w wezsze przejście.

Wolalem zaskoczyc ojca Toma, niz zderzyc sie z nim przypadkiem na jakims zakrecie labiryntu.

Po obu stronach wyrastaly pudla, niektore przewiazane szpagatem, inne ozdobione zwojami tasmy samoprzylepnej, ktora odklejona muskala moja twarz jak owadzie czulki. Poruszalem sie powoli, macajac reka, bo cienie byly mylące, a nie chcialem wpasc na cokolwiek i narobic halasu.

Doszedlem do rozgalezienia. Zatrzymalem sie na chwile, natezalem sluch, wstrzymywalem oddech, ale niczego nie slyszalem.

Ostroznie opuscilem pierwszy pasaz, rozgladajac sie na boki nowego korytarza labiryntu,

majacego niecaly metr szerokosci. Swiatlo po lewej, w poludniowo-wschodnim kacie, bylo nieco mocniejsze niz poprzednio. Po prawej zalegal gleboki puszysty mrok, ktory nie chcial odslonic swoich tajemnic nawet moim kochajacym noc oczom i mialem wrazenie, ze wrogi mieszkancie tych ciemnosci jest na wyciagniecie reki; obserwujacy i przyuczajony do skoku.

Zapewniwszy sobie samego, ze wszystkie trolle mieszkaja pod mostami, zlosliwe gnomy w jaskiniach, gremliny pilnuja tylko maszynerii, a czarty - jak to demony - nie osmielilyby sie zamieszkac na stale na plebani, wszedlem do nowego przejścia i skrecilem w lewo, zostawiajac za plecami nieprzenikniona czern.

Natychmiast rozlegl sie pisk, tak przeszywajacy, ze wykrecilem sie na piecie i wycelowalem z pistoletu w czern, przekonany, ze trolle, zlosliwe gnomy, gremliny, czarty, zjawy, zywe trupy i kilku zwariowanych zmutowanych ministrantow rzucaja sie na mnie. Na szczescie nie nacisnalem spustu, bo ta przelotna chwila szalenstwa minela i zdalem sobie sprawe, ze krzyk dolecial z tego samego kierunku, co poprzednio; z oswietlonego obszaru w poludniowo-wschodnim kacie.

226

227

To trzecie zawodzenie, przytlumiajace halas, ktorego narobilem odwracajac sie, by stawic czolo wyimaginowanej hordzie, pochodziło z tego samego zrodla, co poprzednie dwa, ale tu, na strychu, dolatywalo mnie jakos inaczej niz wtedy, kiedy bylem na korytarzu pietra; nie przypominalo juz tak wyraznie glosu cierpiacego dziecka. Co bardziej niepokojace, element szalenstwa stal sie dominujacy, jakby z gardla jednego czlowieka wydobylo sie rownoczesnie kilka roznych dzwiekow muzyki elektronicznej. Zastanowilem sie, czy nie wycofac sie do drabiny, ale zaszedlem juz za daleko, by zawrocic. Byla wciaz szansa, chociaz mala, ze uratuje dziecko bedace w niebezpieczenstwie. Poza tym, gdybym sie wycofal, moj pies dowiedzialby sie, ze dostalem pietra. Byl jednym z trzech moich najblizszych przyjaciol w swiecie, w ktorym licza sie tylko przyjaciele i rodzina, a ze juz nie mialem rodziny, nieslychanie cenilem sobie jego opinie o mnie.

Pudla stojace po lewej stronie ustapily miejsca zlozonym jeden na drugim plecionym fotelom ogrodowym, bezladnej kolekcji lakierowanych koszykow z loziny i trzciny, zniszczonej toaletce z owalnym lustrem, tak brudnym, ze nie odbil sie w nim nawet moj cien, i jakims przedmiotom pod pokrowcami. Potem znowu staly pudla.

Minalem zakret i uslyszalem ojca Toma. Mowil cicho, lagodnie, ale nie moglem zrozumiec slow.

Natrafilem na bariere z pajeczyny. Wzdrygnalem sie, gdy przylgnela mi do twarzy i zlozyla na ustach pocalunek upiora. Lewa reka zdarlem postrzepione nici z policzkow i daszka czapki. Pajeczyna miala gorzkogrzybowy smak; skrzywilem sie i probowalem wypluc ja

bezglosnie.

Poniewaz mialem nadzieje, ze cos odkryje, bylem opetany glosem ksiedza tak nieodparcie, jak szczury melodia fujarki w Hamelin. Caly czas usilowalem zapanowac nad kichaniem, ktore powodowaly zwaly kurzu, cuchnacego taka zgnilizna, jakby pochodził z poprzedniego stulecia.

Po kolejnym zakrecie wszedlem w krotki, waski odcinek pasazu. Jakies dwa metry za nim byla wysoko sklepiona czesc wschodniej strony dachu - frontonu budynku. Krokwie, kotwy, jetki i spod deskowania dachu, do ktorego mocowano dachowki - wszystko to ujawnialo sie w mglistym zolтым swietle bijacym z jakiegos niewidocznego zrodla po prawej. Przekradlem sie do konca pasazu, caly czas dotkliwie swiadomy skrzypienia desek pode mna. Bylo nie glosniejsze niz zwykle odglosy osiadania budynku w tym jego wysokim punkcie, ale moglo mnie zdradzic.

Glos ojca Toma stal sie wyrazniejszy, chociaz docieralo do mnie jedno slowo na kilka.

Rozlegl sie inny glos, cienki i drzacy. Przypominal gaworzenie malenkiego dziecka - a jednak wcale nie bylo to cos tak zwyczajnego. I nie bylo tak melodyjne jak glos dziecka. Ani w polowie tak niewinne. Nie potrafilem zrozumiec, co ten glos mowi, jesli w ogole wypowiedal slowa. Im dluzej sluchalem, tym bardziej niesamowity sie stawal, az zmusil mnie, bym przystanal - chociaz nie osmielilem sie zatrzymac na dlugo.

226

227

Moj pasaz konczyl sie na korytarzu obiegajacym cale wschodnie skrzydlo labiryntu poddasza. Zaryzykowałem; zerknalem w ten dlugi, prosty odcinek. Po lewej byl mrok, ale po prawej miescil sie wschodni rog domu, gdzie spodziewalem sie ujrzec zrodlo swiatla i ksiedza z jego piszczacym wiezniem. Lecz lampa nadal byla niewidoczna na prawo od rogu, za kolejnym zakretem, przy poludniowej scianie.

Ruszylem dwumetrowym obwodowym korytarzem, teraz przykucajac z koniecznosc, gdyz sciana po mojej lewej to byla stromizna dachu. Po prawej mignelo mi mroczne wejście do kolejnego pasazu miedzy stosami pudel i starych mebli - az wreszcie zatrzymalem sie dwa kroki przed zakretem. Teraz od lampy dzielila mnie ostatnia sciana magazynowanych gratow.

Nagle wijacy sie cien zeskoczyl z krokwi i deskowania dachu, tworzacego przede mna sciane; dziko miotajace sie, ostro zarysowane czlonki z kulistym specznieniem w srodku, tak niezemskie, ze zanim zdalem sobie sprawe, co robie, wycelowalem w to cos z glocka, trzymajac go w obu rekach.

Potem zdalem sobie sprawe, ze zjawia przede mna to zniekształcony cien pajaka

dyndającego na pojedynczej jedwabistej nici. Musiał wisieć tak blisko źródła światła, że jego wizerunek zarysował się przede mną w ogromnym powiększeniu.

Jak na bezlitosnego zbrojce byłem zbyt płochliwy. Może za sprawą zawierającej kofeiny pepsi, którą wypilem, by pozbyć się smaku wymiocin z ust. Następnie razem, gdy kogoś zabije i się porzygam, muszę sięgnąć po napój bezkofeinowy i doprawić go Valium, inaczej zepsuje mój wizerunek zimnej, skutecznej maszyny do zabijania.

Byłem już spokojny, jeśli chodzi o pajaka i zdążyłem sobie sprawę, że słysze na tyle wyraźnie księdza, by zrozumieć każde słowo: "- ... boli, tak oczywiście, to bardzo boli. Ale teraz wyciąłem z ciebie transponder, wyciąłem i zniszczyłem, i nie mogą cię dalej śledzić."

Przypomniałem sobie Jessego Pinna, idącego przez nocny cmentarz z dziwnym urządzeniem w ręce, nasłuchującego słabych elektronicznych sygnałów i odczytującego dane na zielonym ekraniku. Najwyraźniej śledził sygnał z usuniętego teraz chirurgicznie radiolokacyjnego urządzenia odzewowego. Czy to była małpa, a jednak niemalpa?

"Naciecie nie jest bardzo głębokie - kontynuował ksiądz. - Transponder miałeś tuż pod podskórną tkanką tłuszczową. Wysterylizowałem i zaszyłem ranę." - Westchnął. -

"Chciałbym wiedzieć, na ile potrafisz mnie zrozumieć." W dzienniku ojciec Tom wspominał o członkach nowej gromady, bardziej przyjaznej i łagodniejszej niż pierwsza. Napisał, że poświęcił się jej uwolnieniu. Czemu ta nowa gromada była w opozycji do starej i czemu miałyby poruszać się swobodnie z transponderami pod skórą, a przede wszystkim, skąd te inteligentniejsze małpy obu gromad się wzięły - tego nie potrafiłem sobie wyobrazić. Ale było jasne, że ksiądz ubrał się w szaty współczesnego abolicjonisty walczącego o prawa uciskanych i że plebania była główną stacją podziemnej kolejki ku wolności.

228

229

Gdy Pinn stanął na drodze ojca Toma w kościelnych podziemiach, musiał sadzić, że ten uciekinier przeszedł już zabieg chirurgiczny i udał się dalej, więc ręczna stacja radiolokacyjna odbierała sygnał z transpondera nie będącego już w ciele stworzenia. Lecz było inaczej, uciekinier dochodził do siebie tu, na strychu. Czerpiąc odwagę ze wspomnienia, jak pokornie ksiądz reagował na zachowanie pracownika zakładu pogrzebowego, pokonałem ostatnie metry wzdłuż ściany pudeł.

Zatrzymałem się plecami do niej, ugiawszy lekko kolana ze względu na pochyłość dachu. Chciałem zobaczyć księdza i stworza, który z nim był, potrzebowałem tylko sklonić się w prawo, obrócić głowę i spojrzeć w obwodowy korytarz, skąd dochodziło światło i głosy.

Wahałem się ujawnić moją obecność tylko dlatego, że pamiętałem bardzo dziwne zapisy w dzienniku; biadolenia i paranoidalne wypowiedzi na granicy bezsensu, dwukrotne powtórzenie "Wierze w łaskę Chrystusa". Być może ojciec Tom nie zawsze był tak uległy jak wobec Jessego Pinna.

Nowy medyczny zapach spirytusu salicylowego, jodyny i antyseptycznego środka ściągającego zwyciężał won pleśni, kurzu i starych kartonów.

Gdzieś w następnym przejściu tłusty pajak windował się do sieci, dalej od światła lampy i powiększony cien szybko przebiegł po skosnym dachu, zmalował do czarnej kropki i wreszcie zniknął. "Mam antybiotyk w zasypce - uspokajał pacjenta ojciec Tom. - Różne odmiany penicyliny w zastrzykach, ale nie mam skutecznego środka przeciwbólowego. Zaluje.

Ale istota tego świata to cierpienie, nieprawdaż? To dolina łez. Wydobrzejesz. Poczujesz się świetnie. Obiecuje. Bog zlecił mi opiekę nad tobą".

To, czy proboszcz św. Bernadetty był świętym, czy zbrodnią, jednym z niewielu mieszkańców Moonlight Bay zdrowych na umyśle, czy zupełnym szalencem, tego nie potrafiłem stwierdzić. Nie miałem dostatecznej ilości przesłanek, nie rozumiałem kontekstu jego czynów. Jednego byłem pewien: jeśli nawet postępował racjonalnie i właściwie, to w głowie miał tyle luznych klepek, że nierozsadne byłoby pozwolić mu trzymać niemowlę podczas chrztu. "Przeszedłem bardzo pobieżne szkolenie - rzekł pacjentowi - bo przez trzy lata po ukończeniu seminarium byłem na misji w Ugandzie".

Wydawało mi się, że słyszę pacjenta; mamrotania, które przypominały mi - ale nie do końca - ciche gruchanie gołębia zmieszane z bardziej gardłowym mručeniem kota. "Jestem pewien, że będziesz miał się dobrze" - kontynuował ojciec Tom. - Ale naprawdę musisz tu zostać kilka dni, żebyśmy mogli podawać ci antybiotyki i doglądać gojenia się rany. Rozumiesz mnie?" - Tonem frustracji i rozpaczki: - "Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?!"

228

229

Kiedy już miałem się sklonić w prawo i zerknąć poza ścianę pudeł, Inny odpowiedział księdzu. "Inny" - tak myślałem o uciekinierze, gdy usłyszałem go z bliskiej odległości, ponieważ nie potrafiłem sobie wyobrazić, że tamten głos należy do dziecka, małpy czy czegoś innego w "Wielkiej księdze rodzaju Pana Boga". Zamarłem. Zaciśnałem palec na spuście.

Z pewnością ów dźwięk przypominał głos małego dziecka, dziewczynki, ale i małpy. Częściowo wydawał się być mieszaniną rozmaitych odgłosów, jakby bardzo twórczy hollywoodzki dźwiękowiec bawił się w tasmotece ludzkich i zwierzęcych głosów, łączył je na stole mikserskim, aż wreszcie stworzył głos dla stworzenia pozaziemskiego.

Co najbardziej poruszało w mowie Innego, to nie zasięg tonalny, nie wzorzec intonacyjny i nawet nie przejęcie i uczucie, które wyrażnie ją kształtowały. Nie, najbardziej poruszyło mnie to, że przekazywała sens. Nie słuchałem belkotliwych zwierzęcych odgłosów. Oczywiście, nie był to angielski i chociaż nie znam innych obcych języków, z pewnością nie był to żaden z nich, gdyż brakowało mu odpowiedniego stopnia komplikacji, aby stać się prawdziwym

językiem. Jednakże docierała do mnie płynna seria egzotycznych dźwięków, z grubsza przypominających słowa, ogromna, ale prymitywna próba języka, z wielogłoskowym słownikiem, znaczącym wyraźnymi rytmami.

Inny rozpaczliwie usiłował się porozumieć. Gdy słuchałem, zaskoczony przylapałem się na tym, że jestem poruszony tęsknotą, samotnością i udręką w jego głosie. Nie wyobraziłem sobie tych emocji. Były tak prawdziwe jak deski pod moimi stopami, stosy pudeł za plecami i głuche uderzenia serca.

Kiedy Inny i ksiądz ucichli, nie potrafiłem wyjrzec za róg. Podejrzewałem, że bez względu na to, jak wyglądał gość księdza, nie przypominał prawdziwej małpy, jak członkowie tamtej pierwszej gromady, która dreczyła Bobby'ego, a która Orson i ja napotkalismy na południowym cyplu zatoki. Jeśli w ogóle przypominałby rezusa, różnice byłyby większe i liczniejsze niż tylko groźne spojrzenie ciemnozoltych małpich ślepi.

Jeśli bałem się tego, co mogłbym ujrzeć, to mój strach nie miał żadnego związku z ewentualną okropnością tego stworzonego w laboratorium Innego. Napiecie tak sciskało mi piers, że nie mogłem zaczerpnąć głębszego oddechu, a gardło miałem tak spuchnięte, że z trudem przelykałem ślinę. Obawiałem się, że napotykając spojrzenie tej istoty, ujrzę w jej oczach moją izolację, moje bolesne pragnienie normalności. Przez dwadzieścia osiem lat z takim powodzeniem zaprzeczałem istnieniu tych odczuć, że byłem szczęśliwy ze swojego losu. Ale moje szczęście, jak każdego innego, jest kruche.

Słyszałem straszliwą tęsknotę w głosie tego stworzenia i czułem, że jest pokrewne tej bolesnej tęsknocie, wokół której lata temu stworzyłem perle obojętności i spokojnej rezygnacji; obawiałem się, że jeśli napotkam spojrzenie oczu Innego, jakiś rezonans między nami strzaska te perle i kolejny raz uczyni mnie bezbronny.

Wstrzasnęły mnie dreszcze.

230

231

To również dlatego nie mogę, nie smiem, nie okaze bólu lub żalu, kiedy życie zrani mnie lub zabierze mi kogoś, kogo kocham. Żal zbyt łatwo prowadzi do rozpacz. Na żyznej glebie żalu kiełkuje i bujnie rośnie litowanie się nad sobą. Nie mogę rozczulać się nad samym sobą, bo wyliczając moje ograniczenia i rozważając je, wykopie sobie dziurę tak głęboką, że nigdy nie uda mi się z niej wyleźć. Muszę mieć w sobie coś z zimnego drania, zyc z nieprzeniknioną muszlą wokół serca, przynajmniej kiedy dochodzi do oplakiwania zmarłych. Potrafię wyrazić swoje uczucie wobec żywych, poświęcić się dla moich przyjaciół, oddać serce nie oglądając się na to, czy mogę zostać wykorzystany. Ale w dniu, w którym umiera mój ojciec, muszę stroić sobie żarty ze śmierci, z krematorium, z życia, z każdego cholerstwa, bo nie mogę zaryzykować - nie zaryzykuje - zejścia od żalu do litowania się nad

soba i wreszcie do jamy wscieklosci, samotnosci i samonienawisci, ktora tworzy swiroswiat. Nie moze zbyt kochac umarlych. Chocbym nie wiem jak rozpaczliwie chcial ich zapamietac i uwielbiac, musze pozwolic odejsc im w zapomnienie - i to szybko. Musze wyrzucic ich z mojego serca, kiedy stygna na lozu smierci. I podobnie, musze zartowac z tego, ze jestem zabojca, bo gdybym zastanawial sie zbyt dlugo i zbyt wnikliwie nad tym, co naprawde znaczy zamordowac czlowieka, nawet takiego potwora jak Lewis Stevenson, z pewnoscia zaczalbym rozwazac, czy nie jestem naprawde swirem, za jakiego uwazaly mnie te wszystkie parszywe dupki w czasach mojego dzieciinstwa, nazywajace mnie Nocnym Robakiem, Wampirkiem, Oslizglym Chrisem. Nie wolno mi zbyt przejmowac sie zmarlymi - zarowno tymi, ktorzy kochalem, jak i tymi, ktorzy nienawidzilem. Nie wolno mi ubolewac, ze jestem sam; nie wolno mi dreczyc sie tym, ze nie moze sie zmienic. Jak nam wszystkim, w tej burzy pomiedzy urodzeniem i smiercia, nie wolno mi niszczyć swiata wielkimi zmianami, lecz naprawiac malymi (mam nadzieje) zycie tych, ktorzy kocham, co oznacza, ze aby zyc, musze dbac nie o to, kim jestem, ale kim moze sie stac, musze dbac nie o przeszlosc, ale o przyszlosc, nie tyle nawet o siebie, co o jasny krag przyjaciol, ktorzy dostarczaja jedyne swiatla, w ktorym rozkwitam.

Drzałem, gdy zastanawiałem się, czy skrecić za róg i stanąć twarzą w twarz z Innym, w ktorego oczach moglbym zobaczyc o wiele za duzo siebie. Tak sciskalem glocka, jakby to byl talizman, nie bron, jakby to byl krucyfiks, ktorym potrafilbym odpedzić wszelka moc zniszczenia. Schylony sprobowalem sie rozejrzec, ale nikogo nie dostrzeglem.

To przejście wzdłuż południowej strony było szersze niż tamto przy wschodniej, miało może dwa i pół metra. Na pokrytej dykta podłodze, wcisnięty pod okap leżał wąski materac, a na nim kłab kocy. Światło biło z lampy osłoniętej mosiężnym stożkowym abazurem, wpiętej do uziemionego przewodu biegnącego wzdłuż belki. Obok materaca stały termos, talerz z plasterkami owoców i kromkami chleba posmarowanymi masłem, wiaderko wody, buteleczki medykamentów i spirytusu salicylowego; dostrzegłem też bandaż, złożony ręcznik i mokra ściereka zbrudzona krwią.

230

231

Ksiądz i jego gość zniknęli, jakby za sprawą czarodziejskiej rozdzki. Chociaż unieruchomiony siłą tęsknoty w głosie Innego, nie mogłem stać w rzedzie pułdłużej niż minuty, może pół minuty, po tym, jak stwor znikł. A jednak nie widac było ani ojca Toma, ani jego gościa.

Panowała cisza. Nie slyszalem krokow. Ani trzasku lub skrzypania drewna, bardziej znaczącego niż zwykle odgłosy osiadania domu.

Spojrzałem nawet na krokwie, na srodek dachu, opanowany niesamowitym przeczuciem, ze tych dwoje, ktorzy znikneli, nauczylszy sie sztuczki od sprytnego pajaka, i podciagnawszy sie w gore pajeczyny, siedza teraz zwinięci w czarne ciasne klebki w gornych cieniach.

Dopoki stałem blisko ściany pudeł po prawej stronie, miałem wystarczająco powietrza nad głową, by nie musieć się zginąć. Ostro biegnące w górę krokwie były nade mną o piętnaście, dwadzieścia centymetrów. Jednak cały czas poruszałem się w postawie obronnej, pochylony.

Lampa dawała łagodne światło, a mosięzny abazur chronił mnie przed nadmiarem blasku, więc podszedłem do materaca, by z bliższej odległości przyjrzeć się przedmiotom obok. Czubkiem buta rozrzuciłem koce; chociaż nie byłem pewien, co spodziewałem się znaleźć, nie znalazłem niczego.

Nie przejmowałem się tym, że ojciec Tom zejdzie na dół i zastanie Orsona. Po pierwsze nie sadziłem, by skończył wszystko, co miał do zrobienia na gorze. Poza tym mój kryminalnie obyty pies błysnie taką znajomością zasad przetrwania w miejskiej dżungli, że ukryje się, aż do czasu gdy ucieczka będzie miała szansę powodzenia.

Jednak nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli ksiądz zszedł na dół, może złożyć drabinę i zamknąć włącznik. Potrafiłbym otworzyć go siłą i spuścić drabinę z góry, ale nie bez takiego hałasu, jakiego narobili szatan i jego wspólnicy wyrzucani z raju.

Zamiast iść do następnego wejścia do labiryntu i ryzykować spotkanie z księdzem oraz Innym na szlaku, który mogli obrócić, wróciłem tą samą drogą, która przyszedłem, napominając się, że należy lekko stapać. Dobrej jakości dykta miała niewiele szpar i przeważnie przykrecano ją, nie przybijano do legarów, więc mimo pośpiechu byłem bezszelestny.

Gdy skreciłem za róg przy końcu rzędu pudeł, z cieni, w których stałem nasłuchując tylko chwile, wyłonił się krepy ojciec Tom. Nie był ubrany do mszy ani do snu. Miał na sobie szary dres i warstwę potu, jakby zwalczał grzech obżarstwa ćwicząc przy wideo.

-Ty!!! - krzyknął z goryczą, gdy mnie rozpoznał, jakbym nie był jedynie Christopherem Snowem, ale diabłem Baalem, i wyszedł z kredowego osmiokąta nakreślonego dłonią magika, nie pytając o pozwolenie ani nie usprawiedliwiony koniecznością wyjścia za potrzebą.

232

233

Łagodny, jowialny i dobroduszny padre, którego znalazłem, najwyraźniej podał się na wakacje do Palm Springs, oddawszy klucze od plebani! złemu bratu bliźniakowi. Pchnął mnie w klatkę piersiową tępym końcem kija baseballowego, na tyle mocno, że zabolalo. Ponieważ nawet Wielki Iksper podlega prawom fizyki, zatoczyłem się, wpadłem pod okap i grzmotnałem ciemieniem o krokwie. Nie zobaczyłem gwiazd, nawet wielkich charakterystycznych aktorów w rodzaju M. Emmeta Walsh'a lub Rip Torna, ale gdyby nie osłona w postaci szopy na głowie a la James Dean, padłbym bez czucia.

Ojciec Tom kolejny raz pchnal mnie w piers mowiac:

-Ty! Ty!

W rzeczy samej, to bylem ja i nigdy nie twierdzilem, ze jest inaczej, wiec nie rozumialem, dlaczego jest tak rozjuszony.

-Ty!!! - wykrzyknal z jeszcze wieksza furia.

Tym razem grzmotnal mnie w brzuch, co zupełnie odebraloby mi oddech, gdybym sie tego nie spodziewal. Tuz przed samym ciosem wciagnalem brzuch i napialem miesnie, a poniewaz pozbylem sie juz nieprzetrawionych kurczakow z tacy Bobby'ego, jedynym skutkiem byl goracy plomien bolu od krocza do mostka, ktory wysmialbym, gdybym pod zwyczajnymi ciuchami nosil moja zbroje ze spandeksu, mundur superbohatera.

Wycelowalem z glocka i zarzezitem groznie, lecz albo byl sluga Pana nie lekajacym sie smierci, albo mial swira. Zlapal kij oburacz, zeby nadac uderzeniom jeszcze wieksza moc, i kolejny raz szturchnal mnie w brzuch, ale tym razem wykrecilem sie i uniknalem ciosu, chociaz nieszczesliwym zbiegiem przypadkow rozczochralem sobie fryzure o nierowno przyciete krokwie.

Bylem zaklopotany walka z ksiedzem. To starcie wydawalo sie raczej absurdalne niz przerazajace. Chociaz bylo na tyle przerazajace, by serce mi walilo i bym sie przejmowal, ze zwroce Bobby'emu obsikane spodnie.

-Ty!!! Ty!!! - wykrzykiwal z coraz wieksza wsciekloscia i wydawal sie jeszcze bardziej zaskoczony, jakby moje pojawienie sie na tym zakurzonym strychu bylo tak nieprawdopodobna bezczelnoscia, ze jego zdumienie roslo z nieustajacym przyspieszeniem.

Zamachnal sie znowu. Nie trafilby mnie tym razem, nawet gdybym nie uchytil sie przed kijem. Przeciez byl ksiedzem, nie zabojca ninja. Poza tym byl w slusznym wieku i mial nadwage.

Kij walnal w jedno z kartonowych pudel z taka sila, ze wybil dziure i zwalil caly stos w puste przejscie. Chociaz zacny ojciec duchowny wykazywal zalosne nieobycie nawet w podstawowych zasadach sztuki walki i brakowalo mu muskulatury poteznego wojownika, nie mozna go bylo jednak obwiniac o brak zaangazowania.

232

233

Nie potrafilem sobie wyobrazic, ze do niego strzelam, ale nie moglem tez pozwolic, by zatlukl mnie na smierc. Cofalem sie w kierunku lampy i materaca, z nadzieja, ze odzyska zdrowy rozsadek. Nic z tego. Nacieral machajac kijem z lewa na prawo, rozczinal ze swistem

powietrze, po czym natychmiast machał z prawa na lewo zawodząc: - Ty!!! - po każdym uderzeniu. Włosy miał w nieładzie i opadły mu na czoło, twarz wykrzywiły w równym stopniu groza i gniew. Rozdęte nozdrza drżały przy każdym gwałtownym oddechu, ślina ciekła z ust przy każdej wybuchowej powtorce zaimka, do którego ograniczało się całe jego słownictwo.

Zapowiadało się, że umrze szybka śmiercią, jeśli będzie czekał, aż ojciec Tom odzyska resztki zdrowego rozsądku. Jeżeli nawet zostało mu go trochę, to nie zamierzał z niego korzystać. Owe resztki spoczywały gdzieś daleko, może w kościele, zamknięte wraz z odłamkiem kości jakiegoś świętego w relikwiarzu na ołtarzu.

Gdy zamachnął się po raz kolejny, sprawdziłem, czy nie dojrze w jego oczach tego zwierzęcego lśnienia, które dostrzegłem u Lewisa Stevensona, ponieważ ów niesamowity błysk usprawiedliwiłby odpowiedź przemocą na przemoc. Znaczyłby, że nie walczę z księdzem czy zwykłym człowiekiem, ale z kims, kto jest już jedną nogą w Strefie Gdzie Wszystko Może Sie Zdarzyć. Ale nic mu nie błyskało. Być może ojciec Tom zaraził się tą samą chorobą, która zniszczyła szefa policji, ale nie posunęła się tak daleko.

Cofając się i nie odrywając wzroku od kija, zahaczyłem nogą o przewód lampy.

Udowadniając, że jestem godną ofiarą starzejącego się, opasłego księdza, padłem jak długi na wznak, wydobywając ciemieniem z podłogi ładny werbelek.

Lampa przewróciła się. Na szczęście nie zgasła ani nie zaświeciła prosto w moje wrażliwe oczy. Wyszarpnąłem nogę ze zwojów przewodu i odjechałem na tyłku w bok, podczas gdy ojciec Tom runął do przodu i walnął kijem w podłogę.

Nie trafił mnie, zbrakło kilkunastu centymetrów do moich nóg, i podkreślił atak znanym już oskarżeniem w drugiej osobie liczby pojedynczej:

-Ty!!!

-Ty! - krzyknąłem nieco histerycznie, odpowiadając mu natychmiast, podczas gdy nadal ślizgałem się na tyłku.

Zastanawiałem się, gdzie podziewają się ci wszyscy ludzie, którzy ponoć mnie czczą.

Chętnie przyjąłbym jakiś drobny hold, ale Stevenson i ojciec Tom Eliot z pewnością nie należeli do Stowarzyszenia Wielbicieli Christophera Snowa.

Chociaż klecha ociekał potem i dyszał, był gotów udowodnić, że ma kondycję.

Zbliżał się przygarbiony, zataczając jak troll uczestniczący w programie "zwolnienie za pracę", któremu zaświtała nadzieja wyrwania się spod mostu, do którego był chwilowo przypisany. Schyliwszy się mógł unieść kij nad głowę, nie walczyć w krokwie.

Niewatpliwie szykował się odegrać Babe Ruth i z braku piłki zamierzał rozbic mi czaszkę, wypuszczając mózg uszami.

234

235

Błyskał oczami czy nie błyskał, zamierzałem bezzwłocznie rozwalić tłustego kurdupla. Nie mogłem posuwać się w tył na siedzeniu tak szybko, jak nacierał na mnie trolłowatym krokiem i chociaż byłem w stanie lekkiej hysterii... no dobra, poważnej hysterii... potrafiłem ocenić szanse na tyle, żeby wiedzieć, iż najbardziej pomyłony bukmacher w Vegas nie postawiłby centa na moje przeżycie. W panice, bombardowany grozą i niebezpiecznym chichotliwym poczuciem absurdu, pomyślałem, że postąpiłbym humanitarnie postrzelivszy go w genitalia, bo i tak złożył ślub czystości. Na szczęście nigdy nie dane mi było sprawdzać się jako strzelec wyborowy, oddający strzał do tak idealnie wybranego celu. Wycelowalem w krocze i zacisnąłem palec na spuszczeniu. Nie było czasu na włączanie celownika laserowego. Zanim zdążyłem posłać pocisk, jakieś monstrum warknęło w przejściu za księdzem i wielki, czarny, warczący drapieżca skoczył mu na plecy. Ksiądz wrzasnął i padł na podłogę upuszczając kij.

Przez chwilę byłem oglupiałym. Inny, tak dalece różniący się od rezusa, atakował ojca Toma, swojego pielęgniarza i obrońcę. Ale oczywiście wielki, czarny, warczący drapieżca to nie był Inny; to był Orson.

Siedząc księdzu na plecach szarpał go za bluzę. Materiał pękł. Orson warczał tak zajadle, że obawiałem się, iż faktycznie pogryzie ojca Toma.

Unosząc się z podłogi, przywołałem psa. Posłuchał mnie od razu, nie czyniąc dalszej krzywdy księdzu i nie będąc wcale tak zadany krwią, jak udawał.

Ksiądz nie próbował się podnieść. Leżał z głową odwróconą na bok, twarz zasłaniały mu rozczochrane, mokre od potu włosy. Ciężko dyszał i lkał, a po którymś tam oddechu powiedział gorzko: "Ty..." Oczywiście wiedział dobrze, co wyprawiało się w Fort Wyvern i Moonlight Bay, by odpowiedzieć na wiele, jeśli nie na wszystkie moje najpilniejsze pytania. Ale nie chciałem z nim rozmawiać. Nie mogłem z nim rozmawiać.

Inny mógł nie opuścić plebani, mógł nadal przebywać w najciemniejszych zakamarkach strychu. Chociaż nie wierzyłem w to, by stanowił poważne zagrożenie dla mnie lub Orsona, zwłaszcza że miałem glocka, nie widziałem go i nie mogłem go zlekceważyć. Nie chciałem nikogo tropić - ani być tropionym - w tej klaustrofobicznej przestrzeni.

Ofcwiście Inny to był tylko pretekst do ucieczki. Tak naprawdę obawiałem się odpowiedzi, których ojciec Tom mógł udzielić na moje pytania. Sądziłem, że pragnę ich wysłuchać, ale najwyraźniej nie byłem jeszcze gotów na pewne prawdy. "Ty!!!" Wypowiedział to jedno słowo z kipiącą nienawiścią, z mrocznym uczuciem, niezwykle jak na sługę bożego, ale i

czlowieka, ktory zawsze jest lagodny i uprzejmy.

Przemienil ten zwyczajny zaimek w oskarzenie i przeklenstwo. "Ty!!!"

234

235

A przeciez nie zrobilem niczego, by zarobic na jego wrogosc. Nie dalem zycia tym zalosnym stworzeniom, ktorych uwolnieniu sie poswiecil. Nie bylem czescia programu w Wyvern, ktory skazil jego siostre i zapewne takze jego samego. Oznaczalo to, ze nie nienawidzi mnie osobiscie, ale z powodu tego, kim bylem. A kim bylem?

Kim, jesli nie synem mojej matki?

Wedlug Roosevelta Prosta - i nawet szefa Stevensona - istnieli naprawde tacy, ktorzy czcili mnie, poniewaz bylem synem mojej matki, chociaz dopiero mialem ich poznac. Z tego samego powodu inni mnie nienawidzili.

Christopher Nicolas Snow, jedyny syn Wisterii Jane (Milbury) Snow, ktora wlasna matka nazwala imieniem kwiatu. Christopher, zrodzony z Wisterii, przyszedl na ten az nazbyt jasny swiat w poczatkach dyskotekowej dekady, w czasie, w ktorym rzadzily obcisle stroje, frywolne gry i zabawy, a kraj z zapalem pozbywal sie wojennego napiecia i najgorszym zagrozeniem byl atomowy holokaust.

Co takiego mogla sprawic moja genialna i kochajaca matka, ze bylem czczony lub nienawidzony?

Rozciagniety na podlodze strychu, wstrzasany emocjami ojciec Tom Eliot znalazl te tajemnice i prawie na pewno odkrylby mi ja, doszedlszy do siebie.

Zamiast postawic pytanie skierowane w centrum wszystkiego, co wydarzylo sie tej nocy, roztrzesiony przeprosilem lkajacego ksiedza.

-Przepraszam. Nie... nie powinienem tu przychodzic. Boze. Sluchaj. Tak mi przykro. Prosze, wybacz mi. Prosze.

Co zrobila moja matka?

Nie pytaj.

Nie pytaj.

Gdyby zaczal odpowiadac na moje niepostawione pytania, zatkalbym uszy rekoma.

Wezwalem Orsona i odcignalem go od ksiedza, w labirynt, tak szybko jak moglem.

Waskie przejścia wily się i rozgaleziały, aż wreszcie odniosłem wrażenie, że nie jestem na strychu, ale w sieci katakumb. Miejscami ciemność była prawie oslepiająca, ale ja jestem dzieckiem ciemności, nigdy mi nie przeszkadza. Przeprowadziłem nas szybko do wjazdu.

Chociaż Orson poprzednio wspinał się po drabinie, teraz zerknął w dół z drzeniem i zawahał się. Nawet dla czworonożnego akrobata schodzenie po stromej drabinie było trudniejsze niż wchodzenie.

Ponieważ wiele pudeł na strychu miało spore rozmiary i ponieważ przechowywano tam ciężkie meble, wiedziałem, że musi być drugi wjazd, na pewno większy niż pierwszy, z windy na wielokrotnych do unoszenia i opuszczania ciężkich przedmiotów. Nie chciałem go szukać, ale nie byłem też pewien, jak zejść bezpiecznie po tej drabinie, dzwigając psa wazacego czterdziestu pięć kilogramów.

236

-Christopherze! - zawołał z dalekiej głębi pomieszczenia ksiądz, głosem pełnym skruchy. - Christopherze, jestem zagubiony. Nie chciał powiedzieć, że zgubił się w zakamarkach własnego strychu. Nic tak prostego, nic tak rokującego nadzieje.

-Christopherze, jestem zagubiony. Przebacz mi. Jestem tak zagubiony.

Z innego mrocznego miejsca dobiegł głos dziecka-malpy-nie-z-tego-swiata, należący do Innego; przebijał się ku mowie, rozpaczliwie próbował nawiązać kontakt, pełen tęsknoty i samotności, ponury jak łódź Arktyki, ale co gorsza, pełen nierozważnej nadziei, skazanej na wieczne niespełnienie.

Ten błagalny bek okazał się tak nie do zniesienia, że zmusił Orsona do zejścia i być może dał mu niezbędne poczucie równowagi. Gdy pies doszedł do połowy drabiny, zeskoczył na podłogę.

Dziennik księdza prawie wyslizgnął mi się zza paska dzinsów i wpadł w ślipy. Gdy schodziłem po drabinie, otarł mi boleśnie krzyż. Znalazłem się na dole i wyrwałem go z ukrycia lewą ręką, nadal dzierżąc mocno Glocka w spoczonej prawicy.

Pokonalismy biegiem plebanie, mijając ołtarzyk ku czci Matki Boskiej. Przeciąg zdmuchnął dogasającą świeczkę. Minelismy dolny hol, kuchnię, w której były trzy zielone cyfrowe zegary, pokonalismy tylne drzwi, werandę i wpadliśmy w mgłę, jak uciekinierzy z domu Usherów chwilę przedtem, zanim zapadł się i osunął w głęboki górski staw.

Przeszliśmy na tyły kościoła. Jego wspaniała bryła tworzyła kamienna tsunami, której spiętrzony cień zdawał się nas miażdżyć. Obejrzałem się dwa razy. Ksiądz nie było za nami. Ani nikogo innego.

Chociaż zakładałem, że rower przypadnie lub będzie zniszczony, stał oparty o nagrobek, jak

go zostawilem. Zadnych malpich wyglupow.

Nie zatrzymalem sie rzucic slowo Noahowi Josephowi Jamesowi. W swiecie rownie popieprzonym jak nasz, dziewiecdziesiecioszescioletni zywot juz nie wydawal sie tak wart pozadania, jak zaledwie kilka godzin temu.

Wsadzilem pistolet do kieszeni, dziennik pod koszule i biegiem poprowadzilem rower wzdluz grobow, wskakujac po drodze na siodelko. Wyskoczyłem z chodnika na ulice i pochyliłem się nad kierownicą pedałując jak szalony. Niczym swider przebijałem mgłę, na chwile zostawiając za sobą tunel.

Orson nie interesował się zapachami wiewiórek. Jak ja palił się, by jak najdalej zostawić za sobą św. Bernadette.

Minelismy kilka przecznic, zanim zdałem sobie sprawę, że ucieczka nie jest możliwa. Nieunikniony świt skazywał mnie na obszar Moonlight Bay i szalenstwo plebani św.

Bernadetty będzie czaiło się w każdym zakatku miasta.

Co więcej, próbowałem uciec przed zagrożeniem, przed którym ucieczka nigdy nie była możliwa, nawet na najdalsze wyspy czy najwyższe szczyty świata. Gdziekolwiek

236

bym się udał, będę dzwigał ze sobą to, czego się lekalem: potrzebę dowiedzenia się. Nie bałem się jedynie ewentualnych odpowiedzi. Bałem się czegoś głębszego - samych pytań, ponieważ ich natura, bez względu na to, czy usłyszałbym odpowiedzi, czy nie, zmieniałaby na zawsze moje życie.

238

239

29

Z ławki w parku przy rogu Palm Street i Grace Drive, Orson i ja przyglądaliśmy się rzeźbie stalowego bulata, wspartego na parze spadających kosi do gry, wyrzeźbionej z białego marmuru, opartej na idealnie wypolerowanej podobiznie Ziemi z marmuru niebieskiego, spoczywającej z kolei na pokaznym pagorku z brązu, wykutym tak przemysłnie, że przypominał psie gowienko. To dzieło sztuki stało od trzech lat w środku parku, w centrum łagodnie ciurkającej fontanny. Siadywaaliśmy tak przez wiele nocy, rozważając sens tej kreacji, zaintrygowani, zbudowani i prowokowani - ale nieszczególnie oświeceni.

Początkowo sędzieliśmy, że znaczenie jest proste. Bulat przedstawia wojnę lub śmierć. Obracające się kosi wyobrazają los. Niebieska marmurowa kula to Ziemia, symbol

naszego życia. Wszystko razem określała nasza ludzka kondycja: żyjemy lub umieramy wedle kaprysu losu, naszym istnieniem na tym świecie rządzi obojętny przypadek. Psie odchody u dołu są minimalistycznym powtórzeniem głównego tematu: życie to gówno.

Wiele uczonych analiz potwierdziło pierwszą. Na przykład bulat wcale nie musiał być bulatem: to mógł być księżyc w nowiu. Domniemane kości do gry byłyby kostkami cukru. Niebieska kula nie byłaby naszą życiodajną planetą - jedynie kula do kregli. Te różne formy można było interpretować na nieskończenie wiele sposobów, chociaż nie dało się zobaczyć w brązowym odlewie niczego poza psim gównem.

Arcydzielo jako Ksiezyca, kostki cukru i kula do kregli moze byc ostrzezeniem, ze nasze najwyzsze aspiracje (dosiegnac Ksiezyca) nie spelnia sie, jesli bedziemy dreczyc nasze ciala i niepokoic umysly spozywajac zbyt wiele slodyczy lub jesli doprowadzimy do postrzalu w krzyzu, zbyt natezajac sie przy kreglach, rozpaczliwie usilujac osiagnac dobry wynik. Stad tez psie gowienko ujawnia nam krancowe konsekwencje zlej diety polaczonej z maniackim podejsciem do kregli: zycie to gówno.

Cztery lawki stoja przy szerokim chodniku okrazajacym fontanne, w ktorej miesci sie rzezb. Obejrzalismy dzieło z kazdej perspektywy.

Lampy w parku sa sterowane automatycznie i wszystkie gasna o polnocy, by zaoszczedzic funduszy publicznych. Rowniez fontanna przestaje szemrac. Lagodny plusk

238

239

sprzyja medytacji, wiec wolelibysmy, by woda tryskala cala noc, natomiast gdybym nawet nie byl XP-erem, przyklasnelibysmy wygaszaniu lamp. Skromne oswietlenie jest nie tylko wystarczajace, ale idealne do kontemplowania rzezby, a dobra gesta mgla nieslychanie sprzyja wysokiej ocenie wizji artysty. Zanim wzniesiono ten monument, przez ponad sto lat w srodku fontanny stala na cokole prosta rzezb z brazu Junipero Serra. Byl to hiszpanski misjonarz wsrod Indian kalifornijskich dwa i pol wieku temu; czlowiek, ktory stworzyl siec misji - obecnie znaki orientacyjne w krajobrazie, zabytki i magnes dla turystow lubiacych historie.

Rodzice Bobby'ego i grupa podobnie myslacych obywateli zorganizowali komitet starajacy sie o usuniecie pomnika Junipero Serra, jako ze upamietnianie wybitnej postaci religijnej nie nalezy do zadan parku stworzonego i oplacanego z pieniedzy publicznych. Rozdziel Kosciola od panstwa, konstytucja Stanow Zjednoczonych, powiadali, okresla to wyraznie.

Wisteria Jane (Milbury) Snow - "Wissy" dla przyjaciol, "mama" dla mnie - mimo ze naukowiec i racjonalistka, przewodzila opozycyjnemu komitetowi, ktory pragnal zachowac pomnik. "Kiedy spoleczenstwo zaciera swoja przeszlosc, obojetnie z jakiego powodu - powiedziala - nie ma przyszlosci".

Mama przegrala spor. Starzy Bobby'ego wygrali.

W wieczor, w ktory zapadla decyzja, spotkalismy sie z Bobbym w najpowazniejszych okolicznosciach naszej dlugiej przyjazni, by zdecydowac, czy honor rodzinny i swiete obowiazki wiezow krwi nakazuja nam prowadzic zazarta nieustepliwa wendete - na modle legendarnych Hatfieldow i McCoyow - az najdalszy kuzyn pojdzie spac z robakami i jeden z nas spocznie martwy. Po wypiciu wystarczajacej ilosci piwa, by przejasnialo nam w glowach, uznalismy, ze nie da sie ciagnac uczciwej wendety i nadal znajduwac czas na ujezdzenie blyszczacych grzmiacych monolitow, ktore zacne morze zsyla na brzeg. Nie

wspominając już o czasie trawionym na mordereństwa i rzezie, który można spędzić flirtując z dziewczynami w pasieczkach aspirujących do miana bikini.

Teraz znalazłem numer Bobby'ego i wcisnąłem klawisz wybierania. Zwiększyłem trochę głośność, by Orson mógł słuchać rozmowy. Gdy zdałem sobie sprawę, co zrobiłem, zrozumiałem, że podświadomie uznałem za fakt najbardziej fantastyczną możliwość programu Wyvern - choć nadal udawałem, że mam wątpliwości.

Bobby odpowiedział po drugim dzwonku:

-Splywaj.

-Spales?

-No.

-Siedzę w parku "Życie Jest Gównem".

-Co mnie to obchodzi?

240

241

-Od kiedy się widzieliśmy, wydarzyły się naprawdę niedobre rzeczy.-To salsa z tymi kurczakowymi taco - powiedział.

-Nie mogę o tym mówić przez telefon.

-Dobrze.

-Martwie się o ciebie.

-Słodki jesteś.

-Jestes w prawdziwym niebezpieczeństwie, Bobby.

-Przysięgam, że spuściłem po sobie wodę, mamusiu.

Orson sapnął rozbawiony. Niech mnie diabli porwa, jeśli tego nie zrobił.

-Obudziles się już? - spytałem Bobby'ego.

-Nie.

-Przede wszystkim nie wydaje mi się, że byś spał.

Milczal. Wreszcie powiedział:

-No dobra, był niemożliwy horror przez całą noc, od kiedy wyszedłeś. - "Planeta małp"? - próbowałem zgadnąć.

-Na pełnym ekranie. Trzystaszeszcziesiątstopniowym.

-Co robiły?

-No, wiesz, zwykle małpie sztuczki.

-Nic groźniejszego?

-Myśla, że są miłe. W tej chwili jedna z nich siedzi w oknie i wypina na mnie dupę.

-No, ale ty zacząłeś pierwszy?

-Mam wrażenie, że próbują mnie zrytmować i znów wyciągnąć na dwór.

-Nie wychodź - powiedziałem zaniepokojony.

-Nie jestem kretynem - rzekł kwasno.

-Przepraszam.

-Jestem dupkiem.

-To się zgadza.

-Jest zasadnicza różnica między kretynem a dupkiem.

-Mam jasność w tej sprawie.

-Niesamowite.

-Masz te dubeltówkę?

-Jezu, Snow, przecież powiedziałem, że nie jestem kretynem. Teraz są na dachu.

-Co robią?

-Nie wiem. - Przerwał, słuchał. - Przynajmniej dwie. Biegają w te i we w te.

Może szukają wejścia.

Orson zeskoczył z ławki i stał napięty, z jednym uchem wyciągniętym jakby w stronę telefonu. Robił wrażenie zdenerwowanego. Chyba był gotów częściowo zrezygnować z

psiego image'u, jeśli nie wyprowadziłoby mnie to z równowagi.

240

241

-A jest jakieś wejście przez dach? - spytałem Bobby'ego.-Przewody wentylacyjne łazienki i kuchni są za wąskie dla tych drani.

Co zadziwiające, biorąc pod uwagę wszystkie inne udogodnienia, domek nie miał kominka. Najwidoczniej Corky Collins - uprzednio Toshiro Tagawa - zrezygnował z kominka, bo ten w przeciwieństwie do sauny, nie jest idealnym miejscem, do którego można wejść z parą nagich plazowiczek. Dzięki prostoduszności jego chuci nie było kominka, którym małpy mogłyby swobodnie dostać się do środka.

-Mam jeszcze przed świtem do odwalenia trochę roboty w stylu Nancy - powiedziałem.

-Jakie efekty? - spytał Bobby.

-Jestem w tym niesamowicie dobry. Od rana będę siedział u Saszy i jutro wieczorem wpadniemy do ciebie.

-Chcesz powiedzieć, że znowu będę musiał robić obiad?

-Przyniesiemy pizzę. Słuchaj, coś mi się wydaje, że pojedziemy do pierdła, w każdym razie jeden z nas. I jedyny sposób, by temu zapobiec, to trzymać się razem. Lepiej wyspij się za dnia, ile możesz. Jutro może być niewąsko paskudnie tam na cyplu.

-Wiec znalazłeś na tamto jakiś sposób?

-Na tamto nie ma sposobu.

-Nie cwierkasz radośnie jak Nancy Drew.

Nie zamierzałem go okłamywać, nie bardziej niż Orsona czy Sasze.

-Nie ma rozwiązania. Nie da się tego zakopac do ziemi ani wysadzić w powietrze.

To co się tu wyprawia... musimy z tym żyć aż do końca. Ale może znajdziemy sposób, żeby dosiąść tej fali, chociaż jest wielka jak skala, a ciarki chodzą po plecach.

Po chwili ciszy Bobby spytał:

-Co jest grane, bratku?

-Nie powiedziałem tego?

-Nie wszystko.

-Slyszales juz, czesc nie nadaje sie na telefon.

-Nie mowie o szczegolach. Mowie o tobie.

Orson polozyl mi leb na podolku, jakby uwazal, ze znajde pocieszenie gladzac go i drapiac za uszami. Po prawdzie, zadzialalo. Zawsze dzialalo. Dobry pies jest lepszym lekarstwem na melancholie i stres niz valium.

-Dzialasz superowo - powiedzial Bobby. - Ale z toba nie jest super.

-Bobby Freud, wnuk z nieprawego loza wielkiego Zygmunta.

-Spocznij na mojej kanapce.

Gladzac Orsona, by uspokoic nerwy, westchnalem i powiedzialem:

-No coz, to chyba sprowadza sie do tego, ze moze mama zniszczyla swiat.

-Powazna sprawa.

242

243

-No, chyba tak.-Te jej naukowe sprawy?

-Genetyka.

-Pamietasz, jak cie ostrzegalem, zebys nie zostawial znaku.

-Mysle, ze to cos gorszego. Mysle, ze na poczatku probowala znalezc sposob, zeby mi pomoc.

-Koniec swiata, co?

-Koniec znanego nam swiata - powiedzialem, przypominajac sobie okreslenie Roosevelta Prosta.

-Matka Beavera, Szalejacego Tasaka, nigdy nie wyszla poza upieczenie ciasta.

Rozesmialem sie.

-Co ja bym bez ciebie poczal, bratku?

-Zrobilem dla ciebie tylko jedna rzecz.

-Niby co?

-Nauczylem cie rozrozniac.

Skinalem glowa.

-Co wazne, a co nie.

-Wikszosc nie - przypomniał mi.

-Nawet to?

-Kochaj sie z Sasza. Przespij sie solidnie. Jutro wieczorem zjemy czadowa kolacje. Dokopiemy jakiejs malpie do dupy. Dosiadziemy jakichs historycznych fal. Za tydzien w twoim sercu twoja mama znow bedzie twoja mama... jesli zechcesz, zeby nadal tak bylo.

-Moze - rzeklem z powatpiewaniem.

-Postawa, bratku. To wszystko.

-Popracuje nad nia.

-Tylko jedna rzecz mnie zaskakuje.

-Co?

-Twoja mama musiala byc naprawde wkurzona, ze przegrala sprawe o zachowanie tamtego posagu w parku.

Bobby rozlaczyl sie. Wylaczylem telefon.

Czy to naprawde madra strategia zyciowa? Upieranie sie, ze nie nalezy brac powaznie wiekszosci tego, co dzieje sie wokol nas? Uwazac zycie za kosmiczny zart. Trzymac sie tylko czterech zasad; po pierwsze, wyrzadzac innym jak najmniej krzywdy; po drugie, byc zawsze pod reka dla swoich przyjaciol; po trzecie, polegac na sobie i nie prosic o nic innych; po czwarte, cieszc sie wszystkim, czym sie da. Brac pod uwage tylko opinie najblizszych. Zapomniec o zostawianiu po sobie znaku. Ignorowac wielkie problemy swoich czasow i przez to poprawic sobie trawienie. Nie nurzac sie w przeszlosci.

242

243

Nie martwic sie o przyszlosc. Zyc chwila. Zaufac celowosci swojej egzystencji i pozwolic, by sens przyszedl do ciebie, a nie usilnie go odkrywac. Kiedy zycie zwala cie z nog, pasc pod ciosem - ale pasc ze smiechem. Lap fale, gogusiu. Tak oto zyje Bobby i jest najszczesliwsza

i najbardziej zrownowazona osoba, jaka kiedykolwiek poznałem.

Usiłuje żyć jak Bobby Halloway, ale nie odnosi takich sukcesów jak on. Czasami miotam się, gdy powinienem fruwać. Za dużo czasu zajmuje mi przewidywanie, a za mało przeżywanie niespodzianek, które niesie życie. Może starając się żyć jak Bobby, za słabo się przykładam. A może za bardzo.

Orson podszedł do fontanny. Hałasliwie chleptał wodę, wyraźnie rozkoszując się jej smakiem i chłodem.

Przypomniałem sobie tamtą lipcową noc w naszym ogrodzie, kiedy to pies wpatrywał się w gwiazdy i popadł w najczarniejszą rozpacz. Nie potrafię określić, o ile Orson jest inteligentniejszy od przeciętnego psa. Jednakże program Wyvern w jakiś sposób rozwinał jego inteligencję, dlatego rozumie dużo więcej, niż zaplanowała natura. Tamtej lipcowej nocy pojął swój rewolucyjny potencjał, a równocześnie - być może po raz pierwszy - straszliwe ograniczenia spowodowane cielesną powłoką i pograżył się w otchłani zniechęcenia. Być inteligentnym, ale bez finezyjnie skonstruowanej krtani i innych cielesnych urządzeń, które sprawiają, że mowa jest możliwa, być inteligentnym, ale bez rąk, by pisać lub tworzyć narzędzia, być inteligentnym, ale w potrzasku postaci, która na zawsze uniemożliwi pełne wyrażenie twojej inteligencji - znaczy to samo, co urodzić się głuchym, niemym i pozbawionym kończyn.

Teraz przyglądałem się Orsonowi ze zdumieniem, z czułością, jakiej poprzednio nie wzbudził we mnie nikt. Na nowo doceniałem jego odwagę.

Odwrocił się od fontanny; szeroko uśmiechnięty, oblizywał się z rozkosza. Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, pomachał ogonem, szczęśliwy, iż zwrócił moją uwagę, lub po prostu z radości, że jest ze mną w tej dziwnej nocy.

Na miłość boską, mimo wszystkich swoich ograniczeń i wszelkich istotnych powodów, mogących skazać go na osobistą udrękę, mój pies lepiej odgrywał Bobby'ego Hallowaya niż ja.

Czy życiowa strategia Bobby'ego jest mądra? A Orsona? Mam nadzieję, że któregoś dnia dojrzyje na tyle, że będzie żył według ich filozofii.

Podnosząc się z ławki, wskazałem na rzeźbę.

-To nie bulat. Nie księżyc. To uśmiech niewidzialnego Kota z Cheshire z "Alicji w krainie czarów".

Orson odwrócił się i zmierzył wzrokiem arcydzieło. Żadne kości. Żadne kostki cukru - ciagnałem. - To ciasteczka, od których się maleje lub rośnie, a które Alicja zjadła w opowieści.

Orson rozważał to z zainteresowaniem. Kiedyś oglądał kasety z filmem Disney'a, nakreconym na podstawie tej klasycznej opowiadki. - Zaden symbol Ziemi. Żadna niebieska kula do kregli. Wielkie niebieskie oko. Jak się to złoży do kupy, co mamy? Orson patrzył na mnie, źródło swojego oświecenia.

- Uśmiech z Cheshire, to artysta śmiejący się z łatwowiernych ludzi, którzy mu tak dobrze zapłacili. Para ciasteczek to narkotyki, które wziął, projektując ów złom.

Niebieskie oko to jego oko, a drugiego nie widac, bo nim mruga. Wzgórek z brązu u dołu, to oczywiście psia kupa, co w zamierzeniu ma być zgryźliwym komentarzem na temat tej pracy... ponieważ, jak wszyscy wiedzą, psy są najbardziej dociekliwymi krytykami.

Jeśli energia, z którą Orson machał ogonem, była rzetelnym wskaźnikiem, moja interpretacja niezmiernie przypadła mu do gustu.

Obiegł całą fontannę, przyglądając się rzeźbie ze wszystkich stron.

Być może nie urodziłem się po to, by pisać o moim życiu, poszukując jakiegoś uniwersalnego sensu, który innym pomógłby lepiej zrozumieć ich życie - bo tak w napadach egomanii wyobrażam sobie swoją misję. Zamiast usiłować pozostawić choćby najdrobniejszy znak na ziemi, może powinienem się zastanowić, czy jedyną przyczyną, dla której przyszedłem na świat, to nie zabawianie Orsona, nie bycie jego panem, ale kochającym bratem, pragnącym uczynić jego dziwne i trudne życie tak prostym, tak pełnym rozkoszy i tak oplacalnym, jak to tylko możliwe. Byłby to cel dorównujący większości innych i przebijający część pozostałych.

Ucieszony machaniem Orsonowego ogona, tak samo jak on zdawał się ucieszony moim żartem na temat rzeźby, spojrzałem na zegarek. Do świtu pozostały niecałe dwie godziny. Były dwa miejsca, do których chciałem się udać, zanim słońce zagna mnie w ukrycie. Pierwsze to Fort Wyvern.

Z parku przy Palm Street i Grace Drive w południowo-wschodniej części Moonlight Bay wyprawa do Fort Wyvern zabiera niecałe dziesięć minut rowerem, nawet przy prędkości, która nie znuży twojego psiego brata. Znam skrot przez przepust burzowy, biegnący pod drogą nr 1. Za przepustem jest otwarty, szeroki na trzy metry trzydziści kanal odwadniający, który sięga głęboko na tereny bazy wojskowej. Granice bazy wyznacza druciana siatka zwieńczona drutem kolczastym.

Wszędzie wzdłuż ogrodzenia i na terenach Fortu Wyvern są wielkie czerwono-czarne znaki ostrzegające, że intruzi będą karani zgodnie z prawem federalnym i kara minimalna to grzywna od dziesięciu tysięcy dolarów w górę i co najmniej rok więzienia. Zawsze

ignorowałem owe grozby, przede wszystkim dlatego, że z powodu mojej choroby żaden sędzia nie skaze mnie na więzienie za to drobne przestępstwo. A jeśli by już do tego doszło, stać mnie na dziesięć tysięcy zielonych.

244

245

Pewnej nocy półtora roku temu, krótko po oficjalnym zamknięciu Wyvernu, szczypcami przegubowymi do pretów rozciąłem drucianą siatkę w miejscu, w którym schodziła do kanału. Możliwość spenetrowania tego rozległego nowego królestwa była zbyt nędzna, aby jej się oprzeć. Jeśli moje podniecenie wydaje ci się dziwne - biorąc pod uwagę, że w owym czasie nie byłem chłopcem lubiącym ryzyko, ale dwudziestosześcioletnim mężczyzną - to pewnie jesteś kimś, kto jeśli zapragnie, może wsiąść w samolot do Londynu, dla kaprysu pojeździć do Puerto Vallarta lub pojechać Orient Expressem z Paryża do Istanbulu.

Zapewne masz prawo jazdy i samochód. Zapewne nie spędziłeś całego życia w obrębie miasteczka z dwunastoma tysiącami mieszkańców, pokonując go nieprzerwanie nocą, aż poznales każdego zakątek, tak szczegółowo jak własną sypialnię, i stąd też prawdopodobnie nie masz małego szmergla na punkcie nowych miejsc, nowych przeżyć. Więc oszczędź mi tego chrzanięcia.

Fort Wyvern zawdzięcza swoje imię generałowi Harrisonowi Blairowi Wyvernowi, wielokrotnie odznaczonemu bohaterowi I wojny światowej i został utworzony w 1939 r. jako ośrodek szkolenia oraz wsparcia. Zajmuje 134 ha, co oznacza, że nie jest największa ani bynajmniej nie najmniejsza baza wojskowa w stanie Kalifornia.

Podczas II wojny światowej był szkołą jednostek pancernych, ucząc działania i obsługi każdego pojazdu gąsienicowego używanego na polach bitew teatrów Europy i Azji. Inne szkoły w Wyvernie zapewniały pierwszorzędna naukę wysadzania i pozbywania się ładunków bombowych, sabotażu, artylerii polowej, obsługi medycznej w warunkach polowych, działania zandarmierii, szyfrowania, jak i szkolenia podstawowego dla dziesiątków tysięcy żołnierzy piechoty. W granicach bazy były strzelnice artyleryjskie, szeroka sieć bunkrów służących jako magazyny amunicji, lotnisko i więcej budynków niż obejmował obszar miejski Moonlight Bay.

W szczytowym okresie zimnej wojny czynny personel Fort Wyvern liczył sobie - oficjalnie - trzydzieści sześć tysięcy czterystu ludzi, dwanaście tysięcy dziewięćset cztery osoby rodzin i ponad cztery tysiące obsługi cywilnej. Wojskowa lista plac wynosiła dobrze ponad siedemset milionów rocznie, a wydatki przekraczały sto pięćdziesiąt milionów w ciągu roku.

Gdy zgodnie z rekomendacją Komisji Przegrupowania i Zamykania Baz Obronnych opróżniono Wyvern, bilans handlowy powiatu uległ takiemu podciśnieniu, że gwizd znikających pieniędzy nie pozwolił spać miejscowym kupcom, nie mówiąc już o nocnym

placzu ich malenstw lekających się, że nie beda miały na czesne, gdy kiedyś stanie przed nimi wizja college'u. KBAY, które straciło prawie jedna trzecia powiatowego audytorium i cała połowa nocnych słuchaczy, było zmuszone do ciec personelu i właśnie dlatego Sasza była jednocześnie nocnym didżejem i kierownikiem, a Doogie Sassman ciągnął tygodniowo osiem godzin ponad normę w ramach normalnego uposażenia i nigdy nie napinał w proteście potężnych bicepsów.

246

247

Jednak po oficjalnym zamknięciu bazy wojskowi kontrahenci podjęli tam dorywcze niemniej poważne roboty budowlane ściśle tajnej natury, a robotnicy podobno składali przysięgę dochowania tajemnicy i w razie chłapnięcia językiem do końca życia groziło im oskarzenie o zdradę. Plotka głosiła, że dumna przeszłość centrum szkolenia wojskowego zdecydowała o wyborze Wyvern na poważny ośrodek badawczo-rozwojowy broni biologiczno-chemicznej, dysponujący wielkim samowystarczalnym podziemnym kompleksem, bezpiecznym biologicznie. Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich dwunastu godzin byłem pewien, że coś z prawdy leży u podłoża tych plotek, chociaż nigdy nie dojrzałem nawet śladu dowodu, że taka warownia istnieje.

Porzucone biura bazy przedstawiają widok, który w równej mierze zdumiewa, jak i przyprawia o dreszcze; to, co można ujrzeć w wojskowym laboratorium kriobiologicznym, kaze zastanowić się nad wielkością ludzkiego szalenstwa. Myślę, że Fort Wyvern w obecnym stanie jest makabrycznym parkiem tematycznym, podzielonym na rozliczne krainy, zupełnie tak samo jak Disneyland, z tą różnicą, że ma tylko jednego stałego bywalca wraz z jego wiernym psem.

Umarle Miasteczko jest jedną z moich ulubionych krain.

Umarle Miasteczko to moja nazwa, inna niż ta, jakiej używano w okresie rozkwitu Fortu Wyvern. Składa się ono z ponad trzech tysięcy jednorodzinnych domków i bliźniaków, w których mieszkały żony bądź zamezny personel wojskowy i ich rodziny, jeśli zdecydowali się na pozostanie w bazie. Pod względem architektonicznym te skromne budowle mają mało do zaproponowania i każda jest identyczna z sąsiednią; dostarczały minimum wygody przeważnie młodym rodzinom, zamieszkującym je przez kilka lat, w ciągu dziesięcioleci wypełnionych wojnami. Ale mimo podobieństwa są to miłe domki, i przechodząc przez puste pokoje czujesz, że żyło się tam dobrze, kochano, śmiało i bawiono z przyjaciółmi.

Obecnie wojskowe szeregi uliczek Umarłego Miasteczka zalegają lawice piasku wsparte o krawężniki i suche wedrowne chwasty czekające na wiatr. Z końcem pory deszczowej trawa szybko rudzieje i pozostaje ruda przez większość roku. Wszystkie żywopłoty uschły, a wiele drzewek wymarło. Bezlistne galezie są czarniejsze niż czarne niebo, ku któremu zdają się sięgać. Myszy mają domy dla siebie, a ptaki budują gniazda na nadprozach drzwi,

zabryzgując odchodami werandy.

Mozna by sie spodziewac, ze budowle beda konserwowane na wypadek przyszlego wykorzystania lub zrownania z ziemia, ale nie ma pieniedzy na zadne z tych rozwiazan.

Materialy i urzadzenie domow przedstawiaja mniejsza wartosc niz koszt ich uratowania, wiec nikt nie pali sie do negocjowania zadnego kontraktu i nie mozna pozbyc sie ich w ten sposob. Jak na razie sa pozostawione na pastwe sily natury, zupełnie jak miasteczka w epoce goraczki zlota.

246

247

Idac przez Umarle Miasteczko odnosisz wrazenie, ze wszyscy na swiecie znikneli lub umarli na zaraze i ze jestes sam na ziemi. A moze zwariowales i egzystujesz teraz w ponurej fantazji solipsysty, otoczony ludzmi, ktorych istnieniu zaprzeczasz. Moze zmarles i poszedles do piekla, gdzie twoja kara polega na wiecznej izolacji? Parszywy kojot lub dwa, o wpadnietych bokach, wloczace sie miedzy domami, wydaja sie demonami i najlatwiej uwierzyc w fantazje o Hadesie. Jednakze, jesli twoj ojciec byl wykladowca poezji i jestes blogoslawiony lub przeklety posiadaniem w glowie cyrku z trzystoma arenami, mozesz wyobrazic sobie niezliczone scenariusze tłumaczace wyglad tego miejsca. Tej nocy w marcu przejechalem na rowerze przez kilka uliczek Umarlego Miasteczka, lecz nie zatrzymalem sie z wizyta. Mgla nie siegnela tak gleboko w lad i powietrze bylo bardziej suche niz wilgotna przybrzezna breja; chociaz ksiezyc zaszedl, gwiazdy swiecily jasno i noc byla idealna na zwiedzanie. Lecz aby starannie zbadac chocby te jedna kraine w parku tematycznym Wyvern, potrzeba bylo tygodnia.

Nie przesladowalo mnie wrazenie, ze jestem obserwowany. Jednakze po tym, czego dowiedzialem sie w ciagu ostatnich kilku godzin, wiedzialem, ze podczas poprzednich wizyt na pewno bylem obserwowany, przynajmniej sporadycznie.

Za granicami Umarlego Miasteczka stoja liczne baraki oraz inne budowle: niegdys ladna kantyna, zaklad fryzjerski, pralnia chemiczna, kwiaciarnia, piekarnia, bank. Szyldy luszczyly sie i znikaly pod warstwa kurzu. Zlobek. Dzieciaki w wieku licealnym chodzily do szkol w Moonlight Bay; ale tu byly przedszkola i podstawowka.

W bibliotece pokryte pajeczyna polki sa puste, na jednej z nich stoi zapomniany egzemplarz "Buszujacego w zbozu". Przychodnia ogolna i stomatologiczna. Kino. Nie ma nic na sflaczalej markizie nad wejsciem, z wyjatkiem jednego enigmatycznego slowa:

KTO. Kregielnia. Piecdziesieciometrowy basen, teraz ze spuszczonej woda, popekany i pelen smieci naniesionych przez wiatr. W stajniach, ktore juz nie sluzą koniom, luzne drzwi boksow kiwaja sie z groznym piskiem i skrzypieniem przy kazdym silniejszym wietrze. Boisko do so?ballu zaroslo chwastami i gnijace scierwo pumy spoczywajace ponad rok w

klatce battera jest wreszcie tylko szkieletem.

Nie byłem zainteresowany żadnym z tych miejsc. Miałem je jadać na rowerze do budynku przypominającego hangar, nad mrowiskiem podziemnych komór, w których zeszłej jesieni znalazłem czapkę "Pociąg Tajemnica".

Do tylnego bagażnika roweru była przypięta policyjna latarka z przyciskiem pozwalającym wybrać trzy stopnie jasności. Zatrzymałem się przed hangarem i odpiąłem latarkę.

Dla Orsona Fort Wyvern jest jednocześnie źródłem przerażenia i fascynacji, ale zawsze pies trzyma się mojego boku, nie narzeka. Tym razem był wyraźnie przestraszony, lecz nie skomlał.

Furta wysokości człowieka, w jednym z wielkich drzwi hangaru, była otwarta.

Zaswyciłem latarkę i wszedłem; Orson podszedł za mną.

248

249

Hangar nie stał przy lotnisku i niepodobna, by serwisowano tu samoloty. U góry jest suwnica dźwigu, który dawniej tu był i poruszał się od końca do końca budowli. Oceniając po samej masie i stopniu skomplikowania tych wymyślnych szyn, dźwig unosił przedmioty o wielkiej masie. Stalowe płyty usztywniające, nadal przysrubowane do betonu, kiedyś musiały tworzyć podstawę znaczącej maszynery. Gdzie indziej studnie dziwnego przekroju dziurawią podłogę. Teraz puste - poprzednio mieściły hydrauliczne urządzenia niewiadomego zastosowania. W przesuwającym się strumieniu światła latarki geometryczne wzory cienia i światła zeskakiwały z suwnicy. Jak ideogramy nieznanego języka odbijały się na ścianach i blaszanym polokragłym dachu. Połowa szyb tej wysokiej głównej nawy była wybita.

Co niepokojące, nie robiło to wrażenia opuszczonej fabryki czy zakładu naprawczego, ale porzuconego kościoła. Plamy ropy i chemikaliów na podłodze wydzielaly won kadzidla. Przenikliwy chłód nie był tylko doznaniem fizycznym, lecz doskwierał także duszy, jakby to miejsce zostało zbezczeszczone.

Przedśionek w kacie hangaru mieścił schody i wielki szyb windy, z którego usunięto urządzenia napędowe i kabiny. Nie mam pewności, ale oceniając po resztkach, jakie zostawił ten, kto wypatrzył budynek, wchodziło do przedśionka przez inną komorę i podejrzewam, że ukrywano istnienie schodów oraz windy przed większością personelu pracującego w hangarze lub tymi, którzy okazyjnie przez niego przechodzili.

Zachowała się potężna stalowa rama i prog u szczytu schodów, ale drzwi przepadły. Światłem latarki przegoniłem ze stopni pajaki i stonogi. Poprowadziłem Orsona w dół po

warstwie kurzu. Nie było na niej innych śladów, poza tymi, które zostawiliśmy w trakcie poprzednich odwiedzin.

Stopnie służą trzem podziemnym poziomom, każdemu o powierzchni znacznie przewyższającej parterowy hangar. Te sieć korytarzy i ślepych pomieszczeń pracownicy pozbawiono wszelkich przedmiotów, które mogłyby ujawnić naturę prowadzonych tam działań - do gołego betonu. Wyrwano nawet najmniejsze urządzenia wentylacyjne i kanalizacyjne.

Odnoszę wrażenie, że ów staranny demontaż tylko częściowo da się wytłumaczyć pragnieniem zatarcia wszelkich śladów, mogących wskazać rzeczywisty cel wykorzystania pomieszczeń. Chociaż opieram się wyłącznie na intuicji, wierzę, że tych, którzy likwidowali wszelkie oznaki swojej pracy, motywował częściowo wstyd. Jednakże nie sądzę, że jest to wojskowy ośrodek badawczy chemiczno-biologiczny, o którym wspomniałem wcześniej. Biorąc pod uwagę wymagany wysoki stopień biologicznej izolacji, podziemny kompleks byłby z pewnością bardziej odległym zakątkiem Fortu Wyvern, o wiele większym niż te rozległe poziomy, lepiej ukryty i znajdujący się o wiele głębiej pod ziemią.

Poza tym, wygląda na to, że ośrodek działa nadal.

248

249

Jestem przekonany, że pod hangarem prowadzono jakieś niebezpieczne i wyjątkowej wagi prace takiego czy innego rodzaju. Wiele tych pomieszczeń, zredukowanych jedynie do nagich betonowych komór, zadziwia i niepokoi. Jedną z tych najbardziej zdumiewających komór jest na najniższym poziomie, tam gdzie kurz jeszcze nie dotarł, w środku, otoczona korytarzami i mniejszymi pomieszczeniami. Jest to niesłychanej wielkości owal, czterdzieści metrów na niecałe dwadzieścia w najszerszym miejscu, zaokrąglony na końcach. Ściany, strop i podłoga są zakrzywione, a gdy tam stajesz, czujesz się jak w środku pustej skorupki gigantycznego jaja.

Wejście jest przez mały przyległy pokój, który mógł służyć za słuź powietrzna.

Zamiast drzwi na pewno był luk; jedyny otwór w ścianie owalnej komory ma półtora metra średnicy.

Pokonalem wraz z Orsonem uniesiony wygięty prog i omiotłem latarką całą grubość ściany, jak zawsze ja podziwiając: półtora metra lanego betonu wzmocnionego stalą.

Ciągła gładka krzywizna gigantycznego jaja - ściany, podłoga i strop - jest pokryta jakby mlecznym, żółtawym przezroczystym szkłem, grubym przynajmniej na pięć do osmiu centymetrów. Jednakże to nie szkło, gdyż jest nielamiwe, a pod wpływem mocnego uderzenia dzweczy jak dzwony rurowe. Co więcej, nigdzie nie widac spoin.

To egzotyczne tworzywo jest bardzo wypolerowane i wydaje się sliskie jak mokra porcelana. Światło latarki przenika je, drży i migoce, odbija się od małych złotych spiralek wewnątrz i lśni na powierzchni. A jednak gdy przechodzimy na środek komory, to coś nie okazuje się wcale sliskie.

Moje niki ledwo piszcza. Pazury Orsona brzmią lekka elfowa muzyka, dzwierzaca TINGGG-TINGGG, jak dzwoneczki.

W noc śmierci mojego ojca, w tę noc najmroczniejszą ze wszystkich nocy, chciałem wrócić do miejsca, w którym zeszłej jesieni znalazłem czapkę "Pociąg Tajemnica".

Leżała na środku owalnego pokoju, jedyny przedmiot na obszarze całych trzech poziomów poniżej hangaru. Początkowo myślałem, że zapomniał jej ostatni wychodzący robotnik lub inspektor. Teraz podejrzewam, że pewnej październikowej nocy jakieś nieznane osoby, świadome, że penetruje ten osrodek, bo towarzyszące mi zwykle po kryjomu poziom za poziomem, wślizgnęły się przede mną, by umieścić czapkę tam, gdzie z pewnością ją znajdzie.

Jeśli tak było, nie wyglądało to na czyn wrogi czy wyzywający, ale raczej na pozdrowienie, nawet serdeczność. Intuicja podpowiadała mi, że słowa "Pociąg Tajemnica" miały jakiś związek z pracą mojej matki. Dwadzieścia jeden miesięcy po jej śmierci ktoś dał mi tę czapkę, bo miała związek z nią, i ten ktoś wręczył ową podarunek, gdyż podziwiał moją matkę i szanował mnie choćby dlatego, że byłem jej synem.

250

W to właśnie chciałem wierzyć; że byli i tacy, zamieszani w ten nieprzenikniony spisek, którzy nie uważali mojej matki za złoczyncę, i byli przyjaźnie nastawieni względem mnie, nawet jeśli mnie nie czcili, przy czym upierał się Roosevelt. Chciałem wierzyć, że byli w to zamieszani i uczciwi faceci, nie tylko zli, bo gdy dowiedziałem się, co moja matka zrobiła, by zniszczyć świat, jaki znamy, woląłem otrzymać informacje od ludzi przekonanych, że przynajmniej jej intencje były dobre. Nie chciałem dowiedzieć się prawdy od ludzi, którzy patrzyli na mnie, widzieli moją mamę i z goryczą wypluwali przekleństwo i oskarżenie: "Ty!!!" - Jest tu kto? - spytałem.

Moje pytanie przebiegło po ścianach pokoju-jaja i wróciło dwoma oddzielnymi echemi, po jednym na każde ucho.

Orson sapnął pytająco. Ten cichy dźwięk trwał wzdłuż wygiętych płaszczyzn, jak szeptał bryza nad wodą. Żaden z nas nie dostał odpowiedzi.

-Nie przyszedłem się mścić - oświadczyłem. - To już mam za sobą.

Nic.

-Nie zamierzam nawet isc do wladz poza miasteczkiem. Za pozno odkrecac to, co sie stalo. Godze sie z tym.

Echo mojego glosu stopniowo zanikalo. Jak to czasem bywalo, pokoj-jajo wypelnila niesamowita cisza, gesta jak woda.

Odczekalem minute, zanim przerwalem te cisze:

-Nie chce, zeby Moonlight Bay wytarto z mapy... a razem z nim mnie i moich przyjaciol... bez zadnego sensownego powodu. Chce tylko zrozumiec.

Nikomu nie zalezalo na oswieceniu mnie.

No coz, przyjazd tu i tak byl przedswiezciem majacym minimalna szanse powodzenia.

Nie bylem zawiedziony. Rzadko pozwalalem sobie na to odczucie. Zycie nauczilo mnie cierpliwosci.

Nad ta zbudowana przez czlowieka jaskinia szybko wstawal swit i nie moglem szafowac czasem na Fort Wyvern. Przed powrotem do domu Saszy, gdzie mialem przezyc mordercze slonce, czekal mnie jeszcze jeden wazny przystanek.

Przeszlismy z Orsonem po migotliwej podlodze, w ktorej promien latarki odbijal sie wzdluz lśniacych złotych spiralek, jak galaktyka gwiazd pod stopami. Za wejściem, w nagiej betonowej krypcie, niegdys moze bedacej sluzą powietrzna, znalezlismy walizke mojego ojca. Te odstawiona przeze mnie w szpitalnym garazu, zanim ukrylem sie pod karawanem, i nieobecna, gdy wyszedlem z kostnicy. Oczywiscie nie bylo jej tu piec minut temu.

Poszedlem dalej, do pomieszczenia za krypta i omiotlem je latarka. Nikogo. Gdy wrocilem, Orson wytrwale stal przy walizce.

250

Podnioslem ja. Byla tak lekka, ze musiala zostac opozniona. Wtem uslyszalem, ze cos cicho szelesci w srodku. Gdy odmykalem zatrzaski, serce zastyglo mi na mysl, ze moze znalezc kolejna pare oczu. By zwalczyc ten ohydny obraz, przywolalem w wyobrazni sliczna twarz Saszy i serce znow zaczelo mi bic. Podnioslem pokrywe i nie znalazlem niczego. Ubrania taty, przybory toaletowe, ksiazki i inne przedmioty znikly.

Wtem dojrzałem w rogu fotografie mamy. Obiecałem, że to zdjęcie będzie skremowane ze zwłokami ojca.

Podniosłem fotografie do światła. Mama była sliczna. I taka żywa inteligencja bila jej z oczu. W jej twarzy dostrzegłem pewne własne rysy, co pozwalalo mi zrozumiec, czemu Sasza jednak spojrzala na mnie zyczliwie. Mama usmiechala sie i jej usmiech byl tak bardzo

podobny do mojego.

Orson chyba chcial obejrzec fotografie, wiec odwrocilem ja w jego kierunku. Długa chwila sunal po niej wzrokiem. Gdy odwrocil leb i zaskomlal, ten dzwiek byl esencja smutku.

Naprawde jestesmy bracmi, Orson i ja. Ja - owoc serca i lona Wisterii. Orson - owoc jej umyslu. Nie laczy nas krew, ale cos wazniejszego od krwi.

Znow zaskomlal, a ja powiedzialem twardo:

-Umarla i nie wroci - bezlitosnie skupiony na przyszosci, co pozwala mi zyc dalej.

Obywszy sie bez jeszcze jednego spojrzania na fotografie, wsadzilem ja do kieszeni koszuli. Zadnego zalu. Zadnej rozpacz. Zadnego uzalania sie nad soba. A zreszta moja mama nie umarla calkiem. Zyla we mnie, w Orsonie.

Niezaleznie od zbrodni przeciwko ludzkosci, o ktore inni moga oskarzac mame, zyje w nas, w Czlowieku Sloniu i jego swirowatym psie. I z cala nalezna pokora mysle, ze swiat jest lepszy majac nas. Nie jestesmy zlymi facetami.

-Dziekuje - powiedzialem wychodzac z krypty. Kierowalem to slowo do tego kogos, kto zostawil mi fotografie, chociaz nie wiedzialem, czy mnie slyszy, i chociaz tylko zakladalem, ze jego intencje byly dobre.

Na ziemi, na zewnatrz hangaru, moj rower byl tam, gdzie go zostawilem. Gwiazdy tez byly, gdzie je zostawilem.

Pokonalem na rowerze skrawek Umarlego Miasteczka, kierujac sie do Moonlight Bay, gdzie czekala na mnie mgla - i jeszcze cos.

253

Czesc Piata Brzask

253

30

Dom w stylu Nantucket - letniskowej wyspy kolo Wschodniego Wybrzeza - pokryty ciemna szalowka i ozdobiony glebokimi bialymi werandami, jakby przeslizgnal sie cztery i pol tysiacia kilometrow podczas niedostrzegalnego przechylu kontynentu i spoczal na kalifornijskich wzgorzach nad Pacyfikiem. Bardziej harmonizowal z pejzazem, niz wskazywalaby na to logika. Spozieral w kierunku polhektarowej posesji, ocieniony sosnami, emanujacy wdziekiem, powabem i cieplem kochajacej rodziny, ktora mieszkala w jego murach. Wszystkie okna byly ciemne, ale niebawem kilka z nich rozjasni swiatlo. Rosalina

Ramirez wstanie wcześniej, by przygotować obfite śniadanie dla syna, Manuela, który wkrótce powróci z podwójnej policyjnej zmiany - zakładając, że nie zatrzyma go góra papierkowej roboty wynikłej ze złożenia w ofierze szefa Stevensona. Manuel, lepszy kucharz od swojej matki, wolałby sam przygotować sobie śniadanie, ale zje, co ona mu poda, i będzie to chwalił. Rosalina nadal spała; miała wielką sypialnię niegdys należąca do syna; pokój, którego nie używał, od kiedy żona umarła rodzac Toby'ego.

Za rozległym ogrodem stoi stodoła z dwuspadowym dachem, białymi okiennicami i kryta gontem, nawiązując do głównego domu. Jako że posesja znajduje się na południowym krancu miasteczka, za nią rozciągają się jedynie tereny jezdzieckie i otwarte wzgorza. Pierwszy właściciel trzymał w stajni konie. Teraz mieści się tam pracownia, w której Toby Ramirez buduje swoje życie ze szkła.

Idąc przez mgłę, zobaczyłem, że okna są rozjasnione. Toby często budzi się długo przed świtem i wychodzi do pracowni. Oparłem rower o ścianę i podszedłem do najbliższego okna. Orson wsparł się łapami o parapet i stał obok, zaglądając do środka.

Gdy przychodzi do odwiedzin przyjrzeć się twórcy Toby'emu, zwykle nie wchodzi do pracowni. Jarzeniowe panele są zbyt jaskrawe, a ze szkła borokrzemianowego jest kształtowane w temperaturze przekraczającej sto cztery stopnie Celsjusza, emituje bardzo intensywne światło. Może uszkodzić wzrok każdego, nie tylko moją. Jeśli Toby nie jest zajęty, może zgasić światła i wtedy przez chwilę rozmawiamy.

254

255

Teraz w goglach z dymnymi szklami Toby pracował przy stole roboczym, przed palnikiem wielopłomieniowym Fishera. Właśnie skończył formowanie wdzięcznej wazy w kształcie gruszki, o długiej szyjce, która nadal była zbyt gorąca, tak że płonęła na żółtopomarańczowo. Wyzarzał ją. Gdy szkło jest nagle wyjmowane z gorącego płomienia, zwykle stygnie zbyt szybko, pojawiają się naprężenia i pęknięcia. Chcąc zachować przedmiot, należy go wyzarzyć, to jest stopniowo schłodzić.

Plomien podtrzymywała naturalna mieszanka gazów z czystym sprężonym tlenem, pobieranym z butli przymocowanej do stołu. Podczas wyzarzania Toby zmniejsza dawkę tlenu, stopniowo redukuje temperaturę, dając czas cząsteczkom gazu na przyjęcie bardziej stałej postaci.

Z powodu wielu niebezpieczeństw wiązanych się z wydmuchiowaniem szkła niektórzy w Moonlight Bay uważali, że Manuel zachowuje się nieodpowiedzialnie, pozwalając synowi dotkniętemu syndromem Downa na praktykowanie tej wymagającej sztuki rzemieślniczej. W pewnych domach niecierpliwie wyobrażano sobie i wieszczono ogniste katastrofy, wyczekiwano ich.

Początkowo nikt nie był bardziej przeciwny marzeniu Toby'ego niż Manuel. Stodola przez piętnaście lat służyła za pracownię starszemu bratu Carmelity, Salvadorowi, pierwszorzędnemu wytwórcy szkła artystycznego. Toby jako dziecko spędzał niezliczone godziny z wujkiem Salvadore, z goglami na oczach obserwował mistrza przy pracy, a w rzadkich wypadkach przenosił wazę lub misę do pieca do wywarzania lub coś z niego wyjmował, zaopatrzony w kevlarowe rękawice. Choć wielu wydawało się, że spędza te godziny w oglupieniu, patrząc tępo i uśmiechając się bezmyślnie, to tak naprawdę uczył się nie będąc bezpośrednio uczony. Intellektualnie upośledzeni, by dać sobie radę, często muszą mieć nadludzka cierpliwość. Toby siedział w pracowni wujka dzień po dniu, rok po roku, obserwował i powoli się uczył. Gdy Salvadore zmarł dwa lata temu, Toby - wtedy tylko czternastolatek - spytał ojca, czy może kontynuować pracę wuja. Manuel nie potraktował prośby poważnie i łagodnie wyperswadował synowi realizację tego niespełnialnego marzenia.

Któregoś ranka przed świtem zastał Toby'ego w pracowni. Na końcu stołu roboczego, na ognioodpornym blacie, stała rodzina labezdy z prostego szkła. Za labezdami - nowo uformowana i wywarzona waza, w którą wyprowadzono przemysłowy melanz grających ze sobą domieszek, sprawiających, że w szkłe pojawiły się tajemnicze granatowe spirale, połyskujące srebrem jak gwiazdy. Manuel od razu się zorientował, że obiekt dorównuje najlepszym wazom Salvadore. A Toby w tym momencie wywarzał równie zaskakujące dzieło sztuki.

Chłopiec przyswoił od wuja tajniki technologii wydmuchiwania szkła i mimo lekkiego niedorozwoju umysłowego wyraźnie orientował się we właściwych procedurach

254

255

zapobiegania urazom. Miała w tym swój udział również magia genetyki, gdyż przejawiał uderzający talent, którego nie mógł się nauczyć. Nie był tylko rzemieślnikiem i nie tylko artystą, lecz może kretynem geniuszem, któremu inspiracja artysty i technika rzemieślnika przychodziły z łatwością falą bijącą o brzeg. Sklepy z pamiątkami w Moonlight Bay, Cambrii i na północ, aż do Carmelu, sprzedawały na pniu wszystkie wyroby Toby'ego. Za kilka lat sam będzie mógł się utrzymać.

Czasem natura rzuca upośledzonym kosc. Przykładem moja zdolność układania zdań i akapitów z pewną umiejętnością.

Teraz w pracowni kleby pomarańczowego światła buchają z puszystego wywarzającego płomienia. Toby tak starannie obracał wazę, by równomiernie skapać ją w ogień.

Z tegim karkiem, okrągłymi i stosownie krótkimi ramionami, nogami jak słupy, mógłby być gnomem z bajki, przed ogniskiem wartownika głęboko we wnętrzu ziemi.

Brwi miał opadające i grube. Nos splaszczony. Uszy osadzone za nisko na głowie zbyt malej w stosunku do ciała. Miekkie rysy twarzy i oczy ukryte w faldach skóry nadawały mu wyraz wiecznego rozmarzenia.

A jednak na wysokim roboczym krzesle, obracając szkło w płomieniu i regulując dopływ tlenu z intuicyjną dokładnością, gdy na twarzy migotało mu odbite światło, a oczy miał ukryte za goglami, w żadnym razie nie sprawiał wrażenia osoby uposledzonej; widziany w swoim żywiole, podczas twórczego aktu, wydawał się w stanie uniesienia.

Orson parsknął na alarm. Opadł na przednie łapy, odwrócił się od pracowni i przywarował skurczony.

Również się odwróciłem i zobaczyłem zacienioną postać, idącą przez ogród w naszym kierunku. Mimo ciemności i mgły rozpoznałem ją od razu, po swobodzie, z jaką się poruszała. Manuel Ramirez, ojciec Toby'ego, numer dwa w Wydziale Policji Moonlight Bay, lecz teraz czasowo wyniesiony prawem sukcesji na główne stanowisko, w wyniku nagłego zgonu szefa.

Wsunąłem ręce do kieszeni kurtki. Zaciśnąłem prawa na glocku.

Przyjaliśmy się z Manuelem. Nie byłoby mi łatwo skierować na niego broń, a na pewno bym go nie zastrzelił. Chyba że nie byłby już Manuelem. Chyba że jak Stevenson stałby się kims innym.

Zatrzymał się jakieś trzy metry od nas. W mozaice oranżowego płomienia, przepalającej najbliższe okno, widziałem, że Manuel ma na sobie zwykły mundur khaki.

Pistolet służbowy na prawym biodrze. Chociaż zatknął kciuki za pas z bronią, dobyłby jej przynajmniej równie szybko, jak ja glocka z kieszeni kurtki.

-Juz po zmianie? - spytałem, chociaż wiedziałem, że nie.

Nie odpowiedział na to pytanie. Rzekał tylko:

-Mam nadzieję, że o tej porze nie spodziewasz się piwa, tamales i filmu z Jackiem Chanem.

256

257

-Wpadłem tylko powiedzieć "cześć" Toby'emu, gdyby przypadkiem miał przerwę w robocie. Twarz Manuela, zbyt zniszczona troskami na jego czterdzieści lat, z natury emanowała przyjaznią. Nawet teraz zauważyłem, że jego uśmiech nadal był ujmujący, ciepły. Jedyne blaski w oczach powodowały światła bijące z pracowni. Oczywiście mogły maskować te same przelotne plomyki zwierzęcego lśnienia w oczach, które widziałem u

Lewisa Stevensona.

Orson uspokoił się, rozluźnił. Ale nadal zachował ostrożność.

Manuel nie okazywał cienia wrzasku wściekłości ani bezmiaru energii Stevensona.

Jak zawsze mówił łagodnym, melodyjnym głosem.

-Po telefonie wcale nie pojawiłeś się na komisariacie.

Zastanowiłem się nad odpowiedzią i zdecydowałem, że powiem prawdę.

-Ależ pojawiłem się.

-Wiesz dzwoniąc byłeś już blisko? - próbował zgadnąć.

-Tuż za rogiem. Kim jest tamten łysy z kolczykiem?

Manuel przeżuwał odpowiedź i poszedł za moim przykładem, również wybrał prawdę.

-Nazywa się Carl Scorso.

-Ale kim jest?

-Zupełny obwieś. Jak daleko chcesz to ciągnąć?

-Donikad.

Umilkł, pełen niewiary.

-Rozpocząłem krucjatę - przyznałem. - Ale wiem, że jestem pobity.

-To jakiś zupełnie nowy Chris Snow.

-Nawet gdybym skontaktował się z władzami z zewnątrz albo z mediami, nie rozumiem na tyle sytuacji, by przekonać ich o czymkolwiek.

-I nie masz dowodów.

-Niczego konkretnego. W każdym razie, nie wydaje mi się, żeby pozwolono mi nawiązać kontakt. Gdybym zdołał nakłonić kogoś do przeprowadzenia śledztwa, nie sądzę, bym ja czy ktoś z moich przyjaciół pozostał żywy, by go powitać, kiedy tu dotrze.

Manuel nie odpowiedział, ale jego milczenie wystarczyło mi za całą odpowiedź.

Może wciąż był kibicem baseballu. Może wciąż lubił muzykę country, Abotta i Costello. Może wciąż jak ja rozumiał ograniczenia, jakim z góry jesteśmy poddani, i może wciąż jak ja

czul dłoń losu. Możliwe, że nadal mnie lubił - ale nie był już moim przyjacielem. Jeśli nie wystarczałoby mu perfidii, by samemu pociągnąć za spust, bez drgnienia przyglądałby się komus innemu, kto by to zrobił.

Smutek zalał mi serce, ogarnęło obojętne zważenie, którego wcześniej nie znałem. Było jak mdłości.

256

257

-Cały wydział policji współpracował, no nie? Uśmiech Manuela przygasł. Pojawiło się zmęczenie.

Gdy ujrzałem u niego raczej znudzenie niż gniew, wiedziałem, że powie mi więcej niż powinien. Dreczony poczuciem winy nie zdoła ukryć wszystkich sekretów. Już wiedziałem, że jedna z tych rewelacji będzie dotyczyć mojej matki. Tak nie chciałem tego usłyszeć, że prawie odszedłem. Prawie.

-Tak - potwierdził. - Cały wydział.

-Nawet ty.

-Och, mi amigo, zwłaszcza ja.

-Czy jesteś zarazony tym zarazkiem, który wydostał się z Wyvern? - "Zarazony" to niewłaściwe słowo.

-Ale wystarczająco bliskie.

-Każdy w wydziale to złapał. Ale nie ja. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

Jeszcze.

-Więc może oni nie mieli wyboru. Ty tak.

-Zdecydowałem się na współpracę, gdyż z tego może wyniknąć o wiele więcej dobrego niż złego.

-Z końca świata.

-Pracują nad tym, żeby odkreślić to, co się wydarzyło.

-Pracują tam, w Wyvern, gdzie pod ziemią?

-No, tam i gdzie indziej. A jeśli znajdzie sposób, żeby to zwalczyć... w rezultacie mogą

wyniknac cudowne sprawy. - Mowiac skierowal wzrok ku oknu pracowni.

-Toby - rzucilem.

Wrocil spojrzeniem do mnie.

-To cos, ta zaraza, cokolwiek to jest... jest nadzieja, ze jesli zdolaja nad tym zapanowac, wowczas beda mogli w jakis sposob, dzieki temu, pomoc Toby'emu - powiedzialem.

-Tez masz w tym wlasny interes, Chris.

Z dachu stodoly sowa piec razy spytala szybko raz za razem, kim jestesmy, jakby podejrzewala wszystkich w Moonlight Bay.

Wzialem gleboki oddech i powiedzialem:

-To jedyna przyczyna, dla ktorej moja matka prowadzilaby badania biologiczne do celow wojskowych. Jedyna przyczyna. Poniewaz byla duza szansa, ze wyniknie z tego cos, co pomoze wyleczyc mnie z XP.

-I wciaz cos moze z tego wyniknac.

-Czy to byl program poswiecony stworzeniu broni?

-Nie win jej za to, Chris. Tylko taki program moze uzyskac miliardy dolarow.

Nigdy nie mialaby szansy prowadzic tej pracy w imie slusznej sprawy. Jest po prostu zbyt kosztowna.

258

259

To niewatpliwie byla prawda. Tylko program poswiecony stworzeniu broni mialby niewyczerpane konta, potrzebne do kompleksowych badan, koniecznych z punktu widzenia genialnych idei mamy. Wisteria Jane (Milbury) Snow byla genetykiem teoretykiem. To znaczylo, ze tam gdzie inni naukowcy mieli spore ciezary do dzwigania, ona miala sporo do myslenia. Nie spedzala duzo czasu w pracowniach ani nawet w laboratorium wirtualnym, przy komputerze. Swoje laboratorium miala w glowie i bylo ono nieslychanie ekstrawagancko wyposazone. Teoretyzowala, a inni, kierowani jej wskazowkami, szukali sposobow udowodnienia tych teorii. Powiedzialem wczesniej, ze byla genialna, ale moze nie wspomnialem, ze byla wyjatkowo genialna. A byla. Mogla wybrac dowolny uniwersytet na swiecie. Wszystkie oferowaly jej katedre.

Ojciec kochal Ashdon, ale poszedlby za nia wszedzie, gdzie by tylko chciala. Czul sie znakomicie w kazdym srodowisku uniwersyteckim.

Skazala sie na Ashdon z mojego powodu. Wiekszosc naprawde powaznych uniwersytetow jest w wielkich albo srednich miastach, w ktorych nie bylby bardziej ograniczony za dnia niz jestem w Moonlight Bay, ale tam nie mialbym nadziei na bogate zycie w nocy. Wielkie miasta sa jasne nawet noca. A kilka mrocznych zakatkow metropolii to nie miejsca, w ktorych mlody czlowiek moglby bezpiecznie jezdzic noca na rowerze, buszujac tam miedzy zmierzchem i switem.

Uszczuplila swoje zycie, zeby wzbogacic moje. Skazala sie na male miasteczko, swiadomie pozostawila caly swoj potencjal niezrealizowany, by dac mi szanse zrealizowac moj.

W czasach, w ktorych sie urodzilem, badania prenatalne nie wykraczaly poza poziom podstawowy. Gdyby narzedzia analityczne byly wystarczajaco rozwiniete, by odkryc XP w ciagu kilku tygodni po tym, jak zostalem poczety, byc moze zdecydowalaby sie nie wydawac mnie na swiat.

Ja kocham swiat w calym jego pieknie i dziwnosci.

Jednakze z mojego powodu ten swiat bedzie w przyszosci jeszcze dziwniejszy - i byc moze mniej piekny.

Gdyby nie ja, odmowilaby wspolpracy przy programie w Wyvern, nigdy nie wprowadzilaby go na nowe drogi. I nie poszlibysmy jedna z tych drog do przepasci, nad ktora teraz stoimy.

Orson przesunal sie robiac miejsce Manuelowi, ktory podszedl do okna. Wpatrywal sie w syna i gdy jego twarz ukazala sie w pelnym swietle, ujrzałem w oczach ojca nie dziki blask, ale przemozna milosc.

-Spotegowanie inteligencji zwierzat - powiedzialem. - Jak by to mozna zastosowac w wojsku?

-Przede wszystkim, czy jest lepszy szpieg niz pies o inteligencji czlowieka, poslany za linie nieprzyjaciela? Przebranie nie do rozpoznania. I psom nie sprawdza sie paszportow. Czy moze byc lepszy zwiadowca na polu bitwy?

258

259

Moze daloby sie stworzyc wyjatkowo poteznego psa, ktory bylby inteligentny, ale rowniez okrutny w razie potrzeby. Powstalby nowy rodzaj zolnierza; biologicznie zaprojektowana mordercza maszyna ze zdolnosciami do dlugofalowego myslenia.-Sadzilem, ze inteligencja zalezy od wielkosci mozgu.

Wzruszyl ramionami.

-Jestem tylko glina.

-Lub od ilości zwojów mózgu.

-Najwyraźniej odkryli, że jest inaczej. W każdym razie był wcześniejszy sukces.

Cos o nazwie "Program Francis", kilka lat temu. Niesamowicie inteligentny złoisty retriever. Rozpoczęto "Operację Wyvern" chcąc wykorzystać to, czego nauczono się poprzednio. I w Wyvern nie chodziło tylko o inteligencję zwierzęcą. Chodziło o spotęgowanie inteligencji ludzkiej, o wiele rzeczy. Wiele, wiele rzeczy.

Toby włożył kevlarowe rękawice i umieścił gorącą wazę w wiadrze napełnionym do połowy wermikulitem. Był to następny proces wyzarzania.

Spytalem Manuela.

-Wiele rzeczy? Jakie jeszcze?

-Chciano wzmocnić ludzką energię, długowieczność... znajdując sposoby nie tylko na przekazywanie materiału genetycznego między osobami, ale i między gatunkami.

Między gatunkami.

Z daleka usłyszałem własny głos:

-Och, mój Boże.

Toby dosypywał granulowanego wermikulitu, aż przykrył wazę. Wermikulit jest znakomitym izolatorem ciepła, pozwalającym szkłu schładzać się niespiesznie i równomiernie.

Przypomniałem sobie coś, co powiedział Roosevelt Frost: psy, koty i małpy nie były jedynymi eksperymentalnymi obiektami w laboratoriach w Wyvern, działo się tam coś znacznie gorszego.

-Ludzie - powiedziałem odretwiął. - Eksperymentowali na ludziach? - Żołnierzach sadzonych przez sądy wojskowe i uznanych za winnych morderstwa, skazanych na dożywocie w więzieniach wojskowych. Mogli tam zgnic... albo wziąć udział w programie i w nagrodę zdobyć wolność.

-Ale eksperymentowanie na ludziach...

-Watpie, żeby twoja matka miała o tym pojęcie. Nie zawsze dowiadywała się, jak wykorzystywano jej pomysły.

Toby musiał usłyszeć nasze głosy, bo zdjął rękawice i zsunął wielkie gogle na czoło.

Mruzac oczy spojrzal na nas. Skinal reka.

-Wszystko sie spapralo - powiedzial Manuel. - Nie jestem naukowcem. Nie pytaj mnie, jak. Ale spapralo sie na wiele sposobow. Wiele. Zaskoczylo ich. Nastapily

260

261

niespodzianki. Zmiany, ktorzych nie wzieni pod uwage. Te zwierzeta poddane eksperymentom i wiezniowie... ich genetyczny makijaz ulegl niepozadany i niekontrolowanym przekszaltceniom...Odczekal chwile, ale wyraznie nie byl gotow powiedziec mi wiecej. Przycisnalem go.

-Uciekla malpa. Rezus. Znaleziono ja w kuchni Angeli Ferryman.

Pytajace spojrzenie, ktore na mnie skierowal, bylo tak przeszywajace, ze Manuel na pewno zajrzal mi do serca, poznal zawartosc kazdej kieszeni i dowiedzial sie dokladnie, ile kul zostalo w moim glocku.

-Zlapano tego rezusa - powiedzial - ale nieopatrznie przypisano jego uciezke bledowi czlowieka. Nie zdano sobie sprawy, ze zostal wypuszczony, uwolniony! Nie zdano sobie sprawy, ze w programie bylo kilku naukowcow, ktorzy... stawali sie.

-Czym sie stawali?

-Po prostu... stawali sie innymi osobami. Zmieniali sie.

Toby wylaczyl gaz. Palnik wessal plomien.

-Jak sie zmieniali? - zapytalem Manuela.

-Uklad dostawczy, stworzony do wszczepiania nowego materialu genetycznego zwierzetom lub wiezniom... ten uklad zaczal zyc wlasnym zyciem.

Toby wylaczyl jarzeniowki, tak ze moglem wejsc z wizyta.

-Przeniesiono material genetyczny innych gatunkow w ciala naukowcow bez ich wiedzy. W koncu niektorzy z nich zaczeli miec wiele wspolnego ze zwierzetami.

-Jezu.

-Moze zbyt wiele. Wydarzyl sie tam pewien... epizod. Nie znam szczegolow. Byl bardzo gwaltowny. Zgineli ludzie. I wszystkie zwierzeta uciekly lub zostaly wypuszczone.

-Gromada.

-Tak, jakis tuzin inteligentnych, opetanych nienawiscia malp. Ale tez psy i koty... i dziewieciu wiezniow.

-I wciaz sa na wolnosci?

-Trzech wiezniow zabito w trakcie proby pojmania. Zandarmeria poprosila nas o pomoc. Wtedy zarazila sie wiekszosc gliniarzy z wydzialu. Ale pozostalych szesciu i wszystkie zwierzeta... nigdy ich nie odnaleziono.

Otworzyly sie drzwi stodoly i na progu stanal Toby.

-Tato? - Szurajac butami podszedl do ojca i usciskal go goraco. Usmiechnal sie szeroko do mnie. - Witaj, Christopher.

-Czesc, Toby.

-Czesc, Orson - powiedzial chlopiec. Puscil ojca i kleknal, by przywitac psa.

Orson lubil Toby'ego. Dawal mu sie glaskac.

260

261

-Chodz w gosci - powiedzial Toby. Zwrocilem sie do Manuela:

-Teraz jest calkiem nowa gromada. Nie tak gwaltowna jak pierwsza.

A przynajmniej... jeszcze nie tak gwaltowna. Wszystkie osobniki sa zaopatrzone w transpondery, co znaczy, ze wypuszczono je celowo. Po co? - Zeby znalazly pierwsza gromade i doniosly o jej miejscu pobytu. Tak sie wymyka, ze wszystkie proby jej lokalizacji zawiodly. Podjeto rozpaczliwy plan, probe przeciwdzialania, zanim pierwsza gromada za bardzo sie rozmnozy. Ale i to nie skutkuje. Tylko stwarza nowy klopot.

-I nie tylko z powodu ojca Eliota.

Manuel przygladal mi sie dluga chwile.

-Duzo sie dowiedziales, prawda?

-Nie dosyc. I za duzo.

-Masz racje... ojciec Tom nie jest problemem. Niektore malpy go odnalazly. Inne powyrywaly sobie nawzajem transpondery. Ta nowa gromada... nie jest gwaltowna, ale niesamowicie inteligentna i zaczyna byc nieposluszna. Chce wolnosci. Za wszelka cene.

Toby sciskal Orsona i powtarzal swoje zaproszenie:

-Chodz w gosci, Christopher.

Zanim zdazylem odpowiedziec, Manuel powiedzial:

-Prawie swita, Toby. Chris musi isc do domu.

Popatrzyłem na wschod, ale jeśli nocne niebo zaczynało szarzec, mgła uniemożliwiła mi dostrzec zmianę.

-Byliśmy przyjaciółmi dobrych parę lat - powiedział Manuel. - Wygląda na to, że jestem ci winien pewne wytłumaczenie. Zawsze miałeś serce dla Toby'ego. Ale wiesz już dość. Zrobiłem, ile wypada, staremu przyjacielowi. Może zrobiłem za dużo. Teraz idź do domu. - Poprzednio nie zauważyłem, że przesunął rękę na brzoń. Poklepał ją. - Już nigdy nie obejrzymy razem filmów z Jackiem Chanem, ty i ja.

Mówił mi, że bym odszedł i nie wracał. Na nic zda się próba utrzymania naszej przyjaźni, ale może od czasu do czasu będę mógł spotkać się z Tobym. Nie teraz.

Wezwałem Orsona do siebie i Toby wypuścił go niechętnie.

-Może jeszcze jedno - powiedział Manuel, gdy wzięłem rower. - Te nieszkodliwe zwierzęta, których inteligencje spotęgowano... koty, psy, nowe małpy... one znają swoje pochodzenie. Twoja matka... no cóż, można by powiedzieć, że jest dla nich legenda... stwórca... prawie bogiem. Wiedzą, kim jesteś i czczą cię. Żadne z nich by cię nie skrzywdziło. Ale pierwsza gromada i większość zmienionych ludzi... nawet jeśli w pewnej sferze podoba im się to, czym się stali, mimo to nienawidzą twojej matki z powodu tego, co stracili. I nienawidzą cię z oczywistych powodów. Wcześniej czy później coś z tobą zrobią. Coś przeciw tobie. Przeciw ludziom, którzy są ci bliscy.

262

263

Skinałem głową. Już działałem opierając się na tym założeniu. -A ty nie możesz mnie ochronić?

Nie odpowiedział. Objął ramieniem syna. W tym nowym Moonlight Bay rodzina może będzie miała przez jakiś czas pewne znaczenie, ale pojęcie "społeczność" straciło swój sens.

-Nie możesz, czy nie chcesz? - zastanawiałem się na głos. Nie czekając na kolejne milczenie, odezwałem się: - Wcale nie powiedziałeś mi, kim jest Carl Scorso.

-Miałem na myśli lysego mezczyzne, który zapewne wziął ciało mojego ojca do sekcji, do

jakiegoś niedostępnego ośrodka badawczego, nadal działającego pod ziemią w odległym kacie Wyvern.

-To jeden z więźniów, którzy zgodzili się uczestniczyć w eksperymentach.

Zlokalizowano i przetworzono ubytki genetyczne związane z jego poprzednimi socjopatycznymi zachowaniami. Już nie jest groźny. To jeden z naszych niewielu sukcesów.

Wpatrywałem się w Manuela, ale nie potrafiłem odczytać jego prawdziwych myśli.

-Zabił wloczege i wylupił mu oczy.

-Nie, to robota gromady. Scorso tylko znalazł trupa przy drodze i przywiozł Sandy'emu Kirkowi, żeby się go pozbył. To się czasem zdarza. Autostopowicze, wloczege... zawsze sporo ich płacze się wzdłuż wybrzeża. W dzisiejszych czasach niektórzy nie docierają poza Moonlight Bay.

-I z tym też potrafisz żyć.

-Robię, co mi się każe - odparł zimno.

Toby objął ojca, jakby chciał go ochronić i popatrzył na mnie, strwożony wyzywającym tonem, jakim odzywałem się do jego taty.

-Robimy, co się nam każe - powiedział Manuel. - Tak to obecnie wygląda, Chris.

Podjęto decyzję na bardzo wysokim szczeblu, żeby skończyć cały interes. Bardzo wysokim. Tylko wyobraź sobie, że sam prezydent Stanów Zjednoczonych był kimś w rodzaju wielbiciela nauki i dostrzegł szansę przejścia do historii, wykładając ogromne fundusze na inżynierię genetyczną, podobnie jak Roosevelt i Truman wsparli Manhattan Project, jak Kennedy poparł finansowo wysiłki umieszczenia człowieka na Księżycu, i przypuścmy, że wszyscy wokół niego... i politycy, którzy z nim przyszli... są teraz zdecydowani to ukryć.

-Czy tak właśnie było?

-Nikt na gorze nie chce ryzykować gniewu opinii publicznej. Może nie chodzi tylko o lek przed rozstaniem się z urzędem. Może boją się oskarżenia o zbrodnie przeciwko ludzkości. Rozzerwania na kawałki przez rozwścieczoną tłuszcę. Przecież... żołnierze z Wyvern i ich rodziny, które mogły zostać zarazone... są teraz rozsiani po całym kraju. Ilu następnym to przekazali? Mogłaby wybuchnąć panika. Powstałby międzynarodowy ruch, zadający kwarantannę dla USA. I bez sensownego powodu. Najwyższe władze uważają, że cała sprawa może zakończyć bieg bez poważnych skutków, osiągnie szczyt, a potem zwyczajnie się wyczerpie.

-Jest na to szansa?-Moze.

-Mysle, ze nie ma na to szansy.

Wzruszyl ramionami i pogladzil wlosy Toby'ego, nastroszone i w Nieladzie po zdjeciu gogli.

-Nie wszyscy ludzie z symptomami zmiany sa jak Lewis Stevenson. To, co sie im zdarza, ma nieskonczone odmiany. A tacy, ktorzy przechodza zla faze... maja potem spokoj. To zmienna sprawa. To nie zjawisko, jak trzesienie ziemi albo tornado. To proces. Gdyby kiedyś bylo to konieczne, poradze sobie z Lewisem.

-Moze to bardziej konieczne, niz zdajesz sobie sprawe - powiedzialem nie zdradzajac niczego.

-Nie potrzeba tylko nikogo ferujacego wyroki przez telefon. Musi byc porzadek, lad.

-Ale nie ma zadnego.

-Jestem ja - powiedzial.

-Czy jest mozliwe, ze zostales zainfekowany i nie wiesz o tym?

-Nie. To niemozliwe.

-Czy jest mozliwe, ze zmieniasz sie i nie wiesz o tym?

-Nie.

-Stajesz sie?

-Nie.

-Wystraszyles mnie jak jasna cholera, Manuel.

Sowa znow zahuczala.

Dal sie odczuc slaby, ale mile widziany powiew, jak ruch lyzka w zawieszistej mgle.

-Jedz do domu - powiedzial Manuel. - Niedlugo bedzie jasno.

-Kto nakazal zabicie Angeli Ferryman?

-Jedz do domu.

-Kto?

-Nikt.

-Mysle, ze zamordowano ja, bo usilowala to rozglosic. Powiedziala mi, ze nie ma niczego do stracenia. Bala sie, ze sie... staje.

-Gromada ja zabila.

-Kto kontroluje te gromade?

-Nikt. Nie mozemy kutasow znalezc.

Wydawalo mi sie, ze znam miejsce, w ktorym sie kreca; row odpływowy na wzgorzach, tam, gdzie znalazlem kolekcje czaszek. Ale nie zamierzalem dzielic sie ta informacja z Manuelem, bo w tym momencie nie bylem pewien, kto jest moim najgrozniejszym wrogiem, gromada czy Manuel i inne gliny.

-Jesli nikt ich na nia nie naslal, czemu to zrobily?

264

-Maja wlasny program dzialania. Moze czasami zbiega sie z naszym. Ale tez nie chca, zeby swiat sie o nich dowiedzial. Ze wzgledu na swoja przyszosc nie maja interesu w odkreceniu tego, co sie stalo. Wiec gdy jakos dowiedzialy sie o planach Angeli...Za tym nie stoi zaden genialny mozg, Chris. Sa wszystkie te czynniki... lagodne zwierzeta, zle zwierzeta, naukowcy w Wyvern, ludzie, ktorzy zmienili sie na gorsze, ludzie, ktorzy zmienili sie na lepsze. Wiele scierajacych sie czynnikow. Chaos. A chaos poglebi sie, zanim zmieni sie na lepsze. Teraz jedz do domu. Daj temu spokoj. Daj temu spokoj, zanim ktos cie namierzy, jak namierzono Angele.

-Czy to grozba?

Nie odpowiedzial.

Ruszylem z powrotem, prowadzac rower przez ogrod.

Toby powiedzial:

-Christopher Snow. Snow to snieg. Christopher to gwiazdka. Snieg na gwiazdke.

Gwiazdka i swiety Mikolaj. Swiety Mikolaj i sanki. Sanki na sniegu. Snieg na gwiazdke.

Christopher Snow. - Rozesmial sie z niewinnym zadowoleniem, rozbawiony ta dziwna slowna gra i wyraźnie uradowany moim zaskoczeniem.

Toby Ramirez, ktorego znalazem do tej pory, nie potrafilby nawet dokonac takiego prostego skojarzenia slow. Powiedzialem Manuelowi:

-Zaczynają ci się odplacać za współpracę, no nie?

Jego ojcowska duma po pokazie tej nowej umiejętności Toby'ego była tak poruszająca i tak głęboko smutna, że nie mogłem na niego patrzeć.

-Mimo wszystkich braków był zawsze szczęśliwy - powiedziałem o Tobym.

-Znajdował cel, spełnienie. Co stanie się teraz, kiedy uda im się zmienić go tak bardzo, że będzie niezadowolony z tego, kim jest... ale nie uda im się zmienić go do końca, żeby stał się normalny?

-Uda im się - odparł Manuel z przekonaniem, dla którego nie było uzasadnienia. - Uda.

-Ci ludzie, którzy stworzyli ten koszmar.

-Ma nie tylko złą stronę.

Pomyślałem o żalonych jakach gościa na strychu plebani, melancholii w głosie odmiennca, straszliwym pragnieniu i rozpaczliwej próbie przekazania sensu w belkocie.

Myslałem o Orsonie tamtej letniej nocy, rozpaczającym pod gwiazdami.

-Niech Bog ci pomoże, Toby - powiedziałem, bo też był moim przyjacielem.

-Niech cie Bog błogosławi.

-Bog miał swoją szansę - rzekł Manuel. - Od tej pory sami tworzymy swój los.

Musiałem stamtąd uciekać i to nie tylko dlatego, że niebawem miał nadejść świt.

Ruszyłem przez ogród - i nie zdawałem sobie sprawy, że biegnę, aż minąłem dom i znalazłem się na ulicy.

264

Gdy obejrzałem się na ten dom w letniskowym stylu, wyglądał inaczej niż poprzednio. Był mniejszy, niż pamiętałem. Przygarbiony. Posepny. Na wschodzie, wysoko nad światem, tworzyła się srebrnopopielata biel, zaczynał się zwyczajny świt lub dzień Sadu Ostatecznego.

W dwanaście godzin straciłem ojca, przyjaźń Manuela i Toby'ego oraz spora dawkę niewinności. Ovladnęło mnie przemożne uczucie, że czekają mnie dalsze i być może gorsze straty.

Uciekliśmy z Orsonem do domu Saszy.

Dom Saszy należy do KBAY i jest dodatkiem do pensji dyrektora rozgłośni. To mały jednopiętrowy domek w stylu wiktoriańskim z koronkowymi żeliwnymi ozdobami na frontach mansardowych okienek, deskach szczytowych, okapach, oknach i wokół drzwi, a także na balustradach werand. Dom byłby cackiem, gdyby nie pomalowano go w dworcowych kolorach. Ściany na kanarkowa żółć. Okienne i balustrady na koralowy róż. Reszta metalowych ozdób dokładnie w barwach ciasta cytrynowego. Wynik jest taki, jakby gromada fanów Jimmy'ego Buffeta, napojona do woli margerytami, pomalowała dom podczas długiego weekendu.

Ekstrawagancka elewacja nie przeszkadza Saszy. Jak twierdzi, mieszka w domu, nie poza nim, skąd mogłaby ją zobaczyć.

Głęboka tylna weranda obudowana szkłem. Sasza z pomocą elektrycznego ogrzewania w zimniejszych miesiącach przemieniła ją w żelaznik-cieplarnię. Na stołach, ławach i potężnych metalowych stojakach mieszczą się setki donic z terakoty i plastikowe podstawki. Hoduje w nich tymianek i trybulkę, majeranek, zieloną miętę, melisę, marantę i słodki marchewnik anyżowy, rozmaryn i rumianek, kardamon, kolendrę i koper, dzięgiel i dziewannę, cykorię, giseng, hizop, bazylię, wrotycz pospolity i estragon.

Dodaje ich do potraw, robi cudowne, subtelne w zapachu trociszki i zdrowotne napary, które powodują znacznie łagodniejsze wzdęcia, niż można by się spodziewać.

Nie zawracam sobie głowy noszeniem klucza. Zapasowy tkwi pod donicą w kształcie zabytku, pod żółknącymi liśćmi ruty. Gdy złośliwy świt osiągnął na wschodzie odcień bladej szarości i świat przygotował się na mordercze sny, wślizgnąłem się do kryjówki w domu Saszy.

W kuchni natychmiast włączyłem radio. Sasza szusowała przez ostatnie pół godziny programu, podając informacje o pogodzie. Nadal mieliśmy sezon deszczowy i z północnego zachodu nadchodziła burza. Niebawem po zmroku spadnie deszcz.

Gdyby zapowiedziała, że nadchodzi trzydziestometrowy przypływ i wulkaniczne wybuchy z wielkimi rzekami lawy, słuchałbym z przyjemnością. Jej gładki, lekko gar

łowy głos radiowy sprawił, że na twarzy pojawił mi się wielki uśmiech. Debiła i nawet tego poranka, przy końcu świata, nie potrafiłem oprzeć się jednoczesnemu rozluźnieniu i erotycznemu podnieceniu. Podczas gdy dzień jasniał coraz bardziej za oknami, Orson począł do pary plastikowych misek stojących w kacie na gumowym dywaniku. Na każdej

było jego imię.

Gdziekolwiek by poszedł; czy to do domku Bobby'ego, czy Saszy, wszędzie jest częścią rodziny.

Jako szczeniak dostawał wiele imion, ale nie chciało mu się na nie reagować.

Zauważywszy, jak pilnie skupia się na starych filmach Orsona Wellesa, puszcanych na wideo - a zwłaszcza na pojawienie się samego Wellesa - dla żartu nazwalismy go po aktorze-reżyserze. Od tamtej pory reagował na to przezwisko.

Stwierdziwszy, że miski są puste, Orson wziął jedną w zęby i przyniósł mi.

Napełniona woda odniosłem na gumowy dywanik, który zabezpieczał ją przed ślizganiem się po podłodze z białych płytek.

Porwał drugą i popatrzył na mnie błagalnie. Jak to bywa w wypadku każdego psa, ślepia i pysk Orsona lepiej wyrażają błaganie niż wyraziste rysy najbardziej utalentowanego aktora, który kiedykolwiek pojawił się na deskach scenicznych.

Na "Nostromo", przy stole z Rooseveltem, Orsonem i Mungo Jerrie, przypomniałem sobie dawne wysmienite malunki, przedstawiające psy grające w pokera. Wtedy przyszło mi do głowy, że podświadomość usiłuje przekazać mi coś ważnego, skoro wskrzesza tak drobiazgowo owe wizerunki. Teraz zrozumiałem. Każdy z psów na tych malunkach przedstawia inny typ człowieka i oczywiście każdy jest inteligentny jak człowiek.

Bedąc świadkiem zabawy Orsona i kota, "przedrzeźniania gatunkowych stereotypów", zdałem sobie sprawę, że niektóre ze zwierząt w Wyvern mogą być znacznie inteligentniejsze, niż poprzednio sądziłem - tak inteligentne, że nie byłem jeszcze gotów spojrzeć w twarz niesamowitej prawdy. Gdyby mogły utrzymać karty i mówić, zwyciężałyby w pokera, ba, ograłyby mnie do suchej nitki.

-Jest trochę wcześniej - powiedziałem biorąc miskę od Orsona. - Ale faktycznie miałem bardzo forsowną noc.

Wysypałem jego ulubioną suchą karmę do miski i zrobiłem obchód kuchni.

Opuszczałem załóżkę w obliczu rosnącego dziennego zagrożenia. Byłem przy ostatnich, gdy wydało mi się, że słysze odgłos drzwi, cicho zamykanych gdzieś w domu.

Zamarłem, nasluchiwałem.

-Co to? - szepnąłem.

Orson podniósł pysk znad miski, powietrzył, przekrzywił łeb, mruknął i znowu skupił się na

misce.

Trzystuarenowy cyrk w mojej glowie.

Umylem rece i ochlapalem twarz zimna woda.

268

269

W kuchni panuje nieskazitelny porzadek. Wszystko lśni i słicznie pachnie, ale jest ciasno. Sasza to fantastyczna kucharka i zestawy egzotycznych garnków oraz urządzeń zajmują co najmniej połowę lady. Tyle rondli, garnków, warzachwi i przyrządów zwisa z haków nad głową, że czujesz się, jakbyś brodził w jaskini, w której każdy centymetr stropu jest obwieszony stalaktytami. Szedłem przez dom zamykając zaluzje, czując jej fluidy w każdym kącie. Jest tak żywotna, że pozostawia po sobie aure, która długo wibruje po jej odejściu.

Dom nie ma jednego zasadniczego stylu, brakuje harmonii w ciągu mebli i dzieł sztuki. Natomiast każde pomieszczenie świadczy o jednej z pochłaniających ją namietności. Sasza jest kobietą wielu namietności.

Wszystkie posiłki jada się przy wielkim kuchennym stole, ponieważ jadalnia jest poświęcona muzyce. Przy jednej ścianie stoi elektroniczny instrument klawiszowy, syntetyzator pełna gęba, na którym może komponować na orkiestrę, gdyby chciała, a obok jest stolik kompozytorski i stół kartek z pustymi pięcioliniami czekającymi jej ołówka.

W środku pokoju perkusja. W kącie wysokiej jakości klawikord z odpowiednim taboretami. W innym kącie, za podium dla muzyków, na specjalnym wieszaku wiszą saksofony. Są tam też dwie gitary - akustyczna i elektryczna.

Pokój dzienny nie ma robić wrażenia na gościach, ale służy książkom - kolejnej namietności. Ściany są zastawione regałami, które pełnią w szwach od wydań w twardych okładkach i "broszur". Meble nie są modne; ani stylowe, ani niestylowe; fotele w neutralnej kolorystyce, kanapy wybrane ze względu na wygodę, na fakt, że idealnie służą do siedzenia, rozmawiania i przeżywania długich godzin z książką.

Na piętrze w pierwszym pokoju od schodów są: rowerek, "wioslarz", zestaw hantli od kilograma do dziesięciu, rosnących co kilogram, mata do ćwiczeń. Jest to również pomieszczenie do homeopatii, w którym trzyma Sasza zastępy buteleczek z witaminami i mineralami, i w którym ćwiczy jogę. Kiedy siada na rowerku, nie schodzi z niego, dopóki nie spłynie potem i nie wykreci przynajmniej czterdziestu pięciu kilometrów. Siedzi na "wioslarzu", dopóki nie przepłynie w wyobraźni jeziora Tahoe, utrzymując stały rytm śpiewając melodie Sary McLachlan, Juliana Hatfielda, Meredith Brooks albo Saszy Goodall, a kiedy robi "brzuszek" i przysiady, ma się wrażenie, że maty pod nią zaczynają dymić, zanim doszła do połowy. Po ćwiczeniach zawsze promienieje większa energia niż na

początku, tryska rumiencem i dobrym humorem. A po medytacjach w różnych pozycjach jogi intensywność jej zrelaksowania wydaje się tak potężna, że zdolna rozsądzić ściany pokoju.

Boże, kocham ja.

Wyszedłem z pokoju do ćwiczeń na korytarz i kolejny raz doznałem przecucia zagrażającej straty. Ogarnęły mnie tak silne dreszcze, że dopóki nie przeszły, musiałem wesprzeć się o ścianę.

268

269

Nic nie mogło się przydarzyć Saszy w świetle dnia, nie podczas dziesięciminutowej przejazdu przez centrum miasta, z rozgłosni do Signal Hill. Gromada chyba wynurzała się noca. W dzień zaszywała się gdzieś, być może w przepusty burzowe pod miasteczkiem albo nawet pod wzgórzem, gdzie znalazłem kolekcję czaszek. Z kolei ludzie, którym nie można było już ufać, odmiency jak Lewis Stevenson, wydawali się bardziej panować nad sobą w blasku słońca niż księżycą. Jak u ludzi-zwierząt w "Wyspie doktora Moreau" dzikość odzywała się w nich noca. Od zmierzchu tracili nad sobą panowanie; ożywała w nich żądza przygody i odwagali się na rzeczy, o których nigdy nie marzyli nawet za dnia. Z pewnością nic nie mogło przydarzyć się Saszy teraz, gdy wital nas świt, i może pierwszy raz w życiu poczułem ulgę widząc wstające słońce. Na końcu wszedłem do jej sypialni. Tu nie widziało się instrumentów muzycznych ani jednej książki, żadnych garnków ani tacek z ziołami, żadnych buteleczek z witaminami, sprzętu do ćwiczeń. Łóżko jest proste, ze zwyczajnym zapiekiem, bez deski w nogach. Okrywa je prosta biała kapa z cienkiego kordonku. Również toaletka, nocne szafki i lampy nie odznaczają się niczym szczególnym. Ściany są blade-żółte, jak cien porannego blasku słońca w chmurach; żadne dzieła sztuki nie dzielą gładkich płaszczyzn.

Niektórym pokojem wydawałoby się nagi, ale gdy Sasza tam przebywa, to miejsce jest udekorowane bardziej wyszukanie niż jakikolwiek barokowy salon we francuskim pałacu, a promienieje tak głębokim radosnym spokojem jak żaden zakątek ogrodu zen. Zawsze sypia spokojnie, tak głęboko i nieruchomo jak kamień na dnie morza, i często łapie się na tym, że chce jej dotknąć, poczuć ciepło nagiej skóry lub równomierny puls, by zazegnąć nagły lek, chwytający mnie od czasu do czasu. Jak w wypadku wielu innych czynności, namietnie lubi spać. Ma też namietność do namietności, a gdy się kocha, pokój przestaje istnieć i jestem w czasie bez czasu i w przestrzeni, której nie znalazłbyś na żadnej mapie, gdzie jest tylko Sasza, tylko jej blask i żar, boski żar, który lśni, ale nie spala.

Szedłem obok łóżka do pierwszego z trzech okien, w którym chciałem zamknąć żaluzje, gdy zobaczyłem jakiś przedmiot na kordonkowej kapie. Mały, nieregularny i doskonale wypolerowany; odłamek ręcznie malowanej, wypalanej porcelany.

Polowa usmiechniętych ust, krzywizna policzka, niebieskie oko. Odlamek twarzy lalki Christopher Snow, która roztrzaskała się o ścianę w domu Angeli Ferryman, tuż przed zgaszeniem świateł i napływem dymu na klatkę schodową.

Przynajmniej jedna malpa z gromady była tu w nocy.

Znowu targany dreszczami, ale tym razem dreszczami wściekłości, wyszarpnąłem pistolet z kieszeni i ruszyłem przeszukać dom, od strychu w dół, każdy pokój, każdą szafę ścienną, każdą komodę, najmniejszą przestrzeń, w której mogli ukryć się jeden z nienawistnych stworów. Klnąc, rzucając groźbami, które miałem zamiar spełnić co do joty, otwierałem gwałtownie drzwi, strzelałem szufladami, kijem od miotły szturchałem pod meblami. Narobiłem takiego wściekłego rumoru, że Orson przybiegł pedem, spo270 dziewcząc się, że walczę o życie - a potem szedł za mną w bezpiecznej odległości, jakby obawiając się, że w obecnym stanie poruszenia postrzele się w stopę, a jego w łapę, jeśli podejdziesz zbyt blisko.

W domu nie było ani jednego osobnika z gromady.

Podczas przeszukania chciałem napelnić wiadro wodą z silnym roztworem amoniaku i zetrzeć każdą powierzchnię, którą intruz - lub intruzi - mogli dotknąć: ściany, podłogi, schody i poręcze, meble. Nie dlatego, że podejrzewałem ich o zostawienie jakichś mikroorganizmów, które by mogły nas zarazić. Uważałem ich za głęboko nieczystych w sensie duchowym, jakby nie wyszli z laboratoriów Wyvern, ale z dziury w ziemi, z której unoszą się siarkowe wyziewy, straszliwe światło i dalekie wrzaski potępionych.

Zamiast iść po amoniak, wybrałem bezpośredni numer prowadzącego audycję w KBAY. Zanim wybrałem ostatnią cyfrę, zdałem sobie sprawę, że Sasza zeszła z anteny i jest w drodze do domu. Przerwałem połączenie i zadzwoniłem na numer komórki.

-Cześć, balwanku - powiedziała.

-Gdzie jesteś?

-Pięć minut drogi.

-Zablokowałaś drzwi?

-Co...?

-Na litość boską, czy zablokowałaś drzwi?!

Zawahała się. Po chwili:

-Teraz tak.

-Chociażby nie wiem kto dawał ci znaki, żebyś się zatrzymała, nie rób tego.

Chocby to byl nie wiem kto. Nawet przyjaciel, nawet gliniarz. Zwlaszcza gliniarz.

-A jesli przypadkowo przejade staruszcze?

-To nie bedzie staruszka. Bedzie tylko wygladala na staruszcze.

-Opadly cie duchy, balwanku?

-Nie mnie. Reszte swiata. Sluchaj, nie przerywaj polaczenia, dopoki nie wjedziesz na podjazd.

-Explorer do wiezy kontrolnej: mgla sie cofa. Nie potrzebujecie naprowadzac mnie glosem.

-Nie naprowadzam cie glosem. To ty mnie wyprowadzasz. Z rownowagi. Malo mnie tu nie rozwali.

-Jakos zdolalam to zauwazyc.

-Musze slyszec twoj glos. Przez cala droge. Przez cala droge do domu mow do mnie.

-Droga gladka jak zatoka - powiedziala starajac sie poprawic mi humor.

Sluchalem jej, az doprowadzila swoj woz do zatoki postojowej i wylaczyla silnik.

270

Bez wzgledu na slonce chcialem wyjsc na dwor i podejsc do niej, kiedy otwierala drzwi. Chcialem byc u jej boku z glockiem w dloni, gdy szla wokol domu do tylnej werandy, bo przez nia zwykle wchodzila. Wydawalo mi sie, ze minela godzina, zanim uslyszalem kroki na werandzie, gdy szla miedzy stolami. Otworzyla drzwi i stalem w szerokiej klindze porannego swiatla przecinajacej kuchnie. Wzialesm ja w ramiona, zatrzasnalem drzwi i usciskalem tak mocno, ze przez chwile zadne z nas nie moglo oddychac. Wtedy ja pocalowalem. Byla ciepla i prawdziwa, prawdziwa i cudowna, cudowna i zywa.

Jednakze bez wzgledu na to, jak mocno ja sciskalem, bez wzgledu na to, jak slodkie byly jej pocalunki, wciaz gnebilo mnie przeczucie, ze groza mi bolesne straty.

273

Czesc Szosta Dzień i Noc

273

32

Po tym wszystkim, co wydarzylo sie poprzedniej nocy, i ciaglym mysleniu o tym, co groznie

zapowiadało się przyszłej nocy, nie wyobrazałem sobie, że będę się kochał. Sasza nie wyobrazała sobie, że nie będzie się kochać. Choć nie wiedziała, co napawa mnie grozą, to widok mojego przerażenia i zdenerwowania - ogarniającego mnie na myśl, że mogę ją utracić - był dla niej takim afrodyzjakiem, iż nie potrafiłem dziewczynie odmówić.

Orson, jak zawsze dżentelmen, pozostał na dole w kuchni. Poszliśmy na górę do sypialni, a stamtąd w beczasowy czas i przestrzeń, której nie ma na żadnej mapie, gdzie Sasza jest jedyną energią, jedyną postacią materii, jedyną siłą we wszechświecie. Jakże jasna.

Kiedy już znalazłem się w takim nastroju, że nawet najbardziej apokaliptyczne wizje stały się znosne, opowiedziałem jej o mojej nocy od zachodu słońca do świtu, o milenijnych malpach i Stevensonie, o tym, jak Moonlight Bay jest teraz puszką Pandory pełną miriadów nieszczęść.

Jeśli uznała mnie za szalenca, dobrze ukryła swój osąd. Gdy opowiedziałem jej o wyzywającym zachowaniu gromady, które Orson i ja musieliśmy wytrzymać po opuszczeniu domu Bobby'ego, dostała gęsiej skórki i musiała włożyć szlafrok. Gdy stopniowo zdała sobie sprawę, jak rozpaczliwa jest nasza sytuacja, że nie mamy do kogo się zwrócić i dokąd się udać, gdybyśmy mogli uciec z miasteczka, że już może jesteśmy zarazieli plagą z Wyvern, której skutków nawet nie umiemy sobie wyobrazić - szczerzej otuliła się kołnierzem szlafroka.

Jeśli czuła obrzydzenie tym, co zrobiłem Stevensonowi, zdołała z wielkim powodzeniem ukryć emocje, bo gdy skończyłem, opowiadawszy nawet o szczatku lalki znalezionym na łóżku, wyslizgnęła się z szlafroka i mimo że nadal miała gęsia skórka, znowu powiodła mnie w swój blask.

Tym razem byliśmy cichsi niż poprzednio, poruszaliśmy się wolniej i łagodniej.

Przylegalismy do siebie z miłością i żądzą, ale również z desperacją, bo odczuliśmy nowy, dotkliwszy sens naszej izolacji. Co dziwne, chociaż czuliśmy się dwojgą skazanych, której nieodwracalnie tyka zegar kata, nasze przenikanie się było słodsze niż poprzednio.

274

275

A może to nie było wcale dziwne. Może krancowe niebezpieczeństwo pozbawiło nas wszystkich poz, ambicji, błędów widzenia, skupiło intensywniej niż zwykle, tak że pamiętaliśmy to, co przez większą część życia zapominalismy; iż nasza natura i celem jest ponad wszystko kochać duchowo i fizycznie, radować się pięknem świata, żyć ze świadomością, że przyszłości daleko do rzeczywistości teraźniejszości i przeszłości. Jeśli świat taki, jaki znamy, leciał w dół sedesu, moje pisanie i teksty Saszy nie miały znaczenia. Tłumaczac z Bogarta na Bergmana: w tej zwariowanej przyszłości, walacej opetanczo prosto na nas jak śnieżna lawina, ambicje dwojga ludzi nie były więcej warte od garnka

fasoli. Liczyły się tylko przyjazn, miłość i surfing. Czarodzieje z Wyvern sprawili, że życie moje i Saszy zredukowało się do spraw podstawowych, jak życie Bobby'ego Hallowaya.

Przyjazn, miłość i surfing. Łap to wszystko, poki gorące. Łap to wszystko, zanim przepadnie. Łap to wszystko, poki jesteś jeszcze na tyle człowiekiem, by docenić, ile to warte.

Przez chwile leżaliśmy w milczeniu, objęci, czekając, aż czas znów zacznie płynąć.

A może z nadzieją, że nigdy więcej nie popłynie.

Wreszcie Sasza powiedziała:

-Zaimprovizujemy coś.

-Oskarżasz mnie o rutynę?

-Miałam na myśli improwizację w kuchni. Omlety inaczej niż zwykle.

-Co? Coś ponad te cudowne kurcze białka? - ironizowałem, kpiąc z jej przesadnej skłonności do zdrowej kuchni.

-Dzisiaj wbije całe jajka.

-Teraz wiem, że to koniec świata.

-Na masle.

-Z serem?

-Ktoś musi pilnować, żeby krowy nie zdechły z lenistwa.

-Masło, ser, żółtka jajek. Więc wybrałaś samobójstwo.

Robiliśmy superminy do złej gry, ale bynajmniej nie było nam super na duszy.

I oboje o tym wiedzieliśmy.

Ale trzymaliśmy ten kurs, bo w innym wypadku musielibyśmy przyznać, jak bardzo jesteśmy wystraszeni.

Omlety były wyjątkowo dobre, jak i smazone ziemniaki, a także grubo posmarowane masłem bułeczki.

Podczas spożywanego przy świecach posiłku Orson krzątał wokół kuchennego stołu, piszczał proszaco i gdy mierzyliśmy go wzrokiem, patrzył na nas jak wygłodzone dziecko z

getta.

274

275

-Juz zjadles wszystko, co nasypalem ci do miski - zwrocilem mu uwage. Sapnal zaskoczony, ze smiem twierdzic cos takiego i skierowal zalosne piski pod adresem Saszy, jakby usilowal ja przekonac, ze nie dostal zadnego pokarmu. Polozyl sie na plecach, wil sie, machal lapami w krancowym ataku bezlitosnej milusienkosci, walczac o kes. Stanal na tylnych lapach i krecil sie w kolko. Byl bezwstydney.

Noga odsunalem trzecie krzeslo przy stole.

-Dobra, siadaj - powiedzialem.

Natychmiast wskoczyl na krzeslo i caly zamienil sie w sluch.

-Ta oto panna Goodall kupila ode mnie kompletnie niesamowita, niewasko zwariowana historyjke, bez zadnych dowodow poza kilkumiesiecznym dziennikiem umyslowo niezrownowazonego ksiedza. Zrobila to pewnie dlatego, ze jest krancowo sfiksowana na punkcie seksu, a ja jestem jedynym mezczyzna, ktory ma na nia ochote.

Sasza cisnela we mnie kawalkiem posmarowanej grzanki. Wyladowala na stole tuz przed Orsonem.

Pies rzucil sie na przysmak.

-Nie ma mowy, bratku! - powiedzialem.

Zamarl z otwartym pyskiem i obnazonymi zebami, centymetry przed grzanka.

Zamiast zjesc, obwachal ja tylko z wyrazna przyjemnoscia.

-Jesli pomozesz mi udowodnic pannie Goodall, ze to, co opowiedzialem o programie Wyvern, jest prawda, dam ci troche mojego omleta i ziemniakow.

-Chris, jego serce - zmartwila sie Sasza, wslizgujac sie w skore wyrozumialej karmicielki.

-On nie ma serca - zapewnilem ja. - On ma tylko zoladek.

Orson spojrzal na mnie z nagana, jakby chcial powiedziec, ze to nieuczciwe zabawiac sie w szyderstwa, wobec ktorych jest bezbronny. Powiedzialem mu:

-Kiedy ktos kiwa glowa, to znaczy "tak". Kiedy sie kreci glowa, to znaczy "nie".

Rozumiesz to, prawda?

Orson wpatrywał się we mnie, dysząc i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

-Może nie ufasz Rooseveltowi Frostowi - powiedziałem - ale na pewno ufasz tej oto damie. Nie masz wyboru, bo ona i ja zamierzamy od tej pory być razem, pod jednym dachem, do końca naszych dni.

Orson skierował uwagę na Sasze.

-Prawda? - spytałem ją. - Do końca naszych dni?

Uśmiechnęła się.

-Kocham cię, balwanku.

-Kocham panią, pannę Goodall.

-Od tej pory, psiaku, już nie będzie was dwóch - powiedziała Orsonowi.

-Będzie nas troje.

276

277

Orson zamrugał patrząc na mnie, zamrugał patrząc na Sasze i nie mrugając popatrzył z pozadaniem na grzankę. -Więc rozumiesz, jak to jest z kiwaniem i kreceniem głową? - spytałem.

Orson po chwili wahania skinął głową.

Sasze zatknęło.

-Myślisz, że jest miła? - spytałem.

Orson skinął głową.

-Podoba ci się?

Kolejne skinienie głową.

Ogarnął mnie taki zachwyt, że aż zakreciło mi się w głowie. Oblicze Saszy zalsniło takim samym uniesieniem.

Moja matka, która zniszczyła świat, wzbogaciła go również o cuda i czary.

Potrzebowałem współpracy Orsona nie tylko do potwierdzenia mojej opowieści, ale podniesienia nas na duchu i natchnienia wiara, że po Wyvern może być życie. Jeśli nawet ludzkość miała teraz przeciwników w rodzaju pierwszej gromady, która uciekła z laboratorium, jeśli nawet byliśmy zagrożeni tajemniczą plagą przekazywania genów między gatunkami, jeśli nawet tylko kilkoro spośród nas przeżyłoby najbliższe lata nie przechodząc głębokich zmian intelektualnej, emocjonalnej i nawet fizycznej natury - może była jednak szansa, że gdy my, obecni czempioni ewolucyjnej gry, potkniemy się, wypadniemy z wyścigu i odejdziemy w przeszłość, pojawia się godni następcy, którzy lepiej poradzą sobie w świecie niż my.

Chłodne pocieszenie jest lepsze niż żadne.

-Uważasz, że Sasza jest ładna? - spytałem psa.

Orson przyglądał jej się zamysłony przez kilka długich sekund. Odwrócił się do mnie i skinął głową.

-To mogłoby być trochę szybciej - powiedziała do niego Sasza.

-Nie spieszył się, dobrze ci się przyjrzał, więc wiesz, że był szczery - zapewniłem ją.

-Ja też myślę, że jesteś ładny - nagrodziła go komplementem.

Orson pomachał ogonem zwisającym poza krzesło.

-Jestem szczęśliwym facetem, co nie, bratku? - spytałem go.

Pokiwał energicznie głową.

-A ja szczęśliwa dziewczyna - powiedziała.

Orson odwrócił się do niej i pokręcił głową. "Nie".

-Hej! - zaprotestowałem.

Pies puczył do mnie perskie oko, uśmiechnął się i wydal ciche rzeźenie, które, przysięgam, było śmiechem.

-Nie może mówić - powiedziałem - ale stać go na sarkastyczne poczucie humoru.

276

277

Nie tylko robiliśmy supermine do złej gry. Byliśmy super. Jak jesteś autentycznie super, dasz sobie radę ze wszystkim. To jedno z kluczowych założeń filozofii Bobby'ego Hallowaya i jak

widze to z mojego obecnego punktu obserwacyjnego - postwyvernizmu - musze stwierdzic, ze filozof Bobby oferuje skuteczniejszy przewodnik po szczesliwym zyciu niz wszyscy jego tegoglowi wspolzawodnicy od Arystotelesa przez ?omasa More'a i Schellinga do Kierkegarda - i Jacopo Zabarella, ktory wierzy w pierwszenstwo logiki, porzadku, metody. Logika, porzadek, metoda. Jasne, wszystko wazne. Ale czy mozna zanalizowac i zrozumiec cale zycie, kierujac sie tylko tymi zasadami? Nie zamierzam twierdzic, ze spotkalem yeti, potrafie nawiazac kontakt z duchami zmarlych albo jestem wcieleniem Kahuny, lecz gdy widze, dokad doprowadzila nas logika, porzadek i metoda, do jakiej genetycznej burzy... no coz, mysle, ze bede szczesliwszy, jesli dosiade paru historycznych fal.

Apokalipsa nie przyprawia Sasze o bezsenosc. Jak zawsze spala gleboko.

Chociaz bylem wyczerpany, drzemalem nierowno. Drzwi sypialni zamknałem na klucz i krzeslo blokowalo galke. Orson spal na podlodze, lecz gdyby ktos wlamal sie do domu, nasz pies byl dobrym systemem wczesnego ostrzegania. Glock lezal na mojej nocnej szafce, a smith wesson kal. 0,38 chiefs special Saszy lezal na jej szafce. Mimo to, co rusz budzilem sie gwaltownie, pewny, ze ktos wlamuje sie do sypialni. Nie czulem sie bezpiecznie.

Sny nie uspokoily mnie. W jednym z nich bylem wloczega, idacym opuszczona pustynna szosa, bez powodzenia usilujac zlapac stop. W prawej rece nioslem walizke dokladnie taka, jaka mial ojciec. Gdyby wyladowano ja ceglami, nie moglaby byc ciezsza.

Wreszcie postawilem ja, otworzylem i wzdrygnalem sie, gdy Lewis Stevenson wynurzył sie z niej jak kobra z koszyka, oczy Isnily mu zlotym blaskiem i wiedzialem, ze skoro cos tak dziwnego jak trup szefa policji moze znalezc sie w mojej walizce, cos jeszcze dziwniejszego bedzie we mnie, a wtedy czubek czaszki mi sie otworzył... i obudzilem sie.

Godzine przed zachodem slonca zatelefonowalem do Bobby'ego z kuchni Saszy.

-Jak tam pogoda w centrum malpiarstwa? - spytałem.

-Pozniej przyjdzie burza. Wielkie grzywy daleko na pelnym morzu.

-Zmruzyles oko?

-Jak te blazny sie zmyly.

-Kiedy to bylo?

-Po tym, jak odwrocilem sytuacje i wypialem na nich tylek.

-Zrobilo im sie glupio - powiedzialem.

-Pewnie, cholera. Mam wieksza dupe od nich. Teraz juz wiedza.

-Masz zapas amunicji do strzelby?

278

-Kilka pudelek.-Przywieziemy wiecej.

-Sasza nie prowadzi dzis audycji?

-W soboty nie - powiedzialem - I moze juz nigdy wiecej w weekendy.

-To cos nowego.

-Sparzyliśmy sie. Sluchaj, masz tam gasnice?

-Teraz sie przechwalasz. Az tyle ognia nie wytwarzacie.

-Przywieziemy pare gasnic. Te gogusie maja smykalkę do podpalania.

-Myslisz, ze zacznie sie na serio?

-Zgadles.

Zaraz po zachodzie slonca, gdy ja czekalem w explorerze, Sasza weszła do sklepu z bronia ?ora kupic amunicje do strzelby, glocka i chiefs speciala. Zamowienie bylo tak duze i ciezkie, ze sam ?or Heissen wyniosl pakunki i zaladowal je do samochodu.

Podszedl do okna pasazera przywitac sie; wysoki, otyly mezczyzna, z dziobami po tradziku i szklanym lewym okiem. Nie jest jednym z najprzystojniejszych facetow swiata, ale to byly gliniarz z Los Angeles, ktory odszedl, bo tak kazaly mu zasady, a nie z powodu skandalu; aktywny swiecki pomocnik swojego pastora, takze zalozyciel - i najpowazniejszy darczyncia - przykoscielnego sierocinca.

-Slyszalem o twoim tacie, Chris.

-Przynajmniej juz nie cierpi - powiedzialem. Rownoczesnie zadalem sobie pytanie, co takiego dziwnego bylo w jego chorobie, ze ludzie z Wyvern musieli zrobic mu sekcje.

-Czasem to blogoslawienstwo - rzekl ?or. - Kiedy po prostu masz szanse odejsc po cichu, gdy twoj czas nadejdzie. Ale wielu ludziom bedzie go brakowalo. Byl dobrym czlowiekiem.

-Dzieki, panie Heissen.

-A co wy planujecie, dzieciaki? Chcecie rozpoczac wojne?

-Dokladnie - powiedzialem.

Sasza przekrecila kluczyk w stacyjce i zapalila silnik.

-Ona mowi, ze chcecie postrzelac do krabow. To niepoprawnie ekologicznie, prawda? Smial sie, gdy odjezdzalismy.

W ogrodzie za domem Sasza oswietlila latarka dziury, wydarte poprzedniej nocy na trawniku przez Orsona.

-Co on tu zakopal? - spytala. - Caly szkielet tyranosaurusa rexa!

-Zeszlej nocy - powiedzialem - myslalem, ze tylko odreagowywal zal po smierci taty. W ten sposob pozbywal sie negatywnej energii.

278

-Odreagowywal zal? - powiedziala, marszczac brwi. Wiedziala, ze Orson jest inteligentny, ale nadal nie potrafil w pelni ogarnac bogactwa jego zycia wewnetrznego lub podobienstwa do naszych reakcji. Bez wzgledu na to, jakimi technikami posluzono sie do spotegowania inteligencji tych zwierzat, polegala ona na wszczepieniu pewnego ludzkiego materialu genetycznego w ich DNA. Kiedy Sasza wreszcie to zrozumie, bedzie musiala usiasc i dokladnie przemyslec; moze przez tydzien.

Wtedy przyszlo mi do glowy, ze szuka czegos, co powinienem wiedziec. - Uklaklem na trawie obok Orsona. - Sluchaj, bratku, wiedzialem, ze byles strasznie zmartwiony wczoraj w nocy, rozpaczales po tacie. Byles roztrzesiony, nie bardzo pamietales, gdzie kopac. Nie ma go juz dzien i troche latwiej sie z tym pogodzic, no nie?

Orson zapiszczal cicho.

-Wiec postaraj sie jeszcze raz - powiedzialem.

Nie wahal sie, nie zastanawial, gdzie zaczac, ale podbiegl do dziury i zaczal ja poszerzac. Po pieciu minutach cos zadzwieczalo pod pazurami.

Sasza skierowala latarke na oklejony ziemia sloik na przetwory i wydobyłem go na wierzch.

W srodku byly zolte kartki, obwiazane gumka. Rozwinalem je, podnioslem pierwsza do swiatla i od razu poznalem pismo ojca. Odczytalem tylko pierwszy akapit: "Jesli czytasz to, Chris, ja nie zyje i Orson zaprowadzil cie do tego sloika w ogrodzie, bo tylko on wie o jego istnieniu. I od tego powinniśmy zaczac. Pozwol, ze powiem ci o twoim psie...".

-Trafione - powiedzialem.

Zwinalem kartki i wsunalem z powrotem do sloika. Spojrzalem na niebo. Zadnego ksiezycy. Zadnych gwiazd. Postrzepione niskie chmury byly czarne, lizane to tu, to tam zjadliwym

złotym blaskiem swiatel Moonlight Bay.

-Mozemy to pozniej przeczytac - powiedzialem. - Ruszmy sie. Bobby jest sam.

280

281

33

Sasza otworzyla tylne drzwi explorera. Krzyczace mewy krazyly nisko, pedzac ku bezpieczniejszym miejscom w glebi ladu, wystraszone wiatrem, ktory wzburzyl morze i skapal w pianie cypel przyladka. Trzymajac pakunki ze sklepu z bronia obserwowalem biale skrzydla sunace po niespokojnym czarnym niebie. Mgla dawno zniknela. Pod opadajacymi coraz nizej chmurami noc byla krystaliczna. Wokol nas, na polwyspie, kladla sie skapo trawa wydmowa.

Wiatr ganial po wydmach mini-tornado, jak blade duchy wywiedzione z grobow.

Zastanawialem sie, czy cos wiecej niz wiatr nie przepedzilo mew z ich kryjowek.

-Nie ma ich jeszcze - zapewnil mnie Bobby, biorac dwa pudelka z pizza z bagaznika explorera. - Za wczesnie na nie.

-Malpy zwykle jedza o tej porze - rzeklem. - Potem wieczorek tancujacy.

-Moze w ogole dzis nie przyjda - rozmarzyla sie Sasza.

-Przyjda - stwierdzilem stanowczo.

-No. Przyjda - zgodzil sie ze mna Bobby.

Wszedl do domu, niosac nasza kolacje. Orson trzymal sie go blisko, nie ze strachu, ze mordercza gromada moze nawet teraz kryc sie miedzy wydmami, ale pilnujac, by nie doszlo do nieuczciwego podzialu pizzy.

Sasza wyjela z explorera dwie plastikowe torby. Byly w nich gasnice kupione w sklepie z materialami zelaznymi Crown.

Zatrzasnela tylne drzwi i pilotem zamknela caly samochod. Dzip Bobby'ego zajmowal caly garaz, wiec zostawilismy explorera przed domkiem.

Sasza odwrocila sie do mnie. Wiatr uniosl jej wlosy, niczym Isniaca ciemna bandere.

Skora Saszy Isnila lagodnym blaskiem, jakby ksiezyc zdolal precisnac wspanialy promien przez geste chmury. Wydawala sie niezemskim zjawiskiem, duchem sil natury.

-Co? - rzuciła, nie mogąc odczytać mojego spojrzenia.

-Jestes taka piekna. Jak bogini wiatru, przywołująca burze.

-A ty pieprzysz, że uszy puchną - skwitowała, ale uśmiechnęła się.

-To jedna z moich najbardziej czarujących cech.

280

281

Minitornado zakreśliło się wokół nas jak plasający derwisz, plując w twarz drobnymi kamyczkami, więc szybko przeszliśmy do domu. Bobby czekał na nas. Przygasił światła do przyjemnego półmroku. Gdy weszliśmy, przekreślił zamek w drzwiach.

-Bardzo bym chciała, żebyśmy mogli zabić je dykta - powiedziała Sasza, patrząc na duże szyby.

-To mój dom - oznajmił Bobby. I nie zamierzam zabijać deskami okien, leżąc plackiem i mieszkać jak więzien tylko z powodu jakichś cholernych małp.

-Od kiedy znam tego niesamowitego gogusia - powiedziałem do Saszy - nie dał się zastraszyć małpom.

-Prawie - zgodził się ze mną Bobby. - I nie zamierzam dać się zastraszyć teraz.

-Przynajmniej spuścimy załuzje - zaproponowała Sasza.

Potrząsnąłem głową.

-Zły pomysł. To wzbudzi w małpach podejrzliwość. Jeśli będą mogły się nam przyjrzeć i nie dojrzą, że się na nie czaimy, staną się mniej ostrożne.

Sasza wyjęła gasnice z pudeł i usunęła plastikowe zabezpieczenia spustów. Były pięciokilogramowe, typu używanego na jachtach i łatwe w obsłudze. Pierwszą postawiła w kacie kuchni, gdzie była niewidoczna z okna, a drugą wsadziła obok jednej z kanap w pokoju dziennym.

Tymczasem Bobby i ja siedliśmy w kuchni, z pudełkami amunicji na podłokach, pracując pod stołem, na wypadek pojawienia się małp. Sasza kupiła trzy zapasowe magazynki do Glocka i trzy ładowniki do jej rewolweru. Wkładaliśmy do nich naboje.

-Po wyjściu od ciebie odwiedziłem Roosevelta Prosta... - zacząłem.

Bobby spojrzał na mnie spod oka.

-Pogadali sobie po bratersku z Orsonem?

-Roosevelt probowal. Orson bynajmniej. Ale byl tam kot. Nazywa sie Mungojerrie.

-Jasne - rzekl sucho.

-Kot powiedzial, ze ludzie z Wyvern chcieli, zebym dal temu spokoj, po prostu odsunal sie.

-Rozmawiales z kotem osobiscie?

-Nie. Roosevelt przekazal mi wiadomosc.

-Jasne.

-Wedlug kota mialem dostac ostrzezenie. Jak nie przestane wsadzac nosa w nie swoje sprawy, pozabijaja moich przyjaciol jednego po drugim, az do skutku.

-Zdmuchna mnie, zeby ostrzec ciebie?!

-To oni wpadli na ten pomysl, nie ja.

-Nie moga po prostu ciebie zabic? Mysla, ze potrzeba im do tego jakiegos cudownego materialu wybuchowego?

282

283

-Roosevelt mowi, ze mnie czcza.-No, a kto nie czci? - Nawet poznawszy malpy nadal zachowywal rezerwe w sprawie antropomorfizacji zwierzecych zachowan. Ale wyrazniej obnizyl poziom sarkazmu.

-Zaraz po zejsci z "Nostromo" - powiedzialem - dostalem ostrzezenie, dokladnie jak kot przewidzial.

Gdy opowiedzialem Bobby'emu o Lewisie Stevensonie, rzekl:

-Zamierzal zabic Orsona?

Orson zaskomlal z posterunku obok lady kuchennej, na ktorej lezaly pudelka z pizzami, jakby potwierdzal moja relacje.

-Wiec zastrzeliles szeryfa? - spytal Bobby.

-Szefa policji.

-Zastrzeliles szeryfa - upieral sie.

Wiele lat temu byl zdecydowanym swirem na punkcie Erica Claptona, ktorego jedna z piosenek zaczynala sie od slow: "Zastrzelilem szeryfa", wiec rozumialem, czemu woli te range.

-W porzadku. Zastrzelilem szeryfa... ale zastepce zostawilem zywego.

-Musze caly czas trzymac cie na muszce.

Skonczyl napelniac ladowniki i wsadzil je do ladownicy, ktora Sasza rowniez kupila.

-Koszula po zboju - zauwazylem.

Mial na sobie rzadka hawajska koszule z dlugimi rekawami i niezwyklymi tropikalnymi malunkami: pomarancze, czerwienie i zielenie.

-Kamehameha Garment Company, okolo 1950 roku.

Uporawszy sie z gasnicami Sasza weszla do kuchni i wlaczyla jeden z dwoch piekarnikow, by podgrzac pizze.

-Wtedy podpalilem radiowoz, zeby zniszczyc dowody - wyznalem Bobby'emu.

-Z czym sa te pizze? - spytal Saszy.

-Na jednej pepperoni, kielbasa i cebula na drugiej.

-Bobby nosi uzywana koszule - powiedzialem jej.

-Antyk - dodal.

-W kazdym razie, kiedy podpalilem radiowoz, poszedlem do swietej Bernadetty i wszedlem do srodka.

-Wlam?

-Przez niezamkniete okno.

-Wiec tylko wtargnales na cudza posesje - zdefiniowal.

Skonczylem ladowac zapasowe magazynki do glocka i stwierdzilem:

-Uzywana koszula, antyczna koszula, dla mnie to jedno i to samo.

-Jedno jest tanie - wyjasnila Sasza - a drugie nie.-Drugie, to sztuka - dodal Bobby. Podal jej ladownice. - Masz.

Wziela ja i przypielala do pasa.

-Siostra ojca Toma byla znajoma z pracy mojej mamy - oznajmilem.

-Typ szalencza gotowego wysadzić świat? - spytal Bobby.

-Materiały wybuchowe nie wchodzą w grę. Ale i tak teraz jest zarazona.

-Zarazona. - Wyszczerył zęby. - Naprawdę musimy się tym zajmować?

-No. Ale to raczej skomplikowane. Genetyka.

-Cos dla supermozgowcow. Nuda.

-Nie tym razem.

Daleko na morzu jasne arterie błyskawic przemknęły po niebie, a po nich rozległo się dudnienie gromu.

Sasza kupila tez myśliwski pas na naboje srutowe. Bobby zaczął go uzupełniać.

-Ojciec Tom też jest zarazony - powiedziałem wsadzając jeden z zapasowych magazynków z amunicją 9 mm do kieszeni koszuli.

-A ty jesteś zarazony? - spytal Bobby.

-Może. Mama musiała być. I tato.

-Jak to przeszło?

-Płyń ciała - wyjaśniłem umieszczając dwa magazynki za grubą czerwoną świecą na stole, gdzie nie mogły być dostrzeżone z okna. - A może inaczej.

Bobby spojrzal na Sasze, która przelożyła pizzę na blachy do pieczenia.

Wzruszyła ramionami i powiedziała:

-Skoro Chris jest zarazony, to i ja.

-Rok mija, jak pierwszy raz wzięliśmy się za ręce - wyjaśniłem Bobby'emu.

-Chcesz sam podgrzać sobie pizzę? - zapytała Sasza.

-Nie. Za duzo zachodu. Nie przejmuj sie, zarazaj mnie.

Zamknalem pudelko z amunicja i polozylem na podlodze. Pistolet nadal mialem w kieszeni kurtki wiszacej na krzesle. Sasza zajmowala sie pizzami.

-Orson nie musi byc zarazony - powiedzialem. - Rzecz w tym, ze moze byc raczej nosicielem czy kims takim.

Bobby toczyl naboje do strzelby na klykciach, jak magik monete.

-Wiec kiedy trysnie ropa i zacznie sie rzyganie? - zapytal.

-To nie taki rodzaj choroby. To raczej proces.

Znow zalsnila blyskawica. Piekna. I zbyt szybka, by wyrzadzic mi jakas szkode.

-Proces - powtorzyl zamyslony Bobby.

-Faktycznie nie chorujesz. Tylko... sie zmieniasz.

Sasza wsunela pizze do piekarnika, by je podgrzac.

-A czyja byla ta koszula, zanim ja dostales? - dociekala.

284

285

-Wtedy? W latach piecdziesiatych? Kto wie? - zastanowil sie Bobby.-Czy dinozaury wtedy zyly? - zapytalem.

-Niewiele - rzekl Bobby.

-Z czego jest? - ciekawosc nie opuszczala Saszy.

-Ze sztucznego jedwabiu.

-Wyglada znakomicie.

-Takich koszul sie nie szarga - rzekl z powaga Bobby - je sie szanuje.

Wyjalem z lodowki corone dla kazdego oprócz Orsona. Z powodu duzej wagi psisko zwykle wypijalo jedno piwo i dalej pewnie stalo na nogach, ale tej nocy musialo miec idealnie trzezwý leb. Reszta potrzebowała browarku; male uspokojenie nerwow poprawi nasza skutecznosc.

Gdy stojąc przy zlewie otwierałem butelki, błyskawica rozdarła niebo, nieskutecznie próbując wydrzeć deszcz z chmur. W błysku ujrzałem trzy pochylone postaci, pedzace od jednej wydmy do drugiej.

-Sa już - oznajmiłem stawiając piwo na stole.

-Zawsze potrzebują trochę czasu, żeby zebrać się na odwagę - powiedział Bobby.

-Mam nadzieję, że dadzą nam czas, by zjeść kolację.

-Umieram z głodu - poskarżyła się Sasza.

-Dobra, więc jakie są podstawowe objawy tej niechoroby, tego procesu? - zapytał Bobby. - Czy na końcu będziemy wyglądać jak jakas poskrecona huba debowa?

-Niektórzy mogą przejść degenerację psychiczną, jak Stevenson - wyjaśniłem.

-Niektórzy mogą też zmienić się fizycznie, nieznacznie. Mogą być i poważniejsze zmiany, z tego co wiem. Ale wygląda na to, że każdy przypadek jest inny. Niewykluczone, że niektórzy ludzie nie są dotknięci chorobą, przynajmniej dostrzegalnie, a inni naprawdę się zmienili.

Gdy Sasza musnęła z podziwem rękaw koszuli Bobby'ego, powiedział:

-Wzór jest z fresku Eugene'a Savage'a "Island Feast".

-Guziki są naprawdę stylowe - szepnęła, wprowadzona teraz w nastrój.

-Totalnie stylowe - potwierdził Bobby, gładząc palcem jasnozłote, złobione guziki, uśmiechnięty i dumny jak kolekcjoner-pasjonat doznający zmysłowej rozkoszy.

-Polerowana skorupa kokosa.

Sasza wyjęła z szuflady i przyniosła do stołu papierowe serwetki.

Powietrze było gęste i wilgotne. Czulo się, że burza nadyma się jak balon. Wkrótce miał pęknąć. Lyknawszy lodowatej corony powiedziałem Bobby'emu:

-Dobra, bratku, zanim opowiem ci resztę, Orson zrobi ci mały pokaz.

-W razie potrzeby mam kompletną plastikową zastawę.

Wezwalem Orsona.-Na kanapach w pokoju dziennym jest kilka poduszek. Jedna to prezent ode mnie.

Przyniesiesz ja Bobby'emu?

Orson wyszedl z kuchni.

-Co sie dzieje? - zdziwil sie Bobby.

Sasza siadajac z piwem usmiechnela sie szeroko.

-Tylko zaczekaj. - Jej chiefs special kal. 0,38 byl na stole. Przykryla bron serwetka. - Tylko zaczekaj.

Kazdego roku Bobby i ja dawalismy sobie nawzajem prezenty na swieta. Po jednym.

Poniewaz mielismy wszystko, co potrzebne, wartosc i uzytkowosc nie byly kryteriami zakupu. Pomysl polegaj na tym, zeby dac najwieksze bezguscie, jakie udalo sie znalezc.

Taka byla uswiecona tradycja, wprowadzilismy ow zwyczaj, kiedy mielismy dwanasce lat. W sypialni Bobby'ego, na polce, jest kolekcja ohydnych prezentow, ktore mu dalem; jedynie poduszka nie okazala sie dosc koszmarna, by tam wyladowac.

Orson wrocil do kuchni z nie dosc paskudnym artykulem w pysku i Bobby wzial poduszke, udajac, ze wyczyn psa nie zrobil na nim wrazenia.

Na mierzacej dwadziescia centymetrow na trzydziesci poduszce wyszyto napis.

Wyrob byl dzielem popularnego telewizyjnego kaznodziei i sluzyl do zbierania datkow.

Napis nad ozdobnym brzegiem glosil: JEZUS ZJADA GRZESZNIKOW I WYPLUWA ZBAWIONE DUSZE.

-Nie uwazasz, ze jest ohydny? - spytala z niedowierzaniem Sasza.-Tak - powiedzial Bobby zapinajac na sobie pas z amunicja bez wstawiania z krzesla. - Ale nie dosc ohydny.

-Mamy niesamowicie wysokie standardy - wyjasnilem.

W rok po tym, jak obdarowalem Bobby'ego poduszka, dalem mu w prezencie porcelanowa figurke Elvise Presleya. Elvis jest w jednym ze swoich najbardziej blyszczacych vegasowych strojow koncertowych; bialy jedwab i cekiny. Siedzi na sedesie w chwili smierci. Rece zlaczone do modlitwy, oczy uniesione do niebios, aureola nad glowa.

W tej bozonarodzeniowej konkurencji Bobby ma utrudniona pozycje startowa, gdyz upiera sie, by osobiscie lazic po sklepach w poszukiwaniu idealnych smieci. Ja z powodu XP

jestem skazany na zamówienia pocztowe i dysponuje taką ilością katalogów tych odpustowych artykułów, że zapełniłbym nimi regały Biblioteki Kongresu.

-Zgrabna sztuczka - przyznał Bobby, obracając poduszkę w dłoniach i patrząc ze zmarszczonym czołem na Orsona. - Żadna sztuczka - zaprotestowałem. - W Wyvern z pewnością przeprowadza się wiele różnych eksperymentów. Jeden z nich polega na spotęgowaniu inteligencji ludzi, jak i zwierząt.

-Bujda.

286

287

-Prawda.-Wariactwo.

-Całkowicie.

Polecilem Orsonowi zanieść poduszkę z powrotem, następnie pojsć do sypialni, otworzyć przesuwane drzwi i wrócić z czarnym eleganckim pantoflem Bobby'ego.

Kupił je zorientowawszy się, że na pogrzeb mojej mamy mogłoby założyć tylko klapki, sandały i obuwie sportowe.

W kuchni rozchodził się zapach pizzy i pies wpatrywał się tęsknie w piekarnik.

-Dostaniesz swoją część - zapewniłem go. - Teraz zmiataj.

Gdy Orson ruszył z kuchni, Bobby go zatrzymał:

-Poczekaj.

Orson spojrzał na niego wyczekująco.

-Nie było jaki but. I nie było jaki elegancki pantofel. Przynies lewy pantofel.

Sapnawszy, jakby uznał, że ta komplikacja jest bez znaczenia, Orson podał wypelnic zlecenie.

Daleko nad Pacyfikiem rozszarpane schody błyskawic połączyły niebo z oceanem, jakby zapowiadając zejście archaniołów. Grom zatrzęsł oknami i odbił się w ścianach domku.

Na naszym spokojnym wybrzeżu rzadko zdarzają się tego rodzaju pirotechniczne pokazy. Wyglądało na to, że czeka nas ciężka burza.

Postawiłem na stole czerwony pieprz, papierowe talerze i tacki, na których Sasza położyła

pizze.

-Mungojerrie - powiedział Bobby.

-To imię ze zbiorku wierszy o kotach.

-Brzmi pretensjonalnie.

-Jest miłe - zaprotestowała Sasza.

-Buras - powiedział Bobby. - To jest imię dla kota.

Podniósł się wiatr, trzesąc osłonę wylotu wywietrznika na dachu i gwizdząc pod okapem. Nie byłem pewien, ale zdawało mi się, że słyszę dalekie, przypominające wołanie nura, krzyki gromady.

Bobby jedną ręką zmienił położenie strzelby leżacej obok na podłodze.

-Buras albo Miauczurka - powiedział. - Oto solidne kocie imiona.

Sasza odcięła kawałek pizzy pepperoni i odłożyła na bok do wystygnięcia dla Orsona.

Pies wrócił do kuchni z eleganckim trzewikiem w pysku. Pokazał go Bobby'emu. To był lewy but.

Bobby zaniósł go do kosza na śmieci.

-Nie chodzi o ślady zębów ani o ślinę - zapewnił Orsona. - Już nie zamierzam więcej chodzić w wieczorowych butach.

286

287

Przypomniałem sobie kopertę z bronią na moim łóżku, znaleziona poprzedniej nocy. Była lekko wilgotna i miała dziwne wgłębienia. Ślina. Ślady zębów. To Orson położył pistolet mojego ojca w takim miejscu, w którym musiałem go znaleźć. Bobby wrócił do stołu i siadł wpatrzony w psa.

-No i...? - spytałem.

-Co?

-Wiesz co.

-Muszę to powiedzieć?

-No.

Westchnal.

-Czuje sie tak, jakby wielka ryczaca fala przylozyla mi w leb i odpływajac wyssala mozg.

-Jestes hitem wieczoru - powiedzialem Orsonowi.

Sasza studzila kawalek pizzy dla psa, dbajac o to, by ser nie byl za goracy, nie przylgnal mu do podniebienia i nie sparzyn. Postawila talerz na podlodze.

Orson tlukl ogonem o nogi stolu i krzesel, udowadniajac, ze wysoka inteligencja niekoniecznie wspolgra z dobrymi manierami przy stole.

-Mizia - powiedzial Bobby. - Proste imie. Kocie imie. Mizia.

Jedlismy pizze i pilismy piwo, a trzy migocace swiece dostarczaly tyle swiatla, bym mogli przegladac liniowane kartki, na ktorych ojciec pozostawil mi zwiezly opis dzialalnosci w Wyvern, tajnych doswiadczen, ktore doprowadzily do katastrofy, i szczegoly udzialu mojej matki. Chociaz tato nie byl naukowcem i uzywal przewaznie jezyka laika, bylo tam bogactwo informacji. - "Maly goniec" - powiedzialem. - Takiego okreslenia uzyl Lewis Stevenson zeszlej nocy, kiedy zapytalem go, co sprawilo, ze sie zmienil. "Maly goniec, ktory nigdy nie umrze". Mowil o retrowirusie. Wyglada na to, ze moja matka opracowala teoretyczny model retrowirusa... z mozliwoscia selektywnej retranspozycji.

Podnioslem wzrok znad zapiskow taty. Sasza i Bobby patrzyli na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

-Orson pewnie wie, o czym mowisz, bratku - wyznal Bobby - ale ja wylecialem z college'u.

-A ja jestem didzejka - powiedziala Sasza.

-Do tego dobra - przyznal Bobby.

-Dziekuje.

-Chociaz puszczasz za duzo Chrisa Isaaka - dodal.

Tym razem blyskawica nie zeszla z nieba, ale opadla pionowo, szybko, jak rozjasniona ekspresowa winda z ladunkiem materialow wybuchowych, eksplodujacych po uderzeniu w ziemie. Wydawalo sie, ze caly cypel podskakuje. Dom sie zatrzasl, a deszcz - prysznic odlamkow - zagrzechotal po dachu.

288

289

-Moze nie lubia deszczu - powiedziała Sasza spoglądając w okna. - Moze beda trzymaly sie z dala. Siegnalem do kieszeni kurtki wiszacej na krzesle i wyjalem glocka. Polozylem go na stole, w blizszym zasiegu i powtorzylem sztuczke Saszy z papierowa serwetka.

-Podczas prob klinicznych naukowcy przewaznie stosowali wobec wielu chorob... AIDS, raka, chorob dziedzicznych... rozne terapie genetyczne. Pomysl polega na tym, ze jesli pacjent ma pewne braki albo uszkodzenia genetyczne, zastepuje sie zle geny sprawnymi kopiami lub uzupelnia braki, co pozwala komorkom lepiej zwalczac chorobe. Osiagano zachecajace wyniki. Rosly skromne sukcesy. A byly takze bledy, nieprzyjemne pomyлки.

-Zawsze jest jakas Godzilla - powiedzial Bobby. - W jednej minucie miasto wrze, cale szczesliwe i dobrze prosperujace, a w nastepnej ta wielka jaszczurka zrownuje wszystko z ziemia.

-Problemem jest dostarczenie pacjentowi zdrowych genow. Przewaznie do transportu uzywa sie uszkodzonych wirusow. Wiekszosc z nich to retrowirusy.

-Uszkodzonych? - powtorzyl Bobby.

-To znaczy niezdolnych do reprodukcji. W ten sposob nie zagrazaja cialu. Gdy tylko przeniosa ludzki gen do komorki, potrafia dokladnie wprowadzic go do chromosomow.

-Goncy - powiedzial Bobby.

-I kiedy zrobia swoje - zapytala Sasza - powinny umrzec?

-Czasem nie gina szybko - powiedzialem. - Moga doprowadzic do podraznienia lub powaznej reakcji ukkladu odpornosciowego, zniszczenia wirusow i komorek, do ktorych dostarczyla sie geny. Wiec niektorzy naukowcy badali sposoby modyfikacji retrowirusow, by upodobnic je do retrotranspozonow. Sa to kawalki DNA pacjenta, ktore potrafia sie mnozyc i wnukac w chromosomy.

-Oto nadchodzi Godzilla - powiedzial do Saszy Bobby.

-Balwanku, skad sie znasz na tych wszystkich bzdurach? - spytala. - Nie opanowales ich czytając te kartki przez dwie minuty.

-Kiedy wiesz, ze najbardziej jalowe opisy prac naukowych moga ci uratowac zycie, jestes gotow czytac je od deski do deski - powiedzialem. - Jesli ktos znalazlby sposob zastapienia moich uszkodzonych genow sprawnymi kopiami, moj organizm potrafilby produkowac enzymy zdolne do naprawienia szkod, ktore swiatlo wyrzadza mojemu DNA.

-I wtedy koniec z Nocnym Robalem - powiedzial Bobby. - Zegnaj, swiroswiecie.

Odglos krokow na werandzie zagluszyl halas deszczu bijacego o dach. Spojrzelismy w

tamtym kierunku. Wielki rezus wskoczył z werandy na parapet okna przy zlewie.

288

289

Futro miał mokre i zbite, tak że wyglądał na znacznie chudsze. Balansował zrecznie na wąskim występie i skubał drobną łapą pionowy słupek okienny. Przyglądał się nam ze zdawaloby się, zwyczajna małpa ciekawością i sprawiałby niewinne wrażenie - gdyby nie groźne ślepią. - Pewnie szybciej się zdenerwują, kiedy będziemy je ignorować - powiedział Bobby.

-Im bardziej zdenerwowane, tym bardziej nieostrożne - dodała Sasza.

Ugryzłem kolejny kawałek pizzy z kiełbasą i cebulą. Stukając w stos kartek na stole rzekłem:

-Przeglądając trafilem na akapit, w którym tato wyjaśnia, jak wiele zrozumiał z teorii mamy. Znalazła rewolucyjne nowe podejście na potrzeby pograniczy Wyvern, takie przekształcenie retrovirusów, że bezpiecznie przenosiły geny do komórek pacjentów.

-Wyraźnie słysze łapy wielkiej jaszczurki - powiedział Bobby. - CZLAP, CZLAP, CZLAP, CZLAP.

Małpa za oknem wrzasnęła na nas. Spojrzałem w bliższe okno, koło stołu, ale niczego nie dostrzegłem.

Orson wsparł się przednimi łapami o stół i teatralnie wyraził chęć na kolejny kawałek pizzy, wdzięcznie przymilając się Saszy.

-Wiesz, jak dzieci wykorzystują jednego rodzica przeciwko drugiemu - ostrzegłem ją.

-Jestem raczej jego bratową - powiedziała. - Zresztą to może być jego ostatni posiłek. Nasz też.

Westchnałem.

-Dobrze. Ale jak nie zostaniemy zabici, to stworzymy fatalny precedens.

Druga małpa wskoczyła na parapet. Obie wrzeszczały i groźnie szczyrzyły zębami.

Sasza wybrała najcięższy kawałek pizzy, pocięła go i położyła na psim talerzu na podłodze.

Orson zerknął z niepokojem na stworzy w oknie, ale nawet widmo zagłady z łap naczelnych nie mogło zniszczyć jego apetytu. Skupił się na posiłku.

Jedna z malp zaczęła rytmicznie tłuc w szybe, wrzeszcząc coraz głośniej. Jej zęby były większe i ostrzejsze niż u przeciętnego rezusa, na tyle wielkie i ostre, że z powodzeniem odgrywała wymagającą rolę drapieżcy. Może była to cecha stworzona przez dowcipnych chłopców z Wyvern, pracujących nad nowymi broniąmi. W wyobraźni ujrzałem rozdarte pazurami gardło Angeli.

-Chce odwrócić naszą uwagę od czegoś innego? - zasugerowała Sasza.

-Nie wejda do domu nie rozbijając szkła - zapewnił Bobby. - Usłyszymy to.

-W tym hałasie i w deszczu? - spytałem.

290

291

-Usłyszymy.-Nie sadzę, że powinniśmy się rozchodzić do różnych pokoi, jeśli nie ma ku temu absolutnej konieczności - powiedziałem. - Są na tyle inteligentne, by znać zasadę "dziel i rządź".

Kolejny raz zlustrowałem najbliższe okno, ale na tamtym odcinku werandy nie było żadnej małpy. Jedynie deszcz i wiatr przesuwali się na mrocznych wydmach za balustradą.

W oknie nad zlewem małpie udało się odwrócić plecami i nadal utrzymać na parapecie. Piszczala jakby ze śmiechu, wypinając nagi, wstretny tyłek.

-Więc co się stało, kiedy wszedłeś na plebanie? - chciał się dowiedzieć Bobby.

Czując, że czas ucieka, szybko podsumowałem wydarzenia na strychu, w Wyvern i domu Ramireza.

-Manuel dołączył do stada - powiedział Bobby, smutno krecąc głowę.

-Uuuch - westchnęła Sasza.

Samiec zwrócony do nas gęba, obsikiwał obficie okno.

-Proszę, nowosc - zauważył Bobby.

Kolejne małpy zaczęły wyskakiwać w powietrze, jak kukurydza prazona na gorącym oleju, pojawiały się i znikaly. Wszystkie piszczały i wrzeszczały. Wydawało się, że są ich całe zastępy, chociaż na pewno było to wciąż te same pół tuzina skaczącego, wirującego żywego popcornu.

Dopilem piwa.

Utrzymanie spokoju stawało się z każdą minutą trudniejsze. Nawet udawanie spokoju przekraczało mój zasób energii i skupienia.

-Orson, to byłby niezły pomysł, gdybyś przespacerował się po domu - powiedziałem.

Zrozumiał i natychmiast ruszył na obchód. Zdążyłem go jeszcze ostrzec: - Żadnych bohaterskich wyczynów. Jak zauważysz, że coś nie tak, szczekaj, aż ci łeb odpadnie, i biegnij zaraz do mnie.

Zniknął nam z oczu.

Natychmiast pozalowałem, wydając mu takie polecenie, chociaż byłem pewny, że postąpiłem właściwie.

Pierwsza małpa opróżniła pecherz, a teraz druga skierowała się ku nam i wypuściła strumień moczu. Inne szalaly po poręczy balustrady i hustaly się na okapie dachu.

Bobby siedział dokładnie na wprost okna przy stole. Spoglądał na stosunkowo spokojny wycinek pejzazu równie podejrzliwie jak ja.

Pioruny chyba przeszły, ale kanonady gromów nadal huczały nad oceanem.

Zdawały się podniecać gromade.

-Słyszałem, że ten nowy film Brada Pitta jest naprawdę super - powiedział Bobby.

290

291

-Nie widziałam go - przyznała się Sasza.-Ja zawsze czekam na kasetę - przypomniałem mu.

Coś usiłowało wejść tylnymi drzwiami. Galka zagrzechotała i zaskrzypiała, ale zamek trzymał pewnie.

Małpy za oknem znikły. Dwie kolejne dały susa z werandy i zajęły ich miejsce. Obie zaczęły sikac na okno.

-Nie będę tego zmywał - stwierdził Bobby.

-No, ja na pewno nie - oświadczyła Sasza.

-Może w ten sposób dadzą ujście agresji, wściekłości i po prostu odejda - powiedziałem.

Wyglądało na to, że Bobby i Sasza studiowali sarkastyczne miny na tym samym

uniwersytecie.

-A może nie - przyznałem po zastanowieniu.

Z ciemności wyleciał kamyczek wielkości pestki wiśni i uderzył o okno. Sikające małpy zeskoczyły, zmykając z linii strzału. Szybko przyleciały następne kamyczki, tłukąc jak grad. Żaden nie uderzył w najbliższe okno.

Bobby chwycił strzelbę z podłogi i położył na kolanach. Kiedy ogień zaporowy osiągnął szczyt natężenia, nagle ustał.

Rozgorączkowane małpy wrzeszczały jeszcze zapalczywiej. Potęgujące się krzyki były ostre, niesamowite i zdawały się mieć nadnaturalne działanie, nasączały noc tak demoniczną energią, że deszcz siekł w domek mocno jak nigdy. Bezlitosne młoty gromów rozbili skorupę nocy i kolejny raz jasne zeby piorunowych widel zanurzyły się w darni nieba.

Kamień, większy od poprzednich, odbił się od okna za zlewem; TRZASK! Zaraz po nim przyleciał kolejny tej samej wielkości, ciśniony z większą energią niż poprzednio.

Szczęściem łapy małp były zbyt drobne, by utrzymać broń i operować pistoletem czy rewolwerem; a przy stosunkowo drobnej masie ciała odrzut broni rzuciłby je na ziemię. Te stworzy z pewnością były na tyle inteligentne, by rozumieć cel i sposób działania broni krótkiej, ale przynajmniej horda geniuszy w Wyvern nie zdecydowała się na pracę z gorylami. Choćby gdyby przyszło im to głowy, natychmiast zaczęliby szukać funduszy i nie tylko wyszkoliliby te wielkie małpy w używaniu broni palnej, ale zapoznaliby je ze skomplikowanymi projektami broni nuklearnej.

Kolejne dwa kamienie uderzyły w okno.

Opuszczałem dłoń na telefon komórkowy u pasa. Teoretycznie ktoś powinien udzielić nam pomocy. Nie policja, nie FBI. Zaprzyjawnieni funkcjonariusze policji z Moonlight Bay prawdopodobnie zapewniliby ogień osłonowy małpom. Gdybyśmy porozumieeli się z najbliższą placówką FBI i okazali się bardziej prawdomówni niż wszelcy

292

293

rozmowcy zgłaszający porwanie przez latające spodki, rozmawialibyśmy z wrogiem; Manuel Ramirez powiedział, że decyzja o pozostawieniu tego koszmaru samemu sobie zapadła na "bardzo wysokim szczeblu". Uwierzyłem mu.

Jak żadne wcześniejsze pokolenie zdaliśmy się na innych, przekazaliśmy nasze życie i przyszłość zawodowcom i ekspertom, którzy przekonali nas, że mamy zbyt małą wiedzę lub inteligencję do podejmowania decyzji o zarządzaniu społeczeństwem. Oto konsekwencja

naszej latwowiernosci i lenistwa. Apokalipsa z naczelnymi.

Jeszcze wiekszy kamien walnal w okno. Szybka pekla, ale nie rozleciala sie.

Wzalem ze stolu dwa zapasowe magazynki z nabojami 9 mm i wsadzilem do kieszeni dzinsow.

Sasza wsunela dlon pod zmieta serwetke ukrywajaca chiefs speciala. Poszedlem za jej przykladem i zacisnalem dlon na glocku.

Popatrzyliśmy na siebie. Fala leku zalala jej oczy i bylem pewien, ze w moim spojrzeniu takze dostrzegla strach. Probowalem usmiechnac sie uspokajajaco, ale mialem wrazenie, ze twarz peka mi, jakby byla z gipsu.

-Wszystko bedzie dobrze. Didzejka, surfowszczyk buntwoszczyk i Czlowiek Slon.

Idealna druzyna do uratowania swiata.

-Nie wykanczajcie natychmiast pierwszych, ktore wejda - rozkazal Bobby.

-Niech wlezie ich wiecej. Zwlekajcie, ile sie da. Niech poczuja sie pewnie. Zwabcie te gnojki. Dajcie mi pierwszemu otworzyc ogien, nauczyc ich szacunku. Ze strzelby nie musze nawet celowac.

-Tajes!, generale Bob - odpowiedzialem.

Drugi, trzeci, czwarty kamien - wielkosci pestki brzoskwini - uderzyly w okno.

Pekla druga szyba i utworzyla sie kolejna rysa, jak galaz blyskawicy.

Doznawalem przemieszczenia organow wewnetrznych, ktore zafascynowaloby kazdego lekarza. Zoladek wcisnal mi sie w pluca i doszedl do podstawy tchawicy, podczas gdy rozbujane serce opadlo w miejsce zajmowane poprzednio przez zoladek.

Pol tuzina wiekszych kamieni zalomotalo silniej niz poprzednio, rozbily dwa duze okna i obie szyby roztrzaskaly sie wpadajac do srodka. Rozlegl sie kruchy brzek i deszcz szkla zalal nierdzewny zlew, granitowe lady, podloge. Pare odlamkow dolecialo az do stolu i zamknalem na krotko oczy, gdy ostre szczatki zadzwieczaly na blacie i wbily sie w resztki zimnej pizzy.

Otworzyłem powieki sekunde pozniej i dwie wrzeszczace malpy, kazda wielka jak ta opisana przez Angele, byly znowu w oknie. Bojac sie polamanego szkla i nas, para wskoczyla do srodka, na lade. Wiatr hulal wokol nich, szarpiac futrem zmierzwionym przez deszcz.

Jedna z nich zerknela w kierunku schowka na miotly, gdzie zwykle spoczywala zamknieta

strzelba. Od pojawienia się nie widziały, by ktoś z nas zbliżał się do schowka i nie mogły zauważyć dubeltówki na kolanach Bobby'ego.

292

293

Bobby popatrywał na nie, ale bardziej interesował się oknem naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Dwa zgarbione, szybkie stworzy poruszały się wzdłuż lady, od strony zlewu. W słabo oświetlonej kuchni złowrogiem żółte ślepią błyszczą jak płomyki skaczące na kopcących knotach.

Intruz po lewej trafił na opiekacz do grzanek i ze złością rzucił go na podłogę.

Wtyczka wyleciała z gniazdka w snopie iskier.

Przypomniałem sobie opowieść Angeli o reżysie tak silnie bombardującym ją jabłkami, że rozciął jej wargę. Bobby nie zagrażał kuchni, ale jeśli te bestie otworzyłyby szpały i zaczęły ciskać szkłem i talerzami, mogłyby narobić poważnych szkód, mimo że dysponowaliśmy przewagą ogniową. Duży talerz wirujący jak plastikowy dysk do zabawy na plaży, trafiając w garbek nosa może być równie skuteczny jak pocisk.

Kolejne stworzy o okrutnych ślepiach wskoczyły z werandy na okno. Obnażyły zęby i zasyczały.

Papierowa serwetka na dłoni Saszy wyraźnie drżała - i to nie dlatego, że powodem był przeciąg.

Mimo wrzasku-skrzeku-syku intruzów, mimo wycia marcowego wiatru z wybitych okien, sunących gromów i bebnącego deszczu wydawało mi się, że słyszę Bobby'ego nucącego pod nosem. Nie zwracał prawie uwagi na małpy w głębi kuchni, koncentrował się wyraźnie na nietkniętym oknie naprzeciwko stołu - i poruszał ustami.

Być może osmielone brakiem reakcji z naszej strony, być może wierząc, że sparaliżował nas strach, dwa coraz bardziej podniecone stworzy w wylamanym oknie wsunęły się do środka i rozeszły w dwóch przeciwnych stronach wzdłuż lady, tworząc nowe pary z pierwszymi intruzami.

Albo Bobby zaczął śpiewać głośniej, albo groza wyostrzyła mój słuch, bo nagle poznałem piosenkę. "Daydream Believer". Megahit z przeszłości nagrany przez "The Monkees", "Małpy".

Sasza też musiała to usłyszeć, bo powiedziała:

-Hit z przeszłości.

Kolejni dwaj członkowie gromady wspieli się na okno nad zlewem, lapiąc za framugę. Słepia plonęły im piekielnym ogniem, skrzeczały na nas z malpą wściekłością.

Czwórka w kuchni wrzeszczała jeszcze głośniejsze, skakała po ladzie, wymachiwała piściami, pokazywała zęby i plula na nas.

Były inteligentne, ale nie dośyć inteligentne. Wściekłość zmaciła im rozeznanie.

-Fala sztormowa - powiedział Bobby.

Teraz my!

Zamiast odsunąć się z krzesłem, płynnym ruchem wstał i podniósł broń, jakby miał za sobą zarówno szkolenie wojskowe, jak i występy w balecie. Plomień plął z lufy

294

295

i pierwsze ogluszające uderzenie trafiło ostatnio przybyłe stworzy, zdmuchnęło na zewnątrz, jakby były tylko wypchanymi zabawkami. Drugi wystrzał ściał parę po lewej stronie zlewu. W uszach mi dzwoniło, jakbym był w środku bijącego katedralnego dzwonu i chociaż huk broni w zamkniętej przestrzeni był na tyle głośny, aby spowodować dezorientację, stanąłem na nogach, zanim dubeltówka wystrzeliła po raz drugi. Sasza też wstała, odwróciła się i wystrzeliła dwa razy do pozostałych intruzów, podczas gdy Bobby zalał trzeci i czwarty.

Kuchnia trzęsła się od huku palby, gdy najbliższe okno wyleciało, a wybuch poszedł prosto na mnie. Surfując w powietrzu na kaskadzie szkła, wrzeszczący reżus wylądował pośród nas. Przewrócił dwie z trzech świec i zgasił pozostałą. Woda bryzgnęła mi z futra. Blacha z pizzą, wirując, spadła na podłogę.

Podniosłem Glocka, ale ostatni przybysz rzucił się Saszy na plecy. Gdybym strzelił do tego drania, pocisk na pewno by je przeszył i zabił również ją.

Zanim kopniakiem odrzuciłem na bok krzesło i obiegłem stół, Sasza krzyczała przeraźliwie, a piszcząca malpa była na jej plecach, szarpąc za włosy. Sasza odruchowo opuściła trzydziestkę, sięgając na osłep za siebie. Reżus spróbował ugryźć ją w dłoń, ale tylko głośno klapnął zębami w powietrzu. Sasza leżała wygięta na stole, a napastnik jeszcze bardziej odciągał jej głowę w tył, aby odsłonić gardło.

Rzuciłem Glocka na stół i złapałem stworę od tyłu, prawa ręka za gardło, lewa za skórkę między łopatkami. Przekreciłem lewą rękę tak gwałtownie, że malpa wrzasnęła z bólu. Jednakże nie puściła Saszy i kiedy próbowałem ją oderwać, ona z kolei próbowała wyrzucić Saszy włosy razem z cebulkami.

Bobby przeladowal strzelbe i oddal trzeci strzal. Sciandy domku zatrzesly sie, jakby rozpoczelo sie trzesienie ziemi, i pomyslam, ze to koniec z ostatnia para intruzow, ale gdy uslyszalem klnacego Bobby'ego, wiedzialem, iz pojawily sie nastepne klopoty.

Oswietlona plonacymi zoltymi slepiami, bardziej niz gasnacymi plomkami swiec kolejna para malp, totalni kamikadze, wdarla sie przez okno nad zlewem.

A Bobby ladowal bron.

W innej czesci domku ujadal Orson. Nie wiedzialem, czy gna dolaczyc do bojki, czy wzywa pomocy.

Uslyszalem siebie samego klnacego soczyscie. Warczalem zazaracie jak zwierze.

Zlapalem rezusa obiema rekami za gardlo. Dusil sie, dusil, az wreszcie nie mial wyboru i musial puscic Sasze. Malpa mogla wazyc okolo dwunastu kilogramow, mniej niz jedna szosta mojej wagi, ale skladala sie z samych kosci, miesni i kipiacej wscieklosci. Piszczac cienko i plujac walczyla o oddech, usilowala zginc glowe, by ugryzc rece zacisniete na jej szyi. Wyrywala sie, wila, kopala, miotala calym cialem i nie latwiej byloby utrzymac wegorza, ale bylem tak wsciekly na gnojka za to, co chcial zrobic Saszy, ze dlonie mialem jak z zelaza, i wreszcie poczulem, ze skrecilem mu kark. Zwiotczal, scierwo, i upuscilem go na podloge.

294

295

Dlawiac sie obrzydzeniem, lapiac kurczowo oddech, podnioslem glocka. Sasza odzyskala chiefs special i podeszla do wybitego okna kolo stolu. Otworzyla ogien na zewnatrz. Mimo ze ostatnie dwie malpy blyskaly slepiami, Bobby ladujac bron najwidoczniej stracil je z oczu. Podszedl do kontaktu przy drzwiach. Teraz podsunal rezystor na tyle, ze musialem zmruzyc oczy.

Jeden z malych drani stal na ladzie obok kuchenki. Wzial najmniejszy z nozy wiszacych na wieszaku i zanim ktorys z nas zdazyl otworzyc ogien, cisnal nim w Bobby'ego.

Nie wiem, czy gromada zajmowala sie nauka prostych technik walki, czy malpa miala szczescie. Noz obracal sie w powietrzu i utkwil w prawym barku Bobby'ego.

Bobby upuscil strzelbe.

Strzelilem dwukrotnie do nozownika. Zatoczyl sie w tyl i upadl na palniki, zdechly.

Inna malpa mogla uslyszec stare powiedzonko, ze ostroznosc to lepsza polowa odwagi, bo podwinela ogon i uciekla przez okno. Poslalem za nia dwie kule, ale chybilem.

Przy innym oknie Sasza, ze zdumiewajacym spokojem i pewnymi dlonmi, wyjela ladownik i wsunela do trzydziestkiosemki. Obrocila go, zrecznie napelniajac wszystkie komory, odrzucila na podloge i wcisnela bebenek na miejsce.

Zastanawialem sie, jaka szkola dziennikarki radiowej oferowala przyszłym didzejkom kursy poslugiwania sie bronia i dzialania w warunkach bojowych. Ze wszystkich ludzi w Moonlight Bay Sasza stwarzala wrazenie jedynej osoby bedacej w istocie tym, kim wydawala sie byc. Teraz podejrzewalem, ze miala kilka sekretow.

Oddala kilka nastepnych strzalow. Nie wiem, czy widziala jakies cele, czy jedynie prowadzila ogien zaporowy, majacy zniechecic resztki gromady.

Wyrzucilem na wpol opozniony magazynek, wcisnalem pelny. Podszedlem do Bobby'ego, ktory wyciagal noz z barku. Wygladalo na to, ze ostrze zaglebilo sie na kilka centymetrow, ale plama krwi na koszuli byla spora.

-Powaznie? - spytalem.

-Niech to szlag!

-Wytrzymasz?

-To byla moja najlepsza koszula!

Moze nic mu nie grozilo.

Z frontowych pomieszczen dobiegalo szczekanie Orsona, przerywane piskami grozy.

Wsadzilem glocka z tylu za pas, porwalem strzelbe Bobby'ego, ktora byla teraz naladowana, i pobieglem w kierunku psich odglosow. Swiatla w pokoju dziennym byly wlaczone, ale przygaszone, tak jak je zostawilismy.

Rozjasnilem je troche. Jedno z duzych okien bylo wybite. Wyjacy wiatr niosl deszcz na

296

297

werande i do pokoju. Cztery wrzeszczace malpy przykucnely na oparciach foteli i poreczach kanap. Kiedy swiatla pojasnialy, rezusy skierowaly ku mnie lby i zasyczaly jak jedna. Bobby liczy, ze gromada sklada sie z osmiu, dziesieciu osobnikow, ale wyrazniej liczyla sobie wiecej. Do tej pory ujrzałem dwanascie czy czternascie i pomimo ze byly na wpol oszalale z wscieklosci i nienawisci, nie sadze, by okazaly sie na tyle nierozwazne - lub glupie - ze poswiecilyby wiekszosc swojej spolecznosci na pojedynczy atak.

Przebywaly na wolnoscii dwa, trzy lata. Masa czasu na rozplod.

Orson był na podłodze otoczony przez ow kwartet potworów, które znow zaczęły na niego wrzeszczeć. Niepokojnie krzył w kółko, usiłując mieć wszystkie na oku.

Jedna była w takiej odległości i pod takim kątem, że nie musiałem się obawiać, iż rykoszet trafi psa. Strzeliłem bez wahania. Rozprysk srutu i malpich flaków był taki, że Bobby'ego czekało wyłożenie pięciu tysięcy zielonych na renowację.

Pozostałe piszczać skakały z jednego mebla na drugi, zmierzając do okna.

Zalatałem kolejnego stwora, ale trzeci wystrzał zrobił tylko dziurę w ścianie wyłożonej tekową boazerią i zwiastował Bobby'emu kolejne pięć, dziesięć kawałków kosztów renowacji.

Odrzuciłem strzelbę, sięgnąłem za plecy i wyciągnąłem Glocka. Ruszyłem za dwiema małpami, które uciekały przez okno na frontową werandę... i prawie uniosłem się w powietrze, gdy nagle ktoś złapał mnie od tyłu. Poteżne ramie zacisnęło się na mojej szyi, dławiąc dopływ powietrza, a czyjaś ręka wyrwała mi Glocka.

W następnej sekundzie wleciałem w powietrze i frułem jak piórko. Grzmotnąłem w niski stoliczek, który zalał się pod mną.

Rozciągnięty na plecach na szczątkach mebla podniosłem wzrok i zobaczyłem Carla Scorso. Widziany z podłogi był jeszcze większy niż naprawdę. Łysa głowa.

Kolczyk. Choć zwiększyłem światła, pokój na tyle tonął w mroku, że widziałem zwierzęce lśnienie oczu.

To on przewodził gromadzie. Byłem o tym przekonany. Miał na sobie sportowe obuwie, dzinsy i flanelową koszulę, a na ręce zegarek i gdyby podczas policyjnej konfrontacji kazano mu stanąć w rzedzie z czterema goryłami, nikt nie miałby najmniejszych wątpliwości, że jest jedynym człowiekiem. A jednak mimo ubrania i ludzkiej postaci było w nim coś nieludzkiego, nie tylko z powodu osobliwie lśniących oczu, ale dlatego że rysy wykrzywił mu grymas, który nie wyrażał żadnego ludzkiego uczucia. Choć ubrany, równie dobrze mógł być nagi; chociaż gładko ogolony od szyi do szczytu czaszki, równie dobrze mógł być owłosiony jak małpa. Jeśli prowadził podwójne życie, było jasne, że lepiej przystosował się do życia, jakie prowadził w nocy, z gromadą, niż do tego, czym był za dnia, poruszając się wśród tych, którzy nie byli odmiencami jak on.

296

297

Trzymał Glocka w wyprostowanej ręce, jakby przeprowadzał egzekucję, celując mi w twarz. Orson warcząc rzucił się na niego, ale Scorso był szybszy. Wymierzył psu solidnego kopniaka w łeb. Orson padł na podłogę i został na podłodze. Nawet nie zapiszczał, nie

zadygotaly mu lapy. Serce osunelo mi sie jak kamien w studni.

Scorso wycelowal i strzelil mi w twarz. Tak to przynajmniej przez chwile wygladalo. Ale ulamek sekundy wczesniej, zanim pociagnal za spust, Sasza strzelila mu w plecy z glebi pokoju i trzask, ktory do mnie dobiegl, to byl odglos jej chiefs speciala.

Scorso drgnal pod wplywem wystrzalu i chybil. Drzazgi polecialy z tekowej podlogi trafionej za moja glowa.

Ranny, ale mniej oszolomiony niz kazdy z nas w razie trafienia, Scorso odwrocil sie blyskawicznie, rownoczesnie strzelajac raz za razem. Sasza padla na podloge i wytoczyla sie z pokoju, tak ze Scorso oprznil magazynek w miejsce, w ktorym stala poprzednio. Wciaz naciskal spust, mimo ze magazynek byl pusty. Gesta czarna krew splywala mu po flanelowej koszuli.

Wreszcie rzucil glocka, odwrocil sie do mnie i wydawal sie rozwazac, czy ma rozdeptac mi twarz, czy wyrwac galki oczne i zostawic oslepionego, umierajacego.

Zrezygnowawszy z obu przyjemnosci, ruszyl do wylamanego okna, przez ktore uciekly ostatnie dwie malpy. Akurat wylazil na werande, gdy znow pojawila sie Sasza i, co niewiarygodne, ruszyla za nim.

Krzyknalem, zeby dala sobie spokoj, ale miala tak szalony wyraz twarzy, ze nie bylbym zaskoczony widzac w jej oczach tamten koszmarly blask. Przebiegala pokoj dzienny i znalazla sie na werandzie, zanim jeszcze zdazylem wstac.

Z zewnatrz trzasnal chiefs special. Raz, drugi i trzeci.

Chociaz teraz bylo jasne, ze Sasza potrafi sama dac sobie rade, chcialem pobiec za nia i przywlec z powrotem. Nawet gdyby wykonczyla Scorso, na dworze czailo sie wiecej malp, niz nawet pierwszorzedna didzejka mogla sobie wyobrazic - i noc byla ich domena, nie jej.

Zahuczal czwarty strzal. Piaty.

Zawahalem sie, bo Orson lezal nieruchomo, wydawalo mi sie, ze nie oddycha. Byl martwy lub nieprzytomny. Jesli nieprzytomny, moze potrzebował natychmiastowej pomocy. Dostal kopniaka w leb. Nawet jesli byl zywy, pozostawalo niebezpieczenstwo uszkodzenia mozgu.

Zdalem sobie sprawe, ze placze. Zapanowalem nad zalem. Pohamowalem lzy. Jak zawsze.

Bobby szedl do mnie przez pokoj, jedna reke zaciskajac na zranionym barku.

-Pomoz Orsonowi - powiedzialem.

Nie wierzyłem, że nie mogę mu pomóc, ponieważ samo dopuszczenie owej myśli do świadomości mogłoby ją uprawdopodobnić. Pia Klick zrozumiałaby mnie.

Może Bobby też teraz rozumiał.

Omijając meble i trupy małp, miażdżąc szkło, podbiegłem do okna. Srebrne warkocze zimnego deszczu, niesionego wiatrem, wpadały między ostrymi odłamkami szkła, które sterczały z ramy okna. Przebiegłem przez werandę, zeskoczyłem po stopniach i ruszyłem w serce ulewy, w kierunku Saszy, stojącej dziesięć metrów dalej wśród wydm.

Carl Scorso leżał twarzą w piasku.

Przemoczona i drżąca stała nad nim wciskając trzeci, ostatni ładownik w rewolwer.

Podejrzewałem, że wsadziła w Scorso większość, jeśli nie wszystkie kule, które slyszalem, ale chyba uznała, że jeszcze kilka nie zawadzi.

Scorso podrygiwał i wbijał rozcapierzone dłonie w piasek, jakby chciał się w nim zagrzebać niczym krab.

Trzesąc się ze zgrozy, pochyliła się nad nim i wystrzeliła ostatnią kulę, tym razem w potylicę. Gdy się do mnie odwróciła, płakała. Nie próbowała powstrzymać łez.

Ja już nie płakałem. Powiedziałem sobie, że ktoreś z nas musi wziąć się w garść.

-Hej - powiedziałem łagodnie.

Padła mi w ramiona.

-Hej - szepnęła z ustami na mojej szyi.

Objąłem ją.

Deszcz lał takimi gestymi strugami, że nie widziałem świateł miasteczka, kilometr na wschód. Moonlight Bay mogło rozpuścić się pod tym potopem z niebios, zostać zmyte, jakby było jedynie kunsztownym zamkiem z piasku.

Ale było tam z pewnością. Czekano, aż ta burza minie i kolejna, i kolejne aż do końca świata. Nie dało się uciec przed Moonlight Bay. Nie my. Nigdy. Mielismy je - jak najbardziej dosłownie - w naszej krwi.

-Co zrobimy? - spytała, nadal sciskając mnie mocno.

-Będziemy żyć.

-Wszystko sie pochrzanilo.

-Juz wczesniej bylo pochrzanione.

-Oni wciaz gdzies tam sa.

-Moze zostawia nas w spokoju... na razie.

-Gdzie stad pojdziemy, balwanku?

-Z powrotem do domu. Napic sie piwa.

Ciagle drzala i to nie z powodu deszczu.

-A potem? Nie mozemy wiecznie pic piwa.

-Jutro przyjdzie wielka fala.

298

299

-Czy to bedzie takie proste?-Trzeba dosiadc tych wielkich fal, poki sa.

Wrocilismy do domu, gdzie zastalismy Orsona i Bobby'ego siedzacych na szerokich stopniach werandy. Bylo dosyc miejsca, bysmy mogli usiadc obok nich. Zaden z moich braci nie byl w zyciowej formie.

Bobby uwazal, ze wystarczy mu bandaz i jodyna:

-Rana jest plytka i ma ledwo centymetr z gory na dol.

-Wspolczuje z powodu koszuli - powiedziala Sasza.

-Dzieki.

Orson popiskujac wstal, chwiejnie zszedl po schodach i wyrzyl sie w piasek. To byla noc wyrzygiwania tego, co sie wczesniej polknelo.

Nie moglem oderwac od niego oczu. Trzaslem sie z przerazenia.

-Moze powinnismy zabrac go do weterynarza? - spytala Sasza.

Pokrecilem glowa. Zadnych weterynarzy. Nie bede plakal. Nie placze. Na jaka gorycz sie narazasz, duszac w sobie zbyt wiele lez?

-Nie ufalbym zadnemu weterynarzowi w miescie - powiedzialem, kiedy moglem mowic. -

Pewnie też w tym siedzą, współpracują. Jesliby zdali sobie sprawę, że jest jednym ze zwierząt z Wyvern, mogliby go mi zabrać, odesłać do laboratoriów.

Orson stał z łbem uniesionym w górę, jakby oczyszczając się deszczem.

-One wroca - stwierdził Bobby, mając na myśli małpy.

-Nie dziś - odparłem. - I może jeszcze długo nie.

-Ale wcześniej czy później.

-No.

-I kto jeszcze? - zastanawiała się Sasza. - Co jeszcze?

-Tam jest chaos - odparłem, wspominając słowa Manuela. - Kompletnie nowy świat. Kto, do diabła, wie, co w nim jest... albo co się akurat urodziło?

Mimo wszystkiego, co widzieliśmy, i czego się dowiedzieliśmy o programie Wyvern, być może dopiero w tym momencie, na stopniach werandy, uwierzyliśmy w głębi serca, że żyjemy w sąsiedztwie końca cywilizacji, na krawędzi Armageddonu. Gesty i nieustanny deszcz, jak bebnny Sadu Ostatecznego, bił w świat. Ta noc była jak żadna inna na ziemi i nie poczulibyśmy się bardziej obco, gdyby chmury rozstąpiły się, odsłaniając trzy księżyce zamiast jednego i niebo pełne nieznanomych gwiazd.

Orson napił się deszczówki z kaluży na najniższym stopniu schodów. Potem wspiał się do mnie z większą pewnością siebie, niż schodząc. Niepewnie, używając szyfru kiwniecie-na-tak-krecenie-łbem-na-nie, przepytalem go, czy nie doznał wstrząsu mózgu lub czegoś gorszego. Był w porządku.

-Jezu - odetchnał Bobby. Nigdy nie słyszałem, by był równie poruszony.

Wszedłem do środka i przyniosłem cztery piwa oraz miske, na której Bobby kiedyś napisał "ROZYCZKA".

301

-Kilka obrazów Pia oberwało srutem - powiedziałem.-Zwalimy na Orsona - wymyślił Bobby.

-Nie ma niczego równie niebezpiecznego, jak pies z dubeltówką - zauważyła Sasza.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, słuchając deszczu i oddychając cudownym świeżym powietrzem.

Widziałem trupa Scorso na piasku. Teraz Sasza była zbrojca, jak ja.

-To dopiero jest życie - powiedział Bobby.

-Totalne - przytaknałem.

-Niemożliwie nieważkie.

-Wariackie - podsumowała Sasza.

Orson mruknął.

301

34

Tamtej nocy owinięliśmy trupy małp w płachty. To samo zrobiliśmy z ciałem Scorso. Wciąż spodziewałem się, że usiadzie i wyciągnie do mnie rękę, wlokąc z sobą bawełniany zwoj, jakby był mumia z dawnych filmów, zrobionych w epoce, w której ludzie bardziej obawiali się nadnaturalnego, niż jak to jest dzisiaj - realnego świata. Władowaliście je do eksplorera.

Bobby miał w garażu stos plastikowych placht, zostawionych przez malarzy, którzy od czasu do czasu konserwowali tekowe boazerie. Przymocowaliśmy je zszywaczem do ram, zasłaniając wybite okna najlepiej, jak się dało.

O drugiej nad ranem Sasza zawiozła naszą czworke na północno-wschodni kraniec miasta, w górę długiego podjazdu, obok wdzięcznych kalifornijskich pieprzowców, które czekały jak szereg oplakujących zalobników podczas burzy, obok betonowej piety.

Zatrzymaliśmy się pod portykiem wielkiego georgianskiego domu.

Nie paliły się żadne światła. Nie wiem, czy Sandy Kirk spał, czy nie. Wylądowaliśmy trupy, robiąc stos przed frontowymi drzwiami.

Gdy odjeżdżaliśmy, Bobby powiedział:

Pamiętasz, jak przyjeżdżaliśmy tu jako chłopcy, żeby podglądać ojca Sandy'ego przy pracy?

-No.

-Wyobraź sobie, że któregoś nocy znaleźlibyśmy coś takiego na jego progu.

-Super.

Należało zająć się sprzątnięciem i reperacjami w domu Bobby'ego, ale nie byliśmy gotowi do tej pracy. Pojechalismy do Saszy; spędziliśmy resztę nocy w jej kuchni, rozjasniając sobie w głowach kolejnymi puszkami piwa i przeglądając zapiski mojego ojca o powstawaniu

nowego swiata, naszego nowego zycia.

Moja matka wymarzyła sobie rewolucyjne podejście do budowy retrowirusów, przenoszących geny do komórek pacjentów - lub obiektów doświadczeń. W tajnym laboratorium w Wyvern światowej klasy zespół naukowców zrealizował jej wizję. Ci gocy, te nowe mikroby, osiągnęły niesłychany spektakularny sukces, okazując się bardziej selektywne, niż ktokolwiek zamierzył.

302

-Wtedy pojawiła się Godzilla - jak powiedział Bobby. Nowy retrowirus, chociaż kaleki, okazał się tak inteligentny, że nie tylko dostarczał paczkę materiału genetycznego, ale wybierał paczkę z DNA pacjenta - lub testowanego zwierzęcia - do zastąpienia przez to, co dostarczał. W ten sposób stawał się posłancem w obu kierunkach, przynosząc i wynosząc materiał genetyczny.

Wylapywał także inne wirusy obecne w ciele obiektu, wybierał pewne cechy i przyswajał je sobie. Przechodził mutacje radykalniej i szybciej niż jakikolwiek poprzedni mikroorganizm. Mutacje mnożyły się szalenczo, w ciągu godzin tworząc zupełnie nowe organizmy. Mikroby potrafiły się również reprodukować, mimo że były uszkodzone.

Zanim ktokolwiek w Wyvern załapał, co się dzieje, nowe stworki mamy wynosily tyle samo materiału genetycznego ze zwierząt poddanych eksperymentom, co przynosiły - i wymieniały go nie tylko między zwierzętami, ale równie między naukowcami i innymi pracownikami w laboratoriach. Zakazanie następowało nie tylko przez kontakt z płynami ciała. Wystarczył kontakt ze skórą, najmniejsza ranka lub zadrapanie; rozcięcie papierem, zacięcie przy goleniu.

W przyszłości, gdy każdy z nas będzie skazany, pozyska ładunek nowego DNA, innego niż ten, który otrzyma ktoś inny. Rezultaty będą jednostkowe. Niektórzy z nas wcale nie zmieniają się w sposób zauważalny, bo otrzymamy tylko kawałeczki z tak wielu źródeł, że nie zaistnieje żaden skumulowany efekt. Gdy nasze komórki będą wymierać, wprowadzony materiał może, ale nie musi, je zastąpić. Lecz niektórzy z nas mogą stać się psychicznymi lub nawet fizycznymi potworami.

Parafrazując Jamesa Joyce'a: od tego może sposepniec, zabarwić się cały nasz heconozwierzakowaty świat. Sposepniec dziwna różnorodnością.

Nie wiemy, czy zmiana nabierze tempa, efekty stana się szerzej widoczne, tajemnica odsłoni się z powodu samego pedu pracy retrowirusa - czy będzie to subtelny proces rozłożony na dekady i stulecia. Możemy tylko czekać i patrzeć.

Tato uważał, że problem nie powstał wyłącznie z powodu teoretycznego błędu.

Sądził, że ludzie w Wyvern - którzy testowali teorie mamy i rozwijali je, aż do stworzenia

zwywych organizmow - zawinili bardziej niz ona, bo odeszli od jej wizji w sposob, ktory wydawal sie nieznaczny na poczatku, ale na koncu doprowadzil do kleski.

Jakkolwiek byśmy na to patrzyli, mama zniszczyła świat taki, jaki znamy - ale mimo tego wszystkiego jest nadal moja mama. Na pewnym poziomie to, co zrobiła, było spowodowane miłością, nadzieją, że zdola uratować moje życie. Kocham ją tak mocno jak zawsze - i zdumiewam się, że zdołała ukryć przede mną swoją grozę i lek podczas ostatnich lat mojego życia, po tym jak zdała sobie sprawę, jaki będzie ten nowy świat.

Ojciec był co najmniej nieprzekonany, że zabiła się sama, ale w notatkach przyznaje, że to możliwe. Uważał morderstwo za bardziej prawdopodobne. Chociaż zarazą rozeszła się zbyt daleko - i zbyt szybko - by dała się powstrzymać, mama chciała w końcu podać do publicznej wiadomości całą historię. Może ją uciszono. To, czy zabiła się sama, czy próbowała stawiać czoło wojsku i rządowi, nie ma znaczenia; tak czy siak, nie żyje.

303

Teraz lepiej ją rozumiem, wiem, skąd czerpie siłę - lub obsesyjną wolę - tłumienia własnych emocji, gdy nie potrafię sobie z nimi poradzić. Zamierzam to zmienić w sobie. Nie widzę powodów, dlaczego nie mogłbym być do tego zdolny. Zresztą to teraz zasadnicza cecha świata: zmiana. Nieustanna zmiana. Chociaż niektórzy nienawidzą mnie z tego, że jestem synem mojej matki, pozwala mi się żyć. Nawet ojciec nie bardzo rozumiał, dlaczego zapewniono mi tę dyspensę, biorąc pod uwagę dziką naturę niektórych moich wrogów. Jednakże podejrzewał, że mama wykorzystwała fragmenty mojego materiału genetycznego do stworzenia tych apokaliptycznych retrovirusów; stąd może klucz do cofnięcia lub przynajmniej ograniczenia zakresu kleski znajdzie się w moich genach. Krew pobierana co miesiąc nie służy, jak mi powiedziano, badaniom związanym z XP, ale do badań w Wyvern. Być może jestem chodzącym laboratorium: potencjalnie mam w sobie środek na tę zarazę - lub też środek krancowego zniszczenia i koszmaru, które ona przyniesie. Tak długo, jak ukrywam tajemnice Moonlight Bay i trzymam się zasad zarazonych, najprawdopodobniej pozostanę żywy i cały. Jeśli jednak spróbuje powiedzieć światu, niewatpliwie dokonczę swoich dni w ciemnej podziemnej komorze pod polami i wzgórzami Fortu Wyvern.

Prawde mówiąc, tato obawiał się, że i tak wcześniej czy później zabiorą mnie, uwięzią i zapewnią sobie stałą dostawę próbek krwi. Będzie musiał poradzić sobie z tym zagrożeniem, jeśli i kiedy się zrealizuje.

W niedzielne przedpołudnie i popołudnie, gdy burza przechodziła nad Moonlight Bay, spaliliśmy - i koszmary nie zbudziły tylko Saszy.

Po czterech godzinach w wyrku zszedłem do kuchni Saszy i siadłem przy zasłoniętych żaluzjach. Przez jakiś czas przyglądałem się w półmroku słowom "Pociąg Tajemnica" na czapce, zastanawiając się, jaki jest ich związek z pracą mojej matki.

Chociaz nie potrafilem odgadnac ich znaczenia, czulem, ze Moonlight Bay jest nie tylko kolejka gorska na drodze do piekla, jak twierdzil Stevenson. Podrozowalismy ku tajemniczemu miejscu przeznaczenia, ktorego nie potrafilismy sobie wyobrazic. Moze bylo to cos cudownego, a moze znacznie gorszego niz tortury piekla.

Pozniej wzialem piro, notatnik i pisalem przy swiecy. Zamierzam notowac wszystko, co przyniosa dni, ktore mi pozostaly. Nie spodziewam sie, by to dzieło kiedykolwiek zostalo wydane. Ci, ktorzy pragna, aby prawda o Wyvern nigdy nie ujrzala swiatla dziennego, nie pozwola mi pisnac slowa. W kazdym razie Stevenson mial racje; za pozno na ratowanie swiata. Zreszta Bobby przez wszystkie dni naszej dlugiej przyjazni mowil mi to samo.

Chociaz nie pisze juz z mysla o publikowaniu, wazny jest zapis tej katastrofy. Swiat, ktory znamy, nie powinien odejsc bez wyjasnienia dla przyszlosci. Jesteśmy aroganc303 kim gatunkiem, pelnym straszliwych mozliwosci, ale mamy tez wielka zdolnosc kochania, przyjazni, hojnosci, dobroci, wiary, nadziei i radosci. To, jak zginiemy z wlasnej reki, moze byc wazniejsze niz to, jak sie w ogole pojawilismy - co pozostanie tajemnica, ktorej nigdy nie rozwiazemy.

W miare rosnacego zagrozenia bede starannie zapisywal wszystko, co wydarzy sie w Moonlight Bay i w zwiazku z tym w reszcie swiata - chociaz niewykluczone, ze to prozny wysilek, bo pewnego dnia moze zabraknac kogos, kto by to odczytal. Zaryzykuje.

Gdybym byl hazardzista, zalozylbym, ze pewne zwierzeta wylonia sie z chaosu i zastapia nas, stana sie panami Ziemi, jak poprzednio my. Prawde mowiac, gdybym byl hazardzista, postawilbym na psy.

W niedzielnny wieczor niebo bylo tak niedosieczne jak twarz Boga, a gwiazdy tak czyste jak lzy. Nasz czworka poszla na plaze. Pieciometrowe, zwalajace z nog szkliste monolity pedzily nieprzerwanie z dalekiego Tahiti. To bylo epokowe. To bylo tak pelne zycia!

Nota autora Radiostacja Moonlight Bay, KBAY, jest calkowicie tworem mojego umyslu.

Prawdziwe KBAY znajduje sie w Santa Cruz, Kalifornia, i zaden z pracownikow radiostacji Moonlight Bay nie ma zwiazku z bylými czy obecnými pracownikami radiostacji z Santa Cruz. Te literki zapozyczylem z jednego jedyne go powodu: byly superowe.

W rozdziale siedemnastym Christopher Snow cytuje wers z wiersza Louisy Gluck.

Tytul jego brzmi "Kolysanka" i jest w cudownym i poruszajacym "Araracie" pani Gluck.

Christopher Snow, Bobby Halloway, Sasza Goodall i Orson sa prawdziwi. Spedzilem z nimi wiele miesiecy. Lubie ich towarzystwo i zamierzam spedzic z nimi znacznie wiecej czasu w nastepnych latach.

SPIS TRESCI

Czesc Pierwsza 4Czesc Druga 31Czesc trzecia 122Czesc czwarta 156Czesc Piata
252Czesc Szosta 272Nota autora 305 Document Outline Nota autora

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/